JERZY JEDLICKI

JAKIEJ CYWILIZACJI POLACY POTRZEBUJĄ

STUDIA Z DZIEJÓW IDEI I WYOBRAŹNI XIX WIEKU

W serii z WAGĄ
ukazały się:

DROGA SERCA
Dalaj Lama, Eugen Drewermann

ISTOTNEGO NIE WIDAĆ
Eugen Drewermann

CZYSTOŚĆ I BRUD
Georges Vigarello

CUDOWNE I POŻYTECZNE
Bruno Bettelheim

HISTORIA EPIDEMII
Jacques Ruffié, Jean Charles Sournia

NADZIEJE MEDYCYNY
Jean Bernard

ANATOMIA UCZUĆ
Boris Cyrulnik

SEKS I ŚMIERĆ
Jaques Ruffié

INTYMNA HISTORIA LUDZKOŚCI
Theodore Zeldin

HISTORIA STROJU
Maguelonne Toussaint-Samat

SPÓR O DZIEDZICTWO EUROPEJSKIE
Ewa Bieńkowska

WIEDEŃSKA APOKALIPSA
Ewa Kuryluk

POWTÓRZENIE. PRZEDMOWY
Søren Kierkegaard

ŻYWOTY ŚWIĘTYCH POPRAWIONE
Zbigniew Mikołejko

ŻYJĄC TRACIMY ŻYCIE
Maria Janion

HISTORIA CHORÓB
U ZARANIA CYWILIZACJI ZACHODNIEJ
Mirko D. Grmek

Z. 462852

JERZY JEDLICKI

JAKIEJ CYWILIZACJI POLACY POTRZEBUJĄ

STUDIA Z DZIEJÓW IDEI I WYOBRAŹNI XIX WIEKU

WARSZAWA

Eo 4467/8
2003

45

Z.462852

Praca wykonana w Instytucie Historycznym PAN.

Copyright © by Jerzy Jedlicki
Wydanie drugie, poprawione
Warszawa 2002

Pamięci Matki

Spis treści

Wstęp: Szczególne i ogólne 9

Część I: WIDOKI PRZYSZŁOŚCI

1. Narodowość a cywilizacja 29
2. Rozwój naturalny czy sztuczny 93
3. Ewangelia a ekonomia 165

Część II: ZAKLĘTE KOŁA

4. Potrzebni, ale zbędni 261
   Krąg pierwszy: ludzie „do wszystkiego" 269
   Krąg drugi: inteligencja „naukowa" 275
   Krąg trzeci: inteligencja techniczna 292
5. Afirmacja i negacja 305
6. Mnożenie i dzielenie 353

Bibliografia ważniejszych opracowań 421
Indeks 429

Wstęp: Szczególne i ogólne

W europejskiej myśli społecznej ostatnich dwu stuleci z górą jest stale obecnych kilka wielkich tematów, do których w jakiś sposób odnieść się musiał każdy mniej więcej wykończony system przekonań i które ponadto występują w niezliczonych wypowiedziach luźnych: w publicystyce, moralistyce, literaturze pięknej i dyskursie potocznym. Jest wśród nich temat „wolność jednostki a prerogatywy władzy" i temat „jak zapewnić sprawiedliwy podział dóbr?", i temat „co to jest naród i jakie są jego prawa?". I jest wśród nich temat „postęp cywilizacji".

Te wielkie tematy warto odróżniać od doraźnych kwestii społecznych, takich jak na przykład uwłaszczenie chłopów i reforma rolna, uprawnienia robotników, system podatków i ubezpieczeń, wprowadzenie powszechnego nauczania albo powszechnych praw wyborczych. Kwestie takie żywo obchodzą polityków i ideologów, poruszają stronnictwa i masy, aż w końcu, lepiej czy gorzej, zostają rozwiązane w drodze reformy lub rewolucji i ustępują miejsca kwestiom nowym. Natomiast wielkie tematy myśli społecznej mają to do siebie, że nie znajdują ostatecznych rozstrzygnięć ani w teorii, ani w praktyce. Z dysputy, jaką wywołują, mogą wyłaniać się kwestie wymagające politycznego i prawnego rozwiązania, ale same wielkie tematy r o z w i ą z y w a n e nie są, są natomiast

podejmowane i przeżywane wciąż na nowo, w coraz to innych, choć nierzadko i powracających kształtach. Są nadzwyczajnie uporczywe, gdyż są wyrazem niepokojów stale trawiących naszą cywilizację. Mogą zostać stłumione, nigdy unieważnione.

Pytanie o to, dokąd zmierza współczesna cywilizacja i czego po niej można się spodziewać, jest jednym z tych wielkich problemów dominujących w refleksji społecznej europejskich intelektualistów, zanim groźnie zawisło nad wszystkimi narodami świata. Spomiędzy wszystkich pytań o los żyjących i przyszłych pokoleń ludzkich to pytanie jest najbardziej pojemne i ono właśnie stawało się osnową wielkich systemów historiozoficznych. Jakkolwiek jednak podnoszone bywało wielekroć do wyżyn abstrakcyjnej spekulacji umysłowej, żywotność swoją czerpie przecież z życiowego doświadczenia ogromnych rzesz ludzkich.

Od połowy osiemnastego wieku, to jest od pierwocin angielskiej „rewolucji przemysłowej", poczęło się gwałtowne przyspieszenie tempa zmian cywilizacyjnych, które po upływie dwu stuleci ogarnęły już najbardziej oddalone terytoria naszego globu i najszczelniej odizolowane środowiska społeczne. Dostrzeżenie i odczucie niestałości świata nie wymaga już, jak ongiś, wiedzy historycznej, ponieważ wstrząsające zmiany otoczenia i warunków egzystencji dokonują się w ciągu życia osobniczego. Zarazem zaś ci, którzy – nie zawsze świadomi konsekwencji – zmiany w y m y ś l a j ą, są zaledwie garstką wśród zachowawczej z usposobienia ludzkości[1]. Ci, co odkrywają prawa przyrody i nieznane lądy, wynajdują nowe technologie, źródła energii i środki komunikacji, nowe potrzeby i nowe dla ich zaspokojenia przedmioty, ci, co projektują instytucje, ogłaszają manifesty ideowe, piszą ustawy i obalają autorytety – ta garstka niespokojnych demiurgów wielkiej transformacji narzuciła w końcu całemu globowi nieustanną zmienność krajobrazów i sposobów życia. Wszyscy pozostali, wszystkie długo-

[1] W tej kwestii skłonny jestem podzielić pogląd Roberta A. Nisbeta, rozwinięty zwłaszcza w jego książce *Social Change and History, Aspects of the Western Theory of Development*, New York 1969.

wieczne wspólnoty ludzkie doświadczały zmiany cywilizacyjnej jako czegoś, co nadchodzi, co już nadeszło z zewnątrz, z jakimiś obcymi z miasta albo zza morza, z nieznanymi maszynami, z nową moralnością. Ta inwazja niosła ze sobą pokusę i groźbę, obietnicę i przerażenie, a najczęściej wszystko to razem i jednocześnie. Stanowiła – powiedzmy za Arnoldem Toynbee – w y z w a n i e , na które można było odpowiedzieć bądź chętnym przyzwoleniem, bądź nienawistnym oporem, bądź wreszcie mieszaniną ufności i obawy[2]. Ale jakiekolwiek były – w jednej okolicy po drugiej – te początkowe emocjonalne reakcje, kończyło się prawie zawsze stopniowym oswojeniem nowości, przystosowaniem ich do siebie i siebie do nich. Gatunek ludzki objawiał raz po raz nieoczekiwane zdolności adaptacyjne, jakich, zdawałoby się, nie mogła w nim wykształcić ani powolna ewolucja biologiczna, ani kulturowa. Młodzi oswajali się łatwiej od starych, chętniej wypróbowywali nowe pokusy i szanse, więc po raz pierwszy mogli być bardziej od starych d o ś w i a d c z e n i. Wraz z tym słabł autorytet wieku i regulatywna rola tradycji. Wreszcie inwazja wdzierała się w dusze i umysły, przebudowując układy pragnień i motywacji, hierarchie wartości, orientacje poznawcze.

Ta historia powtórzyć się odtąd miała, mniej lub bardziej radykalnie, w każdej po kolei wsi świata, od Lancashire po Nową Gwineę. I w każdym po kolei ośrodku umysłowym świata amatorska lub wyszkolona myśl społeczna wchłaniała traumatyczne doświadczenia rzesz ludzkich, ich niewypowiedziane nadzieje i lęki, ich zyski i straty, i usiłowała je wyrazić w języku czy to mistycznej przepowiedni, czy to zracjonalizowanej doktryny. Nie jednej przepowiedni i nie jednej doktryny. Bo jak się już rzekło, poszczególny człowiek, ujrzawszy się w trybach nowej cywilizacji, miał do wyboru co najmniej kilka możliwych w tej sytuacji postaw emocjonalnych i sposobów reagowania. To samo powiedzieć można o społeczności

[2] A. J. Toynbee, *A Study of History*, passim; zob. zwłaszcza obronę koncepcji „challenge-and-response" przed jej krytykami w t. XII: *Reconsiderations*, London 1964, s. 254–263.

lokalnej lub etnicznej. I każda z tych o d p o w i e d z i, skoro pojawiła się na poziomie elementarnych odruchów, afektów i zachowań zbiorowych, miała szansę na to, by zostać przetworzoną w odpowiedź ideologiczną i filozoficzną. Skoro zaś – nie bacząc na różnorodność zaatakowanych kultur tradycyjnych – sama mechanika cywilizacyjnego zderzenia miała wszędzie podobny przebieg, to i zrozumieć łatwiej zdumiewające typologiczne podobieństwa odpowiedzi, samorodnie formułowanych w różnych krajach i czasach, na różnych kontynentach. Wszędzie bowiem są jacyś „samobytnicy" i jacyś „zapadnicy".

Ale na tym nie koniec. Trudności adaptacyjne mogą wprawdzie trwać długo, nieraz przez parę pokoleń, wreszcie jednak łagodnieją, mijają: kolejny naród wdrożył się do nowego rytmu pracy, przywykł do życia w przeobrażonym przez technikę krajobrazie, przyswoił sobie nowy system pojęć i wartości. A mimo to spór o cywilizację nie cichnie, choć przesuwać się może jego oś główna. W pierwszym okresie inwazji zdawało się, że istnieje wybór: że wzorzec kosmopolitycznej cywilizacji przemysłowej można przyjąć, odrzucić lub przemodelować. W okresie późniejszym kierunek rozwoju zdaje się już przesądzony i coraz mniej podległy czyjejkolwiek indywidualnej lub zbiorowej woli. Ale nie było oczywiste, czy ta droga prowadzi do raju czy do piekła, ku szczęściu czy ku katastrofie rodzaju ludzkiego. Czy opanowywanie sił natury i niepowstrzymywany przyrost dóbr materialnych sprzyja większej sprawiedliwości społecznej, czy właśnie przeciwnie? Czyni ludzi lepszymi czy gorszymi? Czy jest to więc postęp czy upadek? Filozofia społeczna wkraczała w wiek futurologii, naukowego i niezawodnego odgadywania przyszłości, proroctw radosnych i ponurych. W chaosie dziejów, w gąszczu rozbieżnych procesów i wydarzeń myśliciele wielcy i mali próbowali odnaleźć tor główny, nieuchronną sekwencję periodów ludzkiej historii, jej ład i sens moralny. Pospolita była wiara w to, że wielkim potokiem zmian musi rządzić jakieś jedno naczelne prawo, nie było tylko zgody co do jego natury i treści.

Rzecz prosta, dwie wyróżnione tu fazy sporu o postęp cywilizacji to tylko pewien porządkujący schemat. W rzeczywistości

wszystkie te niespokojne pytania i konflikty poznawcze, sprzeczne oceny i prognostyki pojawiały się często równocześnie i we wzajemnym ze sobą związku: tyle, że raz ten, to znów inny aspekt sporu wysuwał się na pierwsze miejsce. Logiczną kolejność problemów zakłócała nierównomierność rozwoju gospodarczego, cywilizacyjnego różnych krajów Europy i świata: dzięki niej filozofia społeczna narodów pozostających w tyle mogła się żywić nie tylko doświadczeniem rodzimym, ale także znajomością bardziej zaawansowanych stadiów cywilizacyjnych i teorii rozwoju na ich gruncie zrodzonych. Świadomość wyprzedzała zatem przemiany bytu: tak oto w Polsce refleksje umysłu bardziej były współczesne z Zachodem niż stan przemysłu.

To skrócenie dystansu łatwo zauważyć, gdy porównujemy ze sobą idee ekonomiczne, propagowane w krajach znajdujących się na różnych poziomach cywilizacyjnych, jak na przykład Polska i Francja w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Jeszcze bardziej uniwersalne, a więc mniej zależne od lokalnego punktu widzenia, okazują się sądy o moralnych lub estetycznych skutkach industrializacji. Na badacza czyha tu pułapka partykularyzmu: nic prostszego bowiem, jak uznać słowiańskie oskarżenia Zachodu i kapitalizmu za objawy konserwatywnego lęku przed postępem. Rzecz w tym jednak, że antynomie natury i cywilizacji, wsi i miasta, ducha i materii, sztuki i przemysłu, więzi organicznej i mechanicznej zostały wyostrzone wcześniej w literaturze angielskiej, francuskiej, amerykańskiej i w każdej z nich, z osobna wziętej, bogata historia tego wątku, ciągnąca się aż po bliskie nam czasy, wydać się może szczególną cechą narodowej kultury[3]. Zbędne dodawać, że podobne zwężenie pola widzenia grozi i historykowi myśli polskiej, z natury niejako skłonnemu do przeceniania stopnia jej oryginalności.

[3] Por. np.: *Nature and Industrialization*. An Anthology ed. by Alasdair Clayre at the Open University, Oxford 1977; R. Williams, *Culture and Society 1780–1950*, London 1958; L. Marx, *The Machine in the Garden: Technology and the Pastoral Ideal in America*, New York 1964. Ostatnio także J. Jedlicki, *Świat zwyrodniały: lęki i wyroki krytyków nowoczesności*, Warszawa 2000.

W myśli polskiej problem opcji cywilizacyjnej pojawił się w połowie osiemnastego wieku, by wkrótce stać się – obok kwestii reformy ustroju państwowego – naczelnym tematem debaty politycznej i kulturalnej polskiego Oświecenia. Walka oświeconych z sarmatami toczyła się w końcu o to, czy Rzeczpospolita ma stać się uczestnikiem europejskiego postępu, czy pozostać na uboczu tego szlaku, kultywując własną odrębność; zarazem jednak w łonie samej elity intelektualnej kraju – jak i na Zachodzie – głębokie były różnice opinii o „wieku oświeconym" i o obliczu nowej cywilizacji. Tak wydatna w tej epoce ranga tematu znalazła siłą rzeczy należne odzwierciedlenie w opracowaniach historycznych[4].

Natomiast po upadku państwa hierarchia zainteresowań polskiej myśli społecznej i politycznej uległa zrozumiałej zmianie. Pytanie o kierunek i rytm postępu cywilizacyjnego zostało przesłonięte przez naczelny teraz problem praw narodu do niepodległego bytu, a stosunek do Zachodu zależeć miał przede wszystkim od tego, czy Francja i Anglia wspierają nasze powstania i nadzieje. I taka właśnie gradacja tematyczna została odwzorowana w piśmiennictwie historycznym. Fragmenty polskiego sporu o cywilizację odnajduje się więc w setkach opracowań monograficznych oraz – prawie z reguły – w studiach poświęconych polskim odmianom idei narodu i narodowości. Ale są to zaledwie urywki, których do niedawna nikt nie usiłował połączyć w większą całość. Jedynie w pracach Andrzeja Walickiego o polskiej filozofii i myśli społecznej epoki romantyzmu problematyka opcji cywilizacyjnych znalazła należne jej suwerenne miejsce i chyba nie bezzasadny jest domysł, iż swoje szczególne wyczulenie na taki właśnie aspekt polskich świato-

[4] Zwięzłe syntetyczne ujęcie problemu dał J. Michalski, *Sarmatyzm a europeizacja Polski w XVIII wieku*, w pracy zbiorowej *Swojskość i cudzoziemszczyzna w dziejach kultury polskiej*, red. Z. Stefanowska, Warszawa 1973, s. 113–168. Dla poznania prehistorii tego wątku cenny jest referat J. Tazbira, *Stosunek do obcych w dobie baroku*, w tymże tomie, s. 80–112, oraz jego książka *Rzeczpospolita i świat: studia z dziejów kultury XVII wieku*, Wrocław 1971.

poglądów uczony ten zawdzięcza uprzednim wieloletnim i mistrzowskim studiom myśli rosyjskiej[5].

W Rosji to bowiem, jak powszechnie wiadomo, spór o model cywilizacji wyznaczał najbardziej wyrazistą linię ideowych podziałów. W polskim życiu umysłowym pod zaborami i na wychodźstwie tak być nie mogło. Formalne i nieformalne stronnictwa grupowały się tu wokół strategicznych programów narodowych i socjalnych, a także – rzecz szczególna – wokół programów literackich. Otóż programy cywilizacyjne były z tamtymi skorelowane dość luźno i w sposób mało obowiązujący. Na przekór schematom wśród konserwatystów polskich zdarzali się zdeklarowani okcydentaliści, wśród liberałów sceptycy niechętni mieszczańskiej kulturze i etyce, wśród romantyków entuzjaści nowoczesnej techniki, przynależność zaś do ruchu rewolucyjno-niepodległościowego w ogóle nie przesądzała stosunku do modelu zachodniej cywilizacji i do jego przydatności dla Polski. Chcąc zatem ukazać powinowactwa i przeciwieństwa stanowisk w tej materii, a wraz z tym rzucić pierwsze zarysy polskiej futurologii dziewiętnastego wieku, musimy nader często przekraczać granice utrwalone na naszej mapie ideologicznej ubiegłego stulecia.

Czytelnik nie powinien zatem oczekiwać, że znajdzie tu integralny opis czyjegokolwiek światopoglądu. Z analizowanych tekstów wyciągam niektóre tylko włókna, związane z głównym tematem książki. Jej konstrukcja została podporządkowana zamierzeniu, aby postawy i argumenty konfrontować tak, jak rzeczywiście

---

[5] Wszystkich prac A. Walickiego, mających związek z naszym tematem, niepodobna tu wymienić. O myśli rosyjskiej najważniejsze: *W kręgu konserwatywnej utopii: struktura i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa*, Warszawa 1964; wstęp do opracowanego przezeń wyboru pism *Filozofia społeczna narodnictwa rosyjskiego*, t. I, Warszawa 1965, s. V–CLXXVI; *Rosyjska filozofia i myśl społeczna od oświecenia do marksizmu*, Warszawa 1973; *Filozofia prawa rosyjskiego liberalizmu*, Warszawa 1995. O myśli polskiej: *Filozofia a mesjanizm: studia z dziejów filozofii i myśli społeczno-religijnej romantyzmu polskiego*, Warszawa 1970; *Między filozofią, religią i polityką: studia o myśli polskiej epoki romantyzmu*, Warszawa 1983.

zderzały się ze sobą w polemikach. W wielkim dziewiętnastowiecznym sporze o nowoczesną cywilizację wyróżnić można takie przeciwieństwa pojęciowe jak „narodowość – cywilizacja", „rozwój naturalny – rozwój sztuczny", „ewangelia – ekonomia", „tradycja – postęp" itp. Takie to pary opozycyjnych pojęć posłużyły mi za tytuły rozdziałów i osie opowieści.

Rozpoczynam ją od lat sześćdziesiątych osiemnastego wieku, kiedy z dawna już dostrzegany rozstęp cywilizacyjny między Rzeczpospolitą a Zachodem (wraz z Prusami) zrodził po raz pierwszy impuls do pomysłu doganiania Europy. Niemniej głównym przedmiotem części pierwszej są reakcje polskich intelektualistów na cywilizacyjne przemiany na Zachodzie w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku – i w i d o k i p r z y s z ł o ś c i, będące owocem tych porównań. W trzech kolejnych rozdziałach, poświęconych różnym wątkom tego dyskursu, narracja biegnie mniej więcej równolegle w czasie. Jedyną stanowczo wprowadzoną cezurą, dzielącą książkę na dwie części, jest rok 1863/1864, co chyba nie wymaga uzasadniania.

Część druga ogarnia znacznie krótszy odcinek czasu: niewiele ponad dwadzieścia lat, w czasie których wszystkie założenia myśli społecznej i politycznej trzeba było poddać rewizji w związku ze zmienioną sytuacją narodu. Jeśli pominąć Galicję, był to raczej mroczny okres polskiej historii, w którym mimo to życie umysłowe i ideowe broniło się uparcie przed nastrojami zwątpienia i bezradności. Równocześnie zaś na Zachodzie krytycy kapitalizmu z lewa i z prawa wydobywali, nie bez satysfakcji, jego społeczne sprzeczności, a wraz z tym chwiejność albo dwuznaczność samej idei postępu. Warto się przyjrzeć, jak aksjomaty tej idei wyglądały z perspektywy kraju opóźnionego.

Książka kończy się – a może raczej zatrzymuje albo, jak pisało wielu recenzentów, urywa się – na progu ostatniej dekady wieku dziewiętnastego, kiedy zaczęły się na ziemiach polskich wylęgać nowoczesne ideologie i ruchy polityczne: narodowe, socjalistyczne, ludowe. W tym też czasie polskie środowiska intelektualne i artystyczne zostały ogarnięte – w stopniu większym niż kiedykolwiek

przedtem – przez burzliwy nurt europejskiego życia i myśli. Kultura polska przeżywa odtąd, mimo granic i podziałów, wszystkie jego kaskady i zawirowania, w tym także dojmujące odczucie dekadencji cywilizacji zachodniej i zbliżającej się jej katastrofy. Ścisłość tych związków i szybkość oddziaływań sprawia, że filozofia społeczna w Polsce nabiera wówczas większego polotu intelektualnego, ale traci na swojej względnej autonomiczności. Wyzbywa się części ograniczeń zacieśniających jej widnokrąg, staje się bardziej uniwersalistyczna. Co za tym idzie, dalszy chronologicznie ciąg mojej opowieści wymagałby już innej metody analizy i opisu, w szczególności rozszerzenia kontekstu ogólnoeuropejskiej historii umysłowej.

2,462852

Książka ta obejmuje i tak ponad sto lat. Jej podstawą źródłową są głównie pisma autorów żyjących w Królestwie, a publikujących gdzie się dało. Stosunkowo niewiele przykładów zaczerpnąłem z piśmiennictwa wschodnich prowincji dawnej Rzeczypospolitej, wcielonych do Cesarstwa Rosyjskiego, jak również z Galicji. Poznańskie, w którym myśl społeczna miała może mniej polotu, za to więcej gospodarskiej trzeźwości, jest w tej książce prawie nieobecne, z oczywistą dla niej stratą. Myśl i dorobek emigracji politycznej zostały także potraktowane marginalnie. W rezultacie, rola Warszawy jako stolicy polskiego życia umysłowego, jakkolwiek doniosła, została tu niewątpliwie wyolbrzymiona.

Te zakłócenia proporcji geograficznych wytknęli autorowi prawie wszyscy krytycy tej książki po pierwszym jej wydaniu. Przyjmowałem te zarzuty z pokorą, nic nie mając na swe usprawiedliwienie prócz tego, że istnieje w nauce podział pracy i człowiek tyle pisze, ile zdoła swą wiedzą w rozsądnym czasie ogarnąć.

Znaczne pomnożenie przebadanych tekstów i punktów obserwacyjnych byłoby ponad moje siły, a zapewne wystawiłoby także na próbę cierpliwość czytelników i ich zdolność absorpcji. Podobne postawy, argumenty, nawet sformułowania powtarzały się przecież, jak klisze, w różnych środowiskach ideowych. Dbałem więc nie tyle o to, aby były tu reprezentowane wszystkie ośrodki skupienia myśli polskiej, bo na to nie było mnie stać, co o to raczej, aby w ramach każdej z opisywanych konfrontacji przedstawić główne – tak skraj-

ne, jak kompromisowe – stanowiska, przy czym dobór przykładów zdawał się rzeczą mniej istotną.

Pytano mnie wszelako niejednokrotnie, czy zamiarem moim była analiza poglądów szczupłych elit intelektualnych, czy też postaw typowych dla umysłowości polskich warstw wykształconych najszerzej wziętych. Odpowiadałem na to, że każdy tekst – od ezoterycznego systemu filozofii dziejów po felieton w gazecie – świadczy dowodnie o przekonaniach i rozterkach swego autora i nikogo więcej. Dysponując bogatym i możliwie zróżnicowanym zbiorem tekstów, mogę jednak, w zasadzie, dla każdej rozpatrywanej kwestii – niech to będzie na przykład walka z cudzoziemszczyzną albo stosunek do industrializacji kraju – odtworzyć podstawowy r e p e r t u a r stanowisk, ich typologię. Razem wzięte, wyznaczają one pole wyboru, to jest zakres dostępnych w danym czasie i miejscu opcji ideowych. Możemy z niejakim uzasadnieniem założyć, że człowiek na tyle wykształcony, by był w ogóle zdolny zainteresować się danym zagadnieniem i wyrobić sobie sąd o nim, znajdował się w takim polu oddziaływania różnych systemów światopoglądowych i albo wybierał pomiędzy nimi, albo eklektycznie wchłaniał i mieszał w swej głowie ich sprzeczne nawet sugestie.

Wiemy oczywiście coś niecoś o czynnikach wzmacniających lub osłabiających siłę perswazyjną i oddziaływanie poszczególnych orientacji ideowych. Wiemy mniej więcej, jakie dzieła i jakie czasopisma były szeroko czytane i popularne, jakie zaś znane były tylko garstce sympatyków albo nieznane prawie nikomu, bo na przykład nie mogły otrzymać pieczątki cenzora czy przedostać się przez kordony graniczne. Informacje tego rodzaju pozwalają nam przechodzić – z dużą ostrożnością – od historii idei i doktryn do szerzej pojętej, ale też i mniej pewnej historii życia umysłowego kraju, a przynajmniej jego inteligencji. W tej książce zbyt często, przyznaję, razić może niedostatek takich społecznych kwantyfikatorów.

Inteligencja polska jest jednym ze zbiorowych podmiotów w tej opowieści. Obok arystokracji, ale w odmiennym stylu, inteligencja była najbardziej obeznaną z Zachodem klasą społeczeństwa i siłą rzeczy najbardziej zainteresowaną zacieśnieniem związków

z europejską nauką i jej szkołami. Uważała się za przynależną do świata kultury europejskiej, świadoma zarazem swojej podrzędnej w nim pozycji, gdyż jej wykształcenie, rozwój talentów i awans społeczny były krępowane na wszelkie możliwe sposoby. Inteligencja widziała swój kraj ojczysty jako biedne i lekceważone przedmieście Europy, które względem gospodarnej i przemądrzałej metropolii żywi sprzeczne uczucia zawiści, podziwu i nieufności, niekiedy przechodzącej w szczerą albo wmówioną pogardę dla skorumpowanych wartości i fałszywego blichtru Zachodu.

Ta osobliwa kombinacja zbiorowego kompleksu niższości i narodowej megalomanii, która miała go skompensować, wydaje się typowa dla wykształconych warstw krajów peryferyjnych. Jest bowiem rzeczą trudną i przykrą uznać, nawet przed samymi sobą, peryferyjne, brzegowe położenie swego kraju i jego kultury w kręgu wielonarodowej cywilizacji, a jednak bez takiego przyznania niepodobna sformułować realistycznego programu rozwoju[6].

Sądzę więc, że nie warto nadmiernie trapić się o to, że brak nam w źródłach miary dla oceny reprezentatywności tych czy innych opinii i postaw: historyk nigdy nie sprosta pod tym względem metodologicznym standardom współczesnych nauk społecznych. Wszelako sam opis konfliktów wartości i wyjaśnianie dramatycznych rozszczepień narodowej kultury zdaje się bardziej obiecującym zajęciem dla historii umysłowej niż liczenie względnej częstotliwości postaw i ich statystycznych rozkładów, nawet gdyby to było możliwe.

Pierwsze zarysy tej książki pisałem i dyskutowałem z kolegami w końcu lat siedemdziesiątych. Byłem trochę zaskoczony, gdy niektórzy czytelnicy moich maszynopisów mówili, że podjąłem temat niezmiernie aktualny. Było to – przypomnę – po kilku latach rządów Gierka, kiedy Polacy zaczęli masowo podróżować na Zachód i cały kraj uświadomił sobie, jak przepastny stał się nasz dystans cywilizacyjny względem Zachodu. Chodziło nie tylko o stopień

[6] Szerzej przedstawiłem swój pogląd na tę sprawę w rozmowie z Andrzejem Bernatem i Pawłem Kozłowskim, „Nowe Książki" 2000, nr 7, s. 4–7.

rozwoju ekonomicznego, ale o całą infrastrukturę i poziom życia codziennego. Porównania z Zachodem okazały się dla realnego socjalizmu zabójcze: mało, że rewolucyjna obietnica stworzenia nowego człowieka i nowego społeczeństwa okazała się żałosną kompromitacją, ale w dodatku planowa znacjonalizowana gospodarka stała się siłą bezwładu i główną zaporą postępu. Tak, „postęp" - to ośmieszone słowo, przeganiane zarówno przez empiryczne nauki społeczne, jak przez filozoficznych i historycznych pesymistów, pojawiło się na nowo w polskim dyskursie w odpowiedzi na potrzebę znalezienia jakiegoś pojęciowego przeciwieństwa dla dotkliwego poczucia ponownego ześlizgnięcia się całego naszego regionu w dół albo w tył, do pozycji ubogiego i protekcjonalnie traktowanego sąsiada wolnych i zamożnych narodów[7].

Dla historyka ta sytuacja miała oczywiście cechę *déja vu*. Skoro zaś swobodna dyskusja w prasie na temat fiaska komunistycznego projektu była wciąż jeszcze nie do pomyślenia, to przypomnienie dziewiętnastowiecznego sporu, jaki toczył się w warunkach pod pewnymi względami podobnych, mogło ujść za historyczne przebranie całkiem aktualnego problemu. Tak na przykład historia nieudanej industrializacji forsowanej przez rząd Królestwa Polskiego w latach dwudziestych, a doprowadzonej do zapaści przez Bank Polski po powstaniu listopadowym, kojarzyła się czytelnikom natychmiast z równie niefortunnym przeinwestowaniem w przemyśle ciężkim przez rząd komunistyczny, kiedy to źle obliczona polityka państwowa także spowodowała zwichnięcie proporcji branżowych, zaciągnięcie długów zagranicznych przekraczających zdolności płatnicze skarbu państwa i w końcu krach gospodarczy[8].

---

[7] J. Jedlicki, *Idea postępu z perspektywy naszego czasu*, „Kultura i Społeczeństwo" 1985, nr 4, s. 15-26; o tym, że pojęcie postępu nie dało się jednak wygnać z nauki, zob. J.C. Alexander, P. Sztompka (wyd.), *Rethinking Progress: Movements, Forces, and Ideas at the End of the 20th Century*, Boston 1990, zwłaszcza artykuł Stefana Nowaka, s. 229-246.

[8] Żeby się zaasekurować przed podejrzeniem o taki kamuflaż, wydawca (w roku 1964) mojej pierwszej książki, której dałem tytuł „Nieudana próba industrializacji", poprosił o dodanie słowa „kapitalistycznej".

Obawa przed takimi skojarzeniami mogła być jednym z powodów, dla których monopolistyczne państwowe wydawnictwo naukowe przez cztery lata (1984–1988) ociągało się z wydaniem tej książki. Gdy zaś w końcu ukazała się, wydrukowana na najgorszym papierze, w ostatnim roku *ancien régime*'u (ale nie wiedzieliśmy jeszcze, że to ostatni), zgotowano jej nadspodziewanie żywe przyjęcie, i nie tylko w kołach akademickich.

Miałem wyjątkowe szczęście: niełatwa przecież w lekturze książka wywołała falę ogromnie ciekawych, problemowych recenzji znakomitych autorów[9]. Widać było, że utrafiła w swój czas. Recenzenci zastanawiali się nad jej przesłaniem, aktualizując je niekiedy w sposób, jaki samemu autorowi nie przychodził w czasie pracy do głowy. Większość z nich interpretowała postawę autora jako zdecydowanie prozachodnią (choć nie pozbawioną zrozumienia dla tradycjonalizmu), lecz równocześnie głęboko pesymistyczną w ocenie polskich szans. Jeden z krytyków pisał nawet o *fatum* historycznym, skazującym kraje środkowo-wschodniej Europy na wieczną polityczną podległość i gospodarcze zacofanie i obracającym wniwecz wszystkie wysiłki, jakie zmierzają do przełamania tego zaklętego koła.

Taka lektura współbrzmiała ze schyłkowym nastrojem tych lat, ale dawała także wyraz przekonaniu, iż źle skalkulowany i zmarnowany przez komunistyczną władzę wysiłek modernizacyjny był tylko epizodem w znacznie dłuższej historii zmagań o wyrwanie się Polski z pozycji cywilizacyjnej peryferii. Charakterystyczne było to, że w toku dyskusji nad moją książką porównywano często losy ziem polskich do losów krajów południowoamerykańskich: porównanie,

[9] Do najwnikliwszych omówień zaliczam, z jakże spóźnioną wdzięcznością, obszerne artykuły recenzyjne: profesora Stefana Kieniewicza w „Tygodniku Powszechnym", Jerzego Marka Nowakowskiego w „Tygodniku Polskim", Tomasza Kizwaltera w „Przeglądzie Historycznym", Jacka Kochanowicza w „Kwartalniku Historycznym" i „Mówią Wieki", Janiny Rosickiej w „Nowych Książkach", Andrzeja Mencwela w „Regionach", Małgorzaty Szpakowskiej w „Twórczości", Andrzeja Liskowera [pseud.] w „Arce", Marka Kulczyka w „Powściągliwości i Pracy", Adama Hetnala w pismach polonijnych w USA.

które miało dopiero stać się modne na Zachodzie pod nagłówkiem *„transition to democracy"*. Tak czy inaczej, wszyscy uczestnicy tych dyskusji z końca lat osiemdziesiątych czuli, że odwieczny polski spór na temat zalet i wad nowoczesnej cywilizacji oraz sposobów dorównania jej przodownikom bynajmniej się jeszcze nie skończył.

Wkrótce potem, jak wiadomo, scena wschodnioeuropejska zmieniła się nie do poznania. Już w roku 1990 przejście do kapitalizmu wyglądało na wybór nieodwracalny, a opór stawiany z jednej strony przez byłych komunistów, z drugiej zaś przez narodowych fundamentalistów, okazał się wszędzie zdumiewająco słaby. A mimo to spór o drogi rozwoju nie cichł, zmieniła się tylko jego esencja. Oświeconej opinii w Polsce nie kłopotało już pytanie, czy mamy zmierzać do kapitalizmu, tylko do jakiego kapitalizmu, w jakim tempie i jakim kosztem. Społeczne koszty modernizacji stały się znów tematem dnia: koszty zawsze płacone przede wszystkim przez tych, którzy nie są zdolni do udziału w zawodach. Argumenty polityków i intelektualistów pragnących koszty te obniżyć i znaleźć bezpieczniejszą, choćby i powolniejszą ścieżkę rozwoju, zderzają się z argumentami tych, co są przeświadczeni, że szybka prywatyzacja, nieregulowany rynek i niskie podatki pozwolą rozwiązać wszystkie problemy. Historyk przysłuchujący się tej ostrej nieraz dyspucie nie może oprzeć się wrażeniu, że przypomina mu ona spory sprzed półtora wieku, z tym, że wówczas zwolennicy przyspieszonego postępu byli przeważnie protekcjonistami, a nie liberałami.

Równocześnie perspektywa dołączenia Polski i jej południowych sąsiadów do Unii Europejskiej obudziła, szczególnie na prawicy, stare obawy o utratę narodowej tożsamości („iścizny", jak zwykł był mawiać Mochnacki) i o roztopienie się w europejskim tyglu. Nie mniej często dochodzi do głosu lęk, że zafascynowanie – zwłaszcza młodzieży – atrakcyjnymi wzorami amerykańskiej techniki, kultury masowej i języka może doprowadzić do zniszczenia samego rdzenia kultury rodzimej i jej indywidualności. Dają się też słyszeć podejrzliwe pytania, czy napływ obcego kapitału nie jest aby częścią intrygi zmierzającej do wykupienia za grosze i zniszczenia naszego narodowego przemysłu albo rolnictwa. Te resentymenty,

nawet jeśli na razie marginalne i krańcowe, mogą zyskać silniejszy wpływ na umysły w razie ekonomicznej stagnacji albo politycznego czy finansowego kryzysu zaufania. One także przypominają dyskusje, o jakich mówi się w tej książce, nie dziwię się już więc temu, że amerykańscy recenzenci jej anglojęzycznego wydania także podkreślają – w roku 1999 – aktualność jej problematyki.

Jak więc widać, nie chodzi tu o dowcipne analogie czy przebrania, w jakich historia staje się medium dla diagnostów czasu przeżywanego. W napisanej w roku 1984 przedmowie do pierwszego wydania tej książki stroniłem od takich aluzji, niemniej pozwoliłem sobie wyrazić przekonanie, że rozterki, o których opowiadam, nawet jeśli przedstawiane w archaicznej już czasem dla nas szacie filozoficznej i językowej, nie są wcale odległe od naszych dzisiejszych trosk. Wprawdzie świat elektroniki, automatyki i samolotów naddźwiękowych – pisałem – różni się ogromnie od świata maszyny parowej, niemniej ludzkie postawy wobec zmian cywilizacyjnych zdają się o wiele trwalsze i odnawiają się w każdym pokoleniu. Przypuszczenie to daje się, jak sądzę, i dziś utrzymać i odnieść do niejednego kraju. Właśnie ta powszechność, uporczywość i ciągłe nawroty podobnych dylematów, obsesji, lęków i nadziei związanych z niepowstrzymaną ekspansją cywilizacji naukowo-technicznej wydawały mi się i wciąż wydają nie mniej fascynujące niż odkrywanie ideowych i stylowych osobliwości poszczególnych narodowych dyskursów w tej czy innej epoce.

Tych osobliwości, jak również kolorytu epoki nie brak raczej na stronicach tej książki, toteż Andrzej Mencwel w bardzo wnikliwej z nią dyspucie nie bez racji zauważył, że spiera się ona ze swoim autorem, deklarującym wszak we wstępie, iż „w tej materii cechy swoiste procesu ideotwórczego są raczej drugorzędne i przygodne”[10]. Uwaga była celna: nacisk we wstępie – tym poprzednim, i tym, który w tej oto chwili piszę – nacisk na u o g ó l n i e n i e stawiałem i stawiam w rzeczy samej n a p r z e k ó r swojej książce,

[10] A. Mencwel, *Czego Polacy potrzebują*, „Regiony” 1990, nr 3, s. 89; cytat z *Jakiej cywilizacji...*, Warszawa 1988, s. 16.

aby osłabić nieodparte wrażenie arcypolskiej swoistości przytaczanych w niej argumentów romantycznych i przeciwromantycznych, tradycjonalistycznych i progresywistycznych.

Nacisk ten stawiam także na przekór jej tytułowi. Tytuł ten jest oczywiście parafrazą tytułu wykładu profesora Feliksa Jarońskiego z roku 1810: wykładu, na który zapewne nie zwróciłbym uwagi, gdyby tytułu swego nie użyczył on, 160 lat później, wydanej przez profesora Tatarkiewicza antologii polskiej klasyki filozoficznej[11]. Moja podróbka okazała się niezłym pomysłem: oceniam, że swoje powodzenie książka w połowie zawdzięczała chwytliwemu tytułowi, zwłaszcza że nie wszyscy zwrócili uwagę na to, co sygnalizował brak znaku zapytania. Niemniej własny czy kradziony, z pytajnikiem czy bez, tytuł sugerował skupienie uwagi na cechach swoistych kultury narodowej (chociaż krakowskiemu profesorowi z czasów Księstwa Warszawskiego szło akurat o to, że Polacy nie polskiej filozofii, lecz dobrej filozofii potrzebują). Tak czy owak, przyczyniłem się mimo woli do powstania matrycy: w ciągu następnych lat wielekroć zdarzyło mi się czytać maszynopisy zatytułowane: jakiej literatury Polacy potrzebują, jakiej konstytucji Polacy potrzebują, i tym podobne.

Zwykle pod takimi nagłówkami kryje się próba odpowiedzi na pytanie, czego zdaniem autora referatu Polacy potrzebować powinni. Zawsze się wykręcałem przed takim czy podobnym pytaniem stawianym mi przez krytyków albo przez uczestników licznych seminaryjnych dyskusji. Jestem historykiem, nie założycielem stronnictwa. Piszę fragment historii polskiej wyobraźni i muszę powściągać własną, aby lepiej słyszeć głosy moich bohaterów. Piszę o tym, jak ich świadomość zmagała się z narodowym bytem, z jego – cóż tu ukrywać – prowincjonalizmem, ubocznością. I jak sama świadomość na różne chytre sposoby przed tą i jej grożącą ubocznością się broniła: a to przez naśladowanie, a to – przeciwnie – przez dumną swojską osobność, albo przez posłannictwo – tak źle, i tak niedobrze. Zawsze niedobrze.

[11] W. Tatarkiewicz (wyd.), *Jakiej filozofii Polacy potrzebują,* Warszawa 1970.

Moje preferencje? A cóż one tu mają do rzeczy? Jestem tylko moderatorem, który układa listę mówców, udziela im głosu, czasem wtrąca parę słów komentarza, pochlebnego lub ironicznego. Do jednego mogę się przyznać, bo już przecież i krytycy to zauważyli: nie przepadam za doktrynerami lewicy i prawicy, tradycji i postępu, ani też za doktrynerami *juste-milieu*, słowem za tymi, którzy wiedzą co trzeba z góry, więc nie muszą wciąż sprawdzać, jaka jest rzeczywistość. Studiując historię umysłową, pisząc i poprawiając tę książkę, przekonywałem się raz po raz, że najgłębszym ideowym podziałem jest podział na wiedzących i wątpiących. Większą czuję skłonność do myślicieli trawionych niepokojem, świadomych rozszczepienia wartości, ale nie poddających się rozpaczy i uparcie zbierających okruszyny historycznej szansy swoich narodów albo pokoleń – niż do tych, których świat jest uładzony i podporządkowany nienaruszalnym pierwszym zasadom.

*

Drugie wydanie książki po kilkunastu latach jej obecności w bibliotekach – a także śladów jej lektury w innych książkach – jest oczywiście problemem dla wciąż przypadkiem żyjącego autora. Narosły od tamtego czasu nowe doświadczenia, nowe przemyślenia, nowe piśmiennictwo – uwzględniać to, poprawiać, przerabiać czy raczej zostawić jak było? Trudna to decyzja. Wybrałem po namyśle drogę pośrednią. Starałem się poprawić styl tam, gdzie wymagała tego komunikatywność wywodów; tu i ówdzie usunąłem zbędne słowa albo parę zdań. Napisałem, jak właśnie widać, nowy wstęp, w którym tylko część dawnej przedmowy pozostała. W poprawkach, skrótach i uzupełnieniach przydatna okazała się praca wykonana przed paru laty celem przygotowania wydania angielskiego[12].

Nie wprowadzałem zmian istotnych. Świadom jestem braków tej książki, ale trudno dodawać nowe rozdziały lub analizy do całości bez rozrywania jej konstrukcyjnych wiązadeł. Nowej litera-

[12] J. Jedlicki, *A Suburb of Europe: Nineteenth-Century Polish Approaches to Western Civilization*, Budapest 1999.

tury historycznej nigdy nie uda się dogonić. Gdybym dziś pisał o moralnych aspektach modernizacji, o romantycznej idei narodu albo o poglądach ekonomicznych polskiego ziemiaństwa w połowie dziewiętnastego wieku, nie mógłbym oczywiście pominąć dociekliwych prac Tomasza Kizwaltera[13], tak jak on nie pominął moich. Dzięki jego pracom można by dziś ująć niejedną kwestię w tej książce głębiej i subtelniej. Cieszyć się mogę, że zyskałem w jego osobie dzielnego współzawodnika.

Różnych wątków tej książki dotykają coraz nowe zbiory zawsze inspirujących esejów Janusza Tazbira[14], który z taneczną lekkością przemieszcza się ze stulecia w stulecie. Dzięki historykom literatury przyrosła znacznie wiedza o pozytywizmie. Z kolei mój były uczeń, a dziś najbliższy współpracownik, Maciej Janowski, w swojej syntezie dziejów polskiego liberalizmu[15] zapuścił sieć znacznie szerzej ode mnie i wyciągnął obfity połów. Wszystkich nowych w tej dziedzinie nabytków nawet pokwitować nie byłbym w stanie[16], cóż dopiero wplatać ich znaleziska i tezy we wcześniej od nich napisaną pracę. Autor może się tylko radować, widząc, że jego temat żyje i że inni drążą go dalej i głębiej, podczas gdy on sam nie porzucił go wprawdzie, ale trochę zboczył z oznakowanego szlaku. To chyba wszystko.

Warszawa, w lipcu 2000

PS. W całej książce wyróżniono *kursywą* słowa i zwroty obcojęzyczne oraz podkreślenia autorów przytaczanych tekstów. Podkreślenia moje – czy to w tekście odautorskim, czy to w cytatach – oznaczone są drukiem r o z s t r z e l o n y m.

J. J.

---

[13] T. Kizwalter, *„Nowatorstwo i rutyny": społeczeństwo Królestwa Polskiego wobec procesów modernizacji (1840-1863)*, Warszawa 1991; tegoż, *O nowoczesności narodu: przypadek polski*, Warszawa 1999.

[14] J. Tazbir, *Polska na zakrętach dziejów*, Warszawa 1997; tegoż, *W pogoni za Europą*, Warszawa 1998.

[15] M. Janowski, *Polska myśl liberalna do 1918 roku*, Kraków 1998.

[16] Niemniej załączona na końcu bibliografia została uzupełniona o najważniejsze pozycje, jakie przybyły od daty pierwszego wydania.

Część I

WIDOKI PRZYSZŁOŚCI

1. Narodowość a cywilizacja

Przewrót umysłowy wieku osiemnastego zapoczątkowała w Rzeczypospolitej część arystokracji rodu i mienia, wsparta przez szczupłą elitę intelektu, przeważnie obleczoną w suknie duchowne. Możny senator i uczony zakonnik, wojewoda Stefan Garczyński i pijar Stanisław Konarski – oto dwa pierwsze typy polskich promotorów reformy politycznej i umysłowej. Kwalifikacje obu tych elit zjednoczyły się w osobie nowego króla i w jego najbliższym otoczeniu z lat „monitorowych".

Rzecz to zrozumiała. Kultura sarmacka tak była zadowolona z siebie, tak zagrzęzła we własnej mitologii, że sama wydać nie mogła krytyki swoich aksjomatów. Sama siebie nie mogła przekroczyć, przeglądając się od kilku pokoleń w upiększającym zwierciadle barokowej elokwencji. Na to, aby jej fundamentalne wierzenia strącić z pozycji absolutu, aby jej wartości zrelatywizować, co jest wszelkiej krytyki początkiem i warunkiem – niezbędna była eksterioryzacja stanowiska obserwacyjnego. I to najdosłowniej: niezbędne było spojrzenie na własny kraj oczami chwilowego cudzoziemca.

Tylko ci dwaj – młody magnat i młody uczony ksiądz – mieli tę szansę. Tylko oni mogli otrzeć się o Rzym, Paryż, Londyn, znając języki i mając ze sobą listy rekomendacyjne, i mogli tam zainteresować się nie tylko modą i kartami, ale także czytać, uczyć się, rozmawiać i porównywać zwiedzane kraje z własnym państwem.

Wynik tych porównań okazywał się dla Rzeczypospolitej pod każdym względem bezlitosny. Skala uniwersalnych wartości europejskiego Oświecenia była niemal dokładnie odwrotnością skali porównawczej sarmatyzmu. Wedle jednej miary Polska miała rząd i obyczaje najlepsze, wedle drugiej najgorsze w Europie. Tak radykalne odwrócenie sądu, tak nieudolnie skrywana pogarda elity oświeconych dla politycznej i obyczajowej kultury szlacheckiego gminu, tak wyniośle kaznodziejski styl dydaktyki „Monitora" – staną się źródłem wielu klęsk ruchu reformatorskiego, przez długi czas pozbawionego jakiegokolwiek społecznego oparcia.

Uniwersalistyczne i postępowe idee, wśród nich koncept naturalnych praw człowieka, nie wynurzyły się w Polsce z głębin życia społecznego, lecz pojawiły się w dworsko-arystokratycznym kostiumie i przyjęte zostały od razu jako produkt cudzoziemskiego mędrkowania. Piętno elitaryzmu i obcości przylgnęło do nich na ćwierć wieku. Jeśli abstrahować od politycznych wydarzeń, które sprowokowały ruch konfederacki, to w jego ideologii i w jego nienawiści do króla ujrzeć można jedną z wielu znanych na świecie – od osiemnastego wieku po dzień dzisiejszy – krwawych rebelii podnoszonych w obronie rodzimej tradycji i wiary przeciw władcom-modernizatorom, nazbyt pospiesznie i niecierpliwie biorącym się do dzieła przerabiania narodu, jego przyzwyczajeń i jego instytucji. Co prawda Stanisław August i jego doradcy nigdy nie zamierzali europeizować Polski sposobami Piotra I, i to nie tylko dlatego, że nie mieli nawet cienia despotycznej władzy, jej środków i zasobów. Byli przede wszystkim ludźmi zupełnie innej kultury. Niemniej szlachta, wciąż pomawiająca króla o dążenie do *absolutum dominium*, myślała i czuła w sposób nie całkiem z logiką polityki sprzeczny: w głowie się bowiem szlacheckim statystom i pospólstwu nie mieściło naiwne zuchwalstwo racjonalistycznych reformatorów państwa, wyobrażających sobie, że samą łagodną perswazją zdołają skłonić naród do przebudowy całego gmachu obyczajów i praw. Na mało licznym, a w dodatku rosyjską protekcją i armią wspieranym stronnictwie, któremu tak wiele się w ojczyźnie nie podobało, zaciążyć musiało podejrzenie o chęć użycia środków bogatszych.

Jakoż formy rządu odmieniają się łatwo tylko przy użyciu przemocy. Do tego sposobu niezbyt się kwapili polscy uczniowie Monteskiusza i Locke'a. Nową ustawę rządu i społeczeństwa, zdolną przywrócić Rzeczypospolitej miejsce w rodzinie narodów europejskich, oprzeć chcieli na fundamencie odmienionych obyczajów i mniemań, jeszcze nie wiedząc, ile na to potrzeba cierpliwości, czasu i zaufania. Gdy się zaś oświecą przekonania obywatelskie, a z nimi poprawi się rząd kraju, reszta - wierzyli - poprawi się sama. W tej reszcie było zawarte i gospodarstwo krajowe.

Stan tego gospodarstwa podlegał tak samo diametralnie przeciwstawnym ocenom, jak instytucja wolności szlacheckiej. Gdy publicyści sarmaccy radowali się sytą pomyślnością, jaką Polsce przyniosło pokojowe panowanie Augusta III, środowisko „Monitora" dostrzegało jakby inny zupełnie kraj. Tak oto opisywał go stworzony przez Ignacego Krasickiego mądry Chińczyk Yun-Nip:

> Polska jest w tak nędznym stanie, jak żadne państwo w Europie, nie ma bowiem ani wojska podług obszerności kraju, ani skarbu na utrzymanie onegoż, ani pieniędzy własnych. [...] Rolnictwo [...] nie takie, jakie by być mogło, handle jej niewiele warte, a bardziej szkodliwe niż pożyteczne. Kunsztmistrzów i rzemieślników po miastach mało, umiejętności i nauki jeszcze nie są w cenie. [...] Tego gdym przyczyny dochodził, niedługom pracował, bom wkrótce na źródło trafił, z którego wszystko złe wypływa. To źródło nie inne jest, jeno samaż rozwięzła i wyuzdana wolność[1].

Ta ocena, jak i szereg jej podobnych, jest charakterystycznym wyrazem zastosowania politycznego racjonalizmu Oświecenia do sfery ekonomiki. Miasta wzrosną, ludność się powiększy, handle i rękodzieła się wzmogą, byle tylko rząd zastąpił nierząd i byle prawa były sprawiedliwe, nie dla pożytku jednego tylko stanu pisane. Rozwój pomyślny gospodarstwa krajowego miał być po prostu funkcją „dobrego porządku", to jest uczciwej i sprawnej administracji i skarbowości, to zaś, że stan ekonomiczny państwa zależy od rządu

[1] „Monitor" 1765, nr 60, cyt. wg: R. Wołoszyński, *Ignacy Krasicki: Utopia i rzeczywistość*, Wrocław 1970, s. 125–126.

i polityki, zdawało się oczywistością we wczesnej przynajmniej fazie Oświecenia.

Zmiana typu kultury, jej podstawowej orientacji jest zawsze procesem dramatycznym. Normalną rzeczy koleją pomysły zapalonych nowatorów natrafiają na bierny albo czynny opór ludzi, których uczucia, pojęcia i interesy przywiązują do porządku z dawna ustalonego, tak że propozycje zmiany radykalnej zdają im się, i nie bez racji, wywróceniem świata. Opór bywa tym silniejszy, im bardziej zmiany postrzegane są jako „obce". Kostium nie jest tu bez znaczenia, i nie bez znaczenia jest taktyka reformatorów.

Oglądany z tego punktu widzenia przełom Oświecenia, choć rozłożony w czasie na parę dziesiątków lat, zdaje się najbardziej dramatycznym zwrotem w dziejach nowożytnej kultury polskiej. Było to ponowne przyłączenie Polski do Europy. Impulsy do takiej reedukacji szlacheckiego narodu rodziły się na miejscu, ale m a t e r i a ł do niej musiał być czerpany z zewnątrz, przez ludzi obeznanych z ówczesnymi warsztatami europejskiej nauki, techniki, prawodawstwa, filozofii i sztuki. Trudno się dziwić, że mentorska perswazja tych obieżyświatów raczej odstręczała szlachtę od programu reform, niż doń zachęcała; toteż po licznych niepowodzeniach i cząstkowych sukcesach edukacyjnych uległa, jak wiadomo, poważnej zmianie. W latach Sejmu Czteroletniego i królewskie, i patriotyczne stronnictwo znacznie już zręczniej akomodowały treść, styl, frazeologię swych programów i działań do szlachecko-republikańskiej tradycji, przechwytując nawet – szczerze czy nieszczerze – niechęć do cudzoziemszczyzny.

Zanim jednak do takiej akomodacji doszło, w świadomości potocznej zdążyły się uformować niefortunne pojęciowe sklejki: polskości z dawnością, zaś wszelkich nowinek – z cudzoziemszczyzną, narzucaną Polsce przez niecierpianego króla, wielkich panów, dworaków, libertynów i fircyków. Znamienne, że szlachta, tak zazdrosna o wszystkie swoje wolności, jedną tylko z nich chciała mieć sobie odebraną – wolność podróżowania. W sejmikowych instrukcjach dla posłów bez liku znajdziemy żądań, aby sejmujące stany prawem zabroniły, i to szlacheckiej właśnie młodzieży, wyjazdów za

granicę: bo ci, co z owych wojaży powracali, zdawało się, jakby należeli już do innego narodu. Odmieniali strój, zabawy i sposób myślenia i niczego już ani w ojczyźnie, ani w domu ojcowskim szanować nie chcieli. Tak fircyk i żona modna kompromitowali cudzoziemszczyznę w ogóle, a odium spadało i na tych, dla których rozwój nauk, prawa człowieka i zasady dobrego rządu ważniejsze były od maniery salonów i buduarów. Staruszkiewicze mieli ułatwione zadanie: nie musieli zastanawiać się nad tym, co warto, czego zaś nie warto naśladować, skoro sama idea naśladowania wzorów obcych zdawała się i śmieszna, i zgubna, i na dodatek drażniąco arystokratyczna, podczas gdy obrona *status quo*, w domu i w szkole, na folwarku i na sejmiku, miała za sobą powagę narodowej tradycji. Oświeceni niemało się musieli natrudzić, aby te zbitki w sejmie i w teatrze rozbić i okazać, że postęp lepiej się nawet czuje w polskim niż we francuskim stroju. Nie na długo im uwierzono.

Dylemat naśladownictwa i rodzimości nie miał w sobie nic osobliwie polskiego. Podobny konflikt pojawiał się wszędzie, dokąd docierały inspiracje Oświecenia. Filozofowie projektowali przecież przyszłość dla całego rodu ludzkiego, nie dla poszczególnych szczepów. Czyż natura ludzka nie jest wszędzie ta sama, bez względu na język i ukształtowany tradycją sposób życia? Czyż wszyscy ludzie nie pragną tak samo szczęścia i wolności? Kryteria i składniki postępu były różnorodne, ale wszystkie miały wymiar uniwersalny: rozwój nauk i oświaty, triumfy wynalazczości i przemysłu, tolerancja religijna, państwo umowy społecznej, dobrowolne zrzeszanie się ludzi równych w narody, narodów w federację powszechną, trwały pokój i wzrost moralności, w sumie więc postępujące wyzwolenie człowieka spod władzy ciemnoty, przesądów i despotyzmu.

Na razie tą cząstką rodu ludzkiego, która dojrzała do wkroczenia w wiek Rozumu i Świateł, była – Europa. Ale rzadko jeszcze Europa mieszczańskiej pracy i przedsiębiorczości, przeważnie Europa ogładzona, wyrafinowana, przekorna i świętokradcza w obliczu tronów, ołtarzy i barbarzyńskiej przeszłości narodów. Ta Europa była kosmopolityczna, a kosmopolityzm od czasów Ludwika XIV był francuski. Dlaczego właśnie Francja potrafiła narzucić swój styl,

swoją niekwestionowaną aż do Rewolucji hegemonię elitom umysłowym całego kontynentu? Bez wątpienia, sprawiła to jej literatura, filozofia, myśl polityczna, ale też – do czasu – potęga państwa, które przez filozofów mogło być atakowane, a przecież użyczało im odblasku swego autorytetu.

Można się spierać o to – spierano się już współcześnie – czy na przykład Anglia nie stworzyła w osiemnastym wieku wartości cywilizacyjnych trwalszych i o większym znaczeniu dla świata; notabene w polskim Oświeceniu wzory angielskie – tak od francuskich odmienne – odegrały rolę niemałą. Ale zasadnie czy nie, ton nadawała przede wszystkim Francja. „Pisarze, którzy ją teraz uświetniali – opowiada znakomity znawca tej epoki – odznaczali się cechą pobudzającą do rywalizacji: reprezentowali n o w o c z e s n o ś ć. Nie było ani żywszych od nich, ani zuchwalszych, ani bardziej skorych do formułowania, obrony i szerzenia idei, które narzucały się współczesnym umysłom. Francja zachowywała więc nadal otrzymaną w spadku supremację literacką i usprawiedliwiała to uprzywilejowane stanowisko doniosłością swojego wkładu. Porównując się z nią, prawie wszystkie inne narody miały wrażenie, że są zapóźnione i chcąc nadrobić to zapóźnienie, w pierwszym odruchu obierały ją za przewodniczkę"[2]. Świetne ujęcie, z jedną poprawką: historycy umysłowości zbyt beztrosko przypisują „narodom" cechy kultury elitarnej. Jeśli to nawet tylko *façon de parler*, to przecież bardzo mylący. Nie „narody" czytały Woltera i Diderota i „miały wrażenie, że są zapóźnione". Nie narody, lecz szczupłe, acz posiadające znaczną pozycję i wpływ elity, podobne sobie od Petersburga po Lizbonę i – jak kiedyś łaciną – tak teraz bez trudu porozumiewające się wytworną literacką francuszczyzną.

Te elity nie dadzą się jednoznacznie określić przez pozycję społeczną ich członków. Do „oświeconych" mógł się liczyć król i filozof, chudy literat i spasiony na beneficjach biskup, dyplomata i poszukiwacz przygód, bankier i kurtyzana. Mogło ich różnić

[2] P. Hazard, *Myśl europejska w XVIII wieku od Monteskiusza do Lessinga*, przeł. H. Suwała, Warszawa 1972, s. 387.

wykształcenie, odmienne mogły być ich dążenia, zapatrywania, zasoby, wszystko. Łączył ich i określał styl, i ten styl był znowu paryski, a będąc paryskim, był europejski. Był to, przede wszystkim, polerowany styl życia towarzyskiego – kunszt rozmowy, dowcipu, intrygi, miłości i obiadu – styl salonu, w którym wywraca się porządek świata.

Styl był atrakcyjny, wyrafinowany, młodych zwłaszcza wabił i pociągał. Bezbłędne jego opanowanie podwyższało człowieka w oczach własnych i „świata", dawało patent na Europejczyka. „Arystokracja, wielka burżuazja różnych narodów robiły, co mogły, aby przyciągnąć do siebie tych, którzy potrafili wybudować ten szczęśliwy gmach. Zaczynano od przysposobienia domu i przystrojenia ludzi, od dzieła kucharzy, piwnicznych, perukarzy, krawców; przejmując fryzurę i ubiór Francuzów, przejmowano ich styl. Krawcowe z ulicy Saint-Honoré, które wysyłały do wielkich miast zagranicznych lalki ubrane wedle ostatniej mody paryskiej, wywierały tym samym przypadającą na nie cząstkę wpływu społecznego; podobnie modystki, podobnie metrzy tańca"[3].

Związek racjonalistycznej filozofii i polityki z salonem i z modą nie był ani konieczny, ani nierozerwalny, ale jednak zrosły się z sobą na tyle silnie, by wytworzyć popularny stereotyp zblazowanego szydercy gardzącego ojczystym obyczajem, językiem, wiarą ojców. We wszystkich bodaj krajach Europy mecenasami osiemnastowiecznego postępu, choć bynajmniej nie zawsze prawdziwymi jego rzecznikami, stali się kulturalnie scudzoziemczeni *afrancesados*. Oświecenie chciało być ogólnoludzkie; zamiast tego przylgnęło doń piętno obcości. I oto ci wszyscy, którzy mieli ambicję i zdolności po temu, aby stać się duchowymi przewodnikami swoich narodów – Hiszpanów, Włochów, Niemców, Polaków, narodów politycznie słabych albo rozczłonkowanych, ekonomicznie zapóźnionych, ugrzęzłych w feudalizmie, kulturalnie drugorzędnych – ci wszyscy znaleźli się w obliczu niełatwego dylematu. Mogli wziąć gotowy już rynsztunek intelektualny, współczesny europejski

[3] Ibidem, s. 388.

kanon filozofii zmysłów i rozumu, kanon myśli konstytucyjnej (wolność, równość, prawo naturalne i prawa człowieka), kanon estetyczny klasycyzmu – i w tej zbroi walczyć o rozproszenie „grubych przesądów wieku", o zniesienie poddaństwa i tyranii, o reformę rządu, o nowoczesne, rozwijające się społeczeństwo, ale wszystko to za cenę pozostania na długo kulturalnym satelitą Paryża, a także – co gorsza – za cenę sprowokowania buntu zachowawczej szlachty, bynajmniej nieskorej do przyjęcia obcej ewangelii postępu. Albo – przeciwnie – mogli formować kulturalną osobowość swojego narodu i jego ustrój polityczny, czerpiąc z zasobów własnej, skrzepłej tradycji, w oporze względem umysłowej supremacji Zachodu, ale wtedy za cenę zahamowania przemian społecznych.

Oczywiście: alternatywa tak spolaryzowana istniała raczej w abstrakcji niż w praktyce. Drogi skrajne nie prowadziły donikąd. Obrać konsekwentnie pierwszą z nich mogły tylko jednostki, które przez wychowanie stały się na tyle już obywatelami świata, iż utraciły czucie spraw domowych, związek z glebą macierzystej kultury i polityki: u nas znakomity Jan Potocki mógłby służyć za przykład. Obrać konsekwentnie drugą mogli tylko zakamieniali wstecznicy. Prawdziwi odnowiciele kultur narodowych mogli iść tylko środkiem, jeżeli czerpane z Zachodu idee uniwersalne wszczepiać chcieli umysłom na innej pożywce wykarmionym, a przy tym ośmielać siebie i rodaków do samodzielnej twórczości. Strategia znarodowienia postępu, tak znamienna dla późnego Oświecenia, będzie ustawicznym wypróbowywaniem – w myśli i w praktyce społecznej – syntezy tego, co nowe, z tym, co własne lub dawniej przyswojone, ideałów powszechnego rozumu z dotykalną rzeczywistością partykularnego dziedzictwa.

Wiązanie ze sobą heterogenicznych porządków wartości obyć się nie może bez napięć i niekonsekwencji. Była jednak w tych niekonsekwencjach myśl przewodnia. Brało się idee i wynalazki, odrzucając – ile możności – przyrosły do nich styl. Tak kultura i świadomość narodowa niemiecka od Lessinga rozwijać się będzie zrazu pod przemożnym ciśnieniem wzorów francuskich i dlatego właśnie przeciwko nim będzie musiała określić własną odrębną tożsamość:

stworzyć swój styl ekspresji, odpowiedni narodowym sentymentom, zanim jeszcze stworzy taką niemiecką literaturę i filozofię, której roszczenia do rangi uniwersalnej będą nie mniej zasadne niż roszczenia Encyklopedystów.

W Polsce doby Sejmu Czteroletniego daleko jeszcze było do zasymilowania przewrotu umysłowego przez kulturę szlacheckiego narodu; usiłowania obozu reform zmierzały jednak do zmniejszenia rozstępu, do osłabienia efektu obcości. Kołłątaj i Staszic swobodnie czerpali z dorobku angielskiej i francuskiej nauki, filozofii, prawa, ale też nie mniej swobodnie i pragmatycznie dopasowywali, ile się dało, te importy do gustu staropolskiego, do nałogów i urządzeń Rzeczypospolitej[4].

Rewolucja Francuska ułatwiła to oddzielenie idei i formy. W jej niepowstrzymanym radykalizmie i zuchwalstwie część opinii europejskiej rozpoznała zwycięstwo filozoficznych zasad postępu i praw człowieka, inna część ich kompromitację: samego związku rewolucji politycznej z umysłową zaprzeczyć nie było można. Ale maniery i styl francuski? Te pozostały przy emigrantach, uciekinierach rojących się po całym kontynencie, przy rojalistach, guwernantkach i nauczycielach tańca. Na przełomie wieków naśladować „przykład francuski" znaczyło być jakobinem, naśladować „francuszczyznę" znaczyło być snobem.

Teraz już widać, że nie rozbiory Polski wywołały u nas problem samoobrony przed inwazją wzorów obcych. Problem był wcześniejszy i bardziej powszechny. Wynikł z uformowania się nowoczesnej kultury europejskiej jako układu koncentrycznego z dwoma najsilniejszymi ośrodkami ciążenia: paryskim i londyńskim; odtąd na długi czas dyfuzja wzorów kulturowych przyjmie charakter przeważnie jednokierunkowy, od centrów ku peryferiom, z nieporównanie słabszymi oddziaływaniami zwrotnymi. Układ taki dla krajów-biorców stanowi wyzwanie rozwojowe, mogące – w sprzyjających warunkach – mocno przyspieszyć ewolucję przestarzałych

[4] Zob. J. Michalski, *Sarmatyzm a europeizacja Polski w XVIII wieku*, w zbiorze *Swojskość i cudzoziemszczyzna w dziejach kultury polskiej*, Warszawa 1973, s. 158–161.

struktur gospodarczych i społecznych, ale zarazem osłabia spoistość historycznie uformowanych kultur oraz zagraża poczuciu własnej wartości wspólnoty przyjmującej atrakcyjne dary. Zagrożenie to nieuchronnie wywołuje reakcję obronną, zazwyczaj aktywizującą złogi ksenofobii.

Rozbiory uczyniły wszelako ten konflikt bardziej dramatycznym, bo nie mogąc uzyskać potwierdzenia tożsamości przez własne państwo, Polacy tym gorliwiej musieli bronić suwerenności kultury; i dlatego także, że rozbiory boleśnie nadwątliły narodowe poczucie wartości i znaczenia w Europie, czyniąc psychikę polską niezmiernie na tym punkcie wrażliwą. Co więcej, dominacja kulturalna przychodziła z tej właśnie strony Europy, od której wyglądało się pomocy i oparcia w walce z dominacją polityczną mocarstw ościennych. To już są specyficzne polskie wyznaczniki sytuacji.

Po trzecim rozbiorze pojawiło się w języku polskim – i jednocześnie we wszystkich bodaj językach europejskich – słowo, które miało zrobić niezwykłą karierę: słowo „cywilizacja". Ukute we Francji przed Rewolucją, rozprzestrzeniło się tuż po niej jako jeszcze jeden francuski produkt eksportowy[5]. Nie miało nigdy ściśle sprecyzowanego znaczenia, było plastyczne i dzięki temu właśnie stało się nieodzowne, ponieważ w jednym syntetycznym skrócie objęło tę ogromną już sumę wzorów, które w genezie swej były zachodnioeuropejskie, ale w przeznaczeniu powszechnoludzkie. I coś więcej niż sumę – s y s t e m. Bo przecież w tym skrócie „cywilizacja" zawierało się przekonanie, że wzory poszczególne są ze sobą powiązane tak, iż przyjęcie jednego pociąga za sobą przyjęcie innych, że więc mechaniczny sposób przędzenia bawełny, płodozmian i nawożenie gruntów, zniesienie poddaństwa, rząd reprezentacyjny, etyka utylitarystyczna, sceptycyzm religijny, higiena i wygody życia, klasyczne pojmowanie piękna jako harmonii, czytanie i pisanie po francusku

[5] L. Febvre, *Civilisation. Evolution d'un mot et d'un groupe d'idées*, w tegoż, *Pour une histoire r part entière*, Paris 1962, s. 481–528; M.H. Serejski, *Początki i dzieje słów „kultura" i „cywilizacja" w Polsce*, w tegoż, *Przeszłość a teraźniejszość*, Wrocław 1965, s. 237–249.

i po angielsku, wiara w potęgę umysłu i przyszłe zjednoczenie się rodu ludzkiego – że te wszystkie i liczne jeszcze inne ingrediencje są wzajemnie uwarunkowane i tworzą nierozerwalną spójność. Samo pojęcie cywilizacji czyniło z nich blok, w którym można było to i owo opuścić, nie zauważyć, co innego uwydatnić jako aksjomat nadrzędny, ale zawsze blok, systemowy i cały, nadający się do ogólnej, dodatniej albo ujemnej charakteryzacji, a wraz z tym do wielkich konstrukcji historiozoficznych, które tak bardzo upodobała sobie myśl europejska od drugiej połowy osiemnastego wieku.

„Cywilizacja" nigdy bowiem nie była ujmowana statycznie: owszem, przypisywano jej pewne stałe idee naczelne, ale rozwijały się one w toku dziejów, wyznaczając kierunek zmian, kolejne stadia postępu. Słowa „cywilizacja" i „postęp" zrosły się ze sobą trwale, choć zrost ten wcześnie został zakwestionowany przez niektóre odłamy myśli konserwatywnej, upatrujące we współczesnej cywilizacji raczej objawy regresu, a nawet upadku. Zawsze jednak optymistyczna wiara w niepowstrzymany i kresu nieznający postęp cywilizacji tym różniła się od oświeceniowych utopii, że nie stwarzała *ex nihilo* światów gotowych i znieruchomiałych w swej doskonałości, lecz kształtom ich kazała wynurzać się stopniowo z realnej historii przeszłych wieków, ale oczyszczonej od przypadkowych załamań i zakrętów i w wieki przyszłe przedłużonej wyobraźnią projektantów; słowem, ułożonej w jeden ciąg spełniania się założonego ideału.

Szkic obrazu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje Antoine Condorceta, napisany w roku 1793, jest najznakomitszym wykładem takiej jednoliniowej syntezy cywilizacyjnego postępu. Postępu oczywiście integralnego, obejmującego wszystkie dziedziny myślenia i działania, albowiem „całość ludzkich prac przypomina dobrze wykonane dzieło, w którym, jeśli wyróżnimy poszczególne części, to jednak są one ze sobą ściśle powiązane, tworzą jedną całość i do jednego zmierzają celu"[6]. Motorem zmian od zarania społeczeństwa była, jest i będzie niestrudzona dociekliwość poznawcza człowieka.

[6] A.N. Condorcet, *Szkic obrazu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje*, przeł. E. Hartleb i J. Strzelecki, Warszawa 1957, s. 206.

Ostatni rozdział *Szkicu*, traktujący „O p r z y s z ł y c h postępach ducha ludzkiego", olśniewa dzisiejszego czytelnika futurologiczną wyobraźnią: ten francuski matematyk, filozof i rewolucyjny polityk osiemnastego wieku ze zdumiewającą trafnością przewidział główne szlaki rozwoju nauk teoretycznych i stosowanych, uwydatniając przy tym kluczowe znaczenie upowszechnienia wiedzy. Zarazem przecież uważał za rzecz nie podlegającą wątpliwości, iż postępy naukowego poznania m u s z ą pociągnąć za sobą racjonalizację ładu: ekonomicznego, społecznego, politycznego. Było wszak aksjomatycznym założeniem myśli oświeceniowej, że „u podstaw wszelkich błędów polityki i moralności leżą błędy filozoficzne, które z kolei wiążą się z błędami nauk"[7]. A skoro tak, to było oczywiste, że wraz z coraz gruntowniejszym rozumieniem świata doskonalić się będzie moralność jednostkowa i społeczna: bowiem „natura skuła nierozerwalnym łańcuchem prawdę, szczęście i cnotę"[8]. Jakoż nie w zaufaniu do władz poznawczych człowieka i nie w przewidywaniu nieograniczonego rozrostu potęgi technicznej, lecz dopiero w tym sprzężeniu prawdy i cnoty, wiedzy i szczęścia krył się utopijny człon idei cywilizacji.

Co więcej, sprzężenie to nie pozostawiało jakby miejsca dla różnorodności ideałów i norm. Reguły prawomocnego poznania są wszak te same dla każdego. Skoro zaś na nich opiera się świat idei, to i idee muszą być uniwersalne. Stąd krok już był tylko do stwierdzenia, „że zasady konstytucji francuskiej stały się w Europie zasadami wszystkich ludzi ś w i a t ł y c h", a wychowanie oparte na znajomości konstytucji moralnej człowieka sprawi, „że niemal wszyscy ludzie będą mieli te same zasady sprawiedliwości", te same uczucia i motywy działania[9]. Program ideowy Condorceta, przedstawiony w formie historycznej prognozy, zbudowany był na fundamencie idei ludzkiej godności, równości płci, narodów i ras, powszechnego pokoju i braterstwa, zmniejszania nierówności w dostępie do wykształcenia i do dobrobytu. Nie było w nim tylko miejsca na zachowanie odrębności narodowych kultur i tradycji.

[7] Ibidem, s. 199–200.
[8] Ibidem, s. 234, 236.
[9] Ibidem, s. 213, 235.

„Czy wszystkie narody zbliżą się kiedyś do tego stanu cywilizacji, jaki osiągnęły ludy najbardziej oświecone, najbardziej wolne, najbardziej wyzwolone z przesądów, jak Francuzi i Anglo-Amerykanie?". Ależ tak, zbliżą się, jedne po drugich: bo „czyż istnieją na ziemi takie kraje, których mieszkańcom natura nie pozwoliłaby nigdy cieszyć się wolnością i korzystać ze swego rozumu?" A jeszcze:

> Postęp tych ludów będzie może szybszy i bardziej pewny niż nasz, gdyż przekażemy im to wszystko, co my sami musieliśmy odkrywać: proste prawdy i niezawodne metody, do których dotarliśmy po długim błądzeniu, przypadną im z łatwością w udziale, wystarczy, jeśli przejmą je w pełni rozwinięte i uzasadnione w naszych rozprawach i książkach[10].

Oto droga przyszłych pokoleń. Droga, na której wszystkie rzeczywiste dobra ludzkie – wolność, cnota, poszanowanie praw przyrodzonych człowieka – „mają się właśnie stać nierozłączne z chwilą, gdy jednocześnie u wielu narodów podniesie się poziom oświaty i kiedy dotrze ona do jak najszerszych rzesz wielkiego ludu przyszłości, którego język będzie językiem uniwersalnym, a jego stosunki handlowe ogarną cały glob"[11].

Szkic Condorceta był dziełem pogrobowym francuskiego Wieku Świateł. Autor, ideolog liberalnej fazy Rewolucji, padł ofiarą jej fazy jakobińskiej, a jego ostatni przedśmiertny rękopis zyskał szerszą popularność dopiero trzydzieści lat później, kiedy jego przesłanie podjęli Claude Henri Saint-Simon i Auguste Comte. Jeśli mimo to w oparciu o ten właśnie tekst staramy się odtworzyć oświeceniową doktrynę powszechnej cywilizacji, to czynimy tak dlatego, że nikt inny nie zespolił jej obiegowych składników w sposób równie mistrzowski, zwięzły i konsekwentny. Była to prawdziwa *summa* żarliwych uczuć i marzeń wielkiej epoki Rozumu, którą późniejsi krytycy oskarżać będą o chłód myśli, oschłość serc.

Ten filozoficzny entuzjazm, ta naukowa wiara w świetlaną przyszłość rodzaju ludzkiego, jakżeż one były na czasie dla Polaków,

[10] Ibidem, s. 212, 217.
[11] Ibidem, s. 12.

jakżeż były potrzebne dla przyzwyciężenia porozbiorowego paraliżu. Po Maciejowicach pozostało dojmujące poczucie polskiej samotności, bezsiły w obliczu zjednoczonych potęg zaborczych. Europa z obojętnością przyjęła upadek rzekomo anarchicznej szlacheckiej republiki, dość pospolicie uważanej za zabytek barbarzyństwa, w przeciwieństwie do Rosji, która poziom swej cywilizacji okazała w uczonej korespondencji Katarzyny II z Diderotem. Zresztą wszyscy byli zajęci konwulsjami Rewolucji Francuskiej, ratowaniem starego porządku lub tworzeniem nowego. Kogo obchodziła niepodległość polskiego narodu?

Ale w globalnej perspektywie postępu cywilizacji wszystko to było tylko epizodem. Cóż rozbiory, granice, cóż takie czy inne doraźne kombinacje polityczne? Polska, choć rozszarpana, była członkiem wielkiej rodziny narodów dążących do braterskiego zjednoczenia. Byle tylko obalić despotyzm królów i cesarzy – cudzych czy własnych bez różnicy – a nadto tyranię stanowych, religijnych i umysłowych przesądów. Dzieło było wspólne, droga jasno wytknięta przez „proste prawdy i niezawodne metody, w pełni rozwinięte i uzasadnione w rozprawach i książkach". *Ex Occidente lux*. „Kilka narodów stają już w przysionku Świątyni Rozumu, naszego nie widać między nimi" – trapili się zaprzysiężeni Republikanie Polscy.

> Nieśmiertelni geniusze: Locke, Montesquieu, Rousseau, Mably [...] zostali ojcami tego filozoficznego światła, które swą mocą przebiło ciemne tumany tyranii i fanatyzmu, ale jeszcze dotąd nie obaliło ze wszystkim ich gmachów, swą obszernością całą ziemię zajmujących. Są przyjaciele ludzkości we wszystkich krajach, którzy pracują, aby te gotyckie budowy, hańbą rodzaju ludzkiego okryte, wywróconymi zostały. W naszym nie masz ich. Odważmy się być nimi[12].

Tak oto w anektowanej przez Prusy Warszawie odradzał się i na nowo krystalizował polski okcydentalizm, streszczający się w przekonaniu, że Zachód stworzył wyższy typ cywilizacji, której wartości służą za normę powszechną i przeto promieniować będą na coraz dalej położone kraje; Polska do kręgu tej cywilizacji bez-

[12] Z rękopisu organizacji Towarzystwa Republikanów, wg: M. Handelsman, *Rozwój narodowości nowoczesnej*, wyd. II, Warszawa 1973, s. 146–147.

spornie należy, ale jest względem Zachodu spóźniona w rozwoju i niedojrzała; jest za to najbardziej zachodnim narodem Słowiańszczyzny i z tego tytułu przypada jej misja przekazywania dalej na Wschód promieni zachodniego światła.

Nowy ten okcydentalizm był niesłychanie poważny, patriotyczny i dydaktyczny, i nic nie miał wspólnego z grymasami modnych paniczów. Był wspólną ideową f o r m ą postarzałych reformatorów Rzeczypospolitej tudzież młodych republikańskich spiskowców, aksjomatem liberalnych uczonych i członków przyjacielskich związków młodzieży akademickiej – razem garstki ludzi, bardzo różnych, których łączyło przekonanie, że los uciemiężonych klas i narodów rozwiązać się może tylko w postępie powszechnym. Czy te nadzieje odmierzano kalendarzem wieków, czy miesięcy – to najmniej jasne. Na przełomie stuleci waliły się trony, zmieniały granice, Europa zdawała się wulkanem, wszystko jeszcze mogło się zdarzyć.

Forma była pojemna. Republikanie warszawscy wypełniali ją prawami człowieka i obywatela „z konstytucji francuskiej roku trzeciego". Choć ogłoszone tak niedawno i zaraz pogwałcone, prawa te jawiły się im jako „wieczne, niewzruszone, ogólne, nieodmienne dla wszystkich czasów, miejsc i krajów"[13].

Dziesięć lat później Hugo Kołłątaj, uznawszy Napoleona za narzędzie opatrznościowej misji utworzenia federacji Imperium Zachodniego, przepowiadał rychły czas, kiedy to „mieszkaniec jakiejbądź części ziemi, w którąkolwiek uda się stronę [...] najdzie w każdym kraju jedną dla siebie, iż tak powiem, ojczyznę: bo wszędzie tę samą konstytucję, też same prawa, tęż samą miarę, wagę i monetę; żadnego kraju zwyczaje nie będą dla niego obce: mowę tylko i klima znajdzie inne"[14].

---

[13] „Ustawa przedspołeczna" Towarzystwa Republikanów z 1798 r., ibidem, s. 169, 174.

[14] H. Kołłątaj, *Uwagi nad teraźnieyszem położeniem tey części ziemi polskiey, którą od pokoiu tylżyckiego zaczęto zwać Xięstwem Warszawskim*, Lipsk 1808, s. 127. Wizja Europy zjednoczonej przez geniusza budziła entuzjazm nie tylko Kołłątaja. Por. np. czytaną w 1808 r. na posiedzeniu TPN odę J. Lipińskiego *Na początek wieku*, która kończy się eksklamacją: „Jedne prawa, jedne bronie/Jeden lud powstaje braci!". Cyt. wg: A. Kraushar, *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk, 1800–1832*, księga II, t. I, Kraków 1901, s. 110–111.

Również Stanisław Staszic, śledząc i wstecz, i wprzód „to nieustanne dążenie do rozwijania się coraz dokładniejszego stosunków cywilizacji w przyrodzeniu człowieczym zamierzonej", szczęśliwy finał tego procesu dojrzał w nadchodzącej epoce zrzeszenia się narodów pod jednym berłem i ustawą. Tyle, że kiedy kończył pisać swój poemat o dziejach *Rodu ludzkiego*, Napoleon dogorywał na wyspie Świętej Heleny, więc jego misją Staszic obdarzył Aleksandra I i jego następców. Wątkiem głównym dziejów świata była nieprzerwana walka cywilizacji z wszelkim duchem wyłączności: „wyłączności ziemi, urodzenia, honoru, bojarstwa, wiar zabobonnych i – handlu". Ten to zazdrosny duch poddaje się już w każdym prawie z osobna wziętym narodzie: tak w Księstwie Warszawskim pokonała go konstytucja znosząca przywileje stanów, a wraz z tym walkę ludzi z ludźmi. Ale jeszcze narody pomiędzy sobą się rokoszą, jeszcze nadejść mogą straszne kataklizmy wojen i nienawiści. Dopiero federacja europejska zakończy waśń i uwieńczy dzieło „współecznienia się rodu ludzkiego"[15], i to będzie prawdziwy koniec historii.

Wraz z upadkiem Napoleona przemijał kult Boga Wojny. W stosunkach między państwami – ubolewał Fryderyk Skarbek – polityka stała się sztuką niszczenia, gdy przyjaciele ludzkości chcą ją mieć nauką pokoju.

> Egoizm narodowy głównym był skutkiem tego opacznego pojęcia polityki, a ponieważ samej ohydzie piękną czasem powierzchowną nadać można postać, sprośny ten egoizm świętym miłości ojczyzny ubarwiono nazwiskiem [...]. Nie tak dalece zamiłowania praw człowieka pod tarczą swobód narodowych, jako raczej nienawiść i chęć upodlenia sąsiedzkiego narodu za cel miłości ojczyzny miano, a braterstwo i jedność w wielkiej familii narodów nieznanym [...] wyobrażeniem były.

---

[15] S. Staszic, *Ród ludzki*. Wersja brulionowa, opr. Z. Daszkowski, t. III, Warszawa 1959, s. 228, 297–322; oraz tegoż, *Myśli o równowadze politycznej w Europie*, w: *Pisma filozoficzne i społeczne*, t. II, Warszawa 1954, s. 321, z ukutą w 1815 r. tezą, iż „zrzeszenie się Slawian w Cesarstwie Rosyjskim sprowadzi zrzeszenie się Europy".

Bo przecież – tłumaczył – w każdym z osobna wziętym narodzie zwierzchnicza władza powściąga i równoważy parcie interesów prywatnych, natomiast w stosunkach między narodami nie ma jeszcze „tej wyższej nad wszelkie krajowe względy moralnej istoty, która by wspólne narodów dobro na pieczy miała i odpór sile interesów krajowych dla dobra rodzaju ludzkiego dawała"[16].

Duch wieku oświeconej liberalności królował w Warszawie i Wilnie jeszcze przez kilka lat po Kongresie Wiedeńskim, zanim Święte Przymierze ścisnęło kraj cały obręczą reakcji. W tym to krótkim czasie, pełnym wigoru i optymizmu, polska elita umysłowa czuła się, jak nigdy potem, cząstką Europy, włączoną w rytm jej politycznego i ideowego życia. „Piękną jest cywilizacji własnością – pisał wileński liberał – iż wszystkie pożyteczne rzeczy natychmiast przejmuje, rozkrzewia narodowe cnoty i dobre przymioty obcych ludów dla szczęścia swego narodu na rodzimą przenosi ziemię. Pod tym względem wszystkie ludy zbliżają się do siebie i stają się jedną oświeconą społecznością, której nadaje prawa doskonalący się rozum człowieka"[17].

Wśród tych przenośnych „pożytecznych rzeczy" na pierwszym miejscu stawiano oświatę, ale pojętą raczej jako system rozumnych zapatrywań społecznych niż jako zbiór umiejętności fachowych. Starsi oświeceni – tacy jak Stanisław Potocki albo bracia Śniadeccy – brali się z zapałem i bezlitosnym szyderstwem do prania sarmackich mózgów szlachty i klechów, chcąc czym prędzej porozwalać wszystkie zmurszałe świątynie zaściankowego polskiego głupstwa. Filomaccy sensaci odkrywali Woltera, a potem w kilka lat przebiegali całe ostatnie stulecie myśli europejskiej, filozofii, prawa, poezji – czytając w gorączkowym pośpiechu, z wiarą w postęp i rozum powszechny.

---

[16] F. Skarbek, *O polityce* (1820), w zbiorze: *Jakiej filozofii Polacy potrzebują*, wyd. W. Tatarkiewicz, Warszawa 1970, s. 353–356.

[17] *Listy indyjskie*, „Wiadomości Brukowe" 1819, nr 135, cyt. wg: „*Wiadomości Brukowe*": *wybór artykułów*, opr. Z. Skwarczyński, Wrocław 1962, wstęp s. LXII.

W konwencjonalnych wierszach poprzedzających Mickiewiczowską *Odę* pierzchały nocne ciemności wraz z upiorami przesądów, rozjarzały się jutrzenki swobody, zorze oświaty, spadały skruszone kajdany człowieka i ludzkości, a wolnomularski łańcuch splecionych rąk opasywał ziemskie kolisko[18]. Rodził się w wyobraźni nowy wspaniały świat, otwarty świat, bez granic i strażników ceł, Europa od Filadelfii po Wilno, z jedną, przez Benjamina Constanta napisaną i na wszystkie języki przetłumaczoną konstytucją wolności i suwerenności ludu.

Spolszczona „cywilizacja" w niewielkim więc na razie stopniu była planem okiełznania natury przez naukę i technikę i zmiany materialnych warunków bytowania ludzkiego. Była przede wszystkim ideą moralną i polityczną, obejmującą dążenie do równości praw, do wolności jednostki i narodu. Była ideą Polski nowoczesnej pod względem umysłowym, wpatrzonej w Zachód i stamtąd oczekującej zarówno inspiracji, jak i pomocy w odzyskaniu niepodległości, a dlatego właśnie mającej do tej pomocy prawo, że była lub być chciała krajem j a k i n n e, uczestniczką tego samego postępu dziejowego. Wykształcony polski liberał bez wahania więc umieszczał siebie i swoją ojczyznę w jednej z niższych klas europejskiej szkoły. W tej szkole Polacy zdawać mieli egzamin ze swej kultury konstytucyjnej, z myśli politycznej, z umiejętności dokonywania reform socjalnych w drodze prawnej, w duchu wolności i umiarkowania, a zdawać go mieli przed Europą parlamentów, uniwersytetów i nade wszystko „opinii publicznej" – tego nowego arbitra sprawiedliwości. Wraz z powstaniem listopadowym nadszedł dla liberałów termin złożenia owego egzaminu bez petersburskiej kurateli. Wtedy to elokwentny Dominik Krysiński w swoich pamfletach i mowach sejmowych powtarzał raz po raz tę frazę: „Europa patrzy na nas. Tak jest. Europa zdumiewać się nad nami, lecz razem sądzić nas będzie, [...] europejska krytyka wszystkie nasze kroki uważać,

[18] Przykłady zob. J. Ujejski, *Dzieje polskiego mesjanizmu do powstania listopadowego włącznie*, Lwów 1931, s. 224–231; W. Pusz, *„Nowy Parnas" przedromantycznej Warszawy*, Wrocław 1979, s. 169.

śledzić i oceniać będzie". A szło mu, tak jak kaliszanom, zwłaszcza o kroki sejmu polskiego, o jego odwagę kontrolowania rządu. „My jeszcze – mówił – jesteśmy w infimie co do wychowania konstytucyjnego", ale „od prawa względem reprezentacji narodowej będzie zależał stopień, jaki mamy zająć w hierarchii narodów ucywilizowanych"[19].

Cywilizacja ma bowiem stopnie, nie typy. Zadaniem narodu jest uczyć się od starszych i przechodzić z klasy do klasy. W toku tej edukacji naród upodobnia się do innych, dojrzewa, pozbywając się balastu feudalnej przeszłości, domowych narowów, politycznego nieobycia: „ze wzrostem udoskonaleń te cechy nikną, bo szczytność jest wszędzie ta sama"[20].

Ileż to nieporozumień narosło wokół tej wizji idealistycznej, raczej naiwnej niż chłodno wyrozumowanej, a wyrastającej z przekonania, że szczytności ducha ludzkiego – mądrość, sprawiedliwość, umiarkowanie i wolność – są dla wszystkich dostępne i dla wszystkich jednakie. Powiedziano wielekroć – wtedy i później – że polscy liberałowie, ostatni zastęp apostołów Oświecenia, byli ciasnymi doktrynerami racjonalizmu, którzy chcieli wznieść się od razu na stanowisko kosmopolityczne, a tego nie pojęli, że najpierw ma się obowiązki względem swej ojczyzny i przez naród dopiero uczestniczy się we wspólnocie ogólnoludzkiej. Kosmopolityzm ich miał być „pogwałceniem żywej prawdy serca, więc musiała się budzić przeciwko niemu reakcja serca na rzecz narodowości i patriotyzmu"[21]. Tym budzicielem był jakoby dopiero ruch romantyczny.

Mylny to pogląd. Wolnomularstwo Narodowe i Towarzystwo Patriotyczne wyrosły z ducha Oświecenia i z jego filozofii społecznej. Ponury los Waleriana Łukasińskiego służyć mógł za model

---

[19] D. Krysiński, *Wybór pism*, Warszawa 1956, s. 117, 159–160, 179, 182, 184, 187.

[20] „Merkury" 1831, cyt. wg: A. Zieliński, *Naród i narodowość w polskiej literaturze i publicystyce lat 1815–1831*, Wrocław 1969, s. 267.

[21] I. Chrzanowski, *Romantyzm jako czynnik rozwoju idei narodowości w Polsce*, w zbiorze tegoż: *Optymizm i pesymizm polski: studia z historii kultury*, Warszawa 1971, s. 281.

romantycznej biografii spiskowca i więźnia, ale on sam był człowiekiem uformowanym przez liberalną ideę cywilizacji i narodowości. Wierzył w równoczesność moralnego i materialnego postępu i u schyłku szlisselburskiego żywota sam siebie nazwał kosmopolitą, choć „ostatnie tchnienie" poświęcił ojczyźnie[22].

Aksjomat wspólnoty narodowej i zobowiązanie patriotyzmu czynnego, gorliwego, nie wyłączającego ofiary z życia, wpisane były od początku w światopogląd liberalny i nie waśniły się bynajmniej z ideą wspólnoty europejskiej. Oba te przywiązania były przecie zakorzenione w jednym i tym samym systemie wartości. W pojęciu liberałów „postęp" oznaczał stopniowe rozszerzanie praw obywatelstwa oraz niepowstrzymane dążenie ludów ku coraz wyższym i szerszym formom zjednoczenia. Ginący feudalizm, z jego podziałami stanowymi, korporacjami, z lokalnością różnorodnych przywilejów, miar i praw, żegnali bez żalu jako ustrój, w którym panowało powszechne „rozosobnienie"[23], „duch oddzielnictwa"[24]. Bo zależności hierarchiczne i przymusowe, choćby odwieczne, nie tworzą przecież wzajemnych przywiązań. Te możliwe są tylko – wierzyli – między ludźmi wolnymi, mającymi równe i jedne dla wszystkich prawa. Zatem zniesienie poddaństwa, konstytucja Księstwa Warszawskiego, francuski Kodeks Cywilny – to dopiero był właściwy moment k r e a c j i narodu całkowitego, wspólnej ojczyzny szlachty, mieszczan i chłopów[25]. A skoro tak, to uczestnictwo we wspólnocie narodowej i we wspólnocie ogólnoludzkiej idzie w parze: jedno i drugie uwarunkowane jest przez tę samą rewolucję, przez tę samą społeczeńską ustawę. Jak pisał „Orzeł Biały", organ młodych liberałów, w roku 1820: „Prawdziwy kosmopolityzm zasadza się na pomiłowaniu własnego kraju, przypuszcza ducha narodowości. Kto nie jest gorliwym obywatelem swego narodu, ten nie może

---

[22] W. Łukasiński, *Pamiętnik*, wyd. R. Gerber, Warszawa 1960, s. 138.

[23] J. Lelewel, *Pisma metodologiczne*, w: *Dzieła*, t. II/2, opr. N. Assorodobraj, Warszawa 1964, s. 754.

[24] S. Staszic, *Ród ludzki*, wersja brulionowa, t. III, s. 232.

[25] Tak np. S. Węgrzecki, *O włościanach polskich*, Warszawa 1814, s. 7.

być przyjacielem ludzkości"[26]. I gdyby tylko o to chodziło, by przyjaźń dla ludzkości pogodzić z miłością ojczyzny, to wszystko byłoby proste.

Ale tu godzić trzeba było o wiele więcej. Tu Polskę taką, jaka była w życiu, z całym osadem historycznego dziedzictwa, godzić trzeba było z Europą, jakiej jeszcze nie było wcale, jaka egzystowała w świecie ideałów, w traktatach filozofów i uczonych, w projektach konstytucyjnych swobód i wiecznego pokoju. Co prawda dzieje najnowsze studziły wiarę w trwałość ludzkich ustanowień i przywyknień: w Warszawie w ciągu ćwierćwiecza od Konstytucji 3 Maja osiem razy zmieniał się ustrój i władze (pięć razy wojennie, trzy – przez dyplomację). Polski kraj, jak cała zresztą Europa, został solidnie i we wszystkich kierunkach zdeptany butami obcych armii i kiedy już nastał pokój, zdawać się mogło, że wszystko, co było dawniej, wyrwane zostało z korzeniem. Ongiś Stanisławowi Augustowi, kiedy zasiadł na tronie, marzyło się przez krótką chwilę całkiem nowe „świata polskiego tworzenie". Teraz, po roku 1815, podobny nastrój ogarnął szerszy krąg warszawskich oświeconych, a i moment był jakby bardziej sprzyjający. Nowy był król, nowe, choć pomierne i niesuwerenne państwo, nowe mundury, nowa konstytucja, nowe gazety. Przedrozbiorowa przeszłość, jej hańba i jej chwała, zdawała się odległa i martwa, wzory ustrojowe Rzeczypospolitej, Ustawy 3 Maja nie wyłączając, całkiem nieprzydatne. „Doświadczenie przeszłości jest dla nas zupełnie straconym" – oznajmiał „Orzeł Biały". „Dzisiejszy nasz stan jest [...] zupełnie nowym. Potęga Króla rokuje jego trwałość, serce jego i nadane nam prawa zapewniają wolność życia obywatelskiego"[27].

Jeżeli stan narodu jest zupełnie nowy, to można go łatwo urządzić wedle myśli swojej, oprzeć go na zasadach sprawiedliwych i nowoczesnych, nie uciekając się przy tym do Piotrowego topora ani do jakobińskiej gilotyny. Zresztą w polskiej sztuce teatralnej

[26] *Duch narodowy i kosmopolityzm*, „Orzeł Biały" 1820, t. IV, nr 3, s. 41. Por. F. Skarbek, *Pisma pomniejsze*, t. I, Warszawa 1936, s. 518.

[27] „Orzeł Biały" 1820, t. II, nr 11, s. 207. Por. W. Pusz, op. cit., s. 93.

z owych lat Piotr Wielki upozowany został na liberalnego rezonera wieku Oświecenia: cywilizatorska jego misja wypływa z przekonania, że „nie można mieć większej zasługi w narodzie, jak nadać mu mądre prawa i obyczaje ślachetne, choćby je przejąć od jakiegokolwiek narodu"[28]. O właśnie: n a d a ć społeczności nie tylko mądre prawa, ale jeszcze i obyczaje, zrzucić szlacheckie narowy i mity, przez odmianę edukacji odmienić do gruntu sposób myślenia i czucia, znieść stanowość w życiu, znosząc ją na papierze – takie było racjonalistyczne *a priori* wileńskich i warszawskich satyryków, wolnomularzy, entuzjastów postępu, ich miejsce najsłabsze, prędko dopatrzone przez krytyków.

Krytycy ci niekoniecznie byli tradycjonalistami, dla których wszystko, co dawne, godne by było zachowania. Ich opór przeciwko nadmiernym zakusom modernizatorów wypływał niekiedy stąd, że wnikliwiej wyczuwali psychiczne napięcia ludzi, którym przyszło żyć w latach gwałtownych przemian. Wawrzyńcowi Surowieckiemu bliska była idea wprowadzenia Polski na szlak nowoczesnego europejskiego rozwoju, ale zdawał on sobie sprawę z opornej siły społecznego dziedzictwa.

Zakorzenionych „przesądów" – tłumaczył już w roku 1807 – nie trzeba na gwałt tępić, lecz stopniowo je przekształcać, „mięszając stary pokarm z nowym", jak to zręcznie umieli ongi czynić krzewiciele chrześcijaństwa. Pomny równie metod jakobińskich, jak aktualnych zakusów napoleońskiej unifikacji, upierał się przy tym, że „chociaż naczelny zamiar i dążenie wszelkiego prawodawstwa powinno być j e d n e m we wszystkich krajach i zgodnem co do główniejszych rysów, potrzeba jednak wielkiej ostrożności, skoro chodzi o miejscowe zastosowanie jego do charakteru i potrzeb ludu jakowego". Nakaz lub zakaz, gdy nie zgadza się z pobudkami interesu ludzi, pozostanie nieskutecznym, pobudek zaś i przywiązań nie zmienia się dekretami.

---

[28] T. Szumski, *Piotr Wielki, czyli Miłość monarchy do narodu*, Poznań 1819, cyt. wg: A. Zieliński, op. cit., s. 31.

Między innemi mamy świeży przykład przed oczami na Francji: prawodawcy jej uniesieni więcej rozumem jak roztropnością, wikłali długo siebie i naród w okropny nieład, przez niebaczne wprowadzenie nieprzyzwoitych, acz często rozumnych praw nowych; [...] chcieli oni, podług prawideł uplantowanej teorii, przetworzyć w mgnieniu oka lud żyjący w odwiecznych nałogach.

Taki zapał do „przetwarzania narodów" powoduje tylko zaburzenia: mądry prawodawca nie dąży przeto do doskonałości ani nie wybiega zanadto w przyszłość[29].

Podobne przestrogi znajdujemy i u innych pisarzy, zwłaszcza po roku 1815, z tym że mniej o przesądach, dobitniej zaś mówi się w nich o potrzebie liczenia się z narodowymi sentymentami i tradycją, co już było adresowane bardziej do cesarza Aleksandra niż do francuskich czy polskich radykałów. Rząd i ustawy do charakteru narodu mają się stosować, nie odwrotnie - dowodził Julian Czerniński[30]. Narodowych namiętności - ostrzegał Fryderyk Skarbek - siłą zwalczyć nie sposób, to drażni i wzmacnia je tylko; chcąc je łagodzić, raczej wypada im schlebiać, a tak opinię publiczną stopniowo naprowadzać do umiarkowania[31].

Tę postawę ochrzcić można mianem konserwatyzmu praktycznego: zalecane przezeń środki mogły całkiem sprawnie służyć projektom europeizacji i demokratyzacji życia polskiego. Rzecz w tym, że w Polsce ciągłość dziejów domowych została przerwana brutalnie i dlatego właśnie objawiła się następnemu pokoleniu jako wartość osobliwie cenna. W tej epoce rewolucji, wojen i rozbiorów, nagłych wyniesień i równie nagłych upadków fortun i państw, władców i rodów, dawała o sobie znać - paradoksalnie - siła i trwałość przywiązań do rodzinnego domu, języka i obyczaju przodków, co rodzić musiało impulsy zachowawcze, nieodzowne do umocowania zachwianego poczucia tożsamości.

---

[29] W. Surowiecki, *Uwagi względem nowego prawodawstwa w narodzie*, w zbiorze: *Korrespondencya w materyach obraz kraiu i narodu polskiego roziaśniaiących*, wyd. J.K. Szaniawski, Warszawa 1807, s. 186-190.

[30] J.R. Czerniński, *O charakterze narodowym*, w zbiorze: *Jakiej filozofii Polacy potrzebują*, s. 371-372.

[31] F. Skarbek, *O polityce*, w tymże zbiorze, s. 347-352.

Znalezienie punktu równowagi między tą dążnością zachowawczą i dążnością modernizacyjną stało się tedy doniosłą kwestią polskiego bytu i polskiej myśli. Trudny w tej sytuacji wybór priorytetów powodował nieustanną ambiwalencję postaw umysłowej elity, co ujawniło się już wkrótce po trzecim rozbiorze. Politycy i urzędnicy pruscy byli najmocniej przekonani o tym, iż misją ich jest ucywilizowanie nowych nabytków terytorialnych, „uszlachetnienie – przez oświatę – tak bardzo zaniedbanego narodu" i „wyprowadzenie mieszkańców Prus Południowych ze stanu odrębności [...], co było główną przeszkodą w postępie ich kultury"[32]. Diagnozy tej, acz uwłaczającej, polscy luminarze nie mogli zbyć jednym machnięciem ręki albo też gniewnym protestem. Mieli wprawdzie dobre racje po temu, aby podnosić zalety polskiego systemu edukacyjnego, zaszczepionego przez Komisję Edukacji Narodowej, a także z uprawnionym sceptycyzmem odnosić się mogli do mniemanej wyższości arbitralno-biurokratycznego systemu rządzenia. Z tym wszystkim cywilizacyjna przewaga Królestwa Pruskiego nad anektowanymi ziemiami Rzeczypospolitej w licznych wskaźnikach nie mogła ulegać wątpliwości, co przyznawał np. Jan Wincenty Bandtkie[33]. Bezsporna była także ówczesna supremacja niemieckiej (bo już niekoniecznie pruskiej) nauki, filozofii i nade wszystko literatury, znajdującej się w szczytowym punkcie swego rozwoju.

Wszelako możliwości polskiego uczenia się od Niemców zostały z miejsca przekreślone przez pogardliwą arogancję nowych okupantów i ich nie skrywane zapędy germanizacyjne, które wytworzyły stan zagrożenia kultury narodowej – ostatniego schronienia polskości. „Zachowanie", „ocalenie", „ratowanie" mowy ojczystej i pamiątek narodowej przeszłości stało się naczelnym hasłem dnia w Puławach i Warszawie, przesłaniającym nawet troskę o formy bytu przyszłego. Tenże zachowawczy motyw odegrał, jak wiado-

[32] „Zdania funkcjonariuszy pruskich" cyt. wg: A. Kraushar, *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, księga I, Kraków 1900, s. 27, 36.

[33] Ibidem, s. 46–49.

mo, pierwszoplanową rolę w powołaniu do życia Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, inicjatywy ze wszech miar zbawiennej, nad której początkami zaciążyło jednak fatalnie owo małowierne „zamiast".

Pierwszy prezes, biskup Jan Chrzciciel Albertrandy, oznajmiał wszak w mowie inauguracyjnej, iż zamiarem Towarzystwa jest „utrzymanie i pomnożenie nauk, pamiątek, języka, zaszczytów ludzi tego p r z e d t e m narodu, którego lubo imię w rzędzie narodów przekreślone widzimy, jednak niezglózowanym piętnem na sercach naszych wyryte". Nauki zaś – mówił – są to „kwiaty, któremi obsypany przez was być może poważny ojczyzny grobowiec"[34]. Miała więc być pielęgnowana narodowość z a m i a s t niepodległości, n a u k i zamiast polityki[35]. Kapitulacja, połączona z programem ratowania szczątków narodowej przeszłości i sławy, przeziera nie tylko przez klasycystyczne oratorstwo Albertrandiego, który przez całe życie schlebiał wszystkim kolejnym rządom, ale też i przez wypowiedzi Czackiego, Szaniawskiego, Woronicza i innych, łączących nostalgiczną miłość do byłej ojczyzny z wdzięcznym poddaństwem pruskim[36].

Odeszli jednak pokonani przez Napoleona Prusacy i na pierwsze miejsce wśród postrzeganych zagrożeń narodowości powrócił dawny i dobrze znany nieprzyjaciel moralistów naszych – cudzoziemszczyzna, czyli, co prawie na jedno wychodziło, francuszczyzna. Powróciła, by pozostać na długo ulubionym celem oskarżeń i szyderstw. Obfita literatura moralizatorska z czasów Królestwa Kongresowego wywołuje takie wrażenie, jak gdyby Polska była wciąż francuską kolonią buntującą się przeciw tej właśnie, a nie

[34] Ibidem, s. 141, 146.

[35] Także Staszic rozprawę swoją *O ziemiorództwie Karpatów*, czytaną na posiedzeniu TWPN w grudniu 1805 roku, tuż po bitwie pod Austerlitz, kończył wezwaniem, by Polacy wzięli udział we współzawodnictwie umysłowym i cywilizacyjnym z a m i a s t „zawodów o narodową sławę bohaterstwa", ibidem, s. 306–307.

[36] Ibidem, s. 184–186, 218, 239 i in.

innej dominacji[37]. Sprawiała to zaraźliwość francuszczyzny, ta łatwość, z jaką wyższe towarzystwo przyswajało sobie francuski język, strój i etykietę, pociągając za sobą wszystkich snobów. Zagrożenie kultury polskiej od strony niemieckiej było mimo wszystko zewnętrzne, rosyjskiego w ogóle jeszcze nie brano pod uwagę, francuszczyzna zaś wdzierała się do środka narodowej warowni. Stąd rodzić się musiała obawa, lęk, obsesja wreszcie, że ta ekspansja, bardziej niż jakiekolwiek podboje *manu militari*, zatrze i wytrzebi rodzime obyczaje, odmieni narodowy charakter, rząd, prawa, a nawet wiarę. Już zapomniano, że i wiara przyszła ongiś z obczyzny, tak jak ostatnio niedowiarstwo, że cudzoziemski był gotyk i prawo miejskie, miecz i zbroja, łacina klasyczna i jezuicka. Zeswojszczyły się dawniejsze importy.

Nowe swojszczyły się także, ale nie bez oporu, i to coraz bardziej świadomego. Epitet „cudzoziemszczyzny", tradycyjnie odnoszony do powierzchniowych zjawisk dworsko-salonowego języka i maniery, obejmował z wolna coraz szerszy zespół objawów zachodniej cywilizacji w Polsce. Wraz z tym pojęcie narodowości, w miarę jak określane było w o p o z y c j i względem tego, co nowe i obce, wyślizgiwało się z oświeceniowo-liberalnego porządku wartości, kojarząc się coraz częściej z wyobrażeniem rasowych cech słowiańskiego szczepu, poświadczonych przez dziejową tradycję. Ten zrazu ledwie uchwytny w piśmiennictwie proces przesuwania się pól semantycznych został utrwalony w preromantycznej filozofii historii, której idee w kraju wydziedziczonym trafiały na szczególnie chłonną glebę. Rdzeniem tej filozofii było odczucie, że naród jest organicznym związkiem pokoleń, a nie spółką, której ustawy można dowolnie zmieniać, choćby w najlepszej intencji[38]. Promienna przyszłość narodowych swobód i zbratania ludów była obietnicą abstrakcyjną, kształt miała nieodgadniony, a ziszczenie niepewne. Przeszłość, przeciwnie, nawet dla tych, którzy jej znać

[37] Obszerna dokumentacja u A. Zielińskiego, op. cit., zwłaszcza s. 177–184.

[38] Zob. J. Szacki, *Ojczyzna – naród – rewolucja*, Warszawa 1962, s. 127–131.

i pamiętać nie mogli, była namacalna, można ją było opowiedzieć, przeżyć i odzyskać jako wspólny skarb czasu i w niej odnaleźć się narodem. Romantycy znakomicie wychwytywali ten nastrój i potrzebę, dawali jej wyraz, tym lepsi psychologowie, im mniej byli ideologami.

Ideologom i uczonym czasów stanisławowskich Maurycy Mochnacki taką przemyślną pisał pochwałę:

> Przywrócili mowie ojczystej dawny polor, umiejętnościom dawną wziętość, prawdę dziejom, wstręt ku uprzedzeniu i zabobonom. Śmiałą ręką stawiali gmach ówczesnej cywilizacji. Byli to wielcy reformatorowie z wielu miar, zaszczepcy nieznanych pojęć. [...] Ale także każdy to z nami przyzna, bo tego nie możem zataić przed samymi sobą, *że ci mężowie cale nową rzecz stworzyli.*

I te ostatnie słowa podkreślił. A to już nie była pochwała. Stworzenie rzeczy „cale nowej" było naganne, od tego się wszystko zło zaczęło – zatrata tożsamości:

> z obcej ziemi, spod obcego nieba rozrzucali w Polsce pełną garścią wyobrażenia i pojęcia na kształt p o s t r o n n e j m o n e t y, nieznanym stemplem cechowanej. Ta moneta chyżym krążyła obiegiem. Z obcymi wyobrażeniami, z obcym rozumieniem wcisnęły się do nas obce uczucia i zwyczaje. Nic prawie dawnego nie ostało się... Zmieniono stroje, szaty. Po większej części wzmogliśmy się w cudzą i ś c i z n ę[39].

Ten sąd stał się prototypem licznych w romantyzmie polskim wypowiedzi odsądzających od narodowości cywilizatorskie dzieło Oświecenia: nie dlatego, że złe samo w sobie, lecz że nowe i obce, nie wyrastające organicznie z rodzimego gruntu. Krytyk nie baczył przy tym, iż grunt ten przed Oświeceniem był już jałowy i wydawał coraz lichszy plon. Ale bo też naprawdę nie szło tu o ocenę tej albo innej formacji kulturalnej – sarmatyzmu czy Oświecenia – lecz o samą zasadę dojrzewania narodu, który po to, by przetrwać, musi „uznać samego siebie w jestestwie swoim", to znaczy pojąć swoją odrębną od innych indywidualność: to zaś, zdaniem Mochnackie-

[39] M. Mochnacki, *Pisma krytyczne i polityczne*, opr. J. Kubiak, E. Nowicka, Z. Przychodniak, t. I, Kraków 1996, s. 198–199.

go, osiągnąć mógł tylko przez u o b e c n i e n i e sobie swej tradycji, swego życiorysu[40].

Im gęstsze i pospolitsze stawały się międzynarodowe kontakty potęgujące dyfuzję wzorów kultury, im łatwiej z kraju do kraju wędrowały książki, idee, instytucje i szaty, tym bardziej wzmagała się ideologiczna obrona owej pierwotnej iściny pojedynczych narodów. Rzecz to normalna, iż rośnie wartość dóbr zagrożonych. Jak polityczna dominacja Rosji stała się w Polsce najlepszą pożywką dla idei okcydentalnej, tak znów cywilizacyjna dominacja Zachodu, inwazja jego atrakcyjnych wynalazków, podsycała kult narodowej indywidualności. Ten kult i opór, przeważnie odruchowy i emocjonalny, konserwatyści oraz romantycy podnieśli do rangi naczelnego postulatu filozofii społecznej.

Józef Kalasanty Szaniawski, pierwszy u nas tej orientacji teoretyk, pisał już w roku 1808, iż naród może się rozwijać tylko ze swojej naturalnej posady: „Wszelkie inne, z obcej posady kopiowane normy dążą do z a g ł a d z e n i a właściwej narodu indywidualności, zamieniają go w martwą nijakiego charakteru agregacją". Błądzą ci, „co z tego lub owego narodu czerpane wzory chcieliby przenosić do wszystkich narodów": powszechne są tylko prawdy religii chrześcijańskiej i metafizyki, a to, co się wylęgło z Oświecenia i rewolucji, może być tylko francuskie albo angielskie, może dobre w swoim miejscu i czasie, nie gdzie indziej. Naród każdy niechaj zachowa swoją historię o d d z i e l n ą. Polakom w szczególności przystoi „rozwijać [...] pierwotne znamiona właściwej narodowości naszej, oswobodzając one z niszczącej r d z y, którą je ciągle okrywa dwuwieczny wpływ zewnętrznego działania", a wraz z tym odwrócić się od takich opinii, które pod innym niebem wzrósłszy, „nie mogły dotąd aklimatować się niejako w ojczystym powietrzu, ani potrafią zrzec się nabytków w obcym tylko układzie przydatnych"[41].

---

[40] Eksplikację pojęcia „uobecniania się" tradycji zob. u A. Witkowskiej, *Romantyczny naród: klęska i triumf*, w zbiorze: *Problemy polskiego romantyzmu*, seria I, Wrocław 1971, s. 23–24.

[41] J.K. Szaniawski, *O naturze i przeznaczeniu urzędowań w społeczności*, Warszawa 1808, cyt. wg zbioru: *Polska myśl filozoficzna: Oświecenie – Romantyzm*, wyd. H. Hinz i A. Sikora, Warszawa 1964, s. 258, 261.

Myśl ta stała się dewizą postawy obronnej, etnocentrycznej, wyrażającej się w przekonaniu, iż rdzenne cechy umysłowości i obyczaju, stanowiące o historycznej indywidualności narodu, są wartością nadrzędną i samoistną, nie wymagającą uzasadnień racjonalnych. Postawa ta przez sto lub więcej lat przeświecać będzie w najróżniejszych nurtach politycznych, od prawicy do lewicy: przez cały czas niewoli idee polskie będą współzawodniczyły o to, która z nich bardziej jest rdzenna, która mocniej w tradycji narodowej zakorzeniona. Argument taki miał potężny walor perswazyjny, a pojemna tradycja pomieściła wszystkie przeciwieństwa.

Szaniawski, zauważmy, pisał o obcych „normach", „wzorach", „nabytkach", a z drugiej strony o „cechach" albo „znamionach" narodowości, ale wcale niełatwo się dowiedzieć, jakie to konkretne wzory i znamiona miał na myśli. Trzeba sięgnąć do jego rękopisów, aby się upewnić, że temu eks-jakobinowi chodziło głównie, a z biegiem lat coraz bardziej, o „rozciągnięcie warownego kordonu", który by Polskę odgrodził od zachodniej filozofii sceptycznej, w tym zwłaszcza od „liberalnego rokoszu i burzących towarzyski porządek teorii", które się wylęgały z rewolucyjnego chaosu[42]. Wszelako abstrakcyjność większości ówczesnych wywodów na temat narodowości i cywilizacji pozostawiała możliwość nader różnych konkretyzacji owych „wzorów" i „znamion". Idea obrony narodowej iścizny przed nalotem obcych wyobrażeń budziła silny odzew emocjonalny, ale w treści była dość ogólnikowa i skrywała rozbieżne nieraz zainteresowania i dążenia. Teza ogólna dawała się stosować równie dobrze do prawodawstwa, przemysłu, filozofii lub sztuki, ale na ich gruncie pozostawała nadal wieloznaczna.

Do prawodawstwa stosowano ją często. Aleksander Wielopolski w czasie powstania listopadowego domagał się, aby projektowana nowa konstytucja nie była „owocem oderwanej teoretycznej spekulacji", lecz „żywym utworem całych dziejów naszych": „W konsty-

[42] Z rękopisu pt. „Uwagi względem wychowania i nauk" (1821?), w: *Płockie rękopisy J.K. Szaniawskiego*, opr. T. Kozanecki, „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej", t. VII (1961), s. 287.

tucji narodowej nie *abstractum* tego, co każdemu konstytucyjnemu narodowi jest wspólne, mieszczonym być powinno, lecz zasadniczy wyraz żywiołów narodowych"[43]. Ale ten „wyraz" wykładać można było na wiele sposobów: toż Konstytucja 3 Maja dla jednych była narodowa, dla innych już zlepkiem obcych wyobrażeń, z duchem praw polskich żadnego nie mającym związku. Kodeks Cywilny był zrazu oczywistym przeszczepem, bez próby adaptacji do gmachu prawa polskiego: a przecież po latach dwudziestu mało kto go już za obcy uważał. Cóż zresztą w dziewiętnastowiecznym prawie mogło być bezspornie narodowe, organicznie związane z utraconą przeszłością? Można sądzić, że w pojmowaniu prawa jako wyrazu narodowości szło nie tyle o artykuły konstytucji i kodeksów, co o stanowisko filozoficzne, o słowo i o zaklęcie.

Zaklęcie potrzebne było przeciwko cywilizacji – „fałszywej", lecz nieubłaganej.

> Wszyscy teraz, jak widać, z jednego źródła czerpiemy; tak samo wszyscy czujemy, myślimy, piszemy. Czyż to nie jest widoczny skutek powszechnego mechanizmu pojęć, mechanizmu myślenia? W tej j e d n o s t a j n e j cywilizacji, zacierającej właściwość indywidualną i wszystkie pierwotne cechy, jakże trudno odkryć i wyłączyć istotę naszego narodu w rodzinnej jego osiadłości! Też same wszędy f o r m y zewnętrzne i r z e c z ta sama, te same widoki, wyobrażenia. [...] Przenoszą się mniemania z jednego kraju do drugiego, jednego trzymają się porządku, w jednych klubach zawarte. Mają tę samą moc i niemoc, tę samą prawdę i nieprawdę[44].

Oto dramat epoki. Ten sam, który do naszych dni przeżywają wszystkie bez wyjątku kraje, narody, plemiona, wtedy gdy dociera do nich ekspansja zachodniego typu cywilizacyjnego, jego wzorców ideowych i ustrojowych, nauki i technologii, kapitalistycznej produkcji i mieszczańskiego stylu życia. Ta ekspansja wszędzie dzieli inteligencję krajową na „słowianofilów" i „zapadników", to jest na

---

[43] A.M. Skałkowski, *Aleksander Wielopolski w świetle archiwów rodzinnych*, t. I, Poznań 1947, s. 166, 183–184; t. II, s. 24, 26.

[44] M. Mochnacki, *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym*, opr. Z. Skibiński, Łódź 1985, s. 41–42.

obrońców rodzimej tradycji i entuzjastów importowanej nowoczesności. Zadaniem tych dwu stronnictw jest takie wyostrzenie przeciwieństwa zasad, aby narodowość kultury i cywilizacja ponadnarodowa objawiły się – w patetycznym świecie uczuć i idei – jako *incompatibilia*.

W Polsce jednak takie zaostrzenie konfliktu, do jakiego doszło w Rosji albo w Turcji, albo w odleglejszych azjatyckich krajach, było nie do pomyślenia, a to dlatego, że tu łączność z europejskim Zachodem stanowiła niezbywalny składnik rodzimej tradycji. Tu więc przeciwstawienie mogło być tylko względne. Jeśli nawet z zasady narodowości czynił kto szaniec przeciwko „podrzeźnianiu obcych wzorów", to nie wynikało to przecie ze zderzenia dwóch obcych sobie i niezależnie rozwijających się kultur. Był to raczej – podobnie jak w Niemczech czy Hiszpanii – bunt części względem całości, albo raczej opór przedmieścia przeciwko dyktatowi *city*. Narzucona społeczeństwu polskiemu rola ucznia w europejskiej szkole nie wszystkim odpowiadała. Romantycy domagali się uznania, że „wyobrażenia, uczucia i myśli w każdym narodzie muszą i powinny być odmienne, tak jak się różnią między sobą dzieje, religia, polityka, prawodawstwo i obyczaje rozmaitych narodów. Na tym to właśnie zasadza się ich indywidualna właściwość"[45].

Było to zaiste powszechne prawie w tej epoce, jeśli nie w całym stuleciu przekonanie, że cywilizacja naukowa i techniczna jest z natury swojej „jednostajna", że homogenizuje myśli ludzkie i niweluje w swoim zasięgu wszystkie lokalne różnice kultur. Tyle że jedni widzieli w tym zysk, a inni stratę. Liberał cieszył się, że wszystkie narody posiądą tę samą prawdę, wolność i przemysł i dzięki temu potrafią się zbliżyć i porozumieć; nie żal mu było pstrej mozaiki archaicznego świata. Romantyk, przeciwnie, każdemu plemieniu chciał pozostawić jego własną, z przeszłości wyczerpniętą prawdę i nieprawdę.

---

[45] Z artykułu Mochnackiego pt. *Czy godzi się uważać tłumaczenia z obcych języków za szkodliwe w polskiej literaturze?*, „Gazeta Polska" 1827, cyt. wg: A. Zieliński, op. cit., s. 47.

> Wszelkiej fizycznej różnicy ludów – wywodził w duchu Herdera – odpowiada pewien temperament, pewien stopień myślenia i czucia, pewien kierunek i właściwa siła ducha, a dopiero całość tego usposobienia objawia nam bezkresowe bogactwo i bezdenność ludzkości. [...] Przypuśćmy ludzkość jednakowo ukształconą, jednakowość wszystkich ludów. Jakże jednostajnym, pustym i bezbarwnym wydawać by się musiał świat w porównaniu z rozmaitym ogrodem ludów przeszłości. Gdyby filozofowie zamienić mogli wszystkie strumienie ludów w jeden ocean powszechnej ludzkości, nie pozostałoby poetom, jak wzdłuż strumieni wracać się do źródeł i do gór, które się wznoszą na widnokręgu historii[46].

Czy jednak nie mylili się i filozofowie, i poeci, i to w tym właśnie, w czym byli ze sobą zgodni? Prawda: ogród ludów przeszłości był rozmaity, ale tylko dla rzadkiego podróżnika, który mógł przebiegać z kraju do kraju, ciesząc się dziwnością egzotycznych wiar i rytuałów, wielością upraw i kształtów narzędzi, bogactwem ludowych podań i pieśni. Jak po nim cieszyć się mógł historyk i poeta. Ale ten sam średniowieczny świat był najbardziej jednostajnym dla człowieka, który od kolebki do grobu nie wyszedł poza krańce swej wsi i takie widział świata koło, jakie tępymi zakreślał oczy. I który rozmaitości nie znał, nie cenił i nie pożądał.

To prawda, że posłańcy cywilizacji – kupiec, nauczyciel, geometra, poczmistrz – wdzierając się do tej rodzinnej jego osiadłości przynosili mu nowe i obce formy życia, niszcząc przy tym niejeden starożytny obyczaj. Zarazem jednak, przełamując odosobnienie lokalnej społeczności, otwierali jej dostęp do innych światów. Rozwój nowoczesnych środków komunikacji, krzyżowanie się wpływów kulturalnych, masowe wędrówki ludzi i rzeczy powodują wszak powstawanie bogactwa nowych form i idei. I wraz z tym dają coraz większej liczbie ludzi nieznaną przedtem możliwość wyboru. Jeden z paradoksów cywilizacji nowoczesnej polegał więc na tym, że jej młyny bez ustanku pracowały nad ujednoliceniem wyobrażeń, uczuć i myśli, a kultury narodowe od tego nie ubożały, a świat nie stawał się mniej, niźli był, różnolity.

---

[46] *Walter Scott i jego wiek współczesny*, „Gazeta Polska" 1828, s. 731–732.

Z początkiem dziewiętnastego wieku dawały się już dostrzec obie strony procesu cywilizacyjnego: upodobnianie i urozmaicanie życia. Rzecz to jednak zrozumiała, iż inteligencja kraju, który więcej wzorów kulturowych bierze, niż daje, łatwo może ulec trwożnej obsesji ujednakowienia. A wtedy stereotypowi homogenicznej cywilizacji przeciwstawia obronny stereotyp homogenicznego narodu.

Już starożytni historycy i geografowie opisywali charaktery plemion tak, jak opisuje się charakter pojedynczego człowieka, i – jak dobrze wiadomo – ten sposób antropomorfizacji wielkich i zróżnicowanych zbiorowości do dziś nie wyszedł z użycia. Ale szczególnie upodobała go sobie literatura filozoficzno-polityczna przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Z przeszłości narodów odczytywano ich charakter, z charakteru ich przyszłość. W polskim piśmiennictwie około roku 1815 nadzwyczajną popularność zdobyły sobie zbiorowe autoportrety: nie było prawie pisarza, który by nie opisał „przyrodzonego usposobienia" Polaków, nie wyliczył ich cnót i wad, ale cnót przede wszystkim. Zajmowali się tym klasycy i romantycy, Niemcewicz i Brodziński, Mochnacki i Lelewel, i dziesiątki pomniejszych autorów. Każdy wizerunek był trochę inny, wzięte razem tworzą długą, raczej monotonną, choć nie wolną od sprzeczności listę przymiotów[47]. Bodajże jednak nie znalazł się wówczas nikt, kto by napisał, że Polacy byli i są rozmaici.

Rozmaite miały być narody pomiędzy sobą, nie w sobie. Polacy moralnością, upodobaniami i obyczajem mieli się odróżniać od innych narodów, ale pośród siebie wypadało im być mniej więcej jednakowymi, aby skutecznie stawić tamę i skutkom zaborów, i zarazie cudzoziemszczyzny. Ale to było dopiero jedno, obronne i zachowawcze zadanie, jakie udźwignąć miała narodowość. Drugim było wytężenie własnego geniuszu, własnych sił twórczych w myśli, w sztuce, w walce o wolność. Twórczość zaś i zuchwały czyn wymagają wielkości jednostkowej, współzawodnictwa ambicji i talentów, a więc r ó ż n o ś c i. Przeto romantycy, którym drogie

[47] Zob. I. Chrzanowski, op. cit., s. 188–192; oraz A. Zieliński, op. cit., s. 99–115.

były oba zadania, od początku uwikłali się w nieuleczalną antynomię elitarnego indywidualizmu i psychicznej kolektywności: buntując się przeciw więzom i konwencjom pętającym wzlot myśli, chcieli zarazem wierzyć, że podmiotem poznania i przeobrażania świata będzie – tak u Mochnackiego – jeden „umysł ogólny narodu", który „te same władze i usposobienia mieć musi, jakie ma umysł każdego pojedynczego człowieka"[48].

Popularna psychologia zbiorowa chętnie uwydatniała różnice regionalne – na przykład charakteru Wielkopolan, Mazurów, Litwinów – traktując je jako odmiany jednego kolektywnego wzorca, opierającego się działaniom czasu. Nic dziwnego, że za wzór prawdziwego charakteru narodu brano coraz częściej hipotetyczny charakter nie szlachty już, lecz l u d u: bo lud był najbardziej pierwotny, nie tknięty obczyzny połyskiem i zupełnie nie zindywidualizowany.

Nie był to zabieg całkiem nowy. Już przecież Franciszek Jezierski, polityczny radykał, krytyk feudalizmu, w narodowości upatrywał niezbędny czynnik zachowawczy. Trwałość narodu – przekonany był – zależy od trzymania się przezeń „jednostajnego sposobu życia". Toteż nie szlachtę, wszędzie jakoby w Europie podobną i goniącą za nowościami mody, lecz pospólstwo uznał za ostoję narodowego charakteru[49]. Pogląd, iż istota narodowości ukryta jest w duszy i obyczajach ludu, nie był więc – jak mniemają niektórzy badacze – „na wskroś romantyczny"[50]. Upowszechnił się, to prawda, w latach dwudziestych[51], ale powtarzany był w podobnym Jezierskiemu wysłowieniu: romantycy szli tutaj tropem niechętnych kosmopolityzmowi pisarzy polskiego Oświecenia.

---

[48] M. Mochnacki, *O literaturze polskiej*, s. 45. Zob. też S. Pieróg, *Maurycy Mochnacki: studium romantycznej świadomości*, Warszawa 1982 (zwłaszcza rozdz. II).

[49] F.S. Jezierski, *Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane*, w: *Wybór pism*, Warszawa 1952, s. 218, 244.

[50] Por. Z. Klarnerówna, *Słowianofilstwo w literaturze polskiej lat 1800 do 1846*, Warszawa 1926, s. 46–47.

[51] Przykłady u A. Zielińskiego, op. cit., s. 61, 85, 112–113, 156–157, 173 i in.

Oczywiste jest, że związanie koncepcji charakteru narodowego z jednostajnym sposobem życia ludu czyniło ją jeszcze wyraźniej przeciwstawną idei przyspieszenia przemian cywilizacyjnych. Równie oczywiste, że z biegunowego przeciwstawienia tych dwu idei nie mógł wyniknąć żaden realny program rozwoju kultury narodowej. Poza garstką maniakalnych słowianofilów, którym – jak Aleksandrowi Sapieże czy Zorianowi Dołędze-Chodakowskiemu – roiło się jakieś odrodzenie prasłowiańskiej ludowej patriarchalności, nikt naprawdę nie pragnął odosobnienia Polski od Zachodu, od jego myśli i technologii. Z drugiej strony nikt nie pragnął takiego zeuropeizowania Polaków, które by zatarło swoiste cechy ich historycznego dziedzictwa z językiem włącznie. Żyjąc wyłącznie problematyką europejską, myśl polska skazywałaby się na nieuleczalną wtórność i nieprzystosowanie do szczególnej sytuacji ubezwłasnowolnionego narodu. Żyjąc wyłącznie problematyką własną, skazywałaby się na parafiańską izolację i uwiąd.

Dzieje europejskich narodów i kultur nie mogły być ani zupełnie wspólne, ani osobne. Myśl polska, borykając się bezprzestannie z dylematem „cywilizacja a narodowość", szukała bądź granicy obu królestw, bądź magicznej formuły jednoczącej. I wcale nie jest najważniejsze, jak w polemikach przebiegała linia frontu: komu milsza była cywilizacja, naśladowanie Zachodu i pejzaż przyszłości, komu zaś narodowość, kulturalne samorództwo i pejzaż wieków minionych. Konflikt rozgrywał się bowiem w każdym umyśle, usiłującym ująć w kategorie niesforny strumień zdarzeń i marzeń epoki.

Kombinacją najprostszą było rozgraniczenie stref. Bezsporne było, że twierdzą narodowości są język i dzieje ojczyste. Łączył je razem Niemcewicz, kiedy w roku 1809 pisał, że „w powszechnym ojczyzny rozbiciu m o w a j e d n a została się na wierzchu powodzi, która nas zalała, a z mową została się p a m i ę ć dawnego jestestwa naszego"[52]. I nawet nie tak bardzo trapiono się tym, że granice polskiej mowy nie pokrywały się z granicami narodowych dzie-

[52] J.U. Niemcewicz, *Odezwa w sprawie synonimów polskich* (1809), wg: A. Kraushar, op. cit., księga II, t. II, Kraków 1902, s. 229.

jów. Ważna była obrona tej twierdzy przed intruzami. „Póki w polskich komnat ściany/ Gwar o b c z y z n y nie zawita,/ Póty próg nasz nieskalany,/ Póty Polska nie zdobyta" – wierszował klasyk Franciszek Morawski[53]. Bo właśnie obumierający klasycyzm powołał do broni całą drużynę wartowników mowy, obrońców starej pisowni, spolszczaczy terminów naukowych, z braćmi Śniadeckimi, Niemcewiczem, Koźmianem na czele. Obwiniani przez romantyków o niewolnicze trzymanie się obcych poetyk, odwzajemniali się, tropiąc obce wyrazy, jakimi Mickiewicz zachwaszczał polską mowę.

Mimo wszystkich alarmów język sfer oświeconych odmładzał się, przyswajał sobie – zwłaszcza z francuskiego – mnóstwo nowych słów, zmieniał frazeologię i składnię, gubiąc po drodze wiele jędrnych staropolskich wyrażeń, ale przecież ani przez chwilę nie groziło mu obumieranie: wkrótce, pod piórami Mickiewicza, Słowackiego, Fredry miał znów zadziwić swą niespożytą giętkością i urodą. Gorzej niż język miały się stare obyczaje. Mało zmienione trwały zwyczaje chłopskie, ale szlacheckie już tylko w co głuchszych wsiach i zaściankach, choć i tam – jak widać choćby w *Panu Tadeuszu* – obce i nowe, oczywiście śmieszne, wdzierało się przez mury staropolszczyzny. W Warszawie, w miastach i dworach Królestwa, zaboru pruskiego, Galicji Zachodniej przemiany życia codziennego były ogromne. *Szkoda wąsów* – pisał Dmuszewski, ale sumiaste wąsy, kontusz, karabela, patriarchalne wychowanie, herbowe szlachectwo znikały z codzienności, przestawały być normą, stawały się narodowymi s y m b o l a m i od święta, rekwizytami teatralnymi. Europeizacja ubioru, obyczaju, wychowania i polityki szła ławą – i im bardziej postępowała, tym częściej rozpaczano nad zacieraniem się cech narodowych.

Nie wszyscy jednak. Ci, którym szczególnie droga była idea postępu (jakkolwiek by go sobie wyobrażali), starali się ograniczyć narodowy rezerwat tak, aby nie przeszkadzał wprowadzaniu zmian społecznych. Staszic w późnych swych latach, kiedy tworzył futuro-

[53] F. Morawski, *Mowa polska*, w: *Zbiór poetów polskich XIX w.*, wyd. P. Hertz, t. I, Warszawa 1959, s. 524.

logiczną wizję ludzkości zrzeszonej, traktował „narodowość" z respektem, ale i z domieszką zniecierpliwienia, jako zbyt wygodną tarczę dla osłony „samolubstwa". Uznawał więc, że każdy naród winien strzec „wyłącznej rodowitości", unikać małżeństw z obcymi i za nietykalne uważać groby ojców, ziemię, język, nazwy i „znamiona", czyli jednoczące go symbole. Ale „rządy, prawa, broń, obyczaje, wychowanie, nauki są - jak rozum i cywilizacja - wszystkim narodom wspólne. One z rozszerzaniem światła, z rozwijaniem się cywilizacji [...] zmienić się i postępować muszą"[54].

Podobną czujność wykazywali wileńscy liberałowie z Towarzystwa Szubrawców, którzy chęć podciągania staroszlacheckich nawyków i pretensji „pod święte imię narodowości" uważali za „obelgę dla narodu"; albowiem „cywilizacja wymaga, żeby się otrząsnąć z p r z e s ą d ó w i śmieszności krajowe dobrymi przymiotami zastąpić, korzystając z przykładu obcych ludów i powszechnego wieków i narodów doświadczenia"[55]. Przestrogi podobne rozlegały się w prasie liberalnej jeszcze w czasie powstania listopadowego. Ich polemiczne ostrze skierowane było przeciw konserwatywnemu kultowi narodowości, który „pod paszportem tego świętego wyrazu chce w nasz stan prawny i polityczny wcielić defraudacyjnym sposobem zasady, których epoka dawno już minęła"[56], a więc przywileje szlachty i kościoła, pańszczyznę, elitaryzm w prawach cywilnych czy obywatelskich.

Tak więc w języku liberałów narodowość oznaczała przywiązanie do ojczyzny dotrzymującej kroku postępowi europejskiemu, w języku tradycjonalistów zaś oznaczała nienaruszalny rezerwat kultury i układów społecznych. Na tej osi przeciwieństw nie da się natomiast pomieścić prekursorów romantyzmu, którzy chcieli Polski n o w e j, zdemokratyzowanej, tworzącej nieznane idee i formy życia, ale tworzącej je z s i e b i e, nie kopiującej. Polski zmieniającej swój charakter, ale nie tracącej go. Zachowawczej i rewolucyjnej

[54] S. Staszic, *Narodowość*, w: *Pisma filozoficzne i społeczne*, opr. B. Suchodolski, t. II, Warszawa 1954, s. 278.

[55] *Listy indyjskie*, loc. cit.

[56] „Merkury" 1831, cyt. wg: A. Zieliński, op. cit., s. 267.

z a r a z e m. Europejskiej, a jednak istotnie różniącej się od wszystkich narodów.

W tej optyce spory o granicę między domeną cywilizacji a domeną narodowości traciły sens: chodziło o ich zjednoczenie, o to, aby cywilizację jako taką unarodowić. To znaczy: uczyć się, korzystać z jej odkryć i dokonań, ale odciskać na nich odróżniające słowiańskie piętno. Tak Kazimierz Brodziński wyczarowywał piórem ucywilizowaną polską Arkadię albo Szwajcarię, krainę pracowitych, spokojnych i szczęśliwych rolników[57]. Tak Mochnacki...

Z Mochnackim sprawa była bardziej złożona. Mochnacki – jak się rzekło – był zaciekłym przeciwnikiem takiej nowoczesności, która zacierała swoiste cechy narodowych kultur. Jakie? Już przed nim od łatwo postrzegalnych, „zewnętrznych" oznak narodowości, takich jak język i zwyczaje, odróżniano „sposób myślenia i czucia"[58]. Dla Mochnackiego to właśnie było samą esencją narodowej kultury: wyobrażenia, uczucia i myśli. Otóż cywilizacja, która swoistość tej esencji niszczyła, była cywilizacją „fałszywą". Prawdziwa bowiem szanowałaby indywidualność ducha narodu: „przez cywilizację rozumieć n a l e ż y: *moc, dzielność i stateczne, bezprzestanne objawianie się i wyrażanie tego ducha we wszystkich nawzajem umiejętnościach, we wszystkich naukach, we wszystkich tworach ludzkiego umysłu*; krótko mówiąc, *w powszechnym systemie działań i poruszeń myśli całego narodu*"[59]. Fałszywą zatem jest ta europejska cywilizacja, jaka istnieje prawdziwie, prawdziwą ta, jaka może się dopiero narodzić poprzez „rozszerzenie ojczystego rodowitego *ja*" aż do ogarnięcia nim „wszystkiego rodu ludzkiego"[60].

Mochnacki, jak nikt przed nim, a niewielu po nim, był przejęty problemem oryginalności, kluczowym problemem wszystkich kultur rozwijających się w stanie silnej zależności od obcej myśli i od

---

[57] Zob. A. Witkowska, *Kazimierz Brodziński*, Warszawa 1968, s. 215, 221, 236 i in.

[58] Tak np. „Dekada Polska" 1821, wg: F. Pepłowski, *Słownictwo i frazeologia polskiej publicystyki okresu Oświecenia i Romantyzmu*, Warszawa 1961, s. 115.

[59] M. Mochnacki, *O literaturze polskiej*, s. 69.

[60] Ibidem, s. 77.

obcej normy. Nie pragnął bynajmniej intelektualnej izolacji Polski, ale czuł, że wielką szansę kulturze polskiej daje właśnie i n n o ś ć, nie wtórność. Twórczość, nie naśladownictwo. Ustawicznie powtarzał, że nie dość jest myśleć „cudzą głową", pielęgnować owoc „cudzej pracy", pojmować rzeczy „cudzem rozumieniem". Polska myśl jest wciąż niesamodzielna, płytka i daremnie spodziewa się wzbogacenia dzięki tłumaczeniom dzieł obcych. Daremnie, albowiem

> łatwość osiągnienia najważniejszych rezultatów w zawodzie umysłowym za pomocą przekładów, z b y t r o z s z e r z o n a znajomość obcych języków, na koniec rozległa przestrzeń, która sprawy naszego codziennego życia oddzieliła od świata poważnego myślenia, rozumowań i badań, wszystko to zapowiada u nas epokę odrętwiałości, a może i zupełnej stagnacji umysłowej. Tłumaczenia więc, jako najwięcej sprzyjające tej stagnacji, nie tylko pod względem języka, lecz oraz pod względem wyobrażeń i myśli, które nim wyrażamy, są s z k o d l i w e.

Za czym następował argument, że przecież Montaigne, Montesquieu, Kant, Fichte i inni pisali rzeczy o r y g i n a l n e, a nie tłumaczyli ani naśladowali[61].

W tej sprawie pożytku lub szkodliwości przekładów Mochnacki (tak jak i Szaniawski, mentor jego młodych lat) brnął w sprzeczności, wikłał się i wycofywał. Literaturę i filozofię polską chciał wyzwolić z pokornego przeżuwania myśli już g o t o w y c h, uczynić ją wyrazem narodowej samowiedzy i partnerem europejskiego dialogu, ale Jana Śniadeckiego i wszystkich empiryków atakował za to właśnie, że chcieli umysłowość polską osłonić przed „zarazą" metafizyki niemieckiej, dzięki której zdziałane zostało prawie wszystko, czym ostatnio odznaczyła się polska literatura, sztuka i myśl naukowa. Bo też program intelektualnego samorództwa narażony był zawsze na niekonsekwencje podobne do tych, w jakie wpadał protekcjonizm przemysłowy. Autarkia i cła graniczne mogą ułatwić rozwój własnej produkcji, ale nie uczynią jej zdolną do sprostania międzynarodowemu współzawodnictwu. Mochnackiemu i jego współczesnym marzyło

[61] M. Mochnacki, *Pisma krytyczne i polityczne*, t. I, s. 87–90.

się stworzenie oryginalnej filozofii p o l s k i e j, która byłaby „nauką własnego sądu": do tego wszak usposabia nas „nasze niebo pochmurne, nasze powietrze dżdżyste i słotne, nasze wspomnienia melancholijne, żałosne"[62]. Jeśli jednak filozofia ta miała dociekać prawd powszechnie prawomocnych i ważnych, to nie mogło jej wystarczyć pochmurne niebo: odkryć dokonuje się wtedy dopiero, gdy się dotarło do tych granic poznania, jakie współcześnie osiągnęła myśl powszechna. Toż i Mickiewicz, zanim został na wskroś o r y g i n a l n y m poetą, był wprzód jednym z najbardziej wykształconych i chłonnych Polaków swego czasu, wybornie obznajmionym ze szczytowymi osiągnięciami literatur europejskich i wprawiającym się w ich naśladowaniu. Nie przez tłumaczenia, lecz przez odgradzanie skazuje się kultura na wtórność.

W piśmiennictwie epoki romantycznego przełomu problem ten jest skłębiony, nie domyślany do końca. Mochnacki chciał usłyszeć narodowy ton, polską tajemnicę – w literaturze, w sztuce, w filozofii. A w fizyce? Nie, w fizyce nie, bo fizyka należy do tej krainy rozumu, która rządzi się jednymi dla wszystkich prawami logiki i postępu: „Dlatego to nauki i umiejętności są wspólną własnością wszystkich wieków i narodów, gdy twory natchnień i uczuć [...] nigdy nie zakwitną w obcym wieku lub na obcej ziemi"[63]. Autor rozprawy *O duchu i źródłach poezji w Polszcze* powracał więc do prób rozgraniczenia strefy cywilizacji i strefy narodowości. „Geniusz Euklidesa, Newtona i Keplera korzystnie użytym, przywłaszczonym i zastosowanym być może w każdym wieku i w każdym narodzie" – pisał, jak napisać by mógł każdy człowiek Oświecenia. Ale i tego nie był całkiem pewny, bo wciąż obawiał się, że nadmierne czytanie dzieł obcych powściąga polot myśli własnej. Ostrzegał więc, że „tłumacząc Keplerów, Galileuszów, Leibnizów, nie pomkniemy się do najwyższych zagadnień umysłu ludzkiego, n i e r o z s z e r z y m y j e g o g r a n i c, nie zgłębimy odwiecznych praw przyrodzenia. Rozumować jest to żyć"[64].

[62] Ibidem, s. 213.
[63] Ibidem, s. 80.
[64] Ibidem, s. 80–81, 90.

Pogardzani przez romantyków empirycy wiedzieli już, że „rozumowanie" bywa płodne jedynie wtedy, gdy się stanęło na ostatniej rubieży wiedzy przedmiotowej, jak stanął był na niej swego czasu Kopernik. Ale dla Mochnackiego rozumowanie było przede wszystkim przejawem geniuszu plemiennego. Na wykutym przez Thorvaldsena pomniku krytyk nasz dopatrzył się więc „sarmackich rysów twarzy polskiego astronoma" i zdało mu się, „jakoby to był reprezentant dzielności umysłowej całego narodu naszego i wszystkich bratnich plemion"[65].

Mimo wszystko trudniej było odcisnąć narodowe piętno w astronomii, fizyce i technice niż w filozofii, i trudniej w filozofii niż w historii i poezji. Tym samym idea narodowości w wykładni romantycznej sprzyjała uformowaniu się takiego wzorca kultury polskiej, w którym literatura, historia i spekulacja filozoficzna zajęły miejsce naczelne, a nauki o przyrodzie, ekonomia, technika czy medycyna – zgoła poślednie.

Miało to doniosłe konsekwencje. Cywilizacja naukowo-techniczna jest ze swej natury ekstrawertywna, nastawiona na zwiększanie sprawności poznawczych tudzież manipulacyjnych wedle reguł niezależnych od tego, kto i gdzie je stosuje. Kultura zdominowana przez literaturę i filozofię dziejów jest introwertywna: jakoż jej główną u nas troską stało się drążenie polskiej duszy, aby naród pojął sam siebie, swój los i jego znaczenie dla świata. Zrozumienie takie wymaga doskonalenia nie narzędzi badawczych, lecz władz intuicji, nie przyrostu wiedzy, zawsze cząstkowej i wyspecjalizowanej, lecz oglądu całościowego w olśnieniu duchowej iluminacji; nie techniki stopniowego przekształcania krajobrazu naturalnego i społecznego, lecz sposobu tworzenia, przeżywania i utrzymania wspólnoty, zbiorowego narodowego „my".

To przeciwstawienie jest oczywiście wyostrzone, albowiem obie orientacje, ta wsobna i ta inżynierska, występują obok siebie w kulturze każdego kraju. Dobrze, jeśli się równoważą. W polskiej świadomości kulturalnej, począwszy od lat dwudziestych dziewięt-

[65] Ibidem, s. 193.

nastego wieku, równowaga ta została zwichnięta na rzecz autorefleksji i narodowej psychoterapii. Nic w tym dziwnego: czołowi twórcy działali tu przecież pod przemożnym moralnym imperatywem utrzymania zbiorowego poczucia tożsamości narodu rozczłonkowanego przez trzy obce potęgi i pozbawionego instytucji scalających. Co więcej, to poczucie wspólnej tożsamości miała co najwyżej szlachta i inteligencja. Nie miał go lud, a jednak on to właśnie – jak się rzekło – uznany został przez wielu za samą ostoję rdzenności i narodowości: on, któremu wiedzę o tym, że w ogóle istnieją jakieś narodowe ojczyzny, trzeba było dopiero wyłożyć, i to w warunkach, kiedy jego emancypacja prawna, ekonomiczna i umysłowa ledwie się rozpoczynała. Ten tragiczny paradoks zaciążyć miał nad całą naszą historią wieku dziewiętnastego. A to jeszcze nie wszystko: bo nadto trzeba było utrzymać więź z Zachodem, świadomość wspólnej z nim sprawy wolności i społecznego postępu i dbać, aby to było przywiązanie wzajemne i na równej stopie; uczyć się ciągle od obcych, a przecież wyzbyć się kompleksów niedojrzałego ucznia.

Kultura umysłowa, mająca przed sobą taki splot zadań – zadań, których żadnym rewolucyjnym cięciem rozwiązać się nie dało, które można było tylko stale sobie u ś w i a d a m i a ć – taka kultura nie mogła pozostać empiryczną i utylitarną, nie mogła się obyć bez mitów. Mity historyczne są konstytutywną częścią każdej bodaj kultury, ale w narodach, które doświadczyły wielu upokorzeń, mity zyskują sobie przemożną nad umysłami władzę i organizują świadomość społeczną.

Szczególnie funkcjonalne były pod tym względem m i t y p i e r w s z e ń s t w a, konstruowane obficie od początku dziewiętnastego wieku. Pozwalały one Polakom bez uszczerbku dla ich dumy narodowej przyjmować wybrane elementy programu współczesnej europejskiej cywilizacji w przekonaniu, iż w Polsce były one realizowane w c z e ś n i e j; a chociaż winy szlachty i katastrofy dziejowe przerwały ów cywilizacyjny wątek, spychając Polskę na miejsce w Europie podrzędne, to przecież można jeszcze związać na powrót nić tradycji. Tak oto ambicją preromantycznego odłamu

polskiej myśli liberalnej stało się wykazanie, że naród polski s a m w s o b i e odnajdzie siły, a w swej historii wzory potrzebne do tworzenia kultury n o w o c z e s n e j, ale nie naśladowczej. Wydobycie się z zacofania miało zatem wymagać nie tyle wdrażania zachodnich innowacji prawnych, gospodarczych czy technicznych, co odbudowy cennych jakości życia rodzimego z epoki poprzedzającej upadek.

Polska myśl porozbiorowa sięgała w tym celu do Wieku Zygmuntów, do Kazimierza Wielkiego lub – do czasów przedhistorycznych. Z zapałem i miłością odkrywano pradzieje Słowiańszczyzny: że zaś skąpe i nader niepewne przekazy i „pamiątki" pozostawiały ogromne pole wyobraźni, więc też i każdy badacz modelował obraz na sposób zgodny z uznawaną przez siebie hierarchią wartości. Nic dziwnego, że kiedy w czasy i w bory poprzedzające powstanie państwa Mieszka zapuścił wzrok taki promotor uprzemysłowienia i pracy cywilizacyjnej, jakim był Wawrzyniec Surowiecki, to dojrzał tam

> naród, który się kochał w muzyce, rzeźbie, malarstwie, który znał trudną sztukę lania posągów kruszcowych, naród, który wysyłając liczne nawy obciążone płodami własnego przemysłu do Grecji, Azji i Indów, opatrywał całą Europę północną w miękkie jedwabie i złoto, który założywszy pod lodowatemi osiami świata potężne miasta, ściągał na swoje targi o 500 mil wkoło ludy nieznające się ani z języka, ani z imienia[66].

Trochę inny był staroslowiański pejzaż miłośnika sielskości Kazimierza Brodzińskiego, przeświadczonego raczej, że „przodkowie nasi wielkie miasta i handel zostawiali cudzoziemcom, sami bez różnicy stanów rolnictwu się oddawali"; rolnictwo to doprowadzili wszelako do wysokiego stopnia rozkwitu, gdyż „pracowite, spokojne życie nad skarby i kunszta zbytkowe cenili"[67].

[66] W. Surowiecki, *Obraz dzieła o początkach, obyczajach, religii dawnych Słowian*, w cyt. zbiorze: *Korrespondencya w materyach*, s. 204; tegoż, *Śledzenie początku narodów słowiańskich*, Warszawa (1824?), s. 127, 164.

[67] K. Brodziński, *Listy o polskiej literaturze* oraz *O idylli pod względem moralnym*, w: *Pisma estetyczno-krytyczne*, opr. Z.J. Nowak, t. I, Wrocław 1964, s. 83, 254.

Wszystkie kierunki ówczesnego słowianoznawstwa, zainspirowane w tym przez Herdera, przyjmowały stereotypowy wzór słowiańskiej natury: łagodnej, pokojowej, uczuciowej i demokratycznej. Twórcy „cywilizacyjnych" wariantów utopii prasłowiańskiej eksponowali ponadto cnoty pracowitości, inwencji i wybitnych uzdolnień twórczych: nie wątpili na przykład, że praszczurowie Polaków znali pismo runiczne, że mieli spisane kodeksy praw, księgi święte i podania bohaterskie. Świetna ta cywilizacja, ongiś przewyższająca sąsiednie, zaginęła wprawdzie, jak tyle innych w dziejach świata, ale odrodzić się może z żywiołu rodzimego ukrytego w niezmiennej naturze szczepu.

W rekonstrukcji dziejów Polski historycznej projekcja mityczna była bardziej spętana wiedzą przedmiotową, trudniej przeto było utrzymać tezę o wyprzedzeniu reszty Europy w naukach, kunsztach lub przemyśle. Tym większej mocy nabierało przekonanie o pierwszeństwie Polski w umiłowaniu i zabezpieczeniu wolności. W tym względzie preromantyczny liberał roku 1820 brał w nawias krytycyzm wieku Oświecenia i nawiązywał wprost do idealizacji sarmackiej. Oto więc starożytna wolność polska ucieleśniona w sejmowładztwie okazywała się w pełni zgodna z tym duchem praw obywatelskich, jakim Europa niedawno dopiero, po wiekach feudalizmu i despotyzmu, została natchniona. Tym sposobem Polska zyskała sobie przodownictwo w postępie ludzkości i dziś, w latach Kongresowego Królestwa, pozostaje jej jeno rozwijanie w sobie i w pobratymcach tych zasad, które „tkwiły od wieków w narodzie naszym"[68].

Najdonioślejszy mit pierworództwa tworzył Joachim Lelewel. Sam niechętny tej „m a t e r i a l n e j cywilizacji, o jaką zachodnie strony gonią", tęż niechęć przypisał polskiemu duchowi narodowemu[69]. Zarazem przecież demokrata najszczerszy, własne swoje przy-

[68] K. Brodziński, *O klasyczności i romantyczności tudzież o duchu poezji polskiej*, w: *Wybór pism*, opr. A. Witkowska, Wrocław 1966, s. 338.

[69] J. Lelewel, *Polska, dzieje i rzeczy jej*, t. XX, s. 276; por. M.H. Serejski, *Naród a państwo w polskiej myśli historycznej*, Warszawa 1973, s. 128–129.

wiązanie do idei wolności i równości republikańskiej, w której upatrywał fundament europejskiej cywilizacji, przypisał polskim praojcom. W hipotetycznym pierwotnym gminowładztwie słowiańskim ujrzał więc zaród demokracji współczesnej, a w republikanizmie i egalitaryzmie szlacheckim dalsze jej instytucjonalne rozwinięcie. Wprawdzie idea demokratyczna spaczona została ograniczeniem swobód i praw do jednego tylko uprzywilejowanego stanu, w nim jednak przynajmniej została p r z e c h o w a n a wtenczas, gdy ani słychać o niej nie było w narodach ujarzmionych przez królów i jezuitów. Tak to Polska odbierała Anglikom, Francuzom, Amerykanom berło pierwszeństwa w stanowieniu praw człowieka i obywatela.

„Tworząc nowe – pisał Lelewel w roku 1833 – należy do niego naginać i zastosowywać dawne narodowe i n o w e z n a r o d o w e g o w y w i n ą ć. Słaba jest budowa nie oparta na wkorzenionych fundamentach"[70]. Wcześniej jeszcze, bo w roku 1831, zalecał Sejmowi, aby tworząc nowy porządek towarzyski, „w nim kojarzyć przeszłość z przyszłością, wiązać rzecz własną polską z dążnością wieku"[71]. Ta formuła znosiła w ogóle antynomię tradycji i postępu, narodowości i cywilizacji. „Rzecz własna polska" – po oczyszczeniu jej z nalotu cudzoziemskiego feudalizmu – okazywała się od wieków zbieżna z aktualnym programem demokracji europejskiej: dlatego to „nowe" dać się miało łatwo wyprowadzić z „dawnego narodowego".

Dobitnie myśl tę wyraził publicysta powstańczej lewicy:

> Podzielając konieczne europejskie dążenie, mamy swoje cnoty, swój charakter, swoje prawa, swoją historię, swoje instytucje, słowem: swoją narodowość, swoją indywidualność [...] Dogmat władzy ludu jest domowym, historycznym pomnikiem. [...] Ojczyzną politycznej wolności jest nasza ziemia, jest Polska [...]. Zasadami i instytucjami

[70] J. Lelewel, *Uprzednia myśl, czyli słowa do poszukiwań wstępne*, cyt. wg: J. Lelewel, *Dzieła*, t. II, Warszawa 1964, s. 877–878.

[71] J. Lelewel, *Trzy konstytucje polskie*, w: *Dzieła*, t. VIII, Warszawa 1961, s. 541.

liberalnymi uprzedziliśmy wszystkie narody Europy [...] należy nam instytucje wskrzesić, upowszechnić, rozprzestrzenić na wszystkich obywateli, nic nam nie trzeba naśladować [72].

Któżby tam jednak instytucje wskrzeszał po czterdziestu latach ostrych zakrętów historii, w nowym całkiem krajobrazie społecznym? Któżby je, zwłaszcza z lewicy, istotnie wskrzeszać chciał i mógł w razie zwycięskiej narodowej rewolucji? Jakie instytucje? Prawa kardynalne, konfederacje, liberum veto, poddaństwo, trybunał lubelski? Czy przeciwnie, ustrój trzeciomajowy, który przecież zrodził się z krytyki tych „domowych historycznych pomników", ale którego wpasowywanie w nową po czterdziestu latach rzeczywistość już by oznaczało ruch wsteczny? Przy pomyślnym obrocie zdarzeń wskrzesić można było ojczyznę w pomniejszonych granicach, ponadto zaś nazwy i symbole, ale nie instytucje, nie prawa, nawet nie idee. Myśl o rewolucji wpatrzonej w przeszłość była ułudą, nie dawała się ująć w realny program, a jednak stała się niezwykłym fenomenem polskiej historii sentymentalnej.

Była ułudą, bo przecież nie z przeszłości brały się ideały i cele walki, i nie szlachecko-republikańska tradycja, zakwestionowana przez reformy Oświecenia, przecięta przez rozbiory kraju, była krynicą wartości uznanych przez liberałów i radykałów polskich. Ich idee i programy były wyrazem dążeń najzupełniej współczesnych, wyrastały z analizy aktualnej sytuacji kraju i Europy. Zmitologizowana tradycja musiała je jednak uświęcić i uwierzytelnić, to, co w nich było cudze, spolszczyć, a co nowe - w skóry przyodziać, w sukmanę lub kontusz. Idealizacja przeszłości bywa cechą postawy zachowawczej, bywa i rewolucyjnej. Polskie mity pierworództwa uczyniły z niej instrument wyznawców socjalnego i cywilizacyjnego postępu.

Takie dorabianie staropolskich metryk współczesnym uniwersalnym ideom pełniło doniosłą funkcję psychologiczną. Późni wnukowie sławili wolność, równość, gospodarność i obywatelstwo daw-

[72] J.B. Ostrowski, *Przyszły król*, „Nowa Polska" 1831, cyt. wg: J. Szacki, *Ojczyzna – naród – rewolucja*, s. 244.

nych przodków, aby ta chwała na nich samych spadła dziedzictwem i pomogła wyzwolić się z kompleksu podrzędności, w jaki ich wpychała trzeźwa obserwacja położenia politycznego i cywilizacyjnego Polski. Rekurs do przeszłości wytrawionej przez genetyczny mit pozwalał polskiej elicie duchowej pozostać w obrębie cywilizacji zachodniej bez utraty poczucia narodowej ciągłości i godności. Można było brać, a czuć się dawcą, zmierzać szlakiem przetartym przez innych, ale czuć się potomkiem jego pierwszych odkrywców.

Za to u s p o k o j e n i e, za zaprzeczenie realnego przecież konfliktu między wartościami tradycji a wartościami nowoczesności, płacić trzeba było dalszym rozbudowywaniem mechanizmów obronnych. Walne usługi w tej mierze oddawał mit wyjątkowości polskiej historii, która wyrobić miała moralną wyższość Polaków nad resztą narodów kontynentu. Ten mit, nie nowy, bo z Sarmacji rodem, i nie osobliwie polski, bo w podobnej postaci znany wszystkim pewno narodom, odżywając w Polsce porozbiorowej, nie tyle zadufanie wyrażał, co lęki i roszczenia podupadłego, niegdyś świetnego rodu[73]. Był on pojemniejszy ideologicznie od teorii cywilizacyjnego przodownictwa: służył bowiem i tym, którzy w polskiej tradycji eksponowali przede wszystkim cnoty rycerskie, przeciwstawiając ją cywilizacji opartej na naukach, prawach i przemysłach. Tak Jan Paweł Woronicz, biskup i wieszcz, przywoływał dawną ideę przedmurza, głosząc, że „Polska z a E u r o p ę we krwi tonęła, a Europa za jej plecami b e z p i e c z n a, swoje światło i korzyści doskonaliła"[74]. Niefrasobliwa ta wykładnia dziejów, zapominając o potokach krwi, które chrześcijańska Europa sama sobie, bez pomocy Turków i Tatarów ulała, potrzebna była dla utrwalenia owego podziału pracy. Tak to Assarmot – „praprawnuk Sema, praszczur Noego, narodów sarmackich patriarcha" – innym szczepom

[73] Zob. J. Ujejski, op. cit., s. 87–90. Wypada tu stwierdzić, że stosując psychologiczną analizę mitów dziejowych, autor tej pracy podąża tropem przetartym przez Józefa Ujejskiego.

[74] J.P. Woronicz, *Kazanie przy uroczystym poświęceniu orłów i chorągwi polskich* (1807), w tegoż, *Pisma wybrane*, opr. M. Nesteruk i Z. Rejman, Warszawa 1993, s. 408.

pozwalał parać się i chlubić „dociekaniem przemyślnym natury", kopaniem wnętrzności ziemi, handlem i sztuką, sarmatom przeznaczając część lepszą, to jest sławę rycerską, cnoty wierności, dumy i męstwa:

> Niech się ich nauczają od was obce ludy:
> Jak słodkie dla wolności zapasy i trudy[75].

Wiadomo, jak bujnie zaowocował w poezji, filozofii i myśli politycznej podbitego narodu ów mit wyższości moralnej, idea szczególnego posłannictwa Bożego, które wypełnić się miało nie dla siebie tylko, ale dla zbawienia świata. Splatał się on równie dobrze z teorią cywilizacyjnej młodszości ludów słowiańskich, nie skażonych dotąd zimną rachubą, a przeto przechowujących w sobie ducha poświęcenia, jak z teorią ich cywilizacyjnego starszeństwa: nie były to bowiem teorie przeciwne sobie, lecz wymienne. Polska pojęta jako rycerski zakon apostołów wolności, niosących jej ewangelię na Zachód i na Wschód, czerpała upoważnienie do tej misji raz z tradycji swych walk orężnych, to znów z tradycji gminowładztwa i republikańskiego rządu.

Wyanielała się przeszłość, wyromantyczniał się liberalizm. Ten stary, łączący patriotyzm z kosmopolityzmem, strzegł polskiej mowy i idei niepodległościowej, ale nie dopuszczał argumentu z przeszłości. Uznawał, że z postępem cywilizacji zmieniać się muszą obyczaje, prawa i instytucje, i obojętne było, skąd przychodzą wzory nowych urządzeń społecznych, liczyła się tylko ich użyteczność, ich zgodność z wyznawanymi zasadami. W narodowej szlacheckiej tradycji odnajdywano niemało „szczątków barbarzyństwa", które należało odrzucić, skoro pętały naród w jego „polocie ku towarzyskim celom"[76].

Świecki ten pogląd przygasał, słabł jego wpływ na umysły publiczności. I to zrozumiałe, bo nie miał on do zaofiarowania tych mo-

---

[75] J.P. Woronicz, *Assarmot*, tamże, s. 284–287. Por. J. Ujejski, op. cit., s. 83–84; Z. Klarnerówna, op. cit., s. 62–65.

[76] Tak L. Królikowski w polemice ze „Zjednoczeniem" w 1831 r., cyt. wg: A. Zieliński, op. cit., s. 266.

ralnych i uczuciowych rekompensat, jakich od literatury i manifestów politycznych oczekuje młodzież i inteligencja ciągle upokarzanego narodu. Oczekiwane zadośćuczynienie przynosiła sakralizacja przeszłości, mity pierworództwa, posłannictwa i moralnej wyższości Polaków. Ale powtórzmy: a r g u m e n t z narodowości i historii był przeważnie pozorny. Romantyczne uświęcenie tradycji dokonywało się równie przez konserwatystów, jak przez radykalizujących się liberałów, równie przez wiernych synów Kościoła, jak przez tych, co już w zamierzchłej chrystianizacji Polski albo w jezuityzmie upatrywali zatarcie pierwotnych znamion narodowości. Wszyscy oni według upodobania swego rozmieszczali w ojczystej historii drogie swym sercom zasady, by móc je okazywać jako opatrzone pieczęcią najwyższej instancji. Tak będzie i później, po powstaniu, kiedy monarchizm i republikanizm, szlachectwo i demokracja, tolerancja i nietolerancja jednako będą się powoływały na swoją poświadczoną przez historię rdzenność. I nie bezprawnie bynajmniej, bo k a ż d y z tych programów m i a ł istotnie zakorzenienie w dziejach narodowych, każdy miał swoje antecedensy. Z historii samej przez się nie wynikała żadna wiedza o tym, co dobre, a co zgubne dla dziewiętnastowiecznej Polski, ani o tym, co naturalnie swojskie, a co cudzoziemskie, skoro się cudzoziemskie przez wieki zeswojszczyło. Tradycja nie kwalifikowała wartości, ona ratyfikowała je tylko, szczodrze i bez wyboru. Nie wyznaczała celów działania, ale użyczała im uzasadnień.

Zachwyt nad własną innością i lepszością nie był romantycznym dopiero wynalazkiem: składnik niezbywalny kultury szlacheckiej, przetrwał fale oświeceniowego samokrytycyzmu i odradzał się po każdej klęsce. Od początku lat dwudziestych powielała go literatura moralistyczno-satyryczna, chłoszcząca „etranżomanię" – korzenie się przed wszelaką cudzoziemszczyzną, której nalot niszczy, albo już zniszczył, prawdziwą wielkość Polaków[77]. Sama jednak obfitość podobnych przypowieści i moralitetów oraz ich konteksty wskazują wyraźnie, że przejawiająca się w nich duma narodowa

[77] Zob. ibidem, s. 177–184.

była w istocie defensywna, podszyta głębokim urazem odtrąconej miłości. Francja, Zachód, Europa jawią się w tych tekstach jako stały układ odniesienia polskich warstw oświeconych: stamtąd przecież – jak się już rzekło – wyglądano stale uznania, akceptacji. Niestety, odpłatą był najczęściej lekceważący brak zainteresowania, sporadycznie zaś wzgarda, przyjmowana natychmiast za narodową potwarz.

Od tej psychicznej zależności kultura polska nie umiała, a w istniejącej sytuacji politycznej i nie bardzo mogła się uwolnić: stale przeglądała się w zwierciadle europejskiej opinii, sama sobie nie wystarczała za autorytet. Jedynym *antidotum* na to cierpienie było magiczne odwrócenie szyku, to jest utwierdzenie się w przekonaniu, że wszystko, co do nas z Zachodu przychodzi, jest pośledniej jakości. Stąd krok już był tylko do uznania, że „krajowe utwory" zawsze przenosić wypada nad „obce wynalazki"[78]. Idea kulturalnej autarkii chronić więc miała nie tylko równoprawną swoistość polskiej kultury, ale nadto jej wyższy ton, jej szlachetną prostotę.

Lata Królestwa Kongresowego były rzeczywiście okresem zmasowanej infiltracji zachodniej nauki, technologii, medycyny, prawa, stylów artystycznych, ideologii i nikt, kto znaczył cokolwiek w kulturze polskiej, nie był wolny od obcych wpływów. Zarzut ulegania cudzoziemszczyźnie był przeto zawsze obosieczny: stawiali go na przykład klasycy romantykom, a ci odpłacali się tym samym – z równie dobrym prawem. A jednocześnie nawet ci, którym najbardziej leżała na sercu a u t e n t y c z n o ś ć narodowej kultury, z beztroską polemiczną niekonsekwencją potrafili gromić swych przeciwników za to, że nie chcą wiedzieć, co naprawdę ważnego dzieje się w myśli europejskiej. Tak obsesyjna gallofobia Szaniawskiego i Mochnackiego, związana z ich niechęcią do filozoficznego dziedzictwa Oświecenia, przeciwważona była – do czasu – entuzjazmem dla niemieckiej metafizyki. Podobne przykłady można mnożyć. Każdy zgeneralizowany atak przeciwko naśladownictwu okazuje się w końcowej analizie krytyką określonego w y b o r u wzo-

[78] Ibidem.

rów. A jednak ta generalizacja miała sens, tylko że nie był to sens pragmatyczny, lecz psychologiczny. Bezsilna walka z cudzoziemszczyzną była nieodzowna dla podtrzymania chwiejnej narodowej samooceny: pozwalała jednocześnie zazdrościć i pogardzać, korzystać i piętnować.

Wielu ówczesnych twórców rozróżniało wysoką i niską strefę kultury. Różnie przebiegał ten podział. Klasycy odwoływali się w tej sprawie do swoich normatywnych poetyk. Młodzi patriotyczni spiskowcy w sferze wysokiej umieszczali naczelne symbole i ideały epoki: Orła Białego, Wolność, Republikę, Konstytucję, Oświatę. Romantycy do sfery wysokiej podnosili narodową „subiektywność", to wszystko, co w kulturze służyć miało „uznawaniu się w jestestwie swoim" i „uobecnianiu się tradycji", a potem walce o niepodległość: a więc poezję, filozofię i politykę, potężne uczucia wierności i zdrady, miłości i zemsty. I tajemniczy balladowy Lud. A w sferze niskiej pozostawiali to, co „użyteczne", zwyczajne i codzienne.

Było to ustopniowanie całkiem nowe; ani się w nim dopatrzeć pokrewieństwa z anachronicznym, choć jeszcze nie całkiem zanikłym podziałem zajęć na szlacheckie i gminne. Romantyczna hierarchia sfer obca była zupełnie atmosferze umysłowej Oświecenia, z jego patriotyzmem praktycznym, zmysłem empirii i wiarą w przeobrażającą moc dobrego rządu i edukacji. Staszic po rozbiorach pierwszy uznał, że los narodów rozstrzyga się ostatecznie na polu gospodarczym, we współzawodnictwie cywilizacyjnym. Podróżując po Europie, badał produktywność i zamożność mieszkańców każdego kraju. W licznych swoich projektach edukacyjnych w Księstwie i Królestwie troszczył się przede wszystkim o użyteczność właśnie, o kształcenie młodzieży w naukach doświadczalnych, o jej przysposobienie do pracy umiejętnej w rolnictwie, górnictwie, przemyśle, komunikacjach lądowych i wodnych, w medycynie i administracji. „W tych narodach jest moc niezłomna, moc największa, które najpowszechniej rozwinięte władze fizyczne i moralne mając, znają najwięcej sposobów do użycia sił swojej masy i rzeczy swojej ziemi" – tak perorował w przededniu Wielkiej Wojny 1812 roku, przestrzegając młodzież przed zbyt pochopnym zapa-

łem wojennym, który – jeśli jest bez umiejętności i środków – „może ściągnąć narodów zatratę"[79]. A przecież nie było mu obce rozumienie tej drugiej, samoutwierdzającej funkcji kultury. Mówił w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, iż wydział literatury „obejmuje te nauki, które dawają ludom nieśmiertelność, które narodu język mogą zachować [...], przeszłe jego istnienie połączyć jeszcze z jego następnym jestestwem". Od historii żądał, „aby każdy młody czytaniem dzieł swych ojców nabierał dla nich i d l a s i e b i e szacunku, czuł zaszczyt w Polaka imieniu"[80].

Nie było w tym sprzeczności, tak jak nie było jej u wileńskich filomatów, którzy zasadę społecznej użyteczności wiedzy łączyli ze czcią dla poezji i narodowości, a nadto z pasją do filozofii dziejów. W orientacji kulturowej schyłkowego Oświecenia *logos* i *praxis* pozostawały nadal w nierozerwalnym związku.

W młode i gorętsze umysły wkradało się już jednak lekceważenie dla tych sposobów myślenia i pracowania, które nie syciły niecierpliwego łaknienia ideału, a przy tym łatwo służyły za usprawiedliwienie politycznego oportunizmu. Seweryn Goszczyński wspominać będzie, jak to porzuciwszy szkoły na Podolu w roku 1819, poniechał też myśli o studiach w Wilnie: „Do Wilna nie mieliśmy sympatii. Uważaliśmy ten uniwersytet za właściwy dla tych jedynie, którzy w nauce szukali sposobu do życia jako lekarze, profesorowie. Nie widzieliśmy życia w y ż s z e g o, odpowiedniego naszym widokom na przyszłość, ja przynajmniej prowadzony byłem celami wyłącznie politycznymi"[81].

Liberalne przymierze postawy pragmatycznej z myślą ścigającą absolut moralny miało się ku końcowi: polemika Mochnackiego z Janem Śniadeckim jest już świadectwem niemożności porozumienia. Z jednej strony drwiny z nowej poezji i metafizyki, z intuicyj-

---

[79] S. Staszic, Zagajenie publicznego posiedzenia TWPN dnia 2 I 1812, cyt. wg: A. Kraushar, op. cit., księga II, t. I, s. 274.

[80] S. Staszic, *Myśli o książkach najpożyteczniejszych* (1805), ibidem, t. I, s. 376, 378.

[81] S. Goszczyński, *Podróż mojego życia: urywki wspomnień i zapiski do pamiętnika*, wyd. S. Pigoń, Wilno 1924, s. 27.

nych albo spekulatywnych prób dociekania tajemnic egzystencji człowieka i narodu[82]. Z drugiej atak na literaturę utrzymującą niegodny związek ze „stosunkami towarzyskimi" wieku, a później także na samowładztwo „grubego empiryzmu" nauk i umiejętności, usiłujących obyć się bez „ducha systematycznego" i filozoficznej samowiedzy[83]. To nie znaczy, że Mochnacki nie uznawał cywilizatorskiej funkcji nauk stosowanych. W końcu każdy romantyk wiedział, że trzeba orać, siać i kosić, leczyć ludzi, robić mydło, budować mosty i uczyć arytmetyki. Ale to właśnie była niższa, trywialna strona kultury; ona to - przez specjalizację i popularne kompilatorstwo - prowadziła do upowszechnienia „maleńkich rzeczy, maleńkich myśli, maleńkich wyobrażeń"[84].

Zważmy, że nie z pięknoduchostwa brała się ta krytyka, nie ze wzgardy dla materialnych potrzeb społeczeństwa. Rzetelniejsze były jej powody. W przedlistopadowych pismach Mochnackiego czy Józefa Gołuchowskiego doszło do głosu dość powszechne podówczas odczucie europejskich intelektualistów, że Oświecenie pozostawiło po sobie obraz świata rozbitego. Filozofia sceptyczna pozbawiła i poznanie, i moralność gwarancji nadprzyrodzonej, a wraz z tym spajającego je autorytetu i sensu. Nauki zaś rozwijały się każda oddzielnie, organizując swoje osobne, rozdrobnione fragmenty doświadczenia. Dlatego właśnie cywilizacja współczesna jawiła się jako „fałszywa", jako „mechanizm pojęć"[85]. Przełom romantyczny

---

[82] Jan Śniadecki, *Wybór pism naukowych*, opr. Z. Libera i S. Drobot, Warszawa 1954, s. 11-33, 137-143, 165.

[83] M. Mochnacki, *Pisma krytyczne i polityczne*, t. I, s. 95-104.

[84] Ibidem, s. 345. Podobne wątki w napisanej po niemiecku rozprawie J. Gołuchowskiego, *Die Philosophie in ihrem Verhältnisse zum Leben ganzer Völker und einzelner Menschen*, Erlangen 1822; wyd. polskie: przeł. P. Chmielowski, *Filozofia a życie*, Warszawa 1903.

[85] Pojęcie „fałszywej cywilizacji" znaleźć można już w odczycie J.K. Szaniawskiego, *O znamienitszych systemach moralnych starożytności*, wygłoszonym na publicznym posiedzeniu Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w 1802 r. Koncepcję „prawdziwej" i „fałszywej" cywilizacji objaśnia dokładniej Krystyna Krzemień-Ojak, *Maurycy Mochnacki: program kulturalny i myśl krytyczno-literacka*, Warszawa 1975, s. 75-80.

żywił się tym uczuciem umysłowej i aksjologicznej czczości: ataki na empiryzm, specjalizację, eklektyzm, „płytkość umysłowości", kryterium utylitarne, wyrażały dojmujący głód syntezy, namiętne poszukiwanie uniwersalnej zasady jednoczącej naturę i przywracającej sens dziejom. Takiej zasady nauka nie mogła dostarczyć, a jej rosnące sprawności techniczne nie każdemu wynagradzały stratę. Poszukiwania prowadziły więc w różne strony: do dogmatycznej religii i do mistycznych lub okultystycznych wtajemniczeń, do metafizycznej filozofii przyrody i do ewolucjonistycznych systemów filozofii historii. W Polsce zaś szczególne były warunki po temu, aby kamień filozoficzny odnaleźć w postulacie samowiedzy – najpierw samowiedzy narodowej. Więc kiedy Mochnacki niepokoił się oderwaniem poważnych „rozumowań i badań" w Polsce od spraw codziennego życia – to nie o to mu szło, aby „badania" zniżyć do potrzeb „życia", lecz aby życie narodu uczynić przedmiotem integrującej filozoficznej autorefleksji.

Tak to zrozumienie s i e b i e, wyrażanie s i e b i e, odgadywanie własnej misji w historii świata, a wreszcie – w 1831 roku – „odgadywanie celów rewolucji" stać się miało najważniejszym zadaniem m y ś l i narodu, jego literatury, filozofii, polityki, to znaczy myśli tych, co za naród myśleli, czuli, cierpieli. Część polskiej umysłowej elity, nie tyle może liczna, co najsilniej zindywidualizowana, będzie odtąd przez dziesięciolecia żarliwie dociekała odpowiedzi na pytania: kim byliśmy, kim jesteśmy, czym stać się możemy? I doprawdy coraz trudniej im będzie znaleźć wspólny język z tymi, którzy swoją wiedzę i czas poświęcić chcieli raczej na dobywanie węgla, reformę stosunków agrarnych albo walkę z epidemiami cholery.

Były, prawda, co jakiś czas wtedy i później ponawiane próby zniesienia tego podziału na wyższy i niższy leksykon kultury. Tak Jan Ludwik Żukowski, Mochnackiego przyjaciel i rówieśnik, przeciwstawianie sobie moralnych i materialnych dążności ludzkich, a także „estetycznej" i „użytecznej" funkcji sztuki uważał za przesąd utrwalający starożytny podział sztuk na wolne i niewolnicze. Pojęcie „sztuk" biorąc szeroko, obejmując nim wszelką twórczość

i wytwórczość, pisał: „Wiek dziewiętnasty, wyjaśniwszy teoretycznie naukowe zasady sztuk, usiłuje przez ich rozpowszechnienie nadać praktycznie przemysłowi tę godność"[86]. W tej bardzo politycznej epoce był Żukowski jednym z nielicznych polskich publicystów wrażliwych na krzywdę społeczną. Gorący rzecznik zniesienia pańszczyzny, uważał ten akt za warunek postępu gospodarczego oraz dobrobytu wsi, a wraz z tym obudzenia w chłopach poczucia godności ludzkiej i świadomości narodowej. „Z tego dopiero utworzy się prawdziwa kultura narodu, z własnych żywiołów, nie pożyczanych złożona; wolne tym sposobem wszystkie sprężyny działania, posuwając w masie ogólną pomyślność kraju, doprowadzą go do tego stopnia potęgi, szczęścia i kultury, jaką dziś cieszą się ludy Anglii, Francji i Ameryki Północnej"[87]. Była to interesująca próba pogodzenia kultury szukającej sensu dziejów z kulturą wyrabiającą narzędzia.

Prób pogodzenia obu orientacji będzie jeszcze wiele, przeważnie niezbyt fortunnych. W zasadzie kultura samowiedna i kultura instrumentalna będą się w Polsce przez pół wieku rozwijały jakby niezależnie od siebie, a nawet ignorując się wzajemnie. Potrzeby każdej z nich obsługiwać będzie inna inteligencja: pierwszej – wykorzenieni spiskowcy i wygnańcy, ideologowie i poeci, drugiej – profesjonaliści.

Nie był to tylko podział zadań. Był to także podział wartości, różnica postaw. Ludzie kultury zawodowej nie brali na swe sumienie ciężaru odpowiedzialności za historyczne losy narodu, tym mniej za losy świata. Mało ich interesowały ideologiczne i mesjaniczne systematy. Nastawieni byli praktycznie, w większości skłaniali się raczej do politycznego i życiowego oportunizmu niż do buntu przeciw rzeczywistości. Powściągając wyobraźnię, nie ufając wielkim słowom i wizjom, chcieli po prostu uczyć rodaków robić dobrze to, co bez wielkiego ryzyka robić można i warto.

---

[86] J.L. Żukowski, *O sztuce*, „Gazeta Polska" 1828, s. 400.

[87] J.L. Żukowski, *O panszczyźnie z dołączeniem uwag nad moralnym i fizycznym stanem ludu naszego*, Warszawa 1830, s. 85.

Ich swoistą ideologią – jak trafnie zauważył Józef Chałasiński – była n a u k o w o ś ć, a zawodem najszczytniejszym – „powołanie uczonego i stanu nauczycielskiego". Władzy nauk – wierzyli – poddały się wszystkie sztuki i przemysły, „w nich znajduje pomoc człowiek każdego stanu, one do wszystkich stosunków społeczności weszły"[88].

Otóż z punktu widzenia uczonego – zwłaszcza przyrodnika lub matematyka – a także z punktu widzenia inżyniera, lekarza i nawet prawnika problem samorodnych wartości narodowej kultury wyglądał zupełnie inaczej niż w filozoficzno-literackiej refleksji. Polska miała bowiem szansę stworzenia prawdziwie oryginalnej, niepowtarzalnej w swym wyrazie literatury i sztuki, a także myśli historycznej i społecznej, żywiącej się dramatem losów i aspiracji pokonanego, lecz nie uległego narodu. Natomiast w dziedzinie matematyki i fizyki, chemii i technologii, rolnictwa i medycyny pretensje podobne nie mogły być brane poważnie.

Pytanie o oryginalność twórczości naukowej miało dwa różne znaczenia. Bywało, po pierwsze, pytaniem o to, czy możliwa jest nauka o cechach osobliwie narodowych: odpowiedź przecząca była już oczywista dla każdego, kto miał w tej mierze kompetencje. „Unarodowienie" nauk sprowadzało się do tego, że uczeni ówcześni przykładali się gorliwie do spolszczania terminologii naukowej i filozoficznej i wiele z ich pomysłów pozostało na trwałe w naszym języku[89]. Po drugie, można było pytać, czy uczeni polscy mają warunki do tego, aby dokonywać odkryć i wynalazków o znaczeniu uniwersalnym. I na to pytanie także trzeba było odpowiedzieć w za-

---

[88] „Pamiętnik Warszawski Umiejętności Czystych i Stosowanych" 1829, cyt. wg: J. Chałasiński, *Kultura i naród*, Warszawa 1968, s. 352.

[89] Sprawa ta była donioślejsza, niż by się dziś mogło wydawać: wprawdzie bowiem język polski już w XVI w. stał się językiem literackim, ale do potrzeb nauki i filozofii został przystosowany dopiero w pierwszej połowie XIX w.: „jeżeli chcemy upowszechnić prawdę i światło między nami, za najpierwszy fundament usiłowań naszych położyć powinniśmy, aby mowę narodową zrobić m o w ą u c z o n ą i zdolną tłumaczyć najgłębsze nauk tajemnice" – pisał w 1810 r. profesor Feliks Jaroński w rozprawie *Jakiej filozofii Polacy potrzebują?*, w cyt. zbiorze pod tymże tytułem, s. 37.

sadzie przecząco. W tworzeniu warsztatów nauk doświadczalnych Polska była o dobre pół wieku opóźniona względem przodujących krajów Zachodu i trzy polskie uniwersytety zaledwie zaczynały opóźnienie to odrabiać. W roku 1808 mówił polski astronom, że po Koperniku nie zakwitły u nas nauki przyrodzone, a także w sztukach mechanicznych „nie dopuścił bezrząd i zawichrzenia polityczne uczynić postępów mogących pójść z obcymi w porównanie"[90].

Głównym zadaniem uczonych i specjalistów polskich tego czasu nie była zatem troska o samorodność idei, lecz uczenie się od zachodnich mistrzów współczesnej metodologii i wiedzy przedmiotowej, a następnie uczenie i krzewienie jej w swoim kraju. Tego nie chciał pojąć Mochnacki, gdy biadał, że w ojczyźnie Kopernika „cudze w laboratoriach naszych powtarzamy doświadczenia". Na przemian to uznawał, że kultura naukowa rządzić się musi innymi zasadami niż sztuka i myśl spekulatywna, to znów chciał koniecznie na tę pierwszą rozciągnąć swój postulat narodowej samodzielności. „Z tych ciągłych – pisał – własną pracą, własnymi nabytkami i odkryciami doskonalonych poszukiwań rodzi się *historia nauki*. [...] Naukę trzeba mieć w s o b i e, w środku, i z nas samych, z jestestwa naszego wszelką wyciągnąć umiejętność"[91]. Brzmiało to pięknie, ale program taki, gdyby się był przyjął, skazałby kulturę naukową w Polsce na zasklepienie i uwiąd. Uwiąd ten tak czy owak nastąpił, lecz na skutek klęski powstania, która pociągnęła za sobą likwidację polskich instytucji naukowych. Romantyzm nie mógł tej katastrofy wynagrodzić: w najcięższych warunkach narodowego ucisku i wygnania rozpalił wielki płomień poezji i mitu, ale w nauce pozostał bezpłodny.

Jak widzieliśmy, w porze jesieni Oświecenia filozofia dziejów rozwiązywała antynomię narodowej tradycji i europejskiej cywilizacji w sposób werbalny: przez wynajdywanie formuły kompromisu oraz przez stosowną konstrukcję historycznego opowiadania. Tymczasem odpowiedź kraju sielskiego i dopiero wydobywającego się z feudalizmu na docierające doń wyzwanie cywilizacji industrialnej

[90] J. Łęski, *Zarys klasyfikacji nauk*, w tymże zbiorze, s. 113–114.
[91] M. Mochnacki, *O literaturze polskiej*, s. 83.

była problemem najzupełniej praktycznym, który rozstrzygał się w rządzie i sądzie, w klasie szkolnej i domowej spiżarni, na roli, na drodze i w warsztacie. W procesie wzajemnego dopasowywania się, zawsze trudnego i konfliktowego, zarówno blok narodowego dziedzictwa kulturalnego, jak blok nowej i od zewnątrz wdzierającej się cywilizacji ulegały rozbiciu na elementy składowe, te zaś z kolei – selekcji i modyfikacjom. Codzienne życie kraju nie stosowało się do wyspekulowanych systematów ani do morałów: ludzie przejmowali z obcych wzorów te, które zdawały się im przydatne, i te, które im się po prostu podobały.

Proces europeizacji nie przebiegał rzecz prosta równomiernie: w Warszawie był bardziej widoczny niż na prowincji, w głowach profesjonalistów wyraźniejszy niż w głowach szlacheckich. Takie umiejętności, jak architektura i inżynieria lądowa, mechanika i górnictwo, kredyt i ubezpieczenia, medycyna, agronomia – były jeszcze u nas w powijakach i oczywiste było, że trzeba się ich uczyć na Zachodzie albo, jeśli kto na studia wyjechać nie mógł, od sprowadzanych (nie zawsze najlepszych) specjalistów i ze sprowadzanych książek. Rozwój nauk stosowanych i sztuk „wyzwolonych", niezbędny do pchnięcia kraju na tory cywilizacyjnego postępu, popierali: Adam Czartoryski jako kurator Uniwersytetu Wileńskiego, Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk oraz rząd Królestwa Polskiego, przygotowujący nauczycieli dla Instytutu Politechnicznego, Instytutu Agronomicznego i Szkoły Górniczej. Tej samej sprawie chciały służyć powstające wówczas pierwsze polskie czasopisma zawodowe lub popularyzujące wiedzę naukową i techniczną. Była to popularyzacja nierzadko bezprogramowa, czasem na poły jeszcze dyletancka, ale takie zwykle są początki kultury naukowej, która stopniowo tylko osiągnąć może wysoki poziom kompetencji.

Ważne, że kraj, zwłaszcza Królestwo, pomimo politycznego związku z Rosją i nader ograniczonej autonomii, mimo nawet nasilającej się w rządzie i w Kościele reakcji i cenzury, pozostawał przecież otwarty ku Zachodowi. Stamtąd oprócz umiejętności sączyły się i idee: wiara w postęp, doktryna rządu reprezentacyjnego, hu-

manitaryzm w karaniu przestępców, normy mieszczańskiej moralności. Te i inne wartości, normy, teorie polityczne, przychodziły do nas ze znakiem firmowym francuskim, angielskim, amerykańskim – bez względu na to, w jakiej mierze poszczycić się mogły realizacją w swoich krajach macierzystych.

Tak więc importowane umiejętności i wzory zaczynały przeobrażać mentalność polskich warstw oświeconych, ustanawiając miary postępu praktycznie sprawdzalnego, nie metafizycznego zgoła. Namacalny też i wcale nie czcigodny był opór tradycji przejawiającej się w szlacheckiej pańskości, w puszeniu się rodowodami, w anachronicznych już nałogach obyczajowych, w rutynie pańszczyźnianego gospodarstwa, w klerykalnym oporze przeciw nauce i szkole świeckiej. Z tym bagażem historycznego dziedzictwa znacznie trudniej godziła się umiarkowana ideologia pracy cywilizacyjnej niż rewolucyjno-narodowy patos romantyków. Tu bowiem, podejmując na nowo przerwane dzieło stanisławowskiej elity umysłowej, trzeba było w życiu codziennym wykorzeniać krok za krokiem stanowe i obskuranckie uprzedzenia, aby na karczowiskach tworzyć nowe dziedzictwo krytycznego i wynalazczego rozumu. Wzorem dla profesorów, ekonomistów i przemysłowców była Anglia: ta Anglia, która w przeciwieństwie do Francji nie niszczyła swoich historycznych instytucji, ale też nie czyniła z nich zapory przeciw modernizacji życia. Dla tych ludzi narodowa tradycja nie była całością świętą i nierozszczepialną. Jakoż w rzeczy samej nie miało być tak, iżby wraz z godnościami szlachectwa zatracić się miała godność narodu albo żeby polska mowa musiała sczeznąć razem z prawem feudalnym. W tych niełatwych powiedeńskich latach kultura polska wykazała, wbrew obawom, ogromną zdolność asymilowania cudzoziemskich wytworów – słów, idei, wynalazków, stylów i praw – i łącząc je z żywotnymi członami narodowego dziedzictwa, tworzyła w języku, w myśli i w krajobrazie nowe stopy, bardziej europejskie, a nie mniej polskie.

Mimo to jednak, nawet przekonani zwolennicy modernizacji nie byli wolni od niepokoju, czy aby postęp ten nie zatrze znamion narodowości. Polsce potrzebny był przemysł, i oto przemysł rodził

się w Królestwie Kongresowym, korzystając z rządowej opieki. Chciało się, żeby to był przemysł polski, narodowy. Tak, ale łatwiej było powiedzieć, czym jest – albo czym ma być – narodowa sztuka, niż co to jest narodowy przemysł i jak go stworzyć. Rządowy Korpus Górniczy ze swym paradnym ceremoniałem mógł jeszcze od biedy nawiązać do zamierzchłej tradycji gwarectw, choć ta była raczej niemiecka niż polska. Ale przędzalnia bawełny? Do jakiej tradycji narodowej miała się odwołać mechaniczna przędzalnia bawełny? Albo cukrownia? Żukowski, pragnąc nadać napęd ruchowi przemysłowemu i budowlanemu, proponował między innymi utworzenie spółki, która by budowała w stylu narodowym[92]. Tylko że nikt nie wiedział, jaki to jest – albo ma być – ten styl narodowy w nowoczesnym budownictwie. Bo nie był chyba narodowym dominujący wówczas w monumentalnej architekturze klasycyzm corazziański. Lepiej może spełniał się ten postulat wtedy, gdy nowym fabrykom metalowym czy tkackim dawano fasadę szlacheckiego dworku.

„Unarodowienie przemysłu" stało się hasłem popularnym w przeddzień i podczas powstania listopadowego – nie bez związku z sytuacją, która w przemyśle kazała widzieć zaplecze siły militarnej. Tak inżynier Paweł Kaczyński, profesor Instytutu Politechnicznego, w spolszczeniu przemysłu widział jeden z warunków usamowolnienia narodu polskiego i dając upust nagromadzonej ksenofobii, wołał, że w Polsce „nie będzie przemysłu, póki go cudzoziemcy będą zaszczepiać, póki go wyłącznie będą dzierżyć". Logiczna sprzeczność była w tym zdaniu: bo skoro cudzoziemcy przemysł zaszczepiali i dzierżyli, to znaczy, że właśnie b y ł. Rzecz w tym, że był nie taki, jakiego chciał autor: „Póki – pisał – polskie r ę c e nie będą zdolne robić tego wszystkiego, czego naród polski potrzebuje, póki polski r o z u m nie będzie za najlepsze dla siebie uważał tego, co

[92] K. Krzemień-Ojak, op. cit., s. 138. Sam Żukowski za „pomnik stanu sztuki budowniczej narodowej" uważał domy włościańskie (*O pansczyźnie*, s. 119), co raczej trudno by było skopiować w budownictwie przemysłowym.

polskie ręce zrobiły, póty nie ważmy się stwierdzić, że mamy polski przemysł, że jesteśmy niepodległym ludem"[93].

Do stworzenia i prowadzenia przemysłu własnymi tylko rękami Polska nie miała dostatecznych kapitałów, kredytu, przedsiębiorców, wiedzy technologicznej, maszyn, mechaników i nawet wykwalifikowanej siły roboczej. Sam Kaczyński, jak większość wybitniejszych techników z jego pokolenia, uczył się fachu na Zachodzie. Program przemysłowej autarkii był mrzonką nawet w znacznie bardziej zindustrializowanych krajach i bliższe by było prawdy twierdzenie przeciwne przytoczonemu: że polskiego przemysłu n i e b ę d z i e, jeśli go cudzoziemcy nie zechcą zaszczepiać. Niemniej pragnienie, aby mieć w kraju silny przemysł i handel, ale bez obsługujących go i czerpiących zeń zyski cudzoziemców, było odtąd wątkiem polskiego nacjonalizmu ekonomicznego przez cały wiek dziewiętnasty; zresztą jest to marzenie mieszczaństwa i inteligencji każdego rozwijającego się kraju.

Chcąc doścignąć bardziej zaawansowane cywilizacyjnie kraje lub tylko nie powiększać dzielącego od nich odstępu, trzeba wprzód uznać, że się pozostało w tyle. W Polsce odkrycia tego dokonał Stanisław Konarski i jego następcy i nigdy nie zostało ono przedawnione. Świadomość zacofania jest jednak zawsze dotkliwa dla dumy narodowej, a szczególnie wtedy, gdy sprzęga się z upośledzeniem politycznym: wówczas zależność cywilizacyjna jawi się łatwo jako dopełnienie podboju zbrojnego, choćby nawet, jak w Polsce, od innej przychodziła strony. Obie zależności razem zdają się zagrażać samemu już przetrwaniu narodowej wspólnoty, a zagrożenie to wyzwala mechanizmy obronne. Z nich najskuteczniejszym jest upodrzędnienie mierzalnych wartości cywilizacyjnych – takich jak zasoby materialne kraju, wytwórczość i wyżywienie ludności, stan oświecenia i higieny, samorządność miasta i gminy – i umoco-

[93] P.J. Kaczyński, *Jak można usamowolnić cały naród polski?*, „Gazeta Polska" 1831, cyt. wg: A. Zieliński, op. cit., s. 188, 248. Podobnie pisał J.L. Żukowski, *O panszczyźnie*, s. 149: „Obce ręce nie są zdolne pojąć nawet właściwego nam piętna, a tem bardziej przyczynić się do bogactw naszych".

wanie ponad nimi kopuły wartości idealnych, które nie układają się w szereg liniowy, a przeto najbardziej nawet wynędzniałym i lekceważonym narodom dać mogą poczucie wielkości i mocy.

Powstanie listopadowe potwierdziło sens takiego przewartościowania. Bo czyż nie wypełniło się słowo? Polska znów była przedmurzem Europy. Powstańcze gazety, deklaracje sejmowe, wiersze ulotne gruntowały przeświadczenie, że wyzwanie rzucone carowi przez Polskę, osłoniwszy francuską rewolucję lipcową, staje się przełomowym wydarzeniem dziejów powszechnych. Najpierw wprawdzie Orzeł Biały wzbił się w niebo, zapatrzony znów „w tęczę Franków" i „Słońcem Lipca podniecany"[94], ale już wkrótce potem od wyniku bitew na równinie Mazowsza zależeć miał los wolności ludów: „zwycięstwo nasze zwycięstwem Rodu Ludzkiego zostanie, albo przegrana nasza w tył na kilka wieków go odepchnie" – przepowiadał jeden z publicystów[95]. A nazajutrz po potyczce pod Stoczkiem, kiedy armia Dybicza podchodziła pod Wawer i Grochów, pisała powstańcza gazeta:

> Wstrzymujemy nad przepaścią cywilizację, wolność i z nią wszystkie największe dobra ludzkości. Utrzymujemy przed mieczem północnego barbarzyńcy światło, prawa, chwałę, na które tyle wieków pracowały ludy zachodniej Europy. Nigdy jeszcze przeznaczenie żadnego narodu na świecie nie było wznioślejsze, jak jest obecnie nasze[96].

Detronizacja Mikołaja i wojna polsko-rosyjska przyniosły wyzwolenie z kompleksu rozbiorów. Przez tyle lat Polska była ledwie p r z e d m i o t e m polityki mocarstw. I oto wracała na scenę świata z własnej woli jako podmiot, podmiot przede wszystkim moralny. W słynnej mowie Brodzińskiego *O narodowości Polaków*, wygłoszonej w czterdziestą rocznicę Konstytucji 3 Maja, rozżarzył się mesjanizm ofiary. Antynomia narodowego i ludzkiego rozwiązywa-

---

[94] Słowa *Warszawianki* Delavigne'a w przekładzie Karola Sienkiewicza, w: *Zbiór poetów polskich XIX wieku*, t. I, s. 734.

[95] L. Łętowski, *O sprawie narodu polskiego*, b.m.w. 1831, s. 61. Zob. też liczne przykłady u J. Ujejskiego, op. cit., s. 271–300.

[96] „Nowa Polska" 17 II 1831, ibidem, s. 315.

ła się na poziomie najwyższym: po to bowiem Polacy strzegli od wieków własnych swobód i praw, aby się stali zdolnymi do obrony wolności i współdziałania wszystkich ludów, a przeto pod jarzmem północnego despotyzmu cierpieli dwojako, bo „jako lud cywilizacji XIX wieku i jako naród mający najświętsze prawa do swej narodowości"[97].

Już nie pytano, co Polska cywilizacji zachodniej zawdzięcza, bo teraz krwawiąca Polska stawała się nie dłużnikiem, lecz moralnym wierzycielem Europy jako apostoł etyki poświęcenia w świecie polityki egoizmu i przemocy. Co więcej, roszczenie to zostało na krótko przynajmniej uznane przez liberalną opinię Zachodu: nigdy przedtem ani potem w tym stuleciu Polska nie pozyskała sobie takiej sympatii i podziwu. Tego poczucia wzniosłości klęska nie mogła zniweczyć. Przeciwnie: wzmogła je jeszcze, podnosząc cenę ofiary i niewypłaconego długu świata. Prorokował nowy wieszcz, że ludy ginące z niewoli i głodu wyzwolą się przez sakrament krwi polskiej, a księga dziejów polskich stanie się im ewangelią. „I będą nasze więzienia ciemne miejscem odpustu ludzkości"[98].

Tak to pod naporem wydarzeń polska idea narodowa pogrążała się w narcyzmie, przeglądała się we własnym nareszcie zwierciadle i rozmiłowała się w samej sobie. W obliczu tego uwielbienia, tak dobrze leczącego narodowe rany, cóż mogły znaczyć wszystkie polskie głody oprócz tego jednego głodu wolności i samoutwierdzenia?

Doniosłość ewangelii polskiego romantyzmu na tym właśnie polegała, że geniusz jego wieszczów dał tym duchowym wartościom i tęsknotom wyraz tak potężny, tak przejmujący, aż przesłonił żałosny stan polskiego społeczeństwa cywilnego, wygląd chłopskich zagród i kramów żydowskich.

[97] K. Brodziński, *Mowa o narodowości Polaków*, w: *Wybór pism*, s. 437, 446.

[98] W. Pol, *Proroctwo kapłana polskiego* oraz *Pierwsza rocznica 29 listopada obchodzona w Rzeszy Niemieckiej*, cyt. wg wydania: *Pieśni Janusza i poezje wybrane*, opr. M. Romankówna, Kraków 1949, s. 34–35.

I odtąd mamy dwie historie kultury. Świętą historię narodu, jego pieśni, więzień i pobojowisk. I powszednią historię społeczeństwa, historię siewów i zbiorów. A jeszcze historię myśli politycznej, skazanej na bezradne szamotanie się między archanielską wizją przeszłości i przyszłości a zgrzebną rzeczywistością małego tygodnia Polaków.

2. Rozwój naturalny czy sztuczny

Kiedy właściwie pojawiła się w Polsce myśl, że ekonomika krajowa wymaga czegoś więcej niż tylko dźwignięcia miast z wiekowego upadku oraz doskonalenia rolnictwa: że wymaga przeobrażenia głębszego, strukturalnego, a więc r o z w o j u w określonym kierunku, tym mianowicie, który wytyczany był przez pierwsze przemysłowe państwa Europy - Anglię, Holandię, wreszcie i Prusy?

Szlachcie polskiej nie były obce dążenia do ograniczonych zmian gospodarczych czy instytucjonalnych, ani nie były jej obce pojęcia upadku czy wzrostu, pojawiające się nieraz w instrukcjach poselskich i w piśmiennictwie politycznym, gdzie się rozważało pożytki czynszowań, manufaktur, sposoby poprawy spławów i handlu i niezliczone projekty reform skarbowych. Obcy jej był natomiast d o g m a t zmiany. Rozwój gospodarczy nie jawił się jej jako cel sam w sobie pożądany. Bo i dlaczegóż by? Czyż Rzeczpospolita nie była i nie miała na wieki pozostać spichrzem Europy? Komplementarność gospodarki polskiej względem krajów importujących zboże, a eksportujących produkty przemysłu - to była podstawa szlacheckiej ideologii ekonomicznej, podstawa, którą rozwój przemysłowy, stymulowany wedle doktryny merkantylistów, mógł naruszyć.

Podstawę tę nadwątlił nieprzewidziany czynnik zewnętrzny: pierwszy rozbiór. Opanowanie przez Prusy Elbląga oraz dolnego biegu Wisły, odcięcie Gdańska od zaplecza i obłożenie cłem pol-

skiego transportu zbożowego przeraziło szlachtę, ukazując jej, jak kruche jest opieranie kalkulacji folwarku na handlu zagranicznym (na pociechę pozostała jej coraz intratniejsza propinacja). Wkrótce Józef Wybicki wykazał „bezgruntowność" domniemania, że kraj, w którym rolnictwo upada, pozostać może zbożowym „magazynem Europy"[1]. Po nim Staszic ostrzegł, że trzywiekowy deficyt żywnościowy Zachodu ma się już w ogóle ku końcowi, gdyż w krajach przemysłowych zwiększa się wydajność rolnictwa, choćby jeszcze nie nadążała za wzrostem ludności. A wreszcie - pisał w roku 1785 - „w Ameryce nowa rzeczpospolita ma ziemię urodzajną, rzeki spławne, lądy dobre, zgoła do kupiectwa wszystką sposobność. Ona nierównie taniej Holendrom i Anglii zboża dostawi"[2].

Dostosowanie gospodarki narodowej do zmieniających się warunków międzynarodowej wymiany jest z natury procesem wymagającym długiego czasu. Niemniej już około roku 1785 dostrzec można w Polsce pierwszy silniejszy impuls akumulacyjny, nieporównywalny w metodach i skali z wcześniejszymi chaotycznymi i pomarnowanymi inwestycjami Tyzenhauza i kilku magnatów. Skokowy wzrost formatu i obrotów banków warszawskich, pierwsze wielkie handlowo-przemysłowe entrepryzy szlacheckie (Prot Potocki, Jacek Jezierski i inni), organizowanie kompanii do handlu czarnomorskiego, intensywne poszukiwania solne, spółki mieszczańskie i mieszczańsko-szlacheckie do dzierżawy monopoli skarbowych, nowa generacja manufaktur prywatnych, królewskich i duchownych, tym razem nastawionych nie tyle na luksusową konsumpcję pałaców, co na szerszy zbyt lub na potrzeby wojska i skarbu - wszystkie te i podobne przedsięwzięcia, wyraźnie zgęszczone w latach osiemdziesiątych, znamionują pojawienie się nowej jakości w życiu gospodarczym Rzeczypospolitej, powracającej (na krótko) do jakiej takiej stabilizacji politycznej po wstrząsach konfederacji barskiej i pierwszego rozbioru.

---

[1] J. Wybicki, *Listy patriotyczne*, Wrocław 1955, s. 144–148, 199.

[2] S. Staszic, *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, w tegoż, *Pisma filozoficzne i społeczne*, t. I, Warszawa 1954, s. 112.

Zrywowi temu towarzyszyły równoległe zmiany orientacji gospodarczej części oświeconej elity szlacheckiej i mieszczańskiej. W roku 1782 zaczął wychodzić „Pamiętnik Historyczno-Polityczny", w roku 1786 „Dziennik Handlowy" – dwa czasopisma, które otworzyły dyskusję na temat dróg wyjścia polskiej ekonomiki ze stanu stagnacyjnego. Publikacje „industrialistów" – Jana Ferdynanda Naxa, Józefa Wybickiego, Stanisława Staszica, Jacka Jezierskiego, Piotra Świtkowskiego – po raz pierwszy doprowadziły do części szlacheckiej opinii pogląd, że jednostronnie agrarny profil polskiej gospodarki i jej komplementarność względem uprzemysławiających się krajów Zachodu stanowi główną przeszkodę dla pożądanego rozwoju ekonomicznego. Gwałtownie zaatakowany został dogmat wolnego handlu: świętość do tej pory dla ogółu szlacheckiego równie wielka jak tron obieralny.

Kiedy dziś czytamy te teksty, widzimy jasno, że wskazywały one jedyną naonczas metodę przełamania polskiego ekonomicznego bezruchu i błogostanu, przy którym wszystkie konstytucyjne reformy, z prawami dla mieszczan i chłopów włącznie, musiałyby pozostać jałowe i płonne. Rzeczpospolita nie tylko nierządem stała, także gorzałką i piwem. Osławiona kasztelana Jezierskiego pogarda dla mieszczan, jakkolwiek podszyta pychą i konkurencyjnym interesem szlacheckiego dorobkiewicza, miała przecież za sobą także racjonalne argumenty czerpane z obserwacji klasy apatycznej i bezproduktywnej, która – odmiennie niż na Zachodzie – żadnej prawie inicjatywy nie wnosiła w zastój gospodarczy i cywilizacyjny kraju[3]. Zarazem także i posesjonaci szlacheccy, choć od mieszczan daleko zasobniejsi, ugrzęźli w swej konsumpcyjnej kulturze i rutynie pańszczyźnianego gospodarstwa.

Tymczasem wyjście naprzeciw nowej cywilizacji wymagało co najmniej takiego zastrzyku energii i pomysłowości, na jaki to pokolenie umiało się zdobyć w forsowaniu reformy politycznej. Na niewiele się zdało pobudowanie tu i ówdzie jakiegoś pieca hutniczego

[3] Zob. K. Zienkowska, *Jacek Jezierski kasztelan łukowski*, Warszawa 1963, s. 222–224, 237–240.

albo manufaktury pasów kontuszowych. Tu trzeba było iść frontem szerokim i przebojem. Kto to miał uczynić: szlachta, mieszczanie, Żydzi? Garstka ideologów industrii adresowała swe postulaty, jak na ludzi Oświecenia przystało, do polityków, prawodawców, króla. Wybicki w *Listach patriotycznych* dowodził, że przez złe prawa i brak krajowego rządu Polska stała się najuboższym w Europie i niemal barbarzyńskim krajem: stąd prosty wniosek, że dobre prawa i „rząd doskonały" szybko ją z tak smutnego wydźwignął położenia. Podobną wiarę w sprawczą moc ustaw oddaje w skrócie tytuł rozprawy Piotra Świtkowskiego: *Przyczyny, dla których mądre prawodawctwo powinno bardziej pomnażać handel wnętrzny i cyrkulacją niż zewnętrzny*[4].

W Rzeczypospolitej, która miała wprawdzie pewną – prawda, że ubogą i nieciągłą – tradycję myśli merkantylistycznej, ale nie merkantylistycznej polityki, oczekiwanie inicjatywy gospodarczej od rządu było pomysłem nieortodoksyjnym, podyktowanym chęcią przerwania błędnego koła zastoju.

Newralgicznym punktem oświeceniowych programów wzrostu gospodarczego było wynalezienie źródeł akumulacji. Industrialiści, nie widząc większych szans s a m o r z u t n e g o przepływu kapitałów z rolnictwa do przemysłu, chcieli – na wzór pruski – wykorzystać skarbowość jako instrument tego transferu. Żądali zapomóg skarbowych, przywilejów i zamówień dla przedsiębiorców i kompanii inicjujących nowe gałęzie przemysłu. Kreślili wielki program robót publicznych. Według Naxa skarb państwa miał budować porty, flotę handlową, kanały, drogi, rękodzielnie. Jezierski i inni oczekiwali od skarbu podjęcia na dużą skalę poszukiwań geologicznych (soli i minerałów) i zakładania kopalń. Rodziły się liczne projekty utworzenia Banku Narodowego, który miałby łączyć funkcje emisyjne, kredytowe i inwestycyjne. Potrzebny do tego kapitał myślano zgromadzić głównie ze sprzedaży starostw.

Niełatwo ocenić, czy skojarzone działanie przedsiębiorczości i ideologii byłoby w stanie dokonać przełomu gospodarczego, gdyby historia pozostawiła jego promotorom nieco więcej czasu. Zaszcze-

[4] *„Pamiętnik Historyczno-Polityczny"* 1786, nr 1, s. 61.

pienie zarówno szlachcie, jak i mieszczaństwu postaw i nawyków inwestycyjnych po wiekach inercji wymagało zapewne dziesięcioleci. Niemniej skrócenie czasu przez wykorzystanie instrumentów politycznych zdawało się możliwe. Prawda, że sejmy do roku 1786 nie wykazywały zainteresowania industrializacją i protekcjonizmem. Na Sejmie Czteroletnim przejawiła się już jednak pewna zmiana postaw, znajdująca wyraz nie tylko w nobilitacjach bankierów i fabrykantów, ale, co ważniejsze, w trosce o stworzenie przemysłu zbrojeniowego i w powołaniu „deputacji do ułożenia projektu względem ekonomiki wewnętrznej krajowej"[5]. Pierwszy opracowany w tej deputacji (z walnym udziałem Jacka Jezierskiego) i przedłożony izbom projekt *Urządzenia fabryk* (1791) wyrażał w pełni idee rzeczników interwencjonizmu[6]. Jakkolwiek projekt ten, podobnie jak projekty utworzenia Banku Narodowego[7], nie doczekał się debaty w sejmie zajętym reformą ustroju i przygotowaniami do obrony kraju – to przecież samą jego redakcję uznać wypada za pierwszą próbę opracowania polskiej polityki indukowanego wzrostu.

Politykę taką mógł wdrożyć jedynie rząd o silnej egzekutywie i w pewnej przynajmniej mierze uniezależniony od nacisku doraźnych, zawsze antyfiskalnych interesów szlachty folwarcznej. Reforma państwa zmierzała z wolna w tym właśnie kierunku, przeto nie można wykluczyć, że w warunkach stabilizacji Rzeczpospolita okazałaby się zdolna do uruchomienia dźwigni rozwoju. Dlatego upadek państwa uznać należy za katastrofę nie tylko polityczną, ale także za zniweczenie szans pierwszej próby „przejścia od systemu nie akumulującego do akumulującego"[8]. Już drugi rozbiór pociągnął

[5] *Volumina Legum*, t. IX, s. 180.

[6] K. Zienkowska, op. cit., s. 180–181; tamże porównanie z rozszerzonym wariantem projektu, ułożonym w deputacji skarbowej. Oba teksty w Archiwum Sejmu Wielkiego (AGAD), vol. 15, k. 154–160, 222–226.

[7] A. Grodek, *Idea banku narodowego*, w tegoż, *Studia z historii myśli ekonomicznej*, Warszawa 1963, s. 247–248.

[8] Zob. W. Kula, *Analiza modelowa w historii gospodarczej*, „Historyka", nr 1, 1967, s. 49; oraz J. Jedlicki, *W sprawie automatycznego krachu feudalizmu*, w zbiorze: *Między feudalizmem a kapitalizmem. Prace ofiarowane Witoldowi Kuli*, Wrocław 1976, s. 231.

za sobą natychmiast dramatyczny upadek banków warszawskich. Wraz z niepodległym państwem przepadła większość ledwie rozpoczętych przedsięwzięć handlowych i przemysłowych i zakończył się krótki okres kariery patrycjatu miejskiego.

Ten krótki czas przerwanego dojrzewania prawie nie pozostawił śladów w sielskim krajobrazie i w mentalności szlachty. Pozostał ślad w umysłach oświeconej elity. W umysłach, a może w fantazji. Bo nas tu fantazja bardziej teraz interesuje niż doktryny. Każda epoka ma swoje baśnie, w których najpiękniej się odzwierciedla. Miał wspaniałych bajarzy sarmatyzm polski, aż po Karola Panie Kochanku. Miało swoich Oświecenie. Piotr Świtkowski, donosząc czytelnikom „Pamiętnika Historyczno-Politycznego" o wynalazkach balonu, piorunochronu i maszyny parowej, snuł pół żartem, pół serio wizję przyszłości geniuszu ludzkiego:

> O, gdyby kto dał klucz do owego niedostępnego skarbca, w którym tysiące podobnych rzeczy kryją się jeszcze! Kto może powiedzieć, czy my znowu życia naszego do kilku wieków nie będziemy mogli rozciągnąć, czy wielorybom nie damy na koniec uzdy i liców i nie będziemy poszóstno niemi jeździć od jednego bieguna świata do drugiego po wodzie i w wodzie?[9]

Wiek Świateł rozpalał wyobraźnię futurologiczną, naiwną i proroczą zarazem, i z tej baśni o zaklętym skarbcu natury, geografii i techniki wysnuwał taki system wartości, w którym sam ruch ku przekraczaniu granic nieznanego stawał się celem dla siebie, wielką przygodą ducha ludzkiego. Rycerzami w tej baśni byli odkrywcy, wynalazcy i przemysłowcy, ci, co nie ulękli się ryzyka eksperymentu – i zazdroszczono Anglii, w której rycerze tacy rodzili się na kamieniu. A jednak entuzjaści byli trzeźwi i wiedzieli, że w odstałej polskiej krainie zaczynać trzeba od małego. Ideologia industrialna, scalająca wątki różnych ekonomicznych doktryn w imię produktywizacji zasobów krajowych, odwoływała się na przemian to do interesu, to znów do patriotyzmu tak konsumentów, jak i posiadaczy wolnych kapitałów. Nie obyło się bez idei gospodarczej autarkii. Staszic, zawsze skłonny do skrajnego formułowania swych tez, prze-

[9] „Pamiętnik Historyczno-Polityczny" 1784, nr 12, s. 1155.

strzegając przed hazardem „zewnętrznego kupiectwa", perorował, iż „niewzruszony jest los tego kraju, który swoje bogactwa w swojej ziemi wyrabia i przestać sam na sobie może"[10].

Trzeźwiej rozumującym autorom samowystarczalność gospodarcza Rzeczypospolitej wydawała się celem odległym, a nawet nie zawsze pożądanym, niemniej dążenie do zmniejszenia zależności od zagranicy zyskiwało gorliwych zwolenników. „Wstyd powiedzieć, że chleba własnym nożem nie krajemy!" - grzmiał Jacek Jezierski[11]. On to, Nax i Świtkowski stanowczo domagali się od rządu już nie ceł ochronnych, ale wręcz zakazu wprowadzania do Polski takich wyrobów zagranicznych, które z miejscowych surowców wyrabiać można, a i zakazu wywozu tychże surowców (lnu, wełny, żelaza) za granicę. Zgody jednak nie było w tej materii: w „Dzienniku Handlowym" Tadeusza Podleckiego w latach 1786-1787 rzecznicy protekcji lub prohibicji ścierali się z obrońcami wolnego handlu, ale to był spór o środki, nie o cele. Potrzeby uprzemysłowienia na tych łamach nie kwestionował nikt, chodziło o to, komu przypadną ciężary, a komu korzyści tej polityki. Ci, co się już zaangażowali w większe przemysłowe lub handlowe przedsięwzięcia, skarżyli się, „że Polska jeszcze żadnego o manufaktury faworyzującego nie ma prawa", to znów żądali przywilejów monopolistycznych dla mających się formować kompanii do handlu czarnomorskiego - na wzór sławnych kompanii kolonialnych angielskich i holenderskich[12]. Z drugiej strony oponenci w imię wolnej emulacji kapitałów i towarów zwalczali wszelkie *privilegia exclusiva* i rządowi zalecali „bynajmniej się nie mieszać do szczególnego przemysłu i użycia jak kto chce majątku swego", bo jeśli tylko obwarowane będzie bezpieczeństwo osób i własności, to już „wszystko resztę samo się zrobi"[13].

---

[10] S. Staszic, *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, loc. cit., s. 74.

[11] J. Jezierski, *Wszyscy błądzą*, w: *Materiały do dziejów Sejmu Czteroletniego*, t. I, Wrocław 1955, s. 320.

[12] „Dziennik Handlowy" 1786, t. IV, s. 165; t. VII-VIII, s. 378-380; 1787, t. V, s. 273.

[13] Ibidem, 1787, t. X-XI, s. 624-635.

W tych sporach czerpano swobodnie z arsenału argumentów to merkantylistycznych, to fizjokratycznych, już i ze Smitha także, jak komu było po myśli i po sakiewce, niewiele się troszcząc o czystość teorii, propagując za to zgodnie nową aksjologię pracy produktywnej i przedsiębiorczości[14]. Głosił Nax chwałę kupca-nakładcy, ten bowiem

> często sam jeden całą jaką ubogą okolicę, w której nawet rolnicze obroty w martwej niedołężności zostają, zbogacić i wszystkie czynności orzeźwić może [...] Cóż czasem nie sprawi za doczesną ruchawość ten handlarz, co tylko jaki las zakupi, z którego bale, wręgi, klepki i inne materiały fabrykuje i wyprowadza, jakie z tego powodu orzeźwienie czynności pobliższych mieszkańców, z których jedni wyrabiają, drudzy wywożą materiały, a inni im żywności, trunki i inne potrzeby dostawiają. Niech się tylko w jaką okolicę zjawi zakupnik na jakie płody lub fabrykaty, a zaraz się z wielką korzyścią kraju jedne i drugie pomnożą, a mieszkańcy, ocuciwszy się z ospałego lenistwa, w zawody się uganiają o uczestnictwo tego zarobku[15].

Inny autor z „Dziennika Handlowego" niby to przeciwnie, kupców miał w pogardzie, ale nie tych, co organizują produkcję, lecz takich, „którzy bez żadnej konsumpcji produktów krajowych [...] sprowadzają te towary z zagranicy, które mogłyby się zawsze w kraju robić", a przeto są „przeszkodnikami fabrykom krajowym"; w przeciwieństwie do nich prawdziwie pożytecznym krajowi jest „manufakturzysta, który w pocie czoła pracując, konsumpcję krajową czyniąc, dostarcza te towary, które dotąd za gotowe pieniądze sprowadzały się"[16]. Już to na przekór odwiecznej szlacheckiej hierarchii cnót fabrykant okazywał się „dobrodziejem ludzkości", a bankier Karol Schultz wystawiony był na sejmie jako wzór patrioty[17]. I honoru, i pomocy skarbowej domagał się ekonomista Nax

[14] Obszernie o tym N. Assorodobraj, *Początki klasy robotniczej*, wyd. II, Warszawa 1966, s. 227–237.

[15] J.F. Nax, *Wykład początkowych prawideł ekonomiki politycznej* (1790), w tegoż: *Wybór pism*, Warszawa 1956, s. 203–204.

[16] „Dziennik Handlowy" 1786, t. I–III, s. 48.

[17] Zob. J. Jedlicki, *Klejnot i bariery społeczne*, Warszawa 1968, s. 121–122.

dla każdego „rządnego i obrotnego zaczyńcy" dzieł przemysłowych[18].

Zwiastunowie epoki industrialnej „próżniactwo" ogłosili za największy grzech i hańbę, w czym niektórzy tak się zagalopowali, że już nie tylko wszystkich „luźnych" pod przymusem gotowi byli do fabryk zapędzić, ale także żołnierzy, także dzieci, bo to najbardziej dla nich wychowawcze zajęcie (Staszic jeszcze w roku 1825 z radością będzie się przyglądał dzieciom biegnącym na poranną szychtę do fabryki Harera w Sieradzu)[19]. A doprawdy - poza może niektórymi Jacka Jezierskiego rezonowaniami - żadnego w tym nie było cynizmu, sam tylko czysty i patriotyczny entuzjazm. Byle tylko w narodzie „wskrzesić ducha pracowitej przemyślności i wytępić te przesądy, które niegdy w gnuśnym próżnowaniu jakiś zaszczyt i powagę zakładały", to już przecie nie wolno wątpić, że w kunsztach i rękodziełach „najobrotniejsze narody zrównamy"[20]. Na ten cel żadnych nakładów i kosztów żałować nie wolno. Na konsumpcji zbytkowej oszczędzać, prawa oszczędnicze raz jeszcze ustanowić i surowo ich przestrzegać, a każdy zbywający grosz skarbowy, bankowy, folwarczny wkładać w glebę, w inwentarz, w narzędzia, w manufaktury. A już najwięcej w drogi, spławy, kanały. Kanały, w Anglii i Holandii podpatrywane, w szczególną i u nas weszły modę: odtąd przez pół wieku trudno znaleźć polskiego autora ekonomicznego, co by po sobie jakiej rozprawki o budowie kanałów nie zostawił.

Inwestować, inwestować! W Anglii - pisał Nax -

> nie przez to manufaktury tak są wydoskonalone, aby Anglik nad ludźmi innych narodów miał więcej dowcipu, zręczności albo przemysłu, lecz dlatego, że w wszystkim innym oszczędny Anglik w przedsięwzięciach rękodzielnych pieniędzmi aż do rozrzutności szafuje. W początkach wszystkich fabryk tak zaraz do najogromniejszej wielości rzeczy wyfabrykowania zamierza, aby koszt roboty na

[18] J.F. Nax, op. cit., s. 73.

[19] N. Assorodobraj, op. cit., s. 266-269; B. Szacka, *Teoria i utopia Stanisława Staszica*, Warszawa 1965, s. 181.

[20] J.F. Nax, op. cit., s. 152-153.

wielość fabrykatów rozrzucony tym samym się zmniejszał [...] choćby też te machiny najkosztowniejsze były, kiedy się przez to co na czasie i robotniku oszczędzić może. Większa część tych robót, które się gdzie indziej ręczną robi pracą, tam są wyrządzane przez machiny, którym woda obrotu dodaje, a w niedostatku płynu żywej wody [...] zazwyczaj udają się do tej kunsztownej machiny, której wynalezienie tak wielki honor ludzkiemu przynosi dowcipowi[21].

Gdy tak Nax i Świtkowski entuzjazmowali się wynalazkiem Jamesa Watta, Wybicki myślał o tym, jak by tu braci szlachtę od zadawnionych przesądów odwieść i wraz z ich funduszami do nowych dzieł zachęcić. Więc w tym czasie, kiedy sejm uchwalał *Prawo o miastach*, Wybicki spłodził dydaktyczną i zupełnie nie-Molierowską sztukę *Szlachcic mieszczanin*, a na jej bohatera wykreował dziedzica, który w swym podupadłym nieco folwarku załadował na bryki wszystkie, jakie miał, skóry, woski, lny, konopie i warsztaty – i powiózł je do miasta, by tam założyć rękodzielnię, pod której stropem zawiesi sobie, jeśli mu się tak spodoba, szablę – symbol szlacheckiego stanu[22]. Fabuła ta o lat osiemdziesiąt poprzedza podobne w treści pomysły pozytywistów.

I teraz już przywróćmy właściwą rzeczy proporcję. Ta propaganda industrializacji z ostatnich lat przedrozbiorowych tworzyła zaledwie wątły strumyk opinii, przytłumiony dominującym szlacheckim agraryzmem i słabo słyszalny w rozgwarze znacznie bardziej pasjonujących sporów politycznych o ustrój państwa. Strumyk ten nie wysechł jednak z upadkiem Rzeczypospolitej: wynurzy się na powrót na powierzchnię polskiego życia umysłowego w latach Księstwa Warszawskiego, którego sprężysty i arbitralny rząd wzbudził nowe nadzieje zwolenników energicznego pchnięcia kraju na szlak cywilizacji przemysłowej. W forsowaniu tej idei – obok dogasającego już Naxa, obok dzielących swój czas i siły między zbyt liczne zatrudnienia Staszica i Wybickiego – wyróżniał się niezmiernie czynny Antoni Gliszczyński, najbardziej burżuazyjnie myślący spo-

[21] Ibidem, s. 153–154.

[22] J. Wybicki, *Szlachcic mieszczanin*, w tegoż: *Utwory dramatyczne*, Warszawa 1963, zob. zwłaszcza s. 378–383 i 437–438.

między byłych posłów Sejmu Wielkiego[23]. Bez wątpienia jednak najwymowniejszym rzecznikiem idei ekonomicznego przełomu stał się teraz Wawrzyniec Surowiecki, pisarz, który w nieporównany sposób łączyć umiał oschłą statystykę ze spojrzeniem wizjonera, starającym się przeniknąć zamierzchłą przeszłość dziejową Polski (o czym się tu już w poprzednim rozdziale wspomniało) i przyszłość zarazem.

Nas tu nie interesuje historia doktryn ekonomicznych i ich aparatu pojęciowego, lecz aksjologiczne wybory ekonomistów i praca ich wyobraźni. To, jaki krajobraz widzieli na horyzoncie, jaki świat chcieli pomóc tworzyć, jakiemu postulowanemu typowi kultury i organizacji społecznej służyć miały wykładane przez nich zasady rachunku gospodarczego. Takie kryterium zdaje się szczególnie prawomocne w odniesieniu do epoki, w której każdy polski autor ekonomiczny oznajmiał swoją niechęć do abstrakcyjnych „spekulacji" i chęć uczynienia z ekonomii nauki użytecznej, ustalającej cele i środki rozwoju gospodarstwa narodowego.

Dzieło Surowieckiego *O upadku przemysłu i miast w Polszcze* (1810) jest - tak w swym wezwaniu, jak w retoryce - ostatnim wielkim moralitetem politycznym naszego Oświecenia, jego późno dojrzałym owocem. W klasycznym oświeceniowym stylu osadzony jest kontrapunkt między obrazem cywilizacyjnej świetności dawnej Polski, od Kazimierza po wiek Zygmuntów, a przeraźliwym stanem upadku, w jaki pogrążyła się ojczyzna w ciągu następnych dwu stuleci. U nikogo, nawet u Staszica, kontrast między światłem szesnastego a mrokiem osiemnastego wieku nie został tak jak u Surowieckiego wyostrzony:

> Za cóż obszerne owe pola, które niegdyś bujnym pyszniły się plonem, okrywają teraz ponure bory? Czemu kwitnące przedtem łąki, przeźroczyste jeziora, spławne rzeki, przemieniły się w trzęsawiska i zaraźliwe bagna? Czemuż tam, gdzie ongi w ludnych osadach miast panowało życie, wesołość i dostatek, czołga się dziś smutek, nędza i śmierć wybladła? Okazałe zabytki dawnego ich przepychu leżą teraz

[23] Zob. wypowiedzi Gliszczyńskiego w zbiorze *Korrespondencya w materyach obraz kraiu i narodu polskiego roziaśniających*, Warszawa 1807.

w okropnych zwaliskach, zalane brudami i wiecznym barłogiem. Stek obmierzłych gadów, gotując w nich jady, truje dziś na około zdrowe powietrze i zabija znikczemniałe wnuki w samych przybytkach wygód i szczęścia ich przodków[24].

Oto próbka stylu, a zarazem aksjologii. Surowiecki maluje krajobraz po kataklizmie, opisuje przerażający stan narodu, który dopuściwszy u siebie „niewolnictwo", doprowadził się do upadku najpierw gospodarczego, a w ślad za tym kulturalnego i politycznego. „Przemysł" i „kultura" idą tu w parze i nie masz jednego bez drugiego[25].

Słowem, które kilkakrotnie nasuwa się Surowieckiemu, gdy diagnozuje stan kraju w epoce rozbiorów, jest „otrętwienie": „W każdej jego części widać było jakieś otrętwienie, przy którym wysychały najobfitsze źródła dostatków i potrzeb". Tego „otrętwienia" i słabości przyczyną główną był nierząd i niedbałość szlachty, która wszystkie inne klasy pozbawiła wolności i własności, a wtedy sama zaczęła bać się „każdego cienia nowości lub odmiany zmierzającej do poprawy stanu krajowego"[26]. To obwinienie szlachty – całej szlachty, nie tylko „panów", jak u Staszica – jest tu bezlitosne: stan rycerski przedstawiony został jako kulturalnie jałowy i zużyty. Zastanawiające jest, jak mało znaczy w oczach Surowieckiego epoka odrodzenia stanisławowskiego: pochwała „szanownego ze wszech miar monarchy" oraz kilku „światłych panów", którzy w swych dobrach pozakładali rękodzielnie, i dobre zdanie o Komisji Edukacji Narodowej – to już prawie wszystko, co autor dzieła *O upadku przemysłu i miast w Polszcze* ma do powiedzenia o tych latach umysłowego przełomu, które w jego historycznym skrócie zdają się raczej dalszym ciągiem epoki saskiej[27]. Takie pomniejszenie dzieła starszej generacji podyktowane zostało zapewne chęcią wydobycia całego czarno-białego kontrastu między zastojem a rozwo-

[24] W. Surowiecki, *O upadku przemysłu i miast w Polszcze*, w tegoż, *Wybór pism*, Warszawa 1957, s. 39–40.
[25] Ibidem, s. 68 i in.
[26] Ibidem, s. 54, 245.
[27] Ibidem, s. 204–205.

jem. Teraz dopiero, dzięki Napoleonowi jednoczącemu Europę i dzięki zniesieniu niewoli chłopskiej w Polsce, zacząć się może dźwiganie z dna upadku ku nowej świetności. Tej sprawcą będzie młodzież mieszczańska i kapitaliści krajowi.

Są kraje, są narody „przemyślne", są „nieprzemyślne" i gnuśne, ale ta różnica nie wypływa z nieodmiennego charakteru ludów, lecz zawsze jest następstwem dobrych albo złych zasad politycznego rządu. „Przy obfitych źrzódłach bogactw, przy zdatnościach potrzebnych, przy znacznej skłonności do szukania wygód życia widzimy często mnogie narody nieczyniące przez całe wieki żadnego postępu w ulepszeniu swego losu"[28]. Są to narody „nieczynne", bo w masie swej poprzestające na przysposobieniu sobie „grubego pokarmu do życia", na zaspokojeniu potrzeb niezbędnych. Tymczasem prawdziwą pobudką do pracy i pomysłowości jest dla ludzi dopiero dążenie do życia lepszego i zamożniejszego, jest budzenie się i rozkrzewianie w narodach potrzeb „wygodowych", a więc tych, które nie w naturze, lecz w kulturze mają swe źródło. Potrzeby takie czuje ten, kto ich raz zakosztował albo kto je podpatrzył u innych. „Nikt nie pragnie tego, czego jeszcze nie widział, nikt nie szuka skarbu, którego nie zna wartości". Opisuje więc Surowiecki zjawisko znane dziś pod nazwą „efektu demonstracji" i upatruje w nim psychologiczną sprężynę rozwoju cywilizacji nowoczesnej. Przykład krajów bardziej niż inne „przemyślnych", budząc w krajach „zaodłożonych" nowe pragnienia i żądze, jest najsilniejszym bodźcem rozwoju[29].

„Bywają niekiedy pytania, czyli kraj zyskuje i s t o t n i e na rozkrzewieniu przemysłu i na obeznaniu się narodu z nowymi potrzebami" – powiada Surowiecki, albowiem znana mu już była wątpliwość, czy warto pracować w dwójnasób, aby w dwójnasób używać. Ale wątpliwość ta rozwieje się, gdyż przyrosty produkcji są szybsze od przyrostów zużycia. Każdy człowiek pracując potrafi wyżywić kilku innych, więc „kiedy wszyscy równe mają pobudki,

[28] Ibidem, s. 62, 132–136.
[29] Ibidem, s. 57–58, 127, 219.

równie pracują, suma przysposobionych płodów musi przewyższyć sumę potrzeb miejscowych, a tym samym wzbogacić kraj w zapasy. Ten skutek zawsze widzimy w krajach przemyślnych"[30]. A skoro tak, to wzrost gospodarczy prowadzi nieomylnie do życia lżejszego, dostatniejszego, bardziej godnego i przyjemnego, a przeto jest ziszczeniem fundamentalnych, choć tak długo otamowanych pragnień ludzkich.

Tym pragnieniom żadnej granicy stawiać nie należy. W tym punkcie Wawrzyniec Surowiecki rozchodzi się i ze swymi poprzednikami ze staszicowskiej generacji, i z młodszym od siebie Brodzińskim, i w ogóle z literaturą polską, która we wszystkich epokach chwaliła życie skromne i proste. Tymczasem Surowiecki występuje przeciwko prawom oszczędniczym i nie zamierza potępiać „zbytku". Któż bowiem potrafi powiedzieć, gdzie zaczyna się zbytek? „To, co dla jednego jest zbytkiem, dla drugiego bardzo często jest nieobytą potrzebą", której wyrzec się już nie potrafi. Prawda, że znajomość i zaspokojenie potrzeb bardziej wyrafinowanych nie mogą być od razu udziałem wszystkich klas społeczeństwa, ale one stopniowo od klas wyższych ku biedniejszym i ciemniejszym przechodzą i środki ograniczające zbytek sam lud mogą oburzyć: toż „za naszej jeszcze pamięci ścieśnienie używania herbaty pozbawiło Anglię Ameryki Północnej. Wreszcie któż wie, czyli to, co nazywamy zbytkiem, nie jest czasem jednym z najdzielniejszych bodźców ożywiających przemysł i ruch w kraju? Lśniące szkiełko i kubek wódki więcej pewnie zachęcił do podwojenia pracy swobodnego wyspiarza Indii, gnuśnego Afrykanina i dzikiego mieszkańca Ameryki aniżeli sam głód i niewygody życia"[31].

Próżność ludzka, moda, rywalizacja w konsumpcji i zupełna wolność używania swej własności, jak się komu podoba – wszystko to sprzyja postępowi. Wszystkie potrzeby ludzkie na jeden składają się postęp, a klasy społeczne „tyle tylko różnią się między sobą, ile się różnią rodzaje wyłącznych ich zatrudnień". Los rolnika tak ściśle

[30] Ibidem, s. 60.
[31] Ibidem, s. 116–117.

związany jest z losem rękodzielnika, że obaj albo razem przychodzą do dobrego bytu, albo razem niszczeją. Obaj potrzebują zamożnych konsumentów, a konsumenci ich wzajemnie[32]. Wszystkim jednako sprzyjają uczeni, którzy „rozważając pilnie stan płodów i przemysłu krajowego, wynajdują środki ich udoskonalenia lub z wynalezionymi gdzie indziej oswajają własnych rodaków". Im to przede wszystkim zawdzięczają swoją wyższość te narody, „które dziś nad innymi górują w doskonałości"[33].

Jeden ogromny towarzyski pochód. Byle mu tylko wolną dać drogę, wykorzystać wszystkie talenty, wszystkie zasoby. Zasoby są: Polska ma pod dostatkiem bogactw natury, ziemi, minerałów, zdolności, rąk do pracy, trzeba je tylko razem złączyć i martwo dotąd spoczywające – uczynnić. Tego dzieła dokonać muszą kapitały i ich jedynie jest za mało. Im przeto należy się największa troskliwość narodu. Każdy kapitał, który nie spoczywa martwo, lecz cyrkuluje i buduje, jest dobry: kupiecki i przemysłowy, prywatny i rządowy, polski i żydowski. Trzeba je gromadzić i brać, skąd można. W braku własnych – pożyczać za granicą, a nie bać się zadłużenia, bo kapitały produkcyjnie zużyte zawsze łatwo się spłacą[34].

Głównym bohaterem części programowej traktatu *O upadku przemysłu i miast w Polszcze* jest jednak, odmiennie niż u industrialistów doby stanisławowskiej, nie fabrykant, lecz kupiec. Jest to najbardziej chyba patetyczny hymn na cześć kupca w piśmiennictwie polskim. Kupiec to bowiem, wiążąc ze sobą potrzeby wszystkich ludzi, interesy wszystkich klas, rynki wszystkich narodów, staje się pierwszym promotorem kultury i oświecenia:

> Za jego pomocą o tysiąc mil odległy Indianin zbliża się do mieszkańca Wisły, wspiera go swym bogactwem, pracą i przemysłem i od tego nawzajem odbiera wsparcie. [...] Kupiec [...] przestając z różnymi narodami, oswaja się z ich doświadczeniami, które przyniesione do własnej jego ojczyzny służą częścią do wynalezienia nowych źrzódeł bogactw, częścią do oszczędzania kosztów w przerabianiu płodów,

[32] Ibidem, s. 45, 145.
[33] Ibidem, s. 75–76.
[34] Ibidem, s. 99–102, 220.

częścią też do łatwiejszego dostarczania ich potrzebującym. Powołanie jego wzywa go szczególniej do spółkowania z narodami, u których kwitną nauki i przemysł [...] On wszędzie niesie i rozsiewa swój kapitał, który jak dobroczynna rosa ożywia i krzepi wszystkie płody przemysłu ludzkiego.

Kupiec zatem ma większe niż ktokolwiek prawo domagać się od swego rządu opieki, sprawiedliwości, poparcia[35].

Ta gloryfikacja stymulującej roli handlu międzynarodowego logicznie iść musiała w parze z odrzuceniem postmerkantylistycznej wizji świata jako areny bezwzględnej rywalizacji państw. Jakoż optykę tę odrzuciła, jak wiadomo, ekonomia liberalna od Quesnaya do Saya, a Say jest najczęściej przez Surowieckiego powoływanym autorytetem. Pozostawał mimo to dylemat, czy i jak możliwa jest równa wymiana między nierównymi partnerami. Na to pytanie nie było – i do dziś nie ma – dobrej odpowiedzi. Surowieckiego i jego współczesnych doktryna klasyczna skłaniała do odpowiedzi pozytywnej: tak, jest możliwa i obustronnie korzystna. Ale doświadczenie od tej odpowiedzi odwodziło. Stąd wyraźne w tym tak ważnym przedmiocie niekonsekwencje.

Z jednej więc strony sama natura, żadnego kraju nie opatrzywszy we wszystkie potrzebne mu zasoby, chce, aby narody „zbliżały się ustawicznie do siebie i kojarzyły dla wzajemnej pomocy". Jak w każdym z osobna wziętym społeczeństwie pomyślność wszystkich klas i zawodów wzajem od siebie zależy, tak też pomyślność jednych narodów wpływa na pomyślność innych, czego pojąć nie potrafią ci rządcy świata, których fałszywa polityka opiera się na przywidzeniu, „że naród jeden nie może inaczej budować własnego szczęścia, tylko na ruinie drugiego"[36]. Wszystkie dobra, towary i pieniądze tam przepływają, gdzie bardziej są pożądane i w wyższej cenie i ruchu takowego żadną miarą tamować nie należy: kupiec ma mieć zupełną „wolność kupczenia", a konsument swobodę wyboru między krajowym a zagranicznym produktem. Jeżeli konkurencja zagraniczna szkodzi niekiedy rękodzielniom krajowym, to

[35] Ibidem, s. 108, 111, 124–125, 146.
[36] Ibidem, s. 103–104.

znak, że te „są albo zaniedbane, albo nie w swoim miejscu założone". Wolny handel międzynarodowy jest tedy naturalnym regulatorem podziału pracy, ustanawiając najkorzystniejszą dla wszystkich specjalizację wytwórczą[37].

Wystarczy jednak przewrócić parę kartek dzieła Surowieckiego, by inne całkiem dojrzeć niepokoje i przestrogi. Oto okazuje się, że „z wszystkich przeszkód tamujących przemysł rękodzielny konkurencja może być najniebezpieczniejszą", ba! może się nawet stać okropną plagą uniemożliwiającą wręcz rozwój gospodarczy.

> Starasowany przewagą sąsiada, słabszy nie ma już natenczas dla siebie innego ratunku, jak tylko albo natężyć zarazem całe swoje siły dla postawienia się z nim na równowadze, albo patrząc ze smutkiem na ruinę własnego przemysłu, poddać się na łaskę pod twarde jego jarzmo i płacić mu z reszty niknącego co dzień funduszu w i e c z n ą d a n i n ę.

Oto więc łatwy do przewidzenia los narodów wyłącznie rolniczych, które i sobie, i innym mają do zaoferowania jedynie surowe płody, a wszelkie wyroby kupować muszą od obcych: „Naród zaniedbujący opatrywać się w w y r o b i o n e potrzeby z płodów własnej swej ziemi traci niepodległość i musi zawisnąć od tych, którzy mu ich dostarczają"[38].

Wolna międzynarodowa wymiana jest tedy błogosławieństwem i przekleństwem. Trzeba się jej ochoczo podporządkować i trzeba się jej przeciwstawić. Znamy dobrze ten węzeł sprzeczności, do dziś nie do końca rozplątany. U progu dziewiętnastego wieku Surowieckiemu ten jeden tylko dylemat zamglił jasny widnokrąg przyszłości. Ale w końcu rozstrzygnął konflikt w duchu liberalnym, odradzając stanowczo rządom krajów ekonomicznie słabych uciekanie się do prohibicji lub protekcji celnej. Tymi bowiem sposobami leczy się - dowodził - objawy, nie zaś przyczyny słabości przemysłu wewnętrznego i chociaż konkurencja silnych jest szkodliwa, odpieranie jej na granicach państwa okaże się jeszcze szkodliwsze, bo ścieśni konsumpcję i handel i samym rękodzielniom nie wyjdzie

---

[37] Ibidem, s. 115, 138.
[38] Ibidem, s. 74, 81, 83.

na korzyść. Przecież nie znaczy to, iżby radził rządowi Księstwa czekać z założonymi rękami, aż się przemysł polski sam naturalnym sposobem rozwinie albo i nie rozwinie. „Czujna opieka rządowa" jest istotnym członem programu, wszelako instrumentem tej opieki mają być nie zakazy, monopole i cła, lecz działania konstruktywne, pobudzające akumulację i wytwórczość[39]. W tej mierze idzie Surowiecki tropem nie Smitha, lecz starszych industrialistów polskich.

Żądanie, aby państwo ze środków publicznych inwestowało w budowę i utrzymanie szkół rzemieślniczych, dróg i kanałów, a wreszcie fabryk, nie było – jak widzieliśmy – pomysłem nowym. Godne wszakże uwagi jest uzasadnienie tej idei przez Surowieckiego, który pragnie, by rząd wznosił obiekty duże, nowoczesne, „ubogacone we wszystkie wynalazki oszczędzające czas i nagradzające sposobność pracowników". Nasz autor był oczywiście świadom, że taka polityka skarbowa, wymagająca znacznie zwiększonych środków, może wzbudzić opór podatników, mniemał jednak, iż „naród cały" łatwo da się przekonać o potrzebie doraźnych ofiar na rzecz przyszłego dobrobytu. Aby zaś rząd i naród do ofiar takich zachęcić, bardzo nowocześnie przedstawił tezę o wysokim – rzec by można – mnożniku inwestycji przemysłowych:

> Kapitały obrócone na takowe fundusze w kraju obfitującym w rozmaite płody surowe można uważać jak kapitały oddane n a w i e l k ą l i c h w ę, z której zyskuje zarazem skarb, kraj i szczególni jego mieszkańcy. Jedna doskonała fabryka prócz tego, że żywi i zatrudnia mnóstwo ludzi, ma jeszcze tę niecodzienną zaletę, że dobroczynnym swym wpływem w mgnieniu oka ożywia daleko naokoło siebie wszelkie inne rodzaje przemysłu. Nie masz takiego, którego by nie wzywała na pomoc lub któremu by nie dawała wyższej wartości; podobna do magnesu, z jednej strony ciągnie do siebie wszystkie inne przemysły, a z drugiej – udziela im szacownej swojej wartości. [...] Na takowy przeto cel poświęcenie kapitałów, choćby z niejakim n a c h w i l ę uciążeniem narodu, nie tylko nie jest rujnujące, ale nadto, przez wzgląd na niezawodne i niezrachowane pożytki, ochotnie przed innymi wydatkami powinno być odważone[40].

[39] Ibidem, s. 78, 84–90.
[40] Ibidem, s. 98–99.

W tym celu warto także zaciągnąć za granicą dług publiczny.

Janusz Górski trafnie uznał Surowieckiego za teoretyka „wzrostu inicjowanego". Inicjowanego przez państwo i przez myśl ekonomiczną[41]. Podkreślmy tylko, że program wzrostu inicjowanego ma metrykę starą i od idei „wzrostu żywiołowego" wcześniejszą. U nas – jak już mówiliśmy – na tle wiekowego doświadczenia zastoju szlacheckiej Rzeczypospolitej, w elicie stanisławowskiego pokolenia ugruntowało się przekonanie, że wszelka reforma poczynać się musi od góry. Reformę polityczną, umocnienie autorytetu króla i rządu, rozumiano jako warunek niezbędny odrodzenia społecznego i postępu cywilizacji. Rozbiory nie odmieniły tego sposobu myślenia. I oto pojawiła się szansa, że arbitralny rząd Księstwa Warszawskiego przyjmie na siebie obowiązek narodowego przywództwa i stanie się zaczynem rozwoju kraju. Tym przetartym już szlakiem myśli szedł Surowiecki i dlatego, choć wiele skorzystał z lektury Adama Smitha i jego uczniów, przyjąć od nich nie mógł tej dla kraju „zaodłożonego" niestosownej idei, że najlepszy jest taki rząd, który najmniej rządzi.

W Polsce interes prywatnego przedsiębiorstwa nie zderzał się jeszcze konfliktowo z arbitralnością władzy. Tu dopiero trzeba było pobudzić powstanie nowych motywacji ekonomicznych, psychologię akumulowania i inwestowania. Pracy gospodarczej nadać kierunek i napęd, a w toku szybkiego rozwoju zapewnić ład i właściwe proporcje poszczególnych dziedzin wytwórczości. Bo Surowiecki, w ideologii zdeklarowany liberał, nie ufał jednak temu, iż równowaga gospodarcza samorzutnie powstaje w wolnej grze indywidualnych interesów i przewidywań, bowiem „każdy widząc rzeczy z osobna, nie widziałby całego ogółu, a tym samym nie byłby w stanie objąć wzajemnych ich stosunków i utrzymać powszechnej harmonii". Do tego potrzebny jest „rząd gospodarstwa wewnętrznego", który zawiaduje potrzebami kraju:

[41] J. Górski, *Polska myśl ekonomiczna a rozwój gospodarczy 1807–1830*, Warszawa 1963, s. 174–217.

on sam może najlepiej rozpoznać zdolności i siły każdego w szczególności mieszkańca i przeznaczyć mu właściwy wydział do obrabiania; jemu łatwiej dojrzeć, gdzie za mało, a gdzie nadto jest rąk do pracy, co jest, a co jeszcze pozostaje do zrobienia, co więcej, a co mniej przynosi pożytku w ogóle, czego brakuje w jednym, a co zbywa w drugim miejscu, gdzie praca idzie porządnie, a gdzie potrzebuje poprawy i dozoru[12].

Oto więc wczesny ideał gospodarki kierowanej, planowanej nawet, gdzie rząd kontrolowałby społeczny podział pracy i decydował o alokacji zasobów. Atoli nie rząd już ustanawiać by miał w projekcie Surowieckiego nadrzędne cele pracy społecznej: to jest zadaniem m ę d r c ó w. Oni to są, „którzy z a i n n y c h przemyślają, jak ludzie mają żyć, postępować, co robić, a co nie robić dla własnego dobra". I wraz z tym dla dobrobytu pospólnego. To właśnie ma być odróżniającą cywilizacji cechą, że w niej rząd moralny sprawują ludzie uczeni.

Spodlejmy lub ogołoćmy społeczność z tej klasy ludzi, a ujrzemy najgorsze skutki: ziemia zamieni się wkrótce w siedlisko dzikich kanadów, srogich kanibalów i okrutnych anzykosów. Ludzie ułudzeni przesądami, zabobonem, pasją i swawolą, sami się mordować i pożerać zaczną. Zatem znikną wszystkie przyjemności życia towarzyskiego, znikną kunszta, sztuki, wynalazki, znikną miasta, okazałe gmachy, wygodne odzienia, zgoła wszystko, co sprzyja zmysłom, zdrowiu i rozumowi[13].

Ale tak się na szczęście nie stanie, ponieważ w naturze człowieka zawarte jest niepowstrzymane dążenie zarówno do dobrobytu materialnego, jak i do coraz wyższego stopnia doskonałości moralnej. Są to dwa oblicza tego samego postępu. W tym dążeniu interesy ludzi nie mogą być sprzeczne: specjalizacja zawodowa i podział prac wymagają coraz to bardziej zgodnego współdziałania wszystkich klas obywateli. Jeśli jedni stają się od innych bogatsi, to dlatego, że dłużej albo zmyślniej pracowali i oszczędzali, a szybki wzrost

---

[42] W. Surowiecki, *Moje lekcje statystyki dawane w 1812/1813*, w: *Wybór pism*, s. 338; por. też J. Górski, op. cit., s. 213.

[43] W. Surowiecki, *Moje lekcje*, s. 342–343.

ich kapitałów jest dźwignią rozwoju przemysłów krajowych. „W miarę zatem pomnażającej się liczby bogatych pomnaża się ruch i praca w kraju, a w miarę ogromności ich fortun zwiększa się konkurencja do rąk zdatnych"[44]. Rośnie produkcja, rośnie zatrudnienie, rosną płace, rośnie dobrobyt powszechny. A troskliwe rządy, nie jedynowładne, lecz szanujące swobody obywateli i przez nich nawzajem szanowane, „utrzymują w swym narodzie ten szczęśliwy ruch harmoniczny, który nigdy nie ustaje, nikomu nie zawadza i z każdym momentem zbliża się o cały krok do wyższego stopnia doskonałości"[45].

Już nic – prócz przesądów – nie stoi na przeszkodzie, aby wynędzniała Polska wreszcie na tę prostą wkroczyła drogę, którą wskazują jej przemyślne narody. W miejskiej młodzieży największa nadzieja. Ona to, byle została należycie oświecona, „za jedno pokolenie zmieni postać fizyczną i moralną narodu". Potrzeba tylko dzielnej energii, potrzeba nieco pracy i kosztu na odgrzebanie niewyczerpanych źródeł naszej ziemi: „Zatem zniknie na zawsze niedostatek, zakwitną wioski, powstaną miasta, a naród wzbije się na nowo do tej powagi, jaką się szczycili jego przodkowie i do jakiej wzywają go wrodzone przymioty"[46].

Rok tysiąc osiemset dziesiąty. Ostatni to już był prawie moment dla wydania takiego manifestu. Ostatni moment dla tak żarliwej, niewinnej, żadnym zwątpieniem nie zmąconej wiary w cywilizatorską i przeobrażającą moralnie misję sterowanego kapitalizmu *avant la lettre* i takiejże wiary w duchową wspólnotę europejskich narodów zjednoczonych przez geniusz Napoleona, który Surowieckiemu zdał się nie bogiem wojny, lecz zwiastunem wiecznego pokoju.

Cechą charakterystyczną wielu oświeceniowych konstrukcji „postępu" zdaje się ów szczególny splot mądrej i dojrzałej aksjologii z naiwnie prostolinijną filozofią dziejów, zobowiązanych przez prawo natury do progresywnej realizacji racjonalnych idei. Oba te

[44] W. Surowiecki, *O upadku przemysłu*, s. 140–141.
[45] Ibidem, s. 53.
[46] Ibidem, s. 37, 220.

składniki łatwo wyróżnić w tekście Surowieckiego, wielkiego epigona, który z przesłanek myśli Oświecenia wysnuł u schyłku tej epoki najbardziej dalekowzroczny i najpromienniej optymistyczny program ucywilizowania Polski. Inna rzecz, iż jego wezwanie ledwie zostało dosłyszane przez rodaków zajętych o wiele bardziej cisnącymi ich problemami wojny i polityki.

Rychło legła w gruzach napoleońska Europa. Spośród licznych następstw tego faktu jedno, mające doniosłe znaczenie dla myśli ekonomicznej, bywa czasem przeoczane. Chodzi o ponowne odkrycie Anglii. Wyspa, która po latach wojen i blokady ukazała się oczom podróżników z kontynentu, różniła się wielce od tej, jaką pamiętano. Przemysł fabryczny poczynił ogromne postępy, a ich widzialne rezultaty budziły w obserwatorach jednocześnie podziw i grozę. Najbogatszy i najbardziej przemyślny naród, pierwszy, który naukę i wynalazczość zaprzągł do codziennej służby, odsłaniał zarazem swoje straszne skupiska nędzy i poniżenia. Wprawdzie Europa z dawien dawna przywykła do swoich periodycznych głodów i przaśnej biedy, a żebraczy łachman nikogo nie wzruszał, niemniej ponury proletariat brytyjskich miast był czymś zgoła innym, bo fenomenem nowego wspaniałego świata zwiastowanego przez proroków industrii. Rósł razem z nim. Było to jakby rozdarciem zasłony przyszłości. Jak w roku 1755 trzęsienie ziemi, które zniszczyło Lizbonę, zasiało w umysłach filozofów zwątpienie w celowy ład natury, jak w 1793 krwawy terror w imię ludzkości, równości i postępu zmroczył wiarę w szczytne hasła politycznej i społecznej rewolucji, tak slumsy Manchesteru i Leeds podważyły bezwarunkowe zaufanie do nowej cywilizacji.

Mało tego. Kryzys handlowy, jaki ogarnął Europę Zachodnią natychmiast po zniesieniu blokady kontynentalnej, był złą wróżbą. Napływ tanich angielskich fabrykatów, zatamowanie zbytu wyrobów miejscowych – i tylko patrzeć, jak miasta kontynentu zaludnią się takimże samym zdziczałym tłumem ludzi bezrobotnych, nie mających nic do stracenia i niewiele do zyskania.

Intelektualiści francuscy, niemieccy, polscy teraz dopiero, nadrabiając zaległość, zapoznawali się gruntowniej z podstawami

stworzonej przez Adama Smitha nauki o bogactwie narodów, głównie za pośrednictwem Jean-Baptiste Saya, który ją usystematyzował i przystosował do lektury popularnej[47]. Wszystkim ludziom o inklinacjach liberalnych ekonomia polityczna zdawała się nowym objawieniem: oto nareszcie pierwsza prawdziwa nauka społeczna, zniewalająca swoją elegancją i dedukcyjną oczywistością dowodów. Porównywano ją z fizyką Newtona. Już podbiła salony, wprzód niż uniwersytety, a spodziewano się, że niebawem jej popularne katechizmy będą czytane w izbach robotniczych. Na paryskie wykłady Saya od roku 1815 przychodziły tłumy, kolejne wydania jego *Traktatu* były rozchwytywane. Wykształconych Francuzów za Restauracji przemysł zaczął pasjonować bardziej niż polityka i filozofia, które przyniosły im tyle rozczarowań. Rodziła się epoka entuzjazmu industrialnego, kultu produkcji i pracy, mieszczańskiego arywizmu.

Ten entuzjazm, jakkolwiek szczery, podszyty był jednak niepokojem. Za młodym kapitalizmem nieodstępnie już ciągnęła się smuga cienia. Say i Sismondi w tym samym roku 1819 odwiedzili ponownie Anglię: był to akurat rok rozruchów robotniczych, niszczenia maszyn i masakry na polu św. Piotra w Manchesterze. Każdy zobaczył, co chciał: pierwszy powrócił umocniony w swym naukowym zaufaniu do przyszłości, drugi je utracił, a co najmniej zwątpił. W ekonomii politycznej, w filozofii rozwoju gospodarczego rozpoczęła się wielka schizma.

Jej zarodki były oczywiście widoczne już wcześniej. To przecież fizjokraci pierwsi, w polemice z merkantylistami, ostrzegali władców, że nie można bezkarnie naruszać „naturalnego porządku rzeczy". Idea ta czerpała moc z racjonalistycznej metafizyki prawa natury, które organizować miało porządek fizyczny i moralny świata. W zastosowaniu do historii i ekonomii idea porządku naturalnego wykreślała – najogólniej rzecz biorąc – taki hipotetyczny bieg spraw ludzkich, jaki by się niechybnie zrealizował, gdyby nie stały

[47] J. B. Say, *Traité d'économie politique* (1803); wyd. polskie, *Traktat o ekonomii politycznej czyli prosty wykład sposobu, w jaki się tworzą, rozdzielają i spożywają bogactwa*, przeł. W. Gielżyński i S. Czernecki, Warszawa 1960.

mu na przeszkodzie przeżyte instytucje społeczne i nierozumne interwencje rządów.

W Polsce ideę porządku naturalnego w ekonomice elokwentnie popularyzował wyznawca fizjokratyzmu, ksiądz Hieronim Stroynowski, w swej *Nauce prawa przyrodzonego* (1785), kilkakrotnie wznawianej „dla pożytku publicznego". Wbrew zdaniom, jakie zdarza się napotkać w pracach o dziejach polskiej myśli ekonomicznej, Stroynowski nie był bynajmniej przeciwnikiem rozwoju przemysłu. Wprawdzie wzorem swych francuskich mistrzów z Quesnayem na czele pożytki rękodzieł i handlu oceniał z punktu widzenia rolnictwa, ale te pożytki właśnie były dla niego bezsporne, czemu wcale nie przeczyła teoria, że tylko rolnictwo i górnictwo są „płodnymi", bo wytwarzającymi czysty dochód gałęziami gospodarstwa narodowego. Chodziło natomiast o to, ażeby przemysł rozwijał się o własnych siłach w miarę, jak rolnictwu zbywać będzie rąk do pracy i kapitałów, a konsumentom jego płodów. Przyspieszanie tego procesu przez rząd, czego pragnęli industrialiści, było dla Stroynowskiego ze wszech miar niewskazane:

> Zwierzchność Najwyższa powinna obracać wszelkie swe starania i zachęcenia do wydatków na gruntowe i rolnicze nakłady, zostawując wszelkie inne niepłodne wydatki przyrodzonemu rzeczy porządkowi. Przeto, jako nie należy odrywać do rękodzieł i fabryk ludzi i dostatków, które są jeszcze potrzebne rolnictwu, tak, pod pozorem zasilenia w kraju przemysłu, nie potrzeba ani przykładem, ani żadnem rozporządzeniem pobudzać do tego obywatelów, przez co by powiększali swe wydatki na kosztowne i wytworne rękodzieła, z umniejszeniem wydatków rolnictwu pożytecznych. Słowem, wszelkie kroki i rozporządzenia Najwyższej Zwierzchności, skoro przynoszą jakikolwiek uszczerbek rolnictwu, skoro zmniejszają czyste dochody gruntowe, nie mogą być rzetelnie i trwale użyteczne przemysłowi rzemieślniczemu i są niezawodnie szkodliwe całemu Narodowi[48].

[48] H. Stroynowski, *Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomiki polityczney i prawa narodów. Dla pożytku publicznego w roku 1785 do druku podana*, wyd. III, Wilno 1805, s. 193–194.

Polscy autorzy czytali chętnie po francusku, niektórzy po niemiecku, mało kto po angielsku. Niewiele więc jest przed rokiem 1795 śladów znajomości traktatu Adama Smitha[49]. Tymczasem on to właśnie przejął był od francuskich fizjokratów teorię porządku naturalnego i nadał jej nową wykładnię, szerszą i intelektualnie płodniejszą. Naturalna kolejność rozwoju działów gospodarstwa wynika po prostu z hierarchii przyrodzonych potrzeb człowieka. „Dlatego też uprawa roli i rozwój gospodarczy wsi, która dostarcza środków utrzymania, musi z konieczności wyprzedzać rozwój miasta, które dostarcza wyłącznie przedmiotów wygody i zbytku"[50]. Innymi słowy, miasta i manufaktury mogą się, w teorii, rozwijać tylko w miarę, jak rolnictwo otaczającego je obszaru wypracowuje zbywającą od jego własnych potrzeb nadwyżkę produkcji i dochodu: „Tak więc zgodnie z n a t u r a l n y m biegiem rzeczy większą część kapitału każdego rozwijającego się społeczeństwa kieruje się przede wszystkim do rolnictwa, później do przemysłu, a na ostatku do handlu zagranicznego." Problem w tym, że dzieje gospodarcze Europy wcale się do tego logicznego schematu nie zastosowały; mało tego, został on w czasach nowożytnych niemal zupełnie odwrócony:

> Handel zagraniczny, jaki prowadziły niektóre wielkie miasta tych krajów, dał początek produkcji wszystkich co doskonalszych wyrobów przemysłowych, a więc takich, które nadają się do sprzedaży na odległych rynkach, wytwórczość zaś przemysłowa wespół z handlem zagranicznym wprowadziła zasadnicze udoskonalenia w rolnictwie. Ten n i e n a t u r a l n y i w s t e c z n y porządek narzuciły tym krajom z konieczności obyczaje i zwyczaje, które wytworzył charakter ich pierwotnego ustroju państwowego i które przetrwały, pomimo że ustrój doznał wielkich przeobrażeń[51].

Mowa oczywiście o feudalizmie. Że prawa feudalne, poddaństwo, renta przymusowa, primogenitura, utrudnienia w obrocie

[49] A. Smith, *Inquiry into the Nature and Causes of the Wealth of Nations* (1776); wyd. polskie, *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*, t. I–II, Warszawa 1954 (przekład zbiorowy).

[50] Ibidem, t. I, s. 482.

[51] Ibidem, s. 486–487.

ziemią – że wszystkie te instytucje były „nienaturalne", to wynikało z racjonalistycznej filozofii społecznej Oświecenia. Ale Smithowi chodziło tu o coś więcej: o przyczyny wielkiego przewrotu gospodarczego w Europie, o genezę kapitalizmu (choć terminu tego nie było jeszcze w użyciu). Otóż w jego rozumieniu rzeczy feudalizm nie tylko że nie był przeszkodą dla industrializacji i dla powstania rynku światowego, ale przeciwnie: on to właśnie je – przedwcześnie i w sposób nienaturalny – wywołał. Feudalizm bowiem twardą obręczą przymusu i wyzysku ścisnął wieś, rolnictwo, podczas gdy miasta, między innymi dzięki opiece monarchów, wyzwoliły się znacznie wcześniej, zyskały samorząd i swobodę działań gospodarczych. Przeto kapitały, przedsiębiorczość, inicjatywa chroniły się w miastach i stamtąd rozwijały operacje handlowe i przemysłowe na wielką skalę, zaś produkcja rolna pozostawała w tyle. Stąd ten odwrócony porządek. Równolegle jednak dokonywał się i drugi proces:

> Kiedy indziej znów przemysł, który wytwarza wyroby przeznaczone na sprzedaż na odległych rynkach, wyrasta w sposób n a t u r a l n y, jak gdyby sam z siebie, drogą stopniowego doskonalenia się tego domowego i prymitywnego przemysłu, jaki musi istnieć zawsze nawet w najuboższych i najsłabiej rozwiniętych krajach. Przemysł taki opiera się na ogół o surowce wytwarzane w kraju [...] Przemysł taki zrodziło rolnictwo. W nowożytnej historii Europy rozrastał się on i doskonalił zwykle później od przemysłu, który zrodził handel zagraniczny[52].

Rozrastał się później, a jednak – zdaniem Smitha – taki właśnie wzrost (w dziewiętnastym wieku zwany „organicznym") zapewniać miał szybszy, i przede wszystkim bardziej stabilny rozwój gospodarczy: „Proszę porównać powolny rozwój tych krajów Europy, których bogactwo opiera się w znacznej mierze na handlu i przemyśle, z szybkimi postępami naszych kolonii w Ameryce Północnej, gdzie bogactwo oparte jest wyłącznie na rolnictwie"[53]. Jakoż Ameryka – wówczas zupełnie jeszcze przedindustrialna – dostarcza szkockiemu ekonomiście jedynego niewątpliwego przykładu roz-

[52] Ibidem, s. 517–519.
[53] Ibidem, s. 531.

woju naturalnego; w Europie wyraźnie przeważał rozwój „przeciwny naturalnemu biegowi rzeczy". Temu skrzywieniu toru historii sprzyjają też wszystkie ekonomiczne „systemy", równie fizjokratyczny, jak merkantylistyczny, bo każdy z nich, „stwarzając nadzwyczaj korzystne warunki, stara się przyciągnąć do szczególnego rodzaju działalności produkcyjnej większą ilość kapitału społeczeństwa, niżby tam z n a t u r y r z e c z y podążyła". Działania takie zawsze zmniejszają ogólną wartość rocznego produktu ziemi i pracy i zamiast przyspieszyć, opóźniają postęp społeczeństwa na drodze do dobrobytu. „Skoro zatem odrzucimy całkowicie wszelkie systemy preferencji i ograniczeń, to zrozumiały i prosty system naturalnej wolności ustali się wtedy samoistnie"[54].

Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów ukazały się w roku 1776. Gdyby ich autorowi, który umarł w roku 1790, dane było jeszcze oglądać i skomentować przebieg najbardziej burzliwej fazy angielskiej rewolucji przemysłowej przełomu wieków, dokonanej w oparciu o rynek światowy, uznałby ją niechybnie za potwierdzenie swej tezy o spaczonym, nienaturalnym toku rozwoju gospodarki brytyjskiej. Ale drugie pokolenie szkoły klasycznej, pisząc już w okresie triumfów wielkiego przemysłu, odrzuciło tę wartościującą typologię ojca szkoły, typologię historyczną *par excellence*. Ricardo używa wprawdzie niekiedy wyrażenia „naturalny bieg handlu", ale jest to już tylko kategoria teoretycznej analizy[55]. Bieg naturalny to taki, który by się w każdej chwili realizował, jeśli by go nie odkształcały cła zbożowe, premie eksportowe lub importowe i inne podobne zakłócenia na międzynarodowym rynku handlowym i pieniężnym. Poza tym przemysł ma naturalną właśnie przewagę nad rolnictwem z tej racji, że nie działa w nim prawo malejącej przychodowości nakładów ani nie ma ograniczeń skali produkcji,

---

[54] Ibidem, t. II, s. 394.

[55] D. Ricardo, *The Principles of Political Economy and Taxation* (1817); wyd. polskie, *Zasady ekonomii politycznej i opodatkowania*, przeł. J. Drewnowski, Warszawa 1957, zob. s. 157. W sprawie różnic koncepcji industrializacji Ricarda i Smitha zob. J.Z. Wyrozembski, *Dawid Ricardo*, Warszawa 1959, s. 52–123.

on to więc przede wszystkim podnosi stopę zysku i wydajność pracy.

Tak więc w dziewiętnastym wieku aksjologia rozwoju naturalnego najbardziej podobać się musiała nie w ojczyźnie przemysłu i ekonomii politycznej, lecz w krajach, które przemysł fabryczny znały z pierwszych zaledwie doświadczeń. Do tej aksjologii, do tych pojęć raz po raz odwołuje się młodszy brat Hieronima, Walerian Stroynowski w swym skądinąd śmiertelnie nudnym podręczniku gospodarstwa narodowego, wydanym w Wilnie w 1816 roku, a próbującym pogodzić Smitha z bliższym sercu autora Quesnayem. Stroynowski, który z posła Sejmu Czteroletniego zdążył się już przedzierzgnąć w senatora i tajnego radcę cesarza Aleksandra, pisze głównie dla młodzieży sposobiącej się w wileńskich zakładach naukowych do służby urzędniczej; wraz z tym udziela przestróg Rosji, aby nie powtarzała cudzych błędów w gospodarstwie krajowym. „Zaiste – pisze – urzędnicy narodowi chciwi sławy chcieliby ją zyskać przez swe usługi gorliwe, które by mogły pokazać nadzwyczajny postęp wielkiego narodu w to wszystko, co mają w sobie kraje bogate. Ale te usiłowania chwalebne nie mogą być wedle zamiarów tyle pożyteczne krajowi: nie można postąpić nad siły przyrodzone"[56]. Główną zaś siłą przyrodzoną, jaka limituje możliwości rozwoju, jest dla Stroynowskiego ludność. Tej gdy rolnictwo ma już nadmiar, mogą i powinny zacząć się rozwijać rękodzielnie. Same się wtedy rozwiną przyrodzonym porządkiem, bo i robotnicy, i kapitały, gdy i te się pojawią w nadmiarze, będą szukały nowego zatrudnienia. Na razie jeszcze w Polsce, a raczej w Cesarstwie Rosyjskim, lokaty w rolnictwie są najkorzystniejsze: zarówno dla posiadaczy kapitałów, jak dla całego narodu.

> Kto zaś od ziemi, od pracy rolniczej odrywa wcześnie ludność do rękodzieł dla ludnienia miast, ten w s p a k postępuje i dochód krajowy zmniejsza. Prawda, że w Europie prawie wszystkie narody tym szły błędem, a inne, widząc ich podniesienie, szły albo chcą iść tym przykładem, nie uważając na to, że taż ludność nie jest jeszcze dostateczna

[56] W. Stroynowski, *Ekonomika powszechna kraiowa narodów*, Warszawa 1816, s. 8.

do rolnictwa krajowego. Lecz tamtych narodów bytność polityczna dawniejsza jest tysiącami lat, miały więc czas choć mylnie postępować[57].

Kto się w Europie spóźnił, czasu na błądzenie nie ma: wolniejszym, ale pewnym krokiem, bez eksperymentów, prędzej dojdzie do dobrobytu – takie jest zasadnicze przesłanie dzieła Stroynowskiego. Znamienne przy tym, że ten wróg wszelkiej rządowej interwencji w życie gospodarcze jeden tylko czyni wyjątek od ogólnej zasady: oto rząd powinien pomóc zakładać, a nawet sam może zakładać małe i proste rękodzielnie, na przykład sukienne – w małych miasteczkach, oparte na przemyśle domowym i bez szukania w nich zysku dla skarbu. Po to mianowicie, aby dać dodatkowy zarobek okolicznym mieszkańcom: „takie staranie rządu jest przymiotem dobroczynnej i gospodarnej nad ludem opieki, a w czasie nadgrodę i powrót swych kosztów mieć może"[58].

Tak to ten konserwatywny liberał strywializował teorię naturalnego rozwoju, nadając jej taką wykładnię, która będzie bardzo pospolita aż do uwłaszczenia. Lęk przed tym, że zabraknie ludzi do pracy na roli i że wzrośnie stopa procentowa pożyczek, trwożył bezustannie właścicieli dóbr pańszczyźnianych. Jeśli więc już ma być ten przemysł, to niechaj będzie na miejscu, tak aby dostarczał chłopom zimowych zarobków, nie odrywając ich od osiadłości. Teoria rozwoju naturalnego pozwalała te obawy zracjonalizować i dlatego przemawiała do przekonania szlachty.

Warto jednak przy Walerianie Stroynowskim zwrócić uwagę na jeszcze jeden moment: na jego przestrogę, aby Polska czy Rosja nie zaraziły się duchem europejskiego współzawodnictwa, industrialnego wyścigu państw, wyniszczającego – jak mniemał – ich zasoby. Autor *Ekonomiki powszechnej* był przekonany, że rządowe eksperymenty przemysłowe są forsowane przez kapitalistów szukających sposobu szybkiego wzbogacenia się oraz – i przede wszystkim –

[57] Ibidem, s. 75–76.
[58] Ibidem, s. 370.

przez ministrów szukających dla siebie chwały[59]. Ten motyw także wkrótce powróci – jeśli nie w Wilnie, to w Warszawie.

Czego natomiast zupełnie jeszcze nie ma u tego pogrobowca fizjokratyzmu ani w innych rozprawach ekonomicznych sprzed roku 1820, to analizy dramatycznych przygód współczesnego kapitalizmu. Tymczasem z tej właśnie strony doktryna rozwoju naturalnego – zdawałoby się, że epigońska już i zgoła wsteczna – otrzymać miała nieoczekiwane wsparcie. I tak oto, po dłuższej o jej pochodzeniu dygresji, powracamy do tej chwili, kiedy niedoszły profesor Uniwersytetu Wileńskiego, Simonde de Sismondi z Genewy, zwiedziwszy Anglię, wydaje w roku 1819 *Nowe zasady ekonomii politycznej*[60].

Były to zasady rzeczywiście nowe. Sismondi podważył fundament teorii klasycznej: przekonanie, że gospodarstwo narodowe, raz wprawione w ruch postępowy, reguluje się samoczynnie, jeśli tylko przestrzegana jest zasada wolnej przedsiębiorczości i wolnego rynku. W tej teorii kryzysy handlowe, bezrobocie i zakłócenia procesu rozwoju są możliwe, ale z natury swej przejściowe, gdyż przy istnieniu wolnego rynku pieniężnego, rynku pracy i rynku towarów wszystkie czynniki produkcji kierują się automatycznie tam, gdzie są najbardziej potrzebne, a tym samym i najwyżej opłacane. Podaż i popyt zawsze więc dążą do wzajemnej równowagi, dysproporcje strukturalne wyrównują się, w mechanizm gospodarczy wbudowany jest czujny instrument homeostazy. Przejściowe trudności wzrostu tylko dalszy wzrost uleczy. Jeśli jedna fabryka, mechanizując technologię, wyrzuca część robotników na bruk, to wchłonie ich nowa fabryka, która będzie wytwarzała maszyny dla tamtej. Wszystko więc samo pnie się wzwyż w tej najlepszej z możliwych cywilizacji, której napędem jest interes osobisty, a rezultatem maksymalizacja korzyści powszechnej.

---

[59] Ibidem, s. 76, 78, 103, 119 i in.

[60] J.C.L. Simonde de Sismondi, *Nowe zasady ekonomii politycznej czyli o bogactwie i jego stosunku do ludności*, t. I–II, przeł. W. Giełżyński, Warszawa 1955.

Ta właśnie reguła homeostazy wzrostu została zakwestionowana przez Sismondiego i odtąd już będzie podawana w wątpliwość wciąż na nowo. Nie przez wszystkich oczywiście. Sismondi i Say przyglądali się tej samej Francji, tej samej Anglii, tym samym kryzysom, a przecież każdemu z nich wyniki obserwacji układały się w inny model funkcjonowania systemu. Od tamtej pory do naszych dni przekonanie lub brak przekonania o zdolności gospodarki kapitalistycznej do optymalnej samoregulacji konstytuują główny doktrynalny podział w ekonomii politycznej.

Autor *Nowych zasad*, obserwując pierwsze kryzysy nadprodukcji, doszedł do wniosku, że mechanizm wolnej konkurencji działa wadliwie, jedne kółka stale obracają się szybciej niż inne, ruch staje się coraz bardziej bezładny, aż wreszcie wszystko się zatrzymuje, wszystko się cofa[61]. Ekonomia polityczna rościła sobie pretensje do odkrywania naturalnych praw rozwoju życia gospodarczego. W krytyce Sismondiego forsowna, nieskoordynowana industrializacja na modłę angielską została pozbawiona owej cechy naturalności, przedstawiona jako stan sztucznie podsycanej gorączki inwestycyjnej.

> W naturalnym porządku rzeczy wzrost bogactwa spowoduje wzrost dochodu, z niego zrodzi się zwiększenie konsumpcji, następnie zwiększenie pracy dla reprodukcji, a wraz z nią wzrost ludności; wreszcie ta nowa praca powinna z kolei powiększyć bogactwo. Ale jeśli wskutek środków będących nie na czasie przyspiesza się jedną czy drugą operację bez związku z pozostałymi, rozstraja się cały system i na barki biednych zwala się więcej cierpień niż dobrobytu, którym zamierzano ich obdarzyć[62].

Mamy tu więc na nowo ów „naturalny porządek" jako normę, od której rzeczywistość zupełnie odbiegła. U Sismondiego odbiegła gruntowniej niż u fizjokratów i Smitha: tam był tylko niepokój o to, że nienaturalna kolejność faz rozwoju, przedwczesny wzrost handlu zagranicznego i wielkiego przemysłu, prowadzi do zwich-

[61] Ibidem, t. I, s. 330.
[62] Ibidem, t. II, s. 229–230.

nięcia właściwych proporcji między nimi a produkcją rolną. U Sismondiego mamy jakby dalszy ciąg tego procesu, jego wynik, ujawniony pól wieku później: zwichnięcie proporcji i właściwych sprzężeń między produkcją, dochodem i spożyciem, czyli permanentne zakłócenie całego procesu reprodukcji.

Organizacja społeczna, która jest za to odpowiedzialna, jest „sztuczna", system gospodarczy jest „fałszywy"[63]. Sismondi nie daje przy tym jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o g e n e z ę kapitalizmu. Jest historykiem, wie, że tego systemu nikt nie zaprojektował, że wyłonił się on stopniowo, w drodze ewolucji stosunków społecznych. Szczególną uwagę zwraca jednak na rolę, jaką w tym czasie, zwłaszcza w Anglii, odegrało prawodawstwo handlowe, agrarne, spadkowe, kierujące się błędnymi maksymami ekonomistów ze szkoły merkantylistycznej, a ostatnio i liberalnej. W tym indeterministycznym podejściu kryje się ziarno optymizmu: jeżeli bowiem rządowa regulacja mogła zepchnąć rozwój gospodarczy na zły tor, to regulacja rozumna, oświecona przez ekonomię krytyczną, może go z tego toru wyprowadzić. Formy społeczne, instytucje, systemy własności są dziełem ludzkim: „naturalny porządek postępu społecznego nie zmierzał wcale do oddzielenia ludzi od rzeczy albo bogactwa od pracy; właściciel mógł w polu pozostać rolnikiem; w miastach kapitalista mógł pozostać rzemieślnikiem; oddzielenie klasy pracującej od próżnującej nie jest wcale k o n i e c z n e ani dla istnienia społeczeństwa, ani dla produkcji; wprowadziliśmy je dla większej korzyści ogółu, do nas też należy regulowanie tej sprawy, aby odnosić z niej istotne korzyści"[64].

Sismondi, wbrew pospolitym interpretacjom, którym sam stanowczo zaprzeczał, nie był przeciwnikiem uprzemysłowienia, techniki i wzrostu gospodarczego, nie uznawał ich tylko za wartości samoistne. Wartością naczelną było dlań życie ludzkie, a w szczególności zabezpieczenie i poprawa losu proletariuszy. Krytykując system protekcjonizmu przemysłowego, pisał:

[63] Ibidem, t. I, s. 113, 331; t. II, s. 274.
[64] Ibidem, t. II, s. 274.

Nie można nigdy liczyć z dostateczną pewnością na teorie nawet najbardziej ustalone, żeby mieć odwagę zarządzić zło natychmiastowe w nadziei, że z tego wyniknie w przyszłości coś dobrego. Tym bardziej nie wolno podjąć takiej decyzji, gdy zachodzi obawa, że może ona pociągnąć za sobą nędzę i śmierć wielu rodzin, które wychowały się w swym zawodzie lub które przystąpiły do niego pod gwarancją istniejących praw i ustalonego porządku rzeczy; trzeba najprzód myśleć o ocaleniu istot cierpiących, przyszłością można zająć się później[65].

Nie wierząc w to, iż zależności między wielkościami gospodarczymi są równie „naturalne" i niewzruszone jak w fizyce, domagał się przywrócenia ekonomii charakteru nauki moralnej, to jest ważącej „uczucia, potrzeby i namiętności ludzkie" i ustanawiającej społecznie pożądane cele i środki działań[66]. Odrzucając aksjologiczny indyferentyzm szkoły ricardiańskiej, Sismondi nie godził się na udzielenie naukowej i moralnej sankcji takiemu postępowi sił produkcyjnych, który pomnażał, choćby doraźnie, nędzę i cierpienia klas pracujących, tak rzucające się w oczy w tej wczesnej fazie przemysłowego przewrotu. Jako ekonomista zaś szukał uporczywie sposobów nie przyspieszenia, lecz regulacji mechanizmów żywiołowego wzrostu, antycypując wiele idei, stale od tego czasu powracających w myśli ekonomicznej, ale przez politykę społeczną i gospodarczą sprawdzanych dopiero w następnym stuleciu.

Wzrost wytwarzania jest więc dlań tylko środkiem, celem jest dobrobyt i godność ludzka, a najskuteczniejszym sposobem działania nauki i władzy będzie (w przekładzie na język ekonomii dwudziestego wieku) stymulacja konsumpcji i popytu efektywnego przez politykę pełnego zatrudnienia. Sismondi za korzystne dla krajów biednych uważa inwestycje tanie – pracochłonne i kapitałooszczędne, a nie odwrotnie[67]. Jego stosunek do postępu technicznego, do wdrażania wynalazków nauki – sprawa, z którą najczęściej wiązać miano jego imię – jest czysto pragmatyczny, wolny od przejawów konserwatywnego sentymentalizmu: mechanizacja pożąda-

[65] Ibidem, t. I, s. 358.
[66] Ibidem, s. 256.
[67] Ibidem, t. I, s.324; t. II, s. 258.

na jest tam, gdzie występuje niedobór rąk do pracy i gdzie podaż towarów nie nadąża za popytem, szkodliwa w przypadku przeciwnym.

Pisząc z myślą o przyszłości Francji, Szwajcarii, Włoch, krajów stojących zaledwie u progu rewolucji przemysłowej, Sismondi projektował rozwój gospodarczy w tempie powściąganym i równomiernym, bez wielkich skoków i pchnięć, i z planowym przeciwdziałaniem procesom koncentracji produkcji, bogactw i dochodów. Ta wersja programu kontrklasycznego wolna była przy tym od wpływu gospodarczego nacjonalizmu, od chęci podsycania rywalizacji międzypaństwowej. Anglia jest tu groźna nie przez swą potęgę konkurencyjną, lecz jako zaraźliwy wzór błędnej drogi rozwoju: „chciałem pokazać na przykładzie kryzysu, jaki ona przechodzi, zarówno nasze obecne cierpienia powstałe wskutek więzi istniejącej między różnymi przemysłami całego świata, jak i obraz naszej własnej przyszłości, jeśli nadal będziemy postępowali zgodnie z zasadami przez nią wyznawanymi"[68]. Należy zwrócić uwagę na ten tryb warunkowy, biorący się z przekonania, że gatunkowe cechy kapitalizmu kontynentalnego nie zostały jeszcze przesądzone, że jeszcze nie jest za późno, aby przełożyć ster.

Ster rozwoju dzierżyć miały administracje państwowe, nie po to jednak, aby troszczyć się o ochronę interesów przedsiębiorców, którzy dostatecznie troszczą się sami o siebie. I nie po to, aby sztucznie pobudzać inwestycje, lecz aby stale korygować podział dochodu społecznego, bowiem „ci, co podsycają produkcję w nieskończoność, nie troszcząc się o poznanie tego dochodu, pchają naród do ruiny, sądząc, że otwierają przed nim drogę do bogactw"[69]. Sismondi przyznawał, że produkcja na wielką skalę i korzystająca z coraz nowszych technologii prowadzi do obniżki cen towarów, a więc do rozszerzenia zbytu, jednakże kluczowe twierdzenie jego teorii sprowadza się do tego, iż osiągnięty na tej drodze wzrost efektywnego popytu nie kompensuje - wbrew Sayowi - jego

[68] Ibidem, t. I, s. 11.
[69] Ibidem, s. 83.

spadku spowodowanego równoczesnym ograniczeniem pracochłonności i zatrudnienia.

Skoro tak, to rządy winny popierać przede wszystkim wzrost zatrudnienia, płac i konsumpcji: wówczas aparat wytwórczy dostosuje się do tego sam przez się i choćby przyszło mu nieco zwolnić obroty swych trybów, uniknie za to kryzysowych zaburzeń realizacji. Niestety, dotychczas rządy działały odwrotnie: „zamawiały pończochy i kapelusze naprzód, licząc, że później znajdą się dla nich nogi i głowy"[70].

Masową proletaryzację pracujących i skrajne zróżnicowanie poziomów życia uważał Sismondi za największą katastrofę społeczną. Daleki od radykalnego egalitaryzmu, socjalistyczne pomysły Owena czy Saint-Simona uważając za szlachetne, lecz naiwne rojenia, projektował całą baterię takich środków wyrównawczych, od progresji podatkowej i ustawodawstwa pracy poczynając, które z czasem stać się miały codzienną rutyną polityki społecznej. Od prawodawstwa domagał się popierania reformy rolnej i dopuszczenia robotników do udziału w zyskach przedsiębiorstwa. Otwierając swym współczesnym oczy na rodzące się nowe „niewolnictwo", na odczłowieczenie systemu pracy najemniczej, uzasadniał prawo proletariusza nie tylko do pracy i własności, ale także do odpoczynku i do uczestnictwa w kulturze, a stopień powszechności tego udziału uznał za jedyny miernik poziomu cywilizacji. Odpierając ataki entuzjastów niekontrolowanego wzrostu przemysłowego, pisał:

> Proszę zauważyć, że wcale nie przeciwko maszynom, wcale nie przeciwko wynalazkom, wcale nie przeciw cywilizacji podnoszę swe zastrzeżenia, lecz przeciw organizacji nowoczesnej społeczeństwa, organizacji, która pozbawiając człowieka pracującego wszelkiej własności poza jego siłą roboczą, nie daje mu żadnej gwarancji przeciw konkurencji, przeciw szalonej licytacji, skierowanej ku jego krzywdzie, której musi paść ofiarą. [...] Dzisiaj nie wynalazek tworzy zło, lecz niesprawiedliwy podział jego owoców, dokonywany przez człowieka[71].

[70] Ibidem, s. 354.
[71] Ibidem, t. II, s. 341.

Przez człowieka, nie przez nieubłaganą naturę rzeczy. Temu genewskiemu humaniście epoki pierwocin kapitalizmu przemysłowego wiele ponawieszano etykietek: miał być reakcjonistą i radykałem, drobnomieszczańskim socjalistą i romantykiem. Sam nie był pewny, czy jego idea ekonomicznego i kulturalnego awansu robotników jest czymś więcej niż utopią trudną do przekształcenia w prawo[72]. A przecież czytany po upływie półtora stulecia okazuje się wczesnym prekursorem zdemokratyzowanego i korektywnego liberalizmu dwudziestego wieku, a także – mimo defektów swej ekonomicznej teorii – prekursorem koncepcji rozwoju krajów przeludnionych o niskim dochodzie społecznym. Myśl Sismondiego, nie skuta obręczą doktryny, przeszła przez gęsty filtr czasu, jak niewiele ze współczesnych jej dzieł.

Ekonomiści polscy doby Królestwa Kongresowego z największą uwagą przypatrywali się przemysłowej i handlowej Anglii, śledząc przyrost jej bogactwa i jej proletariackiej nędzy. Mieli świadomość tego, że Anglia jest dla całego świata „laboratorium ekonomicznych wypadków"[73] i chcieli skorzystać z doświadczeń w tym laboratorium przeprowadzanych. Ekonomii klasycznej uczyli się wraz z tymi zastrzeżeniami, jakie do jej założeń zgłaszali Malthus i Sismondi. Zwłaszcza aksjologia Sismondiego znajdowała łatwy do ich umysłów przystęp, ponieważ ich własna refleksja, niezależnie od tego wpływu, zmierzała w podobnym kierunku. Widzieli, że cała Europa zrywa już z feudalizmem i wkracza w epokę nowej cywilizacji, której znamieniem będzie niepowstrzymany wzrost potrzeb ludzkich, a motorem – wolna praca i przedsiębiorczość. Wszelako – tak jak ekonomista genewski – nie byli przekonani o tym, że kształt tej cywilizacji jest już z góry przesądzony i że m u s i być wszędzie taki sam, jak w hrabstwie Lancashire. Uważać Anglię za laboratorium, a uważać ją za jedyny obraz własnej przyszłości – to nie to samo.

[72] Ibidem, s. 273.

[73] D. Krysiński, *Niektóre myśli o nauce gospodarstwa narodowego* (1829), w tegoż, *Wybór pism*, Warszawa 1956, s. 105.

Centralny dylemat ekonomicznej futurologii tego czasu polegał na tym właśnie, że kapitalizm w brytyjskiej formie budził zarazem podziw i odrazę. Podziw - swoim dynamizmem, odrazę - swoimi skutkami socjalnymi.

Paryski emigrant Piotr Maleszewski czuł przede wszystkim odrazę. „Kiedyż - pytał w liście do swego ucznia, Fryderyka Skarbka - przenikniemy się więcej sprawiedliwą wzgardą dla tych strasznych warsztatów, gdzie tylko pracują, aby zamienić narzędziami cywilnymi lub wojskowymi człowieka m o z o l n e g o na f i z y c z n e g o, a człowieka fizycznego na m a s z y n ę?"[74] Sam Skarbek nie mniej drastycznie przedstawiał etyczny paradoks rozwoju poprzez proletaryzację:

> Stan najbogatszych i najoświeceńszych narodów Europy, obok podziwu nad postępem rozmaitych rodzajów przemysłu i nad wytworem sztuk i kunsztów, wzbudza w każdym przyjacielu ludzkości bolesne uczucia nad losem wielkiej części mieszkańców, dla których nędza dziedzicznym poniekąd powołaniem się stała. Cała usilność ludzi zdaje się być na to tylko zwrócona, jakim sposobem rolnictwo, rzemiosła, sztuki i kunszta do najwyższego stopnia udoskonalenia doprowadzić można i jakich należy użyć środków, aby z najmniejszemi nakłady największą ilość produktów wydać. Ta dążność mogła być zgodną z dobrem ludzkości póty, póki narody z pierwszych zawiązków cywilizacyj do udoskonalenia towarzyskiego zmierzały; byłaby nią jeszcze dzisiaj, gdyby rzeczy ludzkie w tej zostawały kolei, którą im n a t u r a [...] oznaczyła[75].

Zauważmy: nie tradycjonaliści, z zasady nieżyczliwi wszelkim cywilizacyjnym nowościom, i nie polityczni radykałowie, którym sprawy chleba powszedniego nazbyt zdawały się trywialne, lecz właśnie liberalni ekonomiści byli w Polsce pierwszymi poważnymi diagnostami wad wrodzonych kapitalizmu. Ich to była troska i odpowiedzialność, bo z racji obranego powołania zawodowego wypadało im żywić przekonanie, że przyszłość osłabłych narodów roz-

[74] Zob. F. Skarbek, *Elementarne zasady gospodarstwa narodowego*, t. II, Warszawa 1931, aneks, s. 215-216.

[75] F. Skarbek, *O ubóstwie i ubogich* (1827), w tegoż: *Pisma pomniejsze*, t. II, Warszawa 1937, s. 89.

strzygnie się na polu pracy gospodarczej i przeto nie mogli odstąpić od postulatu energicznej europeizacji życia polskiego. Ale pchać chłopstwo z jednej biedy w drugą, z pańszczyźnianej w proletariacką, i osłaniać ten skok płaszczem dziejowego „postępu" – do tego rzeczywiście nie mieli gustu, i tu schodzili się z Sismondim. Badali, czy się też zadania nie da wykonać sposobem mniej brutalnym, i, jak ekonomistom przystało, regułę minimalizacji kosztów wprowadzali do swej aksjologii. Zgodnie z tym starali się znaleźć taki wariant rozwoju gospodarczego, który obyłby się bez rozbicia wszystkich istniejących struktur społecznych i bez masowej pauperyzacji z wiadomymi jej skutkami.

Z indywidualistycznej etyki Benthama Skarbek i Krysiński przejęli myśl, że miarą użyteczności czynu lub produktu jest spodziewane dobro ludzi poszczególnych, w społeczeństwie uwielokrotnionych, ale nie cedujących na narodową całość swoich osobowych praw do godniejszego życia. Przy takim założeniu wzrost narodowego bogactwa i potencjału wytwórczego nie może być uznany za wartość i cel, jeżeli nie towarzyszy mu wzrost powszechnego dobrobytu. I to doraźnie, z niewielkim co najwyżej odroczeniem w czasie, a nie dopiero w odległej przyszłości. Skarbek około roku 1825, mając Anglię na myśli, pisał:

> Nie godzę się nigdy na to, aby naród mógł się zwać bogaty, kiedy znaczniejsza część ludu będzie w nędzy lub niedostatku. [...] Co ludowi pracującemu po tej potędze, która światu podbiciem zagraża? Co po tych cudownych zakładach przemysłu i cywilizacji, nad któremi się podróżujący unoszą? Co po czczej sławie trzymania pierwszego miejsca w rzędzie narodów cywilizowanych? Co, słowem, po samym ledwo zliczyć się mogącym ogromie bogactwa, jeżeli ten lud nie będzie miał tyle chleba, ile mu potrzeba, jeżeli znaczna część jego, jak pierwsi stepów mieszkańcy, koczujące prowadzić będzie życie, aby po kraju zatrudnienia u możnych kapitalistów szukać, jeżeli jeszcze większa liczba zdolnych do pracy robotników dobrowolnie na żebraków przejdzie i po jałmużnę rękę wyciągać będzie, aby nie umarła z głodu?[76].

[76] F. Skarbek, *Niektóre myśli o przeznaczeniu i dążności nauk ekonomicznych*, w: *Pisma pomniejsze*, t. I, Warszawa 1936, s. 363.

Wcześniej jeszcze, bo w roku 1812, Krysiński, ten najbardziej – przypomnijmy – gorliwy rzecznik stadialnej teorii cywilizacji, teorii „dojrzewania" narodów, łączył ją z doktrynalnie utylitarystycznym miernikiem ich osiągnięć: „Narody – wykładał – są agregata familiów, suma indywidualnych pomyślności stanowi pomyślność narodu"[77]. I na tym stanowisku pozostał.

> Dążność dzisiejsza nauki – pisał jeszcze w roku 1829 – jest zupełnie praktyczna; nie bogactwo metafizycznie uważane, to jest bez względu na czas i miejsce, lecz sprawienie, ile być może, największego szczęścia największej liczbie indywiduów za pomocą bogactw, zdziałanie pomyślności kraju jakiego w otaczających go stosunkach środkami jemu najwłaściwszymi, bez poświęcania fizycznego bytu obecnego pokolenia, oto jest dążność, oto cel nauki[78].

Problem losu pokoleń – z reguły nieobecny we wielkich syntezach historiozoficznych, operujących skalą wieków oraz hipostazą narodu, klasy lub cywilizacji – w aksjologicznej optyce liberała-utylitarysty stać się musiał problemem kluczowym. Skoro bowiem jakość egzystencji jednostkowych jest ostatecznym miernikiem użyteczności zarówno produkcji, jak polityki, to w pytaniu o dopuszczalną wielkość ofiar, jakie pokolenie żyjące ponieść by miało dla przyszłości – a konkretnie: o dopuszczalną wielkość ofiar na rzecz sfinansowania industrializacji kraju – w pytaniu tym kryje się tragiczny konflikt wartości, a nie tylko troska o optymalną strategię zrównoważonego wzrostu. Czuł to Skarbek, kiedy obserwując inwestycje górnicze finansowane przez ministra Lubeckiego ze skarbu państwa, taki oto zaproponował Towarzystwu Przyjaciół Nauk temat konkursowy:

> Czy lepiej jest, aby rząd, przy czynieniu zakładów, z których nie tylko obecne, lecz i przyszłe pokolenia korzystać mogą, wielkie czynił wydatki możność obecnych kontrybuentów podatkowych przechodzące, aby piętnem doskonałości i trwałości dzieła swoje naznaczył;

---

[77] D. Krysiński, *O ekonomii politycznej*, w: *Wybór pism*, s. 30–31.
[78] D. Krysiński, *Niektóre myśli o nauce*, ibidem, s. 106–107.

czyli też aby zmierzał do mniejszej doskonałości i trwałości w zakładach swoich, a więcej zasiłki o b e c n e g o pokolenia oszczędzał?[79]

Z samego sposobu sformułowania pytania nietrudno się domyślić, jaka na nie odpowiedź byłaby po myśli autora tematu, a można też bezpiecznie dopuścić, że Skarbek nie tylko o pokolenie się zatroszczył, ale także, i może przede wszystkim, o interesy szlacheckich właścicieli, którym raczej ciężary niż korzyści rządowej industrializacji przypadały w udziale. Wszelako przez taką czy inną stronność sam dylemat nie traci doniosłości, nie traci jej do dzisiaj. Jest to dylemat nie naukowy, lecz aksjologiczny, który tylko arbitralnie rozstrzygany być może, za każdym razem na nowo.

Niechęć do industrializacji forsownej wynikała więc zarówno z obawy o jej doraźne ekonomiczne koszty, jak z obawy o jej przyszłe społeczne skutki. Ta krytyczna rezerwa różni w sposób istotny Krysińskiego lub Skarbka od Surowieckiego i Staszica, którzy przemysłową samodzielność Polski uważali za warunek jej rozwoju i siły. Otóż dla ekonomistów bardziej kosmopolitycznej formacji warunek ten nie był bynajmniej oczywisty. Skarbek, zawsze daleki od stanowisk skrajnych, dostrzegał wprawdzie szkodliwość jednostronnie agrarnej struktury gospodarstwa narodowego, uniemożliwiającej wytworzenie się silnego „obiegu wewnętrznego" i skazującej kraj na wywóz płodów surowych. Kraj, który nie ma rozwiniętego przetwórstwa i „rozmaitości zatrudnień", nie może się w wymianie zagranicznej z narodami przemysłowymi postawić na stopie równości, zaś „w o l n o ś ć handlowa bez r ó w n o ś c i handlowej najnędzniejszem ze wszystkich omamień i najszkodliwszym jest darem"[80]. Z tego jednak nie wynikało wcale, iżby małe Królestwo Kongresowe miało koniecznie rozwijać wszystkie gałęzie przemysłu i dążyć do uniezależnienia się od zagranicy. Ekonomistom wycho-

[79] Cyt. wg przedmowy K. Krzeczkowskiego do: F. Skarbek, *Pisma pomniejsze*, t. I, s. XVIII.

[80] Zdanie to nie jest jednak autorstwa Skarbka, lecz stanowi zakończenie przezeń wybranej i tłumaczonej niemieckiej rozprawki *O obiegu pieniędzy i o przyczynach jego*, w: *Pisma pomniejsze*, t. I, s. 172–173.

wanym bądź co bądź w szkole klasycznej walka z cudzoziemszczyzną w imię popierania towarów krajowych wydawała się umysłową aberracją. Nie przewidziawszy triumfów nacjonalizmu ekonomicznego w całej Europie, zakładali trwałe istnienie wolnego rynku światowego i nieistotność granic państwowych. W tych warunkach różnorodność struktur gospodarczych i ich wzajemna komplementarność miała być nadal korzystna dla wszystkich partnerów wymiany, a każdy z nich powinien rozwijać te tylko gałęzie produkcji, które ze względu na miejscowe warunki i zasoby mogą pracować i sprzedawać najtaniej.

Zarysowały się więc wyraźnie dwie strategie rozwoju. Rzecznicy obu na równi składali na feudalizm i na szlachtę odpowiedzialność za zacofanie i nędzę pańszczyźnianej Polski. Gdy jednak Surowiecki jedyne wyjście z nędzy upatrywał w przystąpieniu do przemysłowego wyścigu narodów, Krysiński i Skarbek dochodzili do wniosku, że wycieńczonej i w kapitały ubogiej Polski właśnie na wyścig taki nie stać, a to tym bardziej, że i owoce jego mogłyby się okazać zatrute.

I znowu do uzasadnienia strategii wstrzemięźliwej posłużyła znana nam już doktryna rozwoju n a t u r a l n e g o, obszernie wyłożona przez Skarbka w *Théorie des richesses sociales* (1829) i z pewnymi modyfikacjami powtórzona w spóźnionej o lat trzydzieści polskiej wersji tego fundamentalnego dzieła[81]. Była to – powtórzmy – doktryna racjonalistyczna *par excellence*: nie historyczne uogólnienie regularności procesów rzeczywistych, lecz logicznie skonstruowana miara służąca do oceny odchyleń. Naturalny porządek rozwoju oznaczał taką sekwencję stadiów, jaka b y ł a b y się powszechnie zrealizowała, g d y b y nie zakłócały jej z jednej strony rozliczne okoliczności lokalne, z drugiej zaś – sztuczne, nieracjonalne prawa, instytucje i działania administracyjne.

[81] F. Skarbek, *Ogólne zasady nauki gospodarstwa narodowego*, t. II, Warszawa 1955, s. 75, 273. W przypisach W. Szuberta do tego wydania zostały skrupulatnie odnotowane ważniejsze odstępstwa autora od oryginalnego tekstu francuskiego.

Industrializacja zachodnioeuropejska była dla Skarbka, który idzie tu cały czas tropem Smitha, drastycznym przykładem „opacznego porządku rzeczy". Przedwczesny napływ kapitałów do przemysłu i handlu, zanim jeszcze rolnictwo zdołało osiągnąć wyższy stopień udoskonalenia, był rozwojową anomalią, wynikłą bezpośrednio z feudalizmu agrarnego. Inwestowanie w rolnictwo stało się bowiem nieopłacalne w sytuacji, gdy bezpośredni producenci byli już albo wyzuci z posiadania gruntu, albo pozbawieni pełnej jego własności i upośledzeni prawnie w porównaniu z rękodzielnikami i kupcami.

> Podział pierwiastkowy ziemi sprzeciwiał się [...] nastaniu naturalnej kolei w postępie przemysłu narodowego; bo w większej części krajów europejskich ziemia była własnością małej liczby uprzywilejowanych dziedziców, a masa pracowitego ludu długo żadnego nawet wyobrażenia o wyłącznym posiadaniu gruntu nie miała. Tej okoliczności przypisać należy powszechną dążność ludów europejskich do przyznania pierwszeństwa rękodziełom i handlowi przed rolnictwem, ponieważ tamte dwa rodzaje przemysłu były jedyną drogą osiągnienia bogactwa. [...] Taki miała skutek feudalność w europejskich krajach długo nader trwająca i utrzymywać można, iż ona się przyłożyła w znacznej części do tego, że narody Europy w odwrotnym porządku postępy ku bogactwu i oświacie czyniły[82].

Jak widać, polski ekonomista, w pół wieku po ukazaniu się traktatu Adama Smitha, jeszcze dobitniej formułował teorię, wedle której przyspieszone uprzemysłowienie było skutkiem nie rozkładu feudalizmu, lecz – przeciwnie – uporczywego jego trwania. Z teorii tej wynikały dalekosiężne konsekwencje, które podpowiadał już Sismondi: bowiem to właśnie zwichnięcie naturalnej kolei przemian okazywało się powodem naruszenia delikatnej równowagi między gałęziami gospodarki oraz między globalną produkcją a konsumpcją. Nie kapitalistyczna industrializacja sama w sobie, lecz jej przedwczesność i jej „przymuszony" kierunek przy jedno-

[82] Ibidem, s. 78, por. też s. 275, przypis 38.

czesnym zaniedbaniu rolnictwa – mogły zostać obarczone odpowiedzialnością za pauperyzm, bezrobocie, kryzysy handlowe.

W Polsce tezy tej nie próbowano odnosić do historii własnego kraju: założenia wyjściowe nie były przecież spełnione tu, gdzie „feudalność" skrępowała rozwój miast bardziej jeszcze niż rozwój rolnictwa. Ale w czasie, gdy pisze Skarbek, warunki te właśnie uległy zmianie. Miasta, także prywatne, są już praktycznie wolne, przedsiębiorczość handlowa i przemysłowa nieskrępowana, poddaństwo zniesione; i tylko stosunki rolne nadal pozostają spętane instytucją własności feudalnej i pańszczyzną. W tych warunkach odpływ rąk roboczych i kapitałów pieniężnych z rolnictwa do handlu i przemysłu staje się możliwością realną, zwłaszcza gdy rząd Królestwa zdradza wyraźną chęć protegowania młodych gałęzi gospodarstwa narodowego. Teoria rozwoju naturalnego nabiera zatem mocy: nie jako interpretacja historyczna, lecz jako program i przestroga.

Dominik Krysiński już w roku 1807, w polemice z entuzjastą industrializmu Antonim Gliszczyńskim, dowodził, że „miasta, fabryki, manufaktury, acz wielki mają wpływ na bogactwo narodu, drugiego rzędu przedmiotami są dla Polaków". O stanie narodu decyduje nie pozorny blask wielkich miast i fabryk, nie bogactwa kapitalistów, lecz „stan najliczniejszej w narodzie klasy", to jest dobytek, mieszkanie, odzienie i pożywienie rolnika.

> *Kraj dobrze zarządzony to jest taki, w którym rząd stara się o powiększenie liczby właścicielów gruntowych, w którym rolnik będzie mógł zbierać kapitały*; kraj taki, mówię, zbogaci się i zaludni bez manufaktur i bez wielkich miast. Przeciwnie, jeżeli dochody z roli na założenie wielkich manufaktur obrócone będą, jeżeli wszelkimi środkami starać się będziemy o pomnożenie liczby fabrykantów, zwłaszcza krajowców, zmniejszymy natenczas kapitały do polepszenia rolnictwa przeznaczone, a co największa, zmniejszymy ludność wsi, a tę zmniejszając, rolnictwo upaść musi[83].

Zauważmy znamienny konflikt prognoz ekonomicznych, konflikt, który w Polsce będzie trwał przez większą część stulecia. Oto rzecznicy industrializacji dowodzą wciąż, że rozwój miast i prze-

[83] D. Krysiński, *List do A. Gliszczyńskiego*, w: *Wybór pism*, s. 8–9.

mysłu jest dźwignią rozwoju rolnictwa, bo tworzy mu miejscowe rynki zbytu, podnosi ceny żywności, a obniża ceny narzędzi i innych towarów przez wieś nabywanych. Sceptycy - przeciwnie - rozumowali w kategoriach alternatywy „albo - albo": przy braku nadwyżki kapitałów i rąk roboczych rozwój przemysłu odbywa się kosztem rolnictwa, a więc w ostatecznym rachunku kosztem chłopa.

Kto miał rację? To zależało od przyjętej *implicite* skali czasu. W skali krótkiej, w której społeczeństwo odczuwa silniej ciężary niż wyniki pierwotnego nagromadzenia i inwestowania, rację mieli raczej sceptycy. Krysiński, zauważmy, nie był rzecznikiem interesów szlacheckiego folwarku, lecz zwolennikiem stopniowego uwłaszczania i umacniania osady włościańskiej. Wywóz zboża, jako przynoszący korzyści jedynie wielkiej własności, uważał za społeczną katastrofę („I któreż zaiste kraje najwięcej wywożą? Oto te, *w których lud jest niewolnikiem* i w których wielka liczba indywiduów dla garstki ludzi pracuje"[84]). Atoli - jak widzimy - w przeciwieństwie np. do Naxa albo Surowieckiego rozwoju rynków lokalnych nie uważał za nieodzowny substytut eksportu. Brak konsekwencji? Niekoniecznie. Jasne jest bowiem, że przy wyjściu z poziomu głodowego zmniejszenie obciążeń gospodarstwa chłopskiego prowadzi doraźnie do zmniejszenia sprzedaży na rzecz wzrostu bezpośredniego spożycia. Dobrze to czy źle? To zależy: czy dla głodnych, czy dla dziejowego postępu?

Do tego dochodził uzasadniony często brak zaufania do ekonomicznej kompetencji rządów arbitralnych, niechęć do „empiryzmu administracyjnego", który doradza eksperymentować na społeczeństwie bez oglądania się na teorię.

> Manufaktury i fabryki - wykładał tenże Krysiński w roku 1812 - ulubionym są przedmiotem opieki rządowej [...], a jednak nigdzie tyle bezrozumu [...], tyle skutków wbrew przeciwnych tym, które sobie obiecywano, nie dało się widzieć, jak w tej części administracji krajowej. Przez nieodznaczenie tego, co indywiduom samym, a co rządowi ma być zostawione, popełniano najgrubsze błędy, [...] manufaktu-

[84] Ibidem, s. 7.

ry jedne podnoszono z upadkiem drugich [...], nie znając przy tym wpływu, jaki manufaktury wszystkie w ogólności na industrie innego rodzaju mieć mogą, n i e n a t u r a l n y, a dla narodu szkodliwy industrii rękodzielnej nadawano kierunek[85].

Sprzeciw liberalnych ekonomistów nasilał się w latach Królestwa, w odpowiedzi na wzrost protekcjonizmu i etatyzmu.

System dzisiejszej administracji naszej - notował Skarbek w roku 1820 - opiera się [na] żądzy podciągania wszystkiego pod regulamina i przepisy rządowe. Wziąwszy za zasadę, że trzeba starać się wszelkimi środkami powiększyć konsumpcję wewnętrzną, dlatego ażebyśmy co do odbytu na płody ziemi naszej od obcych niepodległymi byli, chcą w m ę c z y ć w nas ducha fabrykacji, chcą wszelkiego rodzaju rękodzieła o d r a z u i g w a ł t e m zaprowadzić bez żadnego względu na możność i potrzeby kraju i bez względu, czy te fabrykaty odbyt znajdą. Na otwartym handlu z Rosją całą budują pomyślność rękodzieł i pewność odbytu.[86]

Rozpoczynała się krótka Lubeckiego era, która spór dwóch koncepcji rozwoju rozpaliła do białości.

Punkt wyjścia programu Lubeckiego był właściwie ten sam, co u jego krytyków, ba! ten sam, co u wszystkich prawie polskich autorów ekonomicznych od pierwszego rozbioru: uświadomienie sobie, iż bytu gospodarstwa narodowego nie można dłużej opierać na wywozie zboża. Angielskie cło zbożowe, wprowadzone po zniesieniu blokady kontynentalnej, dowiodło ostatecznie, jak krucha to podstawa wszelkich kalkulacji. Rozwój wewnętrznego rynku zbytu płodów rolnych miał uniezależnić szlacheckie folwarki od zawsze niepewnego eksportu[87]. Do tego zaś dochodził wzgląd polityczny. Lubecki, związany całe życie z Petersburgiem, władzę carów nad Polską akceptował z lojalnością niebudzącą podejrzeń, niemniej dominację polityczną Rosji zrównoważyć chciał siłą ekonomiczną i cywilizacyjną Królestwa.

---

[85] D. Krysiński, *O ekonomii politycznej*, ibidem, s. 36.

[86] Ekscerpty z rękopisów F. Skarbka, *Pisma pomniejsze*, t. I, s. 516–517. Interpolacja w nawiasie dodana przeze mnie na podstawie logicznej analizy tekstu.

[87] S. Smolka, *Polityka Lubeckiego przed powstaniem listopadowem*, t. I, Kraków 1907, s. 197.

Jak Staszica, jak Surowieckiego, jak tylu innych, tak i jego przerażała inercja szlachecko-wiejskiego życia. Tylko przemysł potrafi przełamać tę inercję. Tylko rząd potrafi stworzyć przemysł.

> Takie niestety jest położenie władzy w kraju nierozwiniętym jak nasz, że musi we wszystkiem i na każdym polu brać inicjatywę, ponieważ stan oświaty, nieufność i zakorzenione przyzwyczajenia powstrzymują obywateli od wszelkich nowości, które gdzie indziej można pozostawić zabiegom osób prywatnych, we własnym ich interesie. Co do nas, źle wyszlibyśmy pod tym względem na stosowaniu najpiękniejszych aksjomatów ekonomii politycznej, jeśli by nas oddały na pastwę tego zastoju, w którym niestety pleśniejemy od dawna. Rząd nasz, wódz świeżych jeszcze zastępów i nie ujętych w karby dyscypliny, musi śmiało na czele ich postępować, aby w nie wpoić poczucie siły i świadomość tych środków, którymi rozporządzają. Dałby Bóg, żeby ta rola Rządu skończyła się jak najrychlej, żeby tkwiąca w nim siła impulsu, wszystko wprawiwszy w ruch, mogła wrócić w granice rozważnego spokoju[88].

Na razie więc wola ministra skarbu wszystko wprawiała w ruch. Wszystko? Wszystko oprócz bagateli: oprócz stosunków dworsko-włościańskich, milcząco uznanych za niezmienne. Chłop nie pojawia się na kartach obfitej korespondencji Lubeckiego. Stworzenie warunków dla podniesienia przychodowości gospodarstwa włościańskiego i zwiększenia konsumpcji ośmiu dziesiątych ludności nie wchodziło w dalekosiężne plany gospodarcze. Gdzie zatem miał powstać dodatkowy popyt na dobra przemysłowe, skoro większa część ludności żyła wciąż w obrębie gospodarki naturalnej: przecież nawet przymuszony pieniężnymi obciążeniami gospodarstwa – czynszem lub podatkiem – chłop wychodził na rynek tylko, lub głównie, jako s p r z e d a w c a, nie nabywca. „Siła impul-

[88] Cyt. z listu Lubeckiego do ministra sekretarza stanu Grabowskiego z 3 XII 1824 w przekładzie S. Smolki, op. cit., s. 185–186 (oryg. tekst w jęz. franc. w *Korespondencji Lubeckiego z ministrami sekretarzami stanu*, wyd. S. Smolka, t. IV, Kraków 1909, nr 205). Przytoczony fragment jest komentarzem do projektu zakładania w dobrach narodowych wzorowych owczarni w celu podniesienia wartości dóbr i pobudzenia przemysłu wełnianego; można go jednak uznać za ogólną deklarację filozofii ekonomicznej Lubeckiego.

su" zatrzymywała się przed opłotkami wsi. Produkcja, wbrew klasykom, nie torowała sobie zbytu.

Rządowy program uprzemysłowienia zapewnić miał Królestwu ekonomiczną niezależność. „Mamy j u ż - chwalił się Lubecki u progu zaledwie swych poczynań - obfite owoce naszych zabiegów: wyparliśmy zagraniczne wyroby wełniane, za nimi pójdą płócienne, kuźnicom naszym nie brak warunków olbrzymiego rozwoju"[89]. Tak, ale j u ż było widać także, iż rynek krajowy nie wchłania nawet tak relatywnie małej produkcji zalążkowego przemysłu, zwłaszcza gdy protekcja celna podniosła ceny. W efekcie więc Lubecki zmniejszał zależność polskiej gospodarki od niepewnych zachodnich rynków zbożowych, uzależniając ją jednocześnie od też niezbyt pewnych, jak miało się rychło okazać, wschodnich rynków włókienniczych.

Współczesnych jednak obchodziła przede wszystkim sprawa kosztów tak ambitnego projektu przebudowy gospodarczej. System protekcjonistyczny oznaczał dalszy wzrost i tak już dotkliwego fiskalizmu. Skarb ściągał wygospodarowaną w rolnictwie nadwyżkę do budżetu, by część jej pompować w budowę dróg lądowych i wodnych, w kredyty i zapomogi dla rękodzielników i fabrykantów, a potem - w coraz większym stopniu - w rządowe inwestycje górnicze. Szlachecko-liberalna opozycja, sejmowa i pozasejmowa, zaciekle atakowała Lubeckiego za arbitralność jego niekonstytucyjnych działań, ale także zarzucając mu, że z nędzy chce wyciskać kapitały dla swoich przemysłowych projektów. „Nędza" była tu wprawdzie figurą cokolwiek retoryczną: w sporze szło bowiem o zagrożone dochody i egzystencję obdłużonej wielkiej własności. Lubecki nie przeczył, że industrializacja wymaga ofiar, ale - dodawał - nie ma innego sposobu wydobycia narodu z beznadziejnego zastoju.

> Nikt nie oblicza, że z tej nędzy, w ł a ś n i e z t e j n ę d z y, wyłoni się powszechny dobrobyt; nikt nie chce widzieć, że charakter narodowy w niej się oczyszcza, że tędy droga do znalezienia środków,

[89] Lubecki do Grabowskiego 13 VIII 1824 w przekładzie S. Smolki, op. cit., s. 193.

najbardziej zastosowanych do położenia narodu i jego uzdolnienia, że za pomocą przemysłu dojdzie do pomyślności, niezależnej a trwałej, której nic nie zniweczy [...] Jak chirurg nie może zważać na jęki operowanego pacjenta, by nie narazić życia chorego zbyteczną czułostkowością, i ja też niezachwianym krokiem muszę postępować po drodze, jaką mi wytknął mój obowiązek, świadom tego, że nie ma na świecie trudności, których by nie przełamało to przeświadczenie[90].

W obliczu tak wzniosłego posłannictwa zastrzeżenia krytyków Lubeckiego, żądających bardziej dokładnej k a l k u l a c j i społecznych kosztów i wyników programu rządowego, zdawać się musiały małoduszne.

To pewna, że wiele z nich było małostkowych rzeczywiście, że często kryło się za nimi tradycyjne dojutrkostwo obywateli ziemskich, dla których każda inwestycja – nawet własna, cóż dopiero narodowa! – jeśli miała płacić procent dopiero po kilku latach, była liczona po stronie strat. Zawsze przecież najlepszą inwestycją była gorzelnia, która w rok zwracała wyłożony koszt. Przeciw polityce Lubeckiego koalizowały się różne interesy i motywacje, w tym i polityczne. A jednak w chórze tym warto odróżnić głosy ekonomistów, których pogląd niekoniecznie był ciaśniejszy od poglądu ministra. Z góry nigdy nie wiadomo na pewno, czy lepsza jest zuchwała wyobraźnia optymistów, dla których nie ma na świecie trudności nie do przełamania, czy ostrzegawcza wyobraźnia sceptyków.

Jeśli Skarbkowi i Krysińskiemu potrzebny był świeży przykład gwałcenia naturalnej kolei rozwoju, to go teraz mieli. Królestwo powtarzało oto zachodni błąd industrializacji przedwczesnej, co gorsza ostentacyjnej, do jakiej jego gospodarka, jeszcze na poły feudalna, nie dojrzała. „Nadnaturalny pochop" – powiadali – dawany przez administrację jednemu rodzajowi przemysłu z uszczerbkiem drugiego (tj. z uszczerbkiem rolnictwa), wysusza zasoby narodowe, u t r u d n i a j ą c zmianę struktury rolnej i poprawę położenia wsi. Żadnej w tym nie ma korzyści dla narodu, „aby się koniecznie wszystkimi rodzajami przemysłu zajmował, jeżeli dla braku ludnoś-

[90] Lubecki do Grabowskiego 14 V 1824, ibidem, s. 203–204.

ci i kapitałów dostatecznych sił produkcyjnych nie posiada"[91]: przeciwnie, z korzyścią jest dla kraju kupować taniej potrzebne mu towary za granicą niż d r o ż e j produkować je u siebie. Sam nadejdzie taki czas, kiedy ludność i kapitały wzrosną do tego stopnia, że już w rolnictwie pomieszczenia nie znajdą, a przeto zaczną przepływać do miast, do rękodzieł, do handlu.

> Jeżeli się polepszy p o ł o ż e n i e r o l n i k ó w do tego stopnia, iż większa ich część, jeżeli nie własność gruntową, to kapitały posiadać będzie, i że stopa zarobków robotników gruntowych dobry byt im zapewni, natenczas powstanie przemysł narodowy i zacznie czynić postępy ku udoskonaleniu, lecz kolej tychże postępów zależeć będzie od tego, jak dalece administracja wewnętrzna kraju zostawi rzeczy w naturalnym porządku[92].

Skarbek, w krytyce etatyzmu mniej od Krysińskiego bezwzględny, dopuszczał wprawdzie, że kosztem publicznym mogą być prowadzone niektóre zakłady dla kraju niezbędne, a zdolność kapitałów prywatnych przekraczające. Tak na przykład „potrzeba konieczna płodów kopalnych, których drogą handlu taniej dostać nie można, niepłonna nadzieja odkrycia obfitszych kopalni i czasem potrzeba zatrudnienia rąk pracujących mogą być powodami do utrzymywania górnictwa, które żadnych czystych dochodów nie czyni"[93]. Ale to uważał za wyjątek od zasady ogólnej. Sama nawet akumulacja skarbowa zdawała mu się p o z o r n ą, skoro przy twardym poborze fiskalnym kapitały państwowe powstają nader często już nie ze ściąganej nadwyżki d o c h o d ó w, lecz kosztem kapitałów czynnych, a przez rząd oderwanych od korzystniejszych lokat. Koszty produkcji rządowej, obciążonej rozbudowaną administracją, nadzorem i kontrolą, są bowiem zawsze wyższe niż prywatnej[94].

[91] F. Skarbek, *Ogólne zasady*, t. II, s. 78, 88–89.

[92] Ibidem, s. 83; podobnie D. Krysiński, *List do A. Gliszczyńskiego*, loc. cit., s. 9.

[93] F. Skarbek, *Rys ogólny nauki finansów* (1824), w: *Pisma pomniejsze*, t. I, s. 317.

[94] F. Skarbek, *Ogólne zasady*, t. II, s. 209–210.

Co więcej, ekonomiści i publicyści nasi podejrzewali - i nie całkiem bez racji - że owe imponujące rządowe budowle i machiny wznoszone były w pewnej mierze ze względów prestiżowych. Podejrzewali, że tworzyły one „strukturę pozorną", by przywołać tu określenie, jakiego w innej epoce użyto dla nacechowania imprez Tyzenhauza[95]. Najwięcej wątpliwości budziły forsowane przez Lubeckiego rządowe inwestycje górnicze i hutnicze, ostro zaatakowane przez liberalną opozycję na sejmie 1830 roku. Wkrótce potem, po wybuchu powstania, nie przebierający już w słowach Krysiński wyszydził „tę całą kosztowną, bo ogromne miliony pożerającą, razem boleść i pośmiewisko wzbudzającą *górniczą fantasmagorię*"; i przyrównał ją do przedsięwziętej w tymże czasie renowacji małych miast Królestwa, która jego zdaniem na tym polegała, że porobiono „w nędznych, słomą krytych miejskich chatach murowane fronty, które [...] podobne do publicznych czerwoną farbą powleczonych nierządnic ukrywały całą sromotę i bezwstyd wewnętrzny"[96].

Mochnacki, pisząc na emigracji swą historię powstania, tak oto podsumował całość polityki przemysłowej Lubeckiego:

> W dzisiejszym stanie nauki gospodarstwa narodowego nie podpada zaprzeczeniu, że rząd na sposób użycia krajowych kapitałów wpływać nie powinien. Fabryki zbogacają naród, jeżeli same powstają. Fabryki, które rząd zaprowadza, które by bez rządu nigdy nie powstały, fabryki wypływające z systematu *prohibicyjnego* stają się klęską konsumentów, szkodzą naturalnemu, miejscowemu przemysłowi. Ta jest reguła powszechna.

I dalej ciągnął:

> Nie od dachu podobno, lecz od fundamentów stawiają się budynki. U nas przed przemysłem rękodzielnianym idzie rolnictwo i dopóki kraj nie odzyska swej niepodległości, póki wszystkie jego płody nie wejdą w handel wewnętrzny, póty daremne będą wszelkie usiłowania

[95] Tak Stanisław August w liście do Wolmera z 1779 r., wg: S. Kościałkowski, *Antoni Tyzenhauz podskarbi nadworny litewski*, t. II, Londyn 1971, s. 299-300.

[96] D. Krysiński, [Niektóre uwagi nad ministerstwem skarbowym J.O. Księcia Lubeckiego], w: *Wybór pism*, s. 147-148.

pomknienia go naprzód na drodze przemysłowej. W Polszcze tych tylko rąk do fabryk użyć można, które od ziemi zbywają[97].

Te dwa ostatnie świadectwa zaciekłych Lubeckiego przeciwników politycznych mogą być uznane za stronnicze. Mochnacki nadto miał jeszcze w sobie wiele z polskiego szlachcica, czującego wrodzoną do handlu i przemysłu niechęć. Wolny zupełnie od tych podejrzeń jest wspomniany już w poprzednim rozdziale Jan Ludwik Żukowski, gorący rzecznik industrialnego postępu. A i on przecież w dziele swym z roku 1830 dał upust obawom, że przemysł fabryczny – na przykład bawełniany – „przesadzony" do Królestwa dzięki rządowej protekcji, wcale nie musi stać się zaczynem rozwoju.

> Lecz wyznajmy – pisał – czy w chwalebnym zawodzie podniesienia narodowego bogactwa zgłębiliśmy dostatecznie wszystkie sposoby, nieomylne obrali środki; skutki usiłowań podnoszą ż o g ó ł kultury narodowej? Na massę narodu rozlewają dostateczną s i ł ę r u c h u, który by też siły pomnażając w narodzie, na zawsze byt ich utwierdził? czyli to nagłe zakwitnienie niektórych okolic nie jest skutkiem raczej wysilenia jak n a t u r a l n e g o działania?

Trzeba zawsze – dowodził – pamiętać, „że te tylko rzeczy trwałość mają, które z wolna i niejako skutkiem naturalnej dążności mieszkańców wzniesione zostały." U nas zaś inaczej się dzieje:

> Wewnętrzne i samodzielne tworzenie się sił produkcyjnych zdaje się nikogo nie obchodzić. Baczemy tylko na prędkie skutki, a widząc je, nie pytamy się cale, jakim sposobem do nich przyśliśmy? ile nas kosztowały? czy w rozwijaniu się swoim nie zaszkodziły innym gałęziom pomyślności, nie wstrzymały postępu innych tego rodzaju skutków, lub czy te nie mogły być lepiej i korzystniej innym sposobem osiągnione?[98]

W innej mojej, przed wieloma już laty wydanej pracy pokusiłem się o próbę rzeczowej analizy wyników rządowych inwestycji górniczych i hutniczych, rozpoczętych przez Staszica i Lubeckiego, a na większą skalę kontynuowanych po powstaniu przez Bank Pol-

---

[97] M. Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831*, t. I, Warszawa 1984, s. 179–181.

[98] J.L. Żukowski, *O pansczyźnie*, Warszawa 1830, s. 146–147.

ski. Doszedłem wówczas do wniosku, że bezspornego niepowodzenia tej industrializacji nie da się złożyć li tylko na karb powstańczej katastrofy i carskich po niej represaliów. Program ten istotnie zwichnął proporcje w gałęziowej strukturze gospodarki Królestwa: względne przeinwestowanie hutnictwa na tle ogólnej stagnacji popowstaniowego dwudziestolecia doprowadziło do kryzysu, który strwonił większą część wzniesionego potencjału wytwórczego. Co więcej, zakłady rządowe, choć większe i korzystające z bardziej nowoczesnej technologii, produkowały drożej i gorzej od staroświeckich pieców i kuźnic prywatnych. W stosunku do całości gospodarki nowy przemysł nie wykazał tej siły impulsu, o jakiej i Surowiecki marzył, i Lubecki[99]. Fakt ten nie dewaloryzuje ich idei, ale w niektórych przynajmniej punktach potwierdza racje tych, którzy niepowodzenie programu potrafili bądź przewidzieć, bądź szybko dostrzec i wyciągnąć wnioski.

Takich krytycznych obserwatorów było wielu. Do głosów, jakie w tamtej już pracy przytoczyłem, warto dorzucić dokument później odnaleziony. Oto w roku 1843 młody inżynier-budowniczy, Bolesław Podczaszyński, poproszony został o opinię w sprawie lokalizacji nowej rudni w Nalibokach na Litwie, w dobrach poradziwiłłowskich. Przy tej okazji Podczaszyński wypowiedział się obszerniej na temat zasad, jakimi kierować się należy przy zakładaniu fabryk. „Zdanie moje przykładami poparte - pisał - że bardzo powoli i ostrożnie postępować w tej mierze należy". Zalecał budować nowe zakłady tam, gdzie na wsi występuje wyraźne przeludnienie lub gdzie nieurodzajna ziemia nie daje ludności rolniczej dostatecznego utrzymania. W wyborze produktu radził stosować się do potrzeb miejscowych, zaś w wyborze technologii „najprostszych, najłatwiejszych sposobów chwytać się trzeba, np. najprostszych machin używać". W Królestwie, niestety,

> opinia publiczna, uwiedziona blaskiem przemysłowości, innego jest mniemania. Fabryki tego kraju wedle mnie na zbyt ogromną skalę prowadzone sprzyjają na pozór industrii, ale korzyści z niej nie przy-

[99] J. Jedlicki, *Nieudana próba kapitalistycznej industrializacji*, Warszawa 1964, zob. zwłaszcza s. 362-369.

noszą. Porównałbym słusznie roboty zakładów Królestwa do eksperymentów i demonstracji naukowych laboratorium chemicznego, gdzie o koszt nie chodzi, aby jeno rezultat otrzymać. Rozumiem, że upadek wzorowej fabryki żareckiej, zbytkowym kosztem wystawionej [chodzi o fabrykę maszyn i narzędzi Piotra Steinkellera w Żarkach – *J.J.*] powinien by być ostrzeżeniem dla innych i powodem do lepszego zbadania bytu fabrycznego u nas.

W dalszym ciągu swojej fachowej analizy Podczaszyński daje dowód, że rozumie ekonomiczne korzyści produkcji na wielką skalę, niemniej aksjomatem jest dla niego taka rozbudowa przemysłu, która będzie wspomagała produkcję rolną, a nie szkodziła jej. Obawia się on najwyraźniej tworzenia wielkich skupisk proletariackich i zburzenia bilansu żywnościowego kraju:

U nas – twierdzi – nigdy głód tyle nie dokucza, jak w krajach rękodziełom oddanych. Wiadome są nieszczęścia Hiszpanii górnictwem spowodowane, wiadome klęski Francji przemysłowością Colberta zadane albo też nędza Anglii z powodu fabryk i machin parowych. Wreszcie świeże głody mieszkańców gór kruszcowych (Erzgebirge) czeskich i saskich, a nawet i Szląska. Gubernia Sandomierska czasami doświadcza podobnego stanu![100]

Jak już widać, zwolennicy rozwoju „naturalnego" zgłaszali na przemian kilka pretensji do industrializacji „sztucznej", wysilonej. Obawiali się, że jest ona: 1) za wczesna, 2) za szybka, 3) zaczyna się od złego końca, wprowadza niewłaściwą kolejność inwestowania, 4) jest forsowana przez państwo; ponadto zaś 5) buduje się obiekty zbyt wielkie i 6) zbyt kosztowne, oparte na drogiej, importowanej technologii. Wszystkie te kryteria są ze sobą w znacznej mierze sprzężone. Wszystkie też są względne i zależą od jakiejś arbitralnie przyjętej normy: trudno jest obiektywnie ustalić, co jest „za szybkie", „za wczesne" czy „za wielkie". Zawsze też znajdą się tacy, co uznają, że ten sam dokładnie proces był spóźniony, za wolny, za

[100] B. Podczaszyński, Niektóre materyały przygotowane do projektu urządzenia Rudni Nalibockiej, rkps. datowany Paryż 1843, Woj. Arch. Państw. w Kielcach, zbiór Kieleckiego Towarzystwa Naukowego. Fotokopię dokumentu otrzymałem od p. Jerzego Szczepańskiego.

mało wspomagany przez rząd itd. Mimo to jak najdalszy jestem od mniemania, iż był to spór jałowy lub bezprzedmiotowy, albo że ścierały się tu tylko i po prostu różne klasowe interesy.

W polskiej literaturze naukowej – zwłaszcza w historii myśli ekonomicznej – problem bywa sprowadzany do sporu o rolę państwa w procesie uprzemysłowienia (co wyróżniliśmy powyżej jako jedno z kilku kryteriów). Aspekt ten nie miał jednak znaczenia samodzielnego, był wyraźnie podporządkowany generalnej opcji cywilizacyjnej. Warto przypomnieć, że w Anglii, a od lat dwudziestych dziewiętnastego wieku także we Francji, hasła wolnego handlu i wolnej przedsiębiorczości były właśnie bronią zwolenników szybkiego uprzemysłowienia; toteż Sismondi krytyką swoją mierzył w dogmaty liberalizmu ekonomicznego, domagając się interwencji państwa – ale nie interwencji protekcjonistycznej, pobudzającej inwestycje, lecz korektury podziału dochodu społecznego na rzecz mas pracujących. Teoria Sismondiego i jego przestrogi przed niepohamowanym rozwojem kapitalistycznej gry interesów wywarły wielki wpływ na polską, a także rosyjską myśl ekonomiczną, na ogół jednak nie widziano tu potrzeby (ani politycznych możliwości) sięgania po proponowane przez genewskiego ekonomistę środki zaradcze. W krajach o zalążkowym dopiero przemyśle, od Niemiec poczynając, zdecydowani industrialiści akceptowali z reguły zasady polityki protekcyjnej, natomiast zarówno ziemiańscy agrariusze, w ogóle niechętni uprzemysłowieniu, jak i zwolennicy rozwoju „naturalnego" pokładali zaufanie w dogmacie wolnohandlowym, spodziewając się, że rzeczy same pójdą po ich myśli, jeśli tylko rząd zaniecha aktywnej polityki przemysłowej i celnej. Stosunek do tej polityki był więc wyraźnie instrumentalny, a sednem sporu o przyszłość była sama koncepcja postępu, dobrobytu i wizja pożądanej struktury społecznej kraju.

„Ja ze średniej nie chcę schodzić drogi" – pisał Skarbek, włączając się w dyskusję na temat „zbytku"[101] – i to *dictum* najtrafniej

[101] F. Skarbek, *Uwagi nad myślą względem bankietu polskiego* (1815), *Pisma pomniejsze*, t. I, s. 148.

charakteryzuje wybrany przezeń wzorzec cywilizacji. Ani się nie upajał cudami techniki i nowoczesności, ani im nie przeciwstawiał kultu zgrzebnej i swojskiej prostoty. To, co z dawna istniało, i to, co dopiero przyjąć się mogło, na równi miało wykazać swą użyteczność przed trybunałem ekonomii.

Nie marzyły mu się polskie Manchestery i Birminghamy, z nieuchronną koncentracją bogactw, z wyostrzeniem kontrastów ludzkiej egzystencji. Nie sposób wyobrazić sobie Skarbka uradowanego – jak Staszic w Sieradzu – widokiem dzieci biegnących na szychtę do fabryki. Nie był jednak wrogiem przemysłu, który – jak się rzekło – miał się pomału rozwijać w miarę samoistnego przepływu nadwyżek kapitałowych zgromadzonych w rolnictwie. Praca około roli była wszak także, jak rękodzielnia lub handel, rodzajem „przemysłu", wymagającym inwestycji i nauki, o tyle tylko lepszym, że stabilizującym rynek pracy i zabezpieczającym przed widmem masowej proletaryzacji. Z tego to powodu wyższa pracochłonność rolnictwa i mniejsza jego podatność na mechanizację były w oczach Skarbka awantażem.

Nie wydajność aparatu wytwórczego, lecz – jak u Sismondiego – społeczna zdolność do korzystania z wyprodukowanych dóbr uznana przezeń została za miernik poziomu cywilizacji. Drugorzędną zaś było rzeczą, czy dobra spożywane pochodzą z produkcji krajowej, czy z wymiany. „Kraj żyzny np. i dobrze uprawny, mający obszerny i łatwy odbyt na ziemiopłody, może się poświęcić wyłącznie prawie rolnictwu, ciągnąć z zagranicy towary fabryczne i zostawić obcym prowadzenie handlu zewnętrznego"[102]. Logiczną konsekwencją tego stanowiska było odrzucenie teorii „haraczu", który kraje rolnicze muszą jakoby płacić krajom uprzemysłowionym. Jeśli zaś nawet prawdą jest, iż narody handlowe i przemysłowe szybciej postępują „w zawodzie bogactw i oświaty", to jest to tylko chwilowa premia wynikająca z zacofania rolnictwa: w dłuższym przeciągu czasu utracą swoją przewagę[103].

[102] F. Skarbek, *Ogólne zasady*, t. II, s. 89.
[103] Ibidem, s. 90.

Kapitalistyczne uprzemysłowienie nie jest więc w tej koncepcji niezbędnym warunkiem rozwoju gospodarczego. Warunkiem takim jest natomiast wzrost potrzeb i dochodów ludności. Gdzie taki wzrost nastąpi, produkcja zawsze pójdzie w ślad za nim. Nie o nią więc troszczyć się potrzeba i nie o interes kapitalistów: ci poradzą sobie sami. Prawodawstwo i administracja rządowa, dbałe o pomyślność powszechną, troszczyć się winny o bardziej równomierne rozdzielenie majątków i dochodów, tak aby i w rolnictwie, i w przemyśle było wielu małych, nie zaś mało wielkich właścicieli i wytwórców. Aby praca jak najrzadziej oddzielona była od własności i aby do niej prowadzić mogła, bo warunkiem zamożności kraju jest istnienie jak najliczniejszej „średniej klasy przemysłowych ludzi", łączących pracę rąk z posiadaniem niewielkich kapitałów lub ziemi[104]. Klasy niezależnej, zdolnej do obrony swoich zarobków, swojego średniego dostatku. „Im więcej będzie ludzi zależących od woli drugich, tem kraj będzie uboższym" - toteż rząd pomagać musi robotnikom w tym, aby położenie nie przymuszało ich do uległości względem kapitalistów[105]. To zaś możliwe będzie wówczas, gdy powściągając zbyt szybką mechanizację (choćby przez wprowadzenie podatku od maszyn, wyrównującego koszty produkcji), a z drugiej strony zapobiegając pauperyzacji wsi, nie dopuści się do przeludnienia i konkurencji na rynku pracy, zaś przez organizację kas oszczędności ułatwi się robotnikom gromadzenie niewielkich kapitałów.

Czy była to - jak uważał Janusz Górski - „drobnomieszczańska utopia"?[106] Powiedzmy najpierw, że każdy projekt rozwoju społeczno-gospodarczego, każdy w ogóle wzorzec przyszłości jest utopią w tym sensie, że życie jest od wszystkich modeli bogatsze i bardziej eklektyczne - żadnego wzorca nie realizuje bez znacznych odkształ-

[104] F. Skarbek, *O przyczynach ubóstwa klasy robotniczej w krajach bogatych*, w: *Pisma pomniejsze*, t. II, s. 30.

[105] F. Skarbek, *Czy wielka ilość ubogich ciążąca na niektórych państwach Europy może być słusznie przypisywaną ludności przechodzącej możność utrzymania jej?* (1822), ibidem, s. 14-17.

[106] J. Górski, op. cit., s. 159.

ceń. Wizja industrialistów, wierzących w błogosławioną cywilizatorską rolę wielkiego przemysłu i kapitału, który całe gnuśne i sparciałe życie zacofanego kraju przeorze i podźwignie, ta wizja okazać się miała – w Królestwie i gdzie indziej – nie mniej „utopijna", choć na pewno nie „drobnomieszczańska".

Wielu historyków gospodarczych i historyków myśli ekonomicznej zdaje się sądzić, że o ile znane z dziejów systemy feudalnej organizacji społecznej są różnorodne, to system kapitalistyczny jest w zasadzie wszędzie jednaki: dostrzegane odmienności składa się na karb bądź różnic s t o p n i a jego rozwoju, bądź różnych d r ó g d o kapitalizmu. Pogląd taki zasadza się na bezspornym ponadnarodowym podobieństwie organizacji produkcji, układów zależności i typów instytucji wykształconych w obrębie sektora wielkokapitalistycznego. Rzecz w tym jednak, że pojęcie „kapitalizm" używane bywa nie tylko na oznaczenie tego sektora, lecz także, i to pospolicie (gdy np. mówi się o „epoce kapitalizmu", o „społeczeństwie kapitalistycznym" itp.), na oznaczenie c a ł o ś c i ustroju społeczno-gospodarczego, w którym sektor taki funkcjonuje. A przecież łatwo zauważyć, że w tym rozszerzonym znaczeniu struktury „kapitalistyczne" są bardzo różnorodne: rozmaity bywa w nich zasięg stosunków definicyjnie kapitalistycznych i rozmaity sposób ich koegzystencji z innymi segmentami gospodarki i społeczeństwa. Jak dobrze wiadomo, rozwój nie zawsze prowadzi do pochłonięcia wszystkich owiec przez żarłocznego kapitalistycznego wilka.

Co więcej, nie wytrzymuje krytyki założenie, na mocy którego można modelowo odróżniać li tylko „drogi" wiodące jakoby do tego samego co do swej istoty stanu finalnego. W dziejach społecznych nie ma bowiem stanów finalnych: są jedynie nie kończące się „drogi" (i bezdroża), na których żaden punkt nie może być uznany za stan ostatecznej dojrzałości. Wielość „dróg do" nie może tedy znaczyć nic innego jak wielość względnie trwałych konglomeratów strukturalnych.

Jak wiadomo, nic bardziej nie różnicowało owych konglomeratów niż odmienność struktur agrarnych i typów uprawy. Sposób władania ziemią i jej użytkowania był wszędzie najbardziej opor-

nym na zmiany instytucjonalne składnikiem sytuacji społecznej. Na nim to najtrwalej odcisnęły się różne koleje historyczne narodów. Znane w Europie w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku struktury agrarne dadzą się z grubsza sprowadzić do trzech podstawowych typów: 1) typ angielski, raczej wyjątkowy i niepowtarzalny, którego przesłanką była trzy wieki trwająca ekspropriacja chłopstwa i ukształtowanie się systemu wielkoobszarowej kapitalistycznej dzierżawy, 2) typ obszarniczy, który można umownie nazwać junkiersko-pruskim, charakteryzujący się współistnieniem, także po uwłaszczeniu, wielkiej i małej uprawy, z wyraźną jednak przewagą pierwszej, 3) typ średniorolny, powiedzmy francuski albo południowoniemiecki, cechujący się stopniowym zanikiem klasy postfeudalnej i umacnianiem się towarowej gospodarki chłopskiej, dominującej w krajobrazie społecznym wsi. Dla większości ziem polskich najbardziej prawdopodobne było oczywiście utrzymanie się typu drugiego z wymienionych, przy pewnej jednak szansie sterowania procesem przemian w stronę modelu średniorolnego. Jakoż te dwa modele wyznaczały skalę możliwych tu opcji, podczas gdy „droga angielska" była postrachem wszystkich ekonomistów i ideologów, od prawicy do lewicy.

W kraju, w którym rolnictwo wytwarzało lwią część produktu społecznego, całkowicie racjonalny był pogląd, iż podział gruntów i poziom kultury rolnej będą określały całokształt procesu wzrostu i modernizacji gospodarczej. Tym samym uzasadnione było przekonanie, że przy fundamentalnie odmiennej strukturze agrarnej industrializacja ziem polskich może mieć inny zupełnie przebieg, tempo i skutki niż angielski przewrót przemysłowy, niewyobrażalny bez uprzedniej długotrwałej przygody pierwotnego nagromadzenia.

We wczesnej fazie industrializacji wpływ przemysłu na stosunki wiejskie sprowadza się przede wszystkim do ściągania ze wsi nadwyżek ludnościowych i do powiększania rynku zbytu produktów gospodarstwa rolnego. Z tego punktu widzenia przemysł drobny, o niskiej kapitałochłonności, równomiernie rozproszony i przerabiający miejscowe surowce, jest nieporównanie bardziej efektywny

niż przemysł wielki i nowoczesny, skoncentrowany wyspowo w kilku rejonach kraju i tworzący w zacofanej gospodarce układ w znacznej mierze izolowany. Teoria rozwoju „naturalnego" miała więc głęboki sens społeczny i humanitarny.

Czy była to jednak prognoza realna, to znaczy: czy rozwój „naturalny" byłby rozwojem w ogóle, a nie zastojem? W modelu Skarbka nietrudno znaleźć dziury: brak jednoznacznego programu uwłaszczenia, naiwne sądy o zdolności robotników i małych „dzierżawców" do gromadzenia oszczędności, idealizacja warunków wymiany międzynarodowej. Nie wydaje się jednak, by dopełnienie lub korekta tych założeń miały prowadzić do podważenia podstaw koncepcji. Argument, iż bez „wielkiego pchnięcia" nie było możliwe powstanie wielkiego przemysłu, nie trafia w sedno, skoro właśnie nie o wielki przemysł chodziło. Rozstrzygający wydaje się argument historyczny: Poznańskie. W tej to dzielnicy, pomimo pruskiego uwłaszczenia, niekorzystnego dla stanu posiadania wsi, rozwój gospodarczy i cywilizacyjny poszedł torem bliskim wersji „naturalnej" i trudno by orzec, że Wielkopolska wyszła na tym gorzej od innych części podzielonego kraju. Zrealizowała się więc „drobnomieszczańska utopia".

Koncepcja i n n e g o, łagodniejszego kapitalizmu odegrać miała ogromną rolę w dziejach polskiej myśli społecznej dziewiętnastego wieku. W niewielkim stopniu było to zasługą Skarbka, którego dzieła nigdy – ani przed Listopadem, ani w drugiej, o trzydzieści z górą lat późniejszej fazie jego twórczości – nie zdobyły sobie szerokiego obiegu. Idea rozwoju naturalnego, „średniej drogi", po prostu m u s i a ł a się tu rodzić i wciąż na nowo odradzać, bo sama była „naturalnym" – co nie znaczy, że jedynym – rozwiązaniem polskiego dylematu cywilizacyjnego. Konieczność postępu nauki, techniki i racjonalnego gospodarstwa uznawali w końcu wszyscy z wyjątkiem nieprzejednanych tradycjonalistów, o których będzie jeszcze mowa. I coraz powszechniejsze było zrozumienie, iż postęp taki możliwy jest tylko w warunkach swobodnego przepływu kapitałów, towarów, najemnej siły roboczej, najemnych talentów i wiedzy. Ale wcale nie było łatwo wykrzesać z polskiej szlachty

i inteligencji entuzjazm do wielkiego skoku w odmęty grynderstwa i wielkomiejskiego proletariatu. Obawa przed zagrożeniem porządku społecznego także nie była tu bez wpływu. Stąd i rodzić się musiała myśl, że Polska tego doświadczenia w całości powtarzać nie musi, a nawet nie może, bo jej rolnictwo, wiążąc przeważającą część zasobów ludnościowych i kapitałowych, będzie stabilizowało rozwój innych działów gospodarstwa narodowego. Prognoza rozwoju mniej pospiesznego, ale za to obywającego się bez brutalnego wykorzenienia mas ludowych i bez klasowej polaryzacji społeczeństwa, zdawała się obietnicą ponętną.

Była ona szczególnie ponętna dla tych właścicieli ziemskich, którzy swoje poglądy i swoje majątki starali się zawczasu przystosować do wymagań nowej epoki. Nic dziwnego, że teoria „naturalnego" rozwoju zyskała sobie popularność w środowisku „klemensowczyków" i w ogóle liberalizującej części ziemiaństwa. „Roczniki Gospodarstwa Krajowego" dowodziły, że nonsensem jest dążyć do tego, aby kraj sam wszystko produkował, skoro za swoje zboże, drzewo i wełnę może dostać potrzebne mu zagraniczne wyroby taniej, niż gdyby je miejscowe fabryki wytwarzały. Przy wymianie tak korzystnej kapitały się pomnożą, cena ziemi wzrośnie, a stopa procentowa się obniży. Wówczas to opłacać się będzie zakładanie na wsi fabryk przerabiających miejscowe płody rolne i surowce mineralne, a więc browarów, olejarni, cukrowni, garbarni, fabryk łoju i świec, cegielni, hut szkła, tartaków itp. „Jest to j e d y n y sposób dla wzrostu bogactwa kraju rolniczego, jest on wolny i długi, ale gdy innego nie ma, należy iść drogą przez niego wskazaną". Kraj rolniczy i ubogi nie może porywać się na wznoszenie takich fabryk, które bez rządowej protekcji nie potrafią się utrzymać w konkurencji z zagranicznymi[107].

Co nie mniej ważne, taki organiczny wzrost miał zabezpieczyć Polskę przed kryzysami wstrząsającymi Zachodem. Gdy europejski

[107] S. G[órski], *Niektóre prawdy z ekonomii politycznej czerpane, tyczące się produkcji, konsumcji i zamiany, ze stanowiska rolniczego*, „Roczniki Gospodarstwa Krajowego" t. XVI (1850), s. 141, 143. Zdań podobnych było w „Rocznikach" wiele.

kryzys roku 1857 dosięgnął mimo wszystko „i naszej rolniczej, nieprzemysłowej, niegiełdowej Polski", Franciszek Salezy Dmochowski przyczynę złego dojrzał w tym, że obywatele ziemscy posiadający wolne kapitały lokują je w akcjach lub w paryskich bankach, zamiast zatroszczyć się o potrzeby domowe:

> Kraj rolniczy niech najprzód swój przemysł rolniczy rozwinie, niech stara się o polepszenie bytu klas niższych; niech podźwignie włościan i mieszczaństwo w prowincjonalnych miasteczkach podniesieniem istotnego przemysłu i pracy; niech pół miliona żydowstwa oderwie od brudnych frymarków bezowocnie trawiących źródła bogactwa krajowego. Do tego celu zwróćmy rodzinne polskie kapitały nasze, a bardzo mało będzie nas to obchodzić, że burza handlowa gdzieś tam huczy na Zachodzie[108].

Z tym wszystkim odróżnienie przedsięwzięć „sztucznych" i „naturalnych" nastręczało czasami trudności. Oczywiście, arcyprzykładem rozwoju „sztucznego" był przemysł bawełniany, budowany w Królestwie Polskim przez niemieckich fabrykantów, przerabiający amerykański surowiec, produkujący w części na rosyjskie rynki, chroniony cłem wwozowym, wspierany pożyczkami i ulgami skarbowymi i tworzący rosnącą wielkomiejską aglomerację proletariatu. A inna nowość: fabryki cukru? Fabryki cukru podawane były często za przykład właściwego rozwoju, były przecież lokowane na wsi i bardzo opłacalne dla plantatorów buraka. A jednak właśnie z powodu cukrowni wybuchł najostrzejszy spór ekonomiczny w prasie warszawskiej tych czasów.

Było to w roku 1860 i nie o Królestwo poszło tym razem, lecz o Wołyń i Podole. Po obłożeniu cukru przez Rosję wysokim cłem wwozowym wszczęła się tam istna gorączka cukrownicza. Dyskusję w „Gazecie Codziennej" sprowokował jej korespondent z Żytomierza, Apollo Nałęcz Korzeniowski, literat i zapalony czerwieniec, który jednak w kwestiach ekonomicznych – jak to się nieraz zdarzało – miał zapatrywania raczej szlachecko-konserwatywne. Korzeniowskiemu szło zresztą przede wszystkim o skutki moralne tej

[108] F.S. Dmochowski, *Obecne kwestye gospodarcze i przemysłowe*, Warszawa 1858, s. 148.

przemysłowej gorączki, ten zaś przedmiot odkładamy do następnego rozdziału. Przy sposobności zrobił jednak wykład teorii rozwoju „naturalnego", bardzo apodyktyczny i z wyraźnym antyindustrialnym nachyleniem.

> Nie odmawiamy wcale - pisał - naszemu krajowi zdolności do rozwoju materialnego. [...] Sądzimy jednak, że fabrykacja, przemysł i handel nie powinny pochłaniać u nas rolnictwa, a być tylko jego najniższymi sługami, jako to przystało rzeczom niższej kondycji. [...] Dodajemy także, że dopóki rolnictwo i wszelkie jego gałęzie nie doszły u nas zupełnego rozwoju, o b o w i ą z k i e m jest krajowych właścicieli gospodarstw, jak również kapitalistów-obywateli, pracę swą i kapitały swe do tego rozwoju przede wszystkim skierować[109].

Teraz więc już i przemysł rolniczy, pozostający przecież w rękach ziemiańskich, został przeciwstawiony gospodarce rolnej. Dyskusja o cukrowniach na Ukrainie stała się sporem o ogólne racje uprzemysłowienia. Zaczepieni „kapitaliści-obywatele" ruszyli do kontrataku. Wspierała ich redakcja „Gazety Codziennej", która po jej nabyciu przez Kronenberga przekształciła się w organ industrialistów. Redakcja więc w komentarzu własnym sprzeciwiła się opinii, iżby przemysł był „czemś niższem i gorszem od rolnictwa". Inny jakiś żytomierski korespondent zarzucił Korzeniowskiemu powodowanie się „średniowiecznymi uprzedzeniami względem przemysłu i handlu"[110]. Najostrzej wystąpił Zygmunt Fudakowski, przemysłowiec i wybitny organizator przemysłu cukrowniczego na Ukrainie. Wydrwił całe rozumowanie Korzeniowskiego, który „naturalność" połączyć chciał z „obowiązkiem". Przecież „rolnictwo bez pomocy przemysłu z trudnością na drodze naturalnej do zupełnego rozwoju da się doprowadzić! Naturalną zaś jest ta droga, na której rozwój staje się k o n i e c z n y m, na której on wynika z samej natury rzeczy"[111]. Czekać, aż się pojawi „nadmiar" kapitałów i ludności?

---

[109] A.N. Korzeniowski, *Zza Buga*, „Gazeta Codzienna" 1860, nr 225.

[110] M.M., *Korespondencja z Żytomierza*, „Gazeta Codzienna" 1860, nr 259.

[111] Z. Fudakowski, *Dziennikarstwo i przemysł*, „Gazeta Codzienna" 1860, nr 264.

Takiego nadmiaru nigdy nie będziemy mieli. Przerabiać miejscowe surowce? Cukrowarstwo ten warunek akurat spełnia, ale wcale nie jest on wiążący. „A gdybyśmy wyrabiali np. cygara z hawańskiego tytoniu, jak w Rydze albo angielskie czauny (surówki) przetapiali na plużnice i tryby - nie bylibyśmy rozumnymi?" Stawianie takich warunków jest sprzeczne z zasadami dobrej ekonomii politycznej - to znaczy tej, „którą wszyscy czytają". Jeśli nawet cła wwozowe podniosły cenę cukru, to i tak na cukrowarstwie rodzimym zarabia kraj, bo poprawia swój bilans handlowy, zarabia rolnictwo na plantacjach buraka, a krajowe fabryki machin i kotłów zyskują zachętę do rozwoju[112].

Korzeniowski nie dał się przekonać argumentami tego „arcykapłana bałwochwalstwa fabrykacji". W replice swojej brnął w jakiś epigoński fizjokratyzm, aż nieoczekiwanie zdradził, że jego oskarżycielska swada podszyta jest drobnoszlacheckim resentymentem.

> Cukrowarzelnie - pisał - jak i inne fabryki są pożyteczne w krajach, gdzie znajdują się wielkie massy proletariatu, które przy nich znajdują zbyt swej pracy i środki do życia. U nas jedyny proletariat stanowi właśnie ta klassa zbiedniałej szlachty, nie posiadająca ziemi, a niezwiązana z interesem właścicieli ziemskich stosunkiem włościańskim. [...] Miejscowy ten proletariat, choćby najżywiej pragnął, nie może zdobyć żadnej nauki. Dla mass tych zbiedniałej szlachty cyfry podane przez p. F. nic prawie nie stanowią.

A nie stanowią, bo oni z braku kwalifikacji nie mogą przy cukrowniach się pomieścić[113].

Polemika była z obydwu stron ostra i w sumie wielce symptomatyczna. Z jednej strony teoria rozwoju „naturalnego", która zrodziła się jako kompromis dwóch postaw skrajnych, jako wybór drogi środkowej, przez dwadzieścia lat królowania w prasie i opinii polskiej skonserwatywniała, sfolwarczyła się. W jej wersji szlacheckiej odzwierciedliła się cała ambiwalencja uczuć obywatela ziemskiego,

---

[112] Ibidem, nr 265, 266.

[113] A.N. Korzeniowski, *Jeszcze dziennikarstwo i przemysł*, „Gazeta Codzienna" 1860, nr 335.

który w rodzimym przemyśle widzi jednocześnie obietnicę korzystnego zbytu swych płodów i konkurenta, który mu odciąga ludzi i kredyt i podbija ich cenę. Ta ewolucja jest doskonale widoczna u samego Skarbka, którego *Gospodarstwo narodowe stosowane*, wydane w roku 1860, jest ziemiańskie i konserwatywne w porównaniu z jego pracami z lat dwudziestych.

Z drugiej strony radykalnie burżuazyjna ideologia popierania przemysłu, przez długi czas znajdująca się w stanie recesji, nabrała znów wigoru u progu lat sześćdziesiątych. W „Gazecie Codziennej", oscylującej między ziemiańską a mieszczańską klientelą, obie te orientacje (które zresztą z grubsza tylko i niedokładnie pokrywały się z podziałem klasowym) to zderzały się, jak w sporze o cukrownie, to znów się mijały, każda swego dowodząc. I tak w jednym numerze znajdziemy korespondencję Jakuba Gieysztora z powiatu kowieńskiego, w której mowa o przywiązaniu szlachty litewskich guberni do tradycji, o jej niezachwianej wierze „w żyzność naszej rodzinnej ziemi, w posłannictwo nasze karmienia innych ludów"; autor korespondencji, „podzielając te uczucia w zupełności", zauważa jednak, że na to, aby krajowi naszemu przywrócić miano spichlerza Europy, potrzebny jest postęp rolniczy: nie trzeba przeto rzucać się „w liczne fabryki i przedsięwzięcia z powodu, że te w obcych krajach kwitną", ale rozwijać rolnictwo i te przemysły, które z nim mają związek[114]. A zaraz nazajutrz rozpoczyna się długa, w odcinkach, korespondencja ekonomiczna Adama Wiszniewskiego, właściwie cały traktat pisany ze stanowiska szkoły historycznej w ekonomii. Autor dowodzi, że polskie rolnictwo stało się zacofane i niewydajne wskutek braku miast, przemysłu i komunikacji: „Żaden naród rolniczy nie może poprzestać na wyprowadzaniu własnych ziemiopłodów za granicę, za pomocą wolnego handlu i brania w zamian wyrobów rękodzielnego narodu, bo to prowadzi do lenności ekonomicznej, z której jeden tylko krok do politycznej". Zresztą produkcja mąki w Ameryce coraz bardziej wypiera eksport do Anglii psze-

[114] J.K. Gieysztor, *Znad Niewiaży*, „Gazeta Codzienna" 1860, nr 250.

nicy polskiej; również wełna australijska zagraża polskiej, a kanadyjskie drzewo – litewskiemu.

> Stąd Polska musi, tak jak inne uczyniły narody, dążyć do mienia rękodzieł na własnej ziemi, bo wtedy rolnictwo przedaje swe płody ludności fabrycznej, pewno, bezpiecznie i daleko korzystniej, bo bez kosztów przewozu; stąd wszczyna się wewnętrzny handel tak żywy, iż pięć, a czasem dziesięć razy przewyższa zewnętrzny i robi rolnika mniej zależnym od jego przesileń i zewnętrznych wpływów, jak zaludnienie Ameryki[115].

Charakterystyczne, że obie strony w roku 1860 używają tych samych prawie argumentów co w „Dzienniku Handlowym" z roku 1786! Nie ta już była Polska i nie ten świat, nie ta gospodarka i nie ta ekonomiczna teoria, ale ten sam w istocie pozostał spór dwóch strategii rozwoju, ciągle aktualny, ciągle nierozstrzygnięty.

Raz jeszcze, w przededniu nowego powstania, oba stanowiska spróbował zbliżyć do siebie i pogodzić lwowski samotnik, Józef Supiński. Był i on, jak jego uniwersytecki nauczyciel Skarbek, człowiekiem „środka": „jak w rzeczach oświaty – pisał – tak w przemyśle, w urządzeniach krajowych, a nawet w polityce czystej nie lubię środków gwałtownych i nie dowierzam ludziom skrajnym"[116]. To zresztą – oprócz zawiłości wykładu – przesądziło o jego ideowej klęsce, o braku odzewu: bo próbował oddziałać na myśl polską wtedy właśnie, gdy opinie się polaryzowały, a emocje polityczne nie dopuszczały zainteresowania programami społecznymi i ekonomicznymi, obliczonymi na długi dystans. Dopiero pozytywiści odkryją sens jego wskazań.

Ogromne ambicje systemotwórcze Supińskiego, chęć stworzenia „filozofii wszechświata" i zbudowania naukowych podstaw wiedzy o społeczeństwie nie pozostawiły po sobie śladu w dziejach myśli europejskiej. Ale *Szkoła polska gospodarstwa społecznego*, zwłaszcza pierwszy jej tom, wydany w roku 1862, była – od ukazania się *O upadku przemysłu i miast* Surowieckiego – jedyną polską pracą

---

[115] A. Wiszniewski, *Korespondencje ekonomiczne z Turynu*, „Gazeta Codzienna" 1860, nry 251–259 (cytat z nru 257).

[116] J. Supiński, *Listy treści społecznej*, w tegoż: *Pisma*, t. IV, Warszawa 1883, s. 60. Deklaracji podobnych wiele w dziełach Supińskiego.

o rozwoju gospodarczym i społecznym[117]. U Skarbka problematyka rozwoju pojawiała się marginesowo: tak jak jego mistrzowie ze szkoły klasycznej, którzy odeszli od historyzmu Adama Smitha, zajmował się on przede wszystkim badaniem statycznych zależności między czynnikami ekonomicznymi. Głównym celem Supińskiego jest, przeciwnie, zastosowanie teorii do prognozowania przyszłej historii polskiego społeczeństwa. W takim planie teoria rozwoju „naturalnego" odzyskała znów suwerenne miejsce, stała się motywem przewodnim *Szkoły polskiej*, ale w wersji nowej, rozbudowanej i wolnej od wpływu interesów partykularnych, ziemiańskich czy jakichkolwiek innych.

O stosunku Supińskiego do Zachodu będziemy mówili w innym miejscu. Tu wystarczy powiedzieć, że to był liberał i prawdziwy entuzjasta współczesnego mu kapitalizmu, pełen ufnej wiary w jego zdolności rozwojowe. Wielbiciel nauk przyrodniczych, samych dobroczynnych skutków spodziewał się po chemii rolniczej i po mechanizacji przemysłu, odrzucając w tym względzie zastrzeżenia Sismondiego. Sąd jego o przyczynach kryzysów nie wykraczał poza horyzont Saya i Bastiata: nadprodukcja, przesilenie handlowe to tylko następstwa ustaw protekcyjnych, wciąż jeszcze krępujących wolność pracy, przemysłu, handlu, transportu. Wolność ta, gdy ostatecznie zwycięży, wszystko uleczy. Bo przecież: „Obfitość powszechna to pomyślność powszechna"[118].

Ale to wszystko było *in principio*. Lichy teoretyk, ostrość widzenia objawiał dopiero wtedy, gdy ogólne swoje maksymy usiłował przykładać do warunków miejscowych Królestwa albo wschodniej Galicji, w której osiadł po powrocie z wygnania. Tu dopiero zaczynały się trudności zachodnim liberałom nieznane, tu zaczynała się szkoła „gospodarstwa narodowego", w tej zaś szkole Supiński był nauczycielem rozważnym i samodzielnym.

---

[117] J. Supiński, *Szkoła polska gospodarstwa społecznego*, cz. 1 – oddział pierwszy. Wszystkie cytaty wg tegoż, *Pisma*, t. II, Warszawa 1883.

[118] Ibidem, s. 316; por. też s. 203, 239, 315, 321–323, 334, 339–341.

Formacja intelektualna Supińskiego skłaniała go w sposób oczywisty do uznania, że wymiana handlowa między krajem rolniczo-surowcowym a krajem przemysłowo rozwiniętym musi być korzystna dla obu stron. Niemniej każdy poważny ekonomista z kraju nieuprzemysłowionego stawał wobec problemu „haraczu" czy „wiecznej daniny", jak to zartykułował był Surowiecki i wielu innych. Konflikt tych dwóch sprzecznych sądów trwał – jak starałem się pokazać – od osiemnastego wieku i nie dawał się rozstrzygnąć za pomocą rachunku ekonomicznego. Supiński trafnie zauważył, że interferują tu dwie różne skale czasu. „Stosunek ten wymian międzynarodowych korzystny w d a n e j c h w i l i lub w pewnym lat szeregu, korzystnym być nie może wiecznie dla żadnego z dwóch narodów" – pisał – w narodzie przemysłowym bowiem doprowadzi do przesileń i nienawiści klasowej, a w rolniczym do zastoju i rutyny. Pierwsza część tej tezy, dotycząca wpływu wymiany na stan kraju przemysłowego, wydaje się naiwna, druga jednak naiwną nie była. Supiński nie poprzestawał na ekonomicznej ocenie warunków wymiany międzynarodowej, obchodził go najżywiej wpływ, jaki jej struktura wywiera na stan cywilizacyjny ziem polskich. Dopiero w tak rozszerzonej perspektywie dogmat wolnohandlowy tracił moc przekonywającą: skoro bowiem w eksporcie kraju rolniczego, w dodatku o bardzo niskiej kulturze rolnej, znikomy jest udział myśli technicznej, zakumulowanej wiedzy i pracy, to trzeba dojść do wniosku, że „przygotowywać [...] płody i materiały surowe, by niemi zasilać targowice i rękodzielnie zagraniczne, jest zadaniem ludów na pół dzikich i niewolników"[119].

Uprzemysłowienie jest zatem koniecznością – nie jako cel sam w sobie, lecz jako dźwignia rozwoju kulturalnego, i nie dla tej czy innej klasy, lecz dla kraju jako całości. Pięknie, ale jakie uprzemysłowienie? Tu właśnie wkracza wytarta już idea „naturalności", przekształcona w program rozwoju selektywnego. Przeciw porządkowi natury byłoby przecie hodować na północy rośliny tropikalne; podobnie „przyswajanie sobie przemysłu i zakładanie rękodzielni

[119] Ibidem, s. 342–343, 349.

kwitnących gdzie indziej, a do przyjęcia których naród i kraj w ogóle usposobionymi nie są, staje się usiłowaniem [...] prącem przeciw porządkowi świata ludzkiego"[120].

Supiński najmocniej przestrzega przed gorączką inwestycyjną, przed lekkomyślnym rzucaniem się w przedsięwzięcia, których rezultaty, zamiast przyspieszyć „przyrodzony rozwój", mogą go zatamować. Całe rozumowanie prowadzi przy realistycznym założeniu bardzo ograniczonych środków kapitałowych i intelektualnych.

> Zaczem, gdy wielkie dzieła tylko przy wielkich zasobach wykonać się dadzą, tedy porywanie się na rzeczy wielkie przy małych narodowych siłach jest narażaniem się na ich utratę; [...] a przynajmniej przeskakiwaniem ogniw pośrednich, bez których nie ma całości i powodzenia. Sprowadzać kosztownie przemysł obcy, wprzód nim się rozwinie ten, któremu odpowiada klimat miejscowy, miejscowe wykształcenie ludności i jej potrzeby; odwracać od rolnictwa kapitały w kraju rolniczym, a ubogim, by budować żelazne koleje, kiedy nie ma jeszcze dość dróg bitych i ludzi podróżujących po nich; jest to niszczyć, a nie wspierać szczupłe narodowe siły, jest to wypróżnić dom własny, by drzwi jego obcym otworzyć[121].

Sprawą zasadniczej wagi jest więc – jak powiada Supiński – „wybór szczegółów, ku którym kierować należy usiłowania powszechne", czyli ustalenie narodowych priorytetów produkcyjnych. W tym punkcie autor *Szkoły polskiej* najwyraźniej rozchodzi się z ekonomią ziemiańską, rozważa bowiem hierarchię potrzeb nie z punktu widzenia producentów rolnych, lecz przyznając pierwszeństwo najbardziej elementarnym potrzebom masowym, a więc produkcji taniego płótna i sukna, skór, żelaza, prostych narzędzi i mydła. W dalszej dopiero kolejności rozwijający się przemysł starać się winien o obsłużenie potrzeb wykwintniejszych, które stawać się będą coraz bardziej powszechnymi, a wreszcie o wywoływanie potrzeb jeszcze nieistniejących[122].

---

[120] Ibidem, s. 214.
[121] Ibidem, s. 140–141.
[122] Ibidem, s. 174, 260–262, 349–350.

Podobne ustopniowanie dotyczy f o r m produkcji przemysłowej: te przy skąpych zasobach powinny więzić jak najmniej kapitału, a zarazem być najpowszechniej po kraju rozprzestrzenionymi. Dlatego nie należy lekceważyć włościańskiego przemysłu domowego, który może stać się potężnym zaczynem pomyślności. Przeciwnie zaś, wielkie inwestycje nie rozbudzają, lecz „tłumią ducha rzeczywistej przemysłowości, który w p r z y r o d z o n y m r z e c z y s t a n i e rozwinąć by się powinien w powstających gęsto, lubo drobnych rękodzielniach, stokroć użyteczniejszych dla kraju niż żelazne koleje"[123].

Stosunek Supińskiego do budownictwa kolejowego, wypływający z obserwacji doświadczeń autriacko-galicyjskich, jest znamienny. Nie ma tu ani śladu typowego dla tradycjonalistów oporu przeciwko drogom żelaznym. Supiński nic im nie ma do zarzucenia poza tym, że chłoną olbrzymie zasoby, wysuszając krajowy rynek kapitałów. Jeżeli zaś chce je budować kapitał obcy – to proszę bardzo. Napływ kapitału obcego i obcych fachowców jest w ogóle ze wszech miar pożądany, bo pobudza produkcję miejscową i pomnaża siły narodowe. Jest to „wiedza i praca nagromadzone nie u nas, a dla nas", a zatem „przysługa, jaką ludy potężne czynić mogą słabszym, a którą słabe odpychają niekiedy przez zakorzenione przesądy, przez źle zrozumiany patriotyzm, przez nieznajomość praw rządzących społecznością". Korzystanie z zasobów obcych jest zresztą koniecznością przejściową, z czasem bowiem zakłady urządzone przez obcych będą przechodziły w ręce krajowców, a to „przez wmieszanie się w nie miejscowych kapitałów i uzdolnień technicznych"[124].

Ten pobieżny, bardzo skrótowy szkic rozumowań Supińskiego doprowadza nas do miejsca, w którym trzeba postawić pytanie: jak też miały zostać osiągnięte te wszystkie „powinno" i „należy"? Pytanie to stanowi *experimentum crucis* dla każdego liberała, który chce z a p r o g r a m o w a ć przyszłość. I rzeczywiście, Supiński w obliczu tego pytania waha się. Rządom, jako liberał, w ogóle nie ufa, a jako Polak tym bardziej nie może pokładać zaufania w rzą-

[123] Ibidem, s. 168–169.
[124] Ibidem, s. 169–172, 344.

dach zaborczych. Nadzieja liberała czepia się myśli, że jakoś tam w końcu wolna przedsiębiorczość sama skieruje rozwój kraju w najbardziej pożądane społecznie łożysko:

> Gdzie ani rząd, ani ludzie wpływający na sąd publiczny, a nie dość oswojeni z prawdami gospodarstwa społecznego, zasobom krajowym s z t u c z n e g o nie nasuwają kierunku, tam zasoby te poruszając się w ł a s n y m p o p ę d e m, nie zboczą z drogi p r z y r o d z o n e j i odpowiedzą potrzebom ludności[125].

Nadzieja ta wspiera się na milcząco przyjętym założeniu, że ustalona przez ekonomistę hierarchia potrzeb cywilizacyjnych odzwierciedli się w strukturze popytu efektywnego, do której z kolei dostosuje się gałęziowa struktura przemysłu, jego geografia i morfologia. Gdyby tak być miało, wtedy to, co „naturalne" w sensie pożądanej społecznie normy, stałoby się zarazem „naturalne" w sensie rzeczywistego procesu. Supiński tego przejścia nie zaznaczył, tego założenia wyraźnie nie sformułował, z tekstu wydaje się jednak, że uważał je za oczywiste. Czego natomiast pewny nie był, to tego, czy projektowana przez niego mała industrializacja będzie mogła się dokonać pod ciśnieniem zagranicznej konkurencji. Bo w końcu – jak wielu przed nim – przyznał, że naród, który chce u siebie „ocucić ospałość", musi chociaż na krótki czas odstąpić od ogólnej zasady wolności wymiany międzynarodowej i zapewnić powstającym rękodzielniom „osłonę" i „porękę", nadto zaś „opiekę wewnętrzną" przez ułatwienie komunikacji, przysposobienie zawodowe młodzieży oraz urządzenie banków kredytowych tudzież magazynów rządowych na wypadek „zatamowania odbytu"[126].

Z tym wszystkim protekcja państwowa jest w programie Supińskiego sprawą drugorzędną i trochę jakby wstydliwą. Wyraźnie większe znaczenie przypisywał ekonomicznej edukacji społeczeństwa, która uformuje indywidualne motywy działań w sposób zgodny z celami ogólnonarodowymi. A cele te nie były ani małe, ani wielkie, lecz średnie. Średnie jest piękne – mógł był powiedzieć,

[125] Ibidem, s. 141.
[126] Ibidem, s. 352.

gdy zastanawiał się, jak zmniejszyć rozziew między polską biedą a wizjami industrialistów. Powiedział trochę inaczej:

> Zaprawdę, najeżyć ziemię niebotycznymi dymnikami, a ludność krajową zaprząc do machin [...] jest to przeistaczać n a r ó d w olbrzymią rękodzielnię [...]
>
> – zaś ograniczyć się na płodach surowych, żyć bez przemysłu w wieku stojącym na przemyśle, jest to osuszać rozmyślnie swoje siły żywotne i zdążać rozmyślnie ku zagładzie. [...]
>
> Gdzież leży pomyślność prawdziwa i trwała? W urozmaiceniu i zmięszaniu[127].

I jeszcze wysnuł swoją utopię. W tej utopii bagna i skały zmieniają się w urodzajne pola jak w Holandii albo Szwajcarii, ziemia staje się „jednym nadobnym ogrodem", domy wszędzie jasne i wygodne, odzież schludna, szkoła w każdej wsi jak w Danii, książka w każdym domu, wieśniaczki wystrojone jeżdżą na zabawę do miasteczka, jak w Toskanii, miasta ludne, irygacje pól i kanały jak w Anglii, kolej, telegraf, każdy murarz zna podstawy teorii budownictwa, cała młodzież wiejska kończy szkołę elementarną, miejska techniczną, a szlachecka wyższą[128]. Była to, jak widać, wizja średniego zasięgu i średni miał jej przewodniczyć stan, który na wsi powstanie przez zbliżenie się zamożniejszej i bardziej oświeconej części ludu z drobną i średnią szlachtą, a w mieście przez harmonijne skojarzenie kapitału i pracy: to jest przez dopuszczenie robotników do udziału w zyskach, a z czasem do spółki z właścicielami przedsiębiorstwa[129].

Życie szło swoim trybem, drwiąc sobie z prognoz i ostrzeżeń umiarkowanych ekonomistów tak samo, jak z zuchwałych marzeń fantastów. W dwadzieścia lat po wydaniu pierwszego tomu *Szkoły polskiej* westchnienia Supińskiego „do przedhistorycznej sielanki" wydrwi także młody marksista Stanisław Krusiński, który – uzbrojony w nową teorię rozwoju – wiedział już, że gospodarka indywi-

---

[127] Ibidem, s. 343.
[128] Ibidem, s. 316–317.
[129] Ibidem, s. 288–289, oraz t. III, s. 185, 223.

dualistyczna „musi z konieczności przejść przez czyściec kapitalistyczny, zanim wstąpi do nieba solidarności i braterstwa"[130].

Na obronę polskich ekonomistów doby przeduwłaszczeniowej to tylko można powiedzieć, że obce im były problemy eschatologii: nie szukali drogi do nieba ani na przełaj, ani tym bardziej przez czyściec. W ziemi i na ziemi szukali sposobów i rady, aby życie wynędzniałego kraju i jego mieszkańców uczynić godniejszym i bardziej dostatnim. Porównane z wyglądem fabrycznych miast Królestwa albo z nędzą wsi galicyjskiej, skromne ich wizje były bez wątpienia „sielanką". Ale dlaczego od razu przedhistoryczną? Dania, Holandia, Szwajcaria leżały przecież w Europie i kalendarz miały ten sam, co wszędzie. Tylko krowy inne, i domy, i życie.

[130] S. Krusiński, *Dzieła Józefa Supińskiego* (1883), w tegoż, *Pisma zebrane*, Warszawa 1958, s. 28, 48.

3. Ewangelia a ekonomia

Dobrze więc: nowej cywilizacji obawiano się tutaj, bo zdawała się zagrażać autonomii kultury narodowej i nadwątlonemu już przez rozbiory poczuciu własnej wartości. A to jeszcze nic, bo w końcu dary Zachodu można było przesiać, dawszy im polską f o r m ę, oswoić i wtedy dopiero przyswoić. Nad tym, jak widzieliśmy, przemyśliwano.

Nazbyt szybkiego rozwoju przemysłu obawiano się tutaj, bo zdawał się zagrażać równowadze gospodarstwa krajowego, a przede wszystkim dlatego, że za nim czaiło się widmo bezrobotnego proletariatu. A to jeszcze nic, bo można było ufać, że w kraju rolniczym proces rozwoju przyjmie kierunek bezpieczny i tempo umiarkowane, a skutkom ubocznym uda się zapobiec. I nad tym, jak widzieliśmy, przemyśliwano niemało.

A co, jeżeli ta nowa cywilizacja była w całości dziełem pogańskim? Jeżeli była nie budowaniem, lecz burzeniem? Jeżeli nie w postęp wiodła, lecz w przepaść? I jeżeli obracała się przeciwko Chrystusowi, przeciwko moralności i wszystkiemu, co poczciwe i święte? To wtedy jak ją przyjmować, jak z nią w układy wchodzić? Chyba na zatracenie własne.

Podejrzenia zbierały się od dawna. Lęgły się zrazu wcale nie wśród narodów zazdrosnych, lecz przeciwnie – w głównych ogniskach przemian, przy tym w umysłach ludzi, którzy pomiędzy swymi

współczesnymi byli najbardziej *civilisés*. Przez całą epokę Oświecenia, równolegle z optymistyczną filozofią racjonalizmu i postępu, ciągnie się nurt refleksji sceptycznej. Już autor *Bajki o pszczołach* świadom był, że doskonalenie moralne jest wielką złudą umysłu ludzkiego, gdyż postępy nauk, przemysłów i organizacji społecznej nie dają się żadną miarą pogodzić z zachowaniem niewinności obyczajów. Niewinność niczego nie tworzy. Dobro ogólne rodzi się ze z ł y c h instynktów natury ludzkiej. I Mandeville, podobnie jak Hobbes – odrzuciwszy sentymentalność – akceptował taką niecnotliwą motorykę postępu[1], ale niewielu zyskał naśladowców. Niestety, nie wszyscy lubią paradoksy moralne.

Kwestia ta rozbrzmiała po całej Europie, odkąd „obywatel genewski" w nagłym olśnieniu na drodze do Vincennes ujrzał, iż zakusy filozoficznego rozumu tłumią naturalną skłonność ludzkiego serca. W sławnych rozprawach Jana Jakuba Rousseau kultura objawiła się jako źródło cierpień i rozdarcia. Utworzenie społeczeństwa było grzechem pierworodnym rodzaju ludzkiego. Człowiek zyskał własność, ale utracił wolność. Poddał się prawom – i utracił przyrodzoną zdolność współczucia. Ze stanu dzikości przechodząc w stan ucywilizowany, posiadł w i a d o m o ś ć dobrego i złego, którą spożytkował do krzywdzenia bliźnich. Źródłem wszystkich nieszczęść człowieka jest właściwa mu prawie nieograniczona zdolność doskonalenia się; ona to, „z wieku na wiek rozwijając i rozum jego, i błędy, i występki, i cnoty, czyni go w końcu tyranem tak samego siebie, jak i natury"[2]. Albowiem zdolność ta wyradza się w próżną ciekawość, pychę i żądzę wywyższenia się ponad innych, która jest najdzielniejszą sprężyną poznania i władzy.

Akt oskarżenia Rousseau przeciwko cywilizacji był tak namiętny i tak totalny, że dwa następne stulecia moralnej retoryki niewiele już doprawdy potrafiły doń dodać: do dziś w ruchach kontrkul-

[1] B. Mandeville, *Bajka o pszczołach*, przeł. W. Chwalewik i A. Glinczanka, Warszawa 1957. Zob. wstęp Marii Ossowskiej do tegoż wydania, oraz J.B. Bury, *The Idea of Progress*, New York 1932 (przedr. 1955), s. 178.

[2] J.J. Rousseau, *Trzy rozprawy z filozofii społecznej*, opr. H. Elzenberg, Warszawa 1956, s. 155.

tury albo w różnych odmianach amatorskiego egzystencjalizmu rozwija się i transformuje russoistyczne wątki. Człowiek uspołeczniony zgubił więc przede wszystkim swoją autentyczność: „zawsze się jakby znajdując poza sobą, umie żyć tylko w opinii drugich i z ich to oceny czerpie całe, chciałoby się powiedzieć, poczucie swego istnienia". Społeczność w oczach mędrca to już tylko „zbiorowisko ludzi s z t u c z n y c h "[3]. Cywilizacja jest wielkim gmachem p o z o r ó w, obłudy, zniewalających form, rytuałów, dystynkcji. Życie wyższych sfer towarzyskich Francji Ludwika XV - z jego znienawidzonym przez Rousseau „duchem galanterii" - posłużyło tu za model, ale wnioski sięgają szerzej i dalej. Oskarżeniem objęte zostało wszystko, co za czasów Turgota i encyklopedystów wiązało się z wyobrażeniem postępu lub co było jego ubocznym skutkiem: więc nauki i sztuki, państwo i prawo, technika i medycyna, bogactwo i zbytek, poddaństwo i małżeństwo, wygody życia i zatrucie środowiska naturalnego, a nadto wojny, morderstwa, przerywanie ciąży, epidemie, pożary i trzęsienia ziemi. Biada zwycięzcom!

> Gdy z jednej strony weźmiemy pod uwagę ogrom prac ludzkich, zgłębienie tylu nauk, wynalezienie tylu sztuk, zastosowanie tylu sił, zasypanie przepaści, zrównanie gór z ziemią, rozsadzenie skał, uspławnienie rzek, wzięcie pod uprawę tylu ziem leżących odłogiem, i te sztucznie stworzone jeziora, i te bagna, któreśmy osuszyli, i te gmachy olbrzymie wzniesione na lądzie, podczas gdy morze zaroiło się od okrętów i marynarzy; i kiedy się z drugiej strony choć trochę zastanowimy, jakie to wszystko przyniosło korzyści istotne dla szczęścia rodzaju ludzkiego, musi nas uderzyć zdumiewająca dysproporcja, która zachodzi między jednym a drugim, tak że opłakiwać nam tylko wypadnie zaślepienie człowieka, który, by zaspokoić szaleńczą swą pychę i jakieś bezmyślne uwielbienie samego siebie, żyje w ciągłej gonitwie za każdą, jakiej tylko może doznać, niedolą, od której go dobroczynna natura starannie trzymała z daleka[4].

Te dwie wczesne rozprawy Jana Jakuba stanowią, rzec by można, prototyp tylu późniejszych buntów intelektualistów przeciwko intelektualizmowi, umysłów wyrafinowanych przeciwko wyrafino-

[3] Ibidem, s. 228–229.
[4] Ibidem, s. 242–243.

waniu kultury, zdolnej do tak wielkich dzieł, a całkiem niezdolnej do powściągnięcia brutalności ludzkiego świata. Mało tego: bo wręcz służącej tyranii i przemocy przez dostarczanie im narzędzi zniewolenia.

Osąd tak bezwzględny całego dotychczasowego biegu dziejów, procesu poznania i uspołecznienia, zdawał się krzycząco niesprawiedliwy, wręcz absurdalny i prowokujący - skutecznie - do sprzeciwu. Ale przyznać trzeba, że fanatycznie skrajny umysł filozofa, nie wahającego się przed wyprowadzeniem ze swych założeń konsekwencji ostatecznych, oddał niezwykłą usługę sprawie analizy tej pozornej c a l i z n y, jaką chciała być idea cywilizacji. Idea ta w połowie osiemnastego wieku ledwie się zaczynała - jeszcze bez nazwy - formować jako pojęciowy agregat, a już Rousseau obnażył jej wewnętrzne pęknięcie: „nasze dusze wypaczały się, w miarę jak nasze nauki i sztuki dążyły do doskonałości"[5].

Gdzie jednak odnaleźć antytezę owego schizoidalnego stanu narodów ucywilizowanych? W tej mierze odpowiedź Jana Jakuba nie jest wcale jednoznaczna, proponuje on bowiem - na sąsiadujących ze sobą stronicach - aż trzy różne porządki wartości, wszystkie zlokalizowane w przeszłości na poły dziejowej, na poły mitycznej, ale to tylko mające ze sobą wspólnego, iż w rekonstrukcji filozofa oparte są na przedrefleksyjnym, wolnym od r o z u m o w a ń pojmowaniu obowiązku moralnego. Poza tym trudno by je było uzgodnić.

Pierwszy wzorzec to oczywiście s t a n d z i k o ś c i - „ten prawdziwie złoty środek między gnuśnością stanu pierwotnego a gorączkowym szamotaniem się naszych ambicji". Stan ten, stan dawnych Germanów lub Scytów, niewinny i szczęśliwy, jest prawdziwą młodością świata i nigdy nie powinien się był skończyć: „cały postęp późniejszy to już tylko szereg etapów wiodących, jak mogło się zdawać, ku udoskonaleniu jednostki, f a k t y c z n i e z a ś s c h y ł k o w i g a t u n k u"[6].

[5] Ibidem, s. 15.
[6] Ibidem, s. 196-197.

Drugi wzorzec to umiłowana przez Rousseau S p a r t a – naród najbardziej cnotliwy, krzepki i zahartowany, który precz przepędzał sztukmistrzów i tych, którzy się naukami parali, i dzięki temu uchronił się przed wyrafinowaniem i zepsuciem właściwym kulturze ateńskiej.

Wzorzec trzeci, a nas tu najbardziej interesujący, to E w a n g e l i a, kanon zda się odległy od obyczaju i Scytów, i Lacedemończyków. A jednak...

Religia uczonego Rousseau jest wiarą i miłością nieuczonego serca. Prostota Ewangelii i wiara apostołów przeciwstawiona została – nie pierwszy i nie ostatni raz – mędrkowaniu teologów i filozofów. Wszystko zło herezji, schizm, wojen i prześladowań religijnych poczęło się ze scholastyki, z pychy owych duchownych, „którzy pierwsi ośmielili się dotknąć arki, by słabą swą wiedzą podeprzeć gmach podtrzymywany ręką Boga [...] i w sylogizmy ujęli naukę Chrystusa". Stąd taki w wieku oświeconym skutek, że świętych zastąpili kazuiści: „wiedza szerzy się, a wiara zanika; [...] wszyscyśmy się stali teologami, a przestali być chrześcijanami"[7].

Rolnik lepiej pojmuje i wielbi Boga niż filozof, który sobie pochlebia, że przenika tajemnice Boże. Ewangelia j e d y n ą jest księgą wiary chrześcijaninowi potrzebną i głosić ją przystoi, jak pierwsi jej obrońcy czynili, *non aristotelico more, sed piscatorio*[8].

Chociaż więc różne mogły być ogrody szczęśliwej prostoty i niewiedzy człowieka, zawsze rozwój jego władz umysłowych okazuje się dobrowolnym opuszczeniem raju niewinności i zstąpieniem do piekieł cywilizacji. Stąd nie ma już powrotu, raz utraconej niewinności nie można już odzyskać, ale można albo schronić się przed światem, albo – wśród udręk świata fałszywego, zmieniając jego urządzenia i korzystając z jego narzędzi – tworzyć nową wspólnotę ludzi wolnych, równych i szczerych. Jednakże Russowskimi drogami do wolności nie będziemy się tu zajmować. Jak przedtem do fizjokratów i Smitha, tak teraz do Rousseau sięgnęliśmy po to

[7] Ibidem, s. 84–85, 91.
[8] Ibidem, s. 79, 91–92.

tylko, aby wypatrzyć początek jednej ścieżki, która wić się odtąd będzie przez kraje i przez czasy do naszych dni – i po nas dalej.

Rousseau pojmował postęp ludzkości jako spektakl tragiczny, w którym zło i dobro są nierozłączne, płyną z jednego źródła, są znamionami tego samego procesu: „człowiek uwikłany w proces swego uspołecznienia ujawnia zarazem swą wielkość i słabość, realizuje swe powołanie i przeżywa swój upadek"[9]. Wszelako ta dwoista wizja historii społeczeństwa ludzkiego, w ciągu której wartości ulegają rozszczepieniu, odsłaniała się dopiero stopniowo poprzez kolejne dzieła filozofa. Na razie zaś *Rozprawa o naukach i sztukach* i *Rozprawa o nierówności* odczytane zostały przez współczesnych, i przecież nie bez podstaw, jako patetyczne oskarżenie i lament nad postępami oświecenia. Podchwytywali go ci – nie brak ich w żadnej epoce – którzy biadali nad psuciem się obyczajów; jednocześnie zaś obrońcy postępu ruszyli do przeciwnatarcia, sławiąc – jak nasz Stanisław Leszczyński – „te szczęśliwe stulecia, w ciągu których nauki wszędzie szerzyły ducha ładu i sprawiedliwości"[10]. Odtąd mnożyć się będą bez liku po całej Europie i pochwały oświeconego wieku, i satyry na wiek oświecony. Mroczny cień zwątpienia wlec się będzie stale za światłem Rozumu, a widzialne postępy ducha ludzkiego poprzez dzieje o jednym czasie wydawać będą swoich Condorcetów i swoich Chateaubriandów.

U nas ciekawy był Krasicki. Jak przekonywająco wykazał Roman Wołoszyński w swej fascynującej monografii[11], moralna aksjologia autora *Doświadczyńskiego* była blisko spowinowacona z Russowską wizją świata zdeprawowanego. Odmiennie niż w głównym nurcie oświeceniowej krytyki filozoficznej, przedmiotem osądu znakomitego bajkopisarza nie była ani tyrania „przesądu", ani feudalne instytucje i prawa, lecz postępujące zwyrodnienie obyczajów w „zepsowanym świecie" obłudy, w którym każdy chce być tym, kim nie jest, a przeto dążąc do wyniesienia się, ujawnia najpodlejsze strony swej natury. Świat współczesny jest wielkim targowiskiem

[9] B. Baczko, *Rousseau: samotność i wspólnota*, Warszawa 1964, s. 170.
[10] *Odpowiedź króla polskiego*, w: J.J. Rousseau, *Trzy rozprawy*, s. 63.
[11] R. Wołoszyński, *Ignacy Krasicki: utopia i rzeczywistość*, Wrocław 1970.

próżności. Wszystkie jego przywary – te obmierzłe, jak fałsz i chciwość, i te śmieszne, jak fircykowatość i schlebianie modom – dają się w końcu sprowadzić do jednej, choćby i nienazwanej przyczyny: do egoistycznego indywidualizmu, wyzwalającego w ludziach niepohamowaną żądzę rywalizacji – brutalnej, bezwzględnej, choć maskowanej nędznym polorem „grzeczności". Rywalizacji o stan i o genealogię, o majątek, o spadek, o zbytek, o łaski u dworu, o popularność w salonach, o wszystkie rzeczy czcze i sztuczne. I o wiedzę, o wiedzę także. Bo nauka, o ile wykracza ponad praktyczną potrzebę codziennego życia i ponad historię pojętą jako zbiór przypowieści moralnych, staje się „zuchwalstwem rozumu", wyrazem tejże samej niespokojności człowieka, która go odwodzi od praktykowania cnót prostych w towarzystwie ludzkim. Ta kondemnata objęła, jak u Jana Jakuba, przede wszystkim filozofowanie, czyli mędrkowanie, a w tym zarówno scholastycyzm dążący do zracjonalizowania wiary żywej, jak libertyński racjonalizm dążący do jej podważenia. Dla Krasickiego ten drugi – jako że modny i triumfujący – był oczywiście groźniejszy: był jeszcze jednym symptomem moralnego kryzysu w wieku „niby oświeconym".

W jeszcze jednej wersji powróciła tu augustiańska, stale obecna w kulturze chrześcijańskiej myśl o zasłonie skrywającej tajemnice Boga, których dociekanie ani się umysłowi ludzkiemu nie godzi, ani się udać nie może. Zakałą wieku są więc „pseudofilozofowie, odrzucający objawienie i na samym mdłego rozumu fundamencie zasadzający mniemaną swoję religią"[12]. Jest jeszcze drugi powód, dla którego niedowiarkom nie wolno dogmatów roztrząsać: oto bojaźń sprawiedliwości Bożej i posłuszeństwo nauce Kościoła są węzłem społeczności ludzkiej. Wiedział Pan Podstoli, iż „to są pobudki, które łączą interes religii z powszechnym dobrem narodów; teć to są, które teraz zaniedbane, wiek ów zawołany filozofski, jeżeli już nie uczyniły, uczynią pewnie najnieszczęśliwszą epoką rodzaju ludzkiego"[13].

---

[12] I. Krasicki, *Zbiór potrzebniejszych wiadomości*, cyt. wg: R. Wołoszyński, op. cit., s. 348.

[13] I. Krasicki, *Pan Podstoli*, w: *Pisma wybrane*, t. III, Warszawa 1954, s. 257.

Świat jest zepsuty, ponieważ ludzie się zepsuli, świat naprawić więc można prostym sposobem: oto trzeba tylko, aby ludzie się poprawili. Aby się poprawili, żyjąc w zepsutym, przez nich zdeprawowanym i ich deprawującym świecie. W tę banalną osnowę wszelkiej, kościelnej i świeckiej moralistyki wplatać można było różne porządki wartości. Rozczarowani moraliści Oświecenia, którzy wiek swój postrzegali jako wiek upadku, myślą i piórem wyczarowywali społeczeństwa, o jakich sądzili, że mogły istnieć w zgodzie z potencjalnością nieskażonej natury człowieka. Najbardziej znamiennym i wspólnym rysem tych społeczeństw, czy umieszczanych w pradawnych borach, czy na antypodach cywilizacji, na nie istniejących wyspach czy w roku 2440, był brak indywidualizacji ich obywateli, którzy współzawodniczyć mogli jedynie w praktykowaniu cnoty, a i w tym niezbyt się pomiędzy sobą różniąc. Mieszkańcy Utopii muszą być szczęśliwi, szczęśliwi zaś nie byliby, gdyby mieli jakiekolwiek niezaspokojone żądze, zwłaszcza takie, które by zaspokajać mogli tylko kosztem bliźnich. Albo zaparłszy się Boga. Idealnym rozwiązaniem komedii ludzkiej jest więc taki stan, w którym pragnienia człowieka nigdy nie przekraczają miary rozporządzalnych zasobów społeczności, jej zasobów ekonomicznych, technicznych i intelektualnych. Wytworem niepokoju i wyobraźni pisarza staje się świat uwolniony od niepokoju i wyobraźni. Świat w dobroci swojej znieruchomiały, osobny, znający zmienność tylko pór roku.

Zasadą społeczeństw moralnie doskonałych mogła być – jak u Rousseau lub w utopiach komunistycznych – wspólność dóbr i nieznajomość wyobrażenia własności, albo – jak na wyspie Nipu – doskonała równość majątkowa, ale mogła nią być także funkcjonalna hierarchia stanów: byle tylko każdy był kontent ze swojego miejsca we wspólnocie. Dziedziczne i zamknięte ustopniowanie kondycji, oparte na wzajemności usług, służyć wszak mogło nie gorzej niż ścisła równość powściągnięciu ambicji i określeniu pułapu potrzeb. Podobną funkcję pełnił pospolity w obrazach utopijnych ideał władzy patriarchalnej, nie tyrańskiej, lecz opiekuńczej, nie wyobcowanej, lecz osobistej, upodobniającej gminę lub naród do miłującej się

i ojcu posłusznej rodziny. Idylliczna prostota, poczciwe obyczaje, „mierny dostatek", „szczęśliwa niewiedza" - wszystkie te słowa-klucze sentymentalnej utopii osiemnastego wieku zakreślały naturalne granice wolności w wymyślonym społeczeństwie, nie znającym buntu ani przemocy, ani kodeksów praw, ponieważ każdy w nim pragnie być tym właśnie, kim jest, mieć to tylko, co ma, wiedzieć to tylko, co wie. „Bojaźń nowości - objaśniał mądry Xaoo - przewyższa u nas wszystkie najpożądańszych awantażów perspektywy. Przenosiemy nad wszystko pewność niewzruszonej sytuacji naszej"[14].

I Mikołajek przyznał rację starcowi, skoro przekonał się, że nipuańczycy są szczęśliwi bez nauk, techniki, wojaży i znajomości obcych języków. Że gospodarni są, skrzętni i syci, choć nie znają agronomii. A to warto zapamiętać, bo a g r o n o m i a pojawi się jeszcze wielekroć w polskiej myśli zachowawczej jako symbol postępu zbędnego.

Na wyspach albo w bezdziejowym czasie „barbarzyństwa" bez ograniczeń można było modelować ideał „niewzruszonej sytuacji" społeczeństw spokojnych. Ale nie wystarczało to jeszcze do osądu współczesności, która miała być rezultatem postępującej dekadencji moralnej (a nieraz i fizycznej) pokoleń ludzkich. Przekonanie, iż lichsi jesteśmy od naszych ojców, tym bardziej od dziadów i naddziadów, jest pospolitym atrybutem moralistycznego poglądu na świat. Figura karłów stojących na ramionach olbrzymów pojawia się w wielu strukturach ideologicznych. Tak więc w moralistyce Oświecenia powracała w wielu wariantach starożytna legenda pięknej młodości człowieczeństwa, owej *aureae primae aetatis*, która teraz szukała sobie stosownej lokacji w dziejach historycznych. Mnożyły się „wieki złote", czasy dobrych siewców, mężnych bohaterów, prawdziwej miłości Boga i ojczyzny. Krasicki za wzorzec brał wiek Kazimierza Wielkiego, to znów czasy wojny chocimskiej - o to mniejsza - dość, że od jakiegoś momentu świat zaczyna się psuć, państwo nie stoi już *moribus antiquis virisque*. Czyżby pogląd ten zdawał po prostu sprawę z wyradzania się etosu politycznego Rzeczy-

[14] I. Krasicki, *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki*, ibidem, s. 179.

pospolitej? Wątpliwe, bo była to raczej periodyzacja mitu niż dziejów autentycznych. Ważne było samo umieszczenie wzorca w utraconej przeszłości. Retrospekcja taka jest zawsze instrumentem krytyki teraźniejszego stanu społeczeństwa, choć – jak wiadomo – idei rewolucyjnej służyć potrafi nie gorzej niż idei zachowawczej.

Krasicki – rzecz to ważna – nie przeciwstawiał narodowości i cywilizacji, nie oddzielał Polski od Europy. Nawet granica między sarmatyzmem a Oświeceniem jest w jego pismach niewyraźna – w każdym razie od czasu usunięcia się przezeń z redakcji „Monitora". Doświadczyński, zanim go burza rzuciła na nipuański brzeg, był nieodrodnym niby polskim szlachcicem ze wsi, ale przetartym po bawialniach Warszawy i Paryża i nawet Woltera liznął co nieco. A wszystkie te doświadczenia nie wypełniły jego duchowej próżni. Sarmatyzm czy oświecenie, Polska czy Francja, to tylko odmiany pozłacanego świata blichtru i ogłady, pod których spodem kryje się zuchwalstwo i podłość.

Trudno powrócić w odległy wiek Cnoty. Trudno też świat, jaki jest, za jednym razem poprawić. Ale już starożytni wiedzieli, że przed światem można się s k r y ć – w posiadłości swojej. *In abstracto* wiedział to i nasz purpurat, łazienkowski i berliński dworak, że targowiskiem próżności i obłudy jest dwór, że siedliskiem zepsucia jest miasto i *beau monde*, zaś skarbnicą wartości jest wieś, jest d o m.

Dom jest oazą prostoty, bezpośredniości, przejrzystości stosunków między ludźmi. Jest krainą nie wolną może od trosk, ale wolną od zawiści, od ubiegania się o dobra pozorne. Dom jako schronienie przed ś w i a t e m i wieś jako schronienie przed zgiełkiem drapieżnej cywilizacji – to jeden z wielkich archetypów literatury i wciąż powracająca tęsknota ludzi znużonych. A także tęsknota kultur znużonych swoim przerafinowaniem.

Powrót do domu jest jednak czymś więcej niż obietnicą wytchnienia: jest to powrót do czystych źródeł prawdy, cnoty i szczęścia, do źródeł, które jeszcze nie zostały zatrute. Dlatego w domu – we wiejskim szlacheckim domu – położona jest nadzieja odrodzenia, sposób rozwiązania paradoksu naprawy zepsutego świata przez jego zepsutych mieszkańców. Wychowanie w świecie znieprawia,

wychowanie w domu oczyszcza – i ono właśnie miało „pomnożyć zastęp cnotliwych i wzorowych obywateli, którzy w tysiącach wsi polskich stworzyliby tyle wysp szczęścia, że w końcu cała Polska stałaby się jedną wielką wyspą szczęścia, wielką wsią pana Podstolego"[15].

W tej to szczęśliwej wsi starożytny, stoicki motyw oczyszczającego powrotu ze świata do domu zbiega się z Russowskim ideałem naturalności, a oba razem splatają się z wątkiem tradycji domowej, tworzonej przez tych, co jeszcze w świat nie wychynęli i wcale im do tego nie było spieszno. Ta tradycja także już zresztą dostąpiła od dawna literackiej nobilitacji i zdążyła się skonwencjonalizować. Od czasów Reja i Kochanowskiego powstały setki żywotów człowieka poczciwego oraz pochwał wsi spokojnej i wesołej. Odkąd zaś stanisławowska Warszawa – nie ta mieszczańska, lecz pałacowa i salonowa – zaczęła nabierać kosmopolitycznego poloru, stała się antytezą owej wiejskiej prostoty. Nie tylko w oczach powiatowych mościpanów, ale także pod piórem komediopisarzy i moralistów wszelkiego autoramentu – od bawiącego się piórem magnata, jak Adam Kazimierz Czartoryski, po zarabiającego piórem literata, jak Zabłocki albo Węgierski. Każdy z nich, na ile go stać było, korzystał z wykwintu umysłowego i towarzyskich uciech stolicy, ale w twórczości odwdzięczał się jej satyrą i kazaniami, składając dań ziemiańskim cnotom.

„Monitorowe" rozprawki (niejedna z nich wyszła spod pióra samego Krasickiego) pisane na pochwałę miasta, w którym młódź szlachecka wypolerowałaby swe obyczaje, nabrała dobrego gustu i politycznej nauki, skończyły się rychło, nie wywarłszy widocznego wpływu na doktrynę moralną szlachty. Ta im bardziej do stolicy ciągnęła, dla edukacji czy dla zabawy, na sejm czy za interesem, tym bardziej miała sobie za powinność towarzystwem stołecznym gardzić, a do wiejskiego ustronia wzdychać. I w końcu całe Oświecenie rymem i prozą wpisało się w tę tradycję, ukanonizowało ją. Pogarda dla miasta, zwłaszcza stołecznego, była zresztą wówczas zja-

[15] R. Wołoszyński, op. cit., s. 379.

wiskiem dość pospolitym w literaturach europejskich i moralistyka polska nie odbiegała od ogólnego wzoru.

Jerzy Michalski zebrał całą antologię *exemplów* tego stereotypu Warszawy, w której panuje intryga, kabała polityczna, chciwość, bezwstyd, rozpusta, fałsz, obłuda, bezbożność, próżność, zbytek i cudzoziemszczyzna, słowem wszystko, co w y n a t u r z o n e. Życie wiejskie jest - przeciwnie - zgodne z naturą, bo proste, szczere, swobodne, przystojne, skromne, tu jeszcze uchowała się wierność i czułość serca. „Antymiejskie wypowiedzi Rousseau, które ułatwiły tę ewolucję, padały na grunt podatny, schlebiając zadawnionym mniemaniom"[16]. Michalski zastrzega przy tym raz po raz, że niełatwo orzec, gdzie w tych wszystkich utworach kończy się oryginalność, a zaczyna naśladownictwo, albo inaczej: gdzie przebiega granica między autentycznym przekonaniem a literacką, gatunkową konwencją moralitetu i sielanki. Ale czyniąc takie uwagi, czy nie wpada się samemu w pułapkę russoizmu? Zakłada się tu bowiem, że ta granica i s t n i e j e, że można zatem odróżnić to, co naturalne, od tego, co sztuczne, prawdziwą potrzebę serca ludzkiego lub rozum naturalny od pojęć i uczuć spętanych konwencją kultury.

Dyktatowi konwencji ulegli także polityczni radykałowie tej epoki: wśród nich Jakub Jasiński i Franciszek Salezy Jezierski. Łatwo tu o zdumienie paradoksem: oto bojowy rzecznik emancypacji miast przyłącza się swym pisaniem do antymiejskiego kaznodziejstwa. Ale sprzeczność to pozorna, bo cały ten klamor nie godził przecież w miasto mieszczańskie, rzemieślnicze i kupieckie, lecz w Warszawę pańską, libertyńską i fircykowatą, z jej „facyjendami", na których szlachta przepuszczała swoje intraty. Podobnie niezliczone utyskiwania i satyry na zuchwałą „filozofię" godziły nie tyle w prawdziwą uczoność czy w reformę edukacji (nie mówimy tu oczywiście o sarmackich zelantach), co w salonowych mądrali popi-

[16] J. Michalski, *„Warszawa" czyli o antystołecznych nastrojach w czasach Stanisława Augusta*, w: *Studia Warszawskie*, t. XII, Warszawa 1972, s. 9–78 (cyt. s. 77).

sujących się swoim wolterianizmem. W moralistyce oświeconych miasto w ogóle jest siedliskiem próżniactwa, a wieś – pracy z błogosławieństwem Bożym. Jak w ulubionym przez szlachtę republikańskim micie Cyncynata, właściciel wioski, jeśli tylko sam w niej żył i gospodarstwa doglądał, włączony został symbolicznie w cykl dni pracowitego oracza:

Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdzie bym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodny,
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;
Spokojny będąc na tym, co stan mierny niesie,
Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.
[...]
Dziś zabierz mi kto książki, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mnie przywiązał nałóg uporczywy,
I, co mi lepiej będzie w ubóstwie usłużne,
Zamieniaj na motyki i żelaza płużne[17].

Te strofy Karpińskiego, z *Powrotu z Warszawy na wieś* – na wieś, dodajmy, w austriackiej już Galicji, w roku 1784 – streszczają w sobie, szczerze czy nieszczerze, całą ewangelię szlacheckiego domu za światem. I jakiekolwiek motywy rzymskie, paryskie, sarmackie czy puławskie pracowały na tę elegię, teraz już niełatwo będzie je rozdzielić.

Bo oto przyszły rozbiory i co może było tylko literaturą albo filozoficznym pocieszeniem po utraconych w wielkim świecie nadziejach kariery, teraz stać się miało okopem warownym. Dominium szlacheckie, dotąd bezpieczne, znalazło się w sytuacji dramatycznej. Urzędnik austriacki i pruski wtrącał się do patriarchalnych stosunków między panem a jego chłopami. Kodeks francuski i zniesienie poddaństwa groziły zniszczeniem odwiecznych więzów osobistej zależności i zastąpieniem ich przez stosunek pieniężny, wyrachowany. Warszawskie gazety pisały o zrównaniu stanów i o zasadach „gospodarstwa rozumowanego".

[17] F. Karpiński, *Powrót z Warszawy na wieś*, cyt. wg: *Poezja polskiego Oświecenia. Antologia*, opr. J. Kott, Warszawa 1954, s. 283.

Bielony dworek, ze wszystkich stron podmywany falami nieprzyjaznych zmian, miał trwać i chronić, co jeszcze pozostało niezmienione: religię, pańszczyznę i tradycję. Chronić przed zaborcami i przed cudzoziemszczyzną, przed despotyzmem, bezbożnictwem, liberalnymi nowinkami, przed sekwestrem, wierzycielami, subhastą, regulacją i rewolucją. Jeżeli każda zmiana niosła zagrożenie wartości, jeżeli ciąg tradycji został – na zewnątrz wsi szlacheckiej – przerwany, to jedyną konsekwentną odpowiedzią było odosobnienie się i trwanie w odosobnieniu. Na ziemiach „zabranych" albo we wschodniej Galicji o taką izolację wiejską było łatwiej, w Królestwie czy Poznańskiem trudniej. I tu jednak ów syndrom obronnego i biernego tradycjonalizmu wykazał imponującą siłę żywotną. Jego ideowe *credo* odnajdujemy raczej w powieści obyczajowej, poemacie ziemiańskim, obrazkach z życia, pamiętnikach niż w dyskursie społecznym. Rozwiniętej doktryny stworzyć nie mógł, ponieważ z natury był antydoktrynerski właśnie, nawykowy i niewyrafinowany: wyrażał horyzont poznawczy ludzi, którym za strawę duchową starczał kalendarz, herbarz, kazanie niedzielne, w najlepszym razie „Kurier" lub „Gazeta Warszawska".

Dworek szlachecki stworzył jednak coś znacznie od doktryny ważniejszego i trwalszego: zbiór uświęconych wartości, katalog cnót polskich, z którego przez cały czas niewoli czerpać będzie literatura ojczysta i obozy ideowe najróżniejszych odcieni. Ośrodkową wartością tego układu była sielskość: głębokie przeświadczenie, że powietrze wiejskie ma naturalną własność konserwowania zdrowia fizycznego i moralnego, łagodności i prostoty obyczajów, poszanowania rodziców, miłości Boga i Ojczyzny. Idealizacja życia wiejskiego zyskała nową funkcję: włość ziemska nie dawała już politycznych przywilejów, za to stała się, wierzono powszechnie, ostatnim schronieniem i krynicą narodowości. Sielskość, wolna od zimnej rachuby i kalkulacji, leżała w naturze polskiej i słowiańskiej. Majątek ziemski był czymś więcej niż gospodarstwem: był zagonem ojczystym, gniazdem szlacheckim, placówką polskości i wiary. Pańszczyzna nie była wyzyskiem, lecz naturalnym stosunkiem patriarchalnej zwierzchności i opieki, węzłem wzajemnej potrzeby, miłoś-

ci i zaufania; jeśli pozostawiała czasem pole do nadużyć, to te temperowane były wrodzoną łagodnością polskiego charakteru.

Był to system wartości całkowicie nieruchomy: nie było w nim miejsca na ewolucję. Był spójny i zamknięty: zagrożenie mogło przyjść tylko z zewnątrz, każdy wyłom zdawał się zwiastunem rozkładu. Nawet agronomia:

> Bo rolnictwo powszechnym będąc ludzi stanem,
> Nie zmieni swego trybu wynalazków planem
> [...]
> Wszędzie cep, widły, grabie, pług i radła z broną
> Starożytności prostej piątnem naznaczono[18].

Ponad tą nieuczoną szlachecką staroświecczyzną nadbudowywał się bardziej świadomy siebie konserwatyzm filozofów, biskupów, arystokratów i radców stanu. Nie wypierał się swoich folwarcznych i prowincjonalnych korzeni; przeciwnie, chętnie je podkreślał. Tak było, kiedy ziemiaństwo galicyjskich departamentów Księstwa Warszawskiego, skupione wokół Stanisława Zamoyskiego, organizowało się w opozycji przeciw Kodeksowi Cywilnemu i scentralizowanej na wzór francuski administracji rządowej, w obronie dawnych polskich praw i zwyczajów. Tak było, kiedy ksiądz Karol Surowiecki drukował swój *List prowincjonalnego do warszawskiego filozofa* (1817), dosadne wyznanie wiary klerykalnej reakcji. Tak bywało i później, ilekroć umysły wielce filozoficzne i wyrafinowane angażowały się w obronę i idealizację rubasznej prostoty, nieuctwa i pańszczyzny. Ale już w tym choćby ujawnia się jeden z licznych paradoksów, w jakie wikłała się idea konserwatywna z chwilą, gdy stawała się myślą, cóż dopiero systemem, a nie prostym odruchem obronnym.

Józef Kalasanty Szaniawski, dyrektor wychowania i dyrektor cenzury w Królestwie Kongresowym, jest doskonałym upostaciowaniem paradoksów intelektualnej konsekwencji konserwatyzmu: bo czyż nie trzeba było być tak gruntownie jak on wykształconym,

[18] D. Bończa-Tomaszewski, *Rolnictwo. Poema oryginalne w czterech pieśniach*, Kraków 1802, cyt. wg: A. Witkowska, *Sławianie, my lubim sielanki...*, Warszawa 1972, s. 103.

oczytanym i samodzielnie myślącym człowiekiem, aby fanatycznie chronić młodzież przed niebezpieczeństwami wykształcenia, oczytania i samodzielnego myślenia? I czyż nie trzeba było doświadczyć na sobie samym trucizn jakobinizmu, aby znaleźć na nie ideowe i policyjne odtrutki? I czyż nie z francuskich i niemieckich książek czerpało się argumenty przeciwko cudzoziemskim wpływom?

Szaniawski o tyle jednak był wyjątkiem od reguły, że jego rosnąca z biegiem lat niechęć do wszelkiego postępu nie łączyła się z pochwałą wsi spokojnej. Był filozofem i urzędnikiem – połączenie dość rzadkie – i dwie te role w jego umyśle ściśle się splatały. Jako filozof szukał uzasadnień konserwatyzmu biurokratycznego, w którym nie dworek i folwark, lecz rząd i urząd stają się ostoją ładu społecznego, narodowości, hierarchii i a u t o r y t e t u.

Autorytet był bowiem zasadą naczelną i niezbywalną konserwatywnego poglądu na świat, zasadą, która łączy wszystkie odmiany tej formacji myślowej. Reformy są dopuszczalne, jeżeli są wyrazem woli opiekuńczej zwierzchności i jeżeli nie burzą ustanowionego hierarchicznego ładu świata. Tyle, że szlachcicowi w jego dziedzicznej wsi dość było czuwać nad tym, aby nienaruszona trwała zwierzchność ojca nad rodziną i pana nad chłopami. Nad dziedzicem zaś był już tylko Bóg. Politycy konserwatywni, wychodząc na scenę publiczną i biorąc na siebie odpowiedzialność za losy narodu, musieli wypełnić brakujące szczeble hierarchii między dziedzicem a Bogiem.

Idealne społeczeństwo narodowe, które konserwatyści odkrywali w przeszłości i które chcieli ocalić albo przywrócić, było związkiem stanowo-korporacyjnym: jego człony połączone były solidarnie na zasadzie wzajemnych powinności, a nie przeciwstawione na zasadzie konfliktu interesów. „Wszelka całość – pisał Szaniawski – musi być organiczną, a doskonały organizm zawisł na przyzwoitym ustopniowaniu". Skoro tak, to nie tylko szanować należy odrębność ducha i instytucji każdego narodu, ale również w każdym narodzie „indywidualność przedziałów i klas społecznych"[19]. Liczba tych

[19] J.K. Szaniawski, *O naturze i przeznaczeniu urzędowań w społeczności*, Warszawa 1808, cyt. wg: *Polska myśl filozoficzna Oświecenie – Romantyzm*, wyd. H. Hinz i A. Sikora, Warszawa 1964, s. 256.

przedziałów rosła: doświadczenie wskazywało bowiem, że nazbyt rozrodzona, nie oświecona i republikańskim duchem zarażona szlachta nie stanowi dostatecznego zabezpieczenia ładu społecznego. Dopiero arystokracja zwieńczyć miała hierarchiczną budowę. Adam Czartoryski i Stanisław Zamoyski, Aleksander Wielopolski i Henryk Rzewuski w różnych momentach, i niezbyt się oglądając na rzeczywistą polską tradycję ustrojową, projektowali wprowadzenie dziedzicznych godności senatorskich i utrwalenie arystokracji jako elity społecznej i warstwy historycznej zapewniającej ciągłość dziejów narodowych, a także mającej stanowić przeciwwagę absolutyzmu panujących.

Wyłamywanie się nie tylko klas, ale i jednostek z przypisanego im dziedzicznie miejsca w hierarchii społecznej traktowane być musiało jako czynnik zaburzenia i dezorganizacji. W polityce praktycznej, na którą konserwatyści odzyskali wpływ już około roku 1820, po krótkim epizodzie rządów liberalnych Aleksandra I, ich doktryna społeczna sprowadzała się do obrony, a gdzie było można, to i restytucji praw stanowych. W okresie konstytucyjnym tendencja zachowawczo-klerykalna przejawiała się skutecznie w zwalczaniu prób rozdziału Kościoła od państwa, w zamachach na Kodeks Cywilny, zwłaszcza w dziedzinie prawa małżeńskiego, w sprzeciwie wobec umiarkowanych projektów reformy włościańskiej lub w odmawianiu Żydom praw cywilnych i obywatelskich. Najobszerniejsze zaś pole znalazła sobie w szkolnictwie, pod ministerium Stanisława Grabowskiego. Konserwatywną zasadę polityki edukacyjnej formułował biskup Prażmowski w słowach następujących:

> Jeśli spokojność towarzystwa, trwały i pomyślny byt jego na tym zależy, aby dzieliło się na klasy, aby każda z nich zadowolona była ze swego położenia i w obrębie jego pełniła swe obowiązki, nie trzeba przez chybiony system edukacji zaprawiać ją kwasem wzbudzającym fermentację, a takim będzie zawsze wyższe nad stan sposobienie[20].

[20] Cyt. wg: M. Manteufflowa, *J.K. Szaniawski: ideologia i działalność 1815–1830*, Warszawa 1936, s. 86.

Nie jest więc jeszcze tak źle: „spokojność towarzystwa" może być jeszcze zabezpieczona, jeśli tylko uda się powstrzymać napór sił społecznego rozstroju. Tu od razu widać, jak jednak odmienna była diagnoza polskiego konserwatysty epoki Świętego Przymierza od gorzkiego osądu moralisty czasów stanisławowskich. Tamten czuł się zanurzony w świecie fałszywym, w którym nic już prawie, oprócz cnót domowych, do konserwowania nie zostało: można było tylko wierzyć w ozdrowieńczy p o w r ó t do źródeł poczciwości. Ten drugi, bogatszy o całe doświadczenie rewolucyjnej epoki, ujrzał – kiedy już nastał pokój – że ani żywioł nie zabrał wszystkiego, ani czerw zwątpienia nie stoczył zdrowego pnia narodowości. Trwała i nawet umacniała się wiara i jej opoka – Kościół, trwał dom i nawet była Polska jaka taka, i pomimo dekretów i kodeksów przecież nie została rozerwana organiczna tkanka społeczeństwa. I przetrwała elita narodu, zdolna mu przewodzić w dziele obrony niezmiennych wartości ducha i bytu.

Nie było więc jeszcze tak źle: zagrożenie zostało zeksterioryzowane. Jawiło się wciąż pod postacią trzech wielkich przewrotów: filozoficznego, politycznego i przemysłowego, biorących początek z tego samego zatrutego źródła m a t e r i a l i z m u.

Ale przewrót filozoficzny utracił już swój zaraźliwy wigor. Skończył się, Bogu dzięki, wiek zadufanego w sobie Rozumu. Także przewrót polityczny i społeczny, który groził wywróceniem wszystkich tronów i przywilejów, zbezczeszczeniem wszystkich świętości, zdawał się ucichać, cofać. I tylko ta jedna rewolucja – techniczna, przemysłowa, handlowa – trwała, rozszerzała się niepowstrzymanie, wynosząc do góry nowych arywistów, nowe klasy, budząc nowe pragnienia i namiętności. W tę stronę przesuwało się teraz pole semantyczne wyrazu „cywilizacja". Za *Ancien Régime'u*, jeszcze i za Napoleona, esencją cywilizacji był salon literacki Paryża – wyrafinowany smak, polerowane maniery, wykwint życia i intelektu i owa zdolność do wydawania sądu o wszystkim. Od czasów Restauracji inne symbole i skojarzenia wysuwają się wyraźnie na czoło: maszyna, giełda, kapitał – nowe potęgi świata, nowi dyktatorzy mody. A ta zmiana akcentu miała konsekwencje nie byle jakie: bo ta

„cywilizacja", która jeszcze Josephowi de Maistre zdawała się schyłkową fazą wielowiekowej dekadencji rodzaju ludzkiego, teraz nagle objawiała się jako faza młodzieńcza, zdobywcza.

Co wszakże nie znaczy, że trzeba ją było polubić. Dokądkolwiek docierała ekspansja kapitalistycznego sposobu produkcji i wielkomiejskiego stylu życia – wszędzie tam dzieliła i do dziś dzieli ludzi na jej entuzjastów i wrogów. Jednym ze źródeł resentymentu w krajach kolonizowanych przez przemysł była obrona narodowej tożsamości, tradycji, obyczaju – o tym mówiliśmy już dosyć. Ale na tym nie wyczerpywała się sprawa. Bo przecież i w samych metropoliach Zachodu nie brak było ludzi, którzy z różnych pobudek odmawiali zaakceptowania nowych reguł ekonomicznej gry i nowej (choć czy naprawdę nowej?) etyki. Moralna krytyka już nie miejskiej, ale mieszczańskiej kultury stanie się odtąd koronnym tematem myśli europejskiej, a potem i pozaeuropejskiej. Przekonaniu liberałów i utylitarystów, iż nowa cywilizacja, stargawszy więzy feudalnej niewoli i pomnażając narodowe bogactwo, stwarza większe niż kiedykolwiek szanse zespolenia dążeń jednostkowych z celami społecznymi – przeciwstawi się pogląd, że ta cywilizacja, która uświęciła egoistyczną motywację działań gospodarczych i politycznych, prowadzi do socjalnej anarchii, do triumfu przemocy, do rozpadu chrześcijańskiego braterstwa między ludźmi i między narodami. Jakby dawniejsze wieki nie znały chciwości i zysku, tylko miłość powszechną!

Stężenie resentymentów zachowawczych dorównywało zapalczywej retoryce rewolucyjnych oskarżeń dawnego, feudalnego porządku. Uogólniona krytyka mieszczańskiej cywilizacji Zachodu wybuchała wielekroć nabrzmiałymi emocją inwektywami, przy czym zasób epitetów był raczej ograniczony i stereotypowy, i w zasadzie ten sam, od Anglii po Rosję. Była więc ta cywilizacja „sztuczna", „zepsuta", „skażona", „fałszywa", „kramarska", „zracjonalizowana", „materialistyczna", „egoistyczna", „anarchiczna", „bezduszna". Wszystko to *loci communes* epoki, w tym także piśmiennictwa polskiego.

Niechęć do cywilizacji przenosiła się na ekonomię. Może się to wydawać trochę dziwne: tak jakby meteorologię winić za złą pogodę. Ale jakiś sens w tym był. W osiemnastym wieku, a nieraz i później, filozofię, zwłaszcza Wolteriańską, czyniono pospolicie odpowiedzialną za zepsucie obyczajów. Dość powszechne było przekonanie, że książki kształtują sposób myślenia i postępowania – także tych, którzy ich nie czytają. Wierzyli w to nawet tradycjonaliści oraz prorocy upadku i może w tej właśnie wierze w sprawczą potęgę słowa ujawniał się triumf Oświecenia. Triumf dość ironiczny, skoro chodziło o wiarę w moc słowa d e s t r u k c y j n ą, w deprawujący wpływ teorii na życie. Filozofowie trochę się do tego przyczynili, bo byli programowo dydaktyczni i bardzo c h c i e l i perswazją zmienić świat; a choć nie był to jeszcze wiek kultury i propagandy masowej, to przecież w sferach oświeconych istotnie dyktowali mody intelektualne.

Otóż podobna przygoda przydarzyła się ekonomii politycznej, odkąd ta zaczęła rywalizować z filozofią. Ekonomiści także nie bardzo się umieli zdecydować, czy chcą objaśniać stosunki, j a k i e s ą, czy tworzyć aksjologię moralno-polityczną i opartą na niej normatywną naukę rozumnego postępowania, praktycznie użyteczną nie tylko dla władców, ale dla każdego człowieka. Spora część literatury ekonomicznej miała właściwie charakter poradników, a część pozostała to przeważnie teoretyczne modele takiego kapitalizmu, jaki m ó g ł b y b y ć, gdyby wszystkie podmioty postępowały racjonalnie. Skoro zaś każde ogólne założenie racjonalności przemyca jakieś arbitralne sądy o wartościach, to zarzucanie ekonomistom, iż wprowadzają nowe zasady moralne, okazuje się nie całkiem bezzasadne. Z czego wszakże nie wynika, że to Adam Smith i jego następcy stworzyli kapitalizm wraz z jego regułami gry, a tak właśnie zdawali się mniemać niektórzy krytycy ekonomii (wszelkiej ekonomii, nie określonego systemu teoretycznego) w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku.

Kiedy Fryderyk Skarbek wydał w Warszawie (1829) swój przekład *Dykcjonarza ekonomicznego* Ganilha, opatrując go w obszerne dodatki tudzież przedmowę, został gwałtownie zaatakowany

przez Feliksa Bentkowskiego, znanego krytyka, bibliografa i redaktora „Pamiętnika Warszawskiego":

> zasady wystawione przez autora [...] zdają mi się podkopywać związek społeczny, poniżać ludzi na proste machiny rachunkowe, wytępiać zasady moralności i dobrych obyczajów, które przecież znaczą coś w społeczności towarzyskiej, a podobno są i warunkiem bytu narodów.

I dalej recenzent wywodził, że stawianie - przez „dzisiejszą ekonomię polityczną" - ludziom i narodom przed oczy „bogactwa" albo też „dobrego bytu" jako c e l u ich dążności podsyca samolubstwo, chciwość, krętactwo, niszczy zaś szlachetność i bezinteresowne uprawianie sztuki. Pieniądze mają być ś r o d k i e m, nie celem[21].

Skarbek replikował na tę zaczepkę nie mniej ostro w tymże „Pamiętniku Warszawskim". Oponent jego - pisze - „nazwał bogactwo obfitością pieniędzy; dążność do dobrego bytu chciwością pieniędzy i procentów; i aby mu łatwiej było rzucać pociski, wyrzucił z mojej myśli wyraz *cywilizacja* [...] Bo o tem nie wspomniał nigdzie, że ja cywilizację za niedostępną bogactwa towarzyszkę poczytuję"[22]. Po czym Skarbek tłumaczył, że ludzie nie jeden tylko, lecz w i e l e celów stawiać sobie mogą. Oburzał go zarzut, iż nauka, która uczy, że praca i oszczędność jest drogą do poprawy bytu, miałaby podkopywać moralność i zasady życia społecznego. Obracał ten zarzut przeciwko wrogom ekonomii, insynuując, że pragnęliby oni powrotu czasów, kiedy lud żył w poddaństwie, nędzy i ciemnocie, pracując na zbytek swych panów.

Był to spór, rzec można, modelowy: powtórzy się wielekroć z nieznacznymi modyfikacjami argumentów. Nieprzyjaciele ekonomii sprowadzać ją będą do trywialnej i amoralnej apologii groszoróbstwa, jej obrońcy zaś , wpajając szacunek dla materialnych celów pracy, dodawać będą zarazem, że zajmują się ludźmi tylko w ich roli producentów, pośredników i konsumentów towarów, co przecie

---

[21] Cyt. wg przedmowy K. Krzeczkowskiego do *Pism pomniejszych* F. Skarbka, t. I, Warszawa 1936, s. XXII-XXIV.

[22] F. Skarbek, *Pisma pomniejsze*, t. I, s. 506.

nie wyczerpuje ogółu ludzkich dążeń. Na co znów usłyszą odpowiedź, że tak właśnie r o z c z ł o n k o w u j ą człowieka, który jest jednolitą istnością moralną.

Częściej jednak niż o analityczną fragmentaryzację ludzkiego świata pomawiano ekonomię o coś wręcz przeciwnego: o absolutyzm, o to, że chce się stać nową religią handlowej epoki.

> Tendencja ekonomiczna – notował młody Aleksander Wielopolski – chce sobie przywłaszczyć g o d n o ś ć c a ł o ś c i, gdy wszystkie inne dążenia, siły i utwory moralne w narodzie za narzędzia i środki podniesienia przemysłu uważa, i gdy miarę i znamię godności i siły narodowej szuka i pokazuje n a t a r g a c h, a nigdzie więcej nie przypuszcza jej i znać nie chce[23].

W przeciwstawianiu sobie dążności moralnej i materialnej, religii i ekonomii, rolnictwa i przemysłu myśl zachowawcza spotkała się z nurtem literackiego sentymentalizmu i jego ideałem prostoty życia, pomiernego i samowystarczalnego dostatku, cichego domowego szczęścia. Ideał ten, którego polski rodowód sięga – jak wspomnieliśmy – piętnastego wieku, a którego osiemnastowieczne funkcje i transformacje pobieżnie naszkicowaliśmy, został odnowiony i skonwencjonalizowany w poetyce preromantycznej idylli i w korespondującym z nią typie socjologicznej wyobraźni.

U nas zwłaszcza Kazimierz Brodziński ukanonizował estetyczny i etyczny ideał cywilizacji przyjaznej człowiekowi. W wyśnionej przezeń słowiańskiej krainie jutra łagodny miał być klimat i łagodni mieszkańcy, uregulowana Wisła (nie taki znów skromny postulat), porządnie pobudowane miasta, a nawet międzynarodowa wymiana towarów i dzieł kultury; ale bez giełdy i pogoni za zyskiem, bez dymu, zgiełku i kamiennego świata kapitalizmu. Był więc Brodziński, rzec można, prekursorem walki o czystość wód i powietrza, gdyż nie wyrzekając się postępu, zapobiec chciał z góry skażeniu naturalnego środowiska człowieka. W jego marzeniu natura i kultura osiągały względnie harmonijną jedność: natura nie dzika i pierwot-

[23] A.M. Skałkowski, *Aleksander Wielopolski w świetle archiwów rodzinnych*, t. I, Poznań 1947, s. 198.

na, lecz uładzona ręką skrzętnego gospodarza. Bo postacią centralną tego krajobrazu był rolnik, oracz, gospodarz światły i pracowity, a przy tym poprzestający na swych skromnych potrzebach.

W ekonomii politycznej wzrost potrzeb był pierwszym warunkiem rozwoju. W ekonomii moralnej groził zatraceniem naturalności ludzkiej. Cywilizacja burżuazyjna, oglądana od tej strony, okazywała się przede wszystkim pokusą wyuzdanej konsumpcji:

> A przemysł, z nim zbytek, ze słabej strony schwycił nas prostaczków. Z góry zaczął schlebiać naszym namiętnościom i wygódkom ciała. Osnuwszy się jak jedwabnik w długą przędzę deklamatorskich wywodów, dostał się do skromnych dworków ziemian naszych i zabrudził ich myśl rolniczą; z katedry nawet w poważnej todze wpływ swój rozszerzał! Nikt nie śmiał bąknąć słówka przeciw niemu, chociaż na spodzie leżała prawda, że on to szychem swoim chce stłumić prawdę Bożą w naszych sercach i myśli, a wabiąc ku sobie, jak piękna zalotnica, unurzyć je i zbrudzić w kale cielesności[24].

Że „nikt nie śmiał bąknąć słówka" – to już należy uznać za retoryczną licencję. Przeciwko przemysłowi bąkano nie mniej niż za przemysłem, choć niekoniecznie z katedry uniwersyteckiej. Uznać można za prawidłowość wczesnego kapitalizmu, że im bardziej rozprzestrzeniał się przemysł, jego produkty i związany z nim typ mentalności gospodarczej, tym bardziej nasilała się w e r b a l n a przeciwko niemu reakcja. Stosunek treści ideowych zartykułowanych w t e k s t a c h kultury do praktyki społecznych z a c h o w a ń jest relacją bynajmniej nie jednoznaczną. Wzory kultury mogą uświęcać i usprawiedliwiać potoczny *behavior*, ale bywają także konstruowane wbrew i na przekór niemu, z intencją dydaktyczną lub kompensacyjną. Literatura heroistyczna nie zawsze wyrasta z gleby heroicznego etosu, a potępianie chryzolatrii bywa najpowszechniejsze wtedy, gdy ludzi ogarnia właśnie gorączka złota. I wcale nie jest pewne, iż oskarżycielami miasta byli zawsze nieprzejednani miłośnicy życia wiejskiego.

---

[24] Jest to rzekomy monolog Brodzińskiego w relacji pamiętnikarskiej K.W. Wójcickiego; cyt. wg: A. Witkowska, *Kazimierz Brodziński*, s. 218–219.

W latach dwudziestych coraz to więcej szlachty ciągnęło do Warszawy czy do Lwowa i wraz z tym wznowiony został literacki proces przeciwko miastu, tej szulerni, w której króluje moda, lichwa, próżniactwo, rozpusta i wszystkie inne grzechy główne i poboczne[25]. Generalnie przeciw miastu obraca się polska komedia – twór miejskiej przecież kultury, wystawiany dla miejskiej publiczności, a uparcie rewindykujący wartości życia sielskiego. Wiejska szlachta może być w teatrze pełna przywar, może być chytra, pieniacka i jowialska, ale grunt moralny jest w niej zdrowy, podczas gdy w mieście jeno Łatki i Geldhaby. W mieście wszystko za dotknięciem pióra zamienia się w fałsz: romantyczność jest pozą, religijność hipokryzją, wierność małżeńska oszustwem[26].

Ta cywilizacja mieszczańska, która całą ludzką uwagę i energię kieruje ku celom cielesnym – zarabianiu, handlowaniu, spożywaniu – zdawała się nieprzyzwoicie trywialna. A tym samym trywialna musiała być cywilizacji takiej teoria, czyli ekonomia polityczna.

Ostentacyjna, zgeneralizowana niechęć do kapitalistycznej modernizacji życia i myślenia nie była więc, jak widać, atrybutem jakiejś jednej ideologii. Pracowały na nią rozmaite ciągi kulturowego dziedzictwa. A więc najpierw odruchowa neofobia rolnika, gospodarza przywykłego do statecznej i cyklicznej rutyny pracy i obrzędu, do niezmienności sprzętów domowych i inwentarskich. A dalej błogosławiąca tej rutynie moralistyka i ekonomia ziemiańska, a z nią razem doktryna o zajęciach godnych i niegodnych szlachcica. I oczywiście nauczanie Kościoła katolickiego, wytyczającego każdemu drogę zbawienia wedle obowiązków jego stanu, więc od biednych żądającego pokory, od bogatych jałmużny, od wszystkich umiarkowania żądz; Kościół ten znacznie, jak wiadomo, wolniej od gmin protestanckich oswajał się z nowymi rytmami życia, dłużej

---

[25] Pisze o tym szerzej A. Zieliński, *Naród i narodowość w polskiej literaturze i publicystyce lat 1815–1831*, Wrocław 1969, s. 87–89. Zob. także J. Jedlicki, *Świat zwyrodniały*, Warszawa 2000, s. 83–90, 110–112.

[26] Z. Szweykowski, *Fredro – wróg miasta*, nadb. z *Księgi Pamiątkowej ku uczczeniu czterdziestolecia pracy naukowej Prof. Dra Juliusza Kleinera*, Łódź 1949, s. 231–247.

walczył z pobieraniem procentu, a nade wszystko piętnował z ambon dorobkiewiczostwo i wszelkie pięcie się w górę. A obok tego mamy prawe czy nieprawe potomstwo ideowe Rousseau z jego kultem naturalności. I pokrewną mu sentymentalną utopię szczęśliwego domu na ustroniu świata. I poetycki nurt sielanki pasterskiej lub rolniczej, która ukanonizowała wzór naturalności sztucznej.

Całkiem świadomie mieszamy tu różne, jak to się mówi, „poziomy świadomości" czy sposoby artykulacji: postawy potoczne i elitarne doktryny, wierszyk, kazanie i filozoficzny dyskurs. Zdaje się bowiem, że to się tak właśnie miesza i osadza w umysłach ludzkich, przynajmniej w tych nie dość wyszkolonych, i potem już bardzo trudno odcedzić, co skąd się wzięło w popularnym widoku świata. Więc brnijmy w ten eklektyzm dalej.

Bo oto do tych wyliczonych strumieni dawniejszej i młodszej tradycji dołączają w dziewiętnastym wieku nowe źródła pulsujące pogardą dla mieszczańskiej rachuby i ekonomicznej teorii. Już się tu mówiło o porewolucyjnej myśli konserwatywnej, zaniepokojonej zachwianiem dawnych porządków społecznych. Jeszcze się nie mówiło o insurekcyjnych demokratach po roku 1831, o uciekinierach marzących o dniu powrotu: oni tę starą, feudalną hierarchię społeczną zamierzali obalić, ale dla wolności i równości, nie dla produkcji i handlu. We wstręcie do burżuazji żaden karmazyn, biskup ani literat im nie dorównał. Im – pielgrzymom i emisariuszom Polski i jej Ludu. Jakżeż obmierzła im orleańska Francja bankierów, adwokatów, episjerów, jakże obce i odpychające były miasta Anglii i Ameryki! Tak ich ziębił obojętny na ich los i sprawę kupiecki egoizm dorabiających się społeczeństw Zachodu, że tam właśnie, w tym zetknięciu musieli się poczuć wysłannikami innego, lepszego świata, pogrążonego w niewoli i ucisku, ale jeszcze zdolnego do miłości i do ofiary.

Nigdy rozdział między wzniosłością idei a codziennym bytowaniem narodu nie był równie przepastny. Na mocy ewangelicznej wiary w moralną wyższość uciskanych i prześladowanych do odkupicielskiej misji dla ludzkości powoływany był – przez swoich proroków – naród, który w tym czasie nie był zdolny do opatrzenia naj-

pierwszych swoich potrzeb materialnych i umysłowych, a w życiu europejskim przestał odgrywać jakąkolwiek rolę. W oczach obserwatora postronnego czymże się wtedy różnić mogła Polska od Serbii albo Irlandii – także bohaterskiej, uciemiężonej, nieoświeconej i głodnej?

Dla oczu zaćmionych bielmem romantycznej historiozofii nic to nie miało do rzeczy. Hierarchia duchów i gradacja szczebli ekonomicznego rozwoju – to były dwa albo sprzeczne, albo zgoła nieprzystawalne do siebie porządki wartości.

Ci, którzy widzieli ziemię i na niej bezmiar nie przeoranych ugorów, porządki te chcieli ze sobą zgodzić, a już musieli to czynić w tym samym wysokim stylu. Jeżeli bowiem praca gospodarcza stać się miała jednym z narodowych celów, to trzeba ją było uświęcić, tak jak uświęcona została poezja, walka i ofiara, trzeba było okazać, że i wzgardzony przemysł jest jedną z dróg ducha. Żukowski, ten dziwny półliberał i półromantyk, jeszcze przed powstaniem przepowiadał nadejście chwili, „w której i n d u s t r i a połączy się ściślej z moralnem, umysłowem dążeniem człowieka, aby go spólnie prowadzić do szczęśliwości i chwały"[27]. Na tę drogę doskonalenia, po długich wiekach barbarzyństwa, wkroczyła już Europa.

> Jawnie tego dowodzą rozgałęzione najpowszechniej kultura, wysoki stopień zamożności i widoczna przewaga potęgi tej części nad resztą świata. Nade wszystko zaś te posunione do wzniosłości p o j ę c i a i oczyszczone z najmniejszych plamek ziemskich. Słowem, zacność umysłowa równa potędze materialnej i potęga sił mechanicznych równa zacności umysłowej.

Niestety, niektóre jeszcze kraje Europy nie mogą pochlubić się tym stanem: „Do rzędu tych krajów liczy się nasza ojczyzna"[28].

W Polsce taka sublimacja pracy produkcyjnej była jeszcze wtedy zjawiskiem rzadkim. Język Żukowskiego i jego ideał zdradzają natomiast wyraźne już powinowactwo – zapewne nie przygodne – z francuską propagandą przemysłowości, prowadzoną w epoce

[27] J.L. Żukowski, *O sztuce*, „Gazeta Polska" 1828, nr 100.
[28] J.L. Żukowski, *O panszczyźnie*, Warszawa 1830, s. 142–143.

Restauracji przez redaktorów „Le Censeur Européen", „L'Organisateur" czy „Le Producteur". We Francji to bowiem, która dopiero zbierała siły i kapitały do przemysłowego zrywu, „l'industrie" – słowo, które tak jak polski „przemysł" oznaczało wszelką działalność gospodarczą – stała się ośrodkowym pojęciem nowej ideologii i związanego z nią katalogu cnót społecznych[29].

Ta nowa ideologia wchodziła od razu w zwarcie polemiczne ze wszystkimi krytykami cywilizacji przemysłowej i ekonomii politycznej, przyjmowała ich wyzwanie i wybrane przez nich pole bitwy. Znaczyło to, że ideowa walka o ekonomiczne podstawy nowego, tworzącego się społeczeństwa rozegra się nie na terenie ekonomii, lecz etyki. Tej konieczności nie chciał jeszcze uznać Say, papież całej szkoły. Swoim poprzednikom, nade wszystko fizjokratom, zarzucał to właśnie, że stale mieszali punkt widzenia „prawa" z rzeczywistością, czyli to, jak być powinno, z tym, jak jest. „Ekonomia polityczna stała się nauką dopiero wtedy, gdy oparła się na naukowej obserwacji". Jeśli ekonomista coś doradza lub odradza, zwalcza jakiś „przesąd" i broni jakiejś zasady, to czyni to – mniemał Say – w duchu czysto technologicznym. Nauka ekonomii pozwoli mężom stanu i przedsiębiorcom „przewidywać następstwa pewnych czynności, tak jak się bada prawa dynamiki i hydrauliki, jeśli się chce zbudować pomyślnie most lub zaporę wodną"[30]. Bardzo pięknie, tylko że krytykom chodziło nie o to, j a k budować most, ale o to, dokąd ten most prowadzi i co będzie na drugim brzegu.

Cała plejada konserwatywnych i romantycznych pisarzy, zwłaszcza niemieckich i francuskich, początku dziewiętnastego wieku atakowała filozoficzne i moralne podstawy ekonomii, która degraduje naturę ludzką, uznając potrzeby materialne i żądzę zysku za jedyny motyw popychający człowieka do działania, a nie chcąc nic wiedzieć o honorze i o poświęceniu, o obowiązku i o miłosierdziu. Taka ekonomia – twierdzili – staje się przewodnikiem społe-

[29] Zob. N. Assorodobraj, *Elementy świadomości klasowej mieszczaństwa (Francja 1815–1830)*, „Przegląd Socjologiczny", t. X (1948), s. 139–190.

[30] J.B. Say, *Traktat o ekonomii politycznej*, Warszawa 1960, s. 48–49, 75.

czeństwa skorumpowanego, symptomem i zwiastunem moralnego rozkładu cywilizacji, filozofią zniewolenia człowieka przez pieniądz i przez m e c h a n i z m[31].

Mieli otrzymać na to odpowiedź, a ściślej: dwie nieco różne odpowiedzi, bo obóz industrialistów był solidarny tylko do połowy drogi, a dalej ostro się rozszczepiał.

Za najbardziej elokwentną obronę industrializmu liberalnego uznać wypada dzieło pod znamiennym tytułem: „Przemysł i moralność rozważane w swoich związkach z wolnością" (1825), przez Charles-Barthélémy Dunoyera[32]. Dunoyer, śladem swego mistrza Saya, też nie chce opowiadać, co być „powinno". Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela oświadcza, że ludzie rodzą się wolni? To frazes. Wolność jest rzeczą nabytą i stopniowalną. Ludzie nie rodzą się wolni, lecz mogą się wolnymi mniej lub bardziej s t a ć. Benjamin Constant czy inni „dogmatycy" powiadają, że człowiek m a prawo do wolności? To czcza sentencja. Pytajmy, w jakich warunkach mogą ją uzyskać. Aby się tego dowiedzieć, przebiegniemy szybko całe dzieje społeczeństwa ludzkiego: przyjrzymy się po kolei ludom dzikim, potem koczowniczym, potem osiadłym, które każą na siebie pracować niewolnikom, potem tym, które nie mają już niewolników, ale w których każdy stan ma osobne prawa i przywileje, potem tym, w których przywileje zostały już obalone i wszyscy są owładnięci ambicją pięcia się w górę, szukania dla siebie miejsc, i nareszcie narodom czysto industrialnym, w których namiętność panowania zastąpiona już została przez namiętność pracy – ale taki naród jest na razie jeden tylko na świecie, Stany Zjednoczone Ameryki. I okaże się w sposób naoczny i bezsporny, że na każdym kolejnym szczeblu rozwoju wzmaga się przedsiębiorczość i praca produkcyjna, a wraz z tym – wbrew Rousseau, wbrew Chateaubriandowi, wbrew Bonaldowi, wbrew wszystkim tkliwym sceptykom i kaznodziejom – podnosi się moralność społeczna.

[31] L. Epsztein, *L'économie et la morale aux débuts du capitalisme industriel en France et en Grande-Bretagne*, Paris 1966, s. 105–113.

[32] Ch.B. Dunoyer, *L'industrie et la morale considerées dans leur rapports avec la liberté*, Paris 1825.

„Niechaj deklamują, ile im się podoba, przeciwko ludziom, którzy chcą jakoby ograniczyć działalność ludzką do trosk życia fizycznego: ja powiadam, że przemysł jest zawsze korzystny dla życia umysłowego i moralnego; powiadam, że porządek, w którym nasza egzystencja staje się przyjemniejsza (*la plus douce*), jest zarazem tym, w którym nabywa ona więcej świetności i godności"[33].

Tak więc postęp materialny sprzyja moralnemu, a oba razem przyczyniają się zgodnie do wzrostu wolności człowieka. Czymże tedy innym jest historia ludzka, jeśli nie historią wolności, którą można mierzyć równie dokładnie i bezstronnie jak światło albo elektryczność.

> Jesteśmy więc tym bardziej wolni, im więcej mamy siły, aktywności, przemysłu, wiedzy; im bardziej jesteśmy w stanie zaspokoić wszystkie nasze potrzeby; im mniej pozostajemy zależni od r z e c z y: każdy postęp rozszerza naszą zdolność działania, każda nowa umiejętność jest nową wolnością[34].

Wszystkie prawdziwe dobra tego świata – wygody życia, ogłada, wiedza, sztuka, wolność, pokój, bezpieczeństwo, własność, równość – są ze sobą zgodne, razem ich przybywa i nigdy nie trzeba poświęcać jednego z nich, aby zapewnić sobie inne. Dość już tych oskarżeń cywilizacji, że niszczy obyczaje, upadla charaktery, zmierza do rozpadu społeczeństwa! „Ten proces przeciwko cywilizacji nie jest nowy. Idea, że nasz gatunek degeneruje się, w miarę jak postępuje naprzód, jest stara jak świat". Z takich opinii można złożyć całe tomy: nie są to poglądy dziwaków, lecz przesąd powszechny[35].

Cywilizacja jest wszechstronnym wyszlachetnieniem społeczeństwa, cywilizacja antyspołeczna jest logiczną sprzecznością.

---

[33] Ibidem, s. VII. Polscy tłumacze tekstów francuskich z pierwszej połowy XIX w. kalkują zazwyczaj „l'industrie" jako „industrię"; nie stosując się do tego zwyczaju, tłumaczę ją jako „przemysł", co wszakże należy brać w ówczesnym znaczeniu słowa, gdy pisało się o przemyśle rolniczym, rękodzielniczym i handlowym.

[34] Ibidem, s. 37–38.

[35] Ibidem, s. 91–97.

Wzrost nauk i zdolności wytwórczych, przyrost dóbr materialnych gasi odwieczną żądzę podboju i grabieży, panowania i wyzysku, wojnę czyni zbyteczną. W świecie industrialnym ustanie gwalt i przemoc, walka o kolonie okaże się zbyt kosztowną zabawą, granice państw utracą znaczenie, bo dla ludzi wolnych ważniejsze są małe wspólnoty lokalne, w które zrzeszają się z własnej woli.

Kończy się p o l i t y k a – to prawdziwe źródło deprawacji. Pokojowego współżycia różnych klas o sprzecznych interesach nie może zapewnić żadna forma rządu, żaden Monteskiuszowy podział władz – to są złudzenia politycznej alchemii. Decydujące znaczenie ma ustrój ekonomiczny. Gdzie znikną niewolnictwo, przywileje, monopole, duch dominacji, tam pokój socjalny nastanie przy każdej organizacji politycznej. Konkurencja wytwórców nie jest wojną, lecz niewinnym współzawodnictwem (*des rivalités innocentes*), pobudzającym do lepszej pracy. W działalności wytwórczej powodzenie jednego nie kłóci się z powodzeniem innych: „wszyscy mogą tu prosperować razem, wszystkie ludy ziemi mogą prosperować razem"[36].

Jeden tylko cień mroczy tę szczęśliwą ziemię, już wynurzającą się z odmętu historii. Oto nawet w wieku industrii nie da się usunąć nierówności. Znikną nierówności sztuczne (*factices*), pozostaną n a t u r a l n e, wynikające z różnic wydajności pracy, wykształcenia, moralności, i te, cóż zrobić, będą się odtwarzały przez pokolenia. Co za tym idzie, ludzie będą też n i e r ó w n o w o l n i: ograniczeni już nie przez przemoc instytucji, lecz przez niemoc własną. To zaś – wierzy Dunoyer – jest znacznie łatwiejsze do zniesienia, bo każdy będzie rozumiał, że cieszy się taką zamożnością i taką wolnością, na jaką sobie zasłużył. A z nierówności, która pobudza szlachetną ambicję, zrodzi się dalszy postęp, dalszy rozwój przemysłu i moralności[37].

Wszystko więc zmierza, jak widać, ku doskonaleniu się człowieczeństwa, a jeżeli na krysztale przyszłości pozostaną jakieś skazy, to dlatego, że muszą, gdyż taka jest „natura rzeczy". Zwiastun kró-

[36] Ibidem, s. 342–350.
[37] Ibidem, s. 391–395.

lestwa wolności w dziesiątym rozdziale okazuje się zasępionym na chwilę maltuzjanistą, by zaraz dojść do wniosku, że nie ma takiego zła, co by na dobre dla postępu nie wyszło. Dalej pociągnie rzecz Bastiat, który wręcz uzna, że wolna konkurencja, jako przeciwwaga interesu osobistego, prowadzi do etyki braterstwa; skąd krok już był tylko do stwierdzenia, że wszelkie reformy społeczne mogłyby tylko zepsuć ekonomiczną harmonię kapitalizmu[38]. Tak to promienny projekt przyszłości ześlizgiwał się niepostrzeżenie, co nieraz się w dziejach zdarzyło, w apologię mniej promiennej teraźniejszości.

Historia ludzkości Charlesa Dunoyer jest przy tym zupełnie świecka. W jego książce nie ma planów Bożych, jest *la nature des choses*. Zasady moralne nie są z a d a n i e m dla ludzi, są r e z u l t a t e m rozwoju społecznego.

> Mówi się często, że chrześcijaństwo nas ucywilizowało: wydawałoby mi się, iż poprawniej jest powiedzieć, że cywilizacja uszlachetniła (*a épuré*) nasze chrześcijaństwo. Zapewne, litera Ewangelii nie uległa zmianie, ale bardzo się zmienił nasz sposób rozumienia Ewangelii; nasze uczucia i nasze zasady religijne dotrzymywały kroku wszystkim naszym uczuciom i wszystkim naszym zasadom; stawały się czystsze i rozumniejsze, w miarę jak my stawaliśmy się bardziej ogładzonymi[39].

Innym szlakiem biegła myśl Saint-Simona, który w tym samym czasie i w tym samym mieście stworzył alternatywny wzorzec moralnej obrony postępu i cywilizacji. Wzorzec nieporównanie bardziej patetyczny, wizjonerski, totalny w swojej systemowości. Zrazu mogło się zdawać, iż wyrasta on z tego samego ideowego pnia, z tego samego entuzjazmu dla pracy wytwórczej, dla nauki i przedsiębiorczości, z tego samego co u wszystkich industrialistów podziału społeczeństwa na pszczoły i trutnie i z tej samej wiary w zbieżność interesów wszystkich klas i zawodów przykładających się czynnie do rozkwitu przemysłów. To było wspólne, ale mimo

[38] Zob. L. Epsztein, op. cit., s. 66-69, 82-84.
[39] Ch.B. Dunoyer, op. cit., s. 242.

tych licznych podobieństw wyobraźnia socjologiczna Saint-Simona, zrazu jeszcze powściągana konwencją naukowego determinizmu, porusza się od początku po innej trajektorii: to już nie jest historyczne, w przyszłość przedłużone sprawozdanie o ewolucyjnym postępie przemysłu, wolności i cnoty, lecz plan całościowego, jednorazowego zbawienia świata, urządzenia siłami ludzkimi Królestwa Bożego na ziemi.

Plan taki musi się zaczynać od Ewangelii. Ale Ewangelia była objawieniem cząstkowym, ogłosiła tylko negatywną zasadę współżycia: nie czyń złego bliźniemu twemu. Druga część kodeksu moralnego, mianowicie obowiązek użytecznej pracy, została na czas jakiś przez Boga zatajona, co umożliwiło Kościołowi i teologom spaczenie samej istoty chrześcijaństwa. Oddzielili niebo od ziemi, ucząc wzgardy dla dóbr doczesnych i dla porządku tego świata. Na nic to: bo religia jest systemem, a system może mieć tylko j e d n ą zasadę. Tę jedną zasadę ustanowił Bóg, resztę wymyśliło duchowieństwo.

> Bóg powiedział: *Ludzie powinni być sobie braćmi*. Ta wzniosła zasada zawiera c a ł ą b o s k ą t r e ś ć religii chrześcijańskiej. [...] Otóż, stosownie do zasady postępowania, jaką Bóg przekazał ludziom, powinni oni organizować społeczeństwo swoje w taki sposób, aby zapewniało największą pomyślność największej ich liczbie. Powinni oni jako cel wszystkich prac i c a ł e j działalności postawić sobie poprawę – w jak najkrótszym czasie i w jak najpełniejszy sposób – bytu moralnego i fizycznego najliczniejszej klasy[40].

Jak widać, Bóg Saint-Simona jest utylitarystą, który przeczytał Benthama. Jest też ekonomistą, tylko zrazu nie było jasne, z jakiej szkoły. Wiadomo, że uświęcał wszelką pracę industrialną, ale to jeszcze mało. Czy błogosławił współczesnej Francji? Europie czasów Restauracji? Tu lęgła się niepewność. Ta epoka mieszczańskiego arywizmu, „poszukiwania miejsc", która Dunoyerowi zdawała się ostatnim już przedsionkiem przed wkroczeniem w błogosławiony wiek industrialny, Saint-Simonowi coraz wyraźniej odsłaniała się

[40] C.H. de Saint-Simon, *Nowe chrześcijaństwo* (1825), w tegoż, *Pisma wybrane*, przeł. S. Antoszczuk, opr. J. Trybusiewicz, t. II, Warszawa 1968, s. 642.

jako krytyczny czas chaosu. Jego uczniowie wiedzieli już dokładnie, że to jest przeciwieństwo ładu, którego oczekują.

Jeżeli braterstwo ludzi jest najwyższą wartością moralną, to historia jawi się nie jako ciąg rozwijania się wolności, lecz jako postęp w zrzeszaniu się, a to całkiem co innego. Przeciwieństwem zasady zrzeszania się jest zasada antagonizmu: słabsza od tamtej, ale zdolna hamować postęp a s o c j a c j i. Obecny stan społeczny, po rewolucji burzącej, ale nie budującej, to wciąż jeszcze stan wojny: między jednostkami, między klasami, między państwami. Konkurencja nie jest harmonią dążeń, lecz bezładem, bo „utrzymując każdy wysiłek industrialny w sytuacji o d o s o b n i e n i a i walki z innymi, deprawuje zarówno moralność indywidualną, jak moralność społeczną"[41].

Bóg saint-simonistów zrywa ostatecznie z liberalizmem. Moralność społeczna nie rodzi się z indywidualnego rozumu. Niedorzeczne jest przekonanie, że jednostka sama może najlepiej osądzić stosunek swoich uczynków do interesu społecznego, nad czym czuwać by miały dwa „smutne bóstwa" indywidualistów: sumienie i opinia publiczna. Niestety, wiara w te zawodne instancje prowadzi „do opozycji wobec każdej próby zorganizowania *ośrodka kierującego* interesami moralnymi ludzkości, do nienawiści ku *władzy*"[42].

To przecież język konserwatystów, ich kategorie, ich oskarżenia. I rzeczywiście: uczniowie Saint-Simona coraz rzadziej cytują Condorceta, coraz częściej de Maistre'a. Tylko że w ich doktrynie człowiek samotny w tłumie nie ma już drogi powrotu do macierzystego, opiekuńczego ciepła obalonych korporacji. Pozostaje mu tylko ucieczka do przodu, w przyszłość, w zrzeszenie powszechne. Czyż nie tego samego domagają się potrzeby przemysłu?

Francuzi, jeszcze jeden wysiłek: władza w ręce wytwórców! Ten apel biegnie obsesyjnie przez całą twórczość Saint-Simona.

---

[41] *Doktryna Saint-Simona. Wykłady A. Bazarda i B.P. Enfantina, Rok pierwszy, 1829*, opr. C. Bouglé i E. Halévy, przeł. E. Bąkowska, Warszawa 1961, s. 288.

[42] Ibidem, s. 356, 414.

Dość już polityków, generałów, adwokatów, klechów. Pracami narodu powinni kierować ludzie kompetentni: uczeni, artyści i przemysłowcy. Kto umie organizować własną pracę, potrafi też zarządzać tym wielkim warsztatem produkcyjnym, jakim stanie się naród. Potrafi też sprawować kierownictwo wychowania publicznego, którego podstawą będzie czysta moralność ewangeliczna, a celem – opanowanie znajomości nauk pozytywnych. Nad tym czuwać będzie Akademia Rozumowań i Akademia Uczuć. *„Niech tylko artyści przeniosą w przyszłość raj ziemski, niech go ukażą jako przyszły owoc ustalenia się nowego ustroju, a nie ulega wątpliwości, że ustrój ten zapanuje niebawem"*[43].

Najpierw we Francji, potem na całym globie, zjednoczonym przez Nowe Chrześcijaństwo, powołane do tego, aby wyplenić egoizm i zapewnić światu pokój, braterstwo i dostatek. Tak,

> jest ono powołane do tego, aby zespolić wzajemnie uczonych, artystów i industrialistów i uczynić z nich zarówno głównych przywódców ludzkości, jak i rzeczników specjalnych interesów wchodzących w jej skład narodów; jego rzeczą będzie postawić sztuki piękne, nauki oparte na obserwacji i industrię na czele umiejętności ś w i ę t y c h zamiast, jak katolicy, zaliczać je do umiejętności ś w i e c k i c h; jego wreszcie powinnością będzie wyklęcie teologii i napiętnowanie jako bezbożnej wszelkiej nauki zalecającej ludziom dla osiągnięcia życia wiecznego inne środki niż najbardziej wytężona praca nad poprawą bytu bliźnich[44].

W Nowym Ustroju przeciwstawianie sobie nauki i religii, potrzeb cielesnych i duchowych, interesu i moralności utraci wszelki sens. System industrii będzie zarazem moralny i racjonalny, gdy zniesie chaos rynku: bo zamiast rywalizacji odosobnionych kapitalistów Najwyższa Hierarchia, ogarniająca swym wejrzeniem całość wielkiego warsztatu industrialnego, będzie rozdzielała zadania produkcyjne zgodnie z inwentarzem potrzeb ogólnych i indywidualnych. Powszechne porozumienie zastępuje powszechną walkę,

[43] C.H. de Saint-Simon, *Organizator* (1820), w: *Pisma wybrane*, t. II, s. 324.

[44] C.H. de Saint-Simon, *Nowe chrześcijaństwo*, ibidem, s. 678.

wraz z tym znikają kryzysy, bankructwa, nieszczęścia, nędza. „Jednym słowem, industria jest *zorganizowana*, wszystko łączy się ze sobą, wszystko jest przewidziane..."[45]

Robotnicy z zupełną ufnością poddają się zwierzchności najlepszych i najmądrzejszych. Nikt nie jest już zdany sam na siebie, każdy odnajduje swoje miejsce w tym systemie: „człowiek woli zawsze stan społeczny od stanu *odosobnienia*, gdyby nawet odosobnienie to nazywało się *niezależnością*"[46]. Wolność nie zostanie jednak zniszczona, bo panowanie nad ludźmi przekształci się w administrowanie rzeczami, organizowanie procesu pracy i wychowania. „Obawa, że może kiedykolwiek istnieć despotyzm w oparciu o wiedzę, byłaby chimerą równie śmieszną jak absurdalną, mogącą się wykluć jedynie w umysłach absolutnie obcych wszelkim ideom pozytywnym"[47].

Odtąd dopiero, od tej wielkiej przemiany organizacyjnej, która dokona się łagodnie - przez monarchów albo przez parlamenty - rozpocznie się postęp harmonijny, wolny już od niszczących kataklizmów historii. Postęp trójjedyny: fizyczny, intelektualny i moralny, czyli rozwój przemysłu, inteligencji i miłości. Człowiek, pracując dla poprawy bytu swego i bliźnich, spełnia dzieło religijne[48]. Oto słowo Boże.

Ludzie myślący tej epoki żyli oczekiwaniem, ogromną tęsknotą do przyszłości (*soif d'avenir*)[49] i zarazem przekonaniem, że przyszłość ta jest już w zawiązku gotowa, teraźniejszość nosi ją w swoim łonie. Saint-Simon, i nie on jeden, był najmocniej przeświadczony, że nie tworzy żadnej utopii: on tylko trafniej od innych odgaduje i zwiastuje światu nieunikniony rezultat drogi, jaką od stuleci kroczy cywilizacja. Także jego ewangelia moralna jest naukowa, oparta na doświadczeniu. Trzeba tylko umieć je studiować, trzeba umieć czytać słowa Boże, znaki historii, i trzeba błysku

[45] *Doktryna Saint-Simona*, s. 281-282.
[46] Ibidem, s. 285.
[47] C.H. de Saint-Simon, *Organizator*, loc. cit., s. 318.
[48] *Doktryna Saint-Simona*, s. 237-238, 539.
[49] Wyrażenie z „Le Globe" 1825, wg: N. Assorodobraj, *Elementy świadomości klasowej mieszczaństwa*, loc. cit., s. 145.

natchnienia, Fourierowej i l u m i n a c j i, aby nagle odsłoniła się cała tajemnica świata jako systemu dedukcyjnego, wynikającego z jednej naczelnej zasady. Kłopot polegał na wielości tych olśnień, które każdemu wybranemu odsłaniały inną zasadę, a więc i inną przyszłość. Można te przepowiednie porządkować, ustalać ich typologię, rozmieszczać je na skali rozpiętej między królestwem maksymalnej wolności a królestwem doskonałej organizacji. Najważniejsze wszelako wydaje się to, co wszystkim prorokom, trzeźwym i nawiedzonym, Bożym i pozytywistycznym, było wspólne: pewność, że to dziecko, które ma się narodzić, będzie piękniejsze i mądrzejsze niż wszystko, co dotąd widziano na ziemi. Na razie wprawdzie teraźniejszość rodziła raczej niedonoszone, hybrydowate potworki, ale i te poronienia okazywały się potrzebne w ziemskim planie teodycei. Niechaj wątpi, kto chce; człowiek, czyniąc sobie ziemię poddaną, zmierzał do krainy sprawiedliwości.

Jej u nas zwiastunem chciał być August Cieszkowski. Ze słów Modlitwy Pańskiej zinterpretowanej jako proroctwo wysnuwał w swych brulionach adwentystyczną wizję powrotu Chrystusa pokój czyniącego, zstąpienia Królestwa Bożego na ziemię i wniebowstąpienia ziemi. Ale nic w tym nie było z apokalipsy: ani przebrania się miary nieprawości ludzkich, ani straszliwych kataklizmów, ani Sądu. I nie było w tym też powrotu do czystej i pierwotnej natury, bo „stan natury" jest sprzeczny z przyrodzeniem człowieka, którego naturalnym stanem jest życie w cywilizacji. Przez pracę cywilizacyjną, przez naukę i doskonalenie narzędzi, przez coraz powszechniejszą i sprawiedliwszą organizację społeczną ludzkość wkroczy łagodnie i prawie niepostrzeżenie do tej obiecanej ziemi-nieba, która też nie będzie koncertem chórów anielskich, lecz po prostu wyższym jakimś szczeblem społecznego życia w pokoju, pracy i dobrobyci. W tym Królestwie Bożym będą przecież fabryki i koleje, ludzie będą zarabiać i wydawać pieniądze i nawet nie Duch Święty, lecz światowy rząd opiekuńczy troszczyć się będzie o to, aby każdy miał zapewnione – jak w Fourierowskim falansterze – m i n i m u m s o c j a l n e.

Lecz nie tylko te przedmioty, które dziś za artykuły pierwszej potrzeby uznajemy, to minimum składać muszą, są i inne, które teraz za zbytek uważane, wkrótce niezbędnemi się okażą, a *sfera potrzeb* coraz bardziej kosztem *sfery zbytku* rozszerzać się będzie. A to bynajmniej nie jest opłakanem spostrzeżeniem, gdyż właśnie pomyślność każdego nie, jak mylnie twierdzono, na wyzuciu się ze wszelkich potrzeb, a tem samem na cofnięciu się i zamknięciu w skorupie obrzydłej obojętności, ale owszem na pomnażaniu i rafinowaniu i na coraz wyższem doskonaleniu tychże potrzeb, zapewniwszy sobie środki zadosyć im uczynienia, zależy[50].

I tak w przyszłości chlebem powszednim staną się nie tylko pożywienie, odzież i opał, ale także bezpłatna nauka elementarna i zawodowa („minimum intelektualne"), higiena, ubezpieczenia, wychowanie fizyczne, wreszcie i kulturalna rozrywka. W Piśmie Świętym, gdzie wszystko to zostało obiecane, zapowiedzią socjalnego minimum była manna niebieska, jaką Bóg zesłał Żydom na pustyni. W przyszłości jednak środków na te wszystkie świadczenia „administracji socjalnej" nie Bóg dostarczy, lecz przemysł i jego nadwyżka, a nadto oszczędność w niepotrzebnych już wtedy wydatkach na wojsko.

Naprawdę dla ludzi było zaprojektowane to Królestwo. Dla wszystkich ludzi, bo w Epoce Parakleta nie będzie już narodów barbarzyńskich: wszystkie dostąpią dobrodziejstw cywilizacji.

„Mesjanizm trzeźwego ekonomisty", „mesjanizm dnia powszedniego" - tak oto nazwał tę przepowiednię Andrzej Walicki, z którego głębokich, syntetyzujących studiów o Cieszkowskim skwapliwie korzystam[51]. Rzeczywiście: eschatologiczna, religijna wyobraźnia Cieszkowskiego jest mało odświętna, jego Bóg nie zbliża się w gniewie i w ogniu błyskawic, nie budzi trwogi ani mistycznego zachwycenia. Treścią tego proroctwa jest przecież zejście się świętego ze świeckim, epifania na miarę człowieka. W wielki system

---

[50] A. Cieszkowski, *Ojcze nasz*, t. III, Poznań 1923, s. 215.

[51] A. Walicki, *Filozofia a mesjanizm*, Warszawa 1970, s. 76, 88; por. tegoż autora, *August Cieszkowski*, w pracy zbiorowej: *Polska myśl filozoficzna i społeczna*, t. I, *1831-1863*, Warszawa 1973, s. 395-442, oraz *Między filozofią, religią i polityką*, Warszawa 1983, s. 45-99.

religijnej i dialektycznej historiozofii oprawiony został kryształ wyobraźni socjologicznej, śmiałej a rzeczowej, i przecież wolnej od tak zabawnej w szczegółach dokładności Fouriera. Wyobraźni antycypującej tak wiele z tego, co wiek później w kilku wcale nie Bożych królestwach zostało zrobione; w tym jednak ułomnej, że nazbyt łatwo rozwiązującej dramatyczne konflikty nowoczesności.

Konflikty te były doskonale znane autorowi *Ojcze nasz*, wytrawnemu obserwatorowi zachodnich społeczeństw. Jak wszyscy współcześni mu krytycy cywilizacji liberalnej, tak i on główny jej defekt upatrywał w trawiącej ją chorobie i n d y w i d u a l i z m u, która zaraziła zwłaszcza klasy średnie: jej objawem jest izolacja jednostek, społeczności lokalnych i zawodowych[52], ich egoistyczna wyłączność, brak wspólnej więzi, wspólnego celu. Ekonomia polityczna umacniała to rozdrobnienie interesów: „Zajmowała się tylko środkami, a nie celem; abstrakcyjnymi pojęciami wartości, a nie p r z e z n a c z e n i e m tych wartości; martwym bogactwem, a nie użyciem tego bogactwa; słowem, rzeczami, nie ludźmi"[53].

W takim społeczeństwie bez wspólnoty, w którym interesy prywatne lub lokalne stale biorą górę nad dobrem zbiorowym, ustrój politycznej demokracji oznacza tylko „władzę l i c z b y", a obietnica równości pozostaje czystą abstrakcją. Ale walki interesów wewnątrz państwa są przynajmniej regulowane przez prawo, gdy m i ę d z y państwami już tylko przez siłę, bo prawo narodów nie ma za sobą żadnej sankcji, żadnej rękojmi. „Zaiste cywilizacja dopóty jest gorzką ironią, [...] póki ów stan natury z przeznaczeniem człowieka niezgodny [...] istnieć jeszcze będzie między społeczeństwami świata"[54].

W latach czterdziestych taka diagnoza chorób Zachodu była dość pospolita (i na Zachodzie, i na Wschodzie) i mieściła się nieźle

---

[52] A. Cieszkowski, *De la pairie et de l'aristocratie moderne*, Paris 1844, cyt. wg: *700 lat myśli polskiej. Filozofia i myśl społeczna w latach 1831–1864*, Warszawa 1977, s. 327.

[53] Wypisy z brulionów Cieszkowskiego, ibidem, s. 338.

[54] A. Cieszkowski, *Ojcze nasz*, t. III, s. 63.

w strukturze myśli konserwatywnej. Tylko że u Cieszkowskiego diagnoza nie łączy się bynajmniej z przekonaniem, iż świat w ogólności się psuje. Przeciwnie. Jakkolwiek bądź jest, jest przecież lepiej, niż było. W średniowieczu było więcej odosobniającego ludzi „indywidualizmu", a mniej „asocjacji" niż we współczesnych krajach kapitalistycznych.

Ze stanowiska „ogólnoludzkiego", jakie zajął Cieszkowski, marzenie o ocaleniu lub odbudowie małych, zamkniętych i przeważnie opresyjnych wspólnot lokalnych czy korporacyjnych było – podobnie jak dla saint-simonistów – jawnie złudnym rozwiązaniem dylematu ludzkiej samotności. Droga szła tylko naprzód – ku zrzeszeniom coraz bardziej powszechnym, ku l u d z k o ś c i. A skoro tak, to nowoczesna cywilizacja, tak bogata w inwencję techniczną i w idealizm prawniczy, sama – z pomocą Boga – wytwarza środki przezwyciężenia własnych ograniczeń i defektów.

Królestwo Boże na ziemi nie będzie ludziom dane, lecz będzie zdobyte myślą ich i trudem, i ciągłym doskonaleniem życia społecznego. Nie przez walkę klas ani tym bardziej narodów, lecz przez stopnie coraz to większej zgodności ich celów wiedzie szlak postępu „organicznego", wolnego od „konwulsyj" i od „zaprzecznych uczuć zemsty i nienawiści"[55]. Abstrakcyjna dotąd zasada równości dopełniona zostanie zasadą hierarchii i o r g a n i z a c j i i w tym mariażu dopiero podbije świat, okiełzna indywidualizm. Nowa, otwarta arystokracja rozumu i zasługi – jakby „patrycjat ludowy" – zabezpieczy w demokracji skojarzenie postępu z zachowaniem wartości żywej tradycji – rzeki szerokiej i płodnej[56]. Rządowe „instytucje organizujące", dalekie od zakusów monopolistycznych, ograniczą jednak anarchię wolnej konkurencji, stosując planową, „opiekuńczą" redystrybucję środków budżetowych i tym sposobem harmonizując interesy prywatne z dobrem publicznym[57].

---

[55] Ibidem, t. I, Poznań 1922, s. 168.

[56] A. Cieszkowski, *De la pairie*, loc. cit., s. 328, 331–333.

[57] A. Cieszkowski, *Du crédit et de la circulation*, Paris 1839, cyt. wg tejże antologii, s. 334–336.

Jeśli ludzie mogli się zrzeszyć w narody, nie tracąc przez to swej indywidualności, to i narody mogą się zrzeszać pod jednym prawem, a potem pod jednym rządem: zrazu w „spójnię europejską", a w końcu w zjednoczoną ludzkość.

Na ten szlak prowadzący do coraz szerszej integracji, do coraz bardziej uniwersalnej syntezy już wstąpiła Europa, wkrótce wstąpią inne kontynenty. Pracuje już nad tym geniusz twórczy człowieka, objawiający się w naukach, sztukach i przemyśle – wszystko to są, w języku Cieszkowskiego, różnorodne „drogi ducha", ducha wyzwalającego się i kreującego nową rzeczywistość, zarazem materialną i duchową. „Umysłowcy" i „przemysłowcy" są jednako jej demiurgami. Każde odkrycie, każdy wynalazek ma jednocześnie znaczenie instrumentalne i symboliczne, i te dwa znaczenia nie dają się od siebie oddzielić: tak telegraf, techniczny środek komunikacji, jest zarazem symbolem zbliżenia narodów.

> Nieledwie w każdym zjawisku tegoczesnym leży ważne przeznaczenie socjalne. Znajdujemy to tam nawet, gdzie najmniej się tego spodziewać można. Odkrycie np. w tym roku trzech sposobów fabrykacji *sztucznego nawozu* jest nader ważnym zwiastunem. Zbliżamy się bowiem do radykalnej reformy świata, w której też natura odrodzenia dozna i w której grzech pierworodny nie tylko moralnie, ale i fizycznie ze skutkami swymi zgładzony będzie. Ziemia więc uwolniona będzie od ciążącego przekleństwa i odtąd nie same ciernie i głogi ma rodzić. Do tego potrzebuje znacznego użyźnienia, którego te nawozy będą środkiem. Tak znaczne więc zajęcie się tym przedmiotem jest dowodem przeczucia jego dalszych wyników. To samo powiedzieć trzeba o kolejach żelaznych i fabrykach cukru z buraków. Pierwsze ma skondensować i zjednoczyć życie ludzkości, przedłużając nadto życie indywiduów (przez oszczędzanie im darmo traconego czasu), drugie zaś osłodzi literalnie toż życie[58].

Walicki komentował już tę kapitalną zapiskę, zwracając uwagę, jak się w niej mieszają czy łączą różne poziomy rzeczywistości i języka[59]. To osobliwe, z pozoru trywialne połączenie mitu i agro-

[58] Wypisy z dziennika Cieszkowskiego (rok 1837), ibidem, s. 336–337.

[59] *Polska myśl filozoficzna i społeczna*, t. I, s. 419.

nomii, nawozów i Odkupienia nie jest oczywiście desakralizacją mitu, lecz sakralizacją agronomii. W Piśmie Świętym proste czynności pasterskie i rolnicze są wszak raz po raz nośnikami treści mitycznych, sens figuratywny nakłada się na sens dosłowny, gospodarski. Jeżeli taką podwójną funkcję może pełnić rytuał siewu i żniwa, drzewko oliwne i latorośl winna, to czemuż by nie użyźnianie ziemi i burak cukrowy? Czemu wreszcie nie kolej żelazna i kredyt? Gdy człowiek zmienia uprawy i obyczaje, Bóg uczy się nowego języka, to wszystko.

Czerpano z Ewangelii naukę o znikomości dóbr doczesnych, o zbędności nadmiernej troski o dzień jutrzejszy. W świecie, który z rosnącą gorliwością skarbił sobie skarby na ziemi, niedzielne kaznodziejstwo nijak się już nie miało do spraw dnia powszedniego. Wiara Cieszkowskiego znosiła to obłudne rozdwojenie, biorąc z Mateusza przypowieść o pomnażaniu talentów i uświęcając dzień powszedniej zarobkowej pracy. Błogosławieni przemysłowcy, wynalazcy i robotnicy, albowiem oni posiądą ziemię:

> Klasa bowiem przemysłowa będzie w przyszłości prawdziwą armią ludzkości, która pod chorągwią ducha wciąż nowe od natury wywalczać będzie zdobycze, a te zdobycze nigdy z klęskami połączone nie będą, nigdy łez nie wycisną, lecz zapewniając niezliczone korzyści obecnym, szczęście następnych pokoleń ustalą[60].

Nie ma tu, jak widać, obawy o społeczne koszty postępu, byle tylko nie wkroczył na drogę burzenia ładu społecznego, do czego namawiają socjalistyczni demagodzy. Przy rozwoju ewolucyjnym nie ma groźby kryzysu moralnego ani ekonomicznego, nie ma nawet p r o b l e m u kryzysu. Nie ma rozszczepienia wartości, gdyż wszystkie dobra położone są na jednej szali. Swoim zaufaniem do humanizmu cywilizacji technicznej mesjanista Cieszkowski przewyższył najbardziej ufnych i patetycznych futurologów Oświecenia. Tym bardziej oczywiste, że się go imać nie mogły romantyczne tęsknoty za „nowymi barbarzyńcami". Idea słowiańska nie przeciwi się idei Zachodu. Prawda: szczep słowiański (utożsamiony z polskim

[60] A. Cieszkowski, *Ojcze nasz*, t. III, s. 214.

narodem) cierpieniami swymi w czyśćcu niewoli zasłużył sobie na to u Boga, aby „ludzkości całej do raju swobody przewodniczył". Ale przez to nie jest narodem wybranym ani nad inne przedniejszym, co mu podszeptują „fałszywe proroki". Bóg wybrał sobie całą ludzkość, nie jeden ukochany naród[61].

Finalistyczny projekt przyszłości świata, zawarty w *Ojcze nasz*, był radykalną próbą uśmierzenia dramatycznego niepokoju, przenikającego epokę machin parowych i romantyzmu: niepokoju o to, iż nowoczesna cywilizacja rozwija się w kierunku sprzecznym z tą moralnością, która stanowić miała jej aksjologiczny fundament. Cieszkowski – w ślad za Saint-Simonem – unieważnił ten konflikt, uznawszy funkcjonalną, jeśli nie rodzajową jedność potrzeb duszy i ciała, wartości moralnych i materialnych, i pospołu uświęcając je w swej przepowiedni epoki Ducha Świętego, w której historia świecka zejdzie się na powrót z historią świętą. Ekonomia nie kłóci się z Ewangelią, gdy rozrządza pracami w winnicy Pańskiej i wskazuje drogę spełnienia obietnicy Chrystusa.

Millenaryzm Cieszkowskiego kłócił się natomiast jawnie z kościelną ortodoksją, co było zapewne głównym powodem tego, że większa część dzieła, które sam uważał za epokowe, pozostała do jego śmierci w rękopisie. Niemniej, w przeciwieństwie do Saint-Simona, który kanoniczną treść chrześcijaństwa traktował nad wyraz instrumentalnie, Cieszkowski był myślicielem szczerze i głęboko religijnym. Słowa Modlitwy Pańskiej czytał jak palimpsest, który jemu właśnie – w akcie młodzieńczej iluminacji – odsłonił swój ukryty sens. Ale było to dla niego prawdziwe źródło objawienia, tekst Boży, a nie przyodziewek socjalnej doktryny.

„Ustał czas Łaski, nastał czas Zasługi". Duch Święty czeka, aż ludzie przygotują ziemię pod jego panowanie. Przyszła Religia Ducha będzie syntezą całej kultury człowieczeństwa:

> Tu więc obrządki wszystkich dotychczasowych religij znajdują swe estetyczne spełnienie – tu wszystkie sztuki piękne staną się spełna, jak dotąd były przybliżonym sposobem, Służebnicami Religii [...]

[61] Ibidem, t. I, s. 149; t. III, s. 62–63.

> Tu więc wszystkie mity i dogmata dotychczasowych religij znajdą swe u m i e j ę t n e spełnienie – tu wszystkie umiejętności staną się pojedynczymi rozdziałami wielkiej Nauki Religii [...] Tu więc wszystkie obowiązki i praktyki dotychczasowych religij znajdują swoje s o c j a l n e spełnienie – tu wszystkie powołania życia publicznego, wszystkie *usługi społeczne*, staną się *służbą Bożą*[62].

Cieszkowski nie powiódł chrześcijaństwa do owej synkretycznej świątyni, za to w romantyzmie polskim otworzył pewną utajoną przedtem perspektywę. Spirytualistom głoszącym, że „nic dla cielesnego celu nie istnieje", ukazywał możliwość uświęcenia cielesności i doczesności ziemskiej. Nie ma rzeczy znikomych. Duch Święty patronuje poznańskim pracom organicznym.

Bez natchnień Bożych łamał się z podobnym w istocie dylematem Henryk Kamieński, gdy tworzył swoją filozofię ekonomii. Był i on jednym z tych Europejczyków, którzy oparli się dojmującemu poczuciu z b ł ą d z e n i a, zgubienia moralnej busoli przez świat skorumpowany i pogrążony w chaosie sprzecznych namiętności.

Myśliciele, ogarniający swą refleksją rozległy obszar zjawisk społecznych, prawie nigdy nie godzą się z doświadczeniem bezładu i nieprzewidywalności biegu spraw ludzkich. Nie dziw tedy, że epoka młodego kapitalizmu, w której tak szybko i naocznie rozpadały się stare związki stanowe i kruszały zrytualizowane reguły życia, zaowocowała w myśli europejskiej tyloma pomysłowymi systematami filozofii dziejów, które racjonalizowały przemożną potrzebę odnalezienia globalnego kierunku i sensu. O katastrofistach, którzy konstruowali historię p r z e c i w k o s o b i e, będziemy mówić dalej. Na razie chodzi o systematy pozytywne, to jest takie, w których bieg ludzkiej cywilizacji okazuje się nieprzerwanym, wieloszczeblowym ciągiem realizacji wybranego ideału. Każdy taki systemat jest więc *au fond* wykładnikiem myślenia życzeniowego, z tym że zabieg racjonalizacji maskuje emocjonalne *fiat*, przerabiając

[62] Ibidem, t. II, Poznań 1922, s. 456, 469. Por. A. Roszkowski, *Poglądy społeczne i ekonomiczne Augusta Cieszkowskiego*, Poznań 1923, s. 144–145.

marzenie w przepowiednię. Zabieg racjonalizacji polega tu na przeświadczeniu, że z jakiejś naczelnej aksjomatycznej zasady można wyprowadzić całą linię dziejów ludzkości, a więc p o z n a ć p r z y s z ł o ś ć.

Był Kamieński nie mniej od Cieszkowskiego przekonany, że przyszłość jest poznawalna, choć nie powoływał się na biblijne proroctwo. Powoływał się na parę aksjomatów filozofii społecznej, tak prostych, tak ogólnych, tak, zdawało się, intuicyjnie oczywistych, jak w geometrii. Sprężyną działań ludzi jest interes własny. Interesem jest wyswobodzenie się z niewoli materii, to znaczy z warunków, w których wszystkie siły fizyczne i duchowe muszą być zużywane na zaspokojenie potrzeb bytowych. Nędza i wszelki prymitywizm egzystencji to właśnie stan owej niewoli, która jest nie do pogodzenia z duchową naturą człowieka. Walka z materią, aby się spod jej przygniatającego władztwa wydobyć, jest więc wyswobadzaniem się ludzkiego ducha i jego twórczości. Starania o dostatek, o zwiększenie produktywności pracy są tedy nie tylko warunkiem postępu; same są już postępem – powszechnym i koniecznym, bo w nim realizuje się to, co w człowieku ludzkie. Dzikość to nie jest stan natury człowieka: „ten jest przed nami, nie zaś poza nami"[63].

Jak widać, Kamieński tkwi wciąż w kręgu oświeceniowego sporu o wzajemny stosunek „natury" i „cywilizacji" i w sporze tym zajmuje stanowisko przeciwstawne tradycji Rousseau. Dwa te pojęcia, dwa te stany ludzkości okazują się niesprzeczne, są właściwie jednym i tym samym. Wzrost ludzkich potrzeb i umiejętności, rozwój instytucji społecznych jest nie zagładą „naturalności", lecz jej spełnieniem, bowiem najbardziej naturalną cechą ludzkiego gatunku jest jego zdolność do świadomego stwarzania – przez czyny – „świata ludzkości", to jest społeczeństwa, które „ulega prawu bezwzględnemu koniecznego postępu, a stąd kształty swoje ciągle zamienia na coraz doskonalsze i foremniejsze". Probierzem, skalą owej twórczej działalności jest coraz większa pomiędzy ludźmi

[63] H. Kamieński, *Filozofia ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa z dodaniem mniejszych pism filozoficznych*, opr. B. Baczko, Warszawa 1959, s. 54.

jedność, bliższe ich na ziemi obcowanie, przełamywanie odosobnień i nieustanny postępowy ruch, zmienność form życia. Zaiste: „Któż wątpić będzie o wyższej duchowej dostojności Amerykanina Stanów Zjednoczonych nad Grenlandczykiem lub Laponem?"[64].

W nowym przebraniu, w innym języku powracała oto wielka obietnica filozofów, którzy z człowieka – zafascynowani jego wynalazczym geniuszem – uczynili absolut sam dla siebie i suwerennego władcę swych przeznaczeń. Alienacje pierzchały niczym upiory o świtaniu. Znikła romantyczna niezgoda na zimny świat, na brutalność historii, na trywialność targu. Rozwiewały się tęsknoty do form przeżytych i drżące oczekiwanie – w nadziei lub przerażeniu – przyszłych wyroków Boga, Historii czy Proletariatu.

Znikł chaos. „Tak jest, znikł chaos, kiedy światłem się stała idea stworzenia". Jest znowu jasny dzień, człowiek-ludzkość kroczy wytkniętą drogą ku Syntezie. Iżby zaś nie zbłądził i nie zgubił celu, drogowskazem będą mu nauki społeczne, to jest ekonomia moralna, materialna i polityczna[65]. Do ekonomii moralnej należy pojmowanie, jak się wyrabiają idee i nauki, czyli „czyny *wyprzedzające* powszechną rzeczywistość postępu". Ekonomia materialna zawiera pojmowanie twórczości ludzkiego ducha w walce z materią. Ekonomia polityczna jest teorią „układów społecznych" (czyli socjologią)[66]. Razem wyjawią cel historii, opiszą go.

„*Konieczność postępu ludzkości!*". Ten cel jest tak ściśle z naturą człowieka złączony, że przeczuwało go serce i imaginacja, zanim jeszcze rozum go objawił. „To była idea, która rozogniała umysły, a która *ma się stać światłem*, które wszystko rozświeci"[67]. Wszystko literalnie. Racjonalistyczny entuzjazm Kamieńskiego nie pozostawiał żadnej mrocznej tajemnicy, żadnej ambiwalencji ani wahania. Wielka synteza nauk wyświetla wielką syntezę dziejów: przyszłość

[64] Ibidem, s. 36, 38.
[65] Ibidem, s. 38–39, 50, 117.
[66] Ibidem, s. 39–41.
[67] Ibidem, s. 50.

staje się c z y t e l n a, staje się przezroczysta, i już ludzkość nie będzie stawiała błędnych kroków. Bo wie.

I tu powracamy do sporu o ekonomię, czyli o moralne oblicze cywilizacji przemysłowej. Stanowisko ekonomii „materialnej" (która w nazewnictwie Kamieńskiego jest zakresowo tożsama z potocznym rozumieniem ekonomii politycznej albo nauki gospodarstwa społecznego) zostało obniżone zarówno przez jej wykładaczy, jak przez jej wrogów: a to dlatego, że ekonomia „nie była pojmowaną w związku z wielkimi celami ludzkości, że nie była wyłuszczaną podług praw niepochybnych powszechnej syntezy nauk". Teraz, gdy już jej przedmiot i ona sama umieszczone zostały w tej teleologicznej perspektywie, czyż może być jeszcze powód do atakowania jej za wulgarność? Monotonny zazwyczaj dyskurs Kamieńskiego łamie się we wiecowe niemal frazy, gdy autor z furią replikuje konserwatywnym i romantycznym moralistom:

> Precz z pogardliwymi okrzykami wymierzanymi przeciwko ekonomii materialnej! Precz z czysto materialnym nad nią zapatrywaniem się, które tym okrzykom dało pochop. Jakoby się ograniczała zwierzęcym życiem człowieka! Jakoby zajmowała się wegetacją społeczeństwa! Jakoby uświęcać miała materię, wyrzekając, iż tym się maluje postęp cywilizacji, że człowiek więcej produkuje i więcej spożywa! Jakoby to była nikczemna i pozioma nauka, przyrównująca postęp cywilizacji w człowieku do zwierzęcej używalności bydlęcia! [...] Panowanie człowieka nad ziemią jest panowaniem ducha nad materią [...] A ci znieważają naszą naukę, według ich mniemania grubym materializmem tchnącą, ci, którzy w uświęceniu *rozwoju materialnego społeczeństwa* widzieć sądzą hołd i podległość materii [...] Zapytałbym ich: czyli to duch ludzki hołduje materii albo materia duchowi, kiedy człowiek nie potrzebuje ciężko i wyłącznie zajmować się zaopatrzeniem potrzeb swoich fizycznych? Kiedy kula ziemska stosownie do jego potrzeb codziennie się wykształca? Kiedy żegluga i siła pary z szybkością błyskawicy przenoszą go w odległe strony? Kiedy dla obiegu myśli znika czasu i miejsca zapora dzięki posłusznej materii, która utrwala ją i przenosi pod postacią posągu, obrazu, książki?[68].

W innym miejscu pisał z jeszcze wyraźniejszym adresem:

[68] Ibidem, s. 53–55.

W narodach dopiero wtenczas myśl ludzka w naukach rozkwita, kiedy rolnictwo i rękodzieła zapewniają im dostatek. W pojedyńczych klasach i ludziach, kiedy są w nędzy i biedzie, to jest w podległości materii, myśl się nie kształci, nie uszlachetnia; nie pytaj tam o nauki i wyższe pojęcia. W miarę jak się kruszyć zaczyna gnębiąca ich skorupa nędzy, tym jaśniej na wszystko przezierać zaczynają i natenczas się odbywa usamowolnienie ich ducha. [...] Stajemy tym sposobem niejako w obronie materialnej dążności dzisiejszego wieku, przeciwko której częstokroć powstaje, że tak powiem, *romansowy* sposób widzenia ludzi, którzy się być mienią niepojętymi przez wiek obecny ze skarbami uczuć i myśli, jakie w sobie zawierają. Biedni ci niepojęci! Bo oni właśnie nie pojmują dzisiejszego czasu. W tym, co czysto materialnym być mienią, nie umieją dopatrzyć silnego rozwijania się ducha ludzkiego, jednej z najwznioślejszych widowni, jakie nam świat myśli przedstawić może[69].

W *Filozofii ekonomii materialnej* „wiedzowy" postęp ducha ludzkiego wynika z natury człowieka, nie Boga. Pewność wyrocznia zasadza się na znajomości praw rozwoju, nie na rozszyfrowaniu Pisma, a świetlana przyszłość obywa się bez eschatologicznego programu. Cóż z tego? Widok tej przyszłości nie o wiele się różni od widoku z *Ojcze nasz*. U Kamieńskiego odnajdujemy to samo oczekiwanie przyszłego zjednoczenia ludzkości w pokoju i dobrym bycie. A przeczył, iżby to było tylko marzenie wyczarowane przez obłęd wyobraźni albo utopia – nie, to „wątek niepochybny wysnuwającej się prawdy samej z siebie i przed teraźniejszość wyciągniętej". Tam w przodzie jest taki punkt dotykalny, prawda konieczna, prawda boska,

której nazwisko: *braterstwo pomiędzy ludźmi*. Stało się zasadą chrześcijaństwa, największej myśli, jaka się objawiła i dotąd się nie wyczerpnęła jako rzecz skończona, lecz zawsze przed nami świeci jako rzecz konieczna, która stawać i wydoskonalać się musi. Prawda jest rzecz najwyższa, a przeto boska; najwyższe prawdy ludzkości mogą być nazywane i być w istocie boskimi, a niemniej przeto ulegać powszechnemu prawu konieczności[70].

---

[69] Ibidem, s. 346–347.
[70] Ibidem, s. 87–88.

To nieśmiałe wyznanie deisty potrzebne było, aby wesprzeć przesłanie dzieła: Cel uświęca ekonomię. Co wszakże nie znaczyło, iż uświęca każdą przechodnią formę gospodarowania, każdy układ społeczny. Epoka braterstwa będzie tym najwyższym momentem dziejów powszechnych, kiedy już ludzkość uszlachetni się na tyle, że pracować będzie z p o w o ł a n i a, a dzielić owoce pracy według potrzeb. Do tego progu, do czasu tej rewolucji czysto moralnej i n t e r e s osobisty pozostaje głównym motywem pracy i sprawcą postępu, a dobro społeczne wynika z wzajemności usług. Tymczasem więc „jedność pomiędzy ludźmi jest podobna d o w s p ó ł k i k u p i e c k i e j, a z powyższego pierwiastku nie wydobędzie wznioślejszej, a obcej mu idei braterstwa".

Była to – jak wiemy – ulubiona metafora konserwatystów. Ileż to razy ciskano w liberałów zarzutem, iż chcą społeczeństwo upodobnić do spółki handlowej! Ale w kontekście, w jakim metafory tej użył Kamieński, służy ona tylko zaznaczeniu, że t o społeczeństwo nie jest j e s z c z e wspólnotą najwyższego rzędu; dopiero działanie bezinteresowne, działanie z pobudki powołania „prostą współkę na rachubie opartą [...] podnosi do potęgi ś w i ę t o ś c i"[71].

Na razie, interes kieruje poczynaniami ludzi. Kierował zawsze. I nic w tym złego. Interes jest bowiem taką siłą, która chcąc dobra dla siebie, wyświadcza stale dobro społeczne, gdyż niczego nie może otrzymać bez wzajemności. Chodzi o to tylko, aby ta wzajemność była stopniowo coraz bardziej ekwiwalentna. Na razie taką nie jest. W dotychczasowej historii każdy układ społeczny umożliwia monopolizowanie własności przez jedną klasę, stwarza formy przemocy fizycznej albo przymusu ekonomicznego, które strzegą tych wyłącznictw: dlatego wzajemność usług nie jest równoważna, praca nie odbiera należnego jej wynagrodzenia, rozdział bogactw nie jest sprawiedliwy.

Tak jest i w kapitalizmie – Kamieński nie używa jeszcze tej nazwy, ale bada system. Jego studium o pauperyzmie (1843) ciąg-

[71] Ibidem, s. 315, 318.

nie znany nam już wątek Sismondiego i Skarbka. Rozwój kapitalizmu ma dwa oblicza: jasne i ciemne.

> Zdają się tu stawać wobec siebie dwie myśli sprzeczne i pogodzić (na pozór) się nie mogące w tej ważnej kwestii postępu i rozprzestrzenienia machin: z jednej strony interes obrażonej ludzkości przez pogrążenie w nędzy pracowników – z drugiej interes powszechny przemysłu i panowania człowieka nad ziemią przez coraz doskonalsze owładnięcie materii. Czemuż niestety ich postęp nie idzie na korzyść całego rodu ludzkiego, lecz każdy krok swój naznacza okropnym uciskiem i pogrążeniem w nędzy ostatnich klas społeczeństwa w tych zagranicznych krajach, z wierzchu połyskujących industrialnym blaskiem – zdających się przedstawiać samo piękne i dobre – i tym zwodniczym płaszczykiem wstydliwe rany pokrywających?[72].

Odrzucił jednak Kamieński paliatywną receptę Sismondiego. Postępu narzędzi pracy wstrzymywać się nie godzi, jest on bowiem zawsze bezwzględnym dobrodziejstwem dla człowieka: uwalnia go od bydlęcego znoju i zwielokrotnia jego produktywność. Bezrobocie i pauperyzm są spowodowane nie przez rozwój przemysłu, nie przez technikę, lecz przez wadliwy układ społeczny, mianowicie przez monopol kapitału tamującego potrzebującym prawo do pracy. Trzeba ograniczyć tę wyłączność: gdy każdy będzie miał wybór, czy chce pracować na swoim, czy na usłudze cudzego kapitału, wtedy łatwiej będzie zagwarantować powszechne prawo do pracy i poprawić rozdział bogactw, zwłaszcza gdy ich masa się powiększy wskutek postępu przemysłu i wynalazków.

Kamieński nie wyjaśnił w szczegółach, jak to uczynić: był przecież nie ekonomistą, lecz filozofem ekonomii. Niemniej kierunek jego myśli jest prawie zbieżny z pomysłami Skarbka, a także Sismondiego, którego nie dość uważnie przeczytał. Była to humanitarna krytyka gospodarki kapitalistycznej ze stanowiska liberalizmu nieortodoksyjnego, zdemokratyzowanego. Pierwiastkowym złem systemu było to, że wytwarza on ekonomiczną oligarchię; złem wolnej konkurencji na rynku pracy było to, że wskutek koncentracji własności jest właśnie n i e d o ś ć w o l n a. Kamieński chciał upowszechnić, zdemokratyzować kapitał, ale zachować postęp

[72] Ibidem, s. 364–365.

mechanizacji: w przeciwieństwie do fachowych ekonomistów nie zdawał sobie sprawy, iż to właśnie postęp techniczny wymusza koncentrację kapitału. Toteż konflikt, który dostrzegał tak ostro i dramatycznie, wydał mu się całkiem łatwy do rozwiązania. Po prostu wynaleziona zostanie zasada sprawiedliwszego podziału owoców pracy, bardziej zbliżonego do ideału równoważnej wzajemności świadczeń. U Sismondiego sprawiedliwszy podział miało organizować lub wspierać państwo; w traktacie Kamieńskiego państwo nie występuje – jest „wola powszechna", która zawsze wynajduje zasadę sprawiedliwszą i bardziej egalitarną, gdy dawna okazuje się przeżytkiem krępującym dalszy postęp. Treścią prawa koniecznego postępu jest przecież *„niepochybny postęp rozwoju idei sprawiedliwości*, w ciągu którego widzimy różne s t o p n i e, ale nigdy przeczenia"[73]. Więc jeżeli nawet w jakimś momencie historycznym, na skutek istnienia wyłącznictw i przymusu, interesy prywatne mogą okazywać się przeciwspołecznymi, to jest to tylko chwilowe zakłócenie: wkrótce harmonia zostanie przywrócona, egoizm znów będzie sprawcą dobra.

I tylko tak długo, dopóki ludzkość nie rozpozna swego celu i drogi, przesilenia odbywać się mogą w drodze walki sprzecznych żywiołów. Z chwilą, gdy ogól zaczyna pojmować prawo postępu, gdy przyszła synteza cywilizacji staje się w i a d o m a, z tą chwilą walka ustaje, traci wszelki sens, a dalsze zmiany systemu własności i „rozdawnictwa" odbywają się w powszechnej pomiędzy ludźmi jedności. Tak teoria wraz z oświatą zapobiegają rewolucjom.

Zarówno konserwatyści, jak socjaliści oskarżali cywilizację kapitału i parlamentu o rozkiełznanie indywidualizmu, prowadzące jakoby do zaniku więzi wspólnotowych, bez których istnieć nie może etyka społeczna. Liberalna filozofia musiała znaleźć, a potem wciąż poprawiać odpowiedź na ten podstawowy zarzut. Dla Kamieńskiego przekonanie, iż interesy jednostkowe są właśnie – poprzez regułę wzajemności – głównym czynnikiem uspołecznienia, było aksjomatem teorii, aksjomatem, który go odgradzał od

[73] Ibidem, s. 100.

socjalizmu. Nadejdzie taki czas – wierzył – kiedy korzyść własna jako motor czynów ludzkich sama ustąpi miejsca wyższym pobudkom braterskiej miłości, ale tego żadnym zewnętrznym działaniem nie można wymusić:

> więc wszelkie targnięcie się przeciwko istnieniu dobrze zrozumianego interesu, środkami niezdolnymi go zastąpić w jego społeczeńskiej działalności, jest rzeczą nie mogącą mieć żadnej przyszłości, a gdyby mieć ją mogło, *byłoby burzeniem ludzkiego społeczeństwa, nie zaś jego postępem*[74].

Traktaty Cieszkowskiego i Kamieńskiego były to dwie polskie mowy obrończe w nieustającym procesie przeciw przemysłowej cywilizacji i przeciw ekonomii. Obie dalekie jednak były od apologii r e a l n e g o kapitalizmu zachodniego, traktowanego li tylko jako przechodnia faza ewolucji społecznej. Zgodnie z historiozoficznym gustem epoki obrona cywilizacji wymagała wzniesienia się ponad doraźność i ponad wszelki partykularyzm: beneficjantem Wielkiej Obietnicy miała być ludzkość *in toto*, choć w wyobraźni zredukowana do kręgu kultury europejskiej.

Nie było ważne, k t ó r e pokolenie ujrzy ziemię obiecaną. Ważne było zaufanie do biegu dziejów powszechnych, do ich kierunku i ich finalnego sensu odsłanianego przez filozoficzne *a priori*. Ważna była wiara, że ta cywilizacja, która jest dziełem ludzkiej chciwości, wynalazczości i pracy, ma w sobie, by tak rzec, instynkt moralny, który ją z każdego zboczenia naprowadza znów na tor właściwy.

Te dwa głosy mało komu ze współczesnych były znane i nawet w polskiej kulturze umysłowej połowy dziewiętnastego wieku znikome miały audytorium. Ale nam tu nie chodzi o ich popularność. *Ojcze nasz*, choć w znacznej części pozostające w rękopisie, i *Filozofia ekonomii materialnej* przedstawiły m a k s y m a l n ą strategię obrony pracy cywilizacyjnej – przez uświęcenie jej aksjologii i celu w planie najszerszym, rozpiętym na rusztowaniu uniwersalistycznej filozofii dziejów.

---

[74] Ibidem, s. 325.

W obieg potoczny dostawały się zaledwie okruchy tej patetycznej obrony, okruchy wiary czasem niemiłosiernie zwulgaryzowanej, sprowadzonej do usprawiedliwiania klasowych interesów albo uwznioślania lokalnych inicjatyw społecznikowskich. W czasopismach poznańskich czy warszawskich puszczane były w obieg podobne idee i frazesy czerpane z polskiego serca i francuskich książek, a wciąż świadczące o jednym: że przeciwko tej wielkiej koalicji oskarżycielskiej, złożonej z tradycjonalistów, reakcjonistów, romantyków, rewolucyjnych demokratów, socjalistów, słowianofilów, kaznodziejów i komediopisarzy, teoria i praktyka gospodarstwa nie mogła bronić się samymi tylko argumentami pragmatycznymi – że z buraków robi się cukier, a z pieniądza pieniądz. To nie wystarczało. Przemysł i ekonomia były niejako zobligowane do tego, aby opinii publicznej co rok przedkładać świadectwa moralności.

Świadectwa te niewielką miały siłę przekonywającą, skoro bieg wydarzeń współczesnych bynajmniej nie umacniał wiary w postępowy i bezkonfliktowy rozwój cywilizacji. Królestwo Polskie lat czterdziestych weszło w okres długotrwałego zastoju gospodarczego i intelektualnego: Paskiewiczowska polityka izolacji okazywała się aż nazbyt skuteczna. Kapitały prywatne nie były zdolne do tego, aby uniezależnić się od rządowych kredytów, protekcji i zamówień: na styku interesów prywatnych i państwowych powstawało obszerne pole do ciemnych malwersacji. Głośne afery Jakubowskiego i Łubieńskich nie budziły zaufania do kupieckiej moralności. Imponowała i przemawiała do wyobraźni błyskotliwa kariera finansowa Piotra Steinkellera – wzorcowego pioniera kapitalistycznej przedsiębiorczości, ale w końcu lat czterdziestych i ona pochyliła się ku upadkowi, świadcząc, że burżuazji w polskich warunkach, nawet przy talencie i rozmachu, brakuje siły przebicia. Ostrożniej, lecz rzetelniej poczynano sobie w Poznańskiem, gdzie właśnie wyrastały pierwsze kiełki pracy organicznej i jej ideologii: za młode jeszcze, za wątłe, aby zbudzić uśpioną zaradność zbiorową.

Wzniosłe wizje proroków industrii dziwnie jakoś nie pasowały do tego sparciałego życia, w którym duch wcale się nie śpieszył do

zapanowania nad materią. Do innych próbowano go popchnąć czynów. Powstanie 1846 roku, w razie chwilowego choćby powodzenia, mogło polskim dekretem uwłaszczyć wieś, wyrwać kraj z zastoju, narzucić mu ideę demokracji. Stało się inaczej. Szlachecka opinia partię przewrotu na równi prawie z rządem austriackim obciążyła odpowiedzialnością za galicyjską rzeź. Stronnictwo zachowawcze odzyskiwało nadwątlony autorytet, wykorzystując psychiczny szok po rabacji.

Wiosna Ludów miała w sferze idei konsekwencje bardziej złożone i bardziej globalne. Europa, od trzydziestu lat ciesząca się pokojem i jaką taką stabilizacją, przeżyła lata 1848–1849 jako wstrząs potężny i jeszcze bardziej – jako z a p o w i e d ź wstrząsów, które dopiero nastąpią. Liberałowie i zachowawcy, pospołu przerażeni powstaniem robotniczym w Paryżu i po raz pierwszy objawioną zdolnością agitacyjną socjalizmu, przestali być pewni, czy drogie ich sercom wartości i instytucje stanowią dostateczną tamę dla napierającej fali społecznej i moralnej „anarchii". Europejska lewica, przytłoczona ostatecznym triumfem reakcji od Paryża po Peszt, leczyła się z liberalnych złudzeń i szukała nowych, bardziej radykalnych eschatologii. „Kiedy się dopiero wyczuwa nadejście groźnych wydarzeń, które mają wstrząsnąć podstawami starego ładu, ludzka skłonność do traktowania własnej epoki jako epoki wyjątkowej – a może także potrzeba mitów o efektownej konstrukcji – wytwarza podatne warunki do ujmowania dziejów jako dramatu, który zmierza do epilogu. Takim epilogiem może być koniec świata – *dies irae*, ale epilogiem może być również wejście w ostateczną epokę szczęścia i sprawiedliwości"[75].

Także polskim i rosyjskim emigrantom Wiosna Ludów objawiła nową dramaturgię europejskiej historii. Tu jednak na plan pierwszy wybijało się głębokie rozczarowanie do Zachodu, który sprawy wolności na Wschodzie wesprzeć nie chciał albo nie potrafił, a i u siebie ją przegrał wskutek duchowego skarlenia. Wiara

[75] S. Ossowski, *Z zagadnień psychologii społecznej*, w: *Dzieła*, t. III, Warszawa 1967, s. 166.

w Zachód, w liberalizm i braterstwo ludów zdawała się strzaskana. Na drugi, słowianofilski brzeg przeprawiał się *zapadnik* Hercen. Redakcję konserwatywnego „Czasu" obejmował eks-demokrata Siemieński. Z ideą europejską zrywał Trentowski. Były to różne szlaki: zwątpienie w immanentne wartości europejskiego postępu pchało jednych ku kultowi tradycji, innych ku rewolucji, w rojenia o słowiańskiej gminie albo do ultramontanów, ale zawsze tam, gdzie była jeszcze żywa wiara i wspólnota ludzi, i jak najdalej od wydrążonego bożka „materializmu". Jakiekolwiek pretensje miał liberalizm mieszczański – polityczny i ekonomiczny – do tego, że on właśnie najpełniej wciela ideał wolności i sprawiedliwości, zostały mu one zaprzeczone bezwzględnie ze stron obydwu. W oczach reakcji liberalizm zrodził anarchię i rewolucję socjalną. W oczach demokratów sprzymierzył się z reakcją, zdradziwszy sprawę ludu i jego wolności. Europa zdawała się rozpadać na dwa wrogie obozy, na międzynarodową partię porządku i międzynarodową partię przewrotu, na dwie nieprzejednane i pogodzić się nie dające r a c j e, które wkrótce będą musiały – jak w *Nie-Boskiej komedii* – stoczyć ze sobą bój ostatni na śmierć i życie. Rzecznicy obu stronnictw powoływali się na Chrystusa i z jednaką pasją wyklinali indywidualistyczny egoizm, episjerską moralność, giełdę, Rotszyldów i parlamenty.

W kraju pod żadnym zaborem nie było już miejsca dla demokratów. Na przeciąg dekady jedynie zachowawcy mogli odzywać się pełnym głosem. Ich to był czas. Czyż nie spełniało się to, przed czym od dawna przestrzegali? Bezbożna materialistyczna Europa, zdeprawowana przez filozofów i ekonomistów, odrzuciwszy duchowe przywództwo Kościoła i naturalną hierarchię społeczną, zmierzała ku przepaści. W konserwatyzmie polskim po Wiośnie Ludów po raz pierwszy dał się słyszeć ów ton, który tak często powraca w intelektualnej kulturze Europy, w jej filozofii i sztuce: ton katastrofizmu. Ton kontrrewolucjonistów francuskich sprzed pół wieku, ton de Maistre'a, którego Henryk Rzewuski przepisywać będzie całymi stronicami. Już nie o los Polski teraz chodziło, lecz o upadek Zachodu, o przeczucie jakiegoś wielkiego przesilenia, końca starego świata. Przedtem z Polaków jeden bodaj Krasiński sondował tę

rozwierającą się otchłań, ale teraz, po czterdziestym ósmym, straszył nią byle powiatowy moralista.

Tekstów mamy pod dostatkiem: jest w czym wybierać. Rzewuski, z właściwą mu odwagą głoszenia poglądów niepopularnych, od dłuższego już czasu odbywał umysłową wędrówkę do kresu pesymistycznej historiozofii. Punktem wyjścia była dlań obiegowa w romantyzmie teza o samorodności i nieporównywalności kultur narodowych, umocniona wiarą w to, iż każdy naród realizuje swą szczególną, od Boga mu przeznaczoną ideę. Rzewuski rozszerzał tę tezę, obejmując nią wszystkie zjawiska cywilizacyjne.

> Cywilizacja – oznajmiał – nie jest jedną i każde wielkie pokolenie ludzkości miało swoją cywilizację odrębną. Cywilizacja [...] jest to rozwinięcie się w czasie pewnej idei, rzuconej w łono jakiegoś narodu. Rozmaite są idei [*s*], a więc rozmaite są cywilizacje – w tem tylko jest tożsamość, że jednym prawom organicznym ulegają, to jest, że naród w swoim stanie zbiorowym wyrób tej idei w kolei czasów okazuje we wzroście, w zenicie, w upadku, a na koniec w śmierci[76].

Wiadomość, iż cywilizacje są śmiertelne, a dzieje rodu ludzkiego są kołowrotem rozwoju i upadku, nie była odkryciem nowym. Znana już w starożytności, przypomniała się w czasach Oświecenia, kiedy teoria historycznego cyklu współzawodniczyła z teorią postępu liniowego. Filozofów i historyków fascynowały ruiny cywilizacji rzymskiej: szukali w nich nauki o przyszłych losach Europy. Szukał i Rzewuski, na swój szczególny sposób. Rzecz znamienna: ten wielbiciel odmienności narodów Europę Zachodnią potraktował jak jeden naród. W zasadzie jako naród francusko-niemiecki, bo dla Anglii, szanującej swą arystokratyczną tradycję, gotów był uczynić wyjątek, a reszta nie była ważna. Teraz formę organicznego cyklu – od narodzin do śmierci – trzeba było wypełnić treścią teokratyczną i periodyzacja była gotowa. Sąd także.

A więc słońce europejskiej cywilizacji u zenitu swego stanęło w wiekach średnich, kiedy zwyciężał dodatni i organiczny duch chrystianizmu, nauka podporządkowana była dogmatom wiary, a mądrość była nie w książkach, lecz w p o d a n i a c h, w żywej

---

[76] H. Rzewuski, *Wędrówki umysłowe*, w: *Pisma*, t. I, Petersburg 1851, s. 42–43.

tradycji ustnej. Wszystkie wielkie idee ludzkości wtedy się wylęgły, wszystkie wielkie instytucje, wszystkie nawet potrzebne wynalazki – jako to proch, sztuka nawigacji i dawno zapomniane tajemnice rzemieślnicze. Do dziś, „co tylko jest trwałego między ludźmi, jest puścizną po wiekach średnich"[77]. Potem, od szesnastego wieku, od Lutra, od Reformacji, od humanizmu rozpoczęła się epoka ujemna i krytyczna, epoka z a c h o d u, upadku, obumierania. Bo zadufany w sobie rozum ludzki chciał się wyswobodzić spod władztwa wiary i autorytetu, a na nic innego zdobyć się nie mógł jak na przeczenie. Przeczenie filozoficzne, czyli racjonalizm, pod którego wpływem wszystko zdrobniało, skarlało. Przeczenie społeczne, czyli rewolucja. Przeczenie materialistyczne, czyli industrializm i kramarstwo. Wszystko to są konary tego samego zatrutego drzewa pychy.

Industrializm to „drganie społeczeństw u schyłku będących". Cóż stąd, że wieki średnie nie znały dzisiejszych machin, a szczególnie parochodów?

> Co do machin, wiem, że już i u nas po wielu gospodarstwach zaprowadzono młocarnie, machiny do koszenia, do żęcia, do siana itd., zgoła wkrótce rolnictwo bez ludzi się obejdzie. Winszuję, wszakże więcej wierzę w plon obfity, kiedy widzę bliźniego, po świętym znaku naszego zbawienia na sobie wyrażonym, rzucającego ziarno w ziemię – niż kiedy wypada z siejarni, która za pomocą kółek i sprężyn ma zastąpić prawidła rolnictwa, dane naszemu pierwszemu rodzicowi przez samego Boga. Pozwólmy, że takowe innowacje kogo wzbogaciły, ale to pewna, że masa ludzkości na tem straciła – zbywa jej na chlebie. Nasz Zbawiciel powiedział: nie tylko chlebem, ale i słowem człowiek żyje. Teraźniejsi prorocy, apostołowie i wyznawcy industrializmu mówią ogłupiałemu społeczeństwu: nie macie chleba, ale dla utrzymania waszego życia damy wam na pokarm nasze teorie filozoficzne, polityczne, ekonomiczne[78].

Cóż ekonomia?

> Słyszymy ciągle unoszących się rodaków nad ekonomią rolniczą narodów zagranicznych i usiłujących ją naśladować. A jednak łatwo dowieść, że nasza starodawna ekonomia, której się trzyma większa część

[77] Ibidem, t. I, s. 60; t. II, s. 41.
[78] Ibidem, t. I, s. 59.

naszego obywatelstwa, żadnej zagranicznej nie ustępuje, a jest najsposobniejszą z potrzeb materialnych, a zwłaszcza moralnych, naszego plemienia. Za granicą nie pojmują, żeby gospodarz posiadający ziemię mógł się obejść bez kapitału zakładowego ożywiającego jego rolnictwo, u nas poczciwy szlachcic bez kapitału ruchomego, często nawet obarczony jakimś długiem, przecie rąk nie opuszcza. Pełen miłosierdzia dla swoich włościan, jest dla nich ojcem, a nie zdziercą, jak to się dzieje za granicą, pracuje około swej roli, nie odrzekając się od obywatelskiego życia, utrzymuje swoją rodzinę przyzwoicie, wychowuje starannie swoje dziatki, uprawia staropolską gościnność, rad częstuje nawiedzających go sąsiadów przyjacielskim węgrzynem, kupuje książki świeżo ogłoszone w mowie jego przodków, utrzymuje dzienniki, opłaca podatki i kwoty należne towarzystwu kredytowemu, a jego poczciwa praca na to wszystko starcza[79].

Ta patriarchalna sielanka mieści się doskonale w ramach moralnej i literackiej konwencji ziemiańskiego tradycjonalizmu. Ale w absolutystycznym światopoglądzie autora *Mięszanin obyczajowych* każdy wizerunek społeczny staje się elementem uniwersalnego schematu dziejów. Ta sielanka to obraz rezerwatu j e s z c z e nie zdeprawowanego przez rozkładającą się cywilizację rozumu, która jest „tak świetna w swoich fenomenach, a tak nikczemna w swoim duchu". Tak, laicka kultura Zachodu, z jej nauką, filozofią, ekonomią, z jej m n i e m a n y m p o s t ę p e m, jest tworem Antychrysta i łudzą się ci katolicy, którzy by ją chcieli pojednać z duchem wiary chrześcijańskiej. Na nic to: „tu trzeba walczyć z samą cywilizacją, i walczyć bez spoczynku. Bo ona jest w gruncie zła, bezbożna, może s k o n a ć, ale nigdy siebie nie da uzdrowić"[80].

Może skonać i skona, bo nie ma już w sobie idei, ma tylko spekulacje i maszyny. „Rozumująca i filozoficzna Europa zachowała jeszcze kawałki płótna na drągach zawieszone, ale już nie ma sztandarów". Sztandarów nie ma i Polska, bo należy do Zachodu i wraz z nim dożyła swych dni.

---

[79] H. Rzewuski w „Dzienniku Warszawskim" 1852, cyt. za A. Zajączkowskim, *Z dziejów inteligencji polskiej*, Wrocław 1962, s. 104.

[80] H. Rzewuski, *Cywilizacja i religia*, „Dziennik Warszawski" 1851, nr 21, 22.

Niepodobna zaprzeczyć Rzewuskiemu konsekwencji w doprowadzeniu ideologii antyokcydentalnej do jej najodleglejszego krańca. Żelazna logika doktryny szła u niego w zawody z pełną nienawiści pasją. W tych samych dokładnie objawach, w których liberał upatrywał dowód młodości, prężnego dynamizmu zachodniej cywilizacji ziszczającej ludzkie sny o potędze, reakcjonista nieprzejednany ujrzał dowód zgrzybiałej starości. System aksjologiczny ulegał dokładnemu odwróceniu i wraz z tym zmieniała się ocena każdego faktu dziejowego. Ostateczny upadek Zachodu po roku 1848 był już tylko kwestią czasu: należało go przyspieszyć. Nową cywilizację chrześcijańską, opartą na autorytecie i wierze, nowy cykl dziejów rozpocznie ten jedyny kraj, którego nie zdołały stoczyć trucizny rozkładu: m ł o d a, nieuczona, niefilozoficzna Rosja. „Ona wystawia ten jedyny widok, że ani jednego nie ma sztandaru, który by nie był otoczony jej synami"[81].

Ten wniosek, przez Rzewuskiego poświadczony życiem własnym, praktyką kolaboracji z caratem aż do poniżającej funkcji Paskiewiczowskiego pensjonariusza i pieczeniarza, odpychał nie tylko warszawską inteligencję, ale i większość polskich tradycjonalistów. Po pierwsze, ze względu na poczucie narodowej godności. Po wtóre dlatego, że Rzewuski właśnie tradycjonalistą nie był. Prawda: z talentem ewokował w swych powieściach i gawędach kulturę szlacheckiej prowincji osiemnastego wieku, ale sąd jego o niej zdaje się dwuznaczny[82]. Czerep rubaszny zalatuje trupim odorem. Idea polska obumarła, upadek narodu był w oczach Rzewuskiego zasłużony – zwłaszcza przez oświeceniową sekularyzację – więc rodzima wiejska tradycja może być jeszcze czas jakiś rezerwatem facecji, ale już nie wartością żywą, chroniącą od zgnilizny Zachodu. Polska nie ma w sobie pierwiastków odrodzenia, kończy się razem z zaprzeczną europejską cywilizacją. *Vae victis!*

Ten radykalizm doktryny, bezwzględnie potępiającej wszystko, co nowoczesne, był trudny do przyjęcia. W połowie wieku

[81] H. Rzewuski, *Wędrówki umysłowe*, t. I, s. 49.
[82] Zob. J. Tazbir, *Świat panów Pasków*, Łódź 1986, s. 378–385.

wypadało już być choć trochę, choć po wierzchu „postępowym". Sam nawet Kościół, opoka patriarchalnej zachowawczości, zaczynał przecież szukać jakiegoś *modus vivendi* z nauką świecką, z kapitalizmem, z umiarkowanym reformatorstwem społecznym.

Niemniej jednak przekonanie, iż „mniemany postęp" jest w istocie schyłkiem cywilizacji, która sprzeniewierzyła się swym chrześcijańskim korzeniom, było dość pospolite w polskiej myśli zachowawczej i wzmogło się po krytycznym roku 1848. Zachodziła przy tym wyraźna różnica między ośrodkową tematyką zainteresowań konserwatystów zaboru pruskiego i austriackiego z jednej, a zaboru rosyjskiego, wziętego w całości, z drugiej strony. Poznańskie, Galicja i Kraków były już po reformie włościańskiej – dobrej czy złej, ale dokonanej. Poprzez przeżyte doświadczenie rewolucyjne, poprzez związek z metropolią wiedeńską albo berlińską tamtejsze ziemiaństwo i dziennikarstwo miały poczucie przynależności do Zachodu, wspólnego z nim potoku wydarzeń. Krytyka współczesnej cywilizacji europejskiej na łamach krakowskiego „Czasu" albo „Przeglądu Poznańskiego" była jej krytyką niejako od wewnątrz, czerpiącą argumenty z zachodniej literatury konserwatywnej. Inaczej w Królestwie, na Litwie, na Wołyniu – w dzielnicach odizolowanych od europejskiej rewolucji i kontrrewolucji carskim kordonem sanitarnym. Ideologia ziemiańska była tu w latach pięćdziesiątych zdominowana przez nabrzmiałą, wciąż nie rozwiązaną kwestię agrarną, a ta odmienność, opóźnienie, izolacja sprawiały, że problemy świata kapitalistycznego zdawały się wciąż zewnętrzne, jeszcze możliwe do uniknięcia. Na tym tle odżywała myśl słowiańska – nie jako spekulacja polityczna, nie o nią tu chodzi, lecz jako epigońska, postromantyczna wiara w cywilizacyjne rozdwojenie Europy. Wiara nieobca także rewolucyjnym demokratom na wychodźstwie.

Ale ta różnica między dzielnicami była tylko różnicą stanowiska obserwacyjnego i stylistyki, nie aksjologii. Zasadnicze linie moralnego potępienia cywilizacji były podobne w Paryżu i w Moskwie, tym bardziej w Krakowie i Żytomierzu. Europejski kryzys politycz-

ny i socjalny końca lat czterdziestych, zrozumiany powszechnie jako pogrzeb liberalizmu, wydal liczne plemię proroków zagłady. U nas najwymowniejszym z nich, po Rzewuskim, był Józef Gołuchowski. Za młodu profesor filozofii w Wilnie, później obywatel ziemski w powiecie opatowskim, w swych dwóch anonimowo i za granicą wydanych książkach o kwestii włościańskiej – pierwszą pisał jeszcze w roku 1847, drugą w latach 1849–1850 – zawarł esencję konserwatywnego katastrofizmu połowy stulecia. Znacznie mniej od Rzewuskiego doktrynerski, a nie ustępujący mu gadulstwem pióra, Gołuchowski nie atakował nauk, oświaty ani techniki. Gderając na gnuśność klas wyższych i niższych w Polsce, na pogardę pracy i trwonienie dochodów, na powszechne zaniedbanie majątków i zagród, stawiał za wzór skrzętną purytańską Holandię. Nie Holandia jednak, lecz Francja z jej permanentnym niepokojem socjalnym stała się symbolem Zachodu. Gołuchowski pytał, jaka jest siła napędowa cywilizacji współczesnej i odnajdywał ją w budzeniu ż ą d z ludzkich. W czym, notabene, zgodziłby się z nim niejeden liberalny ekonomista, opatrzywszy tylko owe „żądze", czyli wzrost potrzeb, znakiem radośnie dodatnim.

Konserwatysta wiedział lepiej. Argumenty o zwycięstwach ducha ludzkiego nad materią nie trafiały mu do przekonania. W rozkrzewieniu namiętności posiadania i używania ujrzał demony, które się wymknęły uczniowi czarnoksiężnika, by zwalić całą towarzyską budowę.

> Mojem zdaniem dwie tego są przyczyny. Naprzód, że cywilizacja, dogadzając zbyt z m y s ł o w e m u kierunkowi i emancypując się coraz więcej spod panowania religii i moralności, obudziła nie tylko w zamożniejszych, ale za ich przykładem i w massach całych, mnóstwo żądz zmysłowych dawniej im nieznanych, których zaspokoić niepodobna, bo żądza raz wyuzdana, we cwał wyprzedza wszystkie środki zaspokojenia i nikt jej nastarczyć nie jest w stanie. [...] Po wtóre, konkurencja, która niczem innem nie jest, tylko w y ś c i g a m i pracy ludzkiej, mającej interes własny za dżokeja, który ją najsilniejszemi ostrogami dojeżdża, ma z natury swojej coś takiego w sobie, co jest

antytowarzyskie. – Jest to właściwie mówiąc, w ostatecznym rozbiorze, wojna wszystkich przeciwko wszystkim[83].

Cywilizacja, która stała się apoteozą materializmu, w łonie swoim nosi zagładę, hoduje własnych grabarzy. Bo cóż ci, którzy u ż y w a j ą, mogą mieć na obronę przed tymi, co używać pragną? Socjalizm i komunizm wychodzą wszak z tej samej zasady zmysłowości, dodając do niej tylko szatańską zazdrość wydziedziczonych. Zawzięta walka indywiduów, klas, stronnictw coraz bardziej niepodobnym czyni samo istnienie narodu, który „już nie o swoję wielkość walczy, ale sam siebie, rozpadłszy się na indywidualne łakomstwo pojedyńczych dążeń, jak obłąkany szarpie"[84]. Rewolucja socjalna na Zachodzie jest nieuchronna, ale niczego nie zbuduje, tylko zniszczy: „B ó g o b r a ł s z a t a n a z a n a r z ę d z i e d o d z i e ł s w o i c h". Już słychać głos trąb piekielnych, trzeszczą wiązania budowy, katastrofa nastąpić może jeszcze za życia obecnego pokolenia. Zasłużyła sobie na nią Europa, nie słuchając wołających na pustyni.

> W powszechnych klęskach, w powszechnych plagach indywidua giną bez litości, niewinni giną z winnymi, bo przed wielkiemi rozmiarami wyższej sprawiedliwości niknie na tym świecie indywidualna niewinność. Tryumf złego, który się zbliżać zdaje, tem mniej ją szanować będzie[85].

Przed powszechnym rewolucyjnym potopem jeszcze ocalić się może S ł o w i a ń s z c z y z n a, jeżeli z doświadczenia Zachodu skorzysta, a to znaczy: jeżeli zamiast go naśladować, zawróci z fałszywej drogi. „Jeszcze jest czas, lecz zastanówmy się dobrze, bo w tej chwili losy całej naszej się przyszłości ważą"[86]. Wkrótce może być za późno.

---

[83] J. Gołuchowski, *Rozbiór kwestyi włościańskiej w Polsce i w Rossyi w r. 1850*, Poznań 1851, s. 194–195.

[84] Ibidem, s. 18.

[85] Ibidem, s. 199–200, 533, 689.

[86] J. Gołuchowski, *Kwestya włościańska w Polsce podług właściwych swoich pierwiastków przed sąd opinji publicznej wytoczona*, Lipsk 1849, s. 109.

Jeszcze jest czas, bo związki właścicieli ziemskich z włościanami jeszcze nie zerwane. Przeciwko systematowi pańszczyźnianemu najcięższe zarzuty wytaczają „swojscy i cudzoziemscy filantropi, nabożni i bezbożni, literaci, radykaliści i absolutyści, arystokraci i demokraci, trybunowie ludu i zwolennicy despotyzmu, biurokraci i utopiści, zgoła różnego rodzaju a b s t r a k c y j n i l u d z i e, którzy tak nazwaną pańszczyznę uważają za niegodziwość, za największy ucisk i uciemiężenie". Ci to abstrakcyjni ludzie – wywodzi Gołuchowski – wcale się nad tym nie zastanowili, o ile lepszym jest położenie gospodarza rolnego na zagrodzie, choćby pańszczyznę robił, od położenia parobka, wyrobnika, proletariusza. A przecie „proletariat u nas absorbowany jest dotąd przez system pańszczyźniany, który dla niego jest portem ochraniającym od nędzy i dalszym szczeblem do większego mienia"[87]. Prawda, że system ten pomału znieść trzeba, bo on już dla dalszych postępów gospodarstwa niedogodny, ale znieść go tak, aby praw własności nie naruszyć, to jest przez stopniowy wykup powinności za obopólną zgodą i z pomocą instytucji kredytu włościańskiego.

Jeszcze jest czas, bo lud wiejski w Polsce i w Rosji wciąż szczęśliwie ograniczone ma żądze, niewielkie potrzeby, kontentuje się lada czym. Jeszcze nie zaznał zawiści, nie zapragnął katuszy cywilizacji, względem której pozostaje w stanie rozczulającego dzieciństwa. Jeszcze więc pora, aby go właściciele ziemscy zjednali miłością, dobrocią, religią i oświatą, aby go sami do własności, zamożności, do udziału w społeczeństwie dźwignęli. W tym tkwi cała mądrość polityki rodzimej, słowiańskiej, która łączy, nie dzieli, buduje, nie burzy.

Jeszcze pora, ale to już chwila prawie ostatnia, bo już demagodzy z jednej, a rząd absolutny z drugiej strony nad tym pracują, aby prawo własności obalić, majątki dzielić, uśpione namiętności obudzić i wykorzystać. To droga zachodnia, naśladowanie metody rządów austriackiego i pruskiego. Ale przymusowe uwłaszczanie, które jednemu odbiera, aby drugiemu dać, niczego nie rozwiązuje, niczego nie kończy. Żądze raz obudzone nie znają granic, o więcej

[87] Ibidem, s. 146, 233.

się upomną. Wieśniak polski i rosyjski mniejsze ma poszanowanie własności niż proletariusz zachodni, a rząd schlebia mu nie mniej niż emisariusze i burzyciele, usiłując w widokach politycznych wykorzystać zapalną kwestię włościańską. „W żadnym kraju zaś nie ma tak kolosalnych i tak strasznych zasobów do rewolucji socjalnej, jak w Słowiańszczyźnie, w przypuszczeniu, że w massach dotąd spokojnych i uśpionych raz ruch żądz niczem niepohamowanych się rozpocznie i chęć cudzego ich ogarnie"[88]. Tu więc, choć nie ma przemysłu i proletariatu, choć w rozwoju swoim daleko w tyle za Europą pozostały słowiańskie narody, starczy raz własność naruszyć, ten fundament towarzyskiego porządku, a wszystkie tamy zostaną zerwane.

> Będziecie mieli rewolucją socjalną, ale o k i l k a w i e k ó w w c z e ś n i e j; lecz nie będziecie mieli tych cudów cywilizacji, które ją na Zachodzie poprzedzają, bo w Słowiańszczyźnie rzucić i to trochę, co się rozwinęło, a barbarzyństwo na nowo swoją epokę rozpocznie[89].

To jeszcze nie koniec nie-boskiej komedii Józefa Gołuchowskiego. Bo wcale nie jest pewne, czy by się to na Słowiańszczyźnie skończyło. Działa tu przecież czynnik dodatkowy: zdławione aspiracje narodu polskiego do samoistnego bytu. Gdy zaś wszystkie dotychczasowe usiłowania, aby go odzyskać, okazały się daremne, zrodzić się musiało fałszywe przekonanie, że zbawienie Polski leży w rewolucji socjalnej. Przesąd ten zaraża zrozpaczoną, utalentowaną młodzież: nie będąc przywiązaną do obecnego porządku społecznego, skoro jej w nim oddychać nie wolno, młodzież ta oddać się musi nadziejom zwodniczym.

> Wtenczas rewolucja socjalna zyska organizacją, zyska nieocenioną pomoc intelektualnej siły, bez której żadne dzieło istnieć nie jest w stanie – a w takim razie być może, ż e s i ę u d a i nie runie od razu anarchią tłuszczy. Później złudzenie się okaże, ale złe już będzie zrobione. Legną właściciele polscy i rosyjscy jako pierwsze ofiary: runie Polska, runie Rosja, a na ich miejsce otworzy się wulkan, którego wybuch toczyć będzie niszczącą lawę na Austrię, Niemcy i resztę

[88] Ibidem, s. 292–293.
[89] J. Gołuchowski, *Rozbiór kwestyi włościańskiej*, s. 199.

Europy. – Nowy ten wandalizm zwali się, jak kiedyś pochód narodów z północy na zamożniejsze kraje i zgasi może na kilka wieków piękne światło cywilizacji[90].

Starczy cytatów. Między nadzieją słowiańskiego ocalenia a przepowiednią apokalipsy totalnej wahała się polska prognoza konserwatywna połowy wieku. Przeciw germańsko-romańskiemu kapitalizmowi i socjalizmowi obrócić się miało polskie przedmurze, ale fortyfikacje nie dość były umocnione, a dywersja działała na tyłach. Dla obrońców porządku hierarchicznego był to czas udręki; wierzyli, że Bóg jest po stronie właścicieli ziemskich, ale historia współczesna przestała być dziełem Bożym. Minie jeszcze trochę lat, zanim się oswoją z nieustającym r u c h e m mieszczańskiej cywilizacji i dojrzą, że także na gruncie jej zasad bronić można – w imię Boże – trwałości, własności i tradycji. Na razie jednak czuli się osaczeni i bezradni. Zaproponować jakiś realistyczny program społeczny i gospodarczy potrafili ci tylko spomiędzy nich, którzy – jak Andrzej Zamoyski i jego towarzysze – świadomie wchodzili w układy z liberalizmem. Nieprzejednani konserwatyści bywali przenikliwi (choć jednostronni) w dostrzeganiu egzystencjalnego zła tkwiącego w kapitalistycznym współzawodnictwie, ale w zamian ofiarować umieli tylko moralistyczne kaznodziejstwo i naiwną wiarę w to, że ojcowska miłość posiadaczy do ludu rozbroi konflikt klasowy.

O tę miłość prosili bez ustanku. Po roku czterdziestym ósmym ewangeliczna miłość między stanami stała się koronnym tematem zachowawczego piśmiennictwa. Ona jedna mogła jeszcze uratować świat przed cywilizowanym zdziczeniem. Na jej fundamencie chciało się wznieść nową budowę społeczną, nową ekonomię – nie arystokratyczną, nie kapitalistyczną, lecz chrześcijańską.

Przypomnijmy, że był to wątek nie tylko konserwatywny. Marzenie o Polsce Chrystusowej i o świecie urządzonym wedle nakazów Ewangelii miało w tych czasach co najmniej trzy wykładnie: komunistyczną (jak u Świętosławskiego lub Królikowskiego), mesjanistyczną (u Mickiewicza lub Cieszkowskiego) i zachowawczą, nie licząc wariantów pośrednich, takich jak socjalizm chrześcijański

[90] J. Gołuchowski, *Kwestya włościańska w Polsce*, s. 295.

Leona Rzewuskiego, pojęty przezeń jako „dążność zastosowania nauki ewangelicznej do stosunków produkcyjnych"[91]. Profecje te różniły się między sobą głęboko stosunkiem do instytucji własności i interpretacjami idei egalitarnej, ale wspólnym ich punktem wyjścia było potępienie indywidualizmu ekonomicznego, odruch repulsji wzbudzony widokiem świata jako areny bezwzględnej rywalizacji chytrości i siły. Wszystkie te doktryny – z prawa i z lewa – odrzucały więc kapitalistyczną drogę rozwoju, pokładając nadzieję nie w nowych warsztatach pracy i nie w organizacji politycznej społeczeństwa, lecz w oczekiwanej przemianie moralnej człowieka.

Lata pięćdziesiąte, z ich dojmującym odczuciem europejskiego kryzysu wartości, obfitowały u nas w takie utopie etyczne, tworzone przez domorosłych filozofów i ekonomistów.

Tak Antoni Morzycki w dwóch tomach uczonych elukubracji, inkrustowanych setkami wersetów ze Starego i Nowego Testamentu, wywodził krętą historię postępu społecznego od dnia stworzenia pierwszego człowieka, potępiając wszystko, co w dziejach ludzkości uznał za przejaw samolubstwa i „spekulacji czystego rozumu", „rdzy pogańskiej" i „myśli zaprzecznej" materializmu, a także egoizmu bogaczy i egoizmu państwa. Lista tych nieprzyjaciół braterstwa i postępu rosła z każdą stroną: znalazł się na niej Homer jako piewca podbojów zbrojnych, prawo rzymskie uznające tylko „wzajemność interesu", cała właściwie cywilizacja starożytna, a potem Machiavelli, reformacja, absolutyzm, wolterianizm, racjonalizm, Rewolucja Francuska (rozbestwienie ludu następstwem rozbestwienia rządu), Napoleon, Metternich, kolonializm angielski, oczywiście Hegel, Feuerbach i inni „postheglowskiej szkoły marzyciele"; a od strony wschodniej Iwan Groźny, który Rosję spodlił, Piotr Wielki, który ją zgermanizował, i Katarzyna II – „uosobiony duch filozofii osiemnastego wieku z całym jej cynizmem, zatopionej w otchłani materializmu oblanego jaskrawą łuną rozumu". Ale i Kościół – zauważmy – nie wyszedł obronną ręką: bo od czasu Kon-

[91] L. Rzewuski, *O dążnościach reorganizacyjnych w społeczeństwie*, Kraków 1849, cyt. wg: *700 lat myśli polskiej. Filozofia i myśl społeczna w latach 1831–1864*, s. 969.

stantyna zeświecczał, „wzmógł się na liczbie, ale poniżył się na duchu"; a od Trydentu porzucił drogę soborową na rzecz władzy papieskich kongregacji, podtrzymywanej przez zakon jezuitów, za czym papieże, aż po Piusa IX, nazbyt troszcząc się o swoje państwo i prawa monarchiczne, „zapomnieli swojego posłannictwa na śliskim tronie rządów doczesnych"[92].

Tak wszechstronnego, tak radykalnego, tak pesymistycznego osądu całej prawie dotychczasowej historii cywilizacji nikt chyba, nawet Henryk Rzewuski, w języku polskim nie dokonał. Podstawą tego osądu i zarazem probierzem prawdziwego postępu była miłość społeczna z rozumem złączona, pojmowana literalnie, jako możliwy fundament społecznej budowy. Morzycki marzył sobie ludzkość, która naprawdę wcieli w życie zasady ewangeliczne, ludzkość świętą i mądrą; jej wzory odnalazł w gminie esseńskiej, w pierwszych wspólnotach chrześcijańskich, w niektórych zakonach średniowiecznych i – jakżeby! – w Słowiańszczyźnie. Poza tym dzieje pokazywały tylko, co potrafi przemoc i nienawiść, i co potrafi rozum bez miłości, bez Boga. Ostatnim tego „czystego rozumu" wyrobem jest ekonomia polityczna. To ekonomiści wymyślili prawidła wzbogacenia jednostek, a człowieka ubogiego uznali za narzędzie, za bydlę robocze. Indywidualizm ekonomicznych teorii jest sprzeczny z Chrystusowym zakonem miłości społecznej. Toteż Bóg ukarał nędzą ludy, które – zbałamucone przez „tych mędrków spoganionych" – z chciwością rzuciły się do wykonywania zasad ekonomii politycznej. Stamtąd żadnej nowej idei spodziewać się już nie można. Francja, Niemcy, Anglia, Hiszpania porzuciły myśl żywotną postępu: ta „cywilizacja samolubstwa i przemocy [...] jest nieszczęściem rodu ludzkiego i właśnie głównem zadaniem dzisiejszej epoki będzie wycofać się z zimnych i duszących, chociażby kwiatami ubarwione były, jaskiń tej cywilizacji"[93].

W tych jaskiniach zaprzepaszczono wolność, równość i braterstwo, poniżono godność człowieka. Ziemię, która wedle ksiąg

[92] A.M. Mora [Antoni Morzycki], *Fundamenta budowy społecznej zastosowane do Narodu Polskiego*, t. I–II, Poznań 1852–1853, passim.

[93] Ibidem, t. I, s. 224; t. II, s. 127–130.

Mojżeszowych tylko Boga własnością być może i którą tak wypadało rozdzielić, „aby kmiotkowie urządzili pomiędzy sobą sprawiedliwą w duchu bożym zasadę braterskiego użytkowania z jej łona", tę ziemię wzięły we władanie poszczególne familie, co jest „przywłaszczeniem ciężką krzywdę dla ogółu skutkującym". Niewola w państwach ucywilizowanych niby zniesioną została, „ale mamy nędzarzy, którzy są niewolnikami z konieczności życia", więc nie dziw, że „rozpacz rzuciła przekleństwo na prawo własności"[94].W państwach hołdujących błędnym zasadom ekonomii prawo sprzyja gromadzeniu nadmiaru bogactw w rękach prywatnych. Prawa obywatelskie zależą od własności, prawa osobiste człowieka wszędzie prawie podporządkowane prawom władzy; choć przecież, jeżeli władza pochodzi od Boga, to tym bardziej od Niego pochodzi „władza dozorcza" poddanych nad rządem, władza ogółu ludu[95].

To wszystko więc, co jest, jest złe i musi się zmienić. Nie tak jednak, jak tego pragną socjaliści i komuniści, Saint-Simon i Fourier, Cabet i Proudhon. Ich zasługa w tym, że się przyczynili „do wykazania bezdusznej logiki i zgubnych następstw dogmatów ekonomii politycznej". Wszyscy oni ożywieni są tchnieniem miłości braterskiej, ale chybili w wyborze środków, bo nie uznali Boga osobowego i duchowych potrzeb człowieka, nadal tylko ciałem się zajmując, a tak poniżając ludzką godność. I oni przeto należą jeszcze do epoki „ochrzczonego pogaństwa"[96].

Ta epoka skończy się rychło, ta społeczność sama się już zniosła przez swój atomiczny rozkład. Zbliża się już nowa epoka dziejów, prawdziwie chrześcijańska epoka „zharmonizowania się żywiołów". W tej nowej epoce człowiek wyzwoli się z niewoli państwa, jak się wyzwolił z niewoli drugiego człowieka, stając się o s o b ą; i „*ustanie wszelka zwierzchność, władza i moc*"[97]. Ziemia zostanie wyjęta spod przywłaszczalności i przez naród rozdana we wieczyste posiadanie gminom stowarzyszonym. Cały naród stanie się wielkim stowarzy-

[94] Ibidem, t. I, s. 210–212, 221–223.
[95] Ibidem, t. I, s. 173–179, 225.
[96] Ibidem, t. II, s. 143–149, 154.
[97] Ibidem, t. II, s. 156–159.

szeniem, związkiem spółek przemysłowych: bo sam nawet rozum przekona wszystkich, „że k o m p a n i a n a r o d o w a dla dobrobytu wszystkich rodaków zawiązana prędzej ten cel osiągnie jak pojedyńczych ludzi sprzeczne i kołowate dążenia"[98]. Ale ów postęp zespalania się w miłości nie zatrzyma się na szczeblu narodowych egoizmów. Przyszłość to pojednanie się ludów w braterstwie i pokoju. Już temu służy rozwój komunikacji lądowych i wodnych, wystawy przemysłowe, handel – bo się ludy tym sposobem poznają i zbliżają do siebie. „Prawda ewangeliczna rozpościera się teraz po całym świecie. [...] A kiedy czas nadejdzie, zasiądą do wspólnej uczty nieznane narody". Zatrą się „piętna odosobnień państwowych" i połączą się na powrót rozdzielone od wieków Kościoły, aż ród ludzki stanie się jedną rodziną i jednym Chrystusowym Kościołem, a ten Kościół powszechnym państwem, a jego ewangelia wspólnym prawodawstwem[99].

Więc jeszcze tylko potrzeba wiedzieć, jak i przez kogo się to wszystko dokona. Przez kogóż by, jeśli nie przez Słowiańszczyznę? Epoce samowładności jednostki przewodniczył rozum g e r m a ń s k i. Jego misja już skończona. Epoce wiązania się ludzi i narodów przewodniczyć będą Słowianie, bo ich to ideą była zawsze i jest miłość społeczna. Wśród nich Polacy są prawdziwym narodem ewangelii. Ale dzieła miłości lud polski dokonać może tylko przez Rosję, tę jedyną potęgę, która trwa nieporuszona wśród konwulsji roku 1848–1849 i wyczekuje chwili przeznaczenia swego. Ona jedna stawić może czoło wyzwaniu pysznej, zepsutej, odszczepieńczej, pogańskiej Anglii, wyzyskującej Irlandię i zamorskie lądy! Do Rosji to i do Anglii stosuje się Objawienie św. Jana, przepowiadające triumf Wschodu nad wszeteczną Babilonią, wód panią. Opatrzność wybrała Rosję do tego, aby najprzód całą Słowiańszczyznę zebrać pod jednoplemienny sztandar, a potem na jej czele stawić opór germanizmowi i tchnąć weń ducha miłości i braterstwa ludów. Wprawdzie sama Rosja jeszcze n i e c a ł k i e m tym duchem przesiąkła,

[98] Ibidem, t. I, s. 238–244.
[99] Ibidem, t. I, s. 112–113, 133, 182–184.

ale już jej rząd łagodnieje pod wpływem polskim i bardziej jest chrześcijański, bardziej ludzki od państw Zachodu.

Oto więc chwila przesilenia.

> Słowiańszczyzna niesie dla Germanii potrzebne do jej odżycia pierwiastki społeczne: wiarę na upłodnienie próchna filozofii; rząd silny, stały ku zatamowaniu rewolucyjnych przewrotów; poświęcenie się dla głowy państwa i miłość ojczyzny do ogrzania odosobnionych kryjówek samolubstwa; a w miejsce racjonalnej ekonomii jednostek albo komunistowskiego zlewku wszystkich, prowadzi współkę ziemiańską własności, co na słowiańskiem drzewie rodziła od dawna zdrowe i posilne owoce.

Nie trwóżmy się więc – kończy Morzycki – huraganem, co wstrząsa posadą społeczną, bo „im gwałtowniej sroży się nawałnica, tem bliższy jej koniec. Wiara, nadzieja i miłość świtują na horyzoncie, pogodą na długie czasy cieszyć się będziem". Unia kościołów, federacja państw, rzeczpospolita narodów, gminna własność, pokój na ziemi – „to meta wskazana rodowi ludzkiemu słowem Chrystusa, to ideał najwyższy budowy społecznej"[100].

Osobliwy to zaiste zlepek idei, ze wszystkich możliwych źródeł pozbieranych i eklektycznie złączonych w umyśle autora. Zapożyczył się Morzycki u reakcjonistów i u demokratów, u socjalistów i mesjanistów, u słowianofilów i panslawistów różnego autoramentu. Nie będziemy tu śledzić, skąd który pomysł zaczerpnął. Ważniejsze jest to, co skleiło wszystkie te heterogeniczne ingrediencje w jeden historiozoficzny system. Tym lepiszczem była nieprzejednana wrogość do „germanizmu" – a tym terminem nie pierwszy Morzycki objął, z nadwyżką, cały model zachodniej cywilizacji, z państwem Franków włącznie. Ziemianin z Królestwa Polskiego, który u schyłku ponurego panowania Mikołaja I wydaje w pruskim zaborze opasłą książkę, a w niej Anglię ogłasza główną nieprzyjaciółką ludzkości, zaś cara – narzędziem chrześcijańskiego zbratania narodów, to doprawdy mogłoby się wydawać jakąś umysłową aberracją. Mogłoby – gdyby nie to, że wstręt do Zachodu, do kapitalizmu, do

[100] Ibidem, t. II, s. 293–322.

liberalnej ekonomii, narastając z wolna po powstaniu listopadowym, stał się około Wiosny Ludów t o n e m dominującym w niezgranej polskiej orkiestrze. Bez tego obrzydzenia, które w literaturze społecznie radykalnej znajdowało nie mniej silny wyraz niż w myśli zachowawczej, niezrozumiała byłaby owoczesna kariera idei słowiańskiej w polskich umysłach, bo przecież moment był najmniej takiemu renesansowi sprzyjający.

Prawda, że słowianofilstwo polskie było głęboko rozszczepione: rozdzierał je zaciekły spór między kierunkiem głównym, który „łacińską" i do wolności przywiązaną Polskę uznawał za powiernicę idei gminy słowiańskiej (w demokratycznej lub monarchiczno-patriarchalnej wykładni), a szczuplejszą gromadką rzeczników rusosławizmu, zawsze podejrzanych o narodową apostazję[101]. Pierwszy kierunek był programowo antycarski, nie zagrażały mu zatem żadne nowe dowody policyjnej roli Rosji w Europie, z interwencją na Węgrzech włącznie. Jednakże koncepcja cywilizacji słowiańskiej bez albo wbrew Rosji była zawsze ułomna jako filozofia kultury czy historii. Przeciwstawienie słowiańskiego ewangelicznego charakteru zarówno „pogańskiemu" Zachodowi, jak „azjatyckiemu" Wschodowi, czyli Moskwie, uśmierzało znakomicie polski kompleks doktryną etycznej wyższości uciskanych; ale wyprowadzanie stąd prognozy, iż politycznie nie istniejący naród odrodzi moralnie najpierw braci-Słowian, a potem handlarski Zachód, nie mogło się obejść bez mesjanistycznego wspornika, racjonalizującego wiarę w potęgę bezbronnych. A przy tym proste i tradycyjne przeciwieństwo: Polska – Europa albo Polska – Zachód niepokojąco ujawniało ową dysproporcję potencjałów. Obniżenie Zachodu do „germanizmu" i równoczesne podwyższenie Polski do „Słowiańszczyzny" pełniło tedy funkcję magicznego zabiegu, który za pomocą nazw ustanawiał równowagę stron tego duchowego antagonizmu (którego notabene strona zachodnia nie raczyła nawet zauważyć).

Kierunek rusofilski do magii takiej uciekać się nie musiał. Adam Gurowski po swoim „nawróceniu", Wacław Maciejowski i ich naśladowcy, w państwie Mikołaja ujrzawszy syntezę Słowiań-

[101] Zob. Z. Klarnerówna, *Słowianofilstwo w literaturze polskiej*.

szczyzny i antytezę Zachodu, otrzymywali od razu realistyczny obraz równowagi, jeśli nie przewagi sił. Za ten geopolityczny realizm płacili jednak rozbrajającą naiwnością wtedy, gdy przychodziło im do głowy, aby carską Rosję, lub pod jej przewodem zjednoczoną Słowiańszczyznę, obdarzyć misją wyzwolenia ludów i zjednoczenia Europy.

Wszystkie warianty polskiego słowianofilstwa okazują się więc, każdy na swój sposób, paralogizmami. Przemyślne rusztowania historiozoficzne obudowywały prostoduszną wiarę, że narody rolnicze, powolne i jeszcze nie spracowane na drogach cywilizacji są z natury swej poczciwe. Dlatego to – dopowiadali romantyzujący filozofowie od Herdera poczynając – do nich należy przyszłość, one dyktować będą wzory tym, co się wysforowali do przodu w postępie ekonomicznym. Ten postęp jest przecież zaprzeczeniem postępu moralnego – odwieczne to przeświadczenie myślicieli, poetów, emigrantów i wieśniaków, nie mogących się oswoić z wielkomiejskim rytmem i zgiełkiem życia. Cywilizacja miejsko-przemysłowa – oni to czuli – zabija altruizm, jest więc wbrew pozorom antychrześcijańska. Jej pokusom, jej ekspansji trzeba było i można było przeciwstawić proste prawdy ewangeliczne. One zwyciężą Babilonię.

Kto z nich tego zwycięstwa był pewny, ten prorokował zagładę Zachodu, apokaliptyczny kataklizm, po którym nastąpi moralne odrodzenie świata. Tak powstawały kolejne paradoksalne wersje konserwatyzmu katastroficznego, obdarzonego radykalną wizjonerską wyobraźnią. Kto zaś takiej wiary i wyobraźni nie miał, choć nie mniejszą przeniknięty był odrazą do jaskiń mieszczańskiej cywilizacji, temu pozostawała już tylko nostalgia za światem wiejskiej prostoty i domowych cnót, za tym, co przeminęło, przemija, przeminie jutro.

W Polsce przemijało wiele, bardzo wiele. Polska była kolonizowana przez zachodnią cywilizację, prawda, ale przecież i przez zaborców; i tylko w pruskim zaborze te dwa podboje schodziły się ze sobą. Groźbą wynarodowienia straszyli rusyfikatorzy i germanizatorzy kraju; podstępniej czaiła się ona w kramarskiej filozofii zysku,

zarażającej polski dom. Tradycja musiała stać się opoką przeciwko o b u tym importom.

Renesans Polski kontuszowej i kresowej na scenie teatralnej, w poemacie i w gawędzie szlacheckiej pełnił znakomicie tę podwójną funkcję obronną. Bo i mieszczańscy dorobkiewicze czuli się jakoś ozłoceni odblaskiem legendy szlacheckiej, która zdawała się samą esencją polskości, opierającej się wszelkim najazdom.

Ten sentymentalny model patriotyzmu, ten jawnie już anachroniczny wzór kultury czymże był innym, jak nie kompensacją? Przez rubaszną gawędę, przez jowialną komedię przeświecał gorzki pesymizm. Ten świat już ginął, trwał tylko w literaturze, a i w niej, choć jeszcze ponętny, to przecież moralnie wątły. W późnych komediach Fredry miasto dokonuje inwazji na wieś. W szlacheckich dworkach pojawiają się ludzie n o w i, energiczni, gruboskórni, łapczywi, wnosząc ze sobą nadużycia, wyzysk, bezceremonialność i „tyfus agronomiczny"[102]. Wywracają świat na opak. Ale ten świat, jeszcze opierający się, jeszcze nie wywrócony – to właśnie inercja, kwietyzm, niedołęstwo. Blada, nie przekonywająca alternatywa. Tradycja obezwładniona. Ton elegijny. Dobrze znany, długowieczny, wielojęzyczny paradygmat literackiej fabuły: *morituri*, *old merry England*, wiśniowe sady, gdzie siekiera przyłożona już została do korzenia.

Póki co, tradycjonalizm, o ile jeszcze nie dojrzał do rewaloryzacji dziedzictwa, chronił się w zakątki co odleglejsze od głównych szlaków cywilizacyjnego najazdu, a i tam przecie nie znajdował pokrzepienia widokiem moralnego zdrowia. Kraszewski w swych powieściach wołyńskich ukazywał stosunki wiejskie od idylli raczej dalekie, chłoszcząc niepoczciwych obywateli za ich wyrachowanie właśnie, za wyzysk i brutalność wobec chłopów. To znów zrażał sobie sąsiadów i czytelników pełnymi pasji diatrybami na gnuśność i ogólne zbydlęcenie „klasy tak zwanych obywateli", u której „prawdziwem życiem zowie się to wegietowanie na zagonie między chle-

[102] Z. Szweykowski, *Fredro – wróg miasta*, loc. cit., s. 242: „tyfus agronomiczny" pochodzi z komedii *Teraz*.

wem i stodołą". Próżniactwo, legofobię i „zatrzymanie umysłowe" szlachty polskiej uznał w cyklu artykułów ogłaszanych w „Tygodniku Petersburskim" (1837–1841) za *Choroby moralne XIX wieku*[103].

Zarazem przecież, i to konsekwentnie przez lat dwadzieścia, aż po następne *Choroby wieku* (1857), gderał na wszystko, co zachodnie, a szczególnie francuskie: filozofię, literaturę, technikę, prawa, obyczaje. Te drugie *Choroby wieku* to wzruszający w swej naiwnej, z autoparodią niemal graniczącej szczerości lament wołyńskiego szlachcica-rezonera, przerażonego aż pod Żytomierz docierającą inwazją suchej, zimnej, strasznej cywilizacji, opartej na rachunku, w który nie wchodzą „ludzie, ich obyczaje, przeszłość, nawyknienia, wspomnienia, upodobania", w której nawet ptaki przestały śpiewać.

> Przerobi się świat na wielki kantor gospodarsko-industrialno-komersyjny, ludzie na komisantów, książki na regestra, życie na rachubę podwójną przez habet i debet... i zapewne... komuś z tem będzie dobrze, ale nam starszym i leniwego umysłu ludziom, tęskno za szaraczkową przeszłością naszą! [...] Więcej serca, a mniej agronomii, na Boga; teorie Bastiata, Liszta nie zastąpią ewangelii. [...] Polepszenia mogą przyjść powolnie, stopniowo i wyniknąć z samej potrzeby, bez naśladowania obcych, które nas zniemczy, wynarodowi, zanglizuje, zetrze cechy słowiańskie i rodowe. [...] Mamyż się radować postępowi, który nam życie wydziera i przeistacza na małpy Zachodu?[104]

Dwa te adresy moralnej polemiki nie były symetryczne. Pierwszy piętnował raczej przywary ludzi, niechby i całej klasy, także cechy kultury, a nie podstawy systemu społecznego. Drugi, przeciwnie, wyrażał fundamentalny sceptycyzm co do możliwości uczłowieczenia burżuazyjnego „postępu", nie negując przy tym jego ekonomicznych osiągnięć, lecz przestrzegając przed „materializmem, którym nas Zachód zaraża, który szczepim sami jak zbawczy środek przeciw s t a r y m chorobom naszym, nie bacząc, że on z sobą

---

[103] J.I. Kraszewski, *Choroby moralne XIX wieku*, w tegoż, *Wybór pism*, t. IX, *Zarysy społeczne*, opr. P. Chmielowski, Warszawa 1893, s. 50–74.

[104] J.I. Kraszewski, *Choroby wieku. Studyum patologiczne*, Wilno 1857, t. I, s. 6, 9, 153; t. II, s. 5, 25.

daleko od nich niebezpieczniejsze przynosi"[105]. W tekście tym, jak i w setkach innych krytyk kapitalizmu, pisanych ze stanowiska zachowawczego lub romantycznego, znalazło wyraz przekonanie, iż feudalizm, przy wszystkich swoich wadach, jest jednak systemem „ciepłym" i ludzkim, opartym na więziach osobistych, podczas gdy kapitalizm, przy wszystkich swoich zaletach, jest jednak systemem „zimnym", opartym na więziach zracjonalizowanych i urzeczowionych. W duchu i charakterach współczesnej epoki - pisał publicysta krakowskiego „Czasu" - „jest coś z i m n e g o, nie umiejącego trafić do serca i wyobraźni"[106]. W latach zmierzchu romantyzmu było to odczucie dość powszechne.

Polskie lamenty specyficzne były jednak tylko w swojej stylistyce i w tym, że wciąż jeszcze miały charakter o b r o n n y. Ale zasadnicze linie moralnej krytyki cywilizacji były niemalże jednakowe w Londynie, Krakowie i Żytomierzu.

Michałowi Słomczewskiemu rozbiór kilku angielskich książek traktujących o etyce kapitalistycznych instytucji brytyjskich - Banku Anglii, spółek kolejowych i giełdy - dał okazję do zebrania wszystkich argumentów wykazujących moralne zdeprawowanie nowoczesnego społeczeństwa, w którym „duch s p e k u l a c j i przenika wszystkie stosunki i stawia się na wyżynach apostolstwa", a zuchwała i nienasycona żądza wiedzy „chce ogarnąć wszechstworzenie", ale nie szuka Boga.

> Jedynie ekonomiści polityczni nie tracą wiary w zasady swej nauki i powtarzają zwykłą piosnkę o postępie i cywilizacji. Spekulanci giełdowi występują w charakterze reformatorów i zapowiadają nowy porządek rzeczy. [...] Massy cisną się tłumnie do pałaców przedstawiających tryumfy i arcydzieła przemysłu. [...] Wszędzie [...] uczczenie materii i zdaje się, iż w naszym czasie lokomotywy, telegrafy i weksle zastąpiły i d e e i stały się dźwigniami postępu[107].

---

[105] Ibidem, t. II, s. 144.

[106] M. Słomczewski, *Charakter i niebezpieczeństwa cywilizacji przemysłowej*, „Czas - Dodatek Miesięczny" 1857, t. VII, s. 590.

[107] Ibidem, s. 583-586.

Ów duch spekulacji służy dziełu destrukcji: „rewolucjonista ten nie znający spoczynku zakłada niebezpieczne miny pod najfundamentalniejsze posady porządku towarzyskiego". Niszczy też sztukę i literaturę, wprzęgając je w utylitarną służbę „dążnościom czasu", a odzierając z wyobraźni i piękna. Odkąd zaś – jak w Anglii – „całe społeczeństwo wzięło udział w grze", odtąd giełda stała się jego kulturą: ona mu dyktuje „legendy, zwyczaje, prawa i język"[108]. Życie polityczne, parlament także podlegają tym prawom.

Dotąd jest to dość banalny i w połowie wieku już obiegowy katalog grzechów kapitalizmu. Autor idzie jednak dalej: pokazuje, jak cywilizacja kapitału sprzeniewierza się własnym założeniom, jak liberalizm niszczy najświętsze s w o j e wartości: własność, wolność i indywidualność. Dojście do własności stało się wprawdzie łatwiejsze, a weksel – wynalazek „geniuszu Izraela", wynalazek na miarę druku – zwiększył bezpieczeństwo posiadania. Ale dalszy rozwój kredytu i dążących do monopolu a s o c j a c j i sprawia, że własność i niepodległość jednostek stają się czczymi pozorami. „Żadna cywilizacja nie posiadała tak wielkich i radykalnych sprzeczności jak nasza. [...] Z jednej strony wzmaga się indywidualizm, a z drugiej centralizacja socjalna zagraża pochłonieniem wszelkiej samoistości pojedynczej"[109].

Ale rzecz nie tylko w centralizacji kapitału i władzy gospodarczej. Także w tym, że wolność i indywidualność zmagają się z coraz większą centralizacją administracyjną:

> Atomiczne jednostki błądzące bez spójni moralnej i narodowej silny tylko mechanizm może skupić i połączyć. B i u r o k r a c j a jest właśnie tym sztucznym mechanizmem zagrażającym niepodległości nowszych społeczeństw. Dawniej władza była żywotną funkcją sprawowaną przez ludzi wielkich przymiotów osobistych lub powołanych na to wysokie stanowisko spuścizną wieków i tradycji historycznych, dzisiaj występuje martwy mechanizm i usiłuje zadać cios śmiertelny siłom organicznym i naturalnemu porządkowi towarzyskiemu[110].

[108] Ibidem, s. 631–642.
[109] Ibidem, s. 587.
[110] Ibidem, s. 663.

Ruch spekulacyjny i przemysłowy stanowi więc największy przełom w dziejach ludzkich, początek nowej epoki. Nieludzkiej epoki. Jej symbolem jest budowa kolei żelaznych, która tworzy masowe koczownictwo, wędrowną armię b a r b a r z y ń c ó w bez religii, moralności i familii, których przedsiębiorcy kolejowi ściągają ze wszystkich stron. Kto się temu przyjrzał, kto się zamyślił nad ujawniającymi się sprzecznościami socjalnymi, ten musi zapytać: „czyliż istotnie postępujemy i zyskujemy na owej okrzyczanej cywilizacji?"[111].

Dzieło Malthusa - konkluduje Slomczewski - pokazuje najprawdziwiej nieuleczalne sprzeczności między pracą, kapitałem a ziemią. Sprzeczności te rosną, aż wreszcie „społeczeństwa goniące za zyskiem przychodzą [...] do tego punktu, gdzie bogactwo staje się ich nieszczęściem". Dalszy rozwój nie będzie bowiem możliwy bez ekspansji, bez „ciągłej emigracji ludzi i kapitałów". A jaki wynik tej ekspansji, przewidzieć trudno, bo przecie „dla d w ó c h państw takich jak Anglia glob ziemski jest za mały"[112].

Artykuł ten został wydrukowany w Krakowie w tym samym roku, kiedy warszawska „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych" ogłaszała w odcinkach Kraszewskiego *Choroby wieku*. Był to rok 1857, rok znamienny w dziejach gospodarczych i politycznych ziem polskich, a zwłaszcza zaboru rosyjskiego. Rok zamykający długotrwały zastój we wszystkich dziedzinach życia publicznego. Rozpoczynał się okres ożywienia w handlu i przemyśle, w kwestii agrarnej, w piśmiennictwie i w myśli politycznej. Okres pełen obaw, napięć i niespokojnego szukania nowych dróg.

W tym zwrotnym momencie lęk zachowawców przed materialistycznym postępem nie był pozbawiony podstaw. Wyrażał on przede wszystkim niepokój średniej szlachty, nie mającej wiedzy, umiejętności ani kapitałów niezbędnych do przejścia na bezpańszczyźniane „gospodarstwo rozumowane"; stąd i nieufność wobec

[111] Ibidem, s. 647.
[112] Ibidem, s. 667-668.

eksperymentów i skłonność do idealizacji wartości ginącego świata z nadzieją przedłużenia jego bogobojnego t r w a n i a.

Zachowawczość ta była wszelako także – jak u Kraszewskiego – obroną zagrożonych wartości bardziej uniwersalnych: zakorzenienia człowieka w ziemi, we wspólnocie, w tradycji. Świat bezustannej zmiany i ekspansji, świat w y ś c i g u i współzawodnictwa jawił się jako demonicznie wrogi, wykorzeniający, niszczący kulturowe i lokalne utożsamienie jednostki ludzkiej. I w tej diagnozie staroświecki tradycjonalizm polskich hreczkosiejów znajdował potwierdzenie w myśli konserwatywnej, dojrzałej w samych metropoliach kapitalizmu i żywiącej się wieloletnią i codzienną obserwacją jego sukcesów. Myśl ta w połowie dziewiętnastego wieku dopracowała się już rudymentarnej teorii społeczeństwa masowego, w którym wydziedziczony z historii i wyobcowany ze wspólnoty człowiek jest formalnie wolny, a faktycznie niewolony przez potężniejące koncentracje władzy gospodarczej i administracyjnej.

Konserwatyści zdążyli już wypowiedzieć niemal wszystkie lęki i przestrogi przed nieokiełznanym wzrostem gospodarczym, jakie nas nawiedzają do dzisiaj i długo jeszcze nawiedzać będą. Byli świadomi zjawisk anomii i alienacji, samotnego tłumu i zatrucia środowiska, ideologii konsumpcyjnej, wyzysku, etatyzmu, współzawodnictwa mocarstw i imperialistycznych wojen o rynki. Co najwyżej nie przewidzieli jeszcze kryzysu surowcowego i energetycznego. O ile jednak europejska lewica, której diagnozy zła były przecież dość podobne, wkładała ogromną pracę w szukanie alternatyw, w projektowanie innych – może naiwnych, może maksymalistycznych – rozwiązań organizacji społecznej i gospodarczej w duchu humanizmu, to zachowawcy mieli do zaproponowania niewiele prócz egzorcyzmów. Z wyjątkiem oczywiście Anglii, gdzie przyczynili się walnie do rozwoju ustawodawstwa fabrycznego oraz nowoczesnej kultury parlamentarnej, która w przyszłości posłuży między innymi za instrument reform socjalnych.

W Polsce, w tak silnym liczebnie, choć ideowo rozszczepionym nurcie społecznej myśli chrześcijańskiej, przeważnie zresztą snutej przez świeckich bez udziału Kościoła instytucjonalnego,

uderza niezdolność do zrozumienia, iż kapitalizm nie został wymyślony, nie był niczyim projektem. Cywilizacja przemysłowa i miejska nie wyskoczyła przecież z głowy Adama Smitha, lecz była rezultatem nieznanego dawniej skojarzenia się namiętności posiadania z twórczością naukowo-techniczną. Wzory kapitalistycznej organizacji wytwórczej rozprzestrzeniały się dzięki temu, że w epoce niepowstrzymanego wzrostu ludności zapewniały jeszcze prędszy wzrost produktywności pracy. A także dzięki kuszącej ofercie towarowej i dzięki ponętnej dla pariasów feudalnego społeczeństwa ofercie zarobków.

Temu wszystkiemu chrześcijańscy moraliści przeciwstawiali swoje szlachetne skądinąd homilie tudzież propozycje zmiany natury ludzkiej. Wiedzieli lepiej niż ktokolwiek inny, że nie samym chlebem żyje człowiek, więc ufali, że jeśli spróbuje żyć słowem Bożym, to i chleba Bóg nie odmówi. Po doświadczeniu straszliwych klęsk głodowych lat czterdziestych, od Galicji po Irlandię, była to nadzieja niepewna. Walka z szatanem ekonomii nie mogła niestety zastąpić walki z zarazą ziemniaczaną i z cholerą. Nie proletariusze przemysłowi puchli z głodu nad Wisłokiem, i nie przez agronomię cherlała szlachecka gospodarka.

Musiała tedy w łonie samego obozu zachowawczego i myśli ostentacyjnie chrześcijańskiej rozwinąć się inna także kombinacja, bardziej praktyczna, bardziej optymistyczna, usiłująca zgodzić ewangelię z ekonomią i techniką, a polskie ziemiaństwo z zachodnim kapitalizmem. Kierunek ten, który przedstawialiśmy już w innym kontekście, także był moralistyczny. Moralistyka przenikała całą ówczesną polską myśl społeczną i gospodarczą. Propagandę spółek kredytowych lub nowych metod nawożenia wypadało wciąż usprawiedliwiać ich służebnością względem wartości bardziej wzniosłych. Niezmiernie charakterystyczne są na przykład wywody anonimowego autora, który w roku 1851 w stylistyce Cieszkowskiego i z powołaniem się nań objaśniał, jakie jest filozoficzne i moralne znaczenie pieniądza. Pieniądze mianowicie, tak jak język, są spoiwem narodów. Jak słowo, alfabet i druk uspołeczniają produkty indywidualnej myśli, tak samo wymiana i cyrkulacja towarów uspołeczniają produkty pracy. Oba te procesy w dziejach ludzkości rozwijają się rów-

nolegle, przeto i ekonomia rozwija się równolegle do filozofii, a nawet zdolna jest zająć jej miejsce: człowiek produkujący bowiem „staje się dalszym stworzycielem świata", a „historia cyrkulacji przedstawia historią rozumu powszechnego"[113].

Pełne chrześcijańskich moralnych uzasadnień są programowe teksty klemensowczyków. Jest to jednak moralistyka innego gatunku niż w pismach proroków zagłady. Motywem wyodrębnienia się szkoły konserwatyzmu zliberalizowanego było przekonanie części ziemiańskich intelektualistów o historycznej bezpłodności antyokcydentalnych, antykapitalistycznych jeremiad. Oni właśnie pojęli, że zmiany gospodarcze i społeczne są naturalne, są rezultatem działań spontanicznych, nie zaplanowanych. Powstrzymać ich ani zmienić kierunku kazaniami nie można i nie warto. Zadaniem „prawdziwego konserwatyzmu" jest, owszem, czuwanie nad tym, aby proces zmian pozostał naturalnym i organicznym, to znaczy: aby „demagogii socjalnej" nie pozwolić forsować go w sposób sztuczny, rewolucyjny. Ale – pisał po Wiośnie Ludów ideolog tego obozu, Ludwik Górski –

> ufać potędze tradycji w ten sposób, aby co jest postępem lub zmianą w wyobrażeniach i potrzebach wieku odrzucać, ganić usiłowania zmierzające do utrzymania nas na wysokości europejskiej cywilizacji, jest to brać przesąd za prawdę, ciemnotę za tradycję, oczekiwać nagrody bez zasługi, jest to stawiać się w położeniu człowieka napadniętego, któremu oręż wytrącono, [a który] zamiast za inną broń chwytać, gołą ręką macha i wywija w przekonaniu, że się obronić zdoła; jest to zarazem błąd i śmieszność[114].

Tomasz Potocki stwierdzał wręcz, że trzeba się odciąć od „reakcji" i rozumnymi reformami uprzedzić grożące rewolucyjne rozwiązanie kwestii włościańskiej: „Prawdziwy konserwatyzm [...] nie zależy na tem, aby przytłumić ducha czasu, ale aby nim kierować"[115].

---

[113] *Znaczenie pieniędzy filozoficzne, moralne i ekonomiczne*, „Biblioteka Warszawska" 1851, t. IV, s. 197–224.

[114] L. Górski, *O konserwatorstwie w Polsce*, Poznań 1853; cyt. wg *Wyboru pism* tegoż autora, Warszawa 1908, s. 180.

[115] Krzyżtopór [Tomasz Potocki], *Poranki karlsbadzkie*, Poznań 1858, s. 29.

Stosunek do tradycji miał więc być krytyczny i wybiórczy: już nie o zachowanie *status quo* chodziło, lecz o to, by ziemiaństwo nie wypuściło ze swych rąk steru przemian. Wzorem byli torysi w podziwianej przez liberalnych konserwatystów Anglii, gdzie – jak powiadał Andrzej Zamoyski – „światło praktyczne, postęp wolny, ale pewny, unikają skoków w postępie"[116].

Jaki to miał być postęp, wiedzieli doskonale. Ci feudalni – bo wciąż przecież żyjący z przymusowych świadczeń chłopskich – właściciele ziemscy byli entuzjastami wolnokonkurencyjnego kapitalizmu. Co wykształceńsi studiowali dzieła liberalnych ekonomistów z Sayem i Chevalierem na czele, ekonomię polityczną uznawali za królową nauk, a agronomią pasjonowali się bardziej niż filozofią i poezją. Prawda, nie wszystko było dobre, co przychodziło z Zachodu. Szczepić się należało przeciw truciznom filozoficznego materializmu, niedowiarstwa i socjalizmu – tej „zarazy dzisiejszych wyobrażeń", ale przyjmować technologię, zasady gospodarstwa pieniężnego i racjonalnej kalkulacji zysków. W tej edukacji, niczym u purytanów, interes jednostkowy mościł drogę do pomyślności ogółu, a trzeźwe wyrachowanie łączyło się z moralizatorskim patosem. „Pamiętajmy, że rachunkowość to myśl Boża w formę cyfer ujęta" – wołał jeden z tych, co łamiąc stare przesądy, chcieli szlachtę przerobić w nowoczesnych gospodarzy i przemysłowców rolnych[117]. Zaiste, ich Chrystus był dobrym buchalterem.

Andrzej Zamoyski czytał z aprobatą u Chevaliera, że postęp liberalnego kapitalizmu oznacza zarazem wzrost moralności w życiu publicznym. Nowa cywilizacja opiera się bowiem na trzech fundamentalnych zasadach: swobody indywidualnej, równości wobec prawa i wzajemności między narodami. Swoboda – to zniesienie poddaństwa, wolny wybór zawodu, poszanowanie własności, wraz

---

[116] Z listu A. Zamoyskiego do F. Żółtowskiego z r. 1851, cyt wg: S. Kieniewicz, *Między ugodą a rewolucją (Andrzej Zamoyski w latach 1861–1862)*, Warszawa 1962, s. 38.

[117] R. Cichowski, *Kilka słów o rachunkowości*, „Roczniki Gospodarstwa Krajowego" 1858, cyt. wg: R. Czepulis, *Myśl społeczna twórców Towarzystwa Rolniczego (1842–1861)*, Wrocław 1964, s. 122.

z nią człowiek utwierdza swe poczucie odpowiedzialności i nakazy sumienia, bez nadmiaru przymusu prawnego. Równość praw – to „wzajemność zupełna między producentem a konsumentem, między przedającym a kupującym, między przedsiębiorcą i czeladzią"; zbliża ona do siebie wszystkie klasy społeczne. Wreszcie wolność i wzajemność w handlu zbliża do siebie i jedna ze sobą narody. Przeto zachodnie kraje Europy przodują światu nie tylko w dziedzinie przemysłowej i umysłowej, ale także moralnej[118].

Ustalenie zbieżności wszystkich wymiarów postępu było bardzo ważną sprawą dla pisarzy z tego ziemiańskiego stronnictwa: był to ich główny argument w polemikach z chwalcami minionych czasów. Dowodził więc Tomasz Potocki, że „kapitał przyczynił się do usamowolnienia, wykształcenia, ulepszenia ludzkości", a wolne „spółubieganie się", choć rodzi i skutki ujemne, sprzyja przecież wzrostowi produkcji, a tym samym ugruntowaniu pomyślności powszechnej; „jest to więc cel, do którego każdy przyjaciel ludzkości wzdychać, a każdy statysta dążyć powinien"[119]. Ludwik Górski, z klemensowczyków najbardziej chyba prawicowy, wystąpił przecież przeciwko antyokcydentalnym tyradom Kraszewskiego: godząc się, że racjonalizm filozoficzny jest „istotną chorobą wieku dzisiejszego", dowodził, że Zachód – „ten dawny duchowy nasz rodzic i piastun" – nie utracił wcale ducha chrześcijańskiego poświęcenia i wiary. Agronomia nie studzi serca, serce nie każe wyrzec się agronomii[120].

Zachowawcom argumenty te niełatwo trafiały do przekonania. „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych", drukując polemikę Górskiego, zaopatrzyła ją w przypis krytyczny redakcji: „społeczeństwo – upierała się gazeta – zbyt wyłącznie zaprzątnięte

---

[118] A. Zamoyski, *O postępie*, „Roczniki Gospodarstwa Krajowego", t. XXII (1853), s. 42–75.

[119] Krzyżtopór, *O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce*, wyd. II, Poznań 1859, s. 23–27.

[120] L. Górski, *O chorobach wieku J.I. Kraszewskiego*, „Roczniki Gospodarstwa Krajowego", t. XXX (1857), s. 270–297.

przedmiotami materialnemi, choćby w najlepszych pobudkach, znajduje się [...] na pochyłości zmaterializowania", a niebezpieczeństwo to „będzie większem jeszcze, kiedy postępowi materialnemu nie stoją jednakowo zaporą trudności, które rozwinięcie d u c h o w y c h potrzeb wstrzymują"[121]. W konfidencjonalnym języku cenzurowanej prasy znaczyło to tyle, że skoro zaborcy tamują rozwój polskich szkół, literatury, sztuki, odbierają swobody narodowe i polityczne, to sam wyścig ekonomiczny może spaczyć charakter narodu.

Władysławowi Garbińskiemu, redaktorowi „Roczników Gospodarstwa Krajowego", to zastrzeżenie „Kroniki" dało asumpt do zamknięcia polemiki akordem zdecydowanie organicznikowskim. Nie praca gospodarcza, lecz nawykowe próżniactwo szlachty jest źródłem „materializmu". Skoro zaś praca gospodarcza pozostała niemal jedyną otwartą jeszcze możliwością działania, to tym bardziej trzeba się do niej garnąć: ona w końcu i moralne przyniesie korzyści.

> W kraju – pisał Garbiński – gdzie zaledwie przed kilką miesiącami witaliśmy pierwszą tu na naszej ziemi zbudowaną, do jednego z parowozów machinę parową – gdzie również niedawno po raz pierwszy machinę parową na jednym z folwarków jako siłę poruszającą w gospodarstwie zastosowano – gdzie zaledwie w kilku wyjątkowych punktach przemysł poza granicę prostej kramarszczyzny wznieść się zdołał – gdzie nareszcie niemal przy każdem znaczniejszem przedsiębiorstwie, np. zaprowadzeniu wodociągów, oświetleniu miasta gazem, budowie kolei żelaznych, nie tylko że bez materiałów i wyrobów oraz entreprenerów i techników zagranicznych obejść się jeszcze nie możemy, ale w dodatku tak często skutkiem naszej nieświadomości stajemy się zdzierstwa lub szarlatanizmu zagranicznego ofiarami – w takim kraju, przyznajmy, że trafny lekarz źródła *choroby wieku* nie powinien w *zbytecznym rozwoju przemysłu* upatrywać[122].

---

[121] Komentarz redakcji „Kroniki", przedrukowany wraz z artykułem L. Górskiego w „Rocznikach", t. XXX (1857), s. 279.

[122] Komentarz Wł. G[arbińskiego], ibidem, s. 297.

Była to dyskusja modelowa, konflikt dwóch szlacheckich postaw wobec kapitalizmu w najczystszej swojej postaci. Przez następnych dwadzieścia lub więcej lat argumenty obu stron sporu niewiele się wzbogacą, a ścierać się będą przy lada okazji.

Nie znaczy to, iż ziemiańscy okcydentaliści, akceptujący generalnie i postęp techniczny, i kapitalistyczne reguły gry, ślepi byli na niebezpieczeństwa społeczne, jakie niósł ze sobą zachodni typ industrializacji. Niepokoiły ich periodyczne „wstrząśnienia przemysłowo-handlowe" oraz skutki masowej proletaryzacji. Nie uważali jednak, że trzeba się przerazić, zawrócić z drogi i trzymać gospodarki naturalnej.

> Bo jeśli nawet – jak pisał wspomniany w poprzednim rozdziale Zygmunt Fudakowski – ruch dzisiejszy zachodni w krańcowych swych zwrotach rzuca pewne cienie, to myśmy zbyt bliscy początku, abyśmy już o koniec troszczyć się mieli. Dlatego, że w pewnych punktach oceanu sterczą złowrogie skały w łonie wód ukryte, nikt się nie cofa przed morską podróżą, jeśli mu ją nakazuje potrzeba, szczególniej, kiedy już inni te skały odkryli i zatknęli na nich sygnały[123].

Nowocześni ziemianie wiedzieli więc już, jakiej cywilizacji Polacy potrzebują. I wiedzieli także, jakiej potrzebują moralności. Fryderyk Skarbek w roku 1848 pisał, iż od ludu nie należy wymagać moralności surowej, której wyobrażenie nie pozostawiałoby środka między cnotą a przewrotnością. „Moralność – ciągnął – o tyle jest dobrą, o ile jest praktyczną, i o ile przez każdego może być wykonywaną", taka zaś musi łączyć się z korzyścią osobistą, nie z poświęceniem[124]. Postulat taki przez zamoyszczyków odnoszony był równie chętnie do klas posiadających. Twórcy Towarzystwa Rolniczego nie byli sentymentalni, żądali rozsądku, nie filantropii, i propagowali taką miłość do ludu, która by się o p ł a c a ł a. Pobożność, pracowitość, oszczędność – to były dla nich trzy cnoty główne: ze-

[123] Z. F[udakowski], *Dziennikarstwo i przemysł*, „Gazeta Codzienna" 1860, nr 262.

[124] F. Skarbek, *O wpływie, jaki postęp i zamiłowanie dobrego bytu wywiera na moralność ludu*, „Biblioteka Warszawska" 1848; cyt. wg: F. Skarbek, *Pisma pomniejsze*, t. II, s. 349–351.

staw zdradzający sympatię do mieszczańskich kodeksów etycznych. Ulubionym ich moralistą był Benjamin Franklin, ale – jak zauważyła Ryszarda Czepulis – tak przykrojony, aby nie pobudzał zanadto oczekiwań oszczędnych i pracowitych wieśniaków[125].

Tu bowiem tkwiła główna niekonsekwencja wewnętrzna tego mariażu konserwatorstwa z liberalnością. Skarbek, który z wiekiem stawał się coraz bardziej zachowawczy, wciąż jednak uznawał, że postęp cywilizacji na tym polega, aby wszystkim „zapewniał nie tylko środki utrzymania bytu, lecz nadto r o z s z e r z a ł sferę pragnień i przyjemności, a nade wszystko polepszenia sposobu życia". Czcze jest marzenie o poprawie moralności ludu, dopokąd masy żyją w zwierzęcym stanie „odrętwienia i bezwładności", a ich pragnienia nie przekraczają granicy pierwszych potrzeb[126]. Ale już czaił się lęk, że owa dążność klas pracujących do lepszego bytu może rosnąć szybciej niż środki gromadzone przez zbożną pracę i oszczędność, to zaś zagrozić może porządkowi społecznemu. „W takim stanie rzeczy zamiłowanie dobrego bytu przybiera charakter niezaspokojonej żądzy [...] Wywołuje ono namiętności, prowadzi na bezdroża, a nawet do zbrodni, i p r z e s t a j e b y ć ż y w i o ł e m m o r a l n o ś c i"[127].

W tym sęk, żeby lud się cywilizował grzecznie i wedle swojej miary, a nie starał się naśladować życia klas wyższych, bo z tego rodzi się zawiść, a z zawiści bunt i rewolucje. To zaś znaczyło, że równość wobec prawa jest rzeczą dobrą, ale każdy musi znać swoje miejsce i nie mierzyć za wysoko.

Nie inaczej rozumieli rzecz klemensowczycy, wahając się między pojmowaniem społeczeństwa jako wolnego targu a pojmowaniem go jako organicznego związku hierarchicznie ustopniowanych klas. Eklektyzm ich doktryny ujawnił się w programach reform i w postawach na co dzień. Oczynszowanie miało – jak chciał Zamoyski – oprzeć stosunki dworu ze wsią „na ścisłym rachunku", ale reformatorzy wciąż uważali chłopa za małoletniego, który ani

[125] R. Czepulis, op. cit., s. 151–152.
[126] F. Skarbek, *Pisma pomniejsze*, t. II, s. 344, 347.
[127] Ibidem, s. 360–362.

z wolności korzystać, ani gospodarstwa samodzielnie prowadzić nie potrafi. Protekcjonizm odzwierciedlał się w języku. Piśmiennictwo ziemiańskie unikało potocznego wyrazu „chłop", zastępując go eufemizmami: „wieśniak", „włościanin", „lud wiejski", „pracowita klasa" albo „chłopek", „kmiotek", „czeladka".

Uwolnić kmiotka od pańszczyzny, umożliwić mu z czasem dojście do własności przez wykup czynszów, ale zabezpieczyć kuratelę dworu nad gminą wiejską; propagować w pisemkach dla włościan Franklinowski ideał *self-made-mana* i zarazem wyjaśniać, że szczęście osiągnąć można tylko, poprzestając na tym stanie społecznym, w jakim się kto urodził; chwalić przedsiębiorczość, wszakże szydzić z dorobkiewiczów; obwieszczać, że „pieniądz legitymuje wartość człowieka w społeczeństwie"[128] i podkreślać znaczenie szlachty jako ciała „arcykonserwatorskiego" w narodzie – ta połowiczność i chwiejność daje się wyśledzić w każdym niemal tekście ziemiańskich liberałów. Wynikała ona z przenikania się dwóch odrębnych hierarchii wartości, które nie dawały się zintegrować w spójny system. Każda z nich narzucała inną interpretację zmian gospodarczych, inny stosunek do urbanizacji, do mobilności społecznej, do upowszechnienia oświaty. I inną lekcję katechizmu.

Z tego grona najdalej na Zachód zaszedł Tomasz Potocki-Krzyżtopór, który prawie bez zastrzeżeń akceptował liberalną aksjologię kapitalizmu, dowodząc, że nie ścieśniona niczym wolność gospodarcza, zniesienie przywilejów, równość praw i nierówność posiadania są wcieleniem zasad chrześcijańskiej asocjacji[129]. Na krańcu przeciwnym umieścił się Jan Mittelstaedt, który w końcu lat pięćdziesiątych postanowił stworzyć własny system chrześcijańskiej ekonomii politycznej na użytek polskiej szlachty.

Mittelstaedt należał do skrajnej prawicy Towarzystwa Rolniczego. W jego amatorskim, lecz zabawnym traktacie nie ma nawet słowa o reformie włościańskiej. Dziwne niby. Ale bo też jest to ideo-

[128] Tak w jednym z artykułów w „Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych" 1859, cyt. za: R. Czepulis, op. cit., s. 166.

[129] Krzyżtopór, *O urządzeniu stosunków rolniczych*, s. 13.

log gospodarki parobczańskiej. W czasie, kiedy wszyscy w Królestwie dyskutowali o uwłaszczeniu, Mittelstaedt wystąpił jako zwolennik wywłaszczania chłopów przez dwór i przekształcania ich w służbę folwarczną (sam miał jeden majątek w Królestwie, drugi w Poznańskiem, gdzie po reformie skupował morgi chłopskie). Jego książka to dzieło bogobojnego agronoma: na jednej stronie pisze się o „mierzwie", czyli gnoju, a zaraz na następnej – o zbawieniu wiecznym[130]. Co prawda sąsiedztwa takie spotykaliśmy już u Cieszkowskiego, ale jest pewna różnica. Mówiąc skrótem: Cieszkowski błogosławił nawozy (sztuczne zresztą), a Mittelstaedt Pana Boga zaangażował na rządcę folwarku.

Zarysy ekonomii politycznej zgodne z religią chrześcijańską przez wiele stron powtarzają typowe rezonowania romantycznych słowianofilów. Postęp materialny nie przyniósł ludziom szczęścia, społeczeństwo zostało rozbite na atomy, Germanie (tj. Anglicy i Niemcy) powierzchownie tylko przyjęli wiarę chrześcijańską, a Francuzi, choć szlachetniejsi, też są poganami, „giełdę okrzyknęli nową świątynią, czczą cielca złotego". Smith poświęcił ducha dla materii, reformatorzy socjalistyczni mają dobre chęci, ale nic mądrego nie wymyślili, bogacze umierają z niestrawności, a proletariusze z głodu, i tak wszędzie postęp mechaniki i inteligencji na złe się obraca, przyspieszając „smutny koniec cywilizacji Zachodu"[131]. My nie wejdziemy na tę nieszczęsną drogę teoretycznych spekulacji i praktycznego rozumu. My Słowianie, lud boży, „naród słowa żywego – czynu", my i bez teorii wprowadzimy w życie zdrowe zasady ekonomii: „nam łatwiej rządzić się prostym rozumem, oświeconym nauką Zbawiciela, jak bałamuctwami zachodniej Europy"[132]. Nam łatwiej, bo my łagodni, rolniczy, przez biedę i cierpienia wydoskonaleni. A nasz język taki już jest, że usposabia do uczenia się wszystkich języków, a zatem i do pośrednictwa między narodami. A nasza ziemia to taka jest urodzajna, że w zbożu „żaden kraj z nami kon-

[130] J. Mittelstaedt, *Zarysy ekonomii politycznej zgodne z religią chrześcijańską zastosowane do gospodarstwa wiejskiego*, Warszawa 1859, s. 106–108.

[131] Ibidem, s. 5–8, 12–15, 22–25.

[132] Ibidem, s. 10, 17.

kurencji nie wytrzyma". Więc my Słowianie stworzymy prawdziwą ekonomię polityczną – „nie dla uczonych, ale dla każdego, co ma zdrowy rozsądek". I rozpoczniemy epokę miłości społecznej, która świat w ostatniej chwili uratuje od duchowej śmierci[133].

Bo weźmy na przykład handel. W handlu pięknie może się iścić miłość społeczna, byle stopa kredytowa była niska, bo inaczej tylko lichwiarze się bogacą. I żeby ceł nie było na wywożone zboże, „ponieważ *im więcej dajemy innym narodom, tem się więcej bogacimy*". Konkurencja dobra jest, tylko żeby nie była pogańska, żeby była współubieganiem się w miłości i poświęceniu. Bo przecież narody tak są przez Boga rozdzielone co do produkcji i w y r o b u d u c h a, jak robotnicy w fabryce.

> Niech Królestwo Polskie produkuje najlepszą pszenicę i wykonywa cnoty chrześcijańskie, Włochy pomarańcze, cytryny i sztuki piękne, Cesarstwo Rosyjskie drogocenne futra, skóry, płody ziemne kopalne itd. Przez handel stają się narody dla siebie potrzebne, [...] poznają się bliżej i pokochają[134].

Połączyły się więc nareszcie cnoty chrześcijańskie z cenami pszenicy, słowiańska eschatologia z niską stopą procentową. Nic łatwiejszego, jak zasady te zastosować do gospodarstwa wiejskiego, bo tu mamy do czynienia z liczbami, a te są nieubłagane: „w przyszłości też mężowie i obywatele będą mówić wymownie l i c z b a m i albo E w a n g e l i ą, gadanina ustanie". Na razie autor wyjaśnia, „jak to rozumnie i k o r z y s t n i e dla nas kochać bliźniego"[135].

Dziedzic ma więc miłować bliźniego z korzyścią dla siebie. Co się jednak ludu tyczy, to – powiada Mittelstaedt – błądzą ci ekonomiści, którzy radzą obudzić w nim pracowitość, wskazując mu korzyści materialne, „albo co gorsza, starając się s z t u c z n e zrodzić potrzeby w klassie wyrobniczej, chcą pracę i pilność w robotniku obudzić, aby miał czem te potrzeby zaspokoić: tak pracować może tylko Niemiec, u którego filozofia zastąpiła religią, ale biada nam

[133] Ibidem, s. 29–34.
[134] Ibidem, s. 53–54, 132–135.
[135] Ibidem, s. 58–59.

i robotnikom naszym, gdy wiara żywa w sercach wygaśnie, bo świat zamieni się na miejsce boju dzikich zwierząt, na którym silniejszy i chytrzejszy wygrywa i drugich depce i pożera". Konsumpcję mas wypada powściągać, nie pobudzać, bo nie będzie bardziej cywilizowanym chłop, „który się nauczy palić cygara hawańskie, pić szampana i chodzić w cienkiej i kosztownej odzieży, a zajadać strasburskie pasztety". O nie, nie tędy droga. Praca człowieka musi być wywołana „nie potrzebą, ale uczuciem miłości". Trzeba „wpoić w przekonanie ludu naszego, że każdy pracuje w służbie Boga". Niestety jednak, dodaje melancholijnie autor – „lud nasz nie jest na tym stopniu moralnego usposobienia, aby sam dobrowolnie z miłości pracował – dlatego b e z p r z y m u s u do pracy obejść się nie możemy". Otóż najprostszym sposobem przymuszenia do pracy po zniesieniu poddaństwa jest „służba na rok cały". To jest korzystne dla folwarku, bo parobkowi nie trzeba nawet tyle co na utrzymanie rodziny, skoro „resztę potrzebnego pożywienia może żona i dorastające dzieci zarobić oraz z przychówku świń i drobiu"[136].

I to też będzie najkorzystniejsze dla cywilizacji. Bo Mittelstaedt to nie Henryk Rzewuski, co wielbił prostego siewcę, a nie cierpiał zębatych kółek i zgrzytów maszyny. Nowy Słowianin jest, przeciwnie, entuzjastą nowoczesności, racjonalnego, farmerskiego rolnictwa, które wiele ziemi, a mało ludzi będzie potrzebowało do uprawy, do hodowli. On już domyślił się, jaką rolę energia elektryczna, w Polsce jeszcze praktycznie nieznana, będzie wkrótce pełnić. Ten chrześcijański wróg pogańskiej Anglii to brytyjski landlord, farmer, kupiec zbożowy i pastor w jednej osobie:

> niech wiatr, woda, para i elektryczność za ludzi pracują [...], niech znikną nędzne wózki zaprzęgane koniętami chłopskiemi – niech wszystko podług praw mechaniki się urządza[137].

Podług praw mechaniki, ewangelii i ekonomii. Łatwo sobie drwić z autora, który doszedł do szczytu utylitarnej hipokryzji,

---

[136] Ibidem, s. 109–112, 116, 133.
[137] Ibidem, s. 99.

z każdej idei robiąc interes, a z interesu ideę. Metoda nie była wcale rzadka, ale nam tu nie o klasowe demaskowanie chodzi – tym się już tylu historyków trudniło! – lecz o pokazanie, jak uporczywy był problem moralności systemów kulturowych i ekonomicznych i jak bogata jego kombinatoryka.

Nie tylko u nas, na Wschodzie. W połowie dziewiętnastego wieku liberalna myśl ekonomiczna znalazła się w impasie: oskrzydlona atakami i z prawa, i z lewa, więcej się zajmowała usprawiedliwianiem kapitalizmu niż badaniem jego mechanizmów. Polscy nowocześni, dla których zachodnie dzisiaj miało być dopiero dniem jutrzejszym, łatwo znajdowali odpowiadające im argumenty w *Harmoniach ekonomicznych* Bastiata, w *Listach o organizacji pracy* Chevaliera czy w wykładach Baudrillarta. Henri Baudrillart w roku 1858 zdobył pierwszą nagrodę w konkursie paryskiej Akademii Nauk Moralnych za pracę *Des rapports de la morale et de l'économie politique*; wykładał następnie ten przedmiot w Collège de France i kurs swój ogłosił drukiem w roku 1860. Już w następnym roku został on wydany w Warszawie w dość swobodnej adaptacji[138]. Była to niewymyślna apologia zbudowana z obiegowych od pół wieku sentencji o moralnych dobrodziejstwach kapitału, własności, pracy swobodnej, oświaty powszechnej, przemysłu i kolei żelaznych. Znamienny jest kulturowy uniwersalizm tego stanowiska: cywilizacja przemysłowa jest dobra dla wszystkich, nie tylko dla Europejczyków. Rasy ludzkie nie różnią się wszak zdolnościami, tylko stopniem oświaty. Kiedyś Wschód przewodził w postępie powszechnym, teraz Europa. W pracy przemysłowej siła fizyczna znaczy coraz mniej, umysłowa, moralna coraz więcej, przeto „najmoralniejsze dziś ludy władną największymi kapitałami". A skoro tak, to śmieszną jest sielankowa tęsknota do pierwotnej, barbarzyńskiej prostoty[139].

Baudrillart w duchu chrześcijańskim personalizował siły i kategorie ekonomiczne: ziemia, praca i kapitał to tylko „pomocnicze

[138] J. Niemirowski, *O związku moralności z ekonomią polityczną*. Podług wykładu H. Baudrillart, profesora w Collège de France, Warszawa 1861.

[139] Ibidem, s. 97, 110, 123.

żywioły produkcji"; podmiotem gospodarczym jest człowiek obdarzony duszą i ciałem[140]. Brzmi to ładnie, ale gatunek moralizmu liberałów sprawdzał się zawsze wtedy, gdy przychodziło do rozmowy o duszy i ciele robotnika. Ekonomista z Collège de France cieszył się, jak wielu przed nim, że maszyna parowa tak dodatnio wpłynęła na życie domowe robotników, „do pracy powołała kobietę i dziecko!" [wykrzyknik w tekście]. A jak dobrze, że wielka produkcja zastępuje liczne drobne i rozrzucone warsztaty: w tym spełnia się zasada ekonomii wysiłku. Postęp, postęp! „Przed dobroczynnymi skutkami rękodzieł nikną żale Owena, deklamacje Sismondiego i sentymentalne narzekanie drobnych fabrykantów". Robotnik w fabryce ma lepiej niż rzemieślnik, życie bardziej uregulowane, praca lżejsza, a za to dłuższa, więc mniej sposobności do demoralizującego próżniactwa. Co więcej, „rękodzielny robotnik pracuje z innymi; *słodycz towarzystwa*, łagodząc zajęcie, wpływa korzystnie na jego życie". W tym to miejscu polski tłumacz, a raczej adaptator dzieła, dodał, że o ile niemieckiemu robotnikowi wystarcza akuratność w wypłatach zarobków, to naszemu, co ma duszę słowiańską, potrzeba jeszcze, aby się przywiązał do swego p a n a [tak w tekście] i trzeba mu „poczciwego słowa". W czym najlepiej pomogą duchowni, bo „pod wpływem chrześcijańskiej pokory najcięższa praca zmienia się w *słodką próbę*, której Ojciec Niebieski od nas żąda"[141].

Kapitalizm rozwijał się, bo musiał, konserwatystom było gorzko, liberałom słodko. Zygmunt Dangel, autor wstępu do ekonomii politycznej, który zresztą cale strony odpisywał z polskiego wydania Baudrillarta, był także pełen słodyczy. „Te tylko prawdy – pisał – są prawdami ekonomicznymi, które są wyjęte z zasad nauki Chrystusa", z czego już łatwo wynikało, iż ekonomia to wręcz s y n o n i m moralności[142]. Bezprawnie natomiast powołują się na Chrystusa socjaliści, boć przecież Chrystus głosił miłosierdzie, nie komunizm.

[140] Ibidem, s. 71, 83.

[141] Ibidem, s. 204–211.

[142] Z. Dangel, *Ogólne zasady ekonomii politycznej*, t. I, Warszawa 1862, s. 16–29.

„Socjalizm więc i ekonomia polityczna to dwie sprzeczności, dwa kontrasta w ciągłej walce zostające, z których ostatni stara się ugruntować i w życie wprowadzić wolność ducha i materii człowieka, pierwszy zaś gwałci prawa boskie, nakładając więzy samodzielności". Wykorzeniać socjalizm jest więc obowiązkiem ekonomii, nauki „prowadzącej ludzkość kierunkiem przez najwyższą mądrość, najwyższą filozofię, najwyższą moralność, kierunkiem przez Jezusa Chrystusa podanym"[143].

Jak wynika z dalszych partii tekstu, Jezus Chrystus musiał być zdeklarowanym zwolennikiem wolnego handlu, wrogiem zaś „systematu protekcyjnego", który jest najgorszym zabobonem ciemnoty:

> Wolność handlu to sztandar, pod którym wszyscy *libreèchangiści*, prawdziwi ekonomiści wieku dzisiejszego, walczą z całym zastępem średniowiekowych pojęć i zabobonów. Wolność handlu to jutrzenka oświacie narodu przyświecająca [...] To wreszcie podstawa, z której wychodząc, człowiek coraz to więcej życiem swem sprawdza słowa Pisma Śgo, że stworzony na obraz i podobieństwo Boga jako Pana Wszech rzeczy, potęgą Ducha swego nad światem całym panującego[144].

Tak się wtedy pisało podręczniki.

W tym samym czasie Józef Supiński nie wzywał imienia Pana Boga swego nadaremnie. On także był z pokolenia, które szukało syntezy chrześcijańskiej filozofii moralnej z nauką gospodarstwa. Tyle że mierzył wyżej: myśl Bożą odnajdywał nie w rachunkach folwarcznych, lecz w planie ogólnym wszechświata i w postępie społeczeństw ludzkich. Od czasu Kamieńskiego nikt jednak tak ostrej, jak Supiński, nie udzielił odprawy moralistom antyekonomicznym – tradycjonalistom szlacheckim i romantykom. Liberał w każdym calu, uznawał, że

> tylko materialna potęga narodu, tego zbioru p o j e d y n c z y c h jestestw, toruje mu drogę do swobód, oświaty i niezależności. Dlate-

[143] Ibidem, s. 109–110.
[144] Ibidem, s. 310, 318–320.

go też nauka gospodarstwa społecznego, którą grubym materializmem nazywacie, nie podkopuje zasad moralności i oświaty, bo ona sama stoi na oświacie i moralności. Nakreślając drogi wiodące do mienia, siły i ładu, usuwa ona źródła ciemnoty, upodlenia i występków [...] Jej prawdy mogą tylko szkodzić i z czasem zaszkodzą stanowczo tym, którzy dla własnych widoków usiłują tamować rozwój powszechny[145].

I dalej wybuchał wielką tyradą przeciwko tym, co rzucają klątwy na przemysł, na gromadzenie zasobów, na przedsiębiorczość. Przeciwko poetom i wielbicielom umarłej przeszłości, co śmią wstręty własne narzucać narodowi swojemu i odwracać go od środków ratunku:

Nie obrzydzajcie nam Anglii i Francji, bo Anglia i Francja r z ą d z ą światem, a my s ł u c h a m y całego świata; nie nazywajcie ich życia „brudną kałużą", bo ta kałuża wydaje ludzi, przy których wy jaśnieć nie możecie; nie plamcie ich zapobiegliwości nazwą egoizmu, bo ten egoizm czyni dla pospolitej rzeczy poświęcenia, o jakich my nawet marzyć nie umiemy[146].

Szydził z mistycznych wtajemniczeń teologii i romantycznej poezji, ale czyż sam nie był mistykiem? mistykiem wiedzy i postępu? „Wszystko przemija – pisał – prócz prawd odwiecznych, skrytych w odległości i przedzielonych wiekami podróży. Człowiek n i e c i e r p l i w y wypełnia sobą próżnię, której przetrwać nie może". Nauki ścisłe odkrywają tajemnice Boga. Więc i ten polski *homo impatiens* za Condorcetem przepowiadał człowiekowi „trwanie bliskie nieśmiertelności". Olśniewały go iskry elektryczne, co „niosą słowa po świecie z szybkością, której piorun nie sprosta, siłą czarodziejską, przy której znika czas". Za Augustem Blanqui powtarzał w zachwyceniu jego futurystyczne wizje: „Jedno prawo dla wszystkich... w jego obliczu krzywda p r y w a t n a przechodzi w p u b l i c z n ą obrazę... Rozpościerające się miasta jaśnieją nieznanym dotąd życiem i blaskiem... drogi i spławy przerzynają niwy bujnym

[145] J. Supiński, *Szkoła polska gospodarstwa społecznego*, wyd. III, w: *Pisma*, t. II, Warszawa 1883, s. 30.
[146] Ibidem, s. 158.

pokryte plonem... lądy i morza oczyszczone z rozbojów... szkoły dla ludu... coraz dalej sięgające polityczne prawa... banki, akcje, kasy oszczędności, jawność finansów, spisy ludności, para, żelazne koleje". To nie utopia. To duch ludzki odmienia postać świata. „Któż rozmierzy dalej ten postęp i któż przewidzi przyszłość ludzkości całej?" Wieki zmieniają się w dnie i godziny. Nowy, wspaniały świat już blisko.

> Tak, to świat nowy, świat gorejący, w którym się stapiają dwa chrystusowe światy, bo zrównanie zaszczepione w obłokach zapuszcza już korzenie w ziemię. [...] W tym świecie nowym wszystko musi być nowem. Ślepa t r w o g a, szał wieków poetyckich, życie oderwane od ziemi – pompa u góry, nędza u dołu – wszystko, co początkujące, usuwa się blade, omdlałe i bezsilne. [...] Narody się zrastają w jednolite ciało, które żyć kiedyś będzie bez trwogi, opieki, sławy, poezji i niewoli, które żyć będzie *pracą i wiedzą*. Im dalej w tył, tym więcej mistyczności, sztuki i urojeń; im dalej w przód, tym więcej prawdy, suchości i rzeczy[147].

To nie utopia. To wichrowy prąd życia zbiorowego. Człowiek wyzbywa się trwogi o duszę i trwogi o mienie, wyzbywa się upiorów przeszłości, sam staje się panem przeznaczenia swego. To nie utopia. To postęp nieskończony, „to przewaga prawd przyrodzonych, praw boskich ujętych wiedzą człowieka". Nie twórzmy światów urojonych. „Żyjmy s p o k o j n i wśród świata, gdzie nas Stwórca umieścił; świat ten nie wyda Kolumba, który by odkrył wyspę Morusa lub szczęśliwe państwo księdza Jana"[148].

Mógłby był dodać, że ten świat nie wyda także doktora Fausta, bo przecież Bóg bez oporu odsłania tajemnice natury zuchwałym uczonym i niecierpliwa ludzkość nie będzie musiała za potęgę i wszechumiejętność płacić potępieniem duszy. To tylko romantycy i niektórzy z zachowawców czuli zapach siarki, jakąś demoniczność

---

[147] J. Supiński, *Myśl ogólna fizyologii wszechświata*, wyd. III, w: *Pisma*, t. I, Warszawa 1883, s. 258–262.

[148] Ibidem, s. 263. Aluzja do średniowiecznej legendy o bajecznie bogatym królestwie chrześcijańskiego księdza gdzieś na Wschodzie.

m a s z y n i z m u i wyzwolonego tłumu. Imaginacji postępowców jeszcze się nie uczepiła myśl o możliwym rozszczepieniu wartości. Nie przeczuwali tragizmu komedii nie-boskiej. Ufali rozumowi człowieka i rozumowi historii. Przyszłość rozpoznawali jako krainę obfitości i wiecznego pokoju zbratanych klas i narodów i dlatego żyli spokojni o losy świata. W ubogim krajobrazie swojej ojczyzny uparcie zszywali *sacrum* i *profanum*: wielką obietnicę z małymi interesami dnia powszedniego. Nić rwała się raz po raz.

Część II

ZAKLĘTE KOŁA

4. Potrzebni, ale zbędni

Paradoksalne zjawisko nadmiaru ludzi wykształconych od trzech stuleci występuje powszechnie w krajach rozwijających się. Rozwój szkolnictwa średnich i zwłaszcza wyższych szczebli, uzupełniany kształceniem zagranicznym, z reguły wyprzedza ogólny wzrost poziomu cywilizacyjnego danego kraju i zdolności jego gospodarki do spożytkowania pracy kwalifikowanej.

Zjawisko to zawsze powoduje silne napięcia społeczne. Do nierówności w podziale praw cywilnych, majątku, dochodów i władzy dochodzi nowy wymiar: drastycznych nierówności w podziale wiedzy i umiejętności i w dostępie do dóbr kultury. Olbrzymi dystans między analfabetyzmem i cywilizacyjnym prymitywizmem mas a wyrafinowaną kulturą umysłową wykształconych elit jest typowy dla wszystkich krajów we wczesnych fazach procesu modernizacyjnego. Ponadto wykształcenie, zwłaszcza młodzieży z warstw niższych i średnich, budzi w niej zawsze oczekiwanie społecznej gratyfikacji, to jest przekonanie, iż po latach spędzonych nad książkami należy się jej wyższe miejsce na drabinie dochodów, prestiżu i wpływów politycznych. Jeżeli społeczeństwo, rząd i pracodawcy aspiracji tych nie potrafią zaspokoić, zwracają się one łatwo przeciwko panującemu systemowi[1].

[1] L. O'Boyle, *The Problem of an Excess of Educated Men in Western Europe 1800–1850*, „Journal of Modern History" 1970, nr 4, s. 471–495.

Wyalienowanych – bo zawiedzionych w swych awansowych oczekiwaniach – intelektualistów wykrywa się, jako ideologów i przywódców, we wszystkich niemal ruchach radykalnych lewicy i prawicy po dzień dzisiejszy. W Rosji drugiej połowy dziewiętnastego wieku im właśnie, a nie urzędnikom i profesjonalistom, przypisano nazwę „inteligencji". Arcyciekawy to przedmiot dla badań porównawczych[2].

Z pewnością jednak zawiedzione oczekiwania części wykształconej młodzieży i zaburzenia procesu jej reintegracji społecznej nie w każdych warunkach popychają ją na drogę myślenia i działania rewolucyjnego. Doświadczane poczucie zbędności może znajdować ujście i psychologiczną kompensację w zaostrzeniu walki konkurencyjnej (np. z innymi grupami etnicznymi) albo w emigracji, albo w tworzeniu swoistych subkultur marginesu społecznego, artystycznej bohemy itp. Może także całkiem zwyczajnie prowadzić do rezygnacji, zgorzknienia, pogodzenia się z nieciekawą egzystencją prowincjonalnego belfra, zapoznanego talentu.

W Polsce pierwsza gromadka niespokojnych i życiowo nieustabilizowanych intelektualistów pojawiła się w epoce Sejmu Czteroletniego i widoczną wówczas odegrała rolę. Po rozbiorze kraju niemały zastęp ludzi „zbędnych" wyprodukował Uniwersytet Wileński, wcześniej niż inne uczelnie Cesarstwa[3]. Ruch romantyczny i spisek przedlistopadowy były w przeważnej mierze dziełem młodych *avant la lettre* inteligentów, których bunt rodził się tyleż z gorącego patriotyzmu i przejęcia się nowymi prądami europejskiej polityki i literatury, co z poczucia braku perspektyw życiowych i niemożności sensownego spożytkowania wykształcenia i ambicji.

Z okresu międzypowstaniowego – mimo odpływu intelektualnej elity na emigrację i mimo braku wyższych uczelni w kraju – mamy wiele doniesień o trudnościach znalezienia pracy i klienteli

[2] Zob. O.W. Müller, *Intelligencija. Untersuchungen zur Geschichte eines politischen Schlagwortes*, Frankfurt 1971.

[3] D. Beauvois, *Inteligencja bez wyjścia: wiedza a przywileje społeczne w Wileńskim Okręgu Szkolnym (1803–1832)*, w zbiorze: *Inteligencja polska pod zaborami*. Studia pod red. R. Czepulis-Rastenis, Warszawa 1978, s. 11–64.

przez nauczycieli, lekarzy, prawników, a nawet inżynierów[4]. Dla rzeszy średnio (lub mniej niż średnio) wykształconej młodzieży szlacheckiego czy mieszczańskiego pochodzenia najbardziej kuszącą karierą była wciąż służba urzędnicza: wprawdzie nudna i jałowa, podporządkowana celom zaborczych rządów, ale za to nie wymagająca fachowych kwalifikacji i zapewniająca, po szczęśliwym przebiedowaniu przez okres aplikantury, jaką taką stabilizację. Gust do urzędowania, pchanie się do posad rządowych, przypisywane pospolicie ciążeniu szlacheckiej tradycji, nie były zresztą bynajmniej zjawiskiem osobliwie polskim: to samo stwierdzano na przykład we współczesnej Francji, ku oburzeniu pogardzających biurokracją industrialistów[5].

Pojęcia „nadprodukcji" talentów i wykształcenia (*Geistige Ueberproduktion*) oraz „proletariatu umysłowego" narodziły się, jak się zdaje, w Niemczech po Wiośnie Ludów, pod oczywistym wpływem literatury socjalistycznej[6]. W prasie galicyjskiej lat pięćdziesiątych dyskutowało się już wprost o „nadprodukcji inteligencji", winę za ten stan rzeczy przypisując przeważnie tradycyjnym programom nauki szkolnej i uniwersyteckiej, nie przystosowanym do potrzeb gospodarczych kraju. W artykule z roku 1864 pisał Ludwik Powidaj, że przez obecny sposób wychowania „tworzy się corocznie liczny zastęp proletariatu inteligencyjnego, nie tylko bez pożytku, ale ze szkodą narodową"[7].

W zaborze rosyjskim sprawa nabrała ostrości w latach poprzedzających powstanie styczniowe. Szczególnie tu silna zależność

[4] R. Czepulis-Rastenis, *„Klassa umysłowa". Inteligencja Królestwa Polskiego 1832–1862*, Warszawa 1973, s. 87–88, 232–234; tejże, *Lekarze urzędowi (1832–1862)*, w: *Społeczeństwo Królestwa Polskiego*, t. III, red. W. Kula, Warszawa 1968, s. 70–72, 82–83; tejże, *Kształtowanie się inteligencji technicznej w Królestwie Polskim*, w: *Społeczeństwo polskie XVIII i XIX wieku*, t. IV, red. W. Kula i J. Leskiewiczowa, Warszawa 1970, s. 102–106.

[5] N. Assorodobraj, *Elementy świadomości klasowej mieszczaństwa*, „Przegląd Socjologiczny", t. X (1948), s. 179–182.

[6] Zob. L. G[umplowicz], *Korespondencja z Wiednia*, „Dziennik Literacki" (Lwów) 1866, s. 331–333.

[7] L. Powidaj, *Polacy i Indianie*, „Dziennik Literacki" 1864, s. 788.

inteligencji, także zawodowo wyspecjalizowanej, od rządu-pracodawcy, skrupulatnie kontrolującego lojalność i konduitę swych funkcjonariuszy, rodziła u jednych postawy służalczej gorliwości i karierowiczostwa, u innych tłumioną – do czasu – frustrację. Czym to grozi, najwcześniej zdali sobie sprawę publicyści obozu zachowawczego oraz bystrzejsi przedstawiciele sfer rządowych. Tak Józef Miniszewski, zazwyczaj chwalca staropolskiej szlacheckiej tradycji, ni stąd, ni zowąd narzekał w swych moralizatorskich gawędach, że Polacy gospodarują byle jak w porównaniu z Niemcami, a młodzież, zamiast do przemysłu i handlu, tłoczy się tylko „do biur rządowych", bo ojcowie każą ich uczyć nie pożytecznego fachu, lecz „wszystkiego po trosze"[8]. Ten sam autor, kiedy został *porte-parole* Wielopolskiego, nadal martwił się „przeludnieniem biur" oraz rozrostem „proletariatu" adwokackiego[9]. O tworzeniu się „proletariatu urzędniczego" wspominał też sam margrabia[10]. Warto dodać, że przy pierwszych zapisach do Szkoły Głównej, w roku 1862, na sześciuset przyjętych studentów aż czterystu wstąpiło na wydział prawno-administracyjny, którego liczebna przewaga utrzymała się do likwidacji uczelni[11].

Na razie więc reforma szkolna Wielopolskiego nie była w stanie zmienić tradycyjnego profilu nauczania: nastawiona była raczej na zapewnienie dopływu nowych, lepiej wykwalifikowanych sił do szkolnictwa, sądownictwa i administracji niż do gospodarki narodowej. Z tym jednak, że rozbudowa systemu oświaty i rozpoczęta repolonizacja służb rządowych w Królestwie stwarzałyby zapewne tym nowym kadrom lepsze szanse kariery. Przyszło to jednak za późno. Jaką rolę motywacyjną odegrała niedrożność awansowa

---

[8] [J.A. Miniszewski], *Listy cześnikiewicza do marszałka*, Warszawa 1958, s. 144–145.

[9] J.A. Miniszewski, *O służbie publicznej*, „Dziennik Powszechny" 1862, nr 157.

[10] A.M. Skałkowski, *Aleksander Wielopolski w świetle archiwów rodzinnych*, t. III, Poznań 1947, s. 123.

[11] Zob. *Dzieje Uniwersytetu Warszawskiego 1807–1915*, pod red. S. Kieniewicza, Warszawa 1981, s. 348.

w procesie radykalizowania się inteligencji na początku lat sześćdziesiątych, wymierzyć trudno. To pewna, że spiski warszawskie i tworzenie zrębów organizacji „czerwonych", a później kadr organizacji powstańczej, były w przeważającej mierze dziełem młodych inteligentów, wśród których nie brakowało funkcjonariuszy różnych wydziałów rządowych, ani też polskich oficerów ze szkół wojskowych i sztabów carskiej armii.

Po klęsce powstania wszystkie te czynniki określające strukturę zawodową i sytuację bytową pracowników umysłowych działały nadal. Ocenia się, że w końcu lat sześćdziesiątych przeszło 70% pracowników umysłowych w Warszawie było na etatach państwowych (licząc w tym dopiero co „zetatyzowane" duchowieństwo katolickie). Komunikacja, przemysł, handel i banki prywatne dostarczać miały - w Warszawie! - zajęcia zaledwie 15% inteligencji, a jeszcze niższy odsetek przypadałby na „zajęcia wyzwolone", tj. na utrzymujących się tylko z klienteli[12]. 40% lekarzy warszawskich zajmowało posady rządowe (co nie wykluczało praktyki prywatnej), a liczba budowniczych pracujących wyłącznie na zamówienie prywatne była mniejsza niż zatrudnionych na etatach administracyjnych, miejskich i na kolei[13]. Dają się we znaki te same co przed powstaniem trudności ze zdobyciem posady lub praktyki prywatnej, a jeśli brak jeszcze sygnałów trwałego bezrobocia, to zapewne głównie z powodu strat powstańczych, zsyłek i nowej emigracji.

Od dawna już niepewna równowaga między podażą pracy umysłowej a wolnymi miejscami pracy w Królestwie uległa zachwianiu na przełomie siódmej i ósmej dekady. Na rynek pracy wchodziły właśnie ostatnie, stosunkowo liczniejsze roczniki wychowanków Szkoły Głównej[14], a wraz z nimi absolwenci uniwersytetów

---

[12] J. Leskiewiczowa, *Warszawa i jej inteligencja po powstaniu styczniowym 1864–1870*, Warszawa 1961, s. 137.

[13] Ibidem, s. 101, 112.

[14] Zob. liczby słuchaczy IV kursu tudzież magistrów za lata 1865–1870: S. Borowski, *Szkoła Główna Warszawska 1862–1869: Wydział Prawa i Administracji*, Warszawa 1937, s. 245, 286 i in.; S. Dobrzycki, *Wydział Matematyczno-Fizyczny Szkoły Głównej Warszawskiej: Sekcja matematyczna*, Wrocław 1971, s. 117, 122–125.

rosyjskich i zachodnich, do których dostęp stał się nieco łatwiejszy dla Polaków od końca lat pięćdziesiątych. Prześladowania polskości na Litwie i Rusi i intensywna rusyfikacja tych ziem, która wyprzedziła usiłowania rusyfikacji „kraju przywiślańskiego", skłaniała część młodej inteligencji ze wschodu do przenoszenia się do Kongresówki.

W tym samym czasie rozpoczął się wzmożony napływ do miast w poszukiwaniu pracy tak młodzieży ziemiańskiej, jak dzierżawców i rządców dóbr zwalnianych w wyniku pouwłaszczeniowego kryzysu własności szlacheckiej lub represyjnych konfiskat. Wreszcie powrót do kraju części zesłańców i emigrantów ułaskawionych amnestią 1867 roku, a z reguły pozbawionych środków utrzymania, zwiększył jeszcze bardziej nacisk na rynek pracy.

Naciskowi temu nie odpowiadał przyrost liczby miejsc pracy. Przeciwnie: znoszenie odrębnych instytucji rządowych Królestwa i przekształcanie ich w agendy rządu centralnego pociągnęło za sobą znaczne redukcje personelu, zanim jeszcze zaczął się liczniejszy napływ funkcjonariuszy rosyjskich. Proces trwał dwa dziesiątki lat. Po reformie roku 1876 redukcje polskiej inteligencji objęły sądownictwo; równolegle nauczycieli gimnazjów i profesorów uniwersytetu warszawskiego zastępowano, gdzie się dało, Rosjanami, a przynajmniej nie udzielano Polakom nowych nominacji. Rugowano ich z zarządu dóbr i lasów skarbowych. Na ostatku proces objął – po roku 1886 – Bank Polski, przemianowany w filię Banku Cesarstwa. „Dopuszczają jeszcze żywioł polski do administracji i policji tam, gdzie jest niezbędnym, nie tamują mu lichego burmistrzowania po miasteczkach"[15] – pisał Stanisław Krzemiński.

Rusyfikacja Królestwa stała się kolejną, po klęsce powstania, katastrofą narodową. Dla inteligencji polskiej i dla kształcącej się młodzieży oznaczała ponadto zagrożenie materialnej podstawy bytu. Inteligencja, ze swym zawodowym profilem, nie była przygotowana do ekonomicznej samodzielności. Tym mniej była do niej

[15] [S. Krzemiński], *Dwadzieścia pięć lat Rosji w Polsce (1863–1888)*, Lwów 1892, s. 167.

przygotowana pauperyzująca się część szlachty wiejskiej, dążącej do miast w poszukiwaniu urzędniczej najczęściej pracy.

W obliczu zamykania się dróg kariery urzędniczej, nauczycielskiej, wreszcie sądowniczej, aspiracje młodych inteligentów przesuwały się ku wolnym zawodom lub ku poszukiwaniu zatrudnień prywatnych na kolei, w bankach lub przemyśle. Rychło jednak okazać się miało, że gospodarstwo krajowe, w szczególności jego młody sektor kapitalistyczny, nie było zdolne do absorbcji tysięcy osób, dla których nagle zabrakło miejsca w żywiącej ich dotąd sferze nieprodukcyjnej.

„Młoda prasa" już u progu lat siedemdziesiątych uderza na alarm. Aluzyjnie tylko mogąc dotykać politycznych przyczyn kryzysu, tym obszerniej rozpisuje się o jego przyczynach i skutkach ekonomicznych i wychowawczych. Dwudziestotrzyletni Aleksander Świętochowski dopiero co opublikował był: *My i wy*, *Opinię publiczną*, *Tradycję i historię wobec postępu* – buńczuczne, prowokujące manifesty ideowe młodych. Już w tych artykułach, zwłaszcza w *My i wy*, które niejedną frazą przypominały ataki romantyków przeciw klasykom sprzed pół wieku, „starzy" dopatrzyli się – i nie bez racji – nie tylko buntu ideowego, ale także żądania m i e j s c a dla młodych. Zaraz potem Świętochowski staje się otwartym rzecznikiem i n t e r e s ó w swego pokolenia:

> Młodzież opuszczająca ławki uniwersytetu częścią rozbiegła się po społeczeństwie i czeka na sposobność pracy, mała cząstka zajęła stanowiska, z których wpływ wywierać może, częścią zaś dosyć liczną stanęła na czele duchowych interesów ogółu. Największa więc ilość czeka... Ciągle bowiem przybywa coraz nowy zastęp jednostek uzdolnionych do pewnej, nieraz nawet bardzo pożądanej pracy – a tymczasem pole tej pracy coraz bardziej się ścieśnia. Po zaułkach życia tuła się massa sił dzielnych, niezużytkowanych i niewyprowadzonych na jego widownię! Szczególne położenie. Społeczeństwo choruje na tysiące niezaspokojonych potrzeb – a jednostki zdatne do ich zaspokojenia stoją bezczynne, policzone do kategorii sił zbywających[16].

[16] [A. Świętochowski], *Młodzi*, „Przegląd Tygodniowy" 1872, s. 178.

Trzy miesiące później Świętochowski raz jeszcze pyta: Co robić? „jak zatrudnić massę sił bezczynnych, zdrowych, dzielnych i na próżno dopominających się o pracę. Jest to n a c z e l n a k w e s t i a naszego bytu społecznego, węzeł, w którym są splątane wszystkie główniejsze interesa obecnej chwili". Czy warto w ogóle uczyć się, studiować, specjalizować?

> Prawnik zostaje guwernerem, filolog wstępuje do banku handlowego, matematyk uczy na pensji łaciny, a naturalista pisze u rejenta. Pomieszanie zdolności, usposobień, przeznaczeń – prawdziwa wieża Babel, zbudowana z mózgów ludzkich. A wszędzie nędza i zwątpienie. [...] Takich umysłów zmarnowanych w bezczynności lub stłumionych w warunkach im przeciwnych, mnóstwo – prawie 7/10 ogólnej massy sił duchowych.
>
> Tak oto rodzi się umysłowy p r o l e t a r i a t. Ten wyraz –
>
> ten zszargany łachman [...], pod którym gromadzą się męty i szumowiny, u nas służy za sztandar najszlachetniejszym i najdzielniejszym zastępom. Tysiące jednostek zdrowych, zdolnych, użytecznych, potrzebnych – przez brak pracy tworzą proletariat, dziwną koleją rzeczy spokrewniając się z nadgniłemi słojami społeczeństwa[17].

W patosie tych słów, w retorycznym nadmiarze przymiotnikowych samookreśleń znalazło wyraz doświadczenie życiowe pierwszego popowstańczego pokolenia wykształconej młodzieży: doświadczenie z b ę d n o ś c i, zablokowania aspiracji u progu dojrzałego życia. Sam Świętochowski zapewne nie doznawał tego poczucia: nadspodziewanie szybko znalazł zastosowanie dla swoich zdolności. Wielu innych próbowało tejże drogi: studencką biedą i trudnością rozpoczęcia karier zawodowych tłumaczono niejednokrotnie ów run młodych do dziennikarstwa i publicystyki, które dawały zarobek lichy wprawdzie, ale za to szybki i względnie łatwy, a na dodatek pewną popularność i wpływ na opinię publiczną.

Wszelako problem nadprodukcji inteligencji i braku pola do pracy tracił szybko swoje pokoleniowe odniesienia. Młodzi publicyści po pierwszych upustach rozgoryczenia dostrzegali, iż osobli-

[17] [A. Świętochowski], *Co robić?*, „Przegląd Tygodniowy" 1872, s. 289–290.

wość położenia ich rówieśników na tym tylko polega, że wkroczyli w wiek pracy w szczególnie niekorzystnym momencie. Brak szans, marnotrawienie zdolności, okazywały się losem polskiej inteligencji bez względu na jej wiek. Tylko że młodzi, jeszcze nie zrezygnowani, szczególnie dotkliwie odczuwali paradoks położenia: czuli się ogromnie ze swą wiedzą potrzebni krajowi – i zarazem zbędni. Ideologowie pracy u podstaw będą szukali sposobów przerwania tych zaklętych kręgów.

Krąg pierwszy: ludzie „do wszystkiego"

Ze względu na cenzurę przede wszystkim, ale także ze względu na swą programową zasadę przystosowywania się do nie dających się zmienić warunków, pozytywiści nie zajmowali się krytyką carskiego systemu, z pasją natomiast oddawali się wychowywaniu społeczeństwa. W obliczu redukcji polskiego personelu urzędniczego, przeważnie nie mającego kwalifikacji do żadnej pracy poza kancelariami, pojawić się musiała znowu myśl o zgubnej społecznej estymie dla urzędowania, estymie, która wypływała jakoby ze szlacheckiej tradycji tak samo, jak pogarda dla pracy fizycznej. Odwrócenie tej hierarchii wartości miało uzdrowić strukturę zawodową warstw oświeconych.

Tak więc anonimowy współpracownik „Niwy" przypominał, że praca umysłowa, tak samo jak fizyczna, jest towarem, który podlega prawu „zaofiarowania i żądania". Skoro więc „z powodu zmienionych okoliczności daleko mniej dziś potrzeba urzędników aniżeli dawniej", trzeba się wziąć do takich gałęzi „pracy społecznej", na których wyroby jest popyt. Po tym wykładzie ekonomii szła moralistyka. Autor szydził z głupoty i lenistwa biurowych „pasożytów społecznych", u których „jakaż czczość w głowach i żołądkach". A przecież – pytał – „dlaczegóż mam się wstydzić pracować wspólnie z posmolonym robotnikiem, jeżeli ta szlachetna praca daje godziwe zyski, przewyższające nawet pensyje średnich urzędników?" Przez pracę „wspólną z robotnikiem" rozumiał autor najwyraźniej

stanowisko fabrycznego majstra, bowiem warunkiem skierowania młodzieży na nowe drogi miało być udostępnienie jej średniego wykształcenia technicznego: „Albo utwórzmy prywatne szkoły techniczne, albo wysyłajmy z funduszów składkowych do zagranicznych zakładów. Czyńmy wreszcie jedno i drugie"[18].

W rok później ten sam temat podjęła ze swadą Eliza Orzeszkowa. Obserwując czy to nadniemeńską, czy nadwiślańską scenę, pisała o głupich ambicjach zrujnowanych synów obywatelskich, szukających posady, i tylko posady. I chociaż przyznawała, że o posady te współzawodniczą oni z dziećmi innych, nieszlacheckich warstw społecznych, to jednak okazywało się, że „nad głowami poszukiwaczów unosi się tradycja, echa przeszłości [...] unoszą się nad brukiem miejskim, obwieszczając gościnność i zbawczość biur rządowych". A przecież – dowodziła – biura te już w dawniejszych, lepszych latach były ponad miarę przepełnione i młodzież trwoniła w nich swe zdolności, o czym pisał Korzeniowski w *Krewnych*. I nic nie pomaga, nadal ten sam pęd, co tłumaczyć można tylko „ślimaczym zasklepieniem się w skorupie raz utartych wyobrażeń". Bo przecież dziś ci poszukiwacze posad z paru klasami gimnazjum nie mogą wspiąć się wyżej niż na „stołek kancelisty", a i tego „zdobyć niepodobna inaczej, jak długim zachodem i niskim ukłonem". Z tych to „parobków biura" rodzi się nasz rodzimy proletariat, litości godny, ale „nie mniej dla trwałości i pomyślności bytu naszego społeczeństwa niebezpieczny niż ten, którego ponura tłuszcza zaćmiła świetny horyzont Francji"[19].

Na wyrzekania więc, iż nie ma pola do pracy, odpowiedź jest jedna: „praca rąk, panowie!" Krajowi potrzebny jest wykształcony, kulturalny rzemieślnik. On to powinien stworzyć tak nam brakującą „pośrednią warstwę społeczeństwa", rezerwuar pracy i energii, „napełniony siłą p o p ę d u i zarazem o p o r u". Nic by w zasadzie nie szkodziło, by miał on średnie wykształcenie. Orzeszkowa

[18] *Słówko o pewnego rodzaju proletaryjacie*, „Niwa" t. I, 1872, s. 204–205.

[19] E. Orzeszkowa, *O jednej z najpilniejszych potrzeb społeczeństwa naszego*, „Niwa" t. III, 1873, s. 102–103.

uważa nawet, że ideałem byłoby powszechne nauczanie gimnazjalne (choć zapewne miała tu na myśli tylko młodzież szlachecką i mieszczańską). Rzecz w tym jednak, iż u nas

> z młodego człowieka, który mniej lub więcej zasłużenie stał się posiadaczem patentu, świadczącego o ukończeniu nauk szkolnych, uczynienie skromnego pracownika rąk wydaje się ogółowi naszemu dziwactwem, potwornością, zbrodnią niemal, wołającą o pomstę do ojcowskich herbarzy i macierzyńskich rojeń o synu genijuszu.

Toteż „jedną z najpilniejszych potrzeb społeczeństwa naszego" jest szkoła rzemiosł. Na takie szkoły we własnym interesie łożyć powinni kapitaliści, programy układać powinna inteligencja, szlachta zaś tam raczej niż do gimnazjów kierować powinna swe pociechy[20].

Wiadomo już więc było, co kto robić powinien. Szkoła rzemiosł na dobre dwa dziesiątki lat stała się omegą wszystkich wariantów programu pracy organicznej w kwestii zatrudnienia nadwyżek populacyjnych. Poruszano ten temat setki razy, różnych zresztą po takiej szkole spodziewając się dobrodziejstw.

Znamienna była sama nazwa: nie szkoła zawodowa – ten termin pojawiał się rzadziej – lecz właśnie „szkoła rzemiosł". Od tej sprawy rozpoczął swoją historię założony w roku 1875 „Przegląd Techniczny". Autor – prawdopodobnie założyciel i redaktor pisma, Stefan Kossuth – stwierdził na wstępie, że przemysł fabryczny „zdaje się dążyć do zupełnego wyrugowania rzemiosł", mając nad nimi przewagę w kapitale, pomnażanym przez towarzystwa akcyjne, oraz w geniuszu wynalazczym mechaników. Ale produkcja fabryczna ustępuje rzemieślniczej w artyzmie wykonania; toteż w przyszłości zapewne utrzymają się tylko rzemieślnicy-artyści. Tym zaś nie wystarczy już staroświecka nauka w terminie u majstra. Dobre to tak długo, póki „rzemieślnicy rekrutują się głównie z jednej wyłącznie klasy, na wskroś przesiąkłej tradycyjnemi wspomnieniami". A co, gdy do rzemiosł zechcą zwrócić się tacy ludzie, dla których te tradycje nie mają żadnego znaczenia? Tych perspektywa terminowania

[20] Ibidem, s. 124–125, 154.

odstraszać będzie: to dla nich właśnie i przede wszystkim potrzebne są szkoły, w których można będzie nabyć niezbędne wykształcenie ogólne, teoretyczne, techniczne, ekonomiczne i estetyczne. Tak wszechstronne przygotowanie pozwoli rzemieślnikom obronić swoją samodzielność przed konkurencją przemysłu, a nadto zachować uczucie godności osobistej. W tę więc stronę powinny się kierować „ofiary i zapisy dobrze myślących obywateli"[21].

Doradzaniem młodzieży szlacheckiej karier zawodowych nowego typu skwapliwie zajmowała się też prasa konserwatywna. „Niwa" martwiła się, że młodzież ta nie ma żadnego wyobrażenia o przemyśle i zwłaszcza na prowincji stare przesądy są nadal żywe: „każdy uczeń, który kończy choćby progimnazjum z patentem, marzy o karierze urzędniczej, duchownej, wiejsko-gospodarskiej, a niekiedy też i wyższej naukowej", a do „fabrycznego zawodu" nie pójdzie. Ale bo też program i gimnazjów, i szkół realnych zupełnie nie jest przystosowany do rzeczywistości. U nas potrzeba skróconej szkoły zawodowej[22].

Uporczywie powracał do tej sprawy Bolesław Prus. Od roku 1875 pozostawał w stałym kontakcie z Biurem dla Poszukujących Pracy w Warszawie i skwapliwie ogłaszał otrzymane stamtąd informacje. Biuro to, utworzone z inicjatywy „Gazety Polskiej", a kierowane przez tegoż redaktora „Przeglądu Technicznego", inżyniera Stefana Kossutha, było niewielką prywatną agencją pośrednictwa pracy dla inteligencji i fachowców. Bieda w tym – donosił Prus – że połowa klientów Biura to „ludzie do wszystkiego", czyli właśnie bez fachu.

> Pracodawcy [...] zapytują o hutników, ogrodników, buchalterów, mechaników itd., osoby zaś gotowe zająć każdą posadę (po większej części spadli z etatu urzędnicy) umieją wprawdzie dobrze czytać, pisać i rachować, znają do pewnego stopnia przepisy prawne i administracyjne, lecz ani ogrodnikami, ani mechanikami być nie mogą.

---

[21] *Szkoła rzemiosł*, „Przegląd Techniczny" 1875, s. 1–8, 81–87.

[22] A. Celichowski, *O nagrodach szkolnych słów kilka*, „Niwa" t. XVIII, 1880, s. 73–80.

Jakoż w roku 1876 w dziale „ogólnym" biura, rejestrującym owych „ludzi do wszystkiego", przypadało ponad dwudziestu kandydatów na jedną zaofiarowana posadę. Co prawda, znaczna przewaga podaży pracy nad popytem na nią występowała we wszystkich prawie specjalnościach: np. w dziale „technicznym" na jedno wakujące miejsce czekało czterech kandydatów. Niedobór – o ile wnosić można z mało szczegółowych tabelek Prusa – występował tylko w najmniej widocznie atrakcyjnych zawodach ogrodnika oraz nauczyciela prywatnego. Kronikarz pouczał jednak czytelników, że choć „o pracę w ogóle jest u nas trudno, w każdym jednak razie specjalista znajdzie ją prawie siedem razy łatwiej niż człowiek niefachowy". Tymczasem zaś „w kraju mnóstwo ludzi bez zajęcia, jeszcze więcej dzieci, które uczą się łaciny i greczyzny, aby zwiększyć zastępy n i e d o k o ń c z o n e g o proletariatu". Za każdym więc razem rzecz się kończyła apelem do fabrykantów, do obywateli ziemskich, do rzemieślników o zbieranie funduszów na szkoły zawodowe. „Bez tych szkół dzisiejsze pokolenie jest dla pracy produkcyjnej stracone i następne także będzie stracone"[23].

Rząd nie zdradzał zainteresowania zmianą profilu wykształcenia średniego, co było raczej wyrazem konserwatyzmu niż interesu politycznego: ten bowiem powinien był skłaniać władze oświatowe do otwarcia młodzieży polskiej właśnie dróg zawodowych kosztem kształcenia ogólnego, w którym wciąż przeważały przedmioty filologiczne. Fundatorzy także się nie spieszyli. W roku 1875 powstała wprawdzie – sumptem Leopolda Kronenberga – Szkoła Handlowa, ale średnich szkół techniczno-rzemieślniczych nie było nadal, jeśli nie liczyć niższej szkoły technicznej przy warsztatach Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej oraz jedynej w Królestwie „wyższej szkoły rzemieślniczej" w Łodzi, o programie niewiele odbiegającym od gimnazjum realnego[24].

---

[23] B. Prus, *Kroniki*, opr. Z. Szweykowski, t. I, cz. 2, Warszawa 1956, s. 241–242, 446; t. II, Warszawa 1953, s. 176–177, 224, 285, 513–514, 522–523.

[24] Ibidem, t. II, s. 521. Szerzej o tym J. Miąso, *Szkolnictwo zawodowe w Królestwie Polskim w latach 1815–1915*, Wrocław 1966, s. 112–114.

Minęło jeszcze piętnaście lat, rząd zezwolił na zakładanie prywatnych szkół zawodowych, ale szkół nadal nie było. W roku 1891 ubolewał nad tym konserwatywny „Wiek":

> Tymczasem młodzież ze wszelakich sfer społecznych, uboższa i bogatsza, zdolna i niezdolna, nie mając wyboru, ciśnie się do gimnazjów i szkół realnych, a ciśnie się tak tłumnie, że zakłady te zaledwie połowę kandydatów przyjąć mogą. Ogromny procent tej młodzieży, która zdołała się do gimnazjów docisnąć, całkowitego kursu nie kończy, poprzestaje na trzech, czterech, pięciu klasach i idzie w świat, szuka chleba, nie mając żadnych kwalifikacji, żadnego przygotowania do zawodu praktycznego. Tworzą się z niej ludzie do „wszystkiego", a właściwie do niczego, i na samym początku samodzielnego istnienia spotykają ich gorzkie rozczarowania i zawody[25].

„Wiek" widział w tym skutki braku wyboru, natomiast Poseł Prawdy – skutki wyboru właśnie.

> Ci „ludzie do wszystkiego" – pisał, komentując powyższy artykuł – to przeważnie większość naszego społeczeństwa, które też tłoczy się do wszelkich biur, gdzie tylko nie potrzeba żadnych uzdolnień specjalnych. Kolej żelazna to dziś ziemia obiecana dla tego niezliczonego zastępu. [...] Zaiste, dziwny widok! Z jednej strony olbrzymia gromada ludzi bez pracy, z drugiej rozległe jej pola pozbawione rąk. Już nie sam rozum argumentami, ale doświadczenie rózgami przekonywa nas, że musimy przygotowywać się do zawodów produkcyjnych. Daremnie! Ojcowie i dzieci pod tą chłostą nie przestają marzyć o urzędach i w ogóle „posadach" [...] Ten i ów woli pisywać „powiestki" w sądzie lub być kancelistą za 20 rs. miesięcznie niż zostać ogrodnikiem, mieć dostatni chleb, przyjemne i pożyteczne dla kraju zajęcie. Aby tylko schwytać jakikolwiek urzędzik, znaczek głowy końskiej na czapce tramwajowej. [...] Śmieszne to i smutne. Dopóki zaś nie pozbędziemy się tej śmieszności i tego smutku, bezpłodne będą wszystkie nasze gadaniny o odrodzeniu społeczeństwa[26].

Bezpłodne one były, ale z innego powodu. Pozytywiści uważali się za deterministów i realistów: za punkt wyjścia swego progra-

---

[25] *Szkoły zawodowe*, „Wiek" 1891, cyt. wg: A. Świętochowski, *Liberum veto*, opr. S. Sandler i M. Brykalska, t. II, Warszawa 1976, s. 105. Zob. także: *Szkoła rzemiosł*, „Słowo" 1890, nr 200.

[26] A. Świętochowski, *Liberum veto*, t. II, s. 105–107.

mu i swych projektów szczegółowych przyjmowali istniejący stan rzeczy, mierząc zamiary według sił. Kończyli zaś zawsze moralistyką. Ale czymże wreszcie mieli kończyć, nie mając wpływu ani na władzę, ani na kapitał, mając za całą broń dwa czy trzy surowo cenzurowane czasopisma?

Tradycja, szlacheckie przesądy, inteligenckie snobizmy, marzenia o służbowej czapce... Wszystko to zapewne odgrywało jakąś tam, trudną do wymierzenia rolę. Przecież jednak ten sprawca wszelkiego zła, poszturchiwany przez dziennikarzy i literatów gimnazjalista, szedł po prostu tam, gdzie mógł, uczył się, czego go rząd uczyć kazał, a potem - nie mając środków lub chęci na dalsze studia - brał się za to, do czego się nadawał. To znaczy - nie zostawał wykształconym robotnikiem, tylko niedokształconym inteligentem. W końcu pewnie i tak lepiej na tym wychodził niż ci, co nauczywszy się czytać i pisać, szli do terminu u majstra lub na niewykwalifikowanego do fabryki.

A potem ów gimnazjalista winien był temu, iż - jak pisał Prus i dziesiątki innych po nim - „ta średnio ukształcona część narodu, która zwie się «inteligencją», jest jakby oderżniętą od mas i na ich byt wcale nie wpływa albo bardzo mało"[27].

Krąg drugi: inteligencja „naukowa"

Sprawa inteligencji zwanej naukową, to znaczy mającej ukończone studia uniwersyteckie, była bardziej zawiła. Tu już nie chodziło o gimnazjalnych niedouczków, o biurowych „pasożytów", za którymi nie ujmował się nikt. Uniwersytet kształcił przede wszystkim lekarzy i prawników: dwa zawody, o których trudno było powiedzieć, że są społecznie nieużyteczne. Lekarz zwłaszcza w programie pracy organicznej zajmował miejsce wybitne. W wielu okolicach kraju był jedynym wykształconym człowiekiem. Docierał, gdzie nie

[27] B. Prus, *Kroniki*, t. V, Warszawa 1955, s. 109.

docierała oświata. Miał być krzewicielem higieny, tępicielem zabobonów, popularyzatorem wiedzy, wysuniętą placówką postępu.

Uniwersytet kształcił także nauczycieli szkół średnich oraz uczonych. O nauczycielach pisało się, a przynajmniej drukowało, niewiele. Za czasów Apuchtina był to temat niecenzuralny, a dla zwolenników pracy legalnej kłopotliwy. Nauczyciele Polacy byli usuwani ze szkół lub usuwali się sami; kto mógł, przechodził na nieliczne jeszcze, głównie żeńskie, pensje prywatne, ci zaś, co utrzymali się na posadzie, stawali się, chcąc nie chcąc, narzędziami rusyfikacji. Ludzie formatu Antoniego Bema należeli w gimnazjach raczej do wyjątków. Co innego uczony. Uczony w Królestwie, w braku instytucji naukowych, to nie był wprawdzie zawód, ale było to powołanie. Powołanie w epoce pozytywizmu najzaszczytniejsze, co uznawali nawet konserwatyści.

Sama logika kierunku, który słowa „wiedza to potęga" przyjął za swoje hasło, wymagała popierania ze wszech sił pędu młodych do nauki, do zawodów wyzwolonych, do studiów wyższych, choćby nawet na niepolskim uniwersytecie. Wszelako sytuacja na rynku pracy wywoływała w tej dziedzinie ogromną konfuzję i chwiejność postaw. Pogimnazjalnej inteligencji bez wyuczonego zawodu było za dużo – co do tego panowała zgoda – i należało tak czy inaczej ograniczyć jej przyrost. Ale inteligencji z wyższym, specjalistycznym wykształceniem? Za dużo czy za mało? To pytanie nie dawało spokoju publicystom warszawskim aż po schyłek dziewiętnastego wieku.

Los uczonego traktowano zrazu ze stoicyzmem. Sprzyjała temu tradycja, nie tylko zresztą polska, heroizowania trudu badawczego. Ryszarda Czepulis zwróciła uwagę, że w większości pośmiertnych wspomnień o ludziach nauki, pomieszczanych w „Bibliotece Warszawskiej", „Kłosach" czy „Tygodniku Ilustrowanym", stylizowano ich na męczenników pracy, którzy do swych wyników – jakkolwiek bądź skromnych lub przyczynkarskich – dochodzili kosztem największych wyrzeczeń[28]. Podobnie na Zachodzie stylizował

[28] R. Czepulis-Rastenis, *Wzór osobowy inteligenta polskiego w świetle wspomnień pośmiertnych (1863–1872)*, w cyt. zbiorze *Inteligencja polska pod zaborami*, s. 159–178.

ich Samuel Smiles w niezmiernie i u nas popularnej *Pomocy własnej*[29], podobnie stylizowała ich Orzeszkowa w *Listach o literaturze*[30] i wreszcie życie samo. Bo rzeczywiście nie brakowało uczonych zarabiających na życie lekcjami, pisaniem artykułów do czasopism albo zasiadających do umiłowanej pracy po całodziennym biurowym wyrobnictwie. Zjawisko nieuchronne tam, gdzie wzrost naukowych zainteresowań i aspiracji jednostek spoza kręgu majątkowej elity nie znajduje oparcia w instytucjach akademickich. Niektórzy uważali je za korzystne. Adolf Dygasiński w roku 1884 pytał retorycznie, „czy owo pięcie się na G o l g o t ę n a u k i nie jest wyrabianiem olbrzymich sił w człowieku"[31].

Z czasem jednak gloryfikacja cierpiętnictwa pracy umysłowej zaczynała, w konfrontacji z życiem, budzić wątpliwości niektórych pozytywistów, tym bardziej że w teorii byli zwolennikami harmonizowania interesu jednostkowego ze społecznym. „Nie widzimy żadnej sprawiedliwej przyczyny, która by nakazywała koniecznie wieńczyć wyższe umysły cierniową koroną" – pisał publicysta „Niwy", zbijając tezy Smilesa. Taka doktryna zwalnia przecież społeczeństwo od odpowiedzialności i w skutkach swoich prowadzi do tragicznej n i e m o c y i n t e l i g e n c j i:

> Niemoc ubogiej zdolnej młodzieży, która w braku środków musi przerwać swe studia [...], niemoc ludzi światłych, ujarzmionych rzemieślniczą pracą, którym ubóstwo nie pozwala produkować tyle, na ile ich siły i wiedza starczą – wszystko to są okazy tej niemocy inteligencji.

Dla wydobycia i twórczego wykorzystania talentów – wywodził autor – „pomoc własna" nie wystarczy: niezbędna jest „pomoc

---

[29] S. Smiles, *Pomoc własna (Self-Help)*, Warszawa 1867; seria II, Warszawa 1870 (wyd. red. „Przeglądu Tygodniowego").

[30] „Myśli torujące sobie c i e r n i s t e ścieżki ku wiedzy, prawdzie, ku przeczuwanym, odgadywanym, w pocie czoła i męczarniach duchów wcielanym ideałom" itp. E. Orzeszkowa, *List I: Wiek XIX-y i tegocześni poeci*, „Niwa", t. IV, 1873, s. 258. Por. M. Żmigrodzka, *Orzeszkowa: młodość pozytywizmu*, Warszawa 1965, s. 240.

[31] A. D[ygasiński], *Z prasy: Proletaryat naukowy*, „Przegląd Tygodniowy" 1884, s. 23.

społeczna", niezbędne są „szkoły, uniwersytety, naukowe stowarzyszenia, spółki, kluby, redakcje". Redakcje zresztą, jak już widzieliśmy, same siebie oceniały pod tym względem raczej krytycznie. Dziennikarskie wyrobnictwo hamuje bowiem rozwój umysłowy młodych ludzi, czyni z nich dyletantów we wszystkich dziedzinach wiedzy: „Zamiast zdolnych psychologów, historyków, przyrodoznawców, prawników, astronomów, otrzyma literatura zręcznych felietonistów". Wszystko to były „zaklęte koła", które tylko zorganizowana pomoc społeczna potrafi przełamać.

Któż ją miał zorganizować? Kto łożyć? Autor z „Niwy" rozumnie dowodził, iż inwestowanie w naukę i uczonych jest wysoce opłacalne dla każdego nowoczesnego kraju. Ale rok był 1874: carat niszczył kulturę, szkoły, piśmiennictwo polskie z zawziętą premedytacją. Pozostawało odwoływanie się do ofiarności publicznej celem tworzenia – na wzór poznański – towarzystw pomocy naukowej. Trochę liczono na drobne składki, bardziej na filantropię możnych i bogatych, gromiąc za bezduszną obojętność tych, co „znają tylko albo blask imion, albo blask złota"[32].

W tych to latach rozpoczęła się druga Wielka Emigracja. Nie ławą, jak tamci – wieszcze, żołnierze i politycy – lecz niemal niezauważalnie, rok po roku, opuszczają kraj najwybitniejsi – bo oni właśnie mają najlepsze szanse za granicą. Tak wyjechali: Nencki, Olszewski, Strasburger, Baudouin de Courtenay. „To gorsze niż wywóz drzewa lub zboża do Gdańska" – biadał Świętochowski. Pozytywiści byli programowo przeciwni wychodźstwu, ale rozumieli jego motywy i patrzyli bezsilnie na ten tragiczny eksport, wiedząc w dodatku, że uczeni z natury rzeczy szybciej niż poeci tracą kontakt z krajem i jego potrzebami:

> Stąd też w czasie, kiedy naszą inteligencją Europa jest gęsto posiana, u nas w kraju na palcach jej przedstawicieli wyliczyć by można; kiedy niemieckie *zeitszrifty* obładowane są pracami polskich uczonych, w Warszawie nie znalazłoby się dość sił dla wydawania jednego więk-

[32] *Niemoc inteligiencyi*, „Niwa", t. IV, 1873, s. 1–5, 24–27, 105–108.

szego naukowego pisma. Co na tem traci literatura, kraj cały – pojąć łatwo[33].

Z tych alarmów i apeli zrodziła się w końcu Kasa im. Mianowskiego, która wszakże sama jedna zaradzić nie mogła brakowi materialnych podstaw prowadzenia badań naukowych. Emigracja naukowa trwała więc nadal, i nawet obóz pozytywistyczny tracił swych najwybitniejszych przedstawicieli: jedni wyjeżdżali do Galicji, inni dalej jeszcze.

Mniej rzucała się w oczy emigracja młodych: tych, co wyjeżdżali na studia, a zostawali na zawsze lub na wiele lat. Któż zauważył wyjazd Władysława Natansona, Marii Skłodowskiej? Skłodowska i w Paryżu z największym samozaparciem wdzierać się musiała na „Golgotę nauki", ale w Warszawie zostać by mogła w najlepszym razie przełożoną żeńskiej pensji.

Zabór pozbywał się więc swej umysłowej elity – i mimo to miał jeszcze nadmiar przyrodników, matematyków, filologów. Do niedawna podstawą ich bytu – a dla wielu po prostu zawodem – było uczenie w gimnazjach. Teraz tę podstawę i ten zawód tracili. W roku 1882, czyniąc ukrytą aluzję do jakości przysyłanych z Cesarstwa nauczycieli, pisała „Prawda": „Kandydatów i magistrów uniwersyteckich spotykamy przy najbardziej rzemieślniczych i nieodpowiednich zajęciach; natomiast całkiem specjalne obowiązki pełnią ludzie bez średniego nawet ukształcenia"[34]. Tadeusz Korzon uczył więc na pensji, wykładał w Szkole Handlowej, a potem został urzędnikiem na kolei.

Lekarze i adwokaci mniej mieli powodów do emigracji, mniej też szans za granicą. Przeważna ich większość, nawet po studiach w Rosji lub na Zachodzie, osiedlała się na stałe w kraju. Los ich bywał rozmaity, zależnie od zdolności, zaradności, stosunków i początkowego kapitału. Wolne zawody szybko się rozwarstwiały i prasa z pewnością dawała zniekształcony obraz ich sytuacji. Jest wszak zrozumiałe, że rozważając kwestię nadprodukcji inteligencji, intere-

[33] [A. Świętochowski], *Wywóz naszej inteligencyi*, „Przegląd Tygodniowy" 1874, s. 282.

[34] [A. Świętochowski], *Niezużytkowane siły*, „Prawda" 1882, s. 193.

sowano się użytecznością k r a ń c o w ą, a nie przeciętną, wyższego wykształcenia. Nikt też nie negował faktu, że są wzięci lekarze, adwokaci, notariusze, biorący sute honoraria, trzymający własne konie, powozy i służbę, i w ogóle należący do wyższego towarzystwa. Nie o nich jednak w tej sprawie chodziło.

Dziesiątki doniesień kronikarskich i korespondencji prasowych nie pozostawiają wątpliwości, że „przeludnienie" w wolnych zawodach było faktem, a życiowy start młodych, niezamożnych absolwentów wydziałów medycyny i prawa naprawdę nie był łatwy. Ponieważ zaś popyt był w ogóle znacznie mniejszy na prowincji, wobec tego rosło „przeludnienie" w większych miastach, nade wszystko w Warszawie.

Zjawisko nie było lokalne: śledziła je bardzo żywo opinia oświecona w Rosji. Bronisław Białobłocki przytaczał za „Otieczestwiennymi Zapiskami" dane liczbowe, z których wynikało, że w całym państwie w proporcji do liczby ludności przypada dziesięciokrotnie mniej lekarzy niż w Stanach Zjednoczonych, pięciokrotnie mniej niż w Anglii, dwukrotnie mniej niż w Niemczech.

> A przy tym wszystkim w praktyce jest rzeczywiście straszna hiperprodukcja lekarzy. Tak np. w najwięcej oddalonych zakątkach o miejsce 1200–1300 rs. dochodu przynoszące ziemskiego lekarza zgłasza się na jeden wakans 20–90 kandydatów. W gazetach też nierzadko spotykają się wiadomości o ostatniej nędzy młodych i szukających praktyki lekarzy, o śmierci dla braku chleba doktora medycyny, o tym, że doktorowie chwytają się korepetycji, przepisywania etc.[35]

W zawodzie prawniczym sytuację wybitnie pogorszyły reformy sądownictwa w latach siedemdziesiątych, które pociągnęły za sobą daleko idącą wymianę kadr nie tylko w Królestwie, ale i w samej Rosji, dając pierwszeństwo w nominacjach i awansach wychowańcom uprzywilejowanej Szkoły Prawowiedienija i Liceum Aleksandryjskiego przed absolwentami uniwersytetów.

---

[35] B. Białobłocki, *Nadprodukcja inteligencyi*, „Przegląd Tygodniowy" 1884, s. 249–251; przedr. w: B. Białobłocki, *Szkice społeczne i literackie*, opr. S. Sandler, Warszawa 1954, s. 81–89.

Z rodzimego gruntu przytoczymy – spośród wielu podobnych relacji – fragmenty wymownej korespondencji „Głosu" z Suwałk z roku 1891:

> Pokończyliśmy gimnazja w Suwałkach i Maryjampolu. Po skończeniu rozjechaliśmy się w rozmaite strony: do Warszawy i Cesarstwa, stosownie do środków [...] i planów na przyszłość – wszyscy bez wyjątku do uniwersytetów. [...] [po studiach] powróciliśmy prawie wszyscy w rodzinne strony [...] kariery nie pragnął żaden, szukaliśmy tylko i pragnęliśmy zdobyć kawałek chleba [...] Wiesz, żeśmy wszyscy prawie, z małemi wyjątkami, pokończyli medycynę lub prawo i trafiliśmy w obu tych gałęziach na przeludnienie. [...] Adwokatów i lekarzy w mieście gubernialnym mamy aż zanadto, posady wszystkie zastaliśmy poobsadzane [...]. Część lekarzy umieściła się po osadach i tam walcząc z biedą, felczerami, brakiem książek, pism i narzędzi, pracują wśród ludu prostego, zdobywając sobie pomału jego zaufanie, a co zatem idzie, praktykę, kilku zostało w Suwałkach, ale i tym ciężko idzie, reszta rozjechała się po świecie.
>
> Z prawnikami dzieje się gorzej: przyjechało ich kilkunastu i po paru przybywa co rok. Utrzymać się wszystkim w mieście niepodobna, gdyż przepełnienie na tym polu jest zbyt wielkie, a pole do pracy mniejsze. Dla prawnika są dwie drogi: kandydatura przy sądzie i praktyka adwokata. Zważywszy, że prawnik po ukończeniu studiów posiada daleko mniej praktycznych wiadomości niż medyk, zrozumiemy, dlaczego projekt osiedlania się młodych adwokatów po małych miasteczkach jest do wykonania jeżeli nie niemożliwy, to przynajmniej zbyt ryzykowny[36].

Większość ludności wsi i część ludności miast nie korzystała jeszcze z porady lekarza, odwołując się w potrzebie do znachorów, samozwańczych felczerów, babek, zielarzy, wreszcie aptekarzy. Zakończona wstydliwą kapitulacją walka doktora Obareckiego z przyrządzającym własne mikstury aptekarzem była realistycznym obrazkiem z życia prowincji[37]. Podobną konkurencję napotykali adwokaci w osobach tzw. „pokątnych doradców". Szczupłość praktyki

---

[36] *Odpowiedź na list przyjaciela z Warszawy*, „Głos" 1891, s. 431.

[37] S. Żeromski, *Siłaczka*, pierwodruk w odcinkach w „Głosie" 1891. Por. M. Hanecki, *Z dziejów warszawskiej służby zdrowia*, w: *Warszawa popowstaniowa 1864–1918*, zesz. 2, Warszawa 1969, s. 177–178.

i klienteli wynikała w większym stopniu z poziomu cywilizacyjnego kraju, ze stanu oświaty zwłaszcza, niż z nędzy materialnej.

W dyskusjach prasowych najwięcej nieporozumień wywoływała dwuznaczność takich słów, jak „potrzeba" lub „pole do pracy": co innego znaczyły one w perspektywie ideologii cywilizacyjnej i oświatowego przełomu, co innego – w języku ekonomii praktycznej. Antynomia ta od samego początku odciskała się w myśli pozytywistycznej. Każdy z jej koryfeuszy miewał chwile, w których – obserwując sytuację na rynku pracy – odradzał młodzieży wyższe kształcenie się.

> Liczba urzędników, prawników, nauczycieli, doktorów – pisał Świętochowski już w roku 1872 – nie da się zbyt szybko mnożyć, a nawet ich pomnożenie nadmierne jest ujemnym nabytkiem dla społeczeństwa. Tymczasem liczba producentów da się posunąć prawie do nieskończoności – gdyż każdy producent jest zarazem i konsumentem, utrzymującym równowagę w wymianie. [...] Cała zamiana leży w tem, ażeby ojciec zamiast marzyć dla swego syna o karierze profesora lub sędziego, [...] postarał się [...] o przygotowanie go do zajęć kupca, rzemieślnika, rolnika etc. przemysłowca[38].

Podobnie Orzeszkowa – choć entuzjastka nauki – ganiła nadmierny pęd szlachty do szkół wyższych, który, jej zdaniem, z fałszywych wypływał ambicji: „Stare przysłowie zmieniło dziś cokolwiek swą postać, a każdy ojciec wysyłający syna swego do uniwersytetu [...] z nadzieją i radością powtarza: «Kto ma doktora w rodzinie itd.»". A przecież potrzebom nauki „nie zaradzą powołania sztucznie wytworzone, przemocą ludziom wmawiane lub narzucane"[39].

Prus, trzeźwy ekonomista, zawsze uważał, że postęp zaczynać się musi od sadzenia kartofli, a nie róż. Choć więc cenił naukę i widział ogrom jej zadań, dawał przewagę praktycznemu rozsądkowi:

> Dziś – pisał – przyszłość człowieka, który skończył uniwersytet, wcale nie jest ani świetna, ani nawet zabezpieczona. [...] Czy wobec tego n i e z a m o ż n i rodzice podrastających synów nie powinni by pomyśleć dla nich o jakimś pewniejszym zawodzie niż naukowy? [...]

---

[38] [A. Świętochowski], *Co robić?*

[39] E. Orzeszkowa, *O jednej z najpilniejszych potrzeb*, loc. cit., s. 123–125.

> Piękna to rzecz dla społeczeństwa otrzymywać co roku setki patentów z uniwersytetu i gimnazjów klasycznych. Ale niedobrze jest, jeżeli kapitał wydany na naukę nie przynosi procentu[40].

Był to zaiste gorzki dylemat dla rzeczników pracy organicznej: w jakiej skali czasu obliczać procenty od kapitału wydanego na wykształcenie? I czy liczyć je z punktu widzenia budżetu rodzinnego, czy rachunku narodowych korzyści i strat?

Bo jeżeli to drugie, to wcale nie dla wszystkich publicystów było oczywiste, że rzeczą główną jest właściwe wykorzystanie kwalifikacji f a c h o w y c h. W ogóle przecież inteligencja nie zawsze pojmowana była jako warstwa zawodowa. W roku 1880 na łamach „Przeglądu Tygodniowego" wyjaśniał nieznany autor, że samo wykształcenie nie czyni jeszcze inteligencji, ale dopiero pojmowanie obowiązków społecznych. Inteligencję wyróżnia ta „siła twórcza, popędowa [...], podnieta, która idzie przed narodem, jak straż przednia wytyka i toruje drogi". Ale skoro tak, to trzeba mieć wiarę we własne siły, we własną misję, a nie skarżyć się i lamentować. Powołując się z niesmakiem na opinie krakowskiego „Timesa" o stetryczeniu uczonego świata Krakowa i Lwowa, orzekał warszawski krytyk, że

> sępem, który wyjada mózgi i serca galicyjskiej inteligencji, [jest] zwątpienie w pożytek pracy o własnej sile, czego następstwem ohydne, zbrodnicze, godne napiętnowania pogardą skargi na „hyperprodukcję" inteligencji, odkrytą na galicyjskiej niwie![41]

I te to słowa czytać można było w piśmie, które parę lat wcześniej zużyło wiele drukarskiej farby na odkrywanie tejże „hyperprodukcji" na niwie Kongresówki. Tak to trudno było pogodzić pozytywistyczny realizm z pozytywistycznym dydaktyzmem.

Atoli u progu lat osiemdziesiątych cała ta kwestia została uwikłana w nowy kontekst polityczny. Po zabójstwie Aleksandra II przez Ignacego Hryniewieckiego nacjonalistyczny odłam prasy rosyjskiej, z „Moskowskimi Wiedomostiami" Michaiła Katkowa na czele, uznał za właściwe pomówić polskich studentów o przewodzenie

[40] B. Prus, *Kroniki*, t. II, s. 294; t. V, s. 393–394.

[41] *Zadania inteligencyi naszej*, „Przegląd Tygodniowy" 1880, s. 605–607.

terroryzmowi Narodnej Woli. Korzystając z ostatnich chwil łagodniejszej cenzury pod rządami Michaiła Loris-Mielikowa w Rosji i Piotra Albiedynskiego w Warszawie, polska opinia publiczna odpierała dość solidarnie te oskarżenia, dowodząc, że to właśnie rosyjskie uczelnie są rozsadnikami „nihilizmu"[42]. Stronnictwo Katkowa, zyskując sobie wpływ na rząd w początkach panowania Aleksandra III, nie ustawało jednak w przekonywaniu, że trzeba Polakom ograniczyć dostęp do szkół wyższych, bo liczba studentów przekracza potrzeby społeczeństwa, a gromadzenie się po miastach bezrobotnego proletariatu inteligencji stanowi niebezpieczeństwo dla państwa. Żądania te nie pozostawały bez skutku. Uczelnie Cesarstwa zaczęły wprowadzać *numerus clausus* dla Polaków i Żydów. Trudniej było zrobić to samo na uniwersytecie warszawskim.

Dla pozytywistów sprawa była kłopotliwa, gdyż o nadmiernym pędzie młodzieży do studiów oni sami pisali od dziesięciu już lat. „Prawda" przyznawała więc, że „poważnego zastanowienia wymaga proletariat i przymusowe bezrobocie wychowańców n a s z e g o uniwersytetu", ale – lawirując, jak się dało, między ołówkami cenzorów – wskazywała, że jest to skutek zagrodzenia tym wychowańcom drogi karier nauczycielskich, sądowych itd.

> Zdawałoby się, że my mamy taki nadmiar sił umysłowych, a my nie mamy tylko możności należytego ich zużytkowania. Wobec tak poważnych spraw, zaiste dziwić się można, że są w Rosji pisma, które nie mają nic lepszego do roboty, jak rzucanie piasku w oczy narodowi i zatykanie błotem ust przeciwnikom[43].

Wszelako parę miesięcy później Świętochowski powrócił do tematu, podejmując go tym razem w utarty już sposób. Stwierdził więc, że „ilość ludzi uniwersytecko patentowanych przewyższa nie tylko u s z c z u p l o n e o b e c n i e potrzeby kraju, ale nawet nie zmieściłaby się [w tekście omyłkowo: nie zmieniłaby się] w rozszerzonych normalnie", a źródłem tego stanu rzeczy jest „wrodzony nam [...] popęd arystokratyczny i słabe zdemokratyzowanie się społeczeństwa". Ten to popęd sprawia, że prawie cała kształcąca się młodzież uważa gimnazjum jedynie za „stację przejściową", po któ-

[42] Zob. „Prawda" 1881, nr 13, 14.
[43] [A. Świętochowski], *Niezużytkowane siły*.

rej pcha się na medycynę lub prawo, gdyż wstydzi się rzemiosła. „Iluż z tych ludzi byłoby zamożnych piekarzów, szewców, garbarzów lub stolarzów!" I kończył: „Dziś inteligencja naszego społeczeństwa przedstawia rejestr, w którym brak niższych i średnich tonów i który wyrabia tylko wyższe. A tymczasem głos nasz powinien być pełnym"[44].

Konsekwencji w tym nie było. Twierdzenie o braku niższych i średnich warstw inteligencji – tu oczywiście w sensie wykształcenia – nie wytrzymywało konfrontacji nie tylko z faktami, ale także z wcześniejszymi i późniejszymi wypowiedziami autora, który nieraz przecież dowodził ich zbytecznego nadmiaru. Koncept zaś, by piekarz z gimnazjalnym patentem – jako inteligent *sui generis* – zastąpił urzędnika czy nauczyciela, nie był już, jak widzieliśmy, niczym nowym. Tym razem jednak nie chodziło o konsekwencję ani o oryginalność, lecz o to, by naprawdę zapobiec jakoś gromadzeniu się na uniwersytecie i wokół niego inteligentnych plebejuszy, którzy – nie widząc przed sobą zawodowych i materialnych perspektyw – stawali się podatni na socjalistyczną agitację. Pozytywiści – z wyjątkiem może Adama Wiślickiego – rzeczywiście obawiali się rewolucyjnego fermentu. Nie tyle dlatego, że widzieli w nim bezpośrednią groźbę dla burżuazyjnego porządku społecznego i własności prywatnej, co z tej przyczyny, że każdy incydent w Warszawie mógł posłużyć za pretekst do dalszego zaostrzenia policyjnego reżimu w szkolnictwie, w prasie, wszędzie.

„Ku końcowi zimy r. 1883 – wspominał po latach Ludwik Krzywicki – cała moc objawów wewnętrznych w uniwersytecie zwiastować zaczęła zbliżanie się burzy". Odradzały się kółka studenckie, toczyły się zawzięte dyskusje między „socjalistami" i „patriotami". Po latach apatii rodziło się wśród młodzieży pragnienie jakiegoś zamanifestowania postaw, a polityka Apuchtina dolewała oliwy do żaru. W kwietniu doszło do słynnej uniwersyteckiej *schodki* z jej dobrze znanymi następstwami[45]. Coraz głośniej też dawała o sobie znać niedawno założona partia „Proletariat", czynna w kręgach

[44] [A. Świętochowski], *Wyższe tony*, „Prawda" 1882, s. 362.
[45] L. Krzywicki, *Wspomnienia*, t. I, Warszawa 1957, s. 238–252.

robotniczych, studenckich i gimnazjalnych. Żandarmeria zaostrzała czujność. 28 września aresztowany został w Warszawie poddany austriacki, litograf Karol Postol. „Doprowadzony do Zarządu Żandarmerii, został jeszcze tego samego dnia rozpoznany jako poszukiwany od 1878 r. wybitny rewolucjonista Ludwik Waryński". Miesiąc później, dzięki pomocy donosicieli, za kratami znalazł się prawie cały aktyw partyjnych kółek robotniczych. W połowie listopada w Warszawie znajdowano naklejane na murach, rozrzucane przed fabrykami, na chodnikach, w kościołach odezwy Komitetu Robotniczego, kończące się słowami: „na zdrajców i ciemiężycieli sztylet przygotowujemy!"[46]. Ostrzeżenie nie było na wiatr: rozpoczęły się zamachy na prowokatorów. O „Proletariacie" było głucho w gazetach, głośno na mieście. Wiadomo było, że kierują nim młodzi, wykształceni, inteligentni działacze. 15 grudnia redagowana przez Mścisława Godlewskiego „Niwa" zamieszcza artykuł wstępny pt. *Proletaryat naukowy*.

W treści swej artykuł ten, którego autorstwo przypisuje się Teodorowi Jeske-Choińskiemu, nie zawierał niemal nic, czego by dziesiątki już razy przedtem nie pisali postępowi organicznicy. W części krytycznej udzielał tej samej przestrogi młodzieży, która ze źle pojętej ambicji i z fałszywej rachuby, za cenę własnego zdrowia i poniżenia, a kosztem wyrzeczeń całej rodziny pcha się na studia w nadziei na przyszłe lukratywne honoraria doktora lub mecenasa, choć przecież dochody te – w większości wypadków – „nie równają się nawet procentowi od kapitału, włożonego w mozolne, długoletnie kształcenie się". W części pozytywnej przypominał, że „na każdym kroku braknie nam ludzi fachowych", że krajowi potrzebny jest „zdolny technik, rzemieślnik, kupiec, przemysłowiec i rolnik". Jak widać – nieomal antologia cytatów z Prusa, Orzeszkowej, Świętochowskiego! Odmienny był tylko ton tego artykułu: drażniący ton pańskiego protekcjonalizmu, by nie rzec – pogardy dla hołoty. Choiński zezwalał bowiem na wyższe kształcenie się tym, co mają na to środki, i tym, co uczą się z zamiłowania, a nie dla kariery.

[46] L. Baumgarten, *Dzieje Wielkiego Proletariatu*, Warszawa 1966, s. 285, 301–302.

Tymczasem „każdy woła tylko: nauki! nauki! czy stróż, czy woźny, czy rzemieślnik, czy ekonom". Ale przecież i Prus – choć o pańskość nikt go nie posądzał – odradzał studia właśnie „niezamożnej" młodzieży.

Tytuł artykułu też nie był, jak wiemy, niczym nowym. Ale w grudniu 1883 roku tytuł ten brzmiał inaczej niż dawniej. Brzmiał – jak denuncjacja. Zwłaszcza że w tekście znalazła się mimochodem rzucona uwaga, iż z wykolejonych, niedouczonych gimnazistów i studentów rekrutują się zwykle malkontenci najrozmaitszych gatunków i kierunków[47].

Jeżeli ten właśnie artykuł wywołał gwałtowne sprzeciwy, to dlatego zapewne, że ukazał się w piśmie, które było już wówczas organem odradzającego się ziemiańskiego konserwatyzmu i ugody, i że ukazał się w tym akurat momencie. Wprawdzie jeden tylko Białobłocki w „Przeglądzie Tygodniowym" przemycił wyraźną aluzję o zbieżności przestróg „Niwy" i „Moskowskich Wiedomosti", jednak wszyscy polemiści zdawali się mniej lub bardziej świadomi tych politycznych podtekstów.

Kraszewski w korespondencji z Drezna do „Biesiady Literackiej" uznał artykuł „Niwy" – nie bez przesady – za „propagandę obskurantyzmu" i za maltuzjanizm zastosowany do wykształcenia. Nauki – twierdził – nigdy nie może być za wiele, proletariat zaś rodzi się nie z nadmiaru wykształcenia, lecz z wygórowanych wymagań absolwentów: wszak nawet po skończeniu studiów w braku innego zajęcia można udać się do rzemiosła. Sposobem zapobieżenia „hyperprodukcji inteligencji" tudzież „fałszywym radykalizmom i niecierpliwemu targaniu się przeciwko porządkowi" jest chrześcijański altruizm i „zasiedlanie pustkowia, niesienie światła tam, gdzie go nie ma"[48]. Sędziwego pisarza wspierał redaktor „Biesiady", Władysław Maleszewski, oburzając się na sam wyraz „proletariat" i uznając autora z „Niwy" za obrońcę przywilejów ludzi boga-

[47] [T. Jeske-Choiński], *Proletaryat naukowy*, „Niwa", t. XXIV, 1883, s. 881–888.

[48] J.I. Kraszewski, *Listy z zakątka*, „Biesiada Literacka" 1884, s. 21–22.

tych. „Ludzi z wyższem wykształceniem i ze średniem i z elementarnem mamy mało, za mało! – wołał – wszędzie zaczynamy dopiero chodzić – a już nam nogi pętają! Niech się uczy biedny i bogaty". Albowiem „najłatwiej zniweczyć społeczeństwo lękające się światła [...] a łaknące tylko tłusto jeść i spokojnie spać"[49].

W podobnym duchu zabrał głos Adolf Dygasiński w „Przeglądzie Tygodniowym". Była to zaskakująca wolta. Czołowy pisarz pozytywistycznego obozu samo istnienie „proletariatu naukowego" między bajki wkładał:

> Gdzież to u nas jest przeludnienie ludźmi naukowymi? Czy po uniwersytetach zalegają roje bezpłatnych docentów, oczekujących wśród męczarń głodu na posady i knujących niebezpieczne spiski? Czy po archiwach i bibliotekach spotykamy gromady uczonych, którzy zapisali foliały papieru, a na produkcję ich nie ma popytu...? [...] Proletariuszów naukowych nie ma u nas, bo jest dla nich i dużo roboty, i dużo chleba. Nie tylko że lekarze suto są przepłacani, ale jest nawet miejsce dla owczarzy i szarlatanów. Nie tylko adwokaci i prawnicy nie umierają z głodu, ale wiją się tłumy pokątnych doradców oraz potajemnych pisarzy. [...] A pańską „Niwę" kłuje w oczy, że się chamy uczą i na ludzi wychodzą, podczas gdy szlachta bankrutuje materialnie i moralnie. To na nic! Takie artykuliki nie wstrzymują ducha czasu[50].

Demagogii takiej ustrzegł się oczywiście Prus, ale też i nie wniósł do dyskusji nowych elementów. Przyznawał, że z jednej strony jest u nas „straszny nadmiar ciemnoty" i nie ma powodu do narzekania na zbytni pęd do nauki, z drugiej strony brak stanowisk pracy dla ludzi z wyższym wykształceniem. Przyczyną tego nie jest jednak ani zdrożna ambicja rodziców, ani egoizm dorobkiewiczów, lecz brak logiki w wyborze zawodu, brak szkół fachowych i zacofanie społeczeństwa. Jeżeli jednak młodzi dzięki nauce „wychodzą ze swej sfery", to i dobrze:

> Tym sposobem odświeżają oni „nieswoje sfery", które by od dawna spleśniały i które postąpią rozumnie, gdy będą łożyć [...] na otworze-

[49] [W. Maleszewski], *Proletaryat naukowy*, „Biesiada Literacka" 1884, s. 98–99.

[50] A. Dygasiński, *Proletaryat naukowy*.

nie właściwych dróg owym „pchającym się", zamiast narzekać na proletariat naukowy[51].

Zespół „Niwy" zdawał się zaskoczony gwałtownością wywołanej przez siebie reakcji oraz osobliwym przegrupowaniem frontów. Choiński w odpowiedzi polemistom przyznawał, że nagłówek „proletariat naukowy" nie był najtrafniejszy: stosowniej było mówić o „karierowiczach naukowych". Zastrzegał się przeciw klasowym interpretacjom swego wystąpienia: nie o to w nim szło, aby „chamom" zagrodzić drogę do nauki, lecz o to, by na studia szli ci tylko, co mają prawdziwe zamiłowania i zdolności. Bawiło go, że obrazoburczy „Przegląd Tygodniowy" uczy „Niwę" poszanowania wyższych ideałów i gromi ją za materializm. Nadał jednak „postępowym deklamacjom" przeciwstawiał twarde realia ekonomiczne[52].

Co wszakże Jeske-Choiński starał się naprawić, temu jego redakcyjny kolega Władysław Olendzki (Jacek Soplica) przywracał znów jawnie konserwatywną wykładnię, radząc, by na studia „kierowali się przede wszystkim ludzie n i e z a l e ż n i, z innych zaś – tylko ludzie wyjątkowo utalentowani i powołani". Źle się dzieje, gdy ubodzy karierowicze kończą studia po latach biedy, ale też korzystając z publicznej ofiarności (bale na studentów!), i ośmielają się żądać stanowiska, pracy, chleba.

> Cóż społeczeństwo odpowie takiemu przez własną nieopatrzność na wyżynę wielkiej nauki *par force* wyśrubowanemu biedakowi? Odpowie milczeniem, bo społeczeństwo nie ma do rozdawania ani katedr, ani najmniejszych nawet stanowisk, bo na każdy posterunek naukowy, by najskromniejszy, przypada setka filozofów, jurystów, magistrów i doktorów różnolitego autoramentu.

Lepiej więc młodzież niemajętną od razu uczyć pożytecznego fachu zamiast robić z nich ludzi „sobie i społeczeństwu uciążliwych" i chętnie słuchających złych podszeptów[53].

---

[51] B. Prus, *Kroniki*, t. VII, s. 53–54.

[52] T. Jeske-Choiński, *Ziarna i plewy: polemika*, „Niwa", t. XXV, 1884, s. 203–210.

[53] J. Soplica [W. Olendzki], *Sprawy bieżące*, ibidem, s. 230–232.

Po miesiącu tenże Soplica raz jeszcze bronił tezy o istnieniu naukowego proletariatu:

> Pod zbiorowem tem mianem rozumieliśmy cały ów istniejący u nas bezsprzecznie nadmiar dyplomowanych i niedyplomowanych wyzwoleńców najwyższych zakładów naukowych, wszelkich fakultetów: lekarzy bez praktyki, obrońców bez klienteli, filozofów, matematyków i polityków [tak!] bez katedr, zajęcia i chleba – bez punktu wyjścia i celu dojścia; zmarnowanych, skwaszonych, wykolejonych – słowem, zbitych i rozbitych, ludzi do wszystkiego i do niczego!

Tak oto, jak widać, ludźmi „do wszystkiego i do niczego" okazywali się już nie tylko kanceliści i rządcy domów z paroma klasami gimnazjum, ale lekarze, prawnicy, nauczyciele. Konserwa przechwytywała oto hasła i słownictwo pozytywistów, doprowadzała je do ostatecznych konsekwencji i obracała przeciwko nim samym. Genezą tego proletariatu – kontynuował Soplica – jest pycha, „popularne urojenia" i frazes:

> Uznaliśmy, że mamy już dość tych napuszonych paplań i tych hetmańskich [pite do Świętochowskiego – *J.J.*] aspiracyj bez końca; widzieliśmy, że pośród tej wielogłowej czeredy rozreklamowanych, rozbałamuconych i do niczego niezdolnych wielkości *in partibus*, ani się doszukać rzetelnego i oświeconego rzemieślnika, werkfuehrera, maszynisty, ekonoma, leśnika, montera; że [...] nawet na polu ekonomicznego dorobku, pomimo chwilowo przychylnych okoliczności, dla braku fachowo wykształconych ludzi, postępujemy krokiem ślimaka, całe żniwo oddając obcym przybyszom[54].

Spóźniony był w tej dyskusji głos socjalistów, z których jedni – ci partyjni – czekali na proces w cytadeli lub organizowali ośrodek genewski, inni – ci „legalni" – relegowani z uniwersytetu rozpierzchli się po świecie. W Warszawie i na wolności był – z piszących – jeden tylko, najbardziej od partii oddalony Białobłocki. Jego też spokojny, rozumny artykuł był ostatnim akordem polemiki. Białobłocki nie sprzeczał się z „Niwą" o fakty dotyczące położenia inteligencji: diagnozę jej wzbogacał jeszcze własnymi spostrzeżeniami.

[54] Ibidem, s. 388–389.

Dziwił się natomiast – godząc tym zdziwieniem także i w liberalnych organiczników – projektowi skierowania zbędnych nadwyżek inteligencji do pracy produkcyjnej. „Ja sam – pisał – osobiście znam dużo, a inni zapewne nie mniej znają kandydatów praw, co się chwycili miejsca kancelisty za 25 rs. miesięcznie, skończonych nauczycieli, którzy przebijają się kopiejkowymi korepetycjami, inżynierów i technologów uszczęśliwionych z miejsca maszynisty". Skoro tak, to „chyba by natychmiast znaleźli się kandydaci i na «werkfuehrerów», i leśników, i monterów, nawet ekonomów, gdyby było zapotrzebowanie". Rzecz w tym jednak, że „i tam jest taki sam nadmiar jak i wszędzie".

Twierdził Białobłocki, że przyczyną nadprodukcji inteligencji jest nędza i niska kultura ludu. W tym wszakże nie był oryginalny – Prus mówił to samo. Białobłocki tylko nie wierzył w szkoły rzemieślnicze i inne tego rodzaju panacea, gdyż rozumiał, że przewaga podaży wszelkiej pracy nad zapotrzebowaniem na nią jest cechą nieodłączną rozwoju, a bardziej jeszcze niedorozwoju kapitalizmu. Nie zdawał się przywiązywać większej wagi do politycznych realiów Królestwa: zjawisko postrzegał jako ogólnoeuropejskie, jako „zło, którego przy obecnych warunkach usunąć się nie da: z nim tylko rachować się trzeba".

Ale było to zło względne, zło dla samych zainteresowanych, nie dla ogółu. Albowiem ci zbędni są niezbędni. Ci szukający chleba „fachowcy inteligentni" bez kariery, przez swą niezależność właśnie, stanowią jedyną szansę rozwoju myśli społecznej:

> proletariat naukowy [...] nie będąc związany wpływem interesów ż a d n e j warstwy społecznej, może bezstronnie objaśniać społeczeństwo o przebiegu starć międzyklasowych[55].

W tym właśnie punkcie zaczyna się doniosły zwrot w ujmowaniu całej kwestii. Od łożyska dyskusji o sytuacji na rynku pracy oddziela się boczny nurt, który wkrótce stanie się nurtem głównym.

---

[55] B. Białobłocki, *Nadprodukcja inteligencyi*.

Dotychczas cała sprawa rozpatrywana była przede wszystkim w kategoriach utylitarnych i ekonomicznych, choć z politycznym podtekstem. Ów stale obecny i rosnący w liczbę rezerwuar ludzi, których kwalifikacje nie mogły zostać spożytkowane, bywał przez jednych pogardzany, przez innych żałowany tylko, można się go było obawiać lub nie obawiać, zawsze jednak ze społecznego punktu widzenia uważany był za czystą stratę. W połowie lat osiemdziesiątych rodzi się myśl, że margines ten posiada pewną wartość samoistną. Wkrótce zostanie powiedziane, że t y l k o sproletaryzowana część inteligencji posiada jakąkolwiek wartość[56].

Zwrot ten wymagał zasadniczej zmiany poglądu na funkcje zawodowe i społeczne inteligencji. Dotąd pytano, czy lekarz ma chorych, których leczy, czy adwokat ma klientów, których interesów broni przed sądem, czy nauczyciel ma uczniów, czy uczony może prowadzić badania i publikować ich wyniki. Wprawdzie program pracy u podstaw stawiał przed inteligencją obowiązek pracy społecznej nieodpłatnej, ale i w tym nie gubił na ogół jej kwalifikacji specjalistycznych. Teraz, w tej nowej perspektywie, specjalności stają się drugorzędne, nieważne. Głównym zadaniem inteligencji jako takiej, lub tylko „inteligentnego proletariatu", bez względu na r o d z a j odebranego wykształcenia, stać się ma wytwarzanie myśli społecznej, idei, świadomości narodowej lub klasowej. „Fachowiec" – staje się szyderczym epitetem. Konkurencja na rynku pracy zostanie zaćmiona przez konkurencję na rynku idei.

Krąg trzeci: inteligencja techniczna

Jak widzieliśmy, prawie wszystkie ubolewania – postępowców i zachowawców jednako – z powodu nadmiaru inteligencji kończyły się jednym i tym samym: do pracy produkcyjnej! Do fabryki czy rzemiosła, do rolnictwa czy ogrodnictwa – mniejsza o to, byle do pracy, która buduje, wytwarza, powiększa narodowe bogactwo,

[56] Zob. M. Zahorska, *Spór o inteligencję w polskiej myśli społecznej do I wojny światowej*, w cyt. zbiorze *Inteligencja polska pod zaborami*, s. 200–208.

staje się fundamentem bytu, warunkiem cywilizacji. I także, czego już nie dopowiadano, warunkiem przyszłej, kiedyś, samoistności narodu polskiego. To, że przemysł c z e k a na młode, prężne, fachowe siły, było aksjomatem, w który generalnie, oprócz socjalistów, mało kto poważał się wątpić, choć każdy znał niepokojące meldunki z tego placu cywilizacyjnego boju.

Ze wszystkich zawodów technicznych najczcigodniejszym, ze wszystkich fachów najbardziej fachowym był zawód inżyniera, nade wszystko tzw. inżyniera cywilnego – budowniczego dróg, mostów i kolei żelaznych. Zawód ten zapalał wyobraźnię, nęcił swym pionierstwem, romantyką podróży i barwnego życia, wysokimi zarobkami. Inżynier stał się umiłowanym bohaterem pozytywistycznej powieści i publicystyki. On to z entuzjazmem demiurga pchał świat na nowe, kolejowe tory, w jego usta wkładano wzniosłe tyrady o postępie. Wykształcenie praktyczne łączył z szerokimi horyzontami umysłowymi, stając się wcieleniem ideałów postępowego obozu.

Już na polistopadowej emigracji we Francji wśród tych, którzy podejmowali naukę, największym po medycynie powodzeniem cieszyły się studia techniczne[57]. Ta sama skłonność panowała, jak się zdaje, wśród późniejszego wychodźstwa. W roku 1865/66 na politechnice w Zurychu miało studiować trzydziestu pięciu Polaków – częścią emigrantów politycznych, częścią przybyłych z kraju studentów. Wielu polskich techników, ze Stanisławem Janickim na czele, pociągnęła budowa Kanału Sueskiego[58]. W Królestwie po powstaniu styczniowym, po powrocie Leopolda Kronenberga i podjęciu planów budowy nowych dróg żelaznych, zawód inżyniera stał się modny wśród młodzieży ziemiańskiej i mieszczańskiej, choć w kraju nie było go gdzie się uczyć. Zaczął się run do politechnik zachodnich i instytutów petersburskich. Nawet pokończeni już matematycy i fizycy, nie widząc dla siebie losu ani na uniwersytecie, ani w szkołach, podejmowali studia inżynieryjne.

---

[57] B. Konarska, *Polskie drogi emigracyjne: emigranci polscy na studiach we Francji w latach 1832–1848*, Warszawa 1986, s. 35.

[58] J.W. Borejsza, *Emigracja polska po powstaniu styczniowym*, Warszawa 1966, s. 26, 37; R. Czepulis-Rastenis, *„Klassa umysłowa"*, s. 324.

Mit prysł jak tęczowa bańka. Już w latach siedemdziesiątych – stwierdza Janina Leskiewiczowa – „pojawił się nadmiar inżynierów, których życie gospodarcze ubogiego kraju nie mogło wchłonąć”[59]. I rzeczywiście: mnożą się doniesienia o braku pracy dla inżynierów. Entuzjastom postępu technicznego było trochę głupio.

> W romansach lat ostatnich – pisał Prus – inżynierowie byli bohaterami i ideałami: oni majątki robili, oni byli kochani, oni jedni mieli piękne czarne brody i niezłomne a szlachetne charaktery. Nie dziw więc, że w rozbudzonym nieco ruchu przy budowach kolei żelaznych niejeden młody gimnazista zapragnął znaleźć się pod sztandarem szczęśliwej inżynierii cywilnej[60].

Niestety, znalazło się pod nim zbyt wielu. Świętochowski składał samokrytykę nieco później, w roku 1882:

> Przed kilkunastu laty, gdy ciężkie doświadczenia pobudziły do energii, gdy opinia publiczna wydała hasło zwrotu na drogi praktyczne, pojęliśmy je tak, że wpędziliśmy młodzież na niwę przyrodniczo-matematyczną. Powstała, dotąd trwająca, epoka inżynierów i techników. Niestety, zbrakło dla nich dróg i fabryk[61].

Trudno się dziwić, że prędko zbladł nimb sukcesu i chwały.

> Nasza krytyka teatralna i powieściowa – pisał Poseł Prawdy – [...] z zadowoleniem przypatrywała się i przypatruje tysiącom postaci szlachciców, ale gdy jej kilka razy ukazano na scenie inżyniera, zawołała ze wstrętem: dosyć tego dobrego, dosyć, już znamy! Skutkiem tego szanujący swą godność dramaturg wolałby dziś wprowadzić do swej sztuki mamuta niż konstruktora elewatorów. Toteż nasi konstruktorzy, doznawszy chwilowego powodzenia, włóczą się bez zajęcia po ulicach i wzdychają, ażeby municypalność kazała przemalować tabliczki na domach, bo może to dałoby im zarobek, którego daremnie szukali – przy tramwajach. Te zawody nie stanowią zachęty dla pokoleń dorastających[62].

---

[59] J. Leskiewiczowa, op. cit., s. 115.
[60] B. Prus, *Kroniki*, t. II, s. 52.
[61] [A. Świętochowski], *Wyższe tony*.
[62] A. Świętochowski, *Liberum veto*, t. I, s. 337.

Mimo wszystko każdej jesieni młodzi Polacy oblegali cieszące się znakomitą renomą petersburskie instytuty techniczne: komunikacji, technologii, górniczy, leśny. Dostać się było ciężko, bo na jedno miejsce przypadało dziesięciu, a i piętnastu kandydatów, jednak ci szczęśliwi, którzy przebrnęli przez egzamin konkursowy, dość już łatwo otrzymywali rządowe stypendia i względnie dobre warunki nauki. Do czasu wprowadzenia – w roku 1884 – kwot wyznaniowych i terytorialnych Polacy (z Królestwa i Cesarstwa łącznie) stanowić mieli w niektórych instytutach blisko połowę alumnów[63]. Ale po ukończeniu studiów i powrocie do kraju spora ich część nie znajdowała pracy[64]. Zdarzało się to także absolwentom politechnik zachodnich i inżynierom z bogatym już, za granicą zdobytym doświadczeniem.

Zawód był z natury kosmopolityczny, więc zawiedzeni rozjeżdżali się na nowo po świecie: jedni na Zachód i nawet na antypody, inni w głąb Rosji. Życiorysy wielu inżynierów polskich tego czasu to historie niespokojnych obieżyświatów. Gdzież ich nie było: od Andów po Sachalin! Najciekawszy to chyba strumień naszej zawodowej emigracji.

Ale pozostawało uporczywe pytanie: dlaczego? Prawda: carat za Aleksandra III, po zerwaniu sojuszu z Niemcami, wstrzymywał udzielanie koncesji na budownictwo kolejowe w Królestwie. Ale przecież rozwijał się przemysł. Okazywało się, że przemysł nie chce polskich techników.

Narzekaniami, a potem wygrażaniami na niemieckich przemysłowców, którzy nie chcą zatrudniać naszych inżynierów, majstrów, oficjalistów – można by zapełnić gruby tom. W nieustających alarmach z powodu inwazji niemieckich kapitałów mniej bodaj szło o kapitały same, o konkurencję i zyski, bardziej o to, że obcy przemysł ciągnął za sobą i do siebie obcych specjalistów i personel nad-

[63] N.S. B[artoszewicz], *Głos z Petersburga*, „Przegląd Tygodniowy" 1884, s. 377–378. Por. R. Kołodziejczyk, *Studenci polscy w Instytucie Inżynierów Komunikacji w Peteresburgu w latach 1867–1876*, „Studia i Materiały z Dziejów Nauki Polskiej", seria D, zesz. 3, 1962, s. 39–54.

[64] B. Prus, *Kroniki*, t. VIII, s. 214.

zorczy w tym samym czasie, kiedy dla Polaków brakło zatrudnienia. Wywoływało to zrozumiałą gorycz, tym większą, gdy i polscy przemysłowcy raz po raz sprowadzali zagranicznych fachowców.

> Straszna to doprawdy ironia i bolesny wstyd dla nas – pisał Świętochowski już w roku 1874 – że kiedy obcy powierzają naszym ziomkom przekopy największych w świecie tunelów i roboty najwspanialszych mostów, my swojskiemu talentowi nie dowierzamy w budowie lub kierownictwie jakiejś tam fabryczki[65].

Tak to rzeczywiście było: bo też politechniki i instytuty uczyły budować tunele i mosty, a nie kierować „jakąś tam fabryczką". Pojmował to doskonale Prus, który – zanim sam stał się żarliwym wrogiem obcych kapitałów i germańskiej inwazji ekonomicznej – próbował wyjaśniać, że przemysł rządzić się musi ekonomią, a nie uczuciem. „Szowiniści nasi – pisał – nie rachując się dostatecznie z przeszłością i faktami teraźniejszymi, głośno narzekają na to, że wielka ilość fabryk znajduje się w rękach osób pochodzenia germańskiego i że osoby te wszystkie posady korzystniejsze oddają cudzoziemcom". Zdaniem Prusa, przyczyną było to, że Polacy za późno wzięli się za naukę rzemiosł i techniki i że podjęli ją od niewłaściwego końca. O ile bowiem polski „rzemieślnik" (tzn. wykwalifikowany robotnik fabryczny) ustępuje niemieckiemu pod względem wykształcenia teoretycznego, o tyle znów inżynier nie zna dostatecznie praktyki. Kierunki specjalizacji obierane są bez rozeznania rzeczywistych potrzeb: przez to mamy nadmiar inżynierów cywilnych, a brak mechaników konstruktorów. Obowiązkowa wakacyjna praktyka studentów „redukuje się do zwiedzania fabryki w ciągu jak najkrótszego czasu". Toteż „przemysłowcy utrzymują, że młodzieniec, który świeżo szkołę ukończył, jest bardzo surowym materiałem, robotnikami samodzielnie kierować nie potrafi, a więc i naczelnego stanowiska zajmować nie może", a podrzędne uważa sobie za ujmę[66].

Były to uwagi nader trafne. Przemysł i budownictwo Królestwa na ówczesnym poziomie organizacji i koncentracji, korzystając

---

[65] [A Świętochowski], *Wywóz naszej inteligencyi*, loc. cit., s. 281.
[66] B. Prus, *Kroniki*, t. II, s. 283, 524; t. VIII, s. 215.

głównie z importowanych maszyn i technologii, potrzebowały przede wszystkim średniej kadry technicznej - od zawodowo wyszkolonego robotnika począwszy, a na kierowniku oddziału lub zawiadowcy robót kończąc. Tych społeczeństwo polskie nie mogło mu dostarczyć.

Prus powracał do tego tematu raz po raz. Gdy rozgorzała godna epopei wojna prasowa wokół sprawy wodociągów i kanalizacji dla Warszawy - imprezy, w której także upatrywano spisek przeciw rodzimym fachowcom - stwierdził, że

> pan Lindley młodszy w sprawie kanalizacji ma więcej doświadczenia od tych wszystkich techników, którzy podobnych robót nigdy nie prowadzili. Co zaś znaczy praktyka, dowodem fakt, że nawet do łączenia pojedynczych rur wodociągowych trzeba było sprowadzać specjalistę z zagranicy, miejscowi bowiem robić tego nie umieli.

Innym razem pisał:

> Narzekamy na niemieckich fabrykantów, że nie posługują się naszą młodzieżą, która ukończywszy zakłady techniczne, cierpi nędzę, utrzymuje się z lekcji albo emigruje. Istotnie, nasi inżynierowie są znani we wszystkich częściach świata, dokąd rozchodzą się, nie mogąc znaleźć zajęcia w kraju.
>
> Dobrze, więc temu winni są fabrykanci niemieccy. Co jednak znaczy, że fabrykant P o l a k [...] dowodzi, że między młodymi technikami nie może znaleźć materiału na dyrektora piekarni? [...] Ten bowiem, kto uczył się budowy mostów, lokomotyw, tkactwa, farbiarstwa itd., nie będzie piekarzem, to darmo.

Krajowi potrzeba głównie „majstrów, którzy byliby w stanie sami robić przy warsztatach i uczyć robotników", potrzeba też kierowników małych warsztatów i fabryk. Tymczasem młodzież kształci się na „największych kierowników przemysłu", których wiedzy przedsiębiorcy nie są w stanie ani zużytkować, ani odpowiednio wynagrodzić[67].

Ta ocena sytuacji potwierdza się i z innych źródeł. Nie była to zresztą, jak wiadomo, sytuacja nowa: rzec można, iż trwała

---

[67] Ibidem, t. VII, s. 9; t. VIII, s. 135-137. Podobnie B. Aleksandrowicz, *O przemyśle tkackim u nas*, „Niwa", t. XVIII, 1880, s. 476.

nieprzerwanie od ponad stu lat, od czasu zakładania manufaktur. Tyle że w międzyczasie polskie społeczeństwo dorobiło się własnej kadry technicznej, nieraz nawet wybitnej, ale nie znającej nowych, szybko zmieniających się technologii.

Niewątpliwie polityka obcego kapitału, bardziej ufającego ludziom swojego języka i kultury, odgrywała tu także rolę, choć zapewne większą w doborze personelu administracyjnego niż technicznego. Wiadomo na przykład, że politykę taką prowadził w latach 1858–1869 ówczesny niemiecki zarząd Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, blokujący awansowanie Polaków na wyższe stanowiska, i że polonizacja tej kolei po przejęciu nad nią kontroli przez Kronenberga bynajmniej nie spowodowała pogorszenia się jakości służby[68]. Niemniej ów czynnik narodowościowy bywał demonizowany ponad miarę. Wiemy dowodnie, że w połowie wieku przemysł włókienniczy i metalowy, wprowadzając nową technologię, naprawdę nie mógł się obejść bez zagranicznych inżynierów, majstrów i wykwalifikowanych „rzemieślników". Przewrót techniczny narzucał swoje wymagania, za którymi nie nadążało kształcenie politechniczne. Nie bez znaczenia były też lokalne tradycje zawodowe, wyraźne zwłaszcza w najsilniej zniemczonym w Królestwie przemyśle łódzkim, gdzie fabrykanci nie tyle sprowadzali majstrów z zagranicy, co kształcili ich i promowali ze znających swój fach tkaczy miejscowych, z podobnym skutkiem, o ile chodzi o proporcje narodowościowe[69].

> Ktokolwiek – pisano – zwiedzał zakłady przemysłowe w kraju, zauważyć musiał, że inżynierowie z wykształceniem petersburgskiem pracują w nich rzadko; natomiast wszystkie posady zajmują ludzie bez teoretycznego wykształcenia, którzy się swego fachu nauczyli praktycznie nieraz w tym samym zakładzie, którym obecnie kierują, lub wychowańcy politechnik zagranicznych. Technicy petersburgscy widocznie nie odpowiadają wymaganiom krajowych przemysłowców.

[68] K. Strasburger, *Działalność Leopolda Kronenberga w dziedzinie kolejnictwa*, w: *Leopold Kronenberg – monografia zbiorowa*, Warszawa 1922, s. 120.

[69] A. Wiśniewski, *Kilka słów w sprawie praktykantów fabrycznych*, „Glos" 1888, s. 619–620.

Radzono więc naszej młodzieży po szkole średniej zaczynać od pracy robotnika lub praktykanta w fabryce, hucie czy kopalni, a dopiero po paru latach obeznania się z robotą „pojechać na jaki rok do której z politechnik, żeby [...] dowiedzieć się o ostatnich postępach tej gałęzi wiedzy, której się każdy poświęci". Bo w ogóle krajowi potrzebni są

> nie tyle wielcy inżynierowie do wiekopomnych dzieł techniki, ile skromni, energiczni i praktyczni pracownicy, mogący skutecznie współzawodniczyć z tym obcym żywiołem, który wdzierając się we wszystkie szczeliny przez nas nie zajęte, rozrasta się bujnie, jak chwast na naszej ziemi, a nas zmusza szukać chleba i pracy dalej na wschodzie[70].

Wschód kusił coraz silniej. Wielki *boom* inwestycyjny – w kolejnictwie, górnictwie, przemyśle – jaki rozpoczął się w Rosji wraz z napływem kapitałów francuskich w ostatnim piętnastoleciu dziewiętnastego wieku, otwierał pole działania zarówno dla „skromnych pracowników", jak i dla najbardziej rzutkich projektantów, którzy wiązali się z interesami spółek akcyjnych i karteli. Dzięki temu nadmiar polskiej inżynierii znajdował sobie ujście łatwiej niż jakikolwiek inny zawód, nie rozwiązywało to wszakże problemów kraju.

Praca organiczna musiała nie tylko – z założenia samego – obywać się bez pomocy państwa, ale wręcz stawiać tamy jego niszczycielskiej dla kultury działalności. Inicjatywa zrzeszeń inteligencji i kapitału miała tej pracy i jej działaczom stworzyć niezależną podstawę materialną. Ponadto rutynie i konserwatywnemu zasklepieniu biurokracji inicjatywa ta przeciwstawić miała rozmach nowoczesnej cywilizacji. Otóż fakt, że przemysł krajowy, pomimo swego rozwoju, zawiódł pokładane w nim w tej mierze nadzieje, był może największym niepowodzeniem programu.

Pozostawało rzemiosło. Mały warsztat od samego początku bliski był sercom organiczników. Posiadał rozliczne przewagi nad fabryką. Po pierwsze, wielki przemysł do końca stulecia koncentro-

---

[70] H.K.K., *Głos w sprawie ważnej*, „Przegląd Tygodniowy" 1884, s. 345. Por. J. Miąso, op. cit., s. 127–131.

wał się w paru zaledwie okolicach, a na wielkich połaciach kraju, z tej czy tamtej strony Bugu i Niemna, był jeszcze praktycznie nieznany. Po wtóre, przemysł był w znacznej części w obcych rękach, rzemiosło było swojskie. W przemyśle pauper mógł co najwyżej marzyć o stanowisku subalterna, w rzemiośle spodziewał się dojść z czasem do tego, by sobie samemu być panem. Wreszcie warsztat łagodził traumatyczne procesy adaptacji wiejsko-szlacheckiej progenitury do nowych warunków życia w mieście.

Autor artykułu o szkołach dla terminatorów z roku 1878 nie czytał z pewnością Marksowskich analiz zjawiska alienacji, niemniej pisał:

> Praca osobista, ale wolna, ale samoistna, która by wydawała produkta indywidualności robotnika znamię noszące, praca w otoczeniu rodziny, uwzględniająca własność, swobodę ludzką – oto n o w y cel, który przed warstwami ludności przemysłowej stoi[71].

Cel nowy? Czy stary jak średniowiecze? Jeżeli nowy – to przecież nie dla warstw „przemysłowych", lecz dla tych, przed którymi kryzys rolny, rusyfikacja szkół i urzędów i wyspowy charakter kapitalistycznego przemysłu zamykały inne drogi życiowe.

Drobnomieszczański charakter naszego pozytywizmu podkreślano wielokrotnie. Jak przed laty zauważył socjolog Stanisław Rychliński, bohaterowie powieści dydaktycznych z patosem deklamowali o wielkich wynalazkach wieku, ale w samym wątku fabularnym, a również w dziennikarskim poradnictwie, wzorem był nie tyle budowniczy kolei transkontynentalnych, co poczciwy, oszczędny i zaradny rzemieślnik wedle Franklinowskiej miary[72]. Więc jeszcze raz „zniżenie ideału"? Czy może raczej rozdarcie między ideałem a przaśną rzeczywistością, rozdarcie, które cechowało wiele ideologii, romantyczno-niepodległościowej nie wyłączając?

---

[71] *Szkoły dla terminatorów jako warunek rzemiosłowego postępu*, „Przegląd Tygodniowy" 1878, cyt. za S. Rychlińskim, „Praca organiczna w Królestwie Polskiem" (1930), mps. Bibl. SGH, k. 134.

[72] Ibidem, k. 60–63.

*

Ideologia pracy organicznej pobudzała aspiracje szlachty, mieszczaństwa i przede wszystkim inteligencji – ich dążenie do oświaty, do europeizacji kraju i do tworzenia dla siebie lepszego, bogatszego życia; zarazem zaś, z powodów całkiem praktycznych, musiała te rozbudzone aspiracje powściągać. „Wiedza to potęga" – brzmiało hasło pozytywistów. Były więc sny o potędze, o podbojach przemysłowych i cywilizacyjnych, i były sny o posadzie, o jakimkolwiek zajęciu dla chleba.

Oczywiście, ta inteligencja „zbędna" i biedująca, o której tu mówimy, była tylko marginesem rosnącej rzeszy pracowników umysłowych. Trafiał tu zresztą element różnorodny: bo oprócz owych niedouczonych „ludzi do wszystkiego i do niczego" oraz wiecznych studentów także i specjaliści niemający siły przebicia, a nie brakło i indywidualności dużej miary. Margines ten rozrastał się. Śledząc sytuację g r a n i c z n ą trzech najliczniejszych kręgów społeczno-zawodowych, odkrywaliśmy za każdym razem takie samo zaklęte kolo, z którego ani żywiołowo zmieniająca się gospodarka, ani myśl ideowa nie potrafiły znaleźć wyjścia. Czasem zdawać się mogło, że kraj stoi w miejscu.

Nie stał. Zmieniała się s k a l a. Miasta rosły, budowano domy i szpitale, przemysł rozwijał się i modernizował. Wraz z tym rosło zatrudnienie inteligencji zawodowej, tylko że rosło stale wolniej od liczby osób poszukujących pracy i kariery.

Jest to dysproporcja typowa dla wczesnego stadium kapitalizmu. We wszystkich bodaj krajach rozwijających się wzrost aspiracji warstw mniej lub bardziej wykształconych wyprzedza stopę wzrostu ekonomicznego i poziomu życia mas. Wytwarzanie inteligencji i umysłowej elity w krajach biednych – zwłaszcza przy dostępie do uczelni zagranicznych – jest szybsze, łatwiejsze i tańsze od podniesienia poziomu potrzeb masowych i środków umożliwiających ich zaspokajanie. O pracę dla lekarzy łatwiej tam, gdzie jest ich już wielu, trudniej, gdzie ich mało.

Charakterystyczna dla wielu krajów zacofanych przepaść między poziomem kultury elitarnej a warunkami życia i przeciętnym poziomem kultury mas może schlebiać niekiedy próżności i snobizmom ludzi wykształconych i „dobrze wychowanych", ale godzi w ich żywotne interesy o tyle, o ile muszą oni sprzedawać swe umiejętności. Zawodowe interesy inteligencji wymagają zawsze wzrostu zapotrzebowania na jej usługi, to znaczy wymagają umasowienia i sublimowania potrzeb ludzkich w zakresie oświaty, higieny, lecznictwa, mieszkania, podróżowania, lektury, rozrywki, wymiaru sprawiedliwości i tak dalej. I oczywiście wymagają takiego podziału dochodu społecznego, iżby budzone przez cywilizację potrzeby były możliwie najpowszechniej wyposażone w środki ich pokrycia.

Interesy ekonomiczne inteligencji polskiej w dziewiętnastym wieku nie dlatego schodziły się z dobrem ogólnospołecznym, że inteligencja chciała być solą ziemi, lecz dlatego, że wynikało to z jej profesjonalnych funkcji – o tyle przynajmniej, o ile funkcje te wykraczały poza lojalną służbę w zaborczej administracji lub w zarządach spółek akcyjnych.

Inną jest sprawą, czy przyspieszenie cywilizacyjne leżało w ogóle w zasięgu jej możliwości. Wzrost potrzeb i zasobów podstawowej masy narodu był niezmiernie powolny, znacznie wolniejszy od tempa industrializacji. Jest to zjawisko normalne. Pług spóźnionego kapitalizmu orze niektóre tylko grunta i orze je płytko, pozostawiając ogromne cywilizacyjne ugory. Zagospodarowanie ich wymagało zawsze planowej redystrybucji dochodu społecznego, którą zapewnić może jedynie państwo lub terytorialny samorząd. O polityce społecznej caratu nie było co i myśleć, a uzyskany przez Wielopolskiego samorząd miejski i powiatowy został Królestwu odebrany w następstwie powstania. W efekcie – jak pisał Rychliński – „gdy na Zachodzie szybko rozwijający się ustrój samorządowy łagodził w imię potrzeb zbiorowości ujemne skutki kapitalizmu nie liczącego się z interesami ogólnymi, a więc podnosił poziom zdrowotny miast, rozbudowywał sieć dróg, roztaczał opiekę nad rosnącą nędzą miejską, wznosił szkoły i tworzył instytucje kulturalne,

Królestwo Polskie było pozbawione zupełnie niemal organów takiej działalności zbiorowej"[73].

Cały program pracy organicznej polegał w końcu na tym, żeby te brakujące organy z a s t ą p i ć ochotniczą pracą inteligencji, nie mającej funduszów ani uniwersytetów, ani nawet prawa do stowarzyszania się. Twórcy i apostołowie tego marzycielskiego programu za całe swoje narzędzie mieli cenzurowaną prasę i samym słowem chcieli poruszyć ten zarosły biedą i odrętwieniem polski staw. Starczyło im energii i wiary na całe dziesięciolecie. Jeszcze w roku 1880 pisał „Przegląd Tygodniowy":

> Nie pojmujemy inaczej rozumnego liberalizmu, umiarkowanej demokracji, jak przez podniesienie warstw ludowych, tak miejskich, jak wiejskich, do możności praktykowania wszystkich zdobyczy naszego wieku. [...] Pozostawiać jakieś warstwy narodu w spokoju, z ich ograniczoną produkcją i konsumpcją, jest to dobrowolne skazanie społeczeństwa na zastój lub nawet n a ś m i e r ć[74].

Ale wkrótce nastaje epoka generała Hurki i w prasie Królestwa coraz częściej pisze się o apatii i marazmie prowincjonalnej inteligencji, której poza partyjką winta jest „zupełnie wszystko jedno"[75]. Z Warszawy zaś do galicyjskiego „Czasu" bystry obserwator i plotkarz donosi – w roku 1886 – o „powszechnym zesmutnieniu", spowodowanym ogólną n i e m o ż n o ś c i ą:

> Ludzie zrodzeni i wykształceni w szczęśliwszych nieco warunkach kraju wymierają, młodzi patrzą w przyszłość bez promieni, bez widoku, w rozgoryczeniu, jakie każdy dzień wzmaga, nieczynni i beznadziejni[76].

Z tej goryczy, nieczynności i beznadziei różne rodziły się bunty. Przeciwko mieszczańskiej cywilizacji przemysłowej i kupieckiej, która zabija prawdziwe wartości kultury ludu polskiego. Przeciwko kapitalistycznemu wyzyskowi. Przeciwko Żydowi i Niemcowi, któ-

[73] Ibidem, k. 594–595.

[74] *Zadania inteligencyi naszej*, loc. cit., s. 618.

[75] Z. W[asilewski], *Z listów do przyjaciela na prowincji*, „Głos" 1891, s. 380.

[76] A. Zaleski, *Towarzystwo Warszawskie. Listy do przyjaciółki przez Baronową XYZ*, opr. R. Kołodziejczyk, Warszawa 1971, s. 437.

rzy na każdym kroku wchodzą w drogę rodowitym Polakom. Przeciwko obłudzie, konwenansom i gustom filistra. Przeciwko zaborcom.

I na domiar wszystkiego masochistyczny bunt intelektualistów przeciwko sobie samym i własnej bezsilności.

5. Afirmacja i negacja

Z niewspółmierności wielkiej wizji i jakże małych środków zdawali sobie sprawę niemal od początku. Pisali z patosem i głęboką wiarą w słuszność swoich racji, ale bez pewności ich zwycięstwa. W odróżnieniu od swoich poprzedników z „Gazety Polskiej" (o których istnieniu bodaj nawet nie słyszeli) wątpili w automatyzm postępu, w samoczynnie twórczą moc pracy i kapitału. Bo też i sytuacja była inna, start nieporównanie trudniejszy. Wtedy, około roku sześćdziesiątego, kroiło się jakieś bojowe przymierze organicznikowskiej inteligencji ze wstępującą burżuazją. Koniunktura gospodarcza i polityczna, mimo chwilowych załamań, szły ze sobą w parze. Rozpoczęła się była właśnie odbudowa polskiego szkolnictwa i realne zdawały się nadzieje na to, iż umiarkowani demokraci opanują samorządy miejskie. I że wreszcie sam ugodowy rząd cywilny Wielopolskiego bez współdziałania inteligencji i burżuazji się nie obejdzie, zaś przyjmując taką współpracę, będzie musiał zmierzać w bardziej liberalnym kierunku.

W roku 1871 podstawy, z których można by było rozpoczynać pracę postępową, leżały w gruzach. Burżuazja ocalała, ale już obojętna na los narodowej wspólnoty. Kronenberg robił interesy, wyrzekłszy się ambicji kształtowania opinii i odgrywania roli politycznej. Tej zresztą nikt, poza Galicją oczywiście, nie odgrywał i odgrywać nie mógł. Kazimierz Krzywicki, Wielopolskiego współpracow-

nik najbliższy i niedawny reformator szkól, pisał program narodowej kapitulacji[1]. Komitet Urządzający kończył swoją robotę. Była polska godzina zero.

Ci dwudziestoparoletni korepetytorzy polskich klas oświeconych, którzy o tej właśnie godzinie rozwinęli swoją chorągiew, pod jednym tylko względem mieli zadanie łatwiejsze. Oto po raz pierwszy tak się stało, że obóz organicznej pracy nie miał przeciwnika ani rywala na lewicy. To oni byli teraz – na dziesięć lat – czerwonymi: czerwonymi, którzy nie chcieli już konspirować ani strzelać.

Dotychczas wszystkie przedsięwzięcia i programy organiczne – w Poznaniu, Warszawie, Lwowie – były dziełem czterdziestolatków, najczęściej b y ł y c h powstańców, zesłańców, więźniów politycznych. Młodych to nie pociągało, nie zapalało wyobraźni. Kolejne bunty młodych – zawsze oczywiście tylko ich garstki – pokolenia Mochnackiego, pokolenia Dembowskiego, pokolenia Romanowskiego – to były bunty poezji natychmiastowego czynu przeciwko rozwlekłej prozie społecznej i umysłowej roboty, maksymalizmu przeciwko kompromisom. Trzeba było tej godziny klęski i beznadziei, aby poezja zgasła i aby w języku dziennikarskiej prozy mógł się wyrazić bunt nowych młodych, najmocniej przekonanych, że mają do powiedzenia „społeczeństwu" takie prawdy, jakich nikt jeszcze przed nimi (może z wyjątkiem Supińskiego) nie objawił.

O tym wszelako przekonani byli także ich czytelnicy, również ci najbardziej niechętni. W tym kraju bowiem, gdzie nie tylko ciągłość życia politycznego, ale także ciągłość myśli społecznej rwała się co kilkanaście lat, idee szybko ulegały zapomnieniu i miały coraz to nowych ojców.

Więc ta nowa awangarda mówiła, nie wiedząc o tym, rzeczy, które przeważnie dawno już zostały powiedziane, ale mówiła je dobitniej i zuchwalej, i mówiła je w czasie, kiedy porządek panował w Warszawie, a przeto artykuł w „Przeglądzie" mógł być największym wydarzeniem tygodnia. Korzystali z tej ciszy i nie mogli się

[1] [K. Krzywicki], *Polska i Rossya w 1872 r.*, przez b. członka Rady Stanu Królestwa Polskiego, Drezno 1872.

uskarżać, że ich nie dosłyszano. Czy ich zrozumiano, to już inna sprawa. Pisało się wszak – jak powie kiedyś Orzeszkowa – „językiem więziennym" i gra z cenzorem była, siłą rzeczy, także grą z czytelnikiem. Grą w inteligencję. Bo nie chodziło tu tylko o zastąpienie eufemizmami kilku niedozwolonych słów. Są programowe artykuły Świętochowskiego, w całości utkane z aluzji, parabol i niedomówień: rozszyfrowanie ich wymaga specjalnej hermeneutyki. „Rzeczywiście – wspominał po latach ich autor – sztukę pisania niewidzialnego, które czytelnicy wywoływali domyślnością jak niknący atrament środkiem chemicznym, doprowadziliśmy do nadzwyczajnej doskonałości"[2]. Do takiej doskonałości ją doprowadzili, że do dziś jeszcze zwodzą niektórych komentatorów i badaczy imputujących im na przemian to wyrzeczenie się niepodległości i wzywanie do ugody z caratem, to znów nacjonalizm; buraczany ideał i górnolotny frazes; uczynienie cnoty z dorobkiewiczostwa tudzież apologię burżuazyjnego wyzysku. A czegóż to nie zarzucano im współcześnie, zwłaszcza w bezpiecznej galicyjskiej prasie!

Więc cisza roku siedemdziesiątego pierwszego. Porażenie polskiej myśli politycznej po Sedanie, myśli społecznej po Komunie. W zaborze rosyjskim uwłaszczenie ostatecznie wygrane przez carat, przez *diejatielej* Czerkasskiego i Samarina. Stosunki dworsko-włościańskie osiągnęły swój najniższy w całym stuleciu punkt. Komisje włościańskie stały się arbitrem w sporach o nadziały i służebności. Utworzenie włościańskiej gminy pod protekcją rosyjskiego rządu położyło kres protekcjonalnym iluzjom o stopniowym wnarodowieniu chłopów przez szlachtę. Ta zresztą zaprzątnięta była niemal bez reszty tym, jak finansowo wybrnąć z krytycznego położenia po reformie. W tych warunkach utraciła rację bytu ideologia liberalno-konserwatywna, której problemem osiowym było utrzymanie przez ziemiaństwo kierowniczej roli w procesie przebudowy stosunków agrarnych. Zaprzestanie wydawania „Roczników Gospodarstwa Krajowego" – podobno z powodu katastrofalnego spadku prenu-

[2] A. Świętochowski, *Wspomnienia*, opr. S. Sandler, Wrocław 1966, s. 101.

meraty – jest symbolicznym potwierdzeniem ideowej próżni, jaka się wytworzyła w obozie ziemiańskim.

Konserwatyzm krytyczny, z pasją przewartościowujący szlachecką tradycję dziejową, rekonstruujący założenia myśli zachowawczej stosownie do nowego układu stosunków w Polsce i w Europie, rodził się za miedzą, w Krakowie. Minie około dwudziestu lat od powstania, zanim zapuści korzenie w Królestwie, skupiając postarzałych spadkobierców Towarzystwa Rolniczego i zniechęcony do pozytywizmu prawicowy odłam młodej inteligencji.

U progu lat siedemdziesiątych nie było więc w zaborze rosyjskim żadnej programującej myśli społeczno-politycznej na lewicy, i nie było jej na prawicy. Nie było idei rewolucji, bo z kim i przeciw komu, i nie było idei ugody, bo nie chciał jej i nie potrzebował carat.

Podniosła chwila „zbratania stanów" z roku 1861 należała do przeszłości. Dziesięć lat później był naród zdezintegrowany, rozbity na obce sobie i żadnym moralnym węzłem nie złączone klasy, z których żadna w dodatku nie była zdolna do wyłonienia własnej idei i ruchu społecznego. Jedynym spoiwem na tym rumowisku życia pozostał cierpiący i prześladowany, ale silny swym duchowym oporem Kościół i tylko o niego zaczepić się mogła bierna idea p r z e t r w a n i a.

Jak często bywa po wielkich klęskach, tak i tym razem nastąpił regres świadomości społecznej. Gdy tak brutalnie zawiedzione zostały nadzieje zmiany, gdy każdy rzut narodowej wyobraźni w przyszłość okazywał się krwawym i bezsensownym hazardem, a żyć przyszło w rzeczywistości amputowanej, wówczas i azyl, i sens odnaleźć można było w świecie wartości najbardziej sprawdzonych i trwałych. Ich to skarbnicą był polski i katolicki, szlachecko-wiejski rezerwat tradycji, scharakteryzowany przez nas pobieżnie w jednym z wcześniejszych rozdziałów. Ten kulturowy kanon też jednak nie pozostał nie zmieniony. Przez kilka dziesięcioleci nasiąkał zsentymentalizowaną romantycznością, odartą z buntowniczego nonkonformizmu. I obrastał także mogilną legendą przegranych potyczek i powstań, choć z innej całkiem inspiracji wznieconych. Za każdym bowiem razem – jak trafnie pisze Bohdan Cywiński – „idea

buntu, rewolucji, płynęła od żywiołów niespokojnych, radykalnych społecznie, często bardzo skłóconych z wiarą lub przynajmniej z Kościołem i za każdym razem do walki obok jej inicjatorów i ideologów stawali tradycyjni w każdym calu synowie ze starego dworku, w każdej generacji na nowo płacącego najcięższe koszty rewolucji, o której myśl wydawała im się przecież obca"[3]. Myśl mogła być obca, ale historia była własna – i relikwie po kolejnej zawierusze, jakikolwiek był jej ideowy rodowód, przyjmowano ze czcią do duchowego muzeum narodowych pamiątek.

Tak to na korzeniu starego szlacheckiego tradycjonalizmu, ale dosycona sentymentami niedawnej przeszłości, tworzyła się ta narodowo-katolicka formacja umysłowa, którą uważa się czasem za esencję polskości. Nie była to „ideologia", bo do niczego nie mobilizowała, nie budowała programu, nie organizowała działań zbiorowych. Miała tylko służyć za warownię narodowości i wiary, w jeden święty węzeł złączonych. W warowni zaś każdy wtręt obcy zdaje się dywersją i kruszeniem murów. Jak więc po rozbiorach, jak po Listopadzie, tak i po Styczniu fundamentem polskiego tradycjonalizmu pozostało nieugięte przekonanie, że wszelkie nowinki naukowe, filozoficzne i socjalne, pod innym niebem wylęgłe, niszczą polską zdolność oporu, prowadząc prostą drogą do wynarodowienia i apostazji. I bodaj że nie w zruszczeniu, i nawet nie w zniemczeniu, ale w „sfrancuzieniu" i w „zmaterializowaniu" upatrywano główne zagrożenie polskości i Kościoła w Polsce. Ich zaś opoką była wierność ojczystemu obyczajowi i trwanie w tej wierności bez oglądania się na to, co działo się na szerokim świecie i w najbliższym mieście.

Tylko że z obyczajem owym było coraz gorzej. Na początku wieku tradycjonalizm dworku, parafii i zaścianka sam w sobie był obyczajem i stylem życia na wielkich połaciach kraju. Po powstaniu styczniowym pozostało z tego coś jeszcze chyba tylko w niektórych guberniach litewskich. W Królestwie, jak i na Ukrainie, folwark się skomercjalizował, ziemiaństwo stało się klasą kupczącą i spekulują-

[3] B. Cywiński, *Rodowody niepokornych*, Warszawa 1971, s. 298.

cą, patrymonialne zwierzchnictwo i opieka dworu nad wsią – zawsze idealizowane – zniesione zostały bezpowrotnie. Nietknięte złoża kultury r d z e n n e j spoczywały jeszcze w chłopskiej wsi – one jednak, choć odkrywane i eksploatowane przez romantyków, inwentaryzowane przez Kolberga, wartością ideologiczną staną się dopiero w końcu stulecia, wraz z jednoczesnymi prawie narodzinami inteligenckiego populizmu („Głos"), chłopomaństwa Młodej Polski i ruchu ludowego.

Tymczasem tradycjonalizm postyczniowy był schyłkową formacją kultury jeszcze szlacheckiej. Formacją coraz mniej autentyczną, bo coraz mniej mającą wspólnego ze sposobem c o d z i e n n e g o życia ziemskich obywateli i ich progenitury, z motywacjami zachowań, z mentalnością i moralnością użytkową. Oczywiście rozstęp między sferą życia a sferą świętości istnieje w każdej kulturze, w kulturze szlacheckiej zaś był zawsze szczególnie wyraźny. Mity rycerskie nieraz już służyły kupcom i spekulantom, ideał braterskiej równości – magnatom, a kult wsi spokojnej nieobcy był dworakom i mieszczuchom. Niemniej owa sfera święta i symboliczna stanowiła przez długi czas mocne sklepienie rozpadającego się od fundamentów gmachu stanowej integracji. Otóż z chwilą, gdy stan przestał już istnieć i *de facto*, i *de iure*, problemem zaś stało się raczej sprawne wpasowywanie się szlacheckiej młodzieży w strukturę i kulturę mieszczaniejącego społeczeństwa, wówczas ów nienaruszalny depozyt tradycji i mitów ujawniał swoją dysfunkcjonalność, swój wybitnie k o m p e n s a c y j n y charakter. Z tego zdawali sobie sprawę już liberałowie ziemiańscy poprzedniego pokolenia, zwłaszcza klemensowczycy, próbujący zmodernizować orientację klasy, do której sami należeli. Ale, jak się rzekło, ta ideologia praktyczna została skutecznie zablokowana zrazu przez rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego, potem przez powstanie 1863 roku, wreszcie przez rządowe uwłaszczenie. Skutkiem było postępujące rozkojarzenie między sferą działań praktycznych, mających na celu indywidualne przystosowanie się do nowej sytuacji gospodarczej i społecznej, a uświęconą sferą wspólnych kulturowych symboli, w której

reaktywowały się złogi biernego nostalgicznego patriotyzmu, dewocji i izolacyjnej neofobii.

Zbigniew Raszewski, który ową kompensacyjną funkcję tradycji wyczuł z nieporównaną intuicją, pisze o premierze *Strasznego dworu*, która odbyła się w Warszawie 26 września 1865 roku. Tekst został starannie ocenzurowany, a mimo to... „Mimo to publiczność premierowa doznała wstrząsu na sam dźwięk marsza z prologu:

> Zamiast bezczynnie służyć w żołnierce,
> Wracamy z bratem w domowy próg;
> Lecz zachowamy zbroję i serce,
> Jak dla marsowych wypada sług [...]

Rzeczpospolita pobita, a w końcu podbita, nie chciała się wyrzec obyczaju przywodzącego na myśl dawną świetność, co wydaje się zrozumiałe, skoro miała kulturę szlachecką i teatr szlachecki. Zastanawiać mogłoby tylko to, że dążenia publiczności, wyrażane w naiwnych symbolach teatralnych, zdawały się godzić w jej najżywotniejsze interesy"[4].

Zdawały się. Rzecz w tym wszakże, iż symbole nie mają być i nader rzadko są z interesami zgodne: należą do innej strefy psychicznej. Koncepcja „fałszywej świadomości", wedle której mity i symbole, metafizyczne nadzieje i lęki, przykazania boże i ideały ziemskiej szczęśliwości są przesłoną i transfiguracją „interesów", jest zbyt często sprzeczna z obfitym materiałem dowodowym dziejów kultury. Raz po raz obserwujemy przecież, że narodowe *sacrum* nie jest wcale sublimacją interesownej codziennej krzątaniny ani jej drogowskazem; jest jej d o p e ł n i e n i e m. Jest dowartościowaniem trywialnej egzystencji, tym bardziej potrzebnym i tym bardziej świętym, im bardziej ta egzystencja i krzątanina jest właśnie z wartości wyzuta.

„Komedia frak-kontusz – ciągnie Raszewski – wyrażała zamieranie jedynej własnej kultury, jaką kraj wytworzył w ciągu wielu wieków swojego istnienia. Wyprawić udaną stypę na takim pogrzebie

---

[4] Z. Raszewski, *Staroświecczyzna i postęp czasu: o teatrze polskim (1765–1865)*, Warszawa 1963, s. 327–329.

to bardzo delikatne zadanie, a Nowoświeccy, jak się zdaje, nie bardzo wiedzieli, co ofiarować gościom żałobnym w zamian za karabelę po pradziadku. Akcje kolei krakowsko-górnośląskiej? Trudno się dziwić, że najprzytomniejsi ludzie, którym to zaproponowano, jednym uchem słuchali kursów giełdy, ale drugie nadstawiali na arię z kurantami (jak Prus, który wyraził dla niej swój «niemy zachwyt», gdy w roku 1876 udało się wznowić *Straszny dwór*)"[5].

Była sprawa poważniejsza od arii z kurantami, i nawet od poloneza. Poezja wychodźstwa polskiego pośmiertnie dopiero wdrukowywała się w kulturę kraju, który ją wydał. Wprawdzie już wcześniej przemycał w Litwę Żyd poszczególne tomiki i w braku lepszych pism czytał je nawet dwór, nie mówiąc o warszawskich konspiratorach, ale masowa kontrabanda poezji – i mesjanizmu wraz z nią – ruszyła dopiero w końcu lat pięćdziesiątych i wtedy zdobyła sobie pierwsze w zaborze rosyjskim legalne przyczółki (Merzbachowe wydanie Mickiewicza), prawda że starannie przez cenzurę oczyszczone z patriotycznej infekcji. Przyszły te wiersze w samą porę na to, aby dwudziestoletni kowale narodowego losu mogli czytając je czuć przyspieszone bicie serca i aby ich strofami mogli wypowiadać własną miłość i własną nienawiść. I chociaż nikomu dotąd nie udało się dostarczyć przekonywającego dowodu na to, że to poezja posłała chłopców do lasu – nie udało się to ani nieprzyjaciołom lasu i poezji, ani ich miłośnikom – to przecież, zgódźmy się, las i poezja szumiały tym samym, tyrtejskim rytmem. Potem chłopców częścią wybito, częścią posłano na Sybir, las częścią wycięto dla poratowania obdłużonych majątków, zresztą nikt się już doń więcej nie spieszył – minie dwadzieścia lat, zanim się odezwą echa leśne i Marcin Borowicz w puszczy jodłowej będzie słuchał opowieści strzelca Nogi.

A poezja pozostała. Mało: mnożyła się, porastała w wydania lwowskie i poznańskie, w komentarze i dysputy. Wychodziły *inedita*, w tym nieznane dotąd mistyczne utwory Słowackiego, rękopisy koła towiańczyków. Paradoksalnie, to właśnie trud wydawców, krytyków i ideologów pokolenia zwanego pozytywistycznym ustanowił i w polskiej świadomości kulturalnej utrwalił podstawowy – i w za-

[5] Ibidem, s. 330.

sadzie do dziś obowiązujący – kanon romantycznej lektury, z *Panem Tadeuszem*, przedtem raczej pomniejszanym, na najbardziej honorowym miejscu. Teraz więc dopiero, po śmierci swych twórców i po śmierci powstańczych nadziei, romantyzm stal się naprawdę jądrem polskości, „chlebem macierzystym" umiejących czytać Polaków. Także tam, na Litwie, gdzie polskie wiersze trzeba było ukrywać przed okiem żandarmów i gdzie ich strofy były „jakby mogilne płomyki, nieśmiało i chwiejnie oświetlające smutne twarze rozbitków, ocalałych z ogólnej klęski"[6].

Wbrew później konstruowanym politycznym i szkolnym schematom racjonaliści lat siedemdziesiątych – Świętochowski i Orzeszkowa, Chmielowski i Spasowicz – łączyli jakoś kult „pozytywnej" wiedzy i hasło użytecznej pracy z pieczołowitym pielęgnowaniem spuścizny wieszczów. I nie dlatego bynajmniej, iżby oddzielali artyzm od idei, bo właśnie taka estetyzująca postawa była im najzupełniej obca. „Literatura romantyczna – stwierdza Ewa Warzenica – uznawana była przez «młodych» za podstawę narodowego w y c h o w a n i a młodzieży"[7].

Było w tym uznanie, że Mickiewicz – bo o niego chodziło przede wszystkim – ustanowił całym swym dziełem poetyckim miarę najwyższą narodowej kultury. Było dalej przeświadczenie, że w okresie najzawziętszych kultury tej prześladowań we dwóch zaborach i najgłębszego rozczłonkowania narodowej wspólnoty żarliwe słowa ekspatrydów polskich stworzyć mogą duchową więź scalającą. Jakoż wielka poezja romantyczna uznana została od tej postyczniowej pory za skarb wspólny, nie kwestionowany nawet przez te ideowe ugrupowania, którym romantyczna postawa wobec świata była najzupełniej obca.

Co za tym idzie, polemika z filozoficzną, moralną i estetyczną aksjologią romantyzmu stanie się w Polsce osobliwie trudna ze względu na charyzmę tych twórców i dzieł, w których aksjologia ta

---

[6] J. Piłsudski, *Bibuła*, w tegoż: *Pisma zbiorowe*, t. II, Warszawa 1937, s. 59.

[7] E. Warzenica, *Pozytywistyczny „obóz młodych" wobec tradycji wielkiej polskiej poezji romantycznej (lata 1866–1881)*, Warszawa 1968, s. 135.

znalazła najpełniejszy wyraz. Uświęcenie romantyzmu w świadomości narodowej – nie tylko jako wzorca literackiego i językowego, ale także jako skonwencjonalizowanego wzoru przeżywania zbiorowego losu – nadało poezji ową zdumiewającą moc jednoczenia duchowej ojczyzny, ale zarazem utrudniło krystalizację prądów umysłowych. Skoro bowiem nie można było w Polsce określić siebie i swoich wartości p r z e c i w k o Mickiewiczowi, a można było tylko zaanektować go i sobie ideowo przypisać, to będziemy mieli Mickiewicza pozytywistycznego, katolickiego, socjalistycznego, konserwatywnego, nacjonalistycznego, mistycznego...

Młodzi „pozytywiści" lat siedemdziesiątych pierwsi znaleźli się w tej aksjologicznej pułapce. Kultywowali, jak się rzekło, i upowszechniali w kraju spuściznę romantyczną. Gdy ukazał się wymierzony przeciw niej pamflet księdza Franciszka Krupińskiego, „Przegląd Tygodniowy" bronił wprawdzie prawa autora – odsądzonego od czci przez miejscowych konserwatystów i galicyjskich postępowców – do opozycji i protestu „przeciw ustalonym opiniom", ale atak uznał za niefortunny. Anonimowy polemista z „Przeglądu" bronił romantycznej poezji w najczulszym wówczas (i do dziś) punkcie, to jest przed pociąganiem jej do odpowiedzialności za skutki „utopijnej polityki": gdyby bowiem nawet – pisał – wpływ poezji „był tak potężny i przeważny, czego dowieść by trzeba nieco zasadniej, to szkodliwość jego pochodziłaby nie tylko z natury samej poezji, ale i warunków rozwoju społeczeństwa, które nie mogło w r ó w n y m s t o p n i u wydoskonalić i n n y c h organów działalności duchowej"[8]. W sprawie tej warszawscy organicznicy byli dość konsekwentni: nie oni to przecież zaatakowali *liberum conspiro*, utopijną politykę i Lelewelowską syntezę historyczną. Zapewne, gdyby nawet chcieli i potrafili rewizję taką podjąć, nie mogliby tego uczynić z racji cenzuralnych, bo – jak przyzna po latach Świętochowski – „tym językiem Ezopa od biedy wszystko powiedzieć można, tylko nie historię"[9]. Ale wątpliwe, czy chcieli, bo dla nich prze-

[8] *W sprawie romantyzmu*, „Przegląd Tygodniowy" 1876, s. 321.

[9] [A. Świętochowski, *Stan ogólny Królestwa Polskiego*] w broszurze: *Z domu niewoli*, zesz. 1, wyd. przez T[owarzystwo] L[iterackie], Lwów 1889, s. 33.

cież – odmiennie niż dla stańczyków – romantyczny wzorzec patriotyzmu należał do świętej sfery imponderabiliów.

A jednak pedagogikę własną opierali na zupełnie innych zasadach, czerpanych głównie z zachodniej myśli liberalnej. Mill i Mickiewicz, Spencer i Słowacki! Czy można sobie wyobrazić bardziej odległe bieguny formacji umysłowych? Proponowany przez „obóz młodych" model narodowej kultury i lektury wydaje się złożony z dwóch nie dających się dopasować do siebie części. A przecież taki właśnie zestaw lektur przyjmował się rzeczywiście. W biblioteczkach tajnych kółek samokształceniowych, studenckich i gimnazjalnych, dzieła Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, powieści Bolesławity i Jeża stały obok tomów Drapera, Buckle'a, Milla, Spencera, a później także Marksa, Lassalle'a, Lafargue'a[10]. Ten sam ślad odnajdziemy jeszcze w *Syzyfowych pracach*, gdzie młodzież klerykowskiego gimnazjum budzi się na dźwięk słów *Reduty Ordona*, by zaraz potem, ze spóźnionym o lat dziesięć entuzjazmem, odkrywać pozytywistyczną ewangelię *Dziejów cywilizacji w Anglii*.

Ten osobliwy synkretyzm pozytywistycznej edukacji jest jednak fenomenem najzupełniej w tej epoce zrozumiałym. Pokojowe współistnienie, więcej: dopełnianie się wzajemne tak odmiennych, nieraz wręcz sprzecznych wizji świata i historii było wyrazem dwóch różnych funkcji, jakie pełnić wypadło najszerzej pojętej literaturze: funkcji zachowawczej i programującej.

Wobec braku jakiejkolwiek instytucji integrującej podzielony naród zachowanie pamięci historycznej i idei ojczyzny zdawało się warunkiem przetrwania tożsamości, jedyną oporą przeciw wzmagającej się rusyfikacji i germanizacji. Pokolenie postyczniowe miało wszelako do wyboru trzy różne kanony narodowej tradycji pretendujące do spełnienia tej zachowawczej roli. Pierwszym i, rzec można, klasycznym był scharakteryzowany już wyżej kanon znieruchomiałej tradycji szlacheckiej. Drugi stworzyli stańczycy, doko-

[10] S. Koszutski, *Walka młodzieży polskiej o wielkie ideały. Wspomnienia z czasów gimnazjalnych i uniwersyteckich*, Warszawa 1928, s. 25; J. Offenberg, *Stan umysłów wśród młodzieży akademickiej Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1885–1890 (ze wspomnień kresowca)*, Warszawa 1929.

nując przewartościowania dziedzictwa historycznego wedle swoich kryteriów politycznego rozumu. Trzeci był romantyczny. Innych nie było.

Młodzi postępowi inteligenci, postawieni wobec takiego wyboru, nie mogli się wahać. Tradycja szlachecko-kościelna odstręczała ich swoim prowincjonalizmem, martwotą intelektualną i agresywną nietolerancją wobec nowoczesnych prądów umysłowych Europy. Stańczykowska krytyczna rewizja tradycji była im oczywiście bliższa, zwłaszcza w laickiej i okcydentalistycznej wersji Michała Bobrzyńskiego. Tym niemniej konserwatywna doktryna „warstwy historycznej", implikująca utrwalenie szlacheckiego elitaryzmu, nie godziła się z demokratycznymi skłonnościami młodej inteligencji; co ważniejsze, krakowska apologia silnego państwa i rządu, wraz z bezkompromisowym potępieniem konfederacji, spisków i powstań, w zaborze rosyjskim nie mogła liczyć na przychylne przyjęcie.

Wysoki patriotyczny ton wielkiej poezji romantycznej współbrzmiał lepiej z idealizmem młodych organiczników. Wybierali więc romantyzm, ale nie jako pogląd na świat i historię. Brali zeń emocjonalny patos, wiarę w posłannictwo młodości, prometejski indywidualizm. A wraz z tym bunt przeciwko zastojowi i duchowej miernocie spacyfikowanego społeczeństwa. Romantyzm pozytywistów był więc strukturą rozbitą, z której przyswajało się tylko wybrane składniki. Ulubionymi wierszami pokolenia Świętochowskiego były – wbrew szkolnym schematom – *Oda do młodości* i *Grób Agamemnona*: ich frazeologia, a nade wszystko ich inwektywy – owe „martwe bryły", „płazy w skorupie", „czerepy rubaszne" – powtarzają się w dziesiątkach artykułów w „Przeglądzie Tygodniowym" czy w „Prawdzie". Mógł Krupiński gromić romantyzm za to między innymi, że „wyhodował marzycieli, którzy z *Irydionem* pod pachą przebudowywali społeczność, rwali się do łamania tego, czego rozum złamać nie mógł"[11]. Dla wybitniejszych polskich pozytywistów – rzekomo tak „trzeźwych" – w tym właśnie był nie grzech, lecz wiel-

[11] F. Krupiński, *Romantyzm i jego skutki*, „Ateneum" 1876, t. II, s. 140. Por. E. Warzenica, op. cit., s. 63–98.

kość romantyzmu i możliwość emocjonalnej z nim identyfikacji. Sami wprawdzie przebudowywać chcieli społeczność nie z *Irydionem*, lecz raczej z Bucklem lub Spencerem pod pachą, i nie w sporze, lecz w sojuszu z rozumem. Ale determinizm Buckle'a – nie może być co do tego wątpliwości – przylgnął do nich na krótko tylko jako swoista maniera intelektualna. Ideologia liberalnych organiczników doby postyczniowej była tak samo aktywistyczna i woluntarystyczna jak apel i testament romantyków, i jak wreszcie każdy polski program czasów niewoli, który nie był programem uznania faktów nieodwołalnie dokonanych.

To pokolenie, może z wyjątkiem krótkiej chwili na początku wojny bałkańskiej 1877 roku, nie miało powodu obawiać się pokusy nowego powstania i dlatego też nie musiało się lękać dynamitu romantycznych słów. Przeciwnikiem głównym twórców programu pracy u podstaw był bezwład społeczny. Dostrzegali wprawdzie przyczynowy związek między „wulkanicznymi porywami" a następującymi po nich długimi okresami obezwładnienia psychicznego i był to dla nich nie najmniej ważny powód niechęci do porywów. Niemniej przychodziło im się zmagać nie tyle z gotowością do nowych porywów, co ze skutkami ostatniego z nich. W wyszukiwaniu coraz to nowych nazw dla owego bezwładu wykazywali niezrównaną inwencję: pisali o bierności, martwocie, apatii, zwątpieniu, zobojętnieniu, omdleniu, odrętwieniu, przestrachu, niemocy... Owóż od ogłoszenia *Ody do młodości* walka z bezwładem przybiera w Polsce zawsze stylistykę romantyczną: obojętne, czy chodzi o „czyn", czy o „robotę".

Akceptując hardy aktywizm emigracyjnej poezji, jej odwagę wyobraźni i odwagę bluźnierstwa, „obóz młodych" odrzucał jednocześnie przeciwstawne w swym rozumieniu człony romantycznego dziedzictwa. Odtrącał stanowczo „sarmacką" odrośl, która już wcześniej zresztą przylgnęła, zwłaszcza przez twórczość Pola, do szlachecko-dewocyjnego kanonu tradycji. Odtrącał mesjanizm, ideę narodu wybranego, prowidencjalizm *Przedświtu* i *Psalmów*, mity genezyjskie Słowackiego, słowem całą romantyczną historiozofię. I wreszcie z niechęcią i pasją odtrącał – przynajmniej w swych

pierwszych manifestach z lat 1871–1872 – poezję-„płaczkę pogrzebową", apoteozę narodowego męczeństwa, postromantyczną elegię[12]. Te odrzucane składniki romantycznego dziedzictwa w odczuciu inteligenckich radykałów paraliżowały tylko energię narodu, umieszczając jego ideały w przeszłości, zamiast mobilizować wolę przyszłego odrodzenia. Należały przeto – wraz z mitologią szlachecką i konserwatyzmem kościelnym – do tradycji bezruchu, a nie do tradycji życia.

Artykuły Świętochowskiego wymierzone przeciw „tradycji" i polemiki przez nie wywołane zdają się przy pierwszej lekturze mieleniem słomy słów. Sąd to jednak pochopny. Na cenzurowanych czujnie szpaltach „Przeglądu Tygodniowego", pod osłoną – jak je sam Świętochowski we wspomnieniach nazwie – „piskorzowych frazesów", a zresztą w stylu bardzo jeszcze młodzieńczym, przesadnie buńczucznym i ozdobnym, podjęta przecież została sprawa zupełnie zasadnicza: przebudowy formacji umysłowej i typu psychicznego polskich warstw oświeconych. Inaczej mówiąc: zmiany wzoru narodowej kultury.

Od czasów napoleońskich kultura ta żyła wspomnieniami, była przeniknięta nostalgią. Zarówno szlachecki tradycjonalizm, jak i buntowniczy romantyzm utrwalały tę paseistyczną orientację. To się utrzyma i później, stanie się cechą konstytutywną polskiego życia duchowego. Uderzające jest intelektualne, malarskie i mitologiczne bogactwo wszystkich gatunków polskiego pisarstwa historycznego w zestawieniu z ubóstwem i schematyzmem myślenia i wizjonerstwa futurystycznego. Spory o przyszłość nigdy tu nie osiągały tej temperatury emocjonalnej co spory o przeszłość, bo tylko przeszłości swojej Polacy czuli się panami i gospodarzami.

Cały sens pozytywistycznego przewrotu umysłowego można sprowadzić do zawziętej, choć niezbyt w końcu udanej próby zmiany tej orientacji. Planowe zagospodarowanie własnej przyszłości w najmniej sprzyjających temu warunkach stać się miało głównym

[12] [A. Świętochowski], *Opinia publiczna*, „Przegląd Tygodniowy" 1872, s. 2.

aksjomatem nowego modelu kultury i głównym zadaniem inteligencji.

„Tradycja wszystkich zmarłych pokoleń ciąży jak zmora na umysłach żyjących". To napisał Marks i znaczyło to tyle, że – niestety! – społeczeństwa ludzkiego nie można modelować „dowolnie", wedle racjonalistycznego projektu, bowiem nawet rewolucjonista pracować musi w okolicznościach danych i przekazanych[13]. Świętochowski rewolucjonistą nie był, a przeciwstawienie tradycji i postępu brał raczej ze Spencera niż z Marksa i stosował do warunków polskich. Chociaż więc w jego słynnym artykule z 1872 roku są zdania niemal identyczne z przytoczonym, to sens ich jest odmienny. „Tradycja", o której pisze Marks, a więc zespół warunków ograniczających swobodę planowania społecznego, była dla Świętochowskiego nie zmorą, lecz „podstawą działania":

> Czyż moglibyśmy odrzucić wszystko, co dotychczas przeszłość zrobiła i zacząć robić na nowo? Nigdy. Historia jest szlakiem, po którym przeszły tysiące pokoleń; każde nowo przybywające powinno poznać cały ciąg drogi i stanąć na miejscu, gdzie się ostatni zatrzymali i dalej wytykać gościniec nauki i życia[14].

Zmorą było całkiem co innego. Zmorą była „tradycja jako bezwzględna zasada życia", która uświęcając prawdy, znosi dociekliwość umysłu. Może to należało nazwać raczej ortodoksją, tą narodowo-konserwatywną ortodoksją, która każe wierzyć, że sam strumień dziejów bez ustanku weryfikuje wartości, choć przecie wiara taka w kraju podbitym i upokorzonym była paradoksalna i nie mogła obyć się bez wsparcia wymyślnych filozofii dziejów. Ale Świętochowski musiał użyć słowa „tradycja" – starannie odróżniając to jego znaczenie od innych – musiał go użyć, bo tym właśnie wyrazem, pospołu z wyrazami „narodowości" i „swojskości", egzorcyzmowało się tutaj każdą śmielszą myśl reformatorską. Brawurowa szarża młodego publicysty na „bałwochwalstwo przeszłości" była

[13] K. Marks, *Osiemnasty Brumaire'a Ludwika Bonaparte*, w: K. Marks i F. Engels, *Dzieła wybrane*, Warszawa 1949, t. I, s. 229.

[14] A. Świętochowski, *Tradycya i historya wobec postępu*, „Przegląd Tygodniowy" 1872, s. 147.

więc protestem przeciwko znieruchomieniu życia ideowego. Wiara w to, że narodowa przeszłość jest jedyną skarbnicą i gwarantką ideałów zbiorowych prowadziła wszak w konsekwencji do uznania, że idea nieobecna w tradycji nie ma prawa obywatelstwa we współczesności. W takiej wykładni – która bynajmniej nie była przywidzeniem – maksyma o historii jako nauczycielce życia stawała się usprawiedliwieniem zastoju. Świętochowski, w przeciwieństwie do Szujskiego, nie zajmował się korygowaniem „fałszywej historii" tak, aby skonstruować tradycję prawdziwej polityki. Chodziło mu nie o rewizję kanonu, lecz o unieważnienie zwodniczego argumentu *ex historia*. Zwodniczego, ponieważ świadom był, jak nikt bodaj z jego współczesnych, że żaden system wartości nie daje się z doświadczenia historycznego logicznie wyprowadzić, lecz przeciwnie – jest w p r o w a d z a n y do konstruowanej interpretacji tego doświadczenia; że zatem polityka jest mistrzynią historii przedstawionej, a nie odwrotnie. „Żadnych więc ideałów, wzorów, zasad – przeszłość nam nie daje". Albo – dodawał trafniej – daje każdemu inne, wedle potrzeby i upodobania[15].

Nazwy rzeczy uświęconych same biorą w siebie odblask *sacrum*. Tak też było w epoce postromantycznej ze słowem „tradycja". Artykuł Świętochowskiego został więc odczytany przez wielu jako profanacja i prowokacja, bez oglądania się na precyzyjnie przez autora rozdzielone znaczenia wyrazu. Przez ortodoksów tradycji zakwestionowanie jej wagi jako argumentu uznane zostało za zuchwałe targnięcie się na samą zasadę ciągłości narodowego życia. Niewiele bodaj tekstów w dziejach naszego piśmiennictwa czytano tak nierzetelnie jak *Tradycję i historię wobec postępu*. Oburzenie na ten artykuł stało się jednym z powodów schizmy w „obozie młodych". Po czym umiarkowany i grzeczny Julian Ochorowicz na łamach „Opiekuna Domowego" oznajmiał, że „z roli tradycji wyrasta kwiat postępu", zatem jedno bez drugiego istnieć nie może, „a więc obu oddajmy cześć". Chodzić – tłumaczył odkrywczo – „jest to jedną nogę wystawiać naprzód, gdy druga zostaje w tyle". Nie wymienio-

[15] Ibidem.

nemu z nazwiska Świętochowskiemu przypomniano niecierpliwych jakobinów, co chcieli wszystko naraz odmienić i jak to się źle skończyło. Z tego wypływała nauka, że „przyszłość danego społeczeństwa zależy od umiarkowania partii postępowej". I wreszcie konkluzja skierowana jest wprost przeciwko inkryminowanemu artykułowi radykalnego kolegi: „Księga przeszłości stoi otworem; z d z i e j ó w n a s z y c h czerpmy zasady życia, w nich szukajmy wskazówek postępu"[16]. Brakowało niestety podania metodologii tych poszukiwań.

W tej dyskusji wszyscy mówili frazesami. Gdy jednak górnolotna frazeologia Świętochowskiego skrywała doniosłą teoretycznie i praktycznie treść, to banały Ochorowicza ujawniały jedynie intencję ułagodzenia obozu zachowawczego. Ale dramatem tego obozu w zaborze rosyjskim było – jak już mówiliśmy – zerwanie wszelkiego związku między sferą kultu a sferą praktyki. Na jednej stronicy pisało się o potrzebie poszanowania przeszłości, tradycji i wiary, a na drugiej o cenach zboża. Przeszłość, tradycja i wiara, narodowość i język niszczone były przez carski rząd z premedytacją i obezwładniona szlachecka społeczność nie była zdolna do żadnego aktu sprzeciwu. Obóz zachowawczy nie zachowywał już niczego poza ortodoksją religijną i socjalną. Świadomość tego stanu rzeczy przebłyskiwała niekiedy w prasie konserwatywnej Królestwa. Można w niej odnaleźć przestrogi przed hodowaniem mesjanistycznych utopii, rozwierających przepaść między niezmiennym ideałem a gwałtownie zmieniającą się rzeczywistością życia, i wniosek, że ideał społeczny i narodowy, jeśli ma wytyczać drogę pracy praktycznej, sam modyfikować się musi: tak na przykład ideał równości zmienia z upływem lat swoją treść[17]. Prawie zawsze jednak poprzestawano na ogólnikach.

Im bardziej kanon ideałów i dogmatów stawał się oderwany od aktualnych zagadnień życia, tym bardziej lękowo i agresywnie ortodoksja reagowała na każde, rzeczywiste lub pozorne jego zagro-

[16] J. Ochorowicz, *Tradycya*, „Opiekun Domowy" 1872, s. 138.
[17] *Postęp w ideałach społecznych*, „Niwa" t. XI, 1877, s. 73–81.

żenie. Złe moce czyhały zewsząd i starały się skruszyć opokę tradycji i wiary, przybierając coraz nowe imiona: ateizmu i materializmu, postępu („tak zwanego") i nauki („fałszywej"), kapitalizmu i socjalizmu. I tylko tego jednego wroga, którego dławiącą obecność widział i czuł każdy, nie wolno było nazwać ani wskazać. Dziwne więc ogłaszano krucjaty. W Królestwie i na Litwie działały jeszcze audytoriaty polowe, jeszcze nie rozebrano szubienicy na stoku warszawskiej cytadeli, kiedy „Przegląd Katolicki" zaczął drukować długi cykl artykułów pod tytułem *Katolicyzm i różnowierstwo*. W cyklu tym źródłem wszelkiego zła współczesności okazał się protestantyzm, uznany – na długo przed tezą Maxa Webera – za demiurga kapitalistycznej cywilizacji. On to bowiem „zaszczepił w serca ludów, które pozyskał dla siebie, gruby materializm, ze wszelkimi następstwami". On wyziębił uczucie miłosierdzia, nawet wśród kapłanów, zatracił ludzkie współczucie dla nędzy i choroby bliźnich, czego dowodem choćby brak szpitali i ochronek w Anglii i Niemczech. Protestantyzm zniszczył siłę moralną nowoczesnych społeczeństw, a całą ich pracowitość i energię podporządkował żądzy zysku, bogactwa i użycia. Stąd marność i czczy pozór amerykańskiej cywilizacji. Anglia zaś, „udręczona i rozdarta materializmem, ateizmem, zepsuciem obyczajów, herezją i bezbożnością, ostatecznie wpaść musi w krwawe ręce socjalizmu, a przeszyta jego mściwym i niszczącym mieczem, szczątkami i ruiną swych pałaców wzbogacić musi pokolenie, co dziś nadaremnie skamle odrobiny żywności u służby możnych"[18].

W dalszych latach „Przegląd Katolicki" główne zagrożenie wiary upatrywał od strony „wiedzy pozytywnej", co oznaczało postępy nauk przyrodniczych. Jego redaktor, ksiądz Michał Nowodworski, teolog i erudyta, jak najdalszy był od oddzielania objawienia i nauki jako dwóch odmiennych i nie rywalizujących ze sobą porządków poznawczych. Zgodny był w tym z owoczesnym kierunkiem doktryny Kościoła, który w walce z nauką sam przyjmował postawę *quasi*-scjentystyczną. Tak w roku 1868 Nowodworski refe-

[18] *Katolicyzm i różnowierstwo*, „Przegląd Katolicki" 1864, s. 599, 633.

rował kolejno ostatnie odkrycia i tezy geologii, paleontologii, antropologii, darwinizmu, demografii historycznej, dowodząc ich sprzeczności z Biblią i żądając ukorzenia się „fałszywej nauki" przed prawdami objawionymi w Księdze Rodzaju. Pismo święte jest wszak źródłem jedynym prawd niezawodnych, natomiast uroszczenia rozumu prowadzą do krainy wiecznego sceptycyzmu: „Sama niepewność, owo zwątpienie o wszystkim, szczyt wielkości rozumu, jest okrutną dla człowieka męczarnią. Lepsza już zupełna nieświadomość". Nauka nie oparta na religii krzewi „próżność, chciwość, rozpustę [...] pustoszą one społeczność"[19]. Zasad wiary chrześcijańskiej z „umysłowym prądem obecnej chwili" pogodzić niepodobna: do walki z wiedzą „pozytywną" stanąć musi odrodzona scholastyka, bo jedynie ona zaspokoić potrafi powszechny głód nauki „uniwersalnej i encyklopedycznej", a także rozstrzygnąć najważniejsze zagadnienia społeczne i ekonomiczne współczesnej doby[20].

Ortodoksja świecka, ziemiańsko-narodowa ogniskowała uwagę na innych nieco tematach, ale tak samo widziała siebie jako skałę jeszcze opierającą się odmętom wrogich, ze wszystkich stron podmywających ją prądów. Krakowski „Czas" u progu lat siedemdziesiątych przepowiadał zagładę cywilizacji europejskiej. Nie był jej wrogiem, przeciwnie: Polska była zawsze częścią Europy i wraz z nią przeciwstawiała się azjatyckiemu despotyzmowi, jak dziś przeciwstawia się panslawizmowi. „Jesteśmy narodem na wskroś przejętym cywilizacją zachodnią, to, co stanowiło objaw cywilizacyjny w państwie, było u nas zawsze szczerze polskiem"[21]. Cywilizacją było przecież wielowiekowe wyrabianie się mocy wewnętrznej narodów i państw, ich prawa, rządu, ducha chrześcijańskiego i tolerancji. Rewolucja naukowa, przemysłowa i socjalna dziewiętnastego wieku były tej cywilizacji antytezą, początkiem katastrofy.

---

[19] Ks. J.S., *Święta para: nauka i cnota*, „Przegląd Katolicki" 1868, s. 625, 673.

[20] *Zwrot naukowy w dzisiejszych czasach*, „Przegląd Katolicki" 1876, s. 407, 437.

[21] J.K., *O Rosyi i panslawizmie*, „Czas" 1872, nr 14.

D z i s i e j s z e monarchie Europy przypominają starożytne państwa Azji,

> które podobnież na sile tylko materialnej wsparte, obalając się jedne po drugich, żadnej nowej myśli, żadnej zdobyczy dziejowej po sobie nie zostawiały. [...] Kierunek bezwzględnej apoteozy państwa, opierania tej budowli państwa na sile tylko materialnej, niszczenia na jego korzyść podstaw i instytucji społecznych, ten kierunek brutalny, ten materializm polityczny dotąd zagrażał Europie po wszystkie czasy j e d y n i e o d W s c h o d u, bo znamionował tylko cywilizację azjatycką[22].

Teraz – dopiero teraz! – brutalność ta lęgnie się w samych trzewiach Europy i w jeszcze bardziej zmaterializowanej Ameryce Północnej.

> Dopokąd chodzi o zarobek i wzbogacenie się, dotąd postęp amerykański wystarcza. Ale gdy mimo przesiąknięcia materializmem przychodzi chwila, kiedy się mówi d o s y ć, wtenczas odpoczynku nowy ten świat nie użycza [...] Żaden wynalazek nowy nie zapełnia tego, c o s t a r a c y w i l i z a c j a wiekami zdobyła[23].

Korespondent „Czasu", podróżując koleją żelazną po Europie roku 1872, widział wokół świat zmierzający ku zagładzie:

> Nigdzie i nigdy jeszcze zwykła i powszechna cześć cielca złotego nie ogarnęła tak całego społeczeństwa od góry aż do najniższych warstw, nie wyrugowała tak systematycznie wszelkich innych uczuć lub dążeń jak obecnie we Wiedniu. [...] Zdając przed sześciu laty w waszym dzienniku sprawę z wystawy paryskiej, podobna myśl złowroga nam się nasunęła [...] na widok tej wieży Babel stawianej wśród pomieszania wszech-języków, ale nie wznoszącej się jak owa biblijna ku niebu [...], ale zanurzającej się coraz głębiej w ziemię, aby niebu przeciwstawić potęgę ziemską [...] Pytaliśmy się wówczas, gdzie dalej zajść może postęp materialny? i nasunęła nam się odpowiedź, że nadchodzi k o l e j n a s i ł ę n i s z c z ą c ą.[24]

Jakoż spełnia się to proroctwo. Świat dzieli się na dwa obozy, tylko dwa: afirmacji i negacji. Negacja jest wieloraka: religijna i spo-

[22] Z Krakowa (bez tytułu), „Czas" 1872, nr 80.
[23] *Z wagonu*, „Czas" 1872, nr 202.
[24] *Z wagonu*, „Czas" 1872, nr 160.

łeczna, i narodowa, w tym także negacja swobód politycznych poprzez biurokratyczną (wiedeńską w domyśle) centralizację. Negacja zbliża się już do bram Krakowa, bo i on niebawem upodobnić się może do zachodnich miast-kolosów, które „są społecznym aglomeratem, przypadkowym zbiorowiskiem ludzi niczem ze sobą nie związanych, wyzyskujących się nawzajem"[25]. To wszystko – o wynalazkach i o cywilizacji, i o negacji – wygląda jakby było przepisane z Rzewuskiego. Ta sama idealizacja przedkapitalistycznego społeczeństwa – kiedy ludzie wyzyskiwali się nie „nawzajem" – ten sam historiozoficzny katastrofizm, te same klisze myślowe i frazeologiczne pojawiały się jednak samorodnie i wciąż na nowo przez całą epokę mieszczańskiej cywilizacji. Są powszechne, nie ma w nich nic specyficznie polskiego, ale w Polsce ledwie wychodzącej z pańszczyzny i wcale jeszcze nie wychodzącej ze starej nędzy i analfabetyzmu, w Polsce pozbawionej własnego rządu i szkoły, pozbawionej zasobów surowcowych i kapitałowych, takie słowa odmowy miały może szczególną moc obezwładniającą.

Ocaleniem ginących wartości miały być, jak zawsze, wieś i lud. Wieś na przykład szwajcarska, a lud na przykład krakowski. „Wieś szwajcarska w swoim rodzaju jest idealnie piękna i acz cywilizowana [...] przedstawia nie tylko zamożność, ale powiedzieć można włościański komfort, jest jednak idealnie sielską"[26]. Wieś galicyjska nie przedstawiała wprawdzie włościańskiego komfortu, ale za to lud krakowski był ostoją tradycji i narodowości:

> Uczucie narodowe jest żywiołem konserwacji, nie ma go bez pomników przeszłości i nie ma go bez ludu, który w swej bierności i bezczynie przechowuje pierwiastki narodowe niezmiennie przez całe wieki: wiarę, język, obyczaj, strój nawet. Tradycje coraz więcej w nas inteligentniejszych się zacierają, zamieniamy je za lada błyskotkę obcą, my od góry aż do ludu ulegamy tak rozkładowym prądom, że już nic przechować nie jesteśmy zdolni[27].

[25] Z Krakowa (bez tytułu), „Czas" 1872, nr 84, 113.
[26] *Z wagonu*, „Czas" 1872, nr 207.
[27] Z Krakowa (bez tytułu), „Czas" 1872, nr 107.

Lud już przez romantyków stawiany bywał chętnie na miejsce szlachty jako zachowawca narodowej tradycji, a jednak wypowiedź tak samokrytyczna w konserwatywno-ziemiańskiej gazecie była jakimś znamieniem nowej epoki i upadku szlacheckiej wiary w siebie. Nie oznaczało to jednak rezygnacji z roli historycznej. Już przecież także i w rosyjskim zaborze pretendenci do kierowania opinią ziemiańską budzili się z odrętwienia. „Niwa" pod sterem Mścisława Godlewskiego i Józefa Kasznicy próbowała akomodować – raz jeszcze – program pracy organicznej do potrzeb o b y w a t e l i, to jest czyniąc zeń program ratowania ziemi szlacheckiej oraz tradycji jako „duchowego terytorium" narodu[28]. I ziemia, i tradycja miały być szańcami obrony przed kosmopolityzmem, Niemcami, Żydami, a należało się domyślać, że i przed rusyfikacją. Wkrótce, w roku 1880, z łam „Niwy" rozlegnie się wielkie wołanie do *Nieobecnych*[29].

Wcześniej jeszcze czytelników z lepszych rodowodowych sfer wzburzyły dwie głośne powieści drezdeńskiego emigranta Kraszewskiego: *Morituri* i *Resurrecturi*. Z głosów, które się odezwały, jeden *Głos szlachcica polskiego* szczególnie wart uwagi, bo zawarł w sobie cały kanon szlacheckiej ortodoksji. Pisał tę książeczkę jakiś „szlachcic na zagrodzie" gdzieś zapewne w rosyjskim zaborze, a wydal we Lwowie w roku 1880 właśnie. W tym szlachcicu, który z pasją ujął się za skazanymi przez Kraszewskiego na historyczną śmierć szlachetnymi, lecz zupełnie niepraktycznymi książętami Brańskimi i któremu pałac czy dwór były wyraźnie bliższe od zagrody, domyślać się można kogoś związanego przed laty z Dyrekcją Białych. Gorszy od wyroku śmierci zdał się krytykowi pomysł odrodzenia zrujnowanej szlachty przez uprawę ogrodu warzywnego. Tu już autor *Resurrecturi* okazał się nie tylko grabarzem swojej rzekomo umarłej klasy, lecz jej odstępcą. Albowiem dobrze to i słusznie, że szlachta wielu zajęć się wstydzi i że żyje obyczajem dziadów, a nie obyczajem Szmulów. Godłem jej jest krzyż i szlachetność, nie zaś „zmartwychwstanie" przez cześć dla złotego cielca i dla utylitaryzmu.

---

[28] Z. Mocarska, *Od obrony tradycji do narodowej aktywności: z dziejów kryzysu pozytywizmu*, „Znak" 1975, s. 294–316.

[29] M. Godlewski, *Nieobecni*, „Niwa" t. XVII, 1880, s. 79–91.

Szlachta to „dziedziczka dotąd niepodzielna całej historycznej narodowej przeszłości". Ona to niedawno „na korzyść młodszej swej braci, włościan, zrzekła się dobrowolnie i samorzutnie połowy swych włości", ale włada jeszcze drugą połową polskiej ziemi i obrona zagonu jest na teraz jej patriotyczną i religijną misją. Szlachta żyje i wskrzeszać jej nie ma potrzeby, a już obelgą jest pomysł Kraszewskiego, który radzi szlachcie „tryumfalnie na marchwi z pęczkiem szparagów pod pachą wjechać i zająć pozycję, z której ją publiczne i osobiste, a tak przemożne zsunęły warunki". Mohort jej bohaterem, Pol „ukochanym w narodzie wieszczem" i „drwić sobie z szlachcica nie wolno!"

Ma szlachta swój święty Zakon: Religię, Ojczyznę, Ród, Obyczaj. Tego bronić.

> Wyobraźmy sobie naród jako twierdzę. Jeżeli do twierdzy tej wpuściliśmy niebacznie o b c e g o, obcego krwią, obyczajem, baczność! Obcy ten słabe strony twierdzy przepatrzy, zewnętrznemu wrogowi je wskaże, a twierdzę wraz z załogą na zniszczenie wyda.

Ten obcy to pozytywizm, materializm, ateizm, tak zwane prawa człowieka, Hegel, Darwin, demokracja i Szmule. W twierdzy trzeba się trzymać Boga i ducha narodowego i „po staremu zakon chować". I tradycję.

„Szlachcic na zagrodzie" czcił więc tradycję, za to nienawidził całej prawie historii od czasu rycerskiej konfederacji barskiej. Nienawidził Stanisława Augusta i całego Oświecenia, w którym modą stało się wyszukiwanie narodowych przywar i „godzenie na szlachtę". Osobliwie nienawidził emigracji polistopadowej, gdyż ta „pod wpływem pojętych we Francji i tamże stosowanych t a k z w a n y c h p r a w c z ł o w i e k a" nauczyła, jego zdaniem, Polaków uznawać każdego posiadacza i procederzystę za obywatela kraju, które to miano zaszczytne dawniej służyło tylko dziedzicom ziemi. Gromił dalej „filozofię niemiecką" z Trentowskim włącznie, ale i ideę „moskiewsko-słowianofilską" Rzewuskiego, i oczywiście demokrację, która złączywszy się z żydowską masonerią, podburzyła w roku 1846 niewinny dotąd, chrześcijański lud Galicji, a potem

wyrywać zaczęła słabszych duchem ze szlacheckiego zakonu i czynić z nich „ludzi przewrotu", narzędzia tej samej „rewolucji kosmopolitycznej", za którą apostołował „Kałakoł" i moskiewscy studenci. Tak się zrodził najpotworniejszy sojusz katolików z prawosławnymi, a z tego sojuszu właśnie narodziła się partia czerwonych, których głównym celem było nie dopuścić do zbliżenia się szlachty z ludem przez dobrowolną ofiarę uwłaszczenia. Dostało się i Wielopolskiemu za ugodę z Rosją i za to także, że polityką swoją popchnął księży w objęcia czerwonych. Z całej nowszej tradycji polskiej obronną ręką wyszli jeno zmartwychwstańcy, Pol z Krasińskim i Dyrekcja Białych. Ta ostatnia nie zdołała niestety powstrzymać dużej części szlachty od udziału w nienarodowej „rewolucji", ale mimo to jej tylko szlachta Królestwa zawdzięcza, że nie podzieliła losu litewskiej i zachowała swe zagony i religię.

Dziś szlachta, rodowa i narodowa, ze wszystkich stron narażona na obelgi, nie ma prawa niczego zmienić w swym zakonie. Ma chronić obyczaj, modlić się i t r w a ć, aż Bóg pozwoli na nowy cud Kordeckiego i „z wiary naszej stanie się dla nas cud zjednoczenia", a potem

Ani kupcy, ni Żydowie,
Ani mieszczan też synowie,
Jeden tylko, jeden cud
[...]
Polska szlachta z Bogiem, z ludem
Kraj z niewoli dźwignie cudem,
Z polską szlachtą ksiądz i lud.

Takie były poprawione psalmy przyszłości. A za program na teraz starczyć miały dwa przykazania „służby narodowej": pierwsze, żeby ani z Moskalem, ani z rewolucją w żadne konszachty nie wchodzić; i drugie: „Strzeżmy, brońmy i nie oddajmy ojcowizn naszych", bowiem, „jak pieprzem, jak tasiemkami nie handluje się ziemią [...] Pamiętajmy, że broniąc ojcowizny, bronimy Ojczyzny!"[30]

[30] *Głos szlachcica polskiego (J.I. Kraszewski a zakon szlachecki)*, Lwów 1880, passim.

Nietypowy to tekst, we wszystkich kierunkach wyjaskrawiony i właśnie dlatego ukazujący najdalszy kraniec pewnej mentalności. Ale jeśli trudno znaleźć drugą wypowiedź dorównującą mu fanatyzmem, to przecież wszystkie składowe elementy tej stanowo-tradycjonalistycznej ortodoksji były jeszcze w tej epoce szeroko rozsiane po konserwatywnych czasopismach i aktywniej wpływały na świadomość społeczną niż nowoczesny toryzm Michała Bobrzyńskiego.

Oto więc tło, bez którego pojąć nie można znaczenia „pozytywistycznej negacji". Zasadniczą cechą młodej awangardy była postawa, którą nazwać by można inżynieryjną: chcieli przede wszystkim wiedzieć, co jest d o z r o b i e n i a, i jak. Stąd ta niewątpliwa przecież redukcja treści narodowych kultów: szło bowiem o zniesienie tego rozdwojenia świadomości na warstwę głęboką, w której przechowywane były święte wiary i nadzieje, i nie komunikującą się z nią warstwę adaptacyjną, motywującą zachowania codzienne. To, co należało czcić, chcieli mocniej związać z tym, co należało robić. Operacja musiała być dwustronna: program działań praktycznych trzeba było podporządkować wyraźnie zartykułowanym wartościom idealnym, ale zarazem poza nawias pragmatycznego myślenia wyłączyć te polityczne aksjomaty, które w aktualnym stanie rzeczy nie dawały się w rzetelny sposób zinstrumentalizować. Powie o tym kiedyś Świętochowski, że nie m a r z e n i a chciał rugować, lecz z ł u d z e n i a[31].

Tłumaczem nieułudnych marzeń na język społecznej praktyki miała być inteligencja, definiowana przez pozytywistów przeważnie jako kategoria nie socjologiczna. Prawda, ideologowie postępu troszczyli się – jak widzieliśmy – o byt wykształconych sprzedawców umiejętności, z nimi najbliżej się utożsamiali. Ale w deklaracjach programowych i nawet w felietonach Posła Prawdy znikały na ogół wyróżniki klasowo-ekonomiczne: inteligencja określana była nie przez swoją kondycję, lecz przez swoją misję. Misję podwójną, bo spełnianą zarazem w dziele przekształcania świadomości i etyki

[31] [A. Świętochowski], *„Precz z marzeniami"*, „Prawda" 1881, nr 25.

społecznej i w dziele przekształcania warunków życia samego. Pospolicie tedy pisało się – aż po koniec wieku, i później jeszcze – o inteligencji jako umysłowej awangardzie stojącej „na czele duchowych interesów ogółu", jako sile twórczej, co idzie przed narodem, bierze na siebie odpowiedzialność za los wspólny, jest – albo ma być – „dźwignią postępowego rozwoju"[32]. Była więc inteligencja „klasą myślącą i czującą", wpisywali się do niej – na mocy definicji – ci, co się „zastanawiają nad sobą", co mają „samowiedzę"[33]. Była i ona z a k o n e m, który zastąpić miał anachroniczny zakon szlachecki i „nieobecną" arystokrację i dlatego musiała być od szlachty, od Kościoła, od klas właścicielskich niezależną i materialnie, i duchowo. Do takiej inteligencji należeć mógł ziemianin i wiejski nauczyciel, lekarz i felczer, bogaty kupiec i przymierający głodem student. I każdy z nich mógł do niej nie należeć. Skoro jednak ziemianin i kupiec z największym trudem przechodził przez ucho igielne doktryny społecznego obowiązku, to w końcu inteligencja „czująca i myśląca" składała się głównie z profesjonalistów. Nawiasem jednak godzi się zauważyć, że termin „inteligencja wiejska" przez parę dziesięcioleci oznaczał, nie tylko w prasie zachowawczej, wszystkich, co na wsi nie chodzili za pługiem i umieli czytać i pisać: więc proboszcza, aptekarza i rządcę, nauczyciela i nawet organistę. Przede wszystkim jednak mieszkańców dworu, bo „inteligencja" brzmiało nowocześniej niż „szlachta" i demokratyczniej niż ograniczone do wielkiej własności „obywatelstwo".

Od lat sześćdziesiątych zaczęło się to migotanie znaczeń, które wyrosło z programów pracy organicznej i które do dziś wywołuje

[32] [A. Świętochowski], *Młodzi*, „Przegląd Tygodniowy" 1872, s. 178; J. Jeleński, *Małomiasteczkowa inteligencja i jej działalność społeczna*, „Przegląd Tygodniowy" 1872, s. 217.

[33] *Pozytywizm i pozytywiści*, „Niwa" t. III, 1873, s. 97; *Zadania inteligencyi naszej*, „Przegląd Tygodniowy" 1880, s. 605; A. Świętochowski, *Liberum veto*, opr. S. Sandler i M. Brykalska, t. II, Warszawa 1976, s. 263. Zob. też M. Zahorska, *Spór o inteligencję w polskiej myśli społecznej do I wojny światowej*, w: *Inteligencja polska pod zaborami*, pod red. R. Czepulis-Rastenis, Warszawa 1978, s. 179–216.

gąszcz nieporozumień. Jedno pojęcie „inteligencji" przyzwyczailiśmy się byli nakładać na drugie, myląc powinność z bytem, ideę ze społeczną kondycją. Sam rozrost zbiorowości pracowników umysłowych – wolnych zawodów, funkcjonariuszy publicznych i prywatnych, zawodowców nauki, literatury i sztuki – nie był przecież zjawiskiem specyficznym akurat dla krajów wschodniej Europy. Niełatwo też mimo usiłowań dowieść, że wykształcenie połączone z zawodowstwem tworzyło tu jakąś silniejszą niż gdzie indziej, ponadprofesjonalną spójnię. Jeżeli co było tu specyficzne, to właśnie inteligencja pojęta jako przewodniczka i misja, bo w tamtej części kontynentu, gdzie istniały swobody polityczne i gdzie byli obywatele, a nie cesarscy poddani, wytyczanie programów należało już do partii, zrzeszeń i ruchów społecznych, a ich realizowanie do parlamentów, rządów i samorządów.

Na barki inteligencji – im bardziej „czującej i myślącej", tym bardziej świadomej swojej bezsiły – kilkunastu zuchwałych młodych ludzi, którzy sami siebie mianowali „stronnictwem postępowym", wkładało ciężkie brzemię odpowiedzialności, żądając od niej nie jednorazowej ofiary, lecz „wzbudzenia siły żywotnej w społeczności", wytrwałej „pracy o d r o d z e n i a"[34].

Pierwsze ogólnikowe drogowskazy tej pracy ustawiano jeszcze wedle zachodnich książek. Ale dość przeczytać słynny cykl programowy Świętochowskiego i Mikulskiego *Praca u podstaw* z roku 1873, by pojąć, że główną zasługą tej awangardy było nie tyle odkrywanie praw cywilizacyjnego rozwoju, co odkrywanie polskiej nędzy. I w tym mieli swoich, nielicznych co prawda, poprzedników. Po raz pierwszy jednak polska nędza stała się wyjściową przesłanką programu społecznego. Demokracja rewolucyjna sprzed roku 1863 żądała od warstw oświeconych miłości l u d u, ofiary życia i przywilejów, wyzwolenia Polski przez wyzwolenie ujarzmionych feudalizmem agrarnym sił ludowych. Były to wysokie ideały. Popowstaniowe pokolenie myślącej inteligencji miało jednak prawo przyjrzeć się im ze sceptycyzmem. Ofiara krwi spełniła się, a uwłaszcze-

[34] [A. Świętochowski], *Dlaczego?* „Przegląd Tygodniowy" 1872, s. 169; tegoż, *Partykularyzm*, „Przegląd Tygodniowy" 1876, s. 364.

nie – z dekretów Rządu Narodowego czy ukazów carskich – dopełniło aktu dziejowej sprawiedliwości. A przecież nie przybył od tego ani jeden kłos zboża i ani jeden obywatel duchowej Rzeczypospolitej. Chłop przestał być poddanym dziedzica, stał się poddanym rosyjskiego czy austriackiego cesarza, a naczelnik gminy czy poborca podatkowy wyciskał z niego tę samą mniej więcej daninę, jaką przedtem brał dwór. Zniesienie pańszczyzny i czynszów okazywało się zaledwie niezbędnym warunkiem innego uwłaszczenia: dopuszczenia wsi do udziału w najbardziej elementarnych dobrach cywilizacji i kultury. Takie uwłaszczenia nie dokonują się przy pomocy dekretów ani rewolucyjnych, ani rządowych.

W porównaniu z programem pracy u podstaw albo z *Kronikami* Prusa ujawnia się – przez kontrast – nieświadomy arystokratyzm duchowy romantyków i rewolucyjnych demokratów poprzedniego okresu. Byli opętani Polską, a część z nich – najszlachetniejsza i najofiarniejsza – opętana była marzeniem o wolnej Polsce ludowej. Ale idea Polski była wciąż sprawą kilkunastu procent mieszkańców kraju i nic na to poradzić nie mogły wszystkie katechizmy demokratyczne. Przeminęły konspiracje i powstania, a chłop, tak jak w czasach Staszica, nadal nie dbał – i dbać nie mógł – o to, „czyli Polska jest polskim narodem na świecie". Jego udziałem i jego prawdą żywotną był endemiczny głód, sycony kartoflami i kapustą, cherlactwo, pomór dzieci, wydajność gleby jedna z najniższych w Europie, nieznajomość litery alfabetu i litery prawa, lichwa, wódka i suchoty.

Po Sedanie nie czas już było czekać na cud zmartwychwstania i na to, że Niepodległa sprawi cud drugi – rozmnożenie chleba i słowa. Trzeba było obniżyć ideały – do „podstaw" właśnie. To „obniżenie ideałów", utożsamiane z trywialnym materializmem, będzie zarzutem, który pozytywistycznych liberałów niejeden raz dosięgnie i z prawicy, i z lewicy. Obniżenie to wzięło się z banalnego skądinąd odkrycia, że Polsce brak nie tylko niepodległości, ale także mydła i elementarzy, warsztatów pracy i nauki, wodociągów i kanalizacji, a nade wszystko spójni kulturalnej, bez której „naród" pozostaje jedynie abstrakcją. I że może z budową tej cywilizacyjnej infrastruktury nie trzeba koniecznie czekać do lepszych czasów,

bo i zależność przyczynowa może okazać się odwrotna. Dlatego Świętochowski proponował, aby społeczeństwo zechciało „pracować tam, gdzie ma pole otwarte" i z furią atakował „trubadurów politycznych"[35].

Taka przebudowa hierarchii celów wymagała spojrzenia na kraj ojczysty jakby od zewnątrz i bez sentymentalizmu, tak jak – nie przymierzając – patrzyli na burbońską Francję Monteskiusz lub Wolter. Tyle że w kraju skolonizowanym i upokorzonym zabieg taki jest znacznie trudniejszy psychologicznie, bo przez wielu uważany nieomal za narodową apostazję. Romantyzm wychował inteligencję polską – tak jak słowianofile rosyjską – w przeświadczeniu, że ojczyzna jest rodzajem wtajemniczenia, przeto zrozumieć ją można tylko od wewnątrz, przez uczestnictwo w narodowym misterium historycznym: może dlatego arcydzieła naszej poezji pozostają do dziś tak trudno czytelne dla cudzoziemców. Eksterioryzacja stanowiska obserwacyjnego prowadziła do destrukcji mitu niezwykłości polskiego procesu dziejowego. Najśmielej w tym kierunku szedł Bobrzyński, podejmując już w roku 1873 w warszawskiej pozytywistycznej „Niwie" polemikę z Lelewelowską wykładnią dziejów polskich i żądając włączenia ich w kurs i periodyzację historii powszechnej, a ściślej zachodnioeuropejskiej. Naród polski był dla Bobrzyńskiego narodem normalnym jak inne, mającym swe okresy wielkości i upadku, nienormalne było natomiast jego porozbiorowe dziejopisarstwo, wyjmujące go spod działania praw ogólnych i każące mu bytować w jakiejś nierzeczywistej idealnej sferze ducha. W końcowych swych uwagach do *Dziejów Polski* (1879), szydząc ze stworzonego przez piśmiennictwo polskie konterfektu wzorowego szlachcica z ostatnich dwóch wieków Rzeczypospolitej, Bobrzyński dodał sarkastyczną uwagę, że „nic przy tym nie mówiono, czy też ten ideał Polaka płaci regularnie podatki"[36]. To coś więcej niż rewi-

[35] [A. Świętochowski], *Opinia publiczna*, „Przegląd Tygodniowy" 1872, s. 3; tegoż, *Wskazania polityczne*, w: *Ognisko. Książka zbiorowa wydana dla uczczenia 25-letniej pracy T.T. Jeża*, Warszawa 1882, s. 50.

[36] M. Bobrzyński, *O dawnym prawie polskim, jego nauce i umiejętnym badaniu*, „Niwa" 1873, nry 44–48; tegoż, *Dzieje Polski w zarysie*, opr. M.H. Serejski i A.F. Grabski, Warszawa 1974, s. 403–404.

zja poglądu na przyczyny upadku państwa: to krytyka systemu kulturowego, w którym kwestia „podatków" należy do niskiej, nieistotnej sfery rzeczywistości.

Świętochowski takiej samej krytyce poddawał rozpowszechnione przekonanie, iż szczególne jakości moralno-polityczne polskiego charakteru narodowego uodporniają go przeciw zarażeniu się obcymi ideami. „Wiara w szczególne własności naszej gleby nie ustała [...] Za dni naszych przepłynął przez Europę szereg prądów [...], które jednak odstraszano zapewnieniem, że «nie znajdą u nas gruntu»". Tak się pisało o teorii Darwina, o pozytywizmie, a potem o socjalizmie albo antysemityzmie. I to się nie zmieni, „dopóki nie zdejmiemy z głowy korony ludu wybranego i nie zaliczymy się do grona zwykłych śmiertelników". Są oczywiście różnice między narodami, ale „właśnie to przekonanie, że nie jesteśmy uschłym lub odciętym konarem pnia europejskiego, że jego soki w nas krążą, winno podtrzymać myśl, że i na tym «naszym gruncie» wyrość mogą te same objawy, które ukazały się gdzie indziej"[37].

Uparte dążenie do uzwyczajnienia Polski, jej p o z n a w c z e uprzedmiotowienie okiem obserwatora zewnętrznego, wyłamującego się z zaklętego kręgu kulturowych wtajemniczeń, było metodologicznym punktem wyjścia zarzucanej pozytywistom „negacji". Byli w tym względzie prawymi dziedzicami Oświecenia, ale zarazem otwierali poczet „szyderców" zmagających się z brzemieniem plemiennego polskiego mitu. W oczach obojętnego Zachodu idea uniwersalistycznego posłannictwa Polski jako przedmurza cywilizacji okazywała się śmieszną pretensją, w dodatku opartą na nieaktualnej geopolityce. W przeciwieństwie bowiem do galicyjskich neokonserwatystów, którzy nadal uważali, że wschodnia granica osadnictwa polskiego jest rubieżą europejskiej cywilizacji, liberałowie z rosyjskiego zaboru dostrzegali postępy europeizacji Rosji i wcale nie byli tacy pewni, czy Warszawa leży bliżej Paryża niż Petersburg. Zarazem od zachodniej strony wyrastała groźna potęga Bismarckowskiej Rzeszy, której cień legnie na całej polskiej myśli politycznej ostatniego trzydziestolecia dziewiętnastego wieku.

[37] A. Ś[więtochowski], *Nasz grunt*, „Prawda" 1882, s. 25.

W takim układzie idea uniwersalnego posłannictwa Polski traciła w oczach pozytywistów resztki sensu.

> Bo i na cóż się zdały wszystkie nasze chęci zabezpieczenia Europy, kiedy ta Europa nas nie potrzebuje? [...] Porzućmy więc zwodną myśl, że jesteśmy koniecznym warunkiem równowagi europejskiej, niezbędną groblą, powstrzymującą fale azjatyckiego barbarzyństwa, przedmurzem świata [...] Nie z tego wywodzić należy rację i prawo istnienia Polaków, że bez nich Europa spokojnie zasnąć nie może, że oni najwierniej pilnują jej stodół i spichrzów, ale z tego, że są, są s a m i d l a s i e b i e, że tworzą odrębny, dość liczny naród, że posiadają własną, dość wysoką cywilizację, która zasila ogólny postęp ludzkości i wzbogaca go ważnymi, oryginalnymi pierwiastkami. Czyje domaganie się życia płynie z tych źródeł, tego rozumie i ostatecznie uszanować może świat cały[38].

Ostatecznie uszanować może, ale na razie nie szanuje, ponieważ Polska nie przyjęła nowoczesnej skali wartości, pozostając „może najmniej zdemokratyzowanym narodem w Europie", wciąż kultywującym - „jeżeli nie w naszych stosunkach, to w pojęciach" - podział kastowy, wyodrębnianie się „arystokracji rodowej, pieniężnej, urzędniczej i umysłowej". Nie lubią nas w Europie za wielkopańskie fumy, za brak szacunku dla pracy, za cały nasz „w tradycji zagrzęzły upór". W naszej sławie narodu szlacheckiego jest sporo przesady i nieporozumień, ale przecie „bez racji całe społeczeństwo nie otrzymuje stale powtarzanego przydomka, nie okrywa się śmiesznością, nie przedstawia się całemu światu jako przedawniony anachronizm"[39].

Przytoczenia te ujawniają dwoistość idei europejskiej w interpretacji polskich liberałów. Świadomi nieokiełznanego rozrostu państwowych nacjonalizmów w Europie, odrzucili wzniosłą utopię uniwersalizmu politycznego, wiarę romantyków w zjednoczenie i braterstwo ludów wolnych i ujarzmionych. Na nic się nie zda spekulowanie na europejskie kombinacje polityczne, zwłaszcza trady-

[38] A. Ś[więtochowski], *Polityka przedmurza*, „Prawda" 1881, s. 38.
[39] A. Ś[więtochowski], *Walka o byt*, „Prawda" 1883, s. 13, oraz tegoż *Liberum veto*, t. I, s. 440-441.

cyjna wiara w przyjaźń i pomoc Francji, dziś pokonanej i tak samo egoistycznej, jak wszystkie inne państwa. Narody osaczone przez aneksjonistyczny panslawizm z jednej, a pangermanizm z drugiej strony, muszą – jeżeli chcą przetrwać – wyrobić w sobie własny nacjonalizm odporny: panczechizm, panpolonizm... Muszą się stać s a m o l u b n e – albo zginą[40]. Socjaldarwinizm przez nielicznych tylko pozytywistów polskich uznawany był za trafną teorię społeczeństwa; także Świętochowski odmawiał mu kredytu tam, gdzie szło o interesy jednostkowe lub klasowe, posłużył się jednak konceptem „walki o byt", gdy opracowywał strategię oporu n a r o d o w e g o. I w tym ograniczonym sensie uznać go wolno za prekursora polskiego nacjonalizmu.

Ale to tylko jedna strona liberalnej doktryny „przystosowania" programów do warunków współczesności. Europa przestała istnieć jako idea polityczna, istnieje nadal jako żywotna idea cywilizacyjna. Narody ujarzmione i zapóźnione muszą się do tej jedności cywilizacyjnej włączyć – albo zginą. Tradycja nie jest skuteczną tarczą. Dawne prawa polityczne i terytorialne, ofiara krwi przelanej za wolność własną i cudzą ani wreszcie egzotyczna odrębność szlacheckiej kultury służyć nie mogą za wywód praw narodowych w świecie teraźniejszym. W programowym artykule „Prawdy" przywoływał Świętochowski dawne Powidaja porównanie Polaków do Irokezów. Czczy i bezużyteczny jest argument „byłem, więc jestem". Modelową antytezą „Irokezów" byli Czesi, przez wszystkich bodaj pozytywistów stawiani Polakom za wzór: bo ich już nie było, a przecież są i stają się coraz poważniejszym narodem dzięki wytrwałemu wyrabianiu swej samodzielności wewnętrznej i demokratycznej kultury. Na to zaś, aby siły wewnętrzne skrzepić, trzeba rozbić ten mur, który parafiańszczyzna wzniosła między Polską a Europą, „mur w wielu miejscach już znacznie wyszczerbiony, ale ciągle jeszcze odgradzający nas od biernego nawet uczestnictwa w rozwoju powszechnym". Opanowanie nowoczesnej wiedzy – technicz-

[40] [A. Świętochowski], *Pangermanizm i panslowianizm*, „Przegląd Tygodniowy" 1876, s. 361–363, oraz tegoż, *Wspomnienia*, s. 61.

nej i społecznej - jest potężnym instrumentem w „walce o byt"; a przeto samobójcze są drwiny z triumfów zachodniego geniuszu.

> Tu nie ma wyboru, tu pozostaje tylko jedna droga: przyłączyć się do ogólnej cywilizacji, p r z y s t o s o w a ć s i ę do niej, nadać życiu t e s a m e s p r ę ż y n y, tenże sam rytm, według którego rozwijają się inne narody. W przeciwnym razie one nigdy nie uznają ani naszych praw, ani naszych potrzeb, lecz ustawicznie będą w nas widziały jakiś starożytny zabytek, który pojąć można tylko przy pomocy słownika archeologicznego[41].

Może było to tylko zastępowanie jednego mitu drugim. Może ów „trybunał cywilizacji", przed którym narody dowodzić miały swych praw[42], był taką samą ułudną hipostazą, jak konserwatywnie zinterpretowana tradycja albo mesjanistyczna soteriologia z jej wiarą w moralność procesu dziejowego. Może. W trybunał cywilizacji nieraz jeszcze przyjdzie zwątpić tak jak we wszystkie inne trybunały historii poza sądem i wyrokiem armat. Niemniej jednak teoria cywilizacyjnej rywalizacji narodów była największym uniwersalistycznym mitem p r o j e k c y j n y m dziewiętnastego wieku: jedynym godnym jej współzawodnikiem stanie się doktryna powszechnej rewolucji socjalnej. Mit cywilizacyjnego wyścigu niósł w sobie ogromny ładunek energetyczny, z jego aksjologii dawały się łatwo wywieść dyrektywy pragmatycznego działania.

Ale czymże w końcu była dla postępowego stronnictwa „cywilizacja" - to słowo proteuszowe, bez którego - jako pozytywnego lub negatywnego układu odniesienia - obejść się nie mogła żadna doktryna społeczna? Jeśli by zawierzyć krytykom z prawa i z lewa, to ideologia cywilizacji sprowadzać się miała do jakiegoś nowego merkantylizmu, do podręcznika kapitalistycznej żarłoczności przeznaczonego dla jednostek i dla narodów. Cywilizatorstwo miało być filozofią episjerów, uznających te tylko dobra, które dadzą się zmierzyć, zważyć i na pieniądz przeliczyć.

> Lekarze, mechanicy, inżynierowie, przyrodnicy, kupcy - biadał Jeske-Choiński - wtargnęli gromadnie do beletrystyki i wyparli z niej: ryce-

[41] A. Ś[więtochowski], *Walka o byt*, „Prawda" 1883, s. 86.
[42] [A. Świętochowski], *Myślę - więc jestem*, „Prawda" 1881, s. 3.

rzów, poetów, artystów, publicystów, mówców i kapłanów. A żaden z tych ulubieńców Orzeszkowej, Bałuckiego i naśladowców ich nie posiada piersi na „miarę Fidiasza" [...], nie zdziała nic, co by przekraczało miarę codziennych potrzeb społeczeństwa. [...] Nie boleją oni cierpieniami Faustów, Konradów, choćby Kordyanów. Obojętne są im najwyższe tajemnice wszechświata i wielkich narodów niedole[43].

Podobnych wypowiedzi, w stylizacji mniej lub bardziej romantycznej, są setki, jeśli nie tysiące. Jeśli jednak krytycy demaskowali tylko nędzę pozytywistycznej ideologii, to katastrofiści zbrzydzeni byli duchową nędzą nowoczesnego świata, w którym – jak donosił poeta –

Karłowacieją myśli, gasną serc wulkany;
Dzieje nie brzmią już chórem wiary archanielskim,
Wiek rozumu, jak tabor ciurów rozpasany
Opycha brzuch podbitej materyi cielskiem[44].

Nic nowego w tych potępieniach i jeremiadach. We wszystkich bodaj literaturach świata wstręt do mieszczańskiej moralności i do zracjonalizowanej mieszczańskiej cywilizacji narastał w miarę jej postępów. W Polsce i w Rosji osobliwe było chyba to tylko, że wstręt ten miał tak wyraźnie charakter prewencyjny. Wzniosła pogarda dla dóbr materialnych i dla nowoczesnych technik ich wytwarzania inny ma wyraz w kraju zamożnym – dajmy na to u amerykańskich transcendentalistów – inny tam, gdzie cztery piąte ludności są chronicznie niedożywione i żyją w najodleglejszym od cywilizacji prymitywie. Osobliwością było – jak trafnie zauważyła Eliza Orzeszkowa – wyklinanie przemysłu „w kraju, w którym tenże przemysł znajduje się dopiero w pieluchach"[45]. A zresztą to przeciwnicy programu cywilizatorskiego uparcie redukowali jego treść i sens do

[43] T. Jeske-Choiński, *Typy i ideały pozytywnej beletrystyki polskiej*, Warszawa 1888, s. 213–214.

[44] L. Sowiński, *Dział pieśni*, cyt. za E. Orzeszkową, *Listy o literaturze*, „Niwa" t. IV, 1873. Por. w podobnym stylu napisany wiersz tegoż poety *Z wrażeń wędrowca* (Paryż 1880), w: *Księga wierszy polskich XIX wieku*, opr. J. Tuwim i J.W. Gomulicki, t. II, Warszawa 1956, s. 372–373.

[45] E. Orzeszkowa, *Listy o literaturze*, „Niwa" t. IV, 1873, s. 233.

trywialnego ekonomizmu. Zarzut taki nie miał oparcia w żadnym programowym tekście pozytywistów. O ekonomicznych poglądach liberałów polskich będziemy jeszcze mówili w następnym rozdziale. Na razie wystarczy stwierdzić, że zaspokojenie pewnego minimum elementarnych potrzeb bytowych uważali za warunek wyzwolenia twórczych potencjałów jednostki, a rozwój gospodarczy kraju za warunek jego siły wewnętrznej i jego kultury. Natomiast myśl redukowania „cywilizacji" do „kapitalizmu", zespołu wartości do sfery ekonomicznej, była im nie tylko obca, ale wręcz sprzeczna z podstawami światopoglądu.

Podjęta przez Orzeszkową obrona wieku dziewiętnastego jest najbardziej wyraźną i kompletną eksplikacją ideałów, które pozytywizm w swej wczesnej, optymistycznej fazie łączył z pojęciem cywilizacji. Jej literacki dialog był diatrybą przeciw sentymentalnej krytyce industrializmu, czerpiącej argumenty z estetyki i etyki sielanki. Wyimaginowany towarzysz podróży autorki jest – jak przed nim Brodziński, Kraszewski i tylu innych – obrońcą naturalnego środowiska, dziewiczej przyrody, wiejskiego krajobrazu, ciszy lasów i jezior. Jest także obrońcą prawa człowieka do bezinteresownej kontemplacji, do kultywowania wartości nieutylitarnych. W takim dyskursie rekwizytem niezbędnym jest lokomotywa. Od połowy stulecia kolej żelazna stawała się na całym globie symbolem nowoczesności, jej błogosławieństwa i jej przekleństwa. Dla jednych symbolem władztwa ludzkiej myśli i wynalazczości nad materią, przestrzenią i czasem, dla innych – przeciwnie – symbolem władztwa materii nad człowiekiem[46]. Oponent autorki widzi więc w kolei nie tylko dym zatruwający czyste powietrze, nie tylko hałas mącący spokój natury, ale także znak zmechanizowania ludzkiej egzystencji. Oto w żelaznym wieku „wszyscy spieszą, pędzą, lecą, sami nie wiedząc po co, sami nie wiedząc dokąd". Człowiek traci swą podmiotowość, nie kieruje już swymi krokami, to nim kieruje Mechanizm: „jesteście nie ludźmi jadącymi, ale towarem wiezionym"[47].

---

[46] Zob. L. Marx, *The Machine in the Garden*, New York 1964.

[47] E. Orzeszkowa, *Listy o literaturze*, „Niwa" t. IV, 1873, s. 157.

Sto lat później argumenty te nie wyglądają bynajmniej na naiwne, są nadal w obiegu, zyskują coraz większy kredyt społeczny. Tyle, że w roli staroświeckiej kolei występuje ponaddźwiękowy samolot. Ujmującą cechą Orzeszkowej jako publicystki było zawsze przedstawianie zwalczanych idei w ich najszlachetniejszej wersji. Dziś naiwne mogą się zdawać raczej jej repliki. Ona wiedziała, po co i dokąd ludzkość się spieszy. Wystąpiła niczym prekursorka futuryzmu, wielbiąca zawrotny pęd i ruch, piękno maszyny i dymów fabrycznych, których formy na niebie opisywała, inspirując się wyraźnie grą obłoków w *Panu Tadeuszu*. Ale od estetyki ważniejszy był dla niej argument etyczny. Nędzarz nie podziwia natury. Rolnictwo bez wsparcia przemysłu, nauki i kupiectwa nie wyżywi głodnych. W walce człowieka o opanowanie sił przyrody prawo moralne jest po stronie cywilizacji i wolno zapytać,

> czy to pieczołowite strzeżenie pierwotnych piękności przyrody od szwanku wszelkiego b e z w z g l ę d u n a l u d z k i e p o t r z e b y, cierpienia i niebezpieczeństwa – nie jest właśnie ubóstwieniem „cielska materii", fetyszyzmem bałwochwalczo czczącym błękity i zielenie, stepy i wody, dęby i chwasty?

A zresztą przemysł stanie tak czy owak nad Wisłą i nad Niemnem i jeśli nie my go zbudujemy, uczynią to za nas inni. „Wtedy [...] nam wolno będzie, szczycąc się mianem arcypoetycznego społeczeństwa, sporządzić sobie z białej kory brzozowej stosowną ilość fujar i nad rzekami nie dla nas toczącemi fale miodu i złota pasać trzody panów naszych"[48].

To wszystko było wstępem zaledwie. Bo nie maszyny były głównym przedmiotem oskarżenia w procesie o cywilizację. Obsesją katastrofistów było duchowe skarlenie człowieka. Skończył się oto wiek bohaterów, wiek wiary, miłości, poświęcenia, walec pospolitości do jednego poziomu niweluje ludzi i narody, pochłonięte bez reszty pogonią za zyskiem. I tu dopiero zaczyna się mowa obrończa wieku dziewiętnastego – „wielkiego oskarżonego":

[48] Ibidem, s. 233.

> Napisałem kodeksy, w których zrównałem ludzi wobec prawa do światła, zaszczytów, zysków i szczęścia, bez względu na urodzenie i kolor skóry [...]; zrozumiałem, o ile nędza fizyczna i ciemnota umysłowa zabójczemi są dla cielesnego i duchowego zdrowia człowieka i rozpocząłem dzieło zmniejszania lub, jeśli tylko możliwem to jest na ziemi, zupełnego zagładzania klęsk tych przez prostowanie stosunków społecznych, kaleczonych dotąd przesądem i krzywdą, przez udoskonalenie gospodarstwa społecznego, przez otwieranie dla wszystkich bez wyjątku zakładów wychowania publicznego; rozciągnąłem opiekuńcze skrzydła nad opuszczonym dzieciństwem, niedołężną starością i obezsilającym kalectwem [...].

Idee te – przyznaje Orzeszkowa – nie były obce i poprzednim wiekom, ale teraz dopiero otrzymały wsparcie rozumu krytycznego. Między miłosierdziem wieków dawnych i wieku naszego taka zachodzi różnica jak między jałmużną a nowoczesnym szpitalem. Kto pyta, czy istnieje w dziejach postęp czy upadek, niechaj się przyjrzy zmianom polityki penitencjarnej:

> Żadne dokonane dotąd dzieło myśli ludzkiej nie mieści w sobie więcej sprawiedliwości, mądrości i przede wszystkim miłości, jak udoskonalenie procedury karnej, przyłączenie do niej psychologii i medycyny sądowej, zniesienie kary śmierci i reforma więzień [...]. Dzieło to we wspaniałości swojej i poetyczności o wiele przewyższa krwawe i szumne wyprawy opiewane przez Homerów i Tassów.

Znamieniem nowoczesnej cywilizacji jest więc myśl wolna i śmiała, reformatorstwo społeczne korzystające ze zdobyczy nauki. Owocem tej myśli jest „tegoczesny liberalizm religijny i polityczny", wznoszący „olbrzymi gmach równości obywatelskiej i swobód publicznych"[49]. A w innym jeszcze tekście, o siedem lat późniejszym, powie Orzeszkowa, że tylekroć oskarżany wiek dziewiętnasty jest wiekiem rozwoju w s p ó ł c z u c i a[50].

Czy to jeszcze jedna cywilizacyjna utopia? Orzeszkowa pisze nie o przyszłości, używa czasu przeszłego i teraźniejszego. A więc opisuje swój ideał czy świat zachodni, jaki widzi? Opisuje ideał i świat jednocześnie i od razu dostrzega rozwierającą się między

[49] Ibidem, s. 260, 283.

[50] E. Orzeszkowa, *Patryotyzm i kosmopolityzm*, Wilno 1880, s. 183–185.

nimi szczelinę. Bo historyczne spóźnienie tej formacji ideowej w Polsce nie pozostawiło czasu na naiwną ufność w cywilizację, która zdążyła już odsłonić zbyt wiele odczłowieczeń. W epoce Drugiego Cesarstwa, w gorączce grynderstwa umierał wstydliwie wiek Condorceta i Benthama, wiek entuzjazmu filozofów i ekonomistów dla postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje, wiek wiary w harmonię społeczną. Cywilizacja nowoczesna miała być zespolonym blokiem wartości: postępy nauki i technologii przynieść miały powszechny wzrost oświaty i dobrobytu, wraz z tym przyrost stopniowy, lecz nieustający, wolności i równości, pokój, demokrację polityczną i społeczeństwo oparte na zasadzie altruizmu. Okazywała się zaś blokiem nie litym, lecz spękanym. Niezaprzeczalny, wymierny był postęp nauki i oświaty, techniki i produkcji, ale niósł ze sobą nieznany przedtem komfort i inną niż przedtem nędzę, wzrost równości i nierówności, wolności i zniewolenia. Nowe szanse solidarności i wspólnoty ludzkiej i nowa samotność wykorzenionych w wielkomiejskim tłumie były produktami tego samego procesu dziejowego.

Od tej pory, kiedy wewnętrzne antynomie cywilizacji przemysłowej ujawniły się w pełni, dalsze jej chwalenie czy potępianie *en bloc* stawało się czcze i jałowe. Jałowy stawał się tym samym spór między tradycjonalizmem a progresywizmem. Epokę industrialną trzeba było uznać po prostu za fakt, za proces nieodwracalny, spowodowany spontanicznym ukierunkowaniem ludzkiej inwencji i przedsiębiorczości. Uznanie takie dla konserwatystów pociągało za sobą konieczność gruntownego przepracowania doktryny, dla liberałów zaś było uznaniem s z a n s y realizacji ich humanistycznych ideałów. Tylko szansy. W jej imię domagali się udzielenia nowoczesnej cywilizacji kredytu ograniczonego i warunkowego zaufania. Rozstrzygnięte było dla nich to tylko, że postęp naukowego poznania zwielokrotnia twórcze siły gatunku ludzkiego, a tym samym zdolność jego umysłowych elit do racjonalnego przekształcania środowiska, przyrodniczego i społecznego. Otwarte pozostawało pytanie, jakim zasadom współżycia narzędzia te posłużą. Libera-

łom obce było przekonanie, iż sposób produkcji i wymiany towarów determinuje całokształt kultury społecznej i politycznej.

Podstawową zasadą i szkołą współżycia było dla nich dobrowolne s t o w a r z y s z e n i e, *punctum saliens* programów pracy organicznej. Jedną z osobliwości polskiego liberalizmu inteligenckiego było to, że nie przeszedł on przez tak znamienną dla bardziej mieszczańskich społeczeństw fazę filozofii indywidualistycznej. Jest to zrozumiałe. Wprawdzie wszędzie w Europie wczesny liberalizm przeciwstawiał się rozrostowi gestii państwa, ale przecież w Anglii czy Francji korzystał z jego integrujących instytucji – obojętne, monarchicznych czy republikańskich. Nietrudno było domagać się otwartego pola gry, swobodnej rywalizacji jednostkowych uzdolnień i przedsiębiorczości tam, gdzie prawa człowieka do własnego języka, szkoły, sądu, wyznania oraz do obrony przed arbitralnością urzędnika i policjanta były już zabezpieczone. Ale idee wędrują łatwiej niż systemy państwowe. Aksjologia demokratycznego, bo już nie szlacheckiego liberalizmu kiełkowała i tu, gdzie w żadnej instytucji oficjalnej znaleźć nie mogła oparcia, a w każdej znajdowała wroga. Poznańskie pierwsze – bo już w latach czterdziestych – przeszło przez to doświadczenie: z niego wyrosło Towarzystwo Naukowej Pomocy, a potem Liga Polska.

Warszawskie „stronnictwo postępowe" nie po to podważało regulatywny autorytet „tradycji", zniewalającą siłę ładu skrzepłych zbiorowych wyobrażeń, nie dlatego domagało się wolnej „giełdy opinii", aby wyzwoloną jednostkę ludzką pozostawić samotną i bezbronną wobec kuratorów, komisarzy i żandarmów. Odrzekało się, to prawda, zamiaru p o l i t y c z n e g o organizowania społeczeństwa, nie zaś organizowania go w ogóle. Pokrycie kraju siecią zrzeszeń ekonomicznych, oświatowych, zawodowych, wszelakich – było jego marzeniem i jego złudzeniem. Ta sieć miała być kośćcem struktury społecznej, substytutem parlamentu i samorządu, kapitału i uniwersytetu. I ileż to było w *Kronikach* Prusa albo w felietonach Świętochowskiego sarkastycznych uwag o tej polskiej inteligencji, która nawet w bardziej temu sprzyjających warunkach Galicji lub niemieckiego zaboru okazuje się wciąż niezdolną do społecz-

nego działania: „«klasy ukształcone» z pełnymi ustami szczytnych haseł, ze świadomością rozległych zadań i ogólnych potrzeb, z rozmachem «tysiącletniej cywilizacji», nie wiedzą, co mają robić, a jeśli wiedzą, nie umieją się spajać, organizować"[51]. Bo skoro nie umiały, to waliła się cała podstawa organicznego programu.

Był jeszcze drugi, nie mniej istotny powód niechęci pozytywistycznych ideologów do indywidualizmu. Oto wtedy, gdy wystąpili ze swym programem, doktryna wolnej gry sił społecznych i ekonomicznych była już i na Zachodzie moralnie skompromitowana jako ideologia silnych i bezwzględnych. Najznakomitszy i najpopularniejszy z liberalnych filozofów, John Stuart Mill, sam odstępował od klasycznej interpretacji wolności jako braku interwencji i szukał kompromisu z reformatorskimi ideami socjalistów. Wśród jego polskich uczniów doktryna wolnej konkurencji była od początku niepopularna. Burżuazji godzili się przyznać – a i to nie bez zastrzeżeń, o których przyjdzie nam jeszcze mówić – pożyteczną rolę w uprzemysławianiu kraju, ale stąd daleko było do sympatii. Świętochowski będzie się chełpił tym, że „Prawda" nie zamieszcza ogłoszeń wielkich firm, a zjadliwe jego uwagi o „rekinach" przybierać będą z czasem na sile. „K a p i t a l i z m g n i j e – pisał – i gnić będzie [...], bo czerpie swe soki ze złych instynktów ludzkich"[52].

Złe instynkty wyzwalała zarówno konkurencyjna walka o rynki i zyski, jak walka klas, jak walka narodów.

> Walki – pisał Prus – są w ogóle barometrem bądź wadliwej budowy, bądź wadliwych stosunków społecznych. Gdzie istnieje walka, tam są potrzebne reformy, najlepiej na drodze układów i wzajemnych ustępstw. [...] W każdym razie walka jest nieszczęściem, jeżeli nie występkiem, ponieważ w gwałtowny sposób niszczy siły narodu. Ciągłe odwoływanie się do niej jest symptomem dzikości[53].

---

[51] A. Świętochowski, *Liberum veto*, t. I, s. 664.

[52] Cyt. za M. Brykalską, *Aleksander Świętochowski redaktor „Prawdy"*, Wrocław 1974, s. 87.

[53] A. Głowacki, *Szkic programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa*, Warszawa 1883, s. 119.

Nie wszyscy byli aż tak jak Prus konsekwentni w swym społecznym i narodowym pacyfizmie, niemniej z socjaldarwinowską wizją ludzkości podzielonej na walczące ze sobą stada drapieżników pozytywiści nasi godzić się nie chcieli albo godzili się z odrazą. Okazji do jej manifestowania mieli coraz więcej. I coraz częściej powód do niej dawała kompromitacja tych haseł, które - z nazwy przynajmniej - przyjęli byli za swoje.

Tak liberałowie niemieccy, popierając Bismarcka, z zasad wolności czynili parawan dla ideologii siły; podług nich - pisał Świętochowski - „handel [...] musi być bezwzględnie wolnym, przemysł nie podlegać żadnym ograniczeniom interesów kapitalisty, a państwo z liczną armią nie znajdywać żadnej przeszkody w zaborach i wynaradawianiu..." Od tych nacjonal-liberałów odciąć się musieli politycy poznańscy i szukać aliansu raczej z życzliwszym dla Polski niemieckim obozem zachowawczym. I podobnie w Austrii, gdzie związek Koła Polskiego z prawicą stał się konieczny i usprawiedliwiony, skoro „liberalizm tamtejszy niósł również ludom słowiańskim gwałt i ucisk, konserwatyzm [zaś] dał im względną swobodę i równouprawnienie". Gorzkie to były przewartościowania, zwłaszcza że podejmowane w obronie własnej, gdyż odium tamtej „liberalnej" polityki - przez „dziecinne dedukcje, wyprowadzane z wspólności nazw" - padało i na środowisko ideowe „Prawdy". Przykra konieczność politycznych sojuszów z reakcją nie osłabia jednak - zastrzegał Świętochowski - wartości postępowych i d e a ł ó w:

> Jest ona tylko wyrokiem potępiającym to karle plemię liberalizmu niemieckiego, który wielką ideę przykroił do celów samolubnych, na krzywdzie społecznej i międzynarodowej zatkniętych. Chociaż Bacon był złodziejem, a Voltaire pochlebcą, nikt nie wyprze się indukcji i tolerancji[54].

Cywilizacji nie wypierali się także, ale i jej bieg przysparzał im coraz to większych rozczarowań. Stopniowo pozbywali się młodzieńczej brawury i naiwności pierwszych manifestów. To nonsens, co się niekiedy czyta, że pozytywizm załamał się w początku lat

[54] [A. Świętochowski], *Liberalne bankructwa*, „Prawda" 1883, s. 94.

osiemdziesiątych. Przeciwnie: wydoroślał i zmądrzał, pojąwszy, jak podzielone są racje, jak złożone i nieschematyczne konflikty współczesności, jak mrokiem okryta przyszłość. W literaturze i publicystyce tej drugiej jego fazy odzwierciedlił się dojrzały sceptycyzm, a nie ideowa kapitulacja.

Sceptycyzm dotyczył spraw zdrowia i choroby organizmów społecznych. Do progu lat osiemdziesiątych sprawy te zdawały się względnie proste: lekarza łatwo było poznać po diagnozie. Dla konserwatystów – jak się tu już nieraz mówiło – źródłem zdrowia było trzymanie się dawnej wiary, obyczaju i ziemi. „Choroby wieku" były chorobami cywilizacji, nowoczesności, miasta. Modernizacja życia, wykorzeniając człowieka z ziemi, gminy i parafii niszczyć miała jego odporność przeciw bakcylom materializmu filozoficznego i praktycznego zarazem. Cywilizacja pozbawiona przeciwciał wiary i tradycji nosiła w sobie własną zagładę: stawała się łatwą pożywką dla najgroźniejszej „choroby wieku", mianowicie dla socjalizmu, czyli ducha nihilistycznego przewrotu[55].

Otóż lekarze wierzący w postęp przez kilka dziesiątków lat odwracali tę diagnozę na opak. Według nich leczenia wymagało przede wszystkim społeczeństwo zacofane i cherlawe, pozbawione woli i tężyzny niezbędnej do skoku w przyszłość.

> Zepsute ziarno – pisał publicysta „Przeglądu Tygodniowego" – nigdy zdrowych nie może wydać owoców; jeżeli przeto widzimy, że społeczeństwa Zachodu, wśród których weszły w życie te szkodliwe w mniemaniu wielu zasady – rozwijają się zdrowo i przodują cywilizacji; że rozumowy kierunek, zamiast cofać ku barbarzyństwu, pchnie ludzkość do coraz nowych odkryć i ulepszeń; że usiłowania naszej młodzieży, owych zapamiętałych „niedowiarków i materialistów" są równie szlachetne, jak zapał ku wyznawanym zasadom: przyjdziemy do wniosku, że i sam ten powiew ducha czasu unosi ludzkość, a i nas po trosze, po drodze doskonalenia się i postępu[56].

---

[55] P. Popiel, *Choroba wieku*, Kraków 1880.

[56] Jerman, *Młodzież wczorajsza i dzisiejsza*, „Przegląd Tygodniowy" 1872, s. 371–372.

Wszakże pewność ta nie trwała długo. Medycyna społeczna liberałów stawała się coraz bardziej defensywna. „Niwa" (jeszcze pozytywistyczna) godziła się przyznać, że postęp techniczny nie musi automatycznie oznaczać postępu „w sferze myśli, uczuć i czynów". Ale pretensje moralistów odpierała zarzutem niecierpliwości. Bo „postęp" jest tylko najogólniejszym drogowskazem i wezwaniem do działania, a nie „magicznym zaklęciem otwierającym cudowne światy". Przyszłość nie jest wyznaczona, jest do zdobycia: „dzieje dają nam pewne tylko wskazówki, nie zamieniając ich na prawa nieodwołalne". Prawidłem postępu nie jest „stan gorączkowy", lecz długotrwała „walka przekonań i zasad" – ta jedyna walka, której inteligencka awangarda udzielała bezwarunkowej sankcji i dla której żądała – pod Bergiem i pod Apuchtinem! – „najzupełniejszej swobody"[57].

Nie trzeba więc być niecierpliwym. Cywilizacja nowoczesna też choruje, przeżywa – to prawda – ciężkie kryzysy ekonomiczne i moralne, rodzi proletariat, przestępczość, wojny, kult siły brutalnej, ale właśnie ona, i tylko ona, dzięki nieustannej przemianie materii, dzięki wolności myśli i wynalazczości społecznej potrafi sama w sobie znajdować sposoby własnej kuracji. A przeto „trzeba przebić więcej okien do Europy i dozwolić jej prądom, ażeby przewiały naszą duszną chatę. Nie w niej tylko zdrowie, a poza nią zaraza"[58].

Ale i ta wiara wątlała i słabła. Im bliżej końca wieku, tym trudniej odróżnić konserwatywne, demokratyczno-liberalne i socjalistyczne rozpoznania chorób cywilizacji, mimo iż całkiem odmienne pozostawały wskazania terapeutyczne. Samo pojęcie cywilizacji, zrazu tak różne od „kapitalizmu", o tyle pojemniejsze i o tak innej dla postępowców aurze skojarzeniowej, z wolna zlewało się z nim. To nie cywilizacja malała, to kapitalizm rósł i wszczepiał swoje zasady gry we wszystkie tkanki polityki i kultury. Ogniskami zarazy były wielkie metropolie Europy: Londyn, Paryż, o Berlinie nawet nie mówiąc. Zdawało się, że świat cały jest tylko łupem dla wielkich dra-

[57] *Postęp*, „Niwa" t. III, 1873, s. 25–27.
[58] A. Świętochowski, *Wskazania polityczne*, loc. cit., s. 53.

pieżników. Powracał odwieczny wątek cywilizacji trzebiącej Indian, tyle że obok czerwonoskórych, o których jeszcze raz echo się rozeszło po ostatnich walkach w Dakocie, stanęli teraz Afrykanie i Azjaci. Jednym z głównych wątków publicystycznych „Prawdy" będą odtąd oskarżenia imperializmu, kolonializmu, wyścigu zbrojeń. Misja cywilizacyjna, europejskie *kulturtraegerstwo* stały się obłudną osłoną cynicznej grabieży i gwałtu. „Niestety cywilizacja obecna innych sposobów apostołowania nie zna lub nie używa, więc wzdragając się na okrutne jej środki, musimy się pogodzić z koniecznością. Pochodnia jej naprzód pali, a potem oświeca"[59].

Więc jednak potem oświeca. Bo nie można się było wyrzec resztek wiary w prawo moralne postępu, choć ten na razie okazywał się „postępem zagłady". U schyłku przedostatniej dekady dziewiętnastego stulecia pod piórem Świętochowskiego pojawi się po raz pierwszy obca dawniej jemu – i całej mentalnej strukturze liberalizmu – myśl chiliastyczna: myśl, że droga do *millenium* pokoju i sprawiedliwości wiedzie może nie przez kumulatywny przyrost wartości, lecz przez krwawe konwulsje narodów. A skoro tak, to współczucie dla żywych i ginących kłóciło się z nadzieją dla jeszcze nienarodzonych – tak jak się kłóciło w myśli apostołów rewolucji socjalnej.

> Zaiste, jeżeli kultura nie może odbywać swego pochodu inaczej i używać innych, uczciwszych i szlachetniejszych środków, to lepiej niech już raz dokona swego dzieła, n i e c h c o p r ę d z e j z n i s z c z y, co ma do zniszczenia, a niech przestanie swą krwawą i ohydną robotą znieprawiać nasze uczucia i zasady[60].

Niech zniszczy. *Pereat mundus antiquus.*

> Wobec trzech milionów ludzi stojących dziś bez przerwy pod bronią i półtora miliarda rocznych wydatków na te zastępy marzenie apostołów wiecznego pokoju wydaje się jak zawieszona gdzieś w niedoścignionych przestworzach tęcza. Ale – przyznajmy – tęcza piękna. Jakkolwiek teraźniejszość drwi sobie z tego rojenia, barw i świetnych blasków mu nie odbierze. I choćby życie bardzo długo jeszcze czekać kazało, w piersiach ludów trapionych okropnościami wojny nie zamrze

[59] Cyt. wg: M. Brykalska, op. cit., s. 121.
[60] Ibidem, s. 122.

nigdy wiara, że owa epoka kiedyś nastanie, że skończy się wreszcie okres burz i krwawego posiewu. Cywilizacja, która dotąd okrywa się płaszczem czerwonym, przywdzieje biały i wtedy dopiero będzie miała prawo nazwać się ludzką[61].

Tą utopią zamyka się pozytywistyczna n e g a c j a.

Ale cóż to wszystko miało wspólnego z tym, co się działo i nie działo w Mławie albo Kielcach? Niewiele na pozór. Z Mławy i Kielc nie było widać losów świata i troski były tu raczej powiatowej skali. A przecież i w tej skali pojawiała się ta sama dręcząca niepewność, czy wartości wchodzące w skład jednego kompleksowego ideału rzeczywiście wspierają się wzajem. Bo to właśnie było zrazu założone jako oczywistość: że wiedza, dobrobyt społeczny, egalitaryzm, swoboda gospodarczej inicjatywy, opieka nad słabymi i wydziedziczonymi, wolność opinii publicznej, samorząd gmin i stowarzyszeń, wychowanie w tolerancji, asymilacja Żydów, emancypacja kobiet, solidarna obrona kultury narodowej, poprawa zdrowotności, spadek przestępczości, altruistyczna etyka współżycia społecznego – że wszystko to są cele sprzężone, bezkonfliktowe i wzajemnie sobie niezbędne. Wystarczyło więc, by Prus – sceptyczny wobec każdej doktryny, a za to dziecięco ufający każdej statystyce – pozwolił sobie wyrazić wątpliwość, czy aby na pewno ze wzrostem oświaty idzie w parze spadek liczby przestępstw i wzrost moralności, a już Świętochowski i inni okrzyczeli go niemalże obskurantem, co chciałby lud utrzymać w ciemnocie[62]. A jednak konflikty w tym katalogu celów – czy to z ich natury, czy to z okoliczności historycznych wynikające – okazywały się raz po raz nieuchronne.

Każdemu przyzwoitemu liberałowi i demokracie europejskiemu wypadało domagać się powszechnej i obowiązkowej szkoły elementarnej. Ale jakże by to było możliwe tu, gdzie szkoła stała się instrumentem rusyfikacji lub germanizacji? Wypadało mu wychowywać społeczeństwo w duchu poszanowania dla prawa. Ale jakież to było trudne tu, gdzie prawo było osłoną politycznego bezprawia!

---

[61] Ibidem, s. 120.

[62] B. Prus, *Oświata*, „Nowiny" 1882, nry 301–302; A. Świętochowski, *Liberum veto*, t. I, s. 321–322 (zob. tamże komentarz M. Brykalskiej) oraz *Stosunek wiedzy do moralności*, „Prawda" 1882, nry 47–48.

Z polskiej wersji liberalizmu d l a s ł a b y c h, liberalizmu opiekuńczego, wynikał logicznie postulat ograniczenia wolnej konkurencji, interwencji państwa w kapitalistyczne stosunki pracy. Ale wymagało to obdarzenia częściowym choćby zaufaniem funkcjonariuszy aparatu, który z gorliwością dławił na każdym kroku prawa człowieka i prawa narodu do swobodnego rozwoju.

Znanym sposobem rozstrzygania konfliktów wartości jest obranie jednej z nich za nadrzędną i absolutną i podporządkowanie jej pozostałych. Taką wartością mogła być wolność jednostki albo egoizm narodowy albo zniesienie własności prywatnej albo wzrost gospodarczy, albo Bóg i wiara. „Postęp" ani „cywilizacja" do tej funkcji po bliższym wejrzeniu się nie nadały, bo absolut nie może być sklejką.

Prostota ideologii aksjologicznie uporządkowanych skusić w końcu miała większość polskiej inteligencji. Z chwilą gdy ulegali takiej pokusie, jakże powszechnej i naturalnej, brali rozbrat z programem organicznej pracy, którego cechą konstytutywną było obywanie się bez absolutu i taktyka sytuacyjnej negocjacji między wartościami razem uznawanymi, choć nieraz wchodzącymi ze sobą w konflikt. Płaszczyznę takich negocjacji – skoro nie można się było odwołać do instytucji państwowych – stworzyć miała demokratyczna samoorganizacja zniewolonego narodu, zaś trybunałem niewyposażonym w sankcje miała być opinia publiczna. Opinia reprezentowana przez cenzurowaną prasę.

Nie było lekko. „Stronnictwo postępowe – stwierdził jego hetman – wlało masę energii w społeczeństwo"[63]. Była to prawda. To dzięki nim głównie epoka Kotzebuego, Albiedynskiego i Hurki zapisała się w dziejach Królestwa jako znacznie bardziej, pomimo wszystko, twórcza od epoki Paskiewicza. A przecież środki oddziaływania, jakimi rozporządzali, były nieporównanie skromniejsze od uzbrojenia opinii zachowawczej i mniejszy był ich społeczny zasięg, w czym zgodne są oceny obserwatorów z obu obozów. Ale prawdą jest także, iż znacznie więcej energii wyzwoliła „walka o byt", pogoń

[63] A. Świętochowski, *Wskazania polityczne*, loc. cit., s. 53.

za zyskiem, burżuazyjny wyścig gospodarczy. Krytycy pospieszyli z oświadczeniami, że do tego właśnie sprowadził się cały program pracy organicznej. Zanim więc jeszcze Świętochowski przystąpił do sporządzania przytoczonego wyżej bilansu podbojów cywilizacyjnych w skali globalnej, musiał to zrobić dla swojej dzielnicy.

Postęp ostatnich lat – pisał w roku 1885 –

> poprawił w wielu gałęziach nasze stosunki społeczne, [...] podniósł produkcję i oświatę, ale sumę ogólnego szczęścia zmniejszył i skierował dążenia przeważnie w stronę zabiegów praktycznych. [...] Przyznać trzeba, że zwrot taki ma swoje strony dodatnie o tyle, o ile zbyt długo grzeszyliśmy zaniedbaniem gospodarczem i o ile wszelki dobrobyt daje siłę. I pomimo nawet wszelkich zwyrodnień organizmu społecznego, pomimo nadużyć, nieprawości, krzywd i gwałtów, które gęsto wplatają się w osnowę ekonomicznego postępu naszej doby, nie pragnęlibyśmy, ażeby on ustał, ażebyśmy powrócili do dawnych czasów tradycyjnego skostnienia.

Ale też nie można – ciągnął – zamykać oczu na to, że ta zajadła walka o rubla powoduje ogólny spadek poziomu etycznego, zanik zainteresowań nauką i sztuką. Za to żaden program nie jest odpowiedzialny. Życie samo narzuca kierunek działaniom ludzkim bardziej stanowczo niż słowa. Prasa jednak (znów prasa – najwyższa i jedyna instancja narodowa!) winna wzywać do tego, by rozwój ekonomiczny równoważyć rozwojem moralnym i umysłowym tak,

> ażebyśmy nie rozmnażali się w społeczeństwo bogatych samolubów i głupców. Zasoby materialne są nam potrzebne, ale niech w nich nie zużywa się cała nasza energia, niech w nich nie toną wszystkie nasze zamiary[64].

Bilans dla Kongresówki był więc, jak widać, podobny do bilansu całej europejskiej cywilizacji. Ale jeszcze przyszło doń dopisać dodatkowy komentarz. Bo oto kryzys gospodarczy i carskie restrykcje taryfowe wymierzone przeciw przemysłowi Królestwa kazały zwątpić w trwałość nawet tego jedynego namacalnego sukcesu „westernizacji" Polski. W broszurze anonimowo wydrukowanej we

[64] [A. Świętochowski], *Obecna doba*, „Prawda" 1885, s. 2.

Lwowie z przeznaczeniem dla kontrabandy do zaboru rosyjskiego Świętochowski – nadal redaktor legalnej „Prawdy", ale już i współtwórca tajnego Towarzystwa Literackiego – przyznawał się do klęski programu pracy legalnej: „ucisk wzrastał w miarę, jak nasz opór malał". Z posiewu pracy organicznej zrodził się wprawdzie postęp gospodarczy, ale dziś i ten został zahamowany. Carska machina podatkowa „wyciąga swe dochody z nędzy". Niemcy w przemyśle są protegowani, im wolno tworzyć gminy i stowarzyszenia. Tymczasem n a s z a b e z s i l n o ś ć e k o n o m i c z n a jest głównie „wynikiem niemożności porozumiewania się i działania łącznego, braku potężnej dźwigni narodów ucywilizowanych – w o l n o ś c i s t o w a r z y s z e ń". Bezrobocie inteligencji, prześladowania religii i języka polskiego, łamanie charakterów młodzieży przez szkołę, rusyfikacja sądów, niemożliwość zorganizowania oświaty dla ludu, który „do szkoły rosyjskiej czuje odrazę, [a] polskiej nie ma", i nade wszystko „gilotyna duchowa" cenzury – oto stan ogólny Królestwa Polskiego w roku 1889. Choć i przed piętnastu-dwudziestu laty prawa nasze były zaledwie „okruchami warunków życia w cywilizacji", to przecie postanowiliśmy uciec się pod ich opiekę, by robić to wszystko, co w granicach postępowania legalnego zrobić można. „Niestety, wkrótce rozczarowaliśmy się z tego złudzenia, że Rosja jest państwem prawnem, że w niej można żyć i działać prawnie"[65].

Tak się kończył ten kolejny dramat trzeźwych entuzjastów, obwinianych o to, że chcieli wszystko zanegować i zburzyć, i o to, że się bali zanegować i zburzyć cokolwiek; o to, że chcieli zbyt mało i że nawet tego, co chcieli – nie mogli. A jeszcze o kosmopolityzm i o „gaszenie ducha".

---

[65] [A. Świętochowski, *Stan ogólny Królestwa Polskiego*], s. 11, 16, 37.

6. Mnożenie i dzielenie

Liberalny program pracy organicznej i socjalizm polski miały wspólny punkt wyjścia: naoczne stwierdzenie bezmiaru nędzy chłopskiej, fornalskiej, robotniczej. Z widoku tej nędzy, z niezgody na nią, z odruchu współczucia dla głodnych i poniżonych rodził się imperatyw moralny, jednaki w punkcie wyjścia dla Prusa i dla Waryńskiego. Ale na tym kończyła się ich wspólność.

Dla organiczników była to odwieczna polska nędza, dawniej zamknięta w chacie, wyganiana na pańskie, za to na przednówku albo po padnięciu ostatniej krowy łagodzona dworską zapomogą; teraz, zdana tylko na siebie, rozpełzała się za chlebem po kraju i po świecie, wślizgnęła się do miast, pokazała swe łachmany literatom. Nie nakarmiło jej uwłaszczenie, bo ziemi od niego przybyło niewiele, a zboża i rubli nic wcale. Ziemia nie rodziła więcej, niż mogła przy tej samej co i dawniej uprawie. Co przedtem brał pan, teraz brał rząd, ksiądz brał po staremu, a lichwiarz więcej. Gęb do nakarmienia, całkiem zgodnie z Malthusem, przybywało szybciej niż kartofli, dzieci trzeba było nadzielić lub spłacić, gospodarstwa drobić, szukać zarobku i kontentować się takim, jaki się trafił. Co miał z tym wspólnego kapitalizm!

Kapitalizm dawał tej nędzy jakąś szansę: lichą bo lichą, nieraz ułudną, zawsze opłaconą kosztem wieloletniej poniewierki i samotności, ale przecież lepszą od tej beznadziei, co czekała w domu.

Bo gdyby jej nie dawał, toby ludzie nie szli z rodzinnej wsi do fabryki, na budowę, do robót na kolei, na saksy, do Ameryki, w obcy, niegościnny świat. A znów gdyby nie szli, to tym samym garnkiem zuru i kapusty trzeba by było obdzielić jeszcze więcej gęb.

Tak się to przynajmniej wydawało naiwnym organicznikom, którzy – jak im wyjaśnił i Stanisław Krusiński, i Ludwik Krzywicki – byli nieukami w teorii, ponieważ ciągle wierzyli, za Supińskim i Spencerem, że społeczeństwo jest organizmem[1]. Lewicowi studenci mieli rację: społeczeństwo polskie lat osiemdziesiątych nie bardzo przypominało organizm, a już na pewno nie przypominało zdrowego organizmu. Tylko że te inne rzeczy, w które też wierzyli organicznicy, zupełnie nie zależały od tego, czy – jak Prus – upodobali oni sobie model „organizmu", czy – jak Świętochowski – całkiem nieźle się bez niego obywali. A wierzyli oni mianowicie, że gdyby nawet wszystkich Dietrichów i Scheiblerów, których serdecznie nie lubili, puścić z torbami, to od tego jeszcze nikomu chleba ani przyodziewku nie przybędzie, a może i ubędzie. Do obstawania przy takiej hipotezie nie trzeba było koniecznie zakładać bezkonfliktowej harmonii interesów klasowych. Wystarczyło uznać, że masowej nędzy nie da się usunąć bez wzrostu gospodarczego, wzrost zaś jest niemożliwy bez kapitałów. Takie rzeczywiście było przekonanie wszystkich inteligenckich organiczników.

Adolf Suligowski już w roku 1872 przyznawał, że zniesienie poddaństwa i pańszczyzny nie usunęło nędzy. Ale twierdzenie, że nędzę rodzi przemysł, było dlań tożsame z malowaniem sielankowego obrazu przeszłości i w ogóle ze stawianiem sprawy na głowie. Przy obecnym wzroście ludności – twierdził – nie ma innego wyjścia jak techniczne uzbrojenie pracy, która sama, bez wsparcia kapitału, niczego nie dokona. Naukę, bez której niemożliwy jest postęp gospodarstwa racjonalnego, uważał Suligowski za jedną z form kapitału. Skoro zaś wielka produkcja obniża ceny towarów, to i rozszerza

[1] Zob. S. Krusiński, *Pisma zebrane*, Warszawa 1958, s. 50, 172–178, 202 i in.; L. Krzywicki, *Jeszcze o program*, w zbiorze: *Początki marksistowskiej myśli ekonomicznej w Polsce: wybór publicystyki z lat 1880–1885*, opr. M. Falkowski i T. Kowalik, Warszawa 1957, s. 113–123.

na nie popyt: tym sposobem artykuły „zbytku" stają się z wolna dobrami użytku powszechnego. Przede wszystkim zaś każdy nowy kapitał rozszerza pole zarobku, a przeto „wzrost kapitałów leży w interesie klas pracujących". Co znaczyło, że w interesie klas pracujących leży rozszerzona reprodukcja gospodarstwa narodowego, a nie luksusowa konsumpcja burżuazji. Wszystkie nasze zasoby – perorował autor – winniśmy obracać w kapitał i inwestować w narzędzia pracy, w ulepszanie fabryk i dróg, aby więcej wytwarzać, niż spożywamy. Był to w jego mniemaniu jedyny sposób poprawy sytuacji i dlatego – pisał – „zbyteczne są płacze ideologów"[2].

Ta orientacja nie uległa zasadniczej zmianie przez następnych lat dwadzieścia, aczkolwiek liberałowie coraz lepiej dostrzegali zarówno czynniki hamujące rozwój gospodarczy, jak i fakt, że rozwój ten w warunkach wolnej konkurencji nie spełniał zbyt optymistycznych oczekiwań szybkiej poprawy doli mas pracujących. Tym bardziej nie łagodził antagonizmów społecznych, przeciwnie: zaostrzał je. Spostrzeżenia te kazały ideologom ekonomicznego rozwoju przysłuchiwać się argumentom socjalistów, ważyć je i w końcu – odrzucać w zasadniczej ich osnowie. Choć bowiem organicznicy nie zaprzeczali istnienia kapitalistycznego wyzysku pracy, gotowi nawet byli uznać teorię wartości dodatkowej, to przecież upierali się przy tym, że nie ów wyzysk i nie kapitalistyczne „wywłaszczanie drobnych posiadaczy" jest przyczyną masowej nędzy, lecz ogólne ubóstwo i zacofanie kraju: niska wydajność gleby i pracy, przeludnienie wsi, zbyt powolne uprzemysłowienie, analfabetyzm i brak kwalifikacji.

W artykule, który bardziej niż jakikolwiek inny rozjątrzył polskich socjalrewolucjonistów, pisał Władysław Wścieklica:

> Nie rewolucji społecznej więc nam dziś potrzeba do polepszenia bytu tak całego społeczeństwa w ogóle, jak klasy robotniczej wszystkich odcieni w szczególności, lecz *rozwoju przemysłu*. Ale z naszymi socjalistami nic o rozwoju przemysłu mówić nie można, bo oni [...] uważają przemysł za przekleństwo ludzkości.

[2] A. Suligowski, *Kapitały*, „Opiekun Domowy" 1872, s. 329–331.

Przyjdzie nam jeszcze rozważyć, czy i na ile to ostatnie zdanie było rzetelne i trafne. Na razie podkreślmy, że podstawą konkluzji Wścieklicy były dwie tezy porównawcze: po pierwsze, że w stosunku do ogólnego ubóstwa kraju wykwalifikowani robotnicy fabryczni „mają się wcale nieźle", a robotnicy „prości", tj. bez fachu, też z głodu nie giną; po drugie, że „tak jedni, jak drudzy, w miarę rozwoju naszego przemysłu mają się coraz lepiej i są dość ze swego losu zadowoleni"[3]. Ta druga zwłaszcza teza była dla socjalistów horrendalna. I rzeczywiście: mówienie w roku 1882 o zadowoleniu polskiego robotnika z jego losu mogło zakrawać na kiepski żart. Kto jednak pytał jego ojca, wiejskiego parobka, czy jest zadowolony ze swego losu? Jakby nie było, odrzucenie tez Wścieklicy pociągało za sobą uznanie, że migracja ze wsi do przemysłu była całkowicie irracjonalna.

Odkąd rząd rosyjski w roku 1877 zaczął pobierać cła przywozowe w złocie, stopa wzrostu przemysłowego Królestwa skoczyła raptownie w górę. Rozpoczął się *boom* inwestycyjny i przy chronionym teraz rynku realne mogły się zdawać szanse, że Kongresówka – w przeciwieństwie do Galicji – wkracza rzeczywiście na tor przyspieszonego rozwoju. Przemysł, a wraz z nim socjalizm, pojawił się nagle w centrum zainteresowania opinii publicznej. Ale był to jeszcze wciąż przemysł wyspowy, kapitalizm cherlawy. Liberałowie spodziewali się wiele po jego wzroście i dojrzewaniu i gotowi byli cieszyć się najbanalniejszymi nawet inicjatywami, byle nową spółką cukrowniczą zakładaną przez plantatorów buraka. Wiedzieli, że spółka taka przywłaszczać będzie nieopłaconą część pracy robotnika, ale wiedzieli także, że dzięki części opłaconej będzie on sobie mógł czasem kupić funt wyprodukowanego cukru, którego przedtem nie kupował. Świętochowski był świadom tego, że siły materialne narodu nie są rozdzielone w najbardziej pożądany i sprawiedliwy sposób i nie odrzucał *a limine* socjalistycznego rozwiązania, sądził tylko, że jest ono sprawą dość dalekiej przyszłości, albowiem

[3] W. Wścieklica, *Rojenia socyalistów polskich wobec nauki ich mistrza*, w księdze: *Ognisko*, Warszawa 1882, s. 104–105.

potrzeba tego rozwiązania zależną jest od różnic w rozwoju ekonomicznym społeczeństw. Nasze pod tym względem zaledwie wyszło z niemowlęctwa, ustrój kapitalistyczny nie stał się już u nas ruderą, która grozi zawaleniem i którą co najprędzej opuścić trzeba. Jeszcześmy go nie wznieśli do szczytu, nie zajęli całkowicie – a zresztą jest on dziś jedynym naszym pomieszczeniem[4].

Nie znaczyło to, że w pomieszczeniu owym kapitał ma się rządzić, jak chce. Pozytywiści szybko i łatwo zrywali z dogmatyką liberalizmu ekonomicznego. Obchodziły ich nie zyski przedsiębiorców, lecz los ludzi pracy, i to bardziej tych, którzy już żyli i cierpieli, niż tych, co się dopiero mieli narodzić. Ich opcja na rzecz prawnej reglamentacji warunków pracy była coraz bardziej zdecydowana pomimo nieufności do państwa, którego urzędnicy kontrolę tę mieli sprawować. Pisał Świętochowski w roku 1891:

> jak uregulowano i przeciw wyzyskowi ubezpieczono robotników fabrycznych, podobnie wzięta będzie w opiekę wszelka praca najmicka. Kapitalizmowi nie świeci dziś ani jeden promyk nadziei powrotu do dawnej swobody, a raczej samowoli. Jest to bestia, która jeszcze może ludzi tratować, ale której czas nakłada coraz nowe kielzna. Ustawodawstwo wszystkich krajów, chociaż nieraz powolnymi krokami, ciągle jednak postępuje po tej drodze[5].

Za bestią przemawiało jedno tylko: to mianowicie, że mimo periodycznych kryzysów zwiększała ona zdolność produkcyjną kraju i siłę nabywczą społeczeństwa, a tym samym i „bogactwo narodowe". Pod tym ostatnim terminem, zgodnie z tradycją ugruntowaną od czasów Adama Smitha, rozumiano nie dorobkiewiczowskie *enrichissez-vous*, lecz raczej to, co nauka ekonomiczna ochrzciła później mianem produktu narodowego. Bez jego wielokrotnego wzrostu organicznicy nie widzieli żadnej szansy wydostania się Polski z otchłani ludowej nędzy.

Prognozę tę młody polski ruch socjalistyczny uznał pospiesznie za ideologię burżuazyjną, a Ludwik Krzywicki w „Walce Klas" nie zawahał się nazwać jej wręcz „idealizacją rabunku społeczne-

[4] [A. Świętochowski], *Radosne nowiny*, „Prawda" 1883, s. 229–230.
[5] A. Świętochowski, *Liberum veto*, t. II, s. 108.

go"[6]. Było to nie pozbawione logiki: skoro bowiem wzrost gospodarczy nie mógł obywać się bez kapitałów, kapitał zaś każdy pochodził z wyzysku i prowadził do wyzysku jeszcze większego, to strategia wzrostu gospodarczego musiała być uznana i za niemoralną, i za nieskuteczną. Jakoż „zbękarciały liberalizm"[7] Świętochowskich i Wściekliców stał się od razu głównym ideowym przeciwnikiem socjalistów.

W roku 1878 grupa polskiej młodzieży studiującej w Petersburgu wystosowała *Odezwę socjalistów polskich... do J.I. Kraszewskiego z powodu jubileuszu prac jego na polu literackim*. Ten mało znany dokument o niewielkim znaczeniu historycznym, dokument, w którym nie pojawia się jeszcze idea klasowego ruchu robotniczego, wart jest uwagi, gdyż z wyjątkową wyrazistością przeciwstawia sobie dwie filozofie nędzy, a zatem i dwa projekty drogi do dobrobytu. Autorzy odezwy dowodzą nicości teorii „o pośrednim wpływie bogactwa krajowego".

> My, socjaliści polscy, następcy demokratów z czwartego lat dziesiątka, jasno widzimy, że skupianie się bogactw kosztem dodatkowych wartości nie tylko pauperyzmu nie wyplenia, ale go utrwala i szerzy [...] Stąd więc pracę organiczną, dążącą li tylko do zwiększenia absolutnej masy bogactw, jako cel rzucamy [...]. Godłem zaś naszym – możliwa równomierność podziału bogactw, władzy, praw i obowiązków [...]. Równomierność taka, będąca prawdziwym zadatkiem szczęścia i swobody, jedynie przez ujednostajnienie warunków życiowych utrwalona być może, co znów nieuchronnie doprowadza do oddania we wspólne władanie sił społecznych: kapitału i ziemi[8].

Pytanie, czy należy troszczyć się raczej o pomnożenie dochodu społecznego, czy też o bardziej równomierny i sprawiedliwy

---

[6] L. Krzywicki, *Wiejsko-miejskie grupy robotnicze*, w: *Dzieła*, t. II, Warszawa 1958, s. 227.

[7] Epitet z artykułu *Chybiony zamach*, „Walka Klas" 1885, w zbiorze: *Pierwsze pokolenie marksistów polskich: wybór pism i materiałów źródłowych z lat 1878–1886*, opr. A. Molska, t. II, Warszawa 1962, s. 631.

[8] Ibidem, t. II, s. 745–747.

jego podział, wydać się może – i powinno – absurdalne dzisiejszemu czytelnikowi, który wie, że troszczyć się należy o obie te rzeczy jednocześnie. Faktem jest jednak, że w ostatniej ćwierci dziewiętnastego wieku ta właśnie kwestia, bardziej niż jakakolwiek inna, rozdzieliła u nas dwa postępowe obozy. Wynikło to z bezkrytycznego przyjęcia przez socjalistów teorii bezwzględnej pauperyzacji klasy robotniczej, czy to w wersji Marksowskiej, czy w jeszcze bardziej zdogmatyzowanej interpretacji Lassalle'a. To, że kapitalizm rodzi i stale powiększa nędzę, stało się aksjomatem: bez jego uznania po prostu n i e b y ł o s i ę wówczas socjalistą. Przynajmniej nie było się socjalistą polskim. Program „Proletariatu" rozpoczynał się zdaniem:

> P r z y c z y n ą nędzy i wszelkiego ucisku w społeczeństwach dzisiejszych jest nierówność i niesłuszność przy p o d z i a l e bogactw między rozmaite społeczeństw onych klasy[9].

Dziesięć lat później *Szkic programu* Polskiej Partii Socjalistycznej oznajmiał jeszcze dobitniej:

> Przyczyna bowiem nędzy mas pracujących nie tkwi w n i e d o s t a t e c z n e j i ł o ś c i s i ł w y t w ó r c z y c h, ale w tym, że ludność robotnicza oderwaną jest od własności narzędzi i środków produkcji, które stały się wyłączną własnością garstki uprzywilejowanej[10].

Tę samą tezę znaleźć można w nieomal każdym socjalistycznym artykule z owych czasów.

Za jej uzasadnienie służyło coraz częściej sformułowane w *Kapitale* „absolutne, ogólne prawo kapitalistycznej akumulacji", z którego sam Marks wyprowadzał wniosek, „że w miarę akumulacji kapitału sytuacja robotnika, bez względu na to, czy jego płaca *jest wysoka czy niska*, m u s i się pogarszać". Po czym konkludował:

> Akumulacja bogactw na jednym biegunie jest więc zarazem akumulacją nędzy, udręki pracy, niewoli, ciemnoty, zdziczenia i degradacji

[9] *Odezwa Komitetu Robotniczego Partii Soc. Rew. „Proletariat"*, w zbiorze: *Polskie programy socjalistyczne 1878–1918*, opr. F. Tych, Warszawa 1975, s. 186.

[10] *Szkic programu Polskiej Partii Socjalistycznej*, ibidem, s. 249.

moralnej na przeciwnym biegunie, tzn. po stronie klasy, która *wytwarza swój własny produkt jako kapitał*[11].

Twierdzenie to miało dalekosiężne i zapewne nie w pełni przez jego autora przewidziane konsekwencje, zwłaszcza dla myśli socjalistycznej w krajach o niskim stopniu rozwoju przemysłowego. Po pierwsze, kazało wątpić w to, że kapitalizm może jeszcze odegrać jakąś rolę cywilizatorską, którą mu przecież Marks wielokrotnie przyznawał. Po drugie, wynikała zeń logicznie prognoza, że w miarę wzrostu inwestycji i produkcji, w miarę postępu technologii ludziom pracy będzie się działo coraz gorzej, a w każdym razie nie lepiej. A skoro tak, to daremne muszą pozostać usiłowania t r w a ł e j poprawy położenia robotników przez ich organizowanie się, strajki, związki zawodowe lub przez ustawodawstwo pracy. Sposoby te przynieść mogą jedynie polepszenie chwilowe, które szybko zostanie pochłonięte przez nieubłaganą tendencję kapitalizmu, spychającą płace robocze do poziomu minimum egzystencji. Walka ekonomiczna robotników może mieć znaczenie wychowawcze, ćwiczebne – jako nauka solidarności i organizacji – jeśli nie traci się z oczu celu rewolucyjnego; traktowana jako cel dla siebie, staje się w s t e c z n a, albowiem sprzyja rozwarstwieniu się klasy robotniczej, hamuje postęp techniczny i koncentrację własności, a zatem odsuwa chwilę rozstrzygnięcia walki klasowej. „Krótko mówiąc – pisał młody polski marksista w roku 1883 – ani *trade-unions*, ani bezrobocia [tzn. strajki – *J.J.*] bynajmniej nie przynoszą skutków pożądanych na gruncie ekonomicznym. Konieczne są one jeno w znaczeniu wychowawczym – w sensie przyszłej solidarności moralnej w walce pracy z kapitałem"[12].

Ten to sens wychowawczy oraz wymogi działalności agitacyjnej popychały młodą inteligencję socjalistyczną do organizowania robotniczej walki o cele doraźne, zaś w toku tej walki hierarchia motywów mogła oczywiście ulegać zmianom. Interesujące z tego

[11] K. Marks, *Kapitał: krytyka ekonomii politycznej*, t. I, Warszawa 1951, s. 697.

[12] A. Sąsiedzki, *Polemika*, „Przegląd Tygodniowy" 1883, w zbiorze: *Początki marksistowskiej myśli ekonomicznej*, s. 159–161.

punktu widzenia jest zestawienie – przez Feliksa Tycha – późniejszych relacji działaczy Związku Robotników Polskich. Stanisław Grabski stwierdzał jednoznacznie: „Wszyscyśmy się niewiele troszczyli o doktrynę naszej partii. Łączyło nas naprawdę tylko jedno: organizowanie i uświadamianie robotników dla podniesienia ich pozycji społecznej i kulturalnej". Antoni Humnicki jako cele działalności tegoż ZRP wymienił na równi uświadamianie robotnikom ich sytuacji klasowej oraz „rozbudzanie walki ekonomicznej z kapitałem o lepszą płacę i krótszy dzień". Wreszcie Bolesław Dębiński walce doraźnej przyznawał walor wyraźnie instrumentalny: „tylko strajki, związki, manifestacje poruszają masę, zainteresowują ją i uświadamiają; tylko przyjmując w walce udział czynny, zaczyna ona czytać i rozumieć proklamacje i broszury socjalistyczne"[13]. Wydaje się, że takie zróżnicowanie akcentów – na pozór taktyczne tylko, ale przecież w końcu formujące strategię generalną – charakteryzowało wszystkie partie sterujące w kierunku socjaldemokratycznym: z tym, że sukcesy odnoszone w walce o poprawę doli robotniczej skłaniały do uznawania (w praktyce, jeśli nie w programach) prymatu celów cząstkowych, natomiast klęski uprzytomniały ich podrzędność względem celu rewolucyjnego lub wręcz ich iluzoryczność. W państwach despotycznych – a konkretnie w zaborze rosyjskim – gdzie każda zmowa i organizacja robotnicza była nielegalna, a fabrykant w potrzebie mógł zawsze liczyć na żandarmów i kozaków, o klęski było łatwo, o sukcesy, choćby lokalne, nader trudno. Tym sposobem państwo autorytarne nie tylko zmuszało socjalistów do podjęcia walki politycznej, ale także sprzyjało rewolucyjnemu maksymalizowaniu celu walki z kapitałem. Skoro bowiem strajki przynosiły tak wątłe rezultaty, a rachuby na wymuszenie korzystnego dla robotników ustawodawstwa pracy okazywały się jeszcze bardziej zawodne, to zwolennicy koncentrowania sił na walce ekonomicznej, czerpiący otuchę z sukcesów niemieckiej socjaldemokracji lub brytyjskiego ruchu związkowego, łatwo ściągali na siebie szyderstwa

[13] F. Tych, *Związek Robotników Polskich 1889–1892*, Warszawa 1974, s. 92–94.

rewolucyjnej awangardy, iż są *trade-unionistami* bez *trade-unionów*. I paradoksalnie, teza, iż akumulacja nędzy rośnie proporcjonalnie do akumulacji bogactwa, okazywała się znacznie bardziej przekonywająca w krajach cywilizacyjnie zacofanych, cechujących się przeludnieniem wsi, niskim wykształceniem robotników i brakiem mechanizmu demokratycznego, słowem, w krajach o małym jeszcze potencjale kapitalistycznym, niż w tych, dla których została sformułowana.

Teoria nieuchronnej pauperyzacji mas pracujących syciła rewolucyjną niecierpliwość i naukową pewność ostatecznego zwycięstwa, ale zarazem wikłała myśl socjalistyczną zacofanego kraju w tragiczne zaiste paradoksy. Wynikało z niej przede wszystkim, że im gorzej, tym lepiej dla rewolucji, tym bliższa chwila wyzwolenia. W rzeczy samej doświadczenia Zachodu zdawały się wskazywać, że zwycięstwa odnoszone przez zorganizowanych robotników w walce ekonomicznej i parlamentarnej zwiększały przetargową siłę ruchu, ale osłabiały jego zainteresowanie celem ostatecznym, czemu w końcu poddała się także niemała część jego ideowych przywódców, wybierających drogę reformistyczną. W Kraju Przywiślańskim były niejakie podstawy do tego, aby spodziewać się zależności odwrotnej: przez przegrane bitwy do wygranej wojny. Tak czy owak, troska o doraźną poprawę doli wyzyskiwanych wchodziła w konflikt z socjalistycznie pojmowanym interesem finalnym klasy jako całości. Tym samym impuls moralnego buntu przeciwko krzywdzie, impuls, z którego zrodził się ruch rewolucyjny, musiał ulec przemieszczeniu: ze współczucia dla żywych ludzi przeobrazić się w solidarność z klasą-hipostazą, pojętą – niczym „naród" romantyków – jako nierozerwalny związek minionych, teraźniejszych i przyszłych pokoleń, związek obarczony misją, w obliczu której nieważne stawały się losy jednostkowe. W tym także – a nawet przede wszystkim – losy prometejskich bojowników robotniczej sprawy, którzy sami siebie najmniej szczędzili.

Jak jednak zauważono już nieraz, socjaliści zachodniej, zwłaszcza marksowskiej formacji – w odróżnieniu od rewolucjonistów

rosyjskich - wstydliwie skrywali etyczne motywy swojego działania, zapierali się ich w imię nauki i jej obiektywnych praw[14]. W socjalizmie polskim tej doby, który rodził się na skrzyżowaniu obu wpływów, deklaracje postaw i wiary były jawnie niejednorodne. Adolf Warski, zeznając w śledztwie, mówił, że jego własny rozwój przechodził „od niejasnego odczucia nieszczęść prostego ludu, jego poniżenia i zacofania, do bardziej sprecyzowanego uświadomienia sobie jego nędzy i potrzeb". Józef Beck, z tej samej sprawy Związku Robotników Polskich, zeznawał, że dopiero wspólna z robotnikami działalność pogłębiła w nim zrozumienie celu walki: „Wcześniej były to raczej odruchy moralne, niemalże filantropijnej natury"[15].

Ludwik Krzywicki, kreśląc po latach sylwetki rówieśnych mu polskich inteligentów-rewolucjonistów, wszystkim im przypisał ogromną wrażliwość moralną i uczuciową:

> Idea porwała jednych swoim poczuciem sprawiedliwości, innych pociągnęła od strony artystycznej, jeszcze u innych sprzęgała się z marzeniami o jakimś czynie bohaterskim. Wyjaśnienia ich obecności w rodzącym się ruchu należy poszukiwać w ich wrażliwej, emocjonalnej, marzycielskiej naturze. Paliło im się w głowie od wiary w bliskie nadejście jakiegoś nowego tysiąclecia społecznego[16].

W najwcześniejszych publicznych deklaracjach nowego kierunku ideowego motywacja moralna była jeszcze przyznawana otwarcie. Tak więc w pierwszym programie socjalistów polskich, tzw. brukselskim, krytyka ustroju kapitalistycznego nie polega na analizie jego sprzeczności ani jego tendencji historycznej, lecz na obnażeniu zła, jakie rodzi. Program ten, jak i inne współczesne mu wypowiedzi z końca lat siedemdziesiątych, jest przede wszystkim wyrazem buntu przeciw etyce konkurencji i przeciw odczłowieczającemu działaniu instytucji najmu, która redukuje robotnika „do znaczenia towaru" i odbiera mu „wszelką moralną samodzielność".

---

[14] Szerzej o tym A. Molska, *Model ustroju socjalistycznego w polskiej myśli marksistowskiej lat 1878–1886*, Warszawa 1965, s. 18–19. Por. też A. Walicki, Polska, Rosja, marksizm, Warszawa 1983, s. 46–49, 83–84, 99 i in.

[15] Cyt. wg: F. Tych, *Związek Robotników Polskich*, s. 233.

[16] L. Krzywicki, *Wspomnienia*, t. II, Warszawa 1958, s. 28; podobne uwagi na s. 15, 39–41, 167 i in.

> R o z w a ż a n i e warunków bytu i naszego także społeczeństwa doprowadziło nas do przekonania, że triumf zasad socjalizmu jest koniecznym warunkiem pomyślnej przyszłości narodu polskiego, że czynny udział w walce z ustalonym porządkiem społecznym jest o b o w i ą z k i e m każdego Polaka przenoszącego los milionów ludu polskiego nad interesy szlachecko-kapitalistycznej cząstki naszego narodu.

Socjalistyczny cel został tu więc sformułowany jako postanowienie aksjologiczne i wyrażony w kategoriach powinności: „W każdym społeczeństwie wszystkie urządzenia społeczne, ekonomiczne i polityczne [...] p o w i n n y b y służyć ku ogólnej korzyści wszystkich. [...] Środki i narzędzia pracy p o w i n n y przejść z rąk jednostek na wspólną własność pracujących [...]. Każda jednostka m a p r a w o do korzyści z rezultatów stowarzyszonej pracy". Kończy się ten program akceptacją zasad proklamowanych dwanaście lat wcześniej przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników: Prawdy, Sprawiedliwości, Moralności[17].

Bolesław Limanowski, odpierając atak Juliusza Aua – jednego z tych, co socjalizm uważali za objaw społecznej patologii – nie wątpił wprawdzie, że „socjologia jest nauką przyrodniczą i zna tylko prawa przyrodnicze", ale mimo tej scjentystycznej deklaracji eksponował wyraźnie etyczny charakter swej idei. Socjalizm to dążenie do równości społecznej dla wszystkich, bez wyzysku i przymusu.

> Wstrętnem jest dla niego wszelkie nadużycie siły [...]. Nie może być także jego ideałem państwo wzrastające w potęgę kosztem samodzielności gminnej i wolności obywatelskiej. Socjalizm nowoczesny z natury rzeczy m u s i być demokratyczny, a nawet republikański. Brednie takie, że socjalizm sprowadzi despotyzm, nie zasługują nawet na uwagę. [...] Wiązadłem przyszłych społeczeństw stanie się m i ł o ś ć[18].

---

[17] *Program socjalistów polskich*, w zbiorze: *Polskie programy socjalistyczne*, s. 65–70. Por. F. Tych, *Socjalistyczna irredenta*, Kraków 1982, s. 60–62.

[18] B. Limanowski, *Socyjalizm jako konieczny objaw dziejowego rozwoju*, Lwów 1879, s. 15–16, 34.

Wszelako etycyzm ten, pod wpływem lektur Lassalle'a, Marksa i Engelsa, wypierany był szeroko przez inny całkiem typ uzasadnień, wyprowadzających powinność z bytu samego i jego dialektycznych sprzeczności. Ideał nowego ustroju jawił się teraz nie jako wynik swobodnego wyboru wartości tudzież przeświadczenia o ich skorumpowaniu w aktualnym układzie społeczeństwa, lecz jako produkt końcowy procesu ekonomicznego, a ściślej: jego historycznej i strukturalnej analizy. Socjalistyczny scjentyzm nie mógł jednak, a zapewne i nie zamierzał wyrugować całkowicie ocen moralnych. Za przykład służyć może pierwszy tom *Kapitału*.

> Mój punkt widzenia – pisał jego autor w przedmowie – polega na tym, że rozpatruję rozwój ekonomicznej formacji społeczeństwa jako proces przyrodniczy; dlatego z mego punktu widzenia mniej niż z jakiegokolwiek innego można obarczać jednostkę odpowiedzialnością za stosunki, których sama, społecznie biorąc, pozostaje wytworem, choćby je subiektywnie przerastała[19].

Z tą deklaracją metodologiczną kontrastuje przenikający całą książkę patos moralny i obfitość zdań takich na przykład:

> Wywłaszczenie bezpośrednich wytwórców odbyło się z najbezwzględniejszym wandalizmem i pod wpływem namiętności najbardziej haniebnych, najbardziej brudnych i najbardziej ohydnych w swej małostkowości[20].

W wykładach o ewolucji przyrodniczej zdania podobne spotyka się raczej rzadko.

Najbardziej nawet „przyrodnicze" ujęcie procesu ekonomicznego pozostawiało jednak inteligencji – tej już ideowo uświadomionej – wybór między przypatrywaniem mu się z obojętnością uczonego a czynnym przyspieszaniem jego *pereat* i jego *fiat*. W krajach, gdzie – jak w Rosyjskim Imperium – przyspieszanie takie oznaczało najwyższą miarę osobistego ryzyka, rzekomo naukowa decyzja rewolucjonisty była takim samym aktem moralnego heroizmu jak ongi wybór Waleriana Łukasińskiego lub Szymona Konarskiego, którzy

---

[19] K. Marks, *Kapitał*, t. I, s. 6.
[20] Ibidem, s. 822.

jeno własną wiarą mogli się podeprzeć. Niemniej przeto socjaliści polscy lat osiemdziesiątych starali się usilnie, acz nie zawsze przekonywająco, aby ponad tłum pogardzanych filistrów wynosić się nie swoją etyczną determinacją, lecz swoją ś w i a d o m o ś c i ą, poznaniem i zrozumieniem praw dziejowych. Najbardziej bezinteresowni lubili mówić językiem i n t e r e s ó w. Prawda, że szło nie o interesy własne, lecz klasy, z którą się stowarzyszali, a która z kolei była wyrazicielką interesów ludzkości. Język ten coś przecież zmieniał, ustanawiał inną perspektywę: ideały bowiem się wybiera, natomiast interesy są d a n e.

Wierzyli w to, chcieli w to wierzyć. Z *Kwintesencji socjalizmu* Alberta Schaefflego – książki, która służyła w Polsce jako popularny wykład zasad socjalistycznych, choć została napisana przez krytycznego obserwatora ruchu, a nie jego ideologa – cytowali chętnie to oto zdanie: „Nie ulega bowiem wątpliwości, że kwestyja ta jest przede wszystkiem ekonomiczną, że jest ona przede wszystkiem *kwestyją żołądka*"[21]. Coraz też dobitniej oznajmiali swoje zejście z wyżyn filozofii moralnej na twardy grunt ekonomii, gdzie rządzi przyczynowość i konieczność. W przemianie tej, jak wiadomo, ogromną rolę odegrał *Rozwój socjalizmu od utopii do nauki* Engelsa (pierwszy polski przekład: *Socyjalizm utopijny a naukowy*, Genewa 1882), który na przeciąg wielu lat stal się najbardziej popularnym kanonem doktryny marksistowskiej. Z tekstu tego socjaliści polscy dowiadywali się, że ich własna świadomość moralna nie jest suwerenna, że ich bunt przeciw niesprawiedliwości, nędzy i poniżeniu jest tylko „myślowym odbiciem" zmian metod produkcji i wymiany, którym już nie odpowiada istniejący ustrój społeczny. „Stąd zaś wynika, że i ś r o d k i usunięcia ujawnionego zła muszą być

[21] A. Schaeffle, *Kwintessencyja socjalizmu*, przeł. S. [Diksztajn], Genewa 1881, s. 2. Por. *Pierwsze pokolenie marksistów polskich*, t. II, s. 633 oraz *Polskie programy socjalistyczne*, s. 156. Wyrażenie „kwestia żołądka" (w oryg. „*Magenfrage*") Schaeffle wziął w cudzysłów: możliwe, iż pochodzi ono z jakiejś broszury socjalistycznej. W wydaniu warszawskim (1882) tłumacz H. Konitz zrobił z niego „kwestię głodową", co zmienia sens.

zawarte – w mniej lub więcej rozwiniętej postaci – w tych samych zmienionych stosunkach produkcji"[22]. Konsekwentnie, Engels opisuje wydarzenia przyszłe w *praesens historicum*, bowiem sposób spełnienia się „misji historycznej nowoczesnego proletariatu" nie jest tu intencją ani postulatem, lecz logicznie oczywistym dalszym ciągiem dziejącej się historii, wynikiem sprzężeń i transformacji zbadanego już modelu.

Ta naukowa gwarancja spełnienia się socjalistycznego ideału dawała jego wyznawcom poczucie pewności zwycięstwa, choćby i pośmiertnego, ale w zamian za pomniejszenie ich własnej prometejskiej roli. Żywoty socjalistów polskich zaboru rosyjskiego stają w szczególnym kontraście z ich naukowym wyznaniem wiary. Ulegali wszak moralnemu imperatywowi rewolucjonisty, który rzuca wyzwanie niesprawiedliwości, uciskowi i duchowej martwocie społeczeństwa, nie licząc się z rachunkiem sił i środków. Byli romantykami socjalizmu, wyruszającymi z domu ciemną nocą w nieznaną podróż, bez żadnych gwarancji dojścia do jej kresu, ale na ramiona narzucali płaszcz naukowej e k o n o m i i i jej niezachwianych przepowiedni.

Prawda, było to w klimacie epoki, w której wszystko – także moralność, także wiara w przyszłość – musiało być naukowe, a zatem przewidywalne, a zatem redukowalne do nagiej walki sił i i n t e r e s ó w. „Prądy – pisze Krzywicki – które zerwą z lojalnością polityczną organiczników, będą urągały płytkości ich pojmowania stosunków społecznych, ale w spuściźnie po pozytywizmie wezmą swoją wolnomyślność, swoje opieranie się na nauce jako jedynej instancji, wyrokującej o tym, czemu mamy wierzyć, a co odrzucić"[23].

Tak więc garstka ludzi, którzy całą swą straceńczą determinację i idealizm najczystszej próby zainwestowali w p r z e r w a n i e automatyzmu procesu ekonomicznego, nabierała przekonania, że

---

[22] F. Engels, *Rozwój socjalizmu od utopii do nauki*, cyt. wg: K. Marks i F. Engels, *Dzieła wybrane*, t. II, Warszawa 1949, s. 126. Por. A. Molska, op. cit., s. 67–69.

[23] L. Krzywicki, *Wspomnienia*, t. II, s. 40–41.

właśnie w ten mechanizm jest instrumentalnie wprzęgnięta: partia rewolucyjna miała być tylko świadomym motorniczym postępu i jego akceleratorem, ale nie obierała podobno ani toru, ani celu tej historycznej podróży. O d k r y w a ł a je tylko. „My nie stoimy ponad historią, my ulegamy jej prawom" – oświadczał jej przywódca na sali sądowej[24]. Prawa te – wierzyli – zapewniały dojazd do stacji „rewolucja" szybszy lub wolniejszy, za większą lub mniejszą cenę, ale niezależny od historycznych przypadków i politycznych powikłań.

Rewolucja ta miała być jednak przewrotem nie tyle ekonomicznym, co instytucjonalnym. Odkąd socjaliści uznali, że źródłem nędzy jest nie b r a k, lecz k a p i t a ł, cała prawie ich uwaga skoncentrowała się na zagadnieniu własności: prywatnej własności środków wytwórczych umożliwiającej przywłaszczanie produktów i wartości cudzej pracy. Jeśli od samego początku problem równego i sprawiedliwego podziału dochodu społecznego interesował socjalistów bardziej niż jego wzrost, to z kolei własność wyparła podział[25], a stopa wyzysku okazała się ważniejsza od stopy życiowej. Rozwój kapitalizmu był według nich postępującym wywłaszczaniem drobnych wytwórców, później drobnych kapitalistów, aż wreszcie rewolucja socjalna będzie wywłaszczeniem wywłaszczycieli na rzecz społeczeństwa.

Na myśli socjalistycznej ciążył jednak obowiązek wykazania, w jaki sposób zmiana taka ma się dokonać i jakich można po niej oczekiwać efektów ekonomicznych. Inaczej mówiąc: jak wywłaszczenie wywłaszczycieli ma się przyczynić do zlikwidowania nędzy?

Pomimo przekonania Marksa, iż tylko zmiany ekonomiczne dają się przewidywać ze ścisłością nauk przyrodniczych, natomiast kształt przyszłych instytucji publicznych, prawa i moralności może być co najwyżej przedmiotem szkicowych przypuszczeń, w polskiej

[24] [*Przemówienie Waryńskiego na sądzie warszawskim*], w zbiorze: *Pierwsze pokolenie marksistów polskich*, t. II, s. 611.

[25] Zob. o tym K. Marks, *Krytyka programu gotajskiego*, w: K. Marks i F. Engels, *Dzieła wybrane*, t. II, s. 16.

utopii socjalistycznej właśnie sprawy społecznej organizacji wywoływały najwięcej emocji i najbardziej podniecały wyobraźnię projektantów nowego ustroju. Trwały spory między „państwowcami" i „bezpaństwowcami", snującymi plany przyszłej federacji gmin terytorialnych i stowarzyszeń wytwórczych. W socjalistycznych gazetkach, wydawanych w Genewie przez polskich emigrantów, rodził się kuszący obraz utopii moralnej wyrastającej z przeświadczenia, że egoizm ludzki zniknie wraz z kapitalistycznym przywłaszczaniem; od tej pory nie będzie wojen ani lichwy, „liczba przestępstw zejdzie do minimum, jeżeli nie do zera"[26], stosunki między mężczyzną i kobietą będą się opierały wyłącznie na miłości[27], a wychowanie „nie będzie krępowało swobodnego rozwoju myśli", lecz, przeciwnie, będzie się starało „rozwijać wszechstronnie i harmonijnie wszystkie władze ciała i ducha, utworzyć całkowitego człowieka, zdolnego wszechstronnie posiłkować się siłami, którymi go obdarzyła natura i życie"[28].

Z tych samych pism dowiedzieć się też można było sporo o przyszłej organizacji i etyce pracy. Wiadomo było więc, że będzie to - zarówno w przemyśle, jak na roli - praca zbiorowa, ale chętna, bo

> siły każdej jednostki w wolnej pracy zbiorowej mnożą się stokrotnie, rozbudza je świadomość społecznej potrzeby, poczucie potrzeby własnej, ożywia je współzawodnictwo i obecność towarzyszy dzielących pracę, równie przejętych jej koniecznością i ogólnym pożytkiem. Nie są to już niewolnicy pędzeni batem do pracy dla kogoś, dla swego wyzyskiwacza-tyrana, lecz wolni robotnicy pracujący dla siebie, dla wszystkich[29].

Praca ta będzie się odbywać „pod ogólnym kierownictwem wszystkich", czas pracy będzie regulowany indywidualnie wedle wskazań medycyny, a każdy pracownik będzie mógł na przemian,

---

[26] *Nasz program*, „Równość" 1880, w zbiorze: *Pierwsze pokolenie marksistów polskich*, t. I, s. 100.

[27] *Socjalizm i rodzina*, „Przedświt" 1884, ibidem, t. II, s. 91–92.

[28] *Dziś i jutro*, „Równość" 1880, ibidem, t. I, s. 242–243.

[29] *Nasz program*, ibidem, t. I, s. 72.

dla pełniejszego rozwoju osobowości, kosztować trudu fizycznego i umysłowego, pracy mięśni i pracy nerwów[30].

E k o n o m i c z n y projekt marksistów polskich lat osiemdziesiątych miał w zasadzie taki sam deklaratywno-ideowy charakter, chociaż pewne elementy rachunku gospodarczego można w tych programowych tekstach odnaleźć. Tak więc socjalrewolucjoniści nasi – choć nie mogli znać nieopublikowanej za życia Marksa *Krytyki programu gotajskiego* – zdawali sobie sprawę, że także w socjalizmie nie będzie możliwe dzielenie całego zysku z produkcji, a więc wypłacanie robotnikowi pełnej równowartości jego pracy. Szymon Diksztajn wyjaśniał, że nadwartość pozostanie, tyle że „nie pójdzie na zbytki garstki ludzi, ale poprawi los wszystkich"[31]. „Równość" w komentarzach do programu „brukselskiego" tłumaczyła, że „społeczeństwo [...] musi windykować dla siebie pewną część pracy zbiorowej na zbiorowe potrzeby", w szczególności na powiększanie produkcji oraz na wspólne instytucje, a więc szkoły, szpitale itp.[32] Narzucało się pytanie, czy po tych potrąceniach dochód pozostający do podziału będzie większy niż w kapitalizmie.

Dla socjalistów nie ulegało wątpliwości, że będzie znacznie większy, i to od razu. Bardzo jeszcze popularny Lassalle zapewniał przecież „o niezmiernym pozytywnym wzbogaceniu całego społeczeństwa", jakie nastąpi z chwilą, gdy wielkie stowarzyszenia wytwórcze przekształcą nie tylko podział, lecz – przez usunięcie konkurencji i marnotrawstwa – „pomnożą również w niesłychanym stopniu samą produkcję"[33]. Engels, zwolennik gospodarki scentra-

[30] *Dziś i jutro*, ibidem, t. I, s. 242; Iks Bogomnos [A. Sąsiedzki], *Sprawy żywotne*, ibidem, t. I, s. 432–434. Por. studia zawarte w tomie: *Idea społeczeństwa komunistycznego w pracach klasyków marksizmu*, opr. J. Szacki, Warszawa 1977.

[31] J. Młot [Sz. Diksztajn], *Kto z czego żyje?* (wyd. I: 1881), Warszawa 1952, s. 117.

[32] *Nasz program*, loc. cit., s. 87; podobnie *Program galicyjskiej partii robotniczej*, w zbiorze: *Polskie programy socjalistyczne*, s. 132.

[33] F. Lassalle, *Kapitał i praca czyli Pan Bastiat-Szulce z Delicza*, przeł. K.W., Lwów 1878, s. 177.

lizowanej, wskazywał dwa źródła rezerw, które dałyby się spożytkować natychmiast po przewrocie:

> Przekształcenie środków produkcji w społeczną własność usuwa [...] jawne trwonienie i niszczenie sił wytwórczych i produktów, które nieuchronnie towarzyszy obecnie produkcji i dochodzi do szczytu podczas kryzysów. Wyzwala ono następnie dla ogółu mnóstwo środków produkcji i produktów wskutek usunięcia bezmyślnego marnotrawienia ich na potrzeby zbytku przez panujące obecnie klasy i przez ich przedstawicieli politycznych. Możliwość zapewnienia przez produkcję społeczną wszystkim członkom społeczeństwa bytu, nie tylko materialnie całkowicie wystarczającego i z każdym dniem dostatniejszego, ale gwarantującego im również pełnię swobodnego rozwoju i zastosowania ich zdolności fizycznych i duchowych – możliwość ta została obecnie osiągnięta po raz pierwszy, i to istotnie *osiągnięta*[34].

Jakoż wiara w obfitość tych dwu źródeł ujawnia się wielekroć w tekstach polskich. Co się tyczy najpierw owej luksusowej konsumpcji klas posiadających, to żywiono w tej sprawie przekonania nie całkiem konsekwentne i zależne od kontekstu. Wiedziano wszak i z Marksa, i z obserwacji, że kapitalizm istnieć nie może bez reprodukcji i że zatem większa część zysków jest reinwestowana. Nie przeszkadzało to temu, że w literaturze agitacyjnej oraz prognostycznej konsumpcyjna żarłoczność burżuazji urastała do rozmiarów magnackich. „Jednostki te – pisała „Równość" – [...] na swój wyłączny użytek zagarniają często taką masę mienia, że wystarczyłoby go dla tysięcy". W tym akurat miejscu chodziło o „wspaniałe pałace, pyszne parki, ogrody, dzieła sztuki", o te nagromadzone skarby, które przyszłe społeczeństwo obróci na użytek wszystkich[35]. Bodajże jednak wyobrażano sobie, że równomierny podział dochodu dotąd spożywanego przez klasy posiadające pozwoli od razu odczuwalnie podnieść poziom życia mas ludowych.

Źródło drugie, to jest usunięcie kryzysów nadprodukcji, zdawało się jeszcze zasobniejsze. Kryzysy nawet dla zwolenników kapi-

---

[34] F. Engels, *Rozwój socjalizmu*, w: K. Marks i F. Engels, *Dzieła wybrane*, t. II, s. 141.

[35] *Nasz program*, loc. cit., s. 74.

talizmu były najbardziej widomą oznaką jego nieracjonalności. W myśli socjalistycznej od samego jej zarania, od czasu wielkich utopistów, zawarte było przekonanie, że ustrój przyszłości musi być nie tylko bardziej moralny, ale także racjonalniej gospodarujący pracą ludzką i jej wytworami. Skoro zaś absurdalne, a w obliczu masowej nędzy zbrodnicze marnotrawstwo dóbr było spowodowane chaosem wolnego rynku dającego producentom – jak pisano w „Równości" – „wskazówki fałszywe", to wyzwoleniem się z chaosu mogła być tylko gospodarka planowo kierowana.

> Dopóki fabrykacja prowadzona jest na spekulację jednego przedsiębiorcy, który się gryzie z drugim, dopóty są kryzysy – wykładał Krzywicki robotnikom w 1884 roku. – Jeżeli zaś narzędzia pracy będą należeć do ludowego, wolnego państwa, to i kryzysów nie będzie, ponieważ produkcja będzie uregulowana, a nie prowadzona dla szwindlu, jak dziś[36].

O planowaniu gospodarczym wiadomo było tylko tyle, że jego punktem wyjścia musi być naukowe, statystyczne obliczenie potrzeb społecznych i dostosowanie do nich wielkości i asortymentu produkcji[37]. Potrzeby były więc ujmowane jako d a n e mierzalne i jeszcze nie pojawiała się myśl, że ustalanie poziomu i asortymentu potrzeb niezbędnych obyć się nie może bez znacznej dozy arbitralności. Wyobrażano to sobie raczej jako zadanie czysto ewidencyjne, wchodzące w skład funkcji „zarządu nad rzeczami"[38]. Nie było także jasne, jaki zakres przestrzenny obejmować ma owo planowe bilansowanie potrzeb i środków ich zaspokojenia: gminę, państwo czy ludzkość całą. W anarchistycznym nurcie socjalizmu żywa była, jak wiadomo, obawa, że wszelka unifikacja państwowa wytwarzać będzie arbitralną i uciskającą lud biurokrację; z drugiej strony można było zasadnie pytać, jakim sposobem niescentralizowana federacja wolnych gmin i stowarzyszeń wytwórczych mogłaby wyeliminować rynek i konkurencję.

[36] L. Krzywicki, *Praca dziś i w przyszłości*, „Przedświt" 1884, w zbiorze: *Pierwsze pokolenie marksistów polskich*, t. II, s. 83.

[37] *Nasz program*, loc. cit., s. 68, 80; *Echa*, „Równość" 1879, ibidem, t. I, s. 139.

[38] Szerzej o tym G. Temkin, *Karola Marksa obraz gospodarki komunistycznej*, Warszawa 1962.

Tak czy owak, przewidywane zastąpienie rynku planową i reglamentowaną dystrybucją produktów (czy to wedle indywidualnego wkładu pracy, czy też wedle „istotnych potrzeb") uchylało problem zdolności nabywczej klas pracujących w tradycyjnej jego postaci, tj. popytu efektywnego. Nie uchylało natomiast pytania o obfitość dóbr podlegających podziałowi. Odpowiedź na to pytanie kryła się w przeświadczeniu, że usunięcie anarchii rynku – i kryzysów jako jej najostrzejszego objawu – nie tylko umożliwi natychmiast pełne wykorzystanie odziedziczonego po kapitalizmie aparatu wytwórczego, ale ponadto uruchomi ogromne rezerwy w z r o s t u. Przeświadczenie to było logiczną konsekwencją tezy o zbliżającym się już kresie możliwości rozwojowych kapitalistycznej ekonomiki. W latach osiemdziesiątych teza ta nie przybrała jeszcze rozwiniętej postaci teorii automatycznego krachu, ale zawierała już w sobie główne tej teorii elementy. Skoro bowiem kapitalizm obniża lub w najlepszym wypadku utrzymuje w stagnacji siłę nabywczą mas pracujących, to przemysł produkuje w coraz większym stopniu na wykwintne potrzeby klas posiadających. Te jednak nie mogą zapewnić dostatecznego zbytu, w miarę jak konkurencja zmusza przedsiębiorców do stałego zwiększania produkcji. Rezerwą rynkową jest do czasu proletaryzacja drobnych wytwórców, ponadto zaś podbój rynków zagranicznych. „Lecz i zagraniczne rynki – pisał Adam Sąsiedzki – wreszcie przepełnić się muszą. Wtedy wytwarzanie u s t a j e – następuje przesilenie ekonomiczne (kryzys), setki kapitalistów rujnują się, tysiące robotników giną"[39]. Innymi słowy, kryzysy periodyczne przechodzą w kryzys strukturalny. Sprzeczność między produkcją a wymianą oraz między społecznym wytwarzaniem a indywidualnym przywłaszczaniem doprowadza do zadławienia się gospodarki jej własnymi wyrobami: stosunki własności uniemożliwiają dalszy rozwój sił wytwórczych.

Już więc nie ideały równości, sprawiedliwości społecznej i godności ludzkiej, ale wręcz sama konieczność normalnego funkcjonowania gospodarki i przełamania jej stagnacji czyni przewrót

[39] Iks Bogomnos, *Sprawy żywotne*, loc. cit., s. 475.

społeczny nieodzownym. „Ekspansywna siła środków produkcji rozsadza więzy, które nałożył na nią kapitalistyczny sposób produkcji. Jej wyzwolenie z tych więzów jest j e d y n y m przedwstępnym warunkiem nieprzerwanego, coraz szybszego rozwoju sił wytwórczych, a tym samym praktycznie n i e o g r a n i c z o n e g o rozszerzania samej produkcji"[40]. Robotnik wolny od wszelkiego przymusu, mając na oku pomyślność własną i społeczeństwa, będzie pracował lepiej i wydajniej. Maszyna, przestawszy być środkiem wyzyskiwania, stanie się sprzymierzeńcem człowieka, uwolni go od znoju i spotęguje siły wytwórcze do niebywałych rozmiarów. Plan produkcji dostosuje racjonalnie podaż do zapotrzebowania, nie odwrotnie: bowiem „siła społeczna zużytkowana umiejętnie, produkcyjnie zaspokoić może zupełnie potrzeby wszystkich"[41].

Plastycznie malował tę perspektywę *Program galicyjskiej partii robotniczej* z roku 1881:

> Skoro ta zamiana kapitałów prywatnych na wspólną własność wszystkich pracujących przeprowadzoną zostanie, całe życie społeczne przyjmie inny charakter i kierunek. Człowiek pracujący nie tylko będzie miał zapewnione środki dostatniego życia bez troski o jutro i los swojej rodziny, lecz nadto stanie się rzeczywiście wolnym obywatelem społeczeństwa, biorącym bezpośredni udział w jego kierownictwie i losach i stanie dla niego otworem wszystko, co życie czyni przyjemniejszym, lepszym, swobodniejszym. Pod naciskiem bratnich, solidarnych usiłowań zniknie nędza, która nas tłoczy, a miejsce sromotnej niewoli zajmie uszlachetniona praca wszystkich ludzi, bez jakichkolwiek wyzyskiwań, swoboda, ruch i światło wielkiej idei postępu w każdym kierunku[42].

Ekonomiści dziewiętnastego wieku wiedzieli oczywiście, że dochód wygospodarowany – zarówno w skali przedsiębiorstwa, jak i ogólnospołecznej – dzieli się na część spożywaną i część reinwestowaną, skąd wynikało, że przy danym poziomie zysku lub dochodu fundusz spożycia i fundusz inwestycji wzajemnie się ograni-

[40] F. Engels, *Rozwój socjalizmu*, s. 141.
[41] *Nasz program*, loc. cit., s. 69, 73.
[42] *Program galicyjskiej partii robotniczej*, loc. cit., s. 127.

czają. Elementarna ta wiedza jest zawarta m.in. w *Kapitale* Marksa, który stwierdzał także regułę rosnącej kapitałochłonności inwestycji przemysłowych. Wiedza ta znika jednak z horyzontu socjalistycznej futurologii owego czasu, która zdaje się zakładać, że wzrost gospodarczy i postęp techniczny mogą się dokonywać za darmo. Polskich projektantów nowego ustroju nie kłopotał też taki problem, jak niska wydajność gleby, która przy wysokim przyroście naturalnym wymagała przejścia do kapitałochłonnego rolnictwa. Komentarz do programu „brukselskiego" załatwiał tę sprawę ryczałtowym zapewnieniem, że nowy ustrój „zaprowadzi racjonalny stosunek [liczby] ludności do zasobów spożywczych, przez co ureguluje sprawę ludnościową"[43], przy czym metoda takiej regulacji nie została podana. Niemniej jest to jedno z nielicznych w ówczesnej polskiej literaturze socjalistycznej napomknień o tym, że w państwie przyszłości może okazać się konieczne dostosowywanie potrzeb do zasobów, a nie odwrotnie.

Socjaliści byli świadomi dynamiki ludzkich potrzeb i pożądań, materialnych i kulturalnych, zmieniających się w miarę poznawania rozleglejszego od parafii świata i jego pokus, i w miarę wzrostu aspiracji do lepszego życia. Mało tego: wzrost taki gorąco afirmowali. W ich pismach nie odnajdzie się idei, iż zwycięska rewolucja mogłaby żądać od robotników utrzymania na jakikolwiek przeciąg czasu proletariackiego ubóstwa czy purytańskiej wstrzemięźliwości. Nie widać również śladu obawy przed nagłą eksplozją nie dających się zaspokoić nadziei konsumpcyjnych. Tak wielka była wiara w bajeczne rezerwy gospodarcze, jakie wyzwolić miała rewolucyjna przemiana, że można było beztrosko wieszczyć harmonijny i nieograniczony wzrost akumulacji i dobrobytu równocześnie, nie pytając nawet o to, z jakiego poziomu nastąpi ów drugi start rozwojowy.

Nie chodzi nam jednak bynajmniej o wychwytywanie licznych i doskonale znanych naiwności tej wczesnej przecież i z natury niedojrzałej prognozy. Byłaby to krytyka bardzo tania. Dalekosiężne prognozy prawie zawsze okazują się naiwne *ex post*.

[43] *Nasz program*, loc. cit., s. 96.

Wizje przyszłości szkicowane przez pierwszych polskich socjalistów, z ich tęsknotą do bardziej uczłowieczonego świata, były – wbrew zaprzeczeniom – konstrukcją aksjologiczną, której naukowo-ekonomiczna obudowa służyła za racjonalizację, nie za rzeczywistą podstawę wnioskowania. Racjonalizacja taka zmuszała jednak socjalistów nie tyle do obrony drogich im wartości, co do obrony twierdzeń przedmiotowych, wartości te jakoby uzasadniających, a przynajmniej wytyczających jedyną drogę do ich historycznego spełnienia. Z tego też powodu krytyka pozytywistyczna, kwestionująca nie wartości, lecz owe twierdzenia właśnie, była dla nich znacznie bardziej kłopotliwa niż krytyka konserwatywna, uznająca socjalizm za „trąd azjatycki", „ideę rozkładu", „rozpustę ducha" czy „żydowską naukę sekty Farmasonów"[44].

Obrona ekonomicznej prognozy Marksa stawiała, jak wiadomo, jego polskich i rosyjskich uczniów w sytuacji dość szczególnej, z uwagi na znacznie niższy tutaj szczebel rozwoju. Bo przecież wiara w to, że wywłaszczenie wywłaszczycieli jest wystarczającym warunkiem wejścia do królestwa wolności i dobrobytu, w marksizmie zachodnim zasadzała się na przekonaniu, że główną i najbardziej niewdzięczną część zadania wzrostu gospodarczego już wykonał lub jeszcze zdąży wykonać kapitalizm. Socjalizm w chwili swych narodzin miał tedy odziedziczyć nie tylko nędzę mas, ale także ogromne nagromadzone bogactwo: nowoczesny przemysł i środki transportu, wysoko wydajną gospodarkę rolną, kapitały bankowe, uniwersytety i laboratoria, inżynierów i wykwalifikowaną siłę roboczą. Przy pewnym niedowładzie wyobraźni naukowo-technicznej można było sądzić, że w krajach najbardziej rozwiniętych proces modernizacji, zwany też rewolucją przemysłową, zbliża się już do swego naturalnego pułapu i że na dalszą socjalistyczną przyszłość pozostałby tylko ekstensywny wzrost zdolności wytwórczych społeczeństwa; ten zaś, startując z tak wysokiego, wedle owoczesnych pojęć, poziomu infrastruktury gospodarczej i kulturalnej, mógłby być

[44] Epitety z artykułów „Czasu", omawiających krakowski proces socjalistów w 1880 r., oraz z broszury P. Popiela, *Choroba wieku*, Kraków 1880, s. 18 i in.

realizowany przy jednoczesnym szybkim wzroście produktu dzielonego, a więc i stopy życiowej mas. Dlatego zapewne klasycy marksizmu tak niewiele uwagi poświęcali problemowi źródeł akumulacji w społeczeństwie socjalistycznym. Nie ma w każdym razie wątpliwości, że w ich rozumieniu „rewolucja kapitalistyczna" miała dokonać swego dzieła, z a n i m burżuazję uznać będzie można za „klasę zbyteczną": podział na klasy – zacytujmy raz jeszcze Engelsa –

> opierał się na niewystarczalności produkcji i zostanie zmieciony przez rozwinięcie w c a ł e j p e ł n i nowoczesnych sił wytwórczych. I w rzeczy samej, zniesienie klas społecznych zakłada taki poziom rozwoju historycznego, [...] taki poziom rozwoju produkcji, na którym przywłaszczenie sobie środków produkcji i produktów, a co za tym idzie – i władzy politycznej, monopolu wykształcenia i kierownictwa duchowego przez odrębną klasę społeczną stało się nie tylko zbyteczne, lecz okazało się również p r z e s z k o d ą w rozwoju pod względem ekonomicznym, politycznym i umysłowym. Punkt ten jest obecnie o s i ą g n i ę t y[45].

Nie zostało tylko powiedziane z dostateczną jasnością, g d z i e mianowicie został osiągnięty. Nie da się bowiem obronić często spotykane przeświadczenie, że doktryna marksizmu dopiero na gruncie wschodnioeuropejskim została skonfrontowana z problematyką zacofania[46]. Z problematyką zacofania czy, lepiej, opóźnienia marksizm zżył się od chwili swych narodzin. Był wszak, jak jego twórcy sami podkreślali, wytworem intelektualnym niemieckim, powstałym z obserwacji przede wszystkim historii Anglii. Jego teoria rozwoju ekonomicznego miała więc od razu aspekt porównawczy. To do Niemiec – w porównaniu z Anglią – odnosiły się tak

[45] F. Engels, *Rozwój socjalizmu*, s. 141. Pierwszomajowa odezwa ZRP w 1891 r. zapewniała robotników, że „przy dzisiejszych siłach człowieka, przy dzisiejszych udoskonalonych maszynach wystarczy 3 lub 4 godzin pracy dziennej, aby każdy pracujący mógł żyć w dostatku. Tak powiada nauka. Trzeba t y l k o, aby fabryki i ziemia przeszły na własność całego narodu..." Cyt. wg: F. Tych, *Związek Robotników Polskich*, aneks, s. 455.

[46] Zob. np. A. Molska, *Wstęp* do zbioru: *Pierwsze pokolenie marksistów polskich*, t. I, s. XXXI; por. także F. Tych, *Socjalistyczna irredenta*, s. 18–19; A. Walicki, op. cit., s. 59–114, 156–165.

często cytowane zdania z przedmowy do pierwszego wydania *Kapitału*, iż „kraj bardziej rozwinięty pod względem przemysłowym wskazuje mniej rozwiniętemu tylko obraz jego własnej przyszłości" oraz, że „nęka nas na równi z całą resztą kontynentu zachodnioeuropejskiego nie tylko rozwój produkcji kapitalistycznej, ale też jej niedorozwój"[47]. Myślowe granice owego „kontynentu zachodnioeuropejskiego" nie były oznaczone wyraźnie: na pewno autor włączał doń niemiecki Śląsk, trudniej powiedzieć, czy włączał Hiszpanię, Włochy, Austrię lub Czechy. W każdym bądź razie rozszerzanie się kapitalistycznego kontynentu o kraje, w których przemysł fabryczny zakładał swe placówki, zdawało się nie nastręczać szczególnych kłopotów teorii stadialnego rozwoju, tak jak ich nie nastręczało ewolucjonizmowi liberalnemu. Po prostu gdy Niemcy zbliżały się już do modelu rozwiniętej struktury kapitalistycznej, na tę samą drogę wstępowały z kolei nowe terytoria nękane przez rozwój i niedorozwój. Skomplikowanym problemem stała się dopiero Rosja, a to z dwóch szczególnych powodów: po pierwsze, partia socjalnorewolucyjna powstała w niej bez żadnego prawie związku z rodzącą się dopiero przemysłową klasą robotniczą, a zatem musiała sama sobie wyjaśnić odmienną sytuację, bazę społeczną i perspektywy rosyjskiego ruchu, po wtóre zaś, zarówno rosyjskich, jak zachodnich teoretyków ruchu niepomiernie intrygowały konsekwencje zachowania się na niektórych obszarach Rosji zwyczajowo-prawnej formy gminnego władania ziemią. Z tych głównie przyczyn możliwe się stało podjęcie przez marksistów dyskusji z narodnikami na temat szans wejścia chłopskiej Rosji w epokę własności uspołecznionej z ominięciem „fazy" rozwoju kapitalistycznego.

W Królestwie Polskim żaden z tych względów nie wchodził w grę. Około roku 1880 nikt już nie miał wątpliwości, że w Królestwie, jak i na Śląsku, kapitalizm przemysłowy istnieje i rozwija się, a w pozostałych dzielnicach polskich zapuszcza korzenie. Mimo więc wpływów orientacji narodnickiej na polską myśl rewolucyjną w jej najwcześniejszym okresie, przedmiot polskich sporów o kapitalizm był zasadniczo odmienny. Chodziło w nich nie o to, czy

[47] K. Marks, *Kapitał*, t. I, s. 4–5.

kapitalizmowi można zapobiec, lecz o to, czy kapitalizm polski jest i będzie t a k i s a m jak na Zachodzie. A także o ocenę stopnia jego d o j r z a ł o ś c i i jego potencjału rozwojowego, od czego z kolei zależeć miały szanse ruchu rewolucyjnego.

Socjaliści polscy od początku zajęli pryncypialne stanowisko w obronie tezy o istnieniu jednego tylko modelu funkcjonowania gospodarki kapitalistycznej i uniwersalnych praw rządzących jej transformacjami. Dopuszczali jedynie różnice w czasie, a więc asynchronizm stadiów rozwojowych, oraz drugorzędne różnice wynikające z odmiennych ustrojów państwowych.

> W ogólnym rozwoju europejskich społeczeństw – czytamy w programowej odezwie partii „Proletariat" – kraj nasz wyjątku nie stanowi. [...] Społeczeństwo nasze nosi dziś na sobie wszystkie cechy burżuazyjno-kapitalistycznego ustroju, chociaż brak swobód politycznych nadaje mu wynędzniały i chorobliwy wygląd. Nie zmienia to wszakże istoty rzeczy[48].

Teza ta pojawia się odtąd w każdym bodaj większym tekście polskich socjalistów lat osiemdziesiątych, miała bowiem dla nich znaczenie zasadnicze. Jeszcze dobitniej została zredagowana przez Stanisława Mendelsona w szkicu programu PPS z roku 1892:

> Przewrót, którego dokonały w kraju naszym wypadki z 63–64 roku, wciągnął nas w wir międzynarodowego życia europejskiego. Jeden z młodszych członków tej rodziny, kraj nasz, przebywa t e s a m e, co inne narody, choroby, znosi t e s a m e cierpienia, jest świadkiem t e j s a m e j anarchii społecznej i żywi się t y m i s a m y m i nadziejami lepszej przyszłości[49].

Rzecz to na pierwszy rzut oka zaskakująca, że zdaniem założycieli PPS dopiero powstanie styczniowe i uwłaszczenie włączyło Polskę w wir życia europejskiego. Jak gdyby przedtem od życia tego była odcięta! Ale bo też nie o sprawę polską i nie o polskie życie umysłowe idzie w zacytowanym ustępie, lecz o s y s t e m społecz-

---

[48] *Odezwa Komitetu Robotniczego Partii Soc. Rew. „Proletariat"*, loc. cit., s. 188.

[49] *Szkic programu PPS*, loc. cit., s. 247.

no-gospodarczy. O to, że feudalizmy bywały różne i lokalne, ale kapitalizm wszędzie ten sam i jednaki. Różnić się mógł tylko wiekiem i stopniem dojrzałości, może jeszcze stanem zdrowia, ale nie naturą. Co do tego nie było rozbieżności między socjalistami „międzynarodowymi" a „niepodległościowymi". Ten sam Mendelson osiem lat wcześniej, kiedy był jeszcze zdecydowanym antypatriotą, pisał całkiem podobnie:

> Własność włościaninowi przyznana, złamana potęga większej własności, a z nią i stanu, który na niej swą potęgę opierał, kapitalizm wreszcie – Polskę do Europy przybliżył. Staliśmy się krajem takim, jak i inne kraje. Więcej może niż gdzie indziej pozostało w nim resztek dawnej przewagi szlachty, na to zgodzić się można, słabsze niż gdzie indziej przedstawicielstwo burżuazji – słabszy niż gdzie indziej proletariat. Ale w ogólnych zarysach stosunki nasze europejskimi się stały. Dwie warstwy właścicieli i niewłaścicieli odgraniczać się wyraźnie zaczynają. Dla walki klasowej grunt istnieje, i szczęściem dla społeczeństwa istnieje[50].

To więc, co narody jeszcze o d r ó ż n i a, to tylko relikty przeszłości, skazane na wymarcie. Odrębne problemy i interesy lokalne należały do epoki, która zbliżała się już do końca. „Łączenie się rozrzuconych jednostek, plemion nawet w jedną całość, narodowość, było niezmiernie ważnym czynnikiem kultury. Cały rozwój ludzkości nie byłby możebnym bez podobnej łączni." Ale kapitalizm posunął ten proces integracji na następny, wyższy szczebel, tworząc więzi ponadnarodowe, jednostajną, zuniformizowaną kulturę ogólnoludzką. Takie jest nieuniknione prawo rozwoju. Nie pozostawia ono żadnego wyboru: próba wstrzymania procesu integracji, okopania się na przebytym już etapie kultur narodowych byłaby przedsięwzięciem żałosnym w swej ahistorycznej utopijności[51].

W tych samych latach, kiedy się pisało takie stanowcze twierdzenia, rozpoczynała się właśnie w Europie eksplozja nacjonaliz-

[50] S. Mendelson, *Narodowość i walka klas*, „Walka Klas" 1884, w zbiorze: *Pierwsze pokolenie marksistów polskich*, t. II, s. 292–293.

[51] Ibidem, s. 271–274.

mów. Kongres berliński (1878) otworzył epokę rozpadu imperiów, mnożenia się narodów. Ze swymi prawami do odrębnego istnienia, powołując się na swoistość swych kultur, zgłaszali się Bułgarzy i Serbowie, Czarnogórcy i Rumuni, Ukraińcy, Litwini, Żydzi. Rozbicie feudalnych struktur wyzwalało i intensyfikowało dążenia separatystyczne zamiast je przedawniać, a proces emancypacji mas podnosił ludowe do narodowego. Ze stanowiska doktryny postępującej unifikacji świata fenomen ten nie dawał się sensownie wyjaśnić.

Kapitał rzeczywiście nie miał narodowego paszportu i wszędzie, gdzie go inwestowano, pojawiały się mniej więcej jednakowe urządzenia: podobne do siebie, bez względu na kraj i miejsce, były przędzalnie bawełny, koleje żelazne, prawo wekslowe, giełdy, czynszowe kamienice, system pracy najemnej. Rzecz w tym jednak, że w socjalistycznym obrazie świata pole semantyczne pojęcia „kapitalizm" rozszerzało się bezgranicznie, pochłaniając w końcu wszystkie objawy cywilizacji współczesnej: technikę, politykę, sztukę, prawo, obyczaj i moralność[52]. Gdziekolwiek tedy powstawały enklawy kapitalistycznej organizacji gospodarczej, tam socjaliści skłonni byli zaraz wszystkie stosunki społeczne uznawać za kapitalistyczne lub szybko ewoluujące ku kapitalizmowi, a zatem i ku kulturowej monotonii. Pod tym względem widok rewolucyjny zdradzał charakterystyczne zbieżności z widokiem konserwatywnym: bo to konserwatyści przecież od dawna upatrywali w nowoczesnej cywilizacji mechaniczną siłę niwelującą różnobarwność ludzkiego świata. Tylko że to, co budziło apokaliptyczną zgrozę konserwatysty, stawało się nadzieją rewolucjonisty: owa niwelacyjna tendencja kapitalizmu zapewniała bowiem wszystkim narodom to samo szczęśliwe rozwiązanie.

---

[52] Marks – pisze Raymond Aron – na rachunek kapitalizmu kładł wszystkie odstręczające cechy współczesnego społeczeństwa: kapitalizm miał być odpowiedzialny za nędzę i za wszystko to, co niosła ze sobą wczesna faza uprzemysłowienia. R. Aron, *Démocratie et totalitarisme*, Paris 1965, s. 368.

W tej perspektywie pozytywna rola cywilizacyjna kapitalizmu kończyła się z chwilą, gdy niszczył on pozostałości stosunków feudalnych i patriarchalnych oraz gospodarkę naturalną i drobnotowarową. Potem pozostawało mu już tylko przygotowanie dzieła zniszczenia samego siebie. „Kapitalizm jest także tylko fazą historyczną w życiu społeczeństw i jako taki odbywa ustawicznie swój proces rozwoju, który z a r a z e m jest jego procesem rozkładowym, mniej lub więcej szybkim stosownie do warunków historycznych, w jakich się odbywa"[53]. Im więc szybciej się rozwijał i osiągał dojrzałość, im bezwzględniej podporządkowywał sobie produkcję, handel i obyczaje, im bardziej niepodzielnie władał Europą i światem, tym silniejsi stawać się mieli jego przyszli grabarze, tym bliższa chwila rewolucji.

A tymczasem ten polski kapitalizm był, jak się rzekło, cherlawy. Niby taki sam jak na Zachodzie, a przecież brak mu było tamtej tężyzny. Brak jej było całemu niespiesznemu społeczeństwu. Marksiści nie mniej silnie od pozytywistów podkreślali, że Polska stała się peryferią kulturalną Europy. Pisała genewska „Walka Klas" w swym artykule programowym:

> Jakkolwiek z pewnym zadowoleniem powtarza się u nas zdanie, że jesteśmy zachodnim społeczeństwem, jakkolwiek, drobne fakty na świadków powołując, często sobie rolę w rozwoju europejskich stosunków, jakie inicjatywa zachodnich społeczeństw wytworzyła, nadajemy - przy sumiennym jednak zbadaniu i historii naszego społeczeństwa, i warunków naszego teraźniejszego życia będziemy zmuszeni przyznać, że do nas tylko odłamki fal zachodniego życia dosięgały[54].

I jeszcze mocniej w innym artykule:

> Byliśmy dotychczas krajem omdlałym, prądy cywilizacyjne dochodziły do nas już nieraz, ale wykolejone, skrzywione. Przywiązawszy się do zmarłych wspomnień, byliśmy zawadą niemal dla ogólnego europejskiego postępu. Najpóźniej ze wszystkich krajów europejskich

[53] K. Dłuski i W. Piekarski, *Mistrz Wścieklica i spółka*, w zbiorze: *Pierwsze pokolenie marksistów polskich*, t. I, s. 590.

[54] *Słowo wstępne*, „Walka Klas" 1884, nr 1, ibidem, t. II, s. 249-250.

uwłaszczyliśmy włościan, najpóźniej [...] ultramontańskiego pozbywamy się fanatyzmu [...], najpóźniej ze wszystkich krajów dowiadujemy się o tym, co światu prawdziwa wiedza przynosi. Czas już z omdlenia się przebudzić, czas ożyć, jeżeli nie chcemy na zawsze zejść z oblicza ziemi, jako nie zasługujący na życie[55].

Takie same zdania można było – i to na długo przedtem – czytać w „Przeglądzie Tygodniowym" albo „Prawdzie". Tylko wnioski były inne. Kiedy Bolesław Prus w swoim głośnym *Szkicu programu* pisał z goryczą o słabej „indywidualności narodowej" polskiej, kiedy stawiał dramatyczne pytanie: „czy my jesteśmy narodem zdolnym tworzyć coś dla cywilizacji, czy tylko zdolnym niedokładnie przyjmować wytwory obce?"[56] – chodziło mu o to, że naród polski zdobyć się musi na kulturę nowoczesną, a jednak oryginalną, nie skopiowaną. Tworzenie takiej kultury wyobrażał sobie jako organiczną syntezę importów cywilizacyjnych, zwłaszcza technicznych, z tradycją i estetyką rodzimą, ludową. Była to jeszcze jedna, naiwna może próba rozwiązania wciąż tego samego dylematu, od stu już lat trapiącego myśl polską, i nie tylko polską: jak modernizować gospodarstwo i społeczeństwo, nie zacierając znamion narodowości?

Otóż studenci, którzy znali prawa rozwoju, słuchać mogli takich pomysłów jedynie z uśmiechem politowania. „Szczęść Boże w walce z wiatrakami!" – wołał do Prusa młody Ludwik Krzywicki, a jeszcze bardziej odeń pryncypialny Stanisław Krusiński szydził niemiłosiernie ze wszelkich „wygórowanych pretensji do swojskości i oryginalności" Prusa czy Supińskiego. Pisał o autorze *Szkoły polskiej gospodarstwa społecznego*: „On nie rozumie, że kapitalizm jak huragan złamie u nas, jak i gdzie indziej, w swym zwycięskim pochodzie wszystkie tamy, rozerwie wszystkie węzły, zdepcze wszelką swojskość i odrębność"[57]. Tworzenie – w obliczu tego huraganu – jakichś „szkół polskich", polskich programów „krusińszczycy" uznali za kostiumową sielankę.

---

[55] S. Mendelson, *Narodowość i walka klas*, loc. cit., s. 293.

[56] A. Głowacki, *Szkic programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa*, Warszawa 1883, s. 107, 111.

[57] S. Krusiński, *Dzieła Józefa Supińskiego*, loc. cit., s. 26–27.

Cóż z tego bowiem, że huragan nadciągał z opóźnieniem, skoro nie wytracił bynajmniej swojej siły?

> Spóźniony rozwój kapitalizmu w pewnym kraju – tłumaczył Adam Sąsiedzki – naturalnie nie może dorównać wcześniejszemu. Nie zapominajmy jednak, iż dźwignie spóźnionego rozwoju społecznego podsadzają się motorami kapitalizmu innych krajów, w których on wcześniej się rozwinął. Młot kapitalizmu wali mury chińskie, Himalaje przenika z szybkością nie do uwierzenia[58].

Swoją wiarą w przeobrażającą potęgę kapitału socjaliści dorównywali jego najbardziej prostodusznym mieszczańskim wielbicielom. Wiary takiej nie miał nawet Kronenberg, który zbyt dobrze wiedział o ryzyku lokat inwestycyjnych w kraju bez elementarnej infrastruktury gospodarczej. Ta wiara oślepiała: nie pozwalała dojrzeć ekonomicznych realiów zacofania, strukturalnych barier wzrostu. Uniemożliwiała zrozumienie skomplikowanego splotu zależności międzynarodowych. Bo przecież przemysł i finanse krajów bardziej rozwiniętych zarazem ułatwiały i utrudniały rozwój gospodarczy krajów opóźnionych: ułatwiały, dostarczając kapitałów, technologii i umiejętności, utrudniały, zalewając rynek tańszymi i lepszymi produktami, a nieraz także drenując miejscowe oszczędności. Tania siła robocza, która w teorii miała być dla kapitału główną atrakcją, przy niskiej wydajności okazywała się nie taka znowu tania, a pozostałe składniki kosztów produkcji z reguły droższe. Te zależności nie były już wówczas tajemnicą, pisano o nich nieraz. Tak na przykład Józef Hłasko, publicysta pół socjalistycznej, pół narodowej barwy, pisał w „Głosie" o pułapkach zacofania, na przykładzie Rumunii wskazując, że europeizacja elit umysłowych nie musi pociągać za sobą europeizacji wsi pogrążonej w „hotentockim" prymitywizmie; mało tego, może ją nawet hamować, ponieważ szybki wzrost kulturalnych aspiracji „klas przewodnich", podobnie jak wzrost państwowych wydatków wojskowych, obciąża budżet ponad zdolności kraju, wysuszając podatkami potencjalne źródła akumulacji[59].

---

[58] A. Sąsiedzki, *Polemika*, loc. cit., s. 161.

[59] J. Hłasko, *Z obcego świata*, „Głos" 1888, s. 213–214.

Wzór wyższej cywilizacji działa więc co najmniej obosiecznie. Wreszcie i Krzywicki doszedł do podobnego wniosku, pisząc *Złudzenia demokratyczne*, tekst zdradzający jego szamotanie się między dedukcją z doktrynalnych założeń marksizmu a wnioskowaniem z porównawczych obserwacji. „Rozwój przemysłowy jednego kraju jest [...] zarazem – czytamy tam – źródłem zastoju w drugim, który później wystąpił na widownię walki o zyski". Takie więc kraje, jak Rumunia czy Węgry, stanowią „jedynie wielką wieś dla wielkiego miasta – obcego kraju, którą bezlitośnie się wyzyskuje"[60]. Teza ta, znana w zasadzie od czasów merkantylizmu, przeszczepiona na grunt myśli socjalistycznej zmuszała do rewizji poglądu o ściśle naśladowczym charakterze procesów rozwoju ekonomicznego i wątliła wiarę w siłę kapitalistycznego cyklonu na obszarach „wielkiej wsi". Ale to, że opłotki i stodoły wsi małej oprzeć się huraganowi nie potrafią – to nie podlegało najmniejszej wątpliwości.

Polscy tłumacze naukowego socjalizmu chcieli za wszelką cenę dopasować do tutejszych warunków historię angielskiego nagromadzenia pierwotnego opisaną w dwudziestym czwartym rozdziale I tomu *Kapitału*. Nie pojmowali inaczej dialektyki rozwoju gospodarczego, jak tylko poprzez oddzielenie drobnego wytwórcy od własności ziemi, narzędzi i produktu pracy. A nie baczyli przy tym na fakt, że w Europie wschodniej dzieła tego, choć połowicznie, dokonał wcześniej feudalizm agrarny, wtórne poddaństwo, a reformy wieku dziewiętnastego właśnie przywróciły chłopu własność jego gospodarstwa. Marks badając genezę zachodniego modelu kapitalizmu – a i to w jego „czystej formie" – nie musiał interesować się dziejami gospodarstwa pańszczyźnianego: zainteresował się nimi dopiero później. Ale jego polscy interpretatorzy? Ci wiedzieli, toteż trzema wiekami pańszczyzny gotowi byli usprawiedliwiać cywilizacyjne opóźnienie. Opóźnienie, nic więcej. Pierwotna akumulacja w rolnictwie była aksjomatem teorii, rozwarstwienie wsi i koncentracja własności były z a ł o ż o n e, przeto uwłaszczenie mogło być

[60] L. Krzywicki, *Złudzenia demokratyczne*, w: *Dzieła*, t. IV, Warszawa 1960, s. 310.

tylko momentem w procesie wywłaszczenia, i to momentem przyspieszającym![61] Co mogło im się częściowo zgodzić z faktami tylko w zaborze pruskim, czyli tym, który na razie socjalistów polskich najmniej obchodził.

Nie byli oni zgodni pomiędzy sobą co do tego tylko, jak ocenić aktualny etap nieubłaganego procesu ekspropriacji. Była to dla nich kwestia ważna ze względów praktycznych: jeżeli bowiem lud rolniczy Królestwa i Galicji jest j u ż prawie sproletaryzowany, to wieś może być obiecującym gruntem dla rewolucyjnej agitacji; jeśli zaś chłopstwo j e s z c z e się przed proletaryzacją broni, to „we właściwych dążeniach swoich jest ono najniebezpieczniejszym naszym wrogiem"[62].

Na stanowisku, że już, stanęło kierownictwo partii „Proletariat", wydając w roku 1883 odezwę *Do pracujących na roli*, w której włościanom obiecano po rewolucji z i e m i ę, „aby każdy miał na czym pracować i z czego żyć". Odezwa pozostawiała w niedomówieniu kwestię, czy miałoby to być nadanie na własność indywidualną, czy zbiorową: za drugą wykładnią przemawia to, że oddanie włościanom ziemi przyrównano do oddania fabryk robotnikom[63]. Za polityką zjednywania wsi dla ruchu socjalistycznego orędowali też niektórzy autorzy z emigracji. Tak np. w artykule redakcyjnym „Walki Klas" z grudnia 1885 roku, komentującym antyszlacheckie wystąpienia galicyjskich chłopów, dowodzono, iż socjaliści nie mogą czekać, aż kapitalizm usunie pozostałości feudalizmu:

> Mamyż więc [...] pójść do włościanina pilzneńskiego i powiedzieć mu: Trzeba, byśmy pomogli nie uformowanej jeszcze burżuazji wywłaszczyć cię w zupełności, trzeba, aby twój organizm wycieńczył się pracą fabryczną, trzeba, byś widział zupełne i samowolne panowanie fabrykantów, a wtedy dopiero pomyślimy o organizowaniu mas pracujących, o świadomości socjalistycznej?

---

[61] Tak np. [K. Dłuski], *Słówko w kwestji agrarnej u nas*, w: Z. Doliwa [K. Dłuski], *Szkice historyczno-społeczne*, Zurych [1898], s. 108.

[62] *Chybiony zamach*, loc. cit., s. 680.

[63] *Archiwum Ruchu Robotniczego*, t. VIII, *Polski ruch robotniczy wobec kwestii agrarnej*, Warszawa 1982, s. 13–14.

O nie - odpowiadał autor - „nie wolno nam bawić się w rzekomo posłuszne owieczki stworzonej przez nas samych, w wyobraźni naszej, historii przyszłości". To byłby jakiś fatalizm historyczny. Już dziś trzeba agitować włościaństwo, w tym zaś celu trzeba tylko „odszukać te żywotne dla naszego włościaństwa kwestie, poruszenie których mogłoby zjednoczyć rozsianą ludność w większe masy"[64].

Do odszukiwania tych kwestii nie spieszyli się natomiast ci, którzy - przyjmując obiegowy pogląd zachodniej socjaldemokracji - uważali, że na troszczenie się o wieś jeszcze nie pora. Tak Ignacy Daszyński w referacie na I Kongresie Socjalno-Demokratycznej Partii w Galicji (Lwów 1892) dowodził, że chłopi dopiero „pod wpływem ciosów, jakie na nich spadną, przyjdą do świadomości". Zgodnie z tym w przyjętej przez kongres rezolucji oznajmiano, że

> partia daleką jest od popierania drobnej własności i uważa drobną produkcję za wsteczną i szkodliwą. Należy więc w agitacji wśród proletariatu wiejskiego zwracać się przeważnie tylko do tych żywiołów włościańskich, którym na utrzymaniu drobnej produkcji stosunkowo mało zależy i którym ich położenie ekonomiczne umożliwia solidaryzowanie się z nowoczesnym ruchem socjalistycznym[65].

Orientacja ta, z czego jej zwolennicy zdawali sobie sprawę, pociągała za sobą przykry dylemat moralny: konieczność odróżniania cierpień postępowych od cierpień reakcyjnych. Ale - odpowiadali na to - „wszelka idealizacja jest tu nieprzebaczalną". Niechaj się stanie, co się stać musi dla dobra postępu. Prawda, że chłop i rzemieślnik cierpią - „ale obaj cierpią *w obronie przeżytych form* [...] obaj cierpią tak, jak cierpiała arystokracja pod nożem gilotyny wielkiej rewolucji!"[66] Mocno to było powiedziane i chłopom, gdyby czytali „Walkę Klas", mogłoby być trochę przykro, że po wiekach poddaństwa i pańszczyzny za to, że bronili swego dopiero co otrzymanego na własność zagonu, zostali porównani ze swymi panami i z nimi

---

[64] Ibidem, s. 16-20.
[65] Ibidem, s. 23.
[66] *Chybiony zamach*, loc. cit., s. 681-682.

razem skazani na śmierć pod giłotyną praw historii. Ale idealizacja była nieprzebaczalną i nawet łagodny z charakteru Krzywicki pisał: „Z p r z y j e m n o ś c i ą więc widzimy, jak kapitalizm porywa tłumy proletariatu wiejskiego. On tworzy i organizuje nam tłumy bojowe!" I wyjaśniał, że zadaniem tego kapitalizmu jest zdyscyplinowanie i wychowanie głupiego Maćka ze wsi[67].

Niezależnie od tego, jak różnie oceniano doraźny stan gospodarki i świadomości głupiego Maćka, oczywiste było, że wcześniej lub później zagon swój utraci, a wraz z tym świadomość zmieni. Albo bowiem jego prymitywne gospodarstwo nie potrafi sprostać konkurencji wielkiej własności, albo zniszczą go kupiec, lichwiarz i poborca podatków. Parcelacja wielkich majątków mogła być tylko szkodliwym paliatywem, który tendencji procesu ekonomicznego nie odwróci, natomiast obniży kulturę rolną i na przyszłość utrudni zorganizowanie rolnictwa uspołecznionego. Gdyby zaś rząd usiłował sztucznie podtrzymywać konserwatywną drobną własność, to byłoby to szkodliwe dla sprawy proletariatu, bo zamazywałoby przeciwieństwa klasowe[68].

Każda galicyjska lub carska statystyka, wykazująca wzrost liczby gospodarstw karłowatych, każdy fakt świadczący o nędzy wsi, stawały się dowodami na rzecz tezy o postępującym kapitalistycznym rozwarstwieniu, wywłaszczeniu, o koncentracji ziemi czy to w rękach właścicieli herbowych, czy też burżuazji chłopskiej[69]. „Zdaje nam się – pisał Krusiński – że niedalekim jest ten czas, gdy znaczna część naszego ludu zostanie wywłaszczoną i kapitalizm ugruntuje się na silnych podstawach tak na polu, jak w fabryce"[70]. „Własność drobna to rzecz chwili" – wtórował mu Sąsiedzki[71]. Marksiści polscy lat osiemdziesiątych byliby niesłychanie zdumieni, gdyby jakimś cudem jasnowidzenia mogli się dowiedzieć, że ta chwila potrwa jeszcze co najmniej sto lat i że wielki przemysł, za-

[67] L. Krzywicki, *Wiejsko-miejskie grupy robotnicze*, loc. cit., s. 481–482.
[68] S. Krusiński, *Drobna własność i parcelacja*, w: *Pisma zebrane*, s. 109.
[69] Zob. [K. Dłuski], *Szkice historyczno-społeczne*, s. 105–108, 202–210.
[70] S. Krusiński, *Dzieła Józefa Supińskiego*, loc. cit., s. 47.
[71] A. Sąsiedzki, *Polemika*, loc. cit., s. 154.

równo prywatny, jak państwowy, będzie mniej lub bardziej pokojowo koegzystował sobie z indywidualną produkcją chłopską.

Krzywicki przyznawał się przynajmniej szczerze do „zupełnej nieznajomości naszych stosunków rolnych" i w latach późniejszych zaczął je poważnie studiować. Inni nie mieli takich skrupułów. Kazimierz Dłuski, mający się za eksperta w kwestii agrarnej, stwierdzał autorytatywnie, że gospodarka rolna w Polsce już do szczętu utraciła swe dawne s w o j s k i e cechy i przybrała takie kształty, „jakie wolna praca i wszechpotężny kapitał gospodarce zachodniej nadały"[72], chociaż już współcześnie było wiadomo, że i w zachodnim rolnictwie nie działają prawa koncentracji.

W toku tego wyznaczania tendencji przemian gospodarczych kwestia własności znów przesłoniła kwestię żywności. Trywialne pytanie o to, jak w kraju endemicznego niedożywienia mas i nieomal najniższej w Europie wydajności gleby zwiększyć produkcję mąki i ziemniaków, mleka i mięsa – to pytanie pozostało poza horyzontem poznawczej dociekliwości myśli, która przecież chciała zajmować się „kwestią żołądka". Dłuski wiedział, że ziemi jest za mało, a ludności rolniczej za dużo, z czego wyciągał wniosek, że nawet przymusowe wywłaszczenie wielkich właścicieli i parcelacja folwarków bytu wsi nie zabezpieczy. Opowiadał się przeto – jak większość socjalistów – przeciwko wszelkim reformom rolnym, żądając na przyszłość unarodowienia ziemi i zorganizowania wielkich gospodarstw zbiorowych w przekonaniu, że tylko taka forma wykluczy bezrząd w produkcji i pomnoży wydajność pracy. Bolesław Limanowski widział jeden tylko ratunek dla głodującej wsi galicyjskiej: „zorganizowanie rolniczych socjalistycznych gmin i oddanie im wszystkich gruntów do uprawy", co – jak wierzył – będzie łatwe, bo u nas jeszcze lud nie zdążył nawyknąć, jak na Zachodzie, do własności osobistej, więc chętnie zrzeknie się swych skrawków dla o g ó l n e g o d o b r o b y t u[73].

---

[72] [K. Dłuski], *Objawy kapitalizmu w Polsce*, w: *Szkice historyczno-społeczne*, s. 231.

[73] B. Limanowski, *Socyjalizm jako konieczny objaw*, s. 93.

Podobnie jeden z autorów genewskiego „Przedświtu", zalecający podjęcie agitacji socjalistycznej na wsi, uważał, że „fałszem wierutnym" jest twierdzenie ludowców, jakoby chłop miał być przywiązany do własności prywatnej:

> W jaki sposób może być przywiązany do własności prywatnej człowiek, który albo wcale jej nie ma, albo też cierpi całe życie wskutek jej posiadania? Możemy być pewni, że jeżeli przyszedłszy do władzy, uchwalimy odebranie wszystkich wielkich majątków od ich właścicieli i oddanie ich dla wspólnej uprawy małorolnym i parobkom zamieszkałym w danej gminie, to ci z radością przyjmą nasze warunki i zgodzą się na kierownictwo państwowe. Zresztą wszystkim włościanom pracującym na swoim dozwolonym zostanie zachowanie swego kawałka ziemi, ale wszyscy oni po pewnym przeciągu czasu zrozumieją wygody i korzyści wielkiego gospodarstwa i przyłączą się do wspólnej produkcji[74].

O korzyściach wielkiego gospodarstwa, i to bez względu na rodzaj własności, przekonani byli bodaj wszyscy ówcześni socjaliści. Przede wszystkim dlatego, że nie wierzyli w możliwość stosowania metod i wynalazków agronomii w gospodarstwie małym. Dłuski na przykład zadowolony był z tego, że najemnik rolny zaznajamia się na kapitalistycznym folwarku „z w s z e l k i m i środkami racjonalnej gospodarki, techniki etc.", bo się to przyda później na wspólnym[75]. To najemnik, gorzej było z gospodarzem. Gospodarz był ciemny i nie umiał gospodarować. Skąd miało umieć tysiąc gospodarzy razem zebranych? I kto miałby płacić, i z czego, za meliorację, za maszyny, za budynki i za naukę? Nie ma odpowiedzi. Problem obciążenia przyszłego produktu społecznego kosztami inwestycji rolnych rozpływał się w tym projekcie ekonomicznym tak samo, jak pytanie o koszty inwestycji przemysłowych, transportowych i wszelkich innych. Rzecz mogła się – w optyce końca dziewiętnastego wieku – zdawać błaha w Anglii czy Holandii, ale przecież nie nad Wisłą i Sanem, gdzie przewidywana rewolucja odziedziczyć by musiała żałośnie niski stan oświaty i kultury rolnej.

---

[74] *Archiwum Ruchu Robotniczego*, t. VIII, s. 20–22.
[75] [K. Dłuski], *Słówko w kwestji agrarnej*, loc. cit., s. 120.

Tej różnicy poziomów wyjściowych i struktur społecznych nie brali pod uwagę polscy marksiści, wpatrzeni we wspólną drogę ludzkości.

> Zamiast więc szukania problematycznych dróg odrębnych „naszych" – radził jeden z nich – zamiast tracenia czasu i wysiłków w celu wynalezienia w naszym stanie czwartym czegoś, co zastąpić może kapitalistyczne uspołecznienie pracy, wgłębmy się lepiej w dzieła naukowych przedstawicieli teorii, której pewną część najlepiej sformułował autor *Kapitału*. Do celu nas prędzej nie doprowadzi podsłuchiwanie pod drzwiami chaty zamkniętej[76].

Ale Adam Zakrzewski, pionier kierunku ludowego, wgłębiając się w to samo dzieło, zrozumiał je inaczej i bodajże bardziej zgodnie z intencją autora jako opis „idealnie kapitalistycznej formy", która może ulec odkształceniu pod działaniem najrozmaitszych czynników, wśród nich pod wpływem interwencji państwa, myśli naukowej i ruchu robotniczego. A także pod wpływem warunków lokalnych.

> Wobec tego wszystkiego więc można powątpiewać – pisał – czy j a k i e k o l w i e k społeczeństwo odbędzie w swym rozwoju drogę, którą nakreślił autor *Kapitału*, a w każdym razie, jeżeli pozostawimy na stronie społeczności zachodnioeuropejskie, w których system kapitalistyczny głębokie już dzisiaj zapuścił korzenie, to w odniesieniu do stosunków naszych droga ta wydaje się nam bardzo mało prawdopodobną[77].

Dla naszych wywodów nie jest istotne, jakie idee Zakrzewski lub niektórzy publicyści „Głosu" zaczerpnęli od rosyjskich narodników i jak je zmodyfikowali. Ludowcy w pierwszych przynajmniej latach swej działalności dalecy byli od doktrynerstwa. W teorii byli niezbyt konsekwentnymi eklektykami, tak jak niekonsekwentna i eklektyczna była rzeczywistość społeczna wokół nich, którą przenikliwie obserwowali, z werwą atakując rozmaite aprioryczne konstrukcje intelektualne. Zauważyli przede wszystkim, że kruszący

---

[76] A. Sąsiedzki, *Polemika*, loc. cit., s. 163.

[77] A. Zakrzewski, *Polemika*, w: *Początki marksistowskiej myśli ekonomicznej*, s. 139.

i niwelujący walec kapitalizmu zatrzymuje się przed niewidzialnymi barierami terytorialnymi i społecznymi, za którymi obowiązują nadal inne motywacje i reguły działania. Dalecy od frontalnego przeciwstawiania sobie Rosji i Europy albo Wschodu i Zachodu odnajdywali w każdym kraju współistniejące, we wzajemnych powiązaniach, różne systemy organizacji gospodarczej. Tak Józef Hłasko sceptycznie odniósł się do tezy Woroncowa, iż wielki przemysł jest w Rosji sztucznym przeszczepem nie mającym szans rozwoju: zwracał natomiast uwagę na to, że przecież i w Europie zachodniej kapitalizm „objął cząstkę tylko gospodarstwa narodowego"[78].

Tak oto demokratyczni eklektycy dopracowywali się z wolna koncepcji wielosektorowości gospodarstwa społecznego, koncepcji, która stanie się znacznie później kamieniem węgielnym teorii wzrostu. Edward Przewóski, jeden z najinteligentniejszych współcześnie polskich obserwatorów życia europejskiego, pisał w dyskusji o spółdzielczości:

> Społeczeństwo dzisiejsze nie jest ani luźnym agregatem, ani jednolitą całością. Jest to zbiorowisko ustrojów i dążeń, nie mających jeszcze charakteru jednolitego organizmu. Własność prywatna, ustrój indywidualno-kapitalistyczny, wielka produkcja przeważają w niem, lecz nie panują wyłącznie. [...] Nie należy jednak mniemać, że kapitalizm i wielka produkcja jest to wóz złotego cielca, który zdruzgotać może wszystko, co spotka na drodze. [...] Obok niego żyją lub wegetują inne czynniki: drobne kapitaliki, oszczędności i pojedyńcze usiłowania, które zamiast iść w paszczę Molocha, wolą się stowarzyszać, zbiorowe wytwarzać potęgi i w taki sposób rywalizować z kolosem kapitalizmu. Czy rywalizacja ta jest możebną? Fakty pokazują, że tak[79].

Koncepcja wielosektorowości miała oczywiście szczególne znaczenie dla oceny perspektyw zmiany stosunków rolnych. Zakrzewski, który badał tę sprawę najwcześniej i najwnikliwiej, przyznawał, że własność chłopska w Królestwie ugina się pod ciężarem lichwiarskich długów i sądził nawet, że „gdyby nie przepisy prawne, wzbraniające Żydom i w ogóle osobom niewłościańskiego pocho-

[78] J. Hłasko, *Militaryzm i kapitalizm*, „Głos" 1889, s. 591.
[79] E. Przewóski, *O kooperacyję*, „Głos" 1891, s. 510.

dzenia nabywać ziemię włościańską, ukazem 1864 r. objętą - przestrzeń własności chłopskiej zmniejszałaby się w kraju z przerażającą szybkością"[80]. Atoli własność dworska nie była w lepszej pod tym względem sytuacji. Podobnie jak Prus, tak i Zakrzewski stwierdzał, że w rolnictwie produkcja małej skali nie ustępuje pod względem wydajności produkcji wielkiej i może skutecznie opierać się tendencji koncentracyjnej. Bilans obrotu ziemią i parcelacji od czasu uwłaszczenia okazywał się korzystny dla włościaństwa, co z czasem - sądził Zakrzewski - „doprowadzi do zupełnej pokojowej ewolucji naszego systemu agrarnego". Jak widać, z niepewnych danych statystycznych można było wyciągać wręcz przeciwne sobie wnioski. Ale sama ta niepewność wystarczała, aby zyskać pewność, że w rolnictwie polskim nie dokonuje się żaden wyraźny proces kapitalistycznego rozwarstwienia. Chłopa sto bied ciśnie, a przecież się nie daje i jeszcze ziemi dokupuje. Nawet bezrolni rozkupują dworskie karczowiska. „To więc już nie «kapitalizacja» à la Marks. Gdzie wyrobnik, parobek, gajowy i dzierżawca kupują ziemię, tam zachodzi proces, który by raczej «dekapitalizacją» nazwać można"[81].

Od stwierdzenia kierunku zmian nie mniej ważna była ich ocena. Ani Prus, ani Zakrzewski i publicyści „Głosu" żadną miarą nie godzili się na to, iżby umacnianie drobnej własności uważać za zjawisko wsteczne. Ich ideałem było, przeciwnie, jak najszersze upowszechnienie własności, popieranie rozwoju taniego kredytu parcelacyjnego, ześredniaczenie wsi, a wraz z tym przechodzenie do intensywniejszych metod uprawy. Ludowcy nie wykluczali przy tym, że z czasem może na wsi dojść do powstania „wyższych form uspołecznienia", ale tylko w drodze dobrowolnej kooperacji drobnych rolników, nie zaś przez ich wywłaszczanie[82].

W sprawie tej stanowiska socjalistów i demokratów nie dawały się uzgodnić: jedni za objaw postępu uważali ubożenie i proleta-

[80] A. Zakrzewski, *Ze wsi*, „Głos" 1887, s. 333.

[81] Ibidem, s. 269.

[82] A. Zakrzewski, *Polemika*, loc cit., s. 141; J.L. Popławski, *Najpilniejsza sprawa*, „Głos" 1889, s. 13.

ryzację chłopa, drudzy – wzrost jego zamożności. Sedno sprawy nie polegało wcale na tym, na jaką k l a s ę kto stawiał: na chłopstwo czy na proletariat. Prawda, że dla „głosowiczów", jak i dla Wysłoucha we Lwowie, ludność wiejska – gospodarze i bezrolni pospołu – była ważniejsza, bo nieporównywalnie liczniejsza i zachowująca swoją oryginalną kulturę – co jest kwestią do osobnego rozpatrzenia. Ale „Głos" zajmował się żywo także położeniem robotników fabrycznych w Królestwie i na Zachodzie. Czy o chłopów, czy o robotników chodziło, trzymał się tej samej zasady oceniania programów ideowych i polityki społecznej wedle ich skutków b e z p o ś r e d n i c h, doraźnych. „Pokrewnymi są nasze poglądy na przyszłość n a s t ę p n y c h pokoleń – pisał Hłasko w pryncypialnym obrachunku z Krzywickim – lecz nie w imię takiego rodzaju poglądów wiążą się ludzie w stronnictwa. Spójnię stronnictw stanowią interesy b i e ż ą c e, praca w zakresie jednego pokolenia"[83]. Z takiego skrócenia perspektywy wynikało logicznie uznanie celowości reform cząstkowych, nie radykalnych.

Ludowcy, podobnie zresztą jak pozytywiści, odrzucali zdecydowanie dialektyczną teorię postępu dokonującego się przez zaostrzanie antagonizmów społecznych i ochrzcili ją mianem „doktrynerstwa". Gdy więc Krzywicki za wsteczne uważał pomysły poprawy losu robotników rolnych przez nadzielenie ich ziemią lub przez pomoc w jej nabywaniu, Hłasko replikował:

> *Fiat doctrina, pereat mundus!* Pod tym względem różnimy się znacznie; [...] nie sądzimy, żeby czasowe chociażby poprawienie losu jakiejkolwiek bądź części ludu pracującego mogło stać się przeszkodą do urzeczywistnienia lepszej przyszłości dla całego społeczeństwa[84].

Jan Ludwik Popławski żądał, aby nie zapominać, że procesy ekonomiczne dotyczą żywych ludzi, nie abstrakcyjnych kategorii i od programów społecznych oczekiwał działania na rzecz „możliwego zmniejszenia tej sumy cierpień moralnych i braków materialnych, jakie wypadają w udziale masom pracującym"[85]. Z tych też

[83] J.H. Siemieniecki [J. Hłasko], *Rachunek bieżący*, „Głos" 1890, s. 143.
[84] Ibidem, s. 115.
[85] J.L. Popławski, *Najpilniejsza sprawa*, loc., cit., s. 13.

powodów ludowcy z rezerwą odnieśli się do projektu przyszłej „dyktatury robotniczej", która miałaby między innymi za zadanie wywłaszczyć chłopów z ich indywidualnych działek po to, aby ich uczynić współwłaścicielami majątku ogólnonarodowego. Hłasko powoływał się w tym miejscu na opinię samego Krzywickiego, który w *Złudzeniach demokratycznych* pisał o antykolektywistycznej postawie chłopa: „W rezultacie więc - komentował polemista - mielibyśmy bratobójczą walkę, wobec okropności której bledną wszystkie ponure tragedie teraźniejszości". Będzie to - przepowiadał - wymuszanie ludowej solidarności za pomocą bagnetów. „Wzniosły ideał! Mniejszość zmuszająca większość siłą do przyjęcia instytucyj, których ta ostatnia nie chce!"[86] Takie to były te demokratyczne złudzenia.

Analogiczny spór między dialektyczną a kumulacyjną teorią postępu dotyczył także perspektyw industrializacji. Ludowcy zajmowali względem niej postawę ambiwalentną. Podobnie jak socjaliści, typ stosunków międzyludzkich, jakie wytwarzał kapitalizm przemysłowy, uważali za plugawy, a za przykładem rosyjskich narodników skłonni byli uznawać kapitalizm w ogóle za regres społeczny. W każdym razie w wielosektorowości gospodarki narodowej upatrywali fakt nie tylko realny, ale także korzystny i mający szanse utrwalenia. Jednym z argumentów Zakrzewskiego na rzecz przewagi gospodarstwa włościańskiego nad folwarcznym było przekonanie, że trwałość i równowaga każdej „formy gospodarczej" rośnie wraz z jej samowystarczalnością, maleje zaś w miarę uzależniania się od koniunktur rynkowych.

Z drugiej wszakże strony przemysł, zwłaszcza jeśli równomiernie po kraju rozproszony, oferował jedyną oprócz emigracji możliwość odpływu ze wsi nadmiaru ludności, a ponadto zwiększenia dochodów pieniężnych wsi i dostarczenia jej niezbędnych środków podniesienia kultury rolnej. Ambiwalencja ta pozostanie odtąd stałą cechą ideologii agrarystycznej.

[86] J.H. Siemieniecki [J. Hłasko], *Rachunek bieżący*, loc. cit., s. 142.

Natomiast analizując układ interesów w obrębie sektora kapitalistycznego ludowcy, podobnie jak liberalni organicznicy, nie mieli wątpliwości, że interesy pracy i kapitału są w jednym zakresie przeciwstawne, w innym wspólne. Zachowanie i przyszłość przemysłu - wywodził Hlasko, popierając program prawodawstwa fabrycznego - „leży zarówno w interesie robotników, jak i fabrykantów, jest to bowiem interes ogólnonarodowy"[87]. Idea ta nie była obca i narodnikom[88]. Wydaje się ona zresztą równie oczywista jak to, że w razie buntu na okręcie załoga i dowództwo są jednak pospołu zainteresowane w tym, aby statek nie poszedł na dno. To właśnie nazywa się solidaryzmem.

Używając pojęć współczesnej nam teorii gier, powiedzieć by można, że dla liberałów i demokratów rozwój kapitalizmu był grą częściowo kooperacyjną, a więc taką, przy której opłacalne jest współdziałanie graczy celem zwiększenia ogólnej sumy wypłat, choć przy ich podziale zachodzi konflikt interesów. Dla naszych wczesnych marksistów była to jednak gra o sumie zerowej, w której istnieje wyłącznie rywalizacja i konflikt. „Albo wygrywają kapitaliści - wtedy traci cała klasa robotnicza. Albo wygrywają robotnicy - wtedy wszyscy kapitaliści-przedsiębiorcy tylko stracić mogą"[89]. W gospodarce opartej na antagonizmie klas - twierdził Krusiński - „nie ma jednolitego *zasobu społecznego*, tak jak nie ma zasobu wspólnego pasożytowi i organizmowi, z którego soków on żyje"[90]. Polemizując z solidarystycznymi poglądami Supińskiego i jego następców, Krusiński rozstrzygał jednoznacznie: „Na rozwoju przemysłu wygrają tymczasem sami tylko kapitaliści, a masa ludu popadnie w ciężką ekonomiczną niewolę"[91]. Jak więc widać, zarzut

[87] Ibidem, s. 114.

[88] Zob. A. Walicki, *Wstęp* do: *Filozofia społeczna narodnictwa rosyjskiego, Wybór pism*, t. I, Warszawa 1965, s. LXXXII-CV; także J. Żurawicka, *Związki publicystyki polskiej z myślą narodnicką*, w zbiorze: *Z polskich studiów slawistycznych*, seria III: Historia, Warszawa 1968, s. 194.

[89] S. Diksztajn, *O wartości dodatkowej*, „Równość" 1880, w zbiorze: *Początki marksistowskiej myśli ekonomicznej w Polsce*, s. 43.

[90] S. Krusiński, *Dzieła Józefa Supińskiego*, loc. cit., s. 16.

[91] Ibidem, s. 47.

Wścieklicy, iż socjaliści uważają rozwój przemysłu za przekleństwo ludzkości, nie był całkiem gołosłowny. Powinien był tylko objaśnić, że uważają go za przekleństwo „tymczasem", które przemieni się w dobrodziejstwo w przyszłości. Z klątwą wiązała się więc nadzieja.

Teoria ta była w pismach socjalistycznych obficie poświadczana przykładami. W rolniczej Galicji panował niedostatek, ale istniały tam już wszelkie warunki dla rozwoju przemysłu: „Jeszcze kilka lat cierpliwego wyczekiwania – donosiła „Równość" w r. 1879 – a w spokojnych dotychczas galicyjskich miastach i siołach zadymią się kominy, zawarczą machiny, zaturkoczą koła". Królestwo ma już przemysł, ale krajowi brak jeszcze „kapitalistycznej fizjonomii". Wraz z przemysłem rozszerza się nędza, „ciągłe wszakże zwiększanie się produkcji, brak znaczniejszych kryzysów, powstawanie coraz nowych fabryk świadczy, że rozwój naszego przemysłu fabrycznego nie przeszedł jeszcze granicy, poza którą i kominom zaczyna być ciasno". Ideałem kapitalistycznym jest natomiast Śląsk, który swymi bogactwami naturalnymi i rozwojem przemysłu „nie powstydzi się przed żadnym krajem Europy". A przecież robotnicy konają tam z głodu albo na tyfus. Oto więc gradacja szczebli wzrostu gospodarczego:

> Kto wie, w jak krótkim czasie z rękodzielniczej Anglii powstała Anglia fabryczna, jak szybko po 48 roku rozwinęła się ze wszystkimi jej rozkoszami kapitalistyczna produkcja w Niemczech – ten oczekiwać może, że za Śląskiem niezbyt długo w tyle pozostaną i inne dzielnice Polski. Będziemy wtedy mieli śląskie kominy, śląskie fabryki i śląski tyfus głodowy na całej polskiej ziemi[92].

Na powszechny tyfus głodowy niepodobna czekać z założonymi rękami. Trzeba mu zapobiec przez przyspieszenie rewolucji socjalnej, która skróci tortury kapitalistycznego rozwoju. Tym samym w zawzięcie dyskutowanej w środowiskach socjalistycznych kwestii d o j r z a ł o ś c i polskiego kapitalizmu do rewolucji nie chodziło

[92] *Z kraju i o kraju*, „Równość" 1879, w zbiorze: *Pierwsze pokolenie marksistów polskich*, t. I, s. 112–126; *Czy jest u nas kwestia robotnicza?*, „Równość" 1880, ibidem, t. I, s. 183.

bynajmniej o jego potencjał wytwórczy ani o rozmiary globalnego dochodu społecznego. Chodziło o stopień dojrzałości antagonizmu klasowego, o stan uświadomienia robotników[93]. Nie o to, czy już w a r t o obalić kapitalistyczny ustrój, czy ta formacja spełniła już swoje zadanie, lecz o to, czy są siły wystarczające do dokonania przewrotu.

W roku 1889 Ludwik Krzywicki zerwał z teorią gry zerowej. Zbliżając się do zachodniego socjaldemokratyzmu, doszedł do wniosku, że pomyślność „najmitów fabrycznych" zależy jednak od korzystnego biegu interesów przedsiębiorcy:

> Zarobek się z w i ę k s z a z rozrostem rynków i gorączkowością produkcji i, co za tym idzie, dochodami panów „pracodawców". Dość przejrzeć dzieje *trade-unionów*, aby należycie zrozumieć tę h a r m o n i ę zobopólną na podścielisku s p r z e c z n o ś c i interesów"[94].

Ta jedna teza wywracała całe dotychczasowe rozumowanie polskich socjalrewolucjonistów, znamionując odchodzenie części z nich od scjentystycznych racjonalizacji myślenia życzeniowego ku obserwacji realnych procesów ekonomicznych. Krzywickiemu ta nowa teza potrzebna jednak była po to, aby tym ostrzej przeciwstawić obiektywną sytuację robotnika z jednej, a chłopa i rzemieślnika z drugiej strony. Teoria b e z w z g l ę d n e g o przeciwieństwa interesów pracy i kapitału miała zostać teraz zastąpiona skonstruowaniem równie bezwzględnego przeciwieństwa między nowoczesnym, rozwijającym się sektorem wielkoprzemysłowym a archaicznym, zrutynizowanym, nadal skazanym na zagładę sektorem gospodarki indywidualnej. Głównym reakcyjnym przeciwnikiem kapitalizmu okazywał się – „w granicach chwili obecnej" – rzemieślnik, a niezbędną ofiarą cywilizacyjnego postępu – włościanin. O jego bydlęcej harówce, sobkostwie i ciasnocie umysłowej Krzywicki – nowoczesny człowiek miasta – pisał raczej z pogardą niż ze współczuciem. „Demokratyzm – konkludował – który osadę włościańską

[93] Zob. A. Molska, op. cit., s. 73–75.
[94] L. Krzywicki, *Złudzenia demokratyczne*, loc. cit., s. 289.

stawia jako ostatni i najwyższy ideał dążeń, tym samym wypowiada wyrok na samego siebie"[95].

Albo więc prawa dziejowe niemożliwą czyniły jakąkolwiek, choćby i konfliktową, symbiozę wyzyskiwanych z wyzyskiwaczami, albo niemożliwą czyniły symbiozę nowoczesności z tradycją, współistnienie produkcji wielkiej i małej. Zawsze ktoś m u s i a ł pożreć kogoś i zawsze wsteczną drobnomieszczańską „idealizacją" lub „sielanką" było przypuszczenie odmienne. Na przykład przypuszczenie, że małe rodzinne gospodarstwo także może się modernizować i – jak w Danii – bronić swego bytu przy pomocy specjalizacji i spółdzielczości. Myśl, że antagonizmy klasowe i konkurencja gospodarcza nie zawsze m u s z ą prowadzić do pożerania się, wymagała bowiem dwóch trudnych założeń. Po pierwsze, założenia, iż rzadko zdarza się tak, aby jedna forma gospodarcza miała p o d w s z y s t k i m i w z g l ę d a m i przewagę nad inną. Po drugie, założenia, że istnieją, być może, pewne dobra i procesy korzystne dla wszystkich klas, choć podział tych korzyści nie jest równomierny: na przykład wzrost produktu globalnego albo wzrost oświaty. Hłasko, recenzując *Pracę umysłową wobec maszyny* Lafargue'a, przytaczał pogląd autora, iż w ustroju kapitalistycznym rozwój wykształcenia publicznego dyktowany jest t y l k o interesami burżuazji. A może – pytał krytyk –„skutki tych egoistycznych pobudek są jednak, w pewnej mierze przynajmniej, korzystne dla ogółu?"[96]. Takie naiwne pytania trzeba było zadawać w obronie reputacji tylekroć wyszydzonej tezy solidaryzmu „na podścielisku sprzeczności" albo raczej odwrotnie: sprzeczności na podścielisku wspólnych interesów ubogiego i ubezwłasnowolnionego społeczeństwa.

W Królestwie Polskim po roku 1863 „walka o ideały odbywała się na tle konieczności przejścia c a ł e g o społeczeństwa do nowych form bytowania" – napisze po latach Stanisław Rychliński, dodając, że nie każde dążenie jakiejś „gromady społecznej" ma postać ruchu klasowego[97]. W rzeczy samej, nie miał takiej postaci – wbrew

[95] Ibidem, s. 307.

[96] J. Kniażyc [J. Hłasko], *Optymistyczny pesymizm*, „Głos" 1891, s. 39.

[97] S. Rychliński, „Praca organiczna w Królestwie Polskiem", mps. Bibl. SGH, k. 257.

wielu współczesnym i późniejszym interpretacjom – lansowany przez pozytywistów program rozwoju gospodarczego, aczkolwiek różne jego warianty brały w większym bądź mniejszym stopniu pod uwagę ciężary i korzyści obywateli ziemskich albo burżuazji, albo chłopów, albo robotników.

Zasadniczą jednak i niezawinioną słabością wszystkich wariantów programu był brak wyraźnego adresu. Programy społeczno-gospodarcze, jeśli nie są wprost strategiami dysponentów władzy lub kapitału, mają charakter perswazji skierowanej do owych dysponentów lub – w krajach demokratycznych – służą mobilizowaniu opinii publicznej do wywarcia nacisku na dysponentów. W Polsce, a przynajmniej w zaborze rosyjskim, kanały takiego oddziaływania nie istniały.

Z początku zresztą samym nawet pozytywistom nie wydawały się niezbędne. Przemożny wpływ ekonomii klasycznej wychował dwa pokolenia intelektualistów naszych w przekonaniu, że uprzemysłowienie robi się samo: *pecunia flat ubi vult*, byle tylko nie stwarzać prawnych przeszkód. Toteż program pracy u podstaw zajmował się głównie tym, co samo zrobić się nie mogło, to znaczy oświatą ludu oraz wychowaniem klas wyższych w duchu mieszczańskiego racjonalizmu. Trzeba było czasu, aby sobie uświadomić to, o czym wiedzieli już Lubecki i List: że angielski model industrializacji samorzutnej nie powtórzy się w Europie środkowej i wschodniej. Pół wieku polskiego doświadczenia wykazało dowodnie, że przy wysokiej stopie procentowej kapitaliści – wyjąwszy nielicznych hazardzistów typu Steinkellera – stronią od ryzykownych lokat inwestycyjnych, nie dających gwarancji zysków szybkich i obfitych. Gwarancji takich mogło udzielić tylko państwo, ale odwoływanie się do państwa natrafiało na zrozumiałe bariery psychologiczne. Gospodarka była jedyną dziedziną życia polskiego, na której jeszcze nie spoczęła ciężka dłoń czynownika; te przedsiębiorstwa zaś – z Górnictwem Krajowym na czele – które przez czas dłuższy pozostawały we władaniu skarbu, zostały doprowadzone do ruiny przez skrajnie nieudolną i nieekonomiczną administrację, kompromitując doszczętnie samą ideę etatyzmu przemysłowego. „Żaden rząd nigdy dob-

rym przemysłowcem nie był i nie będzie" - twierdził Prus[98] i zdanie to było w latach siedemdziesiątych powszechnie podzielane.

Podstawowe założenie pracy organicznej polegało na budowaniu fundamentów nowoczesnej cywilizacji bez pomocy aparatu państwa zaborczego. Uzależnianie inicjatyw społecznych od poparcia petersburskich ministrów, cóż dopiero od skarbu państwa, byłoby przekroczeniem umownej granicy między legalnością a kolaboracją. Granicę tę przekraczać musieli ludzie interesu, na przykład Kronenberg czy Bloch, później przekraczali ją założyciele polskich oddziałów Towarzystwa Popierania Rosyjskiego Przemysłu i Handlu, a także takie organy opiniotwórcze, jak petersburski „Kraj" i warszawskie „Słowo". Zatrzymywali się przed nią natomiast ideologowie liberalizmu polskiego, którzy zresztą, choć w Warszawie tolerowani, liczyć by nie mogli na posłuch w dworskich salonach i urzędach. Nie najmniej wreszcie ważna była sprawa zatrudnienia dla polskiej inteligencji, o czym się już mówiło w jednym z poprzednich rozdziałów. Rugowana z urzędów, sądów i szkół, leśnictwa, w końcu i z państwowego banku, znajdowała jakie takie oparcie jedynie w sektorze prywatnym, zwłaszcza na kolei. Trudno się dziwić, że perspektywa etatyzacji dróg żelaznych nie budziła w Królestwie entuzjazmu.

Słowem, nie trzeba było koniecznie wierzyć w ewangelię leseferyzmu, aby do państwowej inicjatywy ekonomicznej odnosić się z największą rezerwą. Z drugiej strony bez państwa nie można się było obejść. Rosnąca skala imprez gospodarczych i wraz z nią rozszerzająca się lawinowo gestia prawa i nadzoru administracyjnego sprawiały, że żadne towarzystwo akcyjne nie mogło powstać bez koncesji, żadna kolej bez skarbowej gwarancji dochodów akcjonariuszy, żadna kopalnia bez nadania górniczego, żadna większa fabryka bez zamówień rządowych i przywilejów celnych na wwóz maszyn i surowca. Bez zezwolenia rządowego nie mogła powstać ani utrzymać się szkoła handlowa, tygodnik społeczno-literacki, teatr

[98] A. Głowacki, *Kronika miesięczna*, „Ateneum" 1876, w: B. Prus *Kroniki*, t. II, Warszawa 1953, s. 490. Szerzej o tym J. Jedlicki, *Nieudana próba kapitalistycznej industrializacji*, Warszawa 1964, s. 295–305, 349–356.

ogródkowy, kasa pomocy naukowej ani fundusz emerytalny. W państwie biurokratycznym – własnym czy obcym – nie można żyć, cóż dopiero rozwijać kraj, bez pewnego minimum codziennej kolaboracji. Sytuacja ta w zaborze rosyjskim dawała premię większej efektywności kierunkom ugodowym, natomiast program „samodzielności wewnętrznej" skazywała na coraz większą bezsilność, łatwo dyskontowaną zarówno przez konserwę, jak przez obóz rewolucyjny, a później także przez Ligę Narodową.

W końcu lat siedemdziesiątych carat zerwał definitywnie z liberalną polityką gospodarczą, przechodząc jednak nie do inicjatywy etatystycznej (domeną kontroli bezpośredniej i rosnącego zaangażowania kapitału państwowego pozostało ze względów strategicznych jedynie kolejnictwo), lecz do protekcjonizmu. Dla wzrostu przemysłowego Królestwa ta nowa polityka okazała się niezmiernie korzystna. Promowała ona jednak ten typ industrializacji, który z rozlicznych powodów najmniej przypadał do gustu ideologom wewnętrznej samodzielności. Otwierając bowiem pole przetargów o fawory ministerstwa finansów, protekcjonizm carski forytował te grupy kapitału, które mogły zorganizować najsilniejsze *lobby*. Największą siłę przebicia miał kapitał obcy o wysokim stopniu koncentracji, z hutnictwem i przemysłem włókienniczym na czele. Protekcjonizm przesądził więc ostatecznie o tym, że główny tor uprzemysłowienia Królestwa przyjął kierunek na poły kolonialny, w niewielkim stopniu zależny od miejscowych źródeł akumulacji i płytko oddziaływający na zakonserwowane struktury społeczne. Kilka wyspowych aglomeracji przemysłowych – Warszawa, Łódź, Zagłębie Dąbrowskie – wraz z rzadką siecią kolejową w małym stopniu zmieniało cywilizacyjny krajobraz Królestwa, ale w życie jego wprowadziło bakcyla *febris aurea*.

Nadspodziewanie raptowna infuzja kapitału obcego wywołała w społeczeństwie polskim obronną reakcję nacjonalistyczną. Przynajmniej część ziemiaństwa i mieszczaństwa, niezdolna do podjęcia rywalizacji na skalę wielkoprzemysłową, poczuła, że wymykają się z rąk korzyści, jakich można było oczekiwać od ochrony celnej połączonego rynku Królestwa i Cesarstwa. Dla inteligencji – jak już

była o tym mowa – podobne zagrożenie stwarzał ciągnący w ślad za kapitałami zastęp cudzoziemskich fachowców i zarządców. Reakcja ta, nakładając się na zadawnione resentymenty, kierowała się przede wszystkim przeciwko Niemcom, nieporównanie słabiej przeciw Francuzom i innym kapitałom romańskim (włoskim, belgijskim), także przecież skwapliwie inwestującym w Królestwie, zwłaszcza w górnictwo, hutnictwo i koleje. Gorączkę antygermanizmu podsycało niemieckie osadnictwo rolnicze, korzystające z ruchu parcelacyjnego: za tą podwójną inwazją czaił się groźny cień Bismarcka i jego antypolskiej czy antykatolickiej polityki, o której cała prasa Królestwa pisała tym obszerniej, im bardziej musiała milczeć o postępującej jednocześnie rusyfikacji i prześladowaniu unitów. Z antygermanizmem skojarzyła się w czasie nie mniej gwałtowna eksplozja agresywnego antysemityzmu, także czerpiącego z bogatego złoża odwiecznych uprzedzeń etnicznych i religijnych, podsycona rosyjską falą pogromową roku 1880–1881, która dotarła do Warszawy. Z rewolucją przemysłową eksplozja ta miała związek pośredni: protekcjonizm i grynderstwo zaostrzyły bowiem konkurencyjny wyścig o korzyści handlowe, zaś w wyścigu tym kapitaliści i kupcy żydowscy mieli zdecydowaną przewagę doświadczenia. W stosunkach wiejskich nasileniu się antagonizmu sprzyjał znaczny udział kapitałów żydowskich w parcelacji majątków oraz w organizacji pokątnego lichwiarskiego kredytu dla chłopów i dla szlachty.

Z tego splotu przyczyn psychologicznych, kulturowych i gospodarczych zrodził się wojujący nacjonalizm eks-postępowca Jana Jeleńskiego i redagowanej przezeń „Roli". Orientacja ta, konstytuując w Królestwie nieobecny dotąd obóz prawicy radykalnej, pozostać już miała trwałym składnikiem polskiego życia ideowego. Pod powłoką ekscytujących haseł programu niemal całkowicie negatywistycznego nietrudno odnaleźć liczne ślady frustracji i ciężkiego urazu adaptacyjnego doświadczanego przez stare warstwy społeczne – zwłaszcza ziemiaństwo i drobnomieszczaństwo – niezdolne i psychicznie, i finansowo dostosować się do tak nagle przyspieszonego rytmu zmian ekonomicznych. Rosnące zadłużenie majątków, realne zagrożenie deklasacją i ostre współzawodnictwo na

rynku były bardziej zrozumiałe, gdy dojrzało się za nimi cień obcego, drapieżnego kapitalisty.

Organiczników to zwekslowanie rywalizacji ekonomicznej na tory walki narodowej stawiało w położeniu wysoce kłopotliwym. Co najmniej od Supińskiego aksjomatem liberalnej inteligencji było przekonanie, że w kraju posiadającym nadmiar rąk roboczych przy dramatycznym niedoborze wolnych środków pieniężnych każdy nowy kapitał, bez względu na pochodzenie, i każda lokata inwestycyjna w rolnictwie lub przemyśle stają się zaczynem rozwoju. Kapitały obce miały ponadto tę dostrzeganą niekiedy zaletę, że krajowi opóźnionemu oszczędzały drastycznych doświadczeń pierwotnego nagromadzenia. Nic dziwnego, że liberalny „Ekonomista" w stagnacyjnych latach sześćdziesiątych tłumaczył, że nie trzeba się obawiać obcego ani żydowskiego kapitału, zwłaszcza jego lokat rolniczych, które podnosząc cenę ziemi, ułatwiają ogółowi właścicieli zaciąganie kredytów inwestycyjnych[99]. W miarę jak obawy pomimo wszystko narastały, jak zwłaszcza pomiędzy obywatelami ziemskimi odradzał się stary mit, że obcy wykupują ziemię szlachecką (jakby to nie od samej szlachty ją kupowali!), pozytywiści wystąpili z programem uczenia się od tych obcych przedsiębiorczości i pracy:

> Wszystko niemal – pisała „Niwa" w roku 1873 – oddaliśmy w obce ręce, dziś więc nie pozostaje nam nic lepszego, jeno własne ręce z temi obcemi połączyć i pracować wspólnie. [...] Żydzi i Niemcy nie będą nam w y d z i e r a l i majątków, jeżeli na stronie zostawiwszy ich wady, przejmiemy od nich zalety i zdolności[100].

Z upływem lat a napływem kapitałów obcych alarmistyczne tony będą się pojawiały coraz częściej w prasie pozytywistycznej. Już nie bardzo było wiadomo, czy ci obcy rozwijają krajową gospodarkę, czy odbierają Polakom najcenniejsze placówki pracy organicznej, wykupując za bezcen majątek narodowy. W roku 1876 wystawienie przez rząd carski na licytację nieczynnej Huty Bankowej i kopalń dąbrowskich wywołało z jednej strony zadowolenie z powodu

---

[99] Z.M., *O mniemanem podwyższeniu się ceny ziemi*, „Ekonomista" 1866, t. I, s. 34–39.

[100] *Słowo o stowarzyszeniach*, „Niwa" t. IV, 1873, s. 50.

zamknięcia niesławnego rozdziału skarbowej administracji górniczej, z drugiej - przestrach, gdy się okazało, że założone przez Kronenberga towarzystwo górniczo-hutnicze nie zdołało jeszcze rozprzedać akcji, zatem do licytacji stanąć nie może. Wtedy to Jan Finkelhaus, ekspert ekonomiczny „Gazety Handlowej" i „Przeglądu Tygodniowego", domagał się uprzywilejowania przez rząd konkurentów miejscowych, a Prus wołał: „Kto w tych warunkach kupi Dąbrowę? Nasi czy obcy? [...] Przez ciąg wielu pokoleń nauczyliśmy się pogardzać prawami ekonomicznymi i otóż dziś prawa te mszczą się na nas!"[101] Dąbrowę kupili Francuzi i kupili ją rzeczywiście tanio: ale w przeciągu paru lat na miejscu kompletnie zdewastowanych kopalń i pieców działał potężny i rentowny kombinat węglowo-hutniczy. Zyskał kraj czy stracił?

Odpowiedź nie była łatwa. Prus, który do tematu powracał raz po raz, wahał się wciąż w ocenach sytuacji. W zasadzie obcy kapitał widziałby chętnie, ale bez kapitalistów, zarządców, majstrów i kolonistów. To jednak w Królestwie nie dawało się zrobić. Za remedium służyć więc miała asymilacja. Napływ kapitalistów niemieckich przestanie być groźny, gdy zorganizujemy polskie rzemiosło i drobny przemysł, tworząc w ten sposób mieszczańskie środowisko asymilujące[102]. Na to bowiem, że powstanie rodzima polska burżuazja, która potrafi objąć kierownictwo życia gospodarczego kraju, liczono coraz mniej. Burżuazja w ogóle nie cieszyła się w „młodej prasie" dobrą opinią. Jak ongi, po powstaniu listopadowym, demokraci z emigracji odróżniali dobrą, patriotyczną średnią szlachtę od egoistycznej i kosmopolitycznej arystokracji, tak po powstaniu styczniowym obóz postępowy zastosował podobny schemat do warstw mieszczańskich. Poza brakiem patriotyzmu i poza „absolutyzmem interesu własnego", znajdującym wyraz w niechęci bankierów i przemysłowców do łożenia na cele oświatowe i kulturalne, organiczników odstręczało od burżuazji także jej ekonomiczne asekuranctwo, brak ducha pionierskiej przedsiębiorczości.

---

[101] J. Finkelhaus, *Sprzedaż zakładów górniczych w Dąbrowie*, „Przegląd Tygodniowy" 1876, s. 217; B. Prus, *Kroniki*, t. II, s. 492.

[102] A. Głowacki, *Szkic programu*, s. 44.

Pisząc swe niepolityczne *Wskazania polityczne* w roku 1882 Świętochowski – olśniony, jak tylu innych w owym czasie, otwierającymi się przed Królestwem perspektywami „podbojów handlowo-przemysłowych" – zdawał się jeszcze łudzić, że burżuazja polska w interesie własnym i kraju potrafi tę szansę wykorzystać. Później, widząc, że samodzielnie nie potrafi ona dokonać niczego, miał już dla niej tylko słowa pogardy. Gdy w roku 1889 finansiści belgijscy wykupili pakiet kontrolny akcji Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej i przejęli jej zarząd, Poseł Prawdy wypalił taką oto oracją do krajowych milionerów:

> Gdyby żył Leopold Kronenberg (ojciec), on by was nauczył, jak wielkie przedsięwzięcia krajowe ubezpiecza się przed wyzyskiem obcym. Wy nie macie o tym pojęcia, między wami brak ludzi w wielkim stylu; najbogatszy z was umie sprzedawać masło i robić grosz z grosza, ale obronić najważniejszą kolej od zaboru – to przechodzi jego rozum i odwagę pomimo trzynastorublowej dywidendy. Pokonani, wyzuci z własnego domu, Rothschildowie nasi zwracają błagalne modły do rządu, ażeby ich ratował i uchwał zgromadzenia akcjonariuszów nie zatwierdził. W całej tej sprawie zarysowali się całkowicie[103].

Podobnie zareaguje jeszcze kilka lat później, gdy Belgowie i Niemcy wygrają przetarg na elektryfikację Warszawy:

> Jeżeli Menelik abisyński da magistratowi korzystne warunki, a publiczności tanie światło i tanią jazdę tramwajową, głosuję za Menelikiem [...] A może ktoś przypuszcza, że zawsze mądre poniewczasie kapitały krajowe chwycą się elektryczności? Przy każdym nowym przedsięwzięciu ekonomiczno-finansowym rodzi się u nas z popiołów ta sama legenda [...] Ród starych Steinkellerów, Leopoldów Kronenbergów itp., ludzi śmiałych, pomysłowych, energicznych wygasł bezpotomnie i [...] nasz kapitał ciągle jeszcze marzy o procentach lichwiarskich. Dla niego otrzymywać 5 lub 7 procent z interesu, to „*faules Geschäft*"; dopiero od 10 zaczyna się „odrzucanie przyzwoite". Ponieważ zaś oświetlenie i tramwaje elektryczne to nie szynk lub lombard prywatny, którego wysokie zyski są pewne, więc nasz kapitał „potrzebuje się namyśleć", tj. „potrzebuje się schować"[104].

---

[103] A. Świętochowski, *Liberum veto*, t. II, s. 23–24.
[104] Ibidem, t. II, s. 226.

Przy takim układzie sił i takich zasadach kalkulacji walka z obcym kapitałem była papierowym frazesem. Już zresztą w roku 1880, w odpowiedzi na głośny i wielekroć wznawiany pamflet Jeleńskiego *Żydzi, Niemcy i my*, Świętochowski zwracał uwagę, że przeciwstawić się obcej przedsiębiorczości można tylko własną pracą gospodarczą, a nie broszurami[105], i przynajmniej do końca wieku zdania w tej sprawie nie zmienił. Broszur było coraz więcej, czytelników „Roli" także, ale ostatecznie przewrotu przemysłowego w Królestwie dokonał obcy kapitał z obcymi inżynierami, pod protekcją obcego państwa i produkując w znacznej mierze na rosyjski rynek.

Polska burżuazja, a wraz z nią część bogatego ziemiaństwa i inteligencji, zwłaszcza technicznej, związała w końcu swe kariery z tym ruchem przemysłowo-handlowym, nie będąc wszakże jego motorem[106]. Ale wiążąc się z nim, znalazła, rzecz charakterystyczna, oparcie moralne nie w liberalnej, lecz w konserwatywnej prasie. W tej dokonał się prawdziwy przełom, jeśli chodzi o stosunek do *businessu*. Publicyści staroziemiańskiej „Niwy" na początku lat osiemdziesiątych gromili jeszcze plutokrację i giełdę i przestrzegali przed entuzjazmem z powodu rozrostu „importowanego" przemysłu; ten bowiem, wywożąc towary na wschód, a zyski na zachód, bogaci jedynie cudzoziemców, gospodarstwo krajowe zaś podcina „oderwaniem tysięcy rąk od zdrowej produkcyjnej pracy około roli i przemysłu, który by rzeczywiście z kraju i dla kraju mógł wykwitnąć", a jeszcze na domiar złego ściąga na Polskę groźne chmury „kwestii socjalnej"[107]. Ale w całkiem już inne tony uderzyło neokonserwatywne „Słowo", stając od chwili swego założenia w roku 1882 na platformie ekonomicznej kolaboracji z carską administracją, co po części tłumaczyło się tym, że wielcy właściciele ziemscy, zagrożeni amerykańską konkurencją i kryzysem zbożowym, porzucali tradycyjną postawę wolnohandlową, oczekując i dla siebie

[105] Ibidem, t. I, s. 154–157.

[106] I. Pietrzak-Pawłowska, *Praca organiczna wobec wielkokapitalistycznych przemian*, „Przegląd Historyczny" 1963, s. 432–455.

[107] Mir, *Sprawy bieżące*, „Niwa", t. XVIII, 1880, s. 776–777.

korzyści z rynku chronionego. W „Słowie" można tedy było wyczytać niekłamaną radość z powodu „zadzierzgnięcia węzła pomiędzy Zachodem a Wschodem na polu produktów hodowli" i gorące poparcie dla „niewątpliwie brzemiennej w następstwa idei zrodzonej na gruncie wystaw inwentarza"[108]. Ta rolniczo-handlowa wersja polskiej misji cywilizacyjnej uzupełniona została wkrótce bezwarunkowym uznaniem dobrodziejstwa obcych kapitałów „w tych gałęziach przemysłu, do których nie cisną się kapitały miejscowe"[109]. Zrastały się interesy eksporterów.

Przyszłość ich nie była wszelako pewna. Premia eksportowa Królestwa miała trwać krótko, bo rewolucja przemysłowa ogarniała już Rosję samą, a rząd petersburski pod naciskiem rosyjskich przemysłowców zaczął – manipulując taryfami – chronić Moskwę przed konkurencyjną przewagą Łodzi i Sosnowca. Kapitały i inteligencja ruszały dalej na wschód. Pisarze konserwatywni i socjalistyczni prorokowali rychłe zamknięcie się rynków wschodnich i krach sztucznie pod protekcją celną nasadzonego przemysłu. Populistyczny „Glos" piórem Jana Ludwika Popławskiego dodawał do tego przestrogę moralną:

> Handlarskie te podboje znieprawiają naszą inteligencję [...] Dzisiaj już schodzić zaczynamy na stanowisko Żydów, przy zdobywaniu zaś rynków i rozszerzaniu zbytu – zupełnie zamienimy się na naród spekulantów i handlarzy. W Rosji i na Syberii roi się tysiące plugawych „polaczków" [...] geszeftmacherów, lichwiarzy – to właśnie pionierowie „podboju rynków wschodnich".

Dlatego właśnie – stwierdzał autor – tak nas w Rosji nie lubią. Niechaj więc sobie przemysłowcy wywożą, co i dokąd chcą, ale nie róbmy z tego „programatu"[110]. I teraz już nie było wiadomo, czy mu chodzi o program ideologów industrialnej cywilizacji, którzy

---

[108] *Ogólna wystawa produktów krajowych w 1884 roku*, „Słowo" 1883, nr 273.

[109] *Z dzienników rosyjskich. Kapitały zagraniczne w Rosji*, „Słowo" 1889, nr 3.

[110] J.L. Popławski, *Fantazje podbojowe*, „Głos" 1887, s. 481.

rozczarowali się do kapitalizmu, czy o program ideologów dworskich obór, którzy do kapitalizmu nabrali zaufania.

Bo w końcu dylemat liberalnych organiczników na tym polegał, że kolonialna modernizacja kraju okazała się jedyną realną i z punktu widzenia wzrostu przemysłowego efektywną, a jednak tak niewiele miała wspólnego z ich koncepcją rozwoju gospodarstwa narodowego. Ich program, jak powiedzieliśmy, nie miał wyraźnego adresu: nie mógł być przedstawiony ani dysponentom władzy, ani dysponentom kapitału. Był przedstawiany – „społeczeństwu", miał zatem jedynie charakter moralizatorsko-wychowawczy. Odżywała wprawdzie niekiedy idea jakiegoś rządu moralnego, który by opracowywał strategię działań zbiorowych i zyskał sobie autorytet dostateczny na to, aby ją klasom oświeconym narzucić. Do roli takiej pretendowali i konserwatyści (choć mniej wpływowi w zaborze rosyjskim niż w Poznańskiem i w Galicji), i pozytywiści; Prus zaś życzył sobie, aby istniejące stronnictwa opinii publicznej na drodze wzajemnych ustępstw i układów zlały się w jedno, „które by wiedzą i uczuciem ogarniało całość społeczeństwa"[111]. Jednakże rząd taki mógł istnieć przez chwilę w sześćdziesiątym trzecim roku: w czasie pokoju był zupełnie nierealny. Były więc idee, programy i felietony, tylko autorytetów i pieniędzy brakowało.

Warunkiem rozwoju organicznego było odkrycie wewnętrznych źródeł akumulacji. Nie wymagało to szczególnej inwencji: od stu lat, ilekroć brak było środków finansowania rozwoju gospodarczego, tylekroć prasa pisała o konieczności oszczędzania. Po roku 1864 pisała o tym – zwłaszcza ta umiarkowanie postępowa – aż do znudzenia. Hasło oszczędności, kierowane do klas o średnim dochodzie, ziemiaństwa i mieszczaństwa, zyskało bowiem nowy sens ekonomiczny dopiero z chwilą upowszechnienia się form kapitału zbieranego, anonimowego. Organicznikom nie szło o kultywowanie cnoty oszczędzania dla niej samej, tym mniej o zwężającą rynek tezauryzację, lecz o produkcyjne spożytkowanie nadwyżek: „Niechaj tylko pieniądze, chowane nieużytecznie, drobne i średnie połączą

[111] A. Głowacki, *Szkic programu*, s. 112–113.

się razem, a zobaczymy, że w kraju kapitałów nie brak. Ruszcie się tylko [...] ruszcie, drzemiące kapitały, a śmiało, a raźnie!"[112]. Ze spółkami akcyjnymi wiązano duże nadzieje ekonomiczne, społeczne i nawet wychowawcze: miały one być sposobem gromadzenia środków inwestycyjnych bez koncentrowania własności, a nawet bez centralizowania dyspozycji.

> Posiadacze więc drobnych kapitałów – pisał Henryk Elzenberg – starać się powinni o takie między sobą porozumienie, aby na rozwój wszelkiego rodzaju stowarzyszeń i przedsiębiorstw, w których udział biorą, wpływ wywierali. Jeżeli to w ogólności jest trudnem w towarzystwach wielkich (np. dróg żelaznych), w szczegółowych jednak stowarzyszeniach osiągnięcie tego wpływu jest możliwem. [...] Istnieje u nas zwyczaj dość zgubny, że na czele cokolwiek ważniejszych przedsiębiorstw stawać muszą nazwiska znane. Otóż mieszczaństwo średnie dążyć powinno do większej pod tym względem samodzielności, albowiem w ten tylko sposób nauczy się kierować własnemi sprawami[113].

Z małych oszczędności miały więc powstawać średnie kapitały, z nich niewielki, na polską miarę przemysł, przerabiający przede wszystkim miejscowe płody dla miejscowych spożywców. Nie polskie Manchestery i Birminghamy, lecz rękodzielnie i fabryczki rozrzucone po kraju, bardziej pracochłonne niż kapitałochłonne, bo trzeba było zapewnić chleb i fach bezrolnej masie wyrobniczej. Dla każdego narodu – rezonował Prus – istnieje inne maksimum rozwoju i samemu trzeba je wyznaczyć[114]. To polskie maksimum czy może raczej optimum rozwojowe miało być ekonomicznym fundamentem kultury mieszczańskiej, ale nie kapitalistycznej. Odróżnienie to w optyce pozytywistów miało znaczenie zasadnicze, obficie poświadczone przykładami także w literaturze powieściowej.

Można by zapewne uznać, że takie przeciwstawienie antycypowało w jakiejś mierze późniejszą popularną typologię Wernera Sombarta z jego podziałem na *Bürgernaturen* i *Unternehmernaturen*,

---

[112] *Zaniedbane korzyści*, „Niwa" t. III, 1873, s. 218.
[113] *Mieszczaństwo średnie*, „Niwa", t. II, 1872, s. 51.
[114] A. Głowacki, *Szkic programu*, s. 123.

jednak nie bez istotnych zastrzeżeń. Z jednej bowiem strony, jak widzieliśmy, Świętochowski właśnie bogatej burżuazji polskiej zarzucał brak ducha przedsiębiorczości i ryzyka, tchórzliwość inwestycyjną. Z drugiej strony od średniego mieszczaństwa oczekiwano, przynajmniej w dojrzałej publicystyce programowej, nie sklepikarskiego sknerstwa, nie owego „smażenia konfitur", z których tak niemiłosiernie podrwiwać sobie będzie Jan Kott, czyniąc z nich symbol uwiądu pozytywistycznej ideologii[115], lecz oczekiwano właśnie przedsiębiorczości produkcyjnej, tworzenia nowych warsztatów pracy. Jak dla industrialistów epoki Oświecenia, tak i teraz wzorem ekonomicznym był nie kupiec, nie bankier, nie Wokulski, lecz przemysłowiec lub światły i nowoczesny rolnik. Wypada, jak sądzę, zgodzić się z Marią Ossowską, która w uprzejmej polemice z Kottem zwracała uwagę na aktywizujący charakter polskiego Franklinizmu[116].

Różnicę między ówczesnymi modelami mieszczańskiego i kapitalistycznego etosu gospodarczego precyzyjnie uchwyciła Maria Żmigrodzka w studium o Orzeszkowej. Grynderski kapitalizm był dla liberałów tego pokolenia „bezwzględną rywalizacją jednostkowych egoizmów", prowadzącą do dzikiej anarchii rynku i społecznego „żywiołu bezrządu". „Orzeszkowa rozumiała i wysoko ceniła historyczną rolę kapitalizmu w wyzwoleniu jednostki, w stworzeniu pojęcia wartości osobowości ludzkiej [...] Jednocześnie jednak religia indywidualizmu, koncepcja suwerenności jednostki była jej zawsze obca. [...] Zarówno «obywatelskie» tradycje szlacheckie, jak przyjęty ideał «służby» prowadziły do podporządkowania interesów jednostki zbiorowości, do przekonania o konieczności silnego z a k o r z e n i e n i a indywiduum w sferze pojęć i wartości społecznych"[117]. To stwierdzenie odnieść można w zasadzie do całego nurtu, choć nikt z jego uczestników nie dorównywał Orzeszkowej,

---

[115] J. Kott, *O „Księżniczce" Zofii Urbanowskiej*, w zbiorze studiów: *Pozytywizm*, cz. I, Wrocław 1950, s. 247.

[116] M. Ossowska, *Moralność mieszczańska*, Łódź 1956, s. 93–97.

[117] M. Żmigrodzka, *Orzeszkowa: młodość pozytywizmu*, Warszawa 1965, s. 180–181.

jeśli chodzi o wyostrzoną świadomość moralnych konsekwencji i antynomii epoki modernizacji.

W przekładzie na kategorie ekonomiczne propaganda moralności mieszczańskiej oznaczała dążenie do wzrostu miarowego bez wielkich migracji ludnościowych i bez ostrej polaryzacji klasowej. Chciało się widzieć Polskę jako kraj licznej i gospodarnej „klasy średniej", a nie burżuazyjnych rekinów i bezdomnych tłumów proletariackich. Cząstkowa i dobrowolna parcelacja, stymulowana przez organizację taniego kredytu włościańskiego (którego wciąż nie było i o którego potrzebie pisano bez końca), przyczynić się miała do ześredniaczenia wsi i podźwignięcia chłopskiej uprawy. Upowszechnianie elementarnej oświaty, higieny i medycyny miało uprzystępnić warstwom ludowym udział w podstawowych dobrodziejstwach cywilizacji. Asymilacja Żydów miała ich włączyć w skład polskiego mieszczaństwa i inteligencji. Wreszcie demokratyzacja obyczajowa, do której przywiązywano szczególną wagę, miała znieść najtrwalszą kastową cechę „socjologii szlacheckiej": podział na towarzystwo i lud. Bo było to w kraju, w którym zagłodzony student weterynarii Stefan Żeromski przeżywał męki wstydu, gdy nie mając na napiwek dla wielekroć zamożniejszego stróża, sam sobie – chyłkiem i po nocy – musiał przynieść wiadro wody na swoje nędzne poddasze[118]. Od czasu *Przestróg* Staszica – pisał Świętochowski – zmieniliśmy się bardzo, ale mimo to „jesteśmy dotąd może najmniej zdemokratyzowanym narodem w Europie"[119].

Projekt spłaszczenia biegunów wielkopaństwa i nędzy, przy stopniowej i względnej egalitaryzacji podstawowych wymiarów kondycji ludzkiej – własności, dochodu, komfortu, obyczaju i wykształcenia – był czymś całkowicie odmiennym od dialektycznego projektu dojścia do egalitaryzmu doskonałego przez uprzednią ekstremalizację nierówności. Rzecznicy obu projektów nawzajem oskarżali się o utopizm. Prus uważał socjalizm za taką szkołę socjo-

[118] S. Żeromski, *Dzienniki*, t. IV, Warszawa 1965, s. 29–30.

[119] A. Ś[więtochowski], *Walka o byt*, cz. II, *Socjologia szlachecka*, „Prawda" 1883, s. 13.

logiczną, „według której społeczeństwo można urabiać jak ciasto". Swój własny zaś program bardziej równomiernego rozdziału ziemi i narzędzi pracy, własności i fortun godził się uznać za skromny, ale za to liczący się z naturą ludzką i z realiami społecznymi: przez Alpy – tłumaczył – można wiercić tunele, ale Alp nie można usunąć[120].

Niemniej jednak wiercenie tuneli w już istniejącym masywie kapitalistycznym było dla organiczników zadaniem i praktycznie, i nawet teoretycznie niewykonalnym. Byli w większości zwolennikami działania na rzecz poprawy warunków pracy i płacy robotników w drodze reform prawnych oraz rozwiązywania konfliktów między robotnikami a przedsiębiorcami w drodze negocjacji i rozjemstwa. Interesowali się zachodnimi w tej dziedzinie doświadczeniami, ustawodawstwem pracy, reformatorsko-opiekuńczymi koncepcjami rzeczników „socjalizmu państwowego". Były to jednak doświadczenia i koncepcje nieprzystające zgoła do politycznych warunków rosyjskiego imperium. Paradoksalnie, w państwach liberalnych, dopuszczających organizacje zawodowe i polityczne klasy robotniczej i nacisk opinii publicznej, łatwiej było uzyskać odgórne ograniczenie liberalnej arbitralności kapitału niż w autokratycznym państwie carów, zezwalającym zrzeszać się przedsiębiorcom, ale nie robotnikom, tworzyć kartele, ale nie związki zawodowe. Inspekcja fabryczna powstała tu późno i z bardzo ograniczonymi kompetencjami.

Choć więc polska myśl ekonomiczna wyraźnie ewoluowała od założeń klasycznego liberalizmu ku uznaniu arbitrażowej roli państwa i prawa i przyswajała sobie niejedną z idei reformizmu socjaldemokratycznego, choć Konstanty Wzdulski już w roku 1875 stwierdzał „w najważniejszych objawach czynności ekonomicznej naszych czasów ów nierozerwalny węzeł wspólności interesów jednostki z ogółem, obywatela z państwem"[121] – to przecież w Króles-

[120] A. Głowacki, *Polemika*, „Przegląd Tygodniowy" 1883, w zbiorze: *Początki marksistowskiej myśli ekonomicznej w Polsce*, s. 124, 129.

[121] K. Wzdulski, *Idea państwa w stosunku do zasad nauki gospodarstwa społecznego*, Warszawa 1875, s. 14. Zob. też J. Jedlicki, *Nieudana próba*, s. 297–299, oraz T. Kowalik, *Ekonomia liberalna a program pracy organicznej*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki", R. XVII, 1972, s. 669–678.

twie wszystko to pozostawało tylko deklaracją zasad i nie dawało się przełożyć na język postulatów rzeczowych. Z przekąsem pisało się u nas o reformach socjalnych Bismarcka, nie tyle zresztą ze względu na ich treść, co ze względu na cel i sposób ich wprowadzania – razem z ustawami wyjątkowymi przeciw socjalistom. Ale od Bismarcka do Pobiedonoscewa było jeszcze daleko. Zapraszać prawników i żandarmów Aleksandra III do pełnienia roli rozjemców – w tym specjalizowali się żyrardowscy czy łódzcy fabrykanci, ale jednak robić tego nie wypadało szanującemu się publicyście. O to państwo opiekuńcze – opiekuńcze względem kapitału – rozbijała się koncepcja demokratycznych reform i tu zarazem był najmocniejszy punkt idei socjalnej rewolucji.

Trzeba było dopiero intensywnej niechęci populistów z grupy „Głosu" do zasad wolnej konkurencji, aby uznać, że interwencja i arbitraż państwa, nawet takiego, jakie jest, mogłyby jednak powściągnąć drapieżność i samowolę kapitalistów. „Głos" śledził stale wyniki działania inspektorów fabrycznych, popularyzował doktrynę Rodbertusa, postulującego państwową reglamentację warunków najmu w celu zabezpieczenia wzrostu płac współmiernego ze wzrostem wydajności pracy[122]. Józef Potocki (Bohusz) w panowaniu nieokiełznanego indywidulizmu widział powrót do stanu d z i k o ś c i: konkurencja niszczy osobowość ludzką, premiuje nie dzielność i sprawność, lecz bezwzględność i spryt, więcej energii społecznej trwoni, niż wyzwala. Postępem jest każde jej ograniczenie: zarówno przez monopole, jak przez *trade-uniony*, jak przez władzę państwową. Był Potocki stałym czytelnikiem i komentatorem angielskiej zwłaszcza literatury społeczno-ekonomicznej. Tłumaczonemu przez siebie Spencerowi miał za złe jego nieufność względem władzy, jego obawę, że rozrost gestii państwa doprowadzi do nowego niewolnictwa i systemu masowej pracy przymusowej. Bardziej trafiały mu do przekonania fabiańskie idee racjonalizacji życia

[122] Podobne rozwiązanie zalecał związany z socjaldemokracją ekonomista niemiecki Max Schippel, którego książka (ocenzurowany przekład polski: *Nędza dzisiejsza i dzisiejsze przeludnienie*, Warszawa 1886) należała do kanonu lektury polskich socjalistów tej doby.

gospodarczego przez wprowadzenie doń elementów planowania, z tym że dla Potockiego probierzem oceny każdego systemu były etyczne zasady współdziałania, a nie efektywność ekonomiczna[123].

Populiści jednak, tak samo jak liberalni organicznicy, nie mogli wyplątać się z pułapki, w jakiej grzęzła każda recepcja zachodnich idei w państwie autorytarnym. Wychowankowie epoki „nauki społecznej" nauczyli się lekceważyć w swych analizach i programach siłę realiów ustroju p o l i t y c z n e g o, uważanego za wtórny względem systemu organizacji społecznej. Wskutek tego zależność zachodząca między wolnością słowa i zrzeszeń a szansami ograniczenia swobody wyzysku wypadała z pola ich widzenia, a zresztą i tak nie mogła znaleźć sposobu jawnej artykulacji. Największym ze złudzeń demokratycznych okazało się to, o którym Krzywicki n i e wspomniał nawet aluzyjnie: złudzenie, że można zdemokratyzować strukturę społeczną w państwie niedopuszczającym żadnych form demokracji politycznej.

Nie radząc sobie z problemem państwa, a wraz z tym nie radząc sobie z zastosowaniem do miejscowych warunków idei kapitalizmu k o r y g o w a n e g o, polska myśl liberalno-demokratyczna usiłowała oba te zagadnienia wyminąć, rozbudowując program rozwoju spółdzielczego. Wielu współczesnych i późniejszych komentatorów tego programu chciało w nim widzieć tylko wyraz drobnomieszczańskiego lęku przed kapitalizmem, zaostrzeniem się antagonizmów społecznych i ruchem robotniczym. Jednakże troska o łagodzenie antagonizmów, o wzrost sił produkcyjnych społeczeństwa bez wywłaszczania wytwórców z ich warsztatów pracy może być uwarunkowana przyjętym systemem wartości, a nie koniecznie strachem. W liberalizmie Spencerowskiego typu więzi dobrowolnej „asocjacji" przeciwdziałać miały dezintegrującym skutkom indywidualnego wyścigu gospodarczego i statusowego. O dodatkowych powodach, skłaniających polskie stronnictwo postępowe do popierania każdej w ogóle formy stowarzyszania się, mówiliśmy w poprzednim rozdziale.

[123] J.K. Potocki, *Współzawodnictwo i współdziałanie*, „Głos" 1891, zwłaszcza s. 195, 210, 244, 269.

Liberalny „Ekonomista" od roku 1865 zamieszczał dziesiątki tłumaczeń i artykułów własnych zalecających wszelkiego typu stowarzyszenia i spółki. Nie zawsze przy tym łatwo ustalić, kiedy autorom chodziło o wspomniane już wyżej spółki kapitału, kiedy zaś raczej o spółdzielnie pracy: główna idea polegała bowiem właśnie na zespalaniu wkładów pracy i kapitału, nie na ich rozdzielaniu[124]. Niemniej z mgławicowej nieco propagandy „spółek" wyłaniała się coraz wyraźniej idea „stowarzyszeń ludowych" jako *antidotum* przeciwko lichwie i pauperyzacji i jako środek podźwignięcia drobnej produkcji[125]. „Jeden jest tylko środek do wyrwania najniższej warstwy społeczeństwa z otchłani nędzy i ciemnoty, w jakiej dziś zostaje: środkiem tym jest *stowarzyszenie-asocjacja*" – pisał publicysta ekonomiczny, Mścisław Trepka, zalecając tworzenie włościańskich stowarzyszeń zaliczkowych i handlowych, a w dalszej przyszłości wspólnot własności i produkcji, o ile tylko udałoby się przezwyciężyć indywidualizm zakorzeniony w naturze ludu wiejskiego[126]. Przez co najmniej dwa dziesiątki lat ogromną popularnością w polskim piśmiennictwie społeczno-gospodarczym cieszyły się projekty i realizacje spółdzielcze Schulzego z Delitzsch[127]. Józef Kirszrot wytrwale propagował spółdzielnie pracy i spółdzielnie spożywców jako środek przełamania monopolu kapitału przemysłowego i handlowego[128]. Finansowe podstawy spółdzielczości zabezpieczyć miały „banki ludowe", najlepiej także spółdzielcze, gromadząc drobne oszczędności świata pracy i przekształcając je w niskoprocentowy

[124] A. Nagórny, *Znaczenie ekonomiki w cywilizacji nowoczesnej*, „Ekonomista" 1865, t. IV, s. 1–12; J.M., *O stowarzyszeniach i spółkach handlowych*, ibidem, s. 24–44 i in. Por. K. Libelt, *Koalicja kapitału i pracy*, Poznań 1868.

[125] Estivant, *Kredyt ludowy*, „Ekonomista" 1866, t. I, s. 241–251; t. II, s. 132–139.

[126] M. Trepka, *O stowarzyszeniach między ludem wiejskim*, „Ekonomista" 1866, t. II, s. 1–17.

[127] Zob. o tym m.in. E. Przewóski, *Zarysy gospodarstwa krajowego*, „Głos" 1888, s. 221; M. Żmigrodzka, *Orzeszkowa*, s. 184–185.

[128] J. Kirszrot, *Stanowisko stowarzyszeń ludowych w ekonomice*, „Ekonomista" 1866, t. II, s. 155–185.

kredyt produkcyjny[129]. Od tego niedaleko już było do śmielszych fantazji ekonomicznych. W bojowych latach „obozu młodych" redakcja „Opiekuna Domowego" wierzyła serio, że robotnicy, łącząc oszczędności i pracę w stowarzyszeniach wytwórczych i solidarnie zaciągając kredyt, mogliby „w krótkim czasie mieć własne fabryki"[130]. Wtórowała mu „Niwa", dowodząc, że spółdzielcza własność umożliwi robotnikom posiadanie „wszelakich zakładów przemysłowych, w których od dawna zużywali swe siły"[131].

Robotnicze fabryki – nawet, jeśli miało się na myśli niewielkie rękodzielnie – były utopią tak w Polsce, jak na Zachodzie. Inaczej rzecz się miała z kasami pożyczkowymi i spółdzielczością handlowo-rolniczą: w Królestwie usiłowania zmierzające w tym kierunku spełzły wprawdzie na niczym, zniechęcając do idei spółdzielczych obóz pracy organicznej; jednakże w wielu krajach Europy, a nawet w Poznańskiem i Galicji doświadczenia zasługiwały w każdym razie na uwagę. W końcu lat osiemdziesiątych ruch kooperatywistyczny odradzał się z wigorem na Zachodzie i zyskał sobie poważnych teoretyków z Charlesem Gide na czele. W zaborze rosyjskim „Głos" stał się głównym ruchu tego eksponentem, a Edward Przewóski elokwentnym sprawozdawcą i obrońcą. Odżywały po dwudziestu latach nadzieje na spółdzielczą koalicję pracy i kapitałów. Obserwatorzy bardziej sceptyczni, wśród nich Hłasko, widzieli w spółdzielczości cenny margines zdominowanego przez wielki kapitał życia gospodarczego, raczej szkołę współdziałania niż dźwignię rozwoju[132]. Przewóski i Potocki byli większymi optymistami. Skoro kooperatywy okazywały się zdolne do utrzymywania się na rynku w rywalizacji z przedsiębiorstwami kapitalistycznymi, to okrzepłszy – wierzyli wraz z Gidem – staną się zdolne do wypierania

---

[129] Duval, *Ekonomika przemysłowa. Stowarzyszenia współdziaławcze*, „Ekonomista" 1870, s. 231–247, 427–455; *O stowarzyszeniach spółdzielczych*, „Niwa" t. IV, 1873, s. 76–79.

[130] *Jeszcze w kwestii pracy*, „Opiekun Domowy" 1873, s. 34 (przyp. red.).

[131] *Stowarzyszenia spółdzielcze*, „Niwa" t. V, 1874, s. 217–219.

[132] J. Kniażyc [J. Hłasko], *Ruch współdzielczy w Anglii*, „Głos" 1891, s. 473–474, 484–486 (omówienie artykułu Schulze-Gävernitza).

systemu pracy najemnej. Czymże zaś innym miał być socjalizm, jeśli nie „ustrojem współdzielczym", zwycięstwem „zasady współdziałania", nad „zasadą współzawodnictwa"?[133] Dla ludowców było nie do pomyślenia, aby przejście do wyższego ustroju mogło się dokonać przez ekonomiczną degradację chłopów i robotników, przez dehumanizację pracy i stosunków społecznych.

Wizja powszechnego uspółdzielczenia nie miała się spełnić, ale także spełnić się nie miała wizja powszechnego rozwarstwienia. „Kwestia natychmiastowego p o ż a r c i a kapitału małego przez wielki i małej produkcji przez wielką nie jest dziś jeszcze tak absolutnie przesądzoną" - pisał Przewóski w roku 1889 i nie omylił się[134]. Prawa rozwoju okazały się trudno czytelne. Gospodarstwo społeczne, także w krajach bardziej od Polski rozwiniętych i bogatszych, uparcie funkcjonowało w ramach eklektycznej wielości form, a wzajemne oddziaływania jego sektorów - państwowego, prywatno-kapitalistycznego, spółdzielczego, drobnotowarowego i naturalnego - były znacznie bardziej powikłane, niż się to zdawało twórcom wszystkich wielkich systemów dziewiętnastowiecznej ekonomii politycznej.

Każda postulatywna prognoza ekonomiczna budowana była na fundamencie jakiejś utopii moralnej. Polska utopia demokratyczna - w wersji liberalnej czy populistycznej - nie była wcale bardziej sielankowa i odrealniona niż inne. Zastanowienie się nad historią małych krajów - takich jak Dania lub Szwajcaria - które do dobrobytu zmierzały przez wzrost kultury chłopskiej, spółdzielczość i wysoki standard rzemiosła oraz drobnego przemysłu, każe w tych inteligenckich projektach ujrzeć coś więcej niż iluzje będące odzwierciedleniem punktu widzenia klas „skazanych na zagładę". Odgadując przyszły bieg procesów gospodarczych raz trafnie, raz

[133] J.K. Potocki, *Nowa krytyka Marxa*, „Głos" 1891, s. 147-148; tegoż, *Współzawodnictwo i współdziałanie*, „Głos" 1891, s. 244; E. Przewóski, *Ruch kooperacyjny w Europie zachodniej*, „Głos" 1889, s. 166; tegoż, *O kooperacyję*, „Głos" 1891, s. 509-510, 520-522; i in.

[134] E. Przewóski, *Ruch kooperacyjny w Europie*, s. 166.

błędnie, korygować ich w warunkach polskiej bezsilności ideologowie demokratyczni nie mogli. Tym nie różnili się od innych.

Większy, choć niewymierny mógł być ich wpływ na myślenie ekonomiczne inteligencji. Z tego punktu widzenia dwie cechy ideologii demokratycznych epoki pozytywizmu wydają się godne uwagi. Po pierwsze, zrozumienie, że industrializacja kraju, burząc rutynę osiadłego życia, jest dla wielu warstw ludności procesem traumatycznym, a zatem zadaniem programów społecznych powinna być troska o ułatwienie adaptacji, o stopniowanie przejść. Po drugie, świadomość, że mnożenie i dzielenie produktu społecznego są operacjami nierozłącznymi i ułomny jest program, który tylko w jednej z nich pokłada swoje nadzieje.

Oczywiście, program polskich demokratów schyłku stulecia był także na swój sposób ułomny i nie wolny od złudzeń. Któż od nich mógł być wolny, przynajmniej w carskim zaborze? Chyba tylko ideologowie polsko-rosyjskiego kartelu żelaza i stali. Bo już realizm stronnictwa „polityki realnej", które uległością polityczną kupić chciało autonomię kulturalną, był co najmniej wątpliwy.

Gdzie ofiarność inteligenckich „siłaczek" i „farysów demokratyzmu" zastąpić miała nieistniejące własne państwo i społeczne reformy, gdzie ocenzurowany artykuł w tygodniku zastąpić miał ustawę, dobroczynna składka – podatek na cele narodowe, a tajne kółko robotnicze – związek zawodowy, tam każda próba przeniknięcia przyszłości, tym bardziej wola jej s t w a r z a n i a, żywić się musiała złudzeniami. Autorom programowych manifestów, jawnych i konspiracyjnych, społecznikom i agitatorom zdawać się mogło i musiało, że toczą między sobą walkę o to, kto uchwyci ster dziejów i w jakie je skieruje łożysko, przez jaką doktrynę wyżłobione. Naprawdę zaś – pod czujnym okiem cenzora, żandarma i szpiega – spierali się zaciekle o hierarchię wartości, o sens ofiary i o zwiewny kształt nadziei, bez której spokorniały naród martwieje w jałowiźnie powszedniej egzystencji.

Z. 462852

Bibliografia ważniejszych opracowań

Assorodobraj Nina, *Początki klasy robotniczej: problem rąk roboczych w przemyśle polskim epoki stanisławowskiej*, wyd. II, Warszawa 1966.

– Wstęp do: Joachim Lelewel, *Dzieła*, t. II: *Pisma metodologiczne*, Warszawa 1964.

Baczko Bronisław, *Henryka Kamieńskiego system filozofii społecznej* [posłowie do:] Henryk Kamieński, *Filozofia ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa z dodaniem mniejszych pism filozoficznych*, Warszawa 1959.

– *Rousseau: samotność i wspólnota*, Warszawa 1964.

Barszczewska-Krupa Alina, *Emigracja i kraj: wokół modernizacji polskiej świadomości społecznej i narodowej 1831–1863*, Łódź 1999.

Baumgarten Leon, *Dzieje Wielkiego Proletariatu*, Warszawa 1966.

Berend Ivan T., *The European periphery and industrialization, 1780–1914*, Cambridge 1982.

Blejwas Stanislaus A., *Realism in Polish politics: Warsaw positivism and national survival in nineteenth century Poland*, New Haven 1984.

Brykalska Maria, *Aleksander Świętochowski*, t. I–II, Warszawa 1987.

– *Aleksander Świętochowski redaktor „Prawdy"*, Wrocław 1974.

Chałasiński Józef, *Kultura i naród: studia i szkice*, Warszawa 1968.

Chrzanowski Ignacy, *Optymizm i pesymizm polski. Studia z historii kultury*, Warszawa 1971.

Chwalba Andrzej, *Polacy w służbie Moskali*, Warszawa–Kraków 1999.

Ciolkoszowie Lidia i Adam, *Zarys dziejów socjalizmu polskiego*, t. I, Londyn 1966.

Czepulis-Rastenis Ryszarda, *Myśl społeczna twórców Towarzystwa Rolniczego (1842–1861)*, Wrocław 1964.

– *Ludzie nauki i talentu: studia o świadomości społecznej inteligencji polskiej w zaborze rosyjskim*, Warszawa 1988.

Danek Wincenty, *Józef Ignacy Kraszewski*, Warszawa 1973.

Elias Norbert, *Przemiany obyczajów w cywilizacji Zachodu*, przeł. T. Zabłudowski, Warszawa 1980.

Epsztein Leon, *L'Économie et la morale aux débuts du capitalisme industriel en France et en Grande-Bretagne*, Paris 1966.

Fabre Jean, *Stanislas-Auguste Poniatowski et l'Europe des Lumières: étude de cosmopolitisme*, Paris 1952.

Feldman Wilhelm, *Dzieje polskiej myśli politycznej w okresie porozbiorowym*, t. II (*Od roku 1863 do końca XIX w.*), Kraków [1918].

Gella Aleksander, *Wawrzyniec Surowiecki*, Wrocław 1958.

Gerschenkron Alexander, *Economic backwardness and historical perspective: a book of essays*, Cambridge, Mass. 1962.

Górski Janusz, *Polska myśl ekonomiczna a rozwój gospodarczy 1807–1830: studia nad początkami teorii zacofania gospodarczego*, Warszawa 1963.

Grabski Andrzej Feliks, *Troski i nadzieje: z dziejów polskiej myśli społecznej i politycznej XIX wieku*, Łódź 1981.

Grodek Andrzej, *Wybór pism*, t. I: *Studia z historii myśli ekonomicznej*, Warszawa 1963.

Haecker Emil, *Historja socjalizmu w Galicji i na Śląsku Cieszyńskim*, t. I: *1846–1882*, Kraków 1933.

Handelsman Marceli, *Rozwój narodowości nowoczesnej*, wyd. II, opr. T. Łepkowski, Warszawa 1973.

Hazard Paul, *Myśl europejska w XVIII wieku od Monteskiusza do Lessinga*, przeł. H. Suwała, Warszawa 1972.

Homola-Dzikowska Irena, *Pamiętnik Historyczno-Polityczny Piotra Świtkowskiego 1782–1792*, Kraków 1960.

Idea społeczeństwa komunistycznego w pracach klasyków marksizmu, red. Jerzy Szacki, Warszawa 1977.

Idee i koncepcje narodu w polskiej myśli politycznej czasów porozbiorowych, red. Janusz Gołckowski i Andrzej Walicki, PTH: Prace XI Powszechnego Zjazdu Historyków, Warszawa 1977.

Inteligencja polska pod zaborami: studia, red. Ryszarda Czepulis-Rastenis, Warszawa 1978.

Inteligencja polska XIX i XX wieku: studia, t. II–VI, red. Ryszarda Czepulis-Rastenis, Warszawa 1981-1991.

Janion Maria, Żmigrodzka Maria, *Romantyzm i historia*, Warszawa 1978.

Janowski Maciej, *Polska myśl liberalna do 1918 roku*, Kraków–Warszawa 1998.

Jaszczuk Andrzej, *Spór pozytywistów z konserwatystami o przyszłość Polski 1870–1903*, Warszawa 1986.

Jedlicki Jerzy, *Nieudana próba kapitalistycznej industrializacji: analiza państwowego gospodarstwa przemysłowego w Królestwie Polskim XIX w.*, Warszawa 1964.

– *Świat zwyrodniały: lęki i wyroki krytyków nowoczesności*, Warszawa 2000.

Kamionka-Straszakowa Janina, *Nasz naród jak lawa: studia z literatury i obyczaju doby romantyzmu*, Warszawa 1974.

Karpiński Wojciech, *Polska a Rosja: z dziejów słowiańskiego sporu*, Warszawa 1994.

Kizwalter Tomasz, *Kryzys Oświecenia a początki konserwatyzmu polskiego*, Warszawa 1987.

– *„Nowatorstwo i rutyny": społeczeństwo Królestwa Polskiego wobec procesów modernizacji (1840–1863)*, Warszawa 1991.

– *O nowoczesności narodu: przypadek polski*, Warszawa 1999.

Klarnerówna Zofia, *Słowianofilstwo w literaturze polskiej lat 1800 do 1846*, Warszawa 1926.

Kostkiewiczowa Teresa, *Oświecenie: próg naszej współczesności*, Warszawa 1994.

Kowalik Tadeusz, *Historia ekonomii w Polsce 1864–1950*, Wrocław–Warszawa 1992.

Krasuski Jerzy, *Obraz Zachodu w twórczości romantyków polskich*, Poznań 1980

Kraushar Aleksander, *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk 1800–1832*, księgi 1–4, Kraków–Warszawa 1900–1906.

Król Marcin, *Konserwatyści a niepodległość: studia nad polską myślą konserwatywną XIX wieku*, Warszawa 1985.

Krzemień-Ojak Krystyna, *Maurycy Mochnacki: program kulturalny i myśl krytyczno-literacka*, Warszawa 1975.

Kula Witold, *Historia, zacofanie, rozwój*, Warszawa 1983.

Kulecka Alicja, *Między słowianofilstwem a słowianoznawstwem: idee słowiańskie w życiu intelektualnym Warszawy lat 1832–1856*, Warszawa 1997.

Liebich André, *Between ideology and utopia: the politics and philosophy of August Cieszkowski*, Dordrecht 1978.

Ludwikowski Rett, *Główne nurty polskiej myśli politycznej 1815–1890*, Warszawa 1982.

– *Konserwatyzm Królestwa Polskiego w okresie międzypowstaniowym (z rozważań nad ideologią i polityką)*, Kraków 1976.

Markiewicz Henryk, *Pozytywizm*, Warszawa 1978.

Miąso Józef, *Szkolnictwo zawodowe w Królestwie Polskim w latach 1815–1915*, Wrocław 1966.

Michalski Jerzy, *Rousseau i sarmacki republikanizm*, Warszawa 1977.

Modzelewski Wojciech, *Naród i postęp: problematyka narodowa w ideologii i myśli społecznej pozytywistów warszawskich*, Warszawa 1977.

Molska Alina, *Model ustroju socjalistycznego w polskiej myśli marksistowskiej lat 1878–1886*, Warszawa 1965.

– Wstęp do: *Pierwsze pokolenie marksistów polskich: wybór pism*, opr. Alina Molska, t. I, Warszawa 1962.

Nisbet Robert A., *Social change and history: aspects of the Western theory of development*, New York 1969.

Ossowska Maria, *Moralność mieszczańska*, Łódź 1956.

Pepłowski Franciszek, *Słownictwo i frazeologia polskiej publicystyki okresu Oświecenia i Romantyzmu*, Warszawa 1961.

[Perl Feliks] Res, *Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim (do powstania PPS)*, wyd. II, Warszawa 1958.

Piątkowski Wiesław, *J.C.L. Simonde de Sismondi: teoria ekonomiczna*, Warszawa 1978.

Pieróg Stanisław, *Maurycy Mochnacki: studium romantycznej świadomości*, Warszawa 1982.

Political economy and national realities, ed. Manuela Albertone and Alberto Masoero, Torino 1994.

Polska myśl filozoficzna i społeczna, t. I: *1831–1863*, red. Andrzej Walicki, Warszawa 1973; t. II, red. Barbara Skarga, Warszawa 1975.

Pomian Krzysztof, *Europa i jej narody*, Przeł. M. Szpakowska, Warszawa 1992.

Problemy polskiego romantyzmu, seria I, red. Maria Żmigrodzka i Zofia Lewinówna, Wrocław 1971.

Przybylski Ryszard, *Klasycyzm czyli Prawdziwy koniec Królestwa Polskiego*, Warszawa 1983.

Pusz Wiesław, *„Nowy Parnas" przedromantycznej Warszawy: Bruno Kiciński i grono jego współpracowników*, Wrocław 1979.

Raszewski Zbigniew, *Staroświecczyzna i postęp czasu: o teatrze polskim (1765–1865)*, Warszawa 1963.

Roszkowski Antoni, *Poglądy społeczne i ekonomiczne Augusta Cieszkowskiego*, Poznań 1923.

Samsonowicz Henryk, *O „historii prawdziwej": mity, legendy i podania jako źródło historyczne*, Gdańsk 1997.

Serejski Marian Henryk, *Europa a rozbiory Polski: studium historiograficzne*, Warszawa 1970.

– *Przeszłość a teraźniejszość: szkice i studia historiograficzne*, Wrocław 1965.

Skałkowski Adam M., *Aleksander Wielopolski w świetle archiwów rodzinnych*, t. I–III, Poznań 1947.

Skarga Barbara, *Narodziny pozytywizmu polskiego (1831–1864)*, Warszawa 1964.

Skwarczyński Zdzisław, *Kazimierz Kontrym. Towarzystwo Szubrawców. Dwa studia*, Łódź 1961.

Stasiewicz Irena, *Poglądy na naukę w Polsce okresu Oświecenia na tle ogólnoeuropejskim*, Wrocław 1967.

Swojskość i cudzoziemszczyzna w dziejach kultury polskiej, red. Zofia Stefanowska, Warszawa 1973.

Szacka Barbara, *Teoria i utopia Stanisława Staszica*, Warszawa 1965.

Szacki Jerzy, *Ojczyzna, naród, rewolucja: problematyka narodowa w polskiej myśli szlachecko-rewolucyjnej*, Warszawa 1962.

Szubert Wacław, *Studia o Fryderyku Skarbku jako ekonomiście*, Łódź 1954.

Tazbir Janusz, *Polskie przedmurze chrześcijańskiej Europy: mity a rzeczywistość historyczna*, Warszawa 1987.

– *Rzeczpospolita i świat: studia z dziejów kultury XVII wieku*, Wrocław 1971.

Temkin Gabriel, *Karola Marksa obraz gospodarki komunistycznej*, Warszawa 1962.

Tradycje szlacheckie w kulturze polskiej, red. Zofia Stefanowska, Warszawa 1976.

Trybusiewicz Janusz, Wstęp do: Claude-Henri de Saint-Simon, *Pisma wybrane*, t. I, Warszawa 1968.

Tych Feliks, *Socjalistyczna irredenta: szkice z dziejów polskiego ruchu robotniczego pod zaborami*, Kraków 1982.

– *Związek Robotników Polskich 1889–1892: anatomia wczesnej organizacji robotniczej*, Warszawa 1974.

Ujejski Józef, *Dzieje polskiego mesjanizmu do powstania listopadowego włącznie*, Lwów 1931.

Uniwersalizm i swoistość kultury polskiej, t. I–II, red. Jerzy Kłoczowski, Lublin 1989.

Walicki Andrzej, *Filozofia a mesjanizm: studia z dziejów filozofii i myśli społeczno-religijnej romantyzmu polskiego*. Warszawa 1970.

– *Między filozofią, religią i polityką: studia o myśli polskiej epoki romantyzmu*, Warszawa 1983.

– *Poland between East and West: the controversies over self-definition and modernization in partitioned Poland*, Cambridge, Mass. 1994.

– *Polska, Rosja, marksizm: studia z dziejów marksizmu i jego recepcji*, Warszawa 1983.

– *W kręgu konserwatywnej utopii: struktura i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa*, Warszawa 1964.

Warzenica Ewa, *Pozytywistyczny „obóz młodych" wobec tradycji wielkiej polskiej poezji romantycznej (lata 1866–1881)*, Warszawa 1968.

Wierzbicki Andrzej, *Spory o polską duszę: z zagadnień charakterologii narodowej w historiografii polskiej XIX i XX wieku*, Warszawa 1993.

– *Wschód – Zachód w koncepcjach dziejów Polski: z dziejów polskiej myśli historycznej w dobie porozbiorowej*, Warszawa 1984.

Witkowska Alina, *Kazimierz Brodziński*, Warszawa 1968.

– *Sławianie, my lubim sielanki...*, Warszawa 1972.

Wołoszyński Roman, *Ignacy Krasicki: utopia i rzeczywistość*, Wrocław 1970.

Zahorska Marta, *Inteligencja a społeczeństwo w myśli społecznej okresu warszawskiego pozytywizmu*, Warszawa 1989.

Zieliński Andrzej, *Naród i narodowość w polskiej literaturze i publicystyce lat 1815–1831*, Wrocław 1969.

Zienkowska Krystyna, *Jacek Jezierski kasztelan łukowski (1722–1805): z dziejów szlachty polskiej XVIII w.*, Warszawa 1963.

Żmigrodzka Maria, *Orzeszkowa: młodość pozytywizmu*, Warszawa 1965.

Żurawicka Janina, *Inteligencja warszawska w końcu XIX wieku*, Warszawa 1978.

Indeks*

Albertrandy Jan Chrzciciel 53
Albiedynski Piotr 284, 350
Aleksander I 44, 51, 120, 181
Aleksander II 283
Aleksander III 284, 295, 414
Aleksandrowicz Benedykt 297
Alexander Jeffrey C. 20
Apuchtin Aleksandr 276, 285, 347
Aron Raymond 381
Assorodobraj Nina 48, 100, 101, 191, 199, 263
„Ateneum" 316
Au Juliusz 364
August III 31

Baczko Bronisław 170, 208
Bałucki Michał 338
Bandtkie Jan Wincenty 52
Bank Polski 20, 143–144, 266
Bartoszewicz N. S. 295
Bastiat Frédérick 158, 195, 237, 253
Baudouin de Courtenay Jan 278
Baudrillart Henri 253–254
Baumgarten Leon 286
Bazard Armand 197
Beauvois Daniel 262
Beck Józef 363
Bem Antoni Gustaw 276
Bentham Jeremy 130, 196, 342
Bentkowski Feliks 185
Berg Fiodor 347
Bernat Andrzej 19
„biali" zob. Dyrekcja Białych
Białoblocki Bronisław 280, 287, 290–291
„Biblioteka Warszawska" 243, 247, 276

* Indeks oprócz nazwisk zawiera: tytuły czasopism, nazwy instytucji, stowarzyszeń, partii i ugrupowań ideowych. Nie obejmuje załączonego na końcu książki wykazu literatury.

„Biesiada Literacka" 287
Bismarck Otto von 334, 345, 403, 414
Blanqui Auguste 256
Bloch Jan 401
Bobrzyński Michał 316, 329, 333
Bohusz Marian zob. Potocki Józef Karol
Boleslawita zob. Kraszewski Jozef Ignacy
Bonald Louis Gabriel de 192
Bończa-Tomaszewski Dyzma 179
Borejsza Jerzy W. 293
Borowski Stanisław 265
Bouglé Celestin 197
Brodziński Kazimierz 61, 66, 71–72, 90–91, 106, 186–187, 339
Brykalska Maria 274, 330, 344, 348–349
Buckle Henry Thomas 315, 317
Bury John B. 166

Cabet Etienne 231
Celichowski A. 272
Chałasiński Józef 84
Chateaubriand François René de 170, 192
Chevalier Michel 244, 253
Chmielowski Piotr 237, 313
Chrzanowski Ignacy 47, 61
Cichowski Roman 244
Cieszkowski August 200–208, 215, 228, 242, 250
Clayre Alasdair 13
Colbert Jean Baptiste 145
Comte Auguste 41
Condorcet Jean Antoine de 39–41, 170, 197, 256, 342
Constant Benjamin 46, 192
Cywiński Bohdan 308–309
Czacki Tadeusz 53
Czartoryski Adam Jerzy 86, 181
Czartoryski Adam Kazimierz 175
„Czas" 218, 223, 238–240, 283, 303, 323–325, 376
Czepulis-Rastenis Ryszarda 244, 248–249, 262–263, 276, 293, 330
Czerkasski Władimir 307
Czerminski Julian 51
„czerwoni" 265, 306, 328

Dangel Zygmunt 254–255
Darwin Charles 327, 334
Daszkowski Zbigniew 44
Daszyński Ignacy 387
„Dekada Polska" 66
Delavigne Casimir 90
Dembowski Edward 306
Dębiński Bolesław 361
Diderot Denis 34, 42
Diksztajn Szymon 366, 370, 396
Dłuski Kazimierz 382, 386, 388–390
Dmochowski Franciszek Salezy 153
Dmuszewski Ludwik 64
Dobrzycki Stanisław 265
Doliwa Z. zob. Dłuski Kazimierz
Dołęga-Chodakowski Zorian 63

Draper Henry 315
Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska (T-wo) 273, 298, 406
Dunoyer Charles Barthélémy 192–196
Duval 417
Dybicz Iwan 90
Dygasiński Adolf 277, 288
Dyrekcja Białych 326, 328
„Dziennik Handlowy" 95, 99–100, 157
„Dziennik Literacki" 263
„Dziennik Powszechny" 264
„Dziennik Warszawski" 221

„Ekonomista" 404, 416–417
Elzenberg Henryk (1845–1899) 410
Elzenberg Henryk (1887–1967) 166
encyklopedyści francuscy 37, 167
Enfantin Barthélémy Prosper 197
Engels Friedrich 365–367, 370–371, 374, 377
Epsztein Leon 192, 195
Estivant 416

Fabianie 414
Falkowski Mieczysław 354
Febvre Lucien 38
Feuerbach Ludwig 229
Fichte Johann Gottlieb 67
filomaci 45, 80
Finkelhaus Jan 405
fizjokraci 116, 120–123, 169, 191
Fourier Charles 200, 202, 231
Franklin Benjamin 248–249, 300, 411
Fredro Aleksander 64, 188, 236
Fudakowski Zygmunt 154–155, 247

Galicyjska partia robotnicza (program) 370, 374
Ganilh Charles 184
Garbiński Władysław 246
Garczyński Stefan (woj. pozn.) 29
„Gazeta Codzienna" (od 1861 „Gazeta Polska") 153–157, 247, 272, 305
„Gazeta Handlowa" 405
„Gazeta Polska" (1826–1831) 59–60, 190
„Gazeta Polska" (od 1861) zob. „Gazeta Codzienna"
Gerber Rafał 48
Gide Charles 417
Gieysztor Jakub Kazimierz 156
Gliszczyński Antoni 102–103, 135
„Głos" 281, 298, 310, 384, 391–396, 399, 408, 414–418
Głowacki Aleksander zob. Prus Bolesław
Godlewski Mścisław 286, 326
Gołuchowski Józef 81, 224–228
Gomulicki Juliusz Wiktor 338
Goszczyński Seweryn 80
Górnictwo Krajowe (rządowe) 139, 142, 144, 400, 404–405

Górski Janusz 111–112, 148
Górski Ludwik 243, 245–246
Górski Stanisław 152
Grabowski Stanisław 181
Grabowski Stefan 138–140
Grabski Andrzej Feliks 333
Grabski Stanisław 361
Grodek Andrzej 97
Gumplowicz Ludwik 263
Gurowski Adam 234

Halévy Elie 197
Handelsman Marceli 42
Hanecki Michał 281
Hazard Paul 34–35
Hegel Georg Wilhelm 229, 327
Hercen Aleksandr 218
Herder Johann Gottfried von 60, 72, 235
Hertz Paweł 64
Hetnal Adam 21
Hinz Henryk 56, 180
Hlasko Józef 384, 392, 394–396, 399, 417
Hobbes Thomas 166
Hryniewiecki Ignacy 283
Humnicki Antoni 361
Hurko Osip 303, 350

Iks Bogomnos zob. Sąsiedzki Adam
industrialiści 88–89, 95–102, 110, 135, 143, 149, 190–192, 263, 411; zob. także protekcjoniści przemysłowi
Instytut Agronomiczny 86
Instytut Politechniczny 86, 88

Jakubowski Salwian 216
Janicki Stanisław 293
Janowski Maciej 26
Jaroński Feliks 24, 84
Jasiński Jakub 176
Jedlicki Jerzy 13, 20, 25, 97, 100, 144, 188, 401, 413
Jeleński Jan 330, 403, 407
Jeske-Choiński Teodor 286–287, 289, 337–338
Jezierski Franciszek Salezy 62, 176
Jezierski Jacek 94–97, 99, 101
Jeż Teodor Tomasz (wł. Zygmunt Miłkowski) 315

Kaczyński Paweł 88–89
Kamieński Henryk 207–215, 255
Kant Immanuel 67
Karpiński Franciszek 177
Kasa im. Mianowskiego 279
Kasznica Józef 326
Katarzyna II 42, 229
Katkow Michaił 283–284
Kieniewicz Stefan 21, 244, 264
Kirszrot Józef 416
Kizwalter Tomasz 21, 26
Klarnerówna Zofia 62, 76, 234
klemensowczycy 152, 243–250, 310
„Kłosy" 276
Kniażyc J. zob. Hłasko Józef
Kochanowicz Jacek 21

Kochanowski Jan 175
Kolberg Oskar 310
Kołłątaj Hugo 37, 43
Kołodziejczyk Ryszard 295, 303
Koło Polskie w Wiedniu 345
Komisja Edukacji Narodowej 52, 104
Konarska Barbara 293
Konarski Stanisław 29, 89
Konarski Szymon 365
Konitz Henryk 366
konserwatyści 51–52, 56–58, 178–189, 191–192, 217–255, 308–310, 321–329, 342, 346, 407; zob. także stańczycy
kooperatywiści 416–418
Kopernik Mikołaj 69, 85
Korpus Górniczy 88
Korzeniowski Apollo 153–155
Korzeniowski Józef 270
Korzon Tadeusz 279
Kossuth Stefan 271–272
Koszutski Stanisław 315
Kościałkowski Stanisław 142
Kott Jan 177, 411
Kotzebue Paweł 350
Kowalik Tadeusz 354, 413
Kozanecki Tadeusz 57
Kozłowski Paweł 19
Koźmian Kajetan 64
„Kraj" 401
Krasicki Ignacy 31, 170–175
Krasiński Zygmunt 218, 315–317, 328
Kraszewski Józef Ignacy 236–237, 240–241, 245–246, 287, 315, 326–328, 339, 358
Kraushar Aleksander 43, 52, 63, 80
Kronenberg Leopold 154, 273, 293, 298, 305, 384, 401, 405–406
„Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych" 240, 245–246, 249
Królikowski Ludwik 76, 228
Krupiński Franciszek 314, 316
Krusiński Stanisław 163–164, 354, 383, 388, 396
Krysiński Dominik 46–47, 128, 130–133, 135–137, 140–142
Krzeczkowski Konstanty 132, 185
Krzemień-Ojak Krystyna 81, 88
Krzemiński Stanisław 266
Krzywicki Kazimierz 305–306
Krzywicki Ludwik 285, 354, 357–358, 363, 367, 372, 383, 385, 388–389, 394–395, 398, 415
Krzyżtopór zob. Potocki Tomasz
Kubiak Jacek 55
Kula Witold 97, 263
Kulczyk Marek 21

Lafargue Paul 315, 399
Lassalle Ferdinand 315, 359, 365, 370
Lelewel Joachim 48, 61, 72–73, 314, 333
Leskiewiczowa Janina 263, 265, 294
Lessing Gotthold Ephraim 36
Leszczyński Stanisław 170
Libelt Karol 416

Libera Zdzisław 81
liberałowie 45–48, 59, 65, 72, 76, 139, 192–195, 217–218, 255, 341–345, 415; zob. także pozytywiści
liberałowie gospodarczy 129–137, 140, 158–164, 255, 404, 413, 416
Liga Narodowa 402
Liga Polska 343
Limanowski Bolesław 364, 389
Lindley William jr. 297
Lipiński Józef 43
Liskower Andrzej zob. Skoczyński Jan
List Friedrich 237, 400
Locke John 31, 42
Loris-Mielikow Michaił 284
Lubecki Franciszek Ksawery, ks. Drucki 131, 137–144, 400
ludowcy zob. „Głos"
Ludwik XIV 33
Ludwik XV 167

Łęski Józef 85
Łętowski Ludwik 90
Łubieńscy bracia 216
Łukasiński Walerian 47, 48, 365

Mably Gabriel Bonnot de 42
Maciejowski Wacław 234
Maistre Joseph Marie de 183, 197, 218
Maleszewski Piotr 129
Maleszewski Władysław 287–288
Malthus Thomas Robert 128, 240, 353
Mandeville Bernard de 166
Manteufflowa Maria 181
marksiści zob. socjaliści
Marx Karl 315, 319, 359–360, 365, 368, 370–371, 375–378, 381, 385, 391, 393
Marx Leo 13, 339
Mencwel Andrzej 21, 23
Mendelson Stanisław 379–380, 383
merkantyliści 93, 115
„Merkury" 47, 65
Merzbach Henryk 312
Metternich Klemens von 229
Miąso Józef 273, 299
Michalski Jerzy 14, 37, 176
Mickiewicz Adam 46, 64, 68, 228, 312–317
Mikołaj I 90, 233–234
Mikulski Leopold 331
Mill John Stuart 315, 344
Miniszewski Józef Aleksander 264
Mittelstaedt Jan 249–252
„młoda prasa" zob. pozytywiści
Młot Jan zob. Diksztajn Szymon
Mocarska Zofia 326
Mochnacki Maurycy 22, 55, 58–59, 61, 62, 66–69, 78, 80–82, 85, 142–143, 306
Molska Alina 358, 363, 367, 377, 398
„Monitor" 30–31, 174–175
Moniuszko Stanisław 311–312
Montaigne Michel 67

Montesquieu Charles de 31, 42, 67, 333
Morawski Franciszek 64
Morzycki Antoni 229–233
„Moskowskije Wiedomosti" 283, 287
Müller Otto Wilhelm 262

nacjonaliści 380–381, 402–403
Nagórny Antoni 416
Napoleon I 43–44, 53, 105, 113, 182, 229
narodnicy 378, 391, 395–396
Natanson Władysław 279
Nax Jan Ferdynand 95–96, 99–102, 136
Nencki Marceli 278
Nesteruk Małgorzata 75
Niemcewicz Julian Ursyn 61, 63–64
Niemirowski Jan 253
Nisbet Robert 10
„Niwa" 269–272, 277–278, 282, 286–290, 297, 321, 326, 330, 333, 338–341, 347, 404, 407, 410, 417
„Nowa Polska" 74, 90
Nowak Stefan 20
Nowak Zbigniew Jerzy 71
Nowakowski Jerzy Marek 21
Nowicka Elżbieta 55
„Nowiny" 349
Nowodworski Michał 322–323

O'Boyle Lenore 261
obóz pracy organicznej zob. pozytywiści
Ochorowicz Julian 320–321
Offenberg Jan 315
Olendzki Władysław 289–290
Olszewski Karol 278
„Opiekun Domowy" 320–321, 355, 417
organicznicy poznańscy 207, 216, 306
„Orzeł Biały" 48–49
Orzeszkowa Eliza 270–271, 277, 282, 286, 307, 313, 338–341, 411
Ossowska Maria 166, 411
Ossowski Stanisław 217
Ostrowski Józefat Bolesław 73–74
„Otieczestwiennyje Zapiski" 280
Owen Robert 127, 254

„Pamiętnik Historyczno-Polityczny" 95–96, 98
„Pamiętnik Warszawski Umiejętności Czystych i Stosowanych" 84, 185
Paskiewicz Iwan 216, 222, 350
Pepłowski Franciszek 66
Piekarski Witold 382
Pieróg Stanisław 62
Pietrzak-Pawłowska Irena 407
Pigoń Stanisław 80
Piłsudski Józef 313
Piotr I 30, 49–50, 229
Pius IX 230
Pobiedonoscew Konstantin 414
Podczaszyński Bolesław 144–145
Podlecki Tadeusz 99

Pol Wincenty 91, 317, 327–328
Polska Partia Socjalistyczna 359, 379
Popiel Paweł 346, 376
Popławski Jan Ludwik 393–394, 408
populiści zob. „Głos"
Poseł Prawdy zob. Świętochowski Aleksander
Potocki Jan 36
Potocki Józef Karol 414–418
Potocki Prot 94
Potocki Stanisław Kostka 45
Potocki Tomasz 243, 245, 249
Powidaj Ludwik 263, 336
Poznańskie Towarzystwo Naukowej Pomocy 343
pozytywiści 267–269, 275–285, 301–307, 312–321, 329–358, 400–401, 409–412, 419
„Prawda" 279, 284–285, 294, 316, 334–337, 344–345, 348–349, 351, 357, 383, 412
Prażmowski Adam 181
„Proletariat" zob. Socjalno-Rewolucyjna Partia
protekcjoniści przemysłowi 138–146, 402, 408
Proudhon Pierre 231
Prus Bolesław 272–273, 275, 282–283, 286–289, 291, 294–297, 312, 332, 343–345, 349, 353–354, 383, 393, 401, 405, 409–413
„Przedświt" 369, 372, 390
„Przegląd Katolicki" 322–323
„Przegląd Poznański" 223
„Przegląd Techniczny" 271–272
„Przegląd Tygodniowy" 267–268, 277–304, 314–320, 330–333, 336, 346, 360, 383, 405, 413
Przewóski Edward 392, 416–418
Przychodniak Zbigniew 55
Pusz Wiesław 46, 49

Quesnay François 108, 116, 120

Radziwiłł Karol 98
Raszewski Zbigniew 311–312
Rej Mikołaj 175
Rejman Zofia 75
Ricardo David 119
„Roczniki Gospodarstwa Krajowego" 152, 244–246, 307
Rodbertus-Jagetzow Johann Karl von 414
„Rola" 403, 407
Romankówna Mieczysława 91
Romanowski Mieczysław 306
romantycy 54–92, 207, 257–258, 262, 312–318, 333
Rosicka Janina 21
Roszkowski Antoni 207
Rousseau Jean Jacques 42, 166–172, 175–176, 189, 192, 208
„Równość" 369–372, 396–397
Rychliński Stanisław 300, 302–303, 399
Rzewuski Henryk 181, 218–222, 224, 230, 252, 325, 327
Rzewuski Leon 229

Saint-Simon Claude Henri de 41, 127, 195–199, 206, 231
saint-simoniści 196–199, 203
Samarin Jurij 307
Sandler Samuel 274, 280, 307, 330
Sapieha Aleksander 6 3
Say Jean Baptiste 108, 115, 123, 158, 191–192, 244
Sąsiedzki Adam 360, 370, 373, 384, 388, 391, 401
Schaeffle Albert 366
Schippel Max 414
Schultz Karol 100
Schulze-Delitzsch Hermann 416
Schulze-Gävernitz Gerhard 417
Sejm Czteroletni 32, 37, 49, 97, 102–103, 262
Serejski Marian Henryk 38, 72, 333
Siemieniecki J. zob. Hłasko Józef
Siemieński Lucjan 218
Sienkiewicz Karol 90
Sikora Adam 56, 180
Sismondi Jean Charles Simonde de 115, 122–128, 130, 134, 146–147, 158, 213–214, 254
Skałkowski Adam Mieczysław 58, 186, 264
Skarbek Fryderyk 44–45, 49, 51, 129–137, 140–141, 146–148, 156–158, 184–185, 213, 247–248
Skibiński Z. 58
Skłodowska-Curie Maria 279
Skoczyński Jan 21
Skwarczyński Zdzisław 45
Słomczewski Michał 238–240
Słowacki Juliusz 64, 312, 315–317
słowianofile 63, 71–72, 76, 223–235, 250–252
„Słowo" 274, 401, 407–408
Smiles Samuel 277
Smith Adam 100, 110–111, 115, 117–120, 123, 134, 158, 169, 184, 242, 250, 357
Smolka Stanisław 137–140
socjaliści 214, 285, 290, 355–391, 396–399
Socjalno-Demokratyczna Partia w Galicji 387
Socjalno-Rewolucyjna Partia „Proletariat" 286, 359, 363, 370, 375, 379, 386
Sombart Werner 410
Soplica Jacek zob. Olendzki Władysław
Sowiński Leonard 338
Spasowicz Włodzimierz 313
Spencer Herbert 315, 317, 319, 354, 414–415
Stanisław August 29–30, 49, 104, 142, 327
stańczycy 315–316
Staszic Stanisław 37, 44, 48, 53, 64–65, 79–80, 94–95, 98–99, 101–104, 132, 138, 143, 147, 332, 412
Stefanowska Zofia 14
Steinkeller Piotr 145, 216, 400, 406
Strasburger Edward Adolf 278
Strasburger Karol 298
Stroynowski Hieronim 116, 120

Stroynowski Walerian 120–122
Suchodolski Bogdan 65
Suligowski Adolf 354–355
Supiński Józef 157–164, 255–257, 306, 354, 383, 396, 404
Surowiecki Karol 179
Surowiecki Wawrzyniec 50–51, 71, 103–114, 132–133, 136, 138, 144, 157, 159
Szacka Barbara 101
Szacki Jerzy 54, 74, 370
Szaniawski Józef Kalasanty 51, 53, 56–57, 67, 78, 81, 179–181
Szczepański Jerzy 145
Szkoła Główna 264–265
Szkoła Górnicza 86
Szkoła Handlowa 273, 279
Szpakowska Małgorzata 21
Sztompka Piotr 20
Szubert Wacław 133
Szujski Józef 320
Szumski Tomasz 50
Szweykowski Zygmunt 188, 236, 273

Śniadecki Jan 45, 64, 67, 80–81
Śniadecki Jędrzej 45, 64
Świętochowski Aleksander 267–268, 274, 278–279, 282, 284–286, 294, 296, 307, 313–321, 329–337, 343–352, 354–358, 406–407, 411–412
Świętosławski Zenon 228
Świtkowski Piotr 95–96, 98–99, 102

Tatarkiewicz Władysław 24, 45
Tazbir Janusz 14, 26, 222
Temkin Gabriel 372
Thorvaldsen Bertel 69
Towarzystwo Literackie (tajne) 314, 352
Towarzystwo Patriotyczne 47, 79
Towarzystwo Popierania Rosyjskiego Przemysłu i Handlu 401
Towarzystwo Republikanów Polskich 42–43
Towarzystwo Rolnicze 247, 249, 308, 310
Towarzystwo Szubrawców 65
Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk 43, 52–53, 80–81, 86, 131
Toynbee Arnold J. 11
Trentowski Bronisław 218, 327
Trepka Mścisław 416
Trybusiewicz Janusz 196
Turgot Anne Robert 167
Tuwim Julian 338
Tych Feliks 359, 361, 363–364, 377
„Tygodnik Ilustrowany" 276
„Tygodnik Petersburski" 237
Tyzenhauz Antoni 94, 142

Ujejski Józef 46, 75, 76, 90
Uniwersytet warszawski (od 1869) 266, 275–276, 284–285, 290
Uniwersytet wileński 80, 122, 262

Voltaire 34, 45, 174, 184, 333, 345
Walicki Andrzej 14–15, 201, 204, 363, 377, 396
„Walka Klas" 357–358, 380, 382–383, 386–387
Warski Adolf 363
Waryński Ludwik 286, 353, 368
Warzenica Ewa 313, 316
Wasilewski Zygmunt 303
Watt James 102
Weber Max 322
Węgierski Tomasz Kajetan 175
Węgrzecki Stanisław 48
„Wiadomości Brukowe" 45
„Wiek" 274
Wielopolski Aleksander 57, 181, 186, 264, 302, 305, 328
Williams Raymond 13
Wiszniewski Adam 156–157
Wiślicki Adam 285
Wiśniewski Antoni 298
Witkowska Alina 56, 66, 72, 179, 187
Wolnomularstwo Narodowe 47
wolnomularze 46
Wołoszyński Roman 31, 170–171, 175
Woroncow Wasilij 392
Woronicz Jan Paweł 53, 75–76
Wójcicki Kazimierz Władysław 187
Wścieklica Władysław 355–356, 358, 397
Wybicki Józef 94–96, 102
Wyrozembski Jan Zygmunt 119
Wysłouch Bolesław 394
Wzdulski Konstanty 413

Zabłocki Franciszek 175
Zahorska Marta 292, 330
Zajączkowski Andrzej 221
Zakrzewski Adam 391, 393, 395
Zaleski Antoni 303
Zamoyski Andrzej 228, 244–245, 248
Zamoyski Stanisław 179, 181
Zieliński Andrzej 47, 50, 54, 59, 61–62, 65, 76, 89, 188
Zienkowska Krystyna 95, 97
zmartwychwstańcy 328
Związek Robotników Polskich 361, 363, 377

Żeromski Stefan 281, 312, 315, 412
Żmigrodzka Maria 277, 411, 416
Żukowski Jan Ludwik 82–83, 88–89, 143, 190
Żurawicka Janina 396